

Mika Waltari  
**MIKAEL**

Tom I: Mikael Karvajalka

Tłum: Zygmunt Łanowski

**CZĘŚĆ PIERWSZA**  
**DZIECIŃSTWO**

1

Urodziłem się w dalekiej krainie, którą opisywacze świata nazywają Finlandią. Ten piękny i rozległy kraj mało jest znany ludziom wykształconym: Na Południu wyobrażają sobie, że kraj położony tak daleko na Północy musi być surowy i nie nadaje się na mieszkanie dla ludzi i że jego mieszkańcy są niecywilizowanymi dzikusami, którzy odziewają się w skóry zwierząt i żyją w okowach pogaństwa i zabobonów. Pogląd ten jest zgoła pocieszny.

Finlandia wcale nie jest biedna. Lasy pełne są tam zwierzyny, a w wartkich rzekach dokonuje się wszędzie zyskownych połowów łososia. Mieszczanie z Abo prowadzą ruchliwy handel zamorski, a ludność wybrzeża Zatoki Botnickiej zna się na sztuce budowania okrętów dalekomorskich. Nie brak tam drzewa ani masztowych sosen i z Abo wywozi się do innych krajów, oprócz suszonej ryby i skór oraz artystycznie wykonanych drewnianych naczyń, także surowe żelazo wytopione z rudy pochodzącej z jezior w głębi kraju. Wywóz suszonej ryby i solonego śledzia jest tak bogatym źródłem dochodów, że herezja pewnie dłużej się tu nie utrzyma, gdyż lekceważy dni postu, a świącenie postu według nakazów Kościoła jest nieodzownym warunkiem dobrobytu wielu fińskich mieszczan.

Tyle o kraju, gdzie się urodziłem i wyrosłem, a opowiadam o tym dlatego, żeby wykazać, że nie jestem pochodzenia pogańskiego.

Pewnej nocy, późnym latem, gdy miałem sześć czy siedem lat życia, admirał Jutów, Otto Ruud, przepłynął z flotą niepostrzeżenie obok twierdzy w Abo, omijając śpiące strażę, i zaskoczył handlową część miasta niespodziewanym atakiem o świcie. Straszliwa grabież Abo odbyła się w roku 1509, na pięć" lat przed beatyfikacją świętego Hemminga, więc musiałem zobaczyć światło dzienne w roku 1502 lub 1503.

2

Pamiętam, że ocknąłem się w jakimś łożu. Przykryty owczą skórą leżałem w miękkich lnianych prześcieradłach, a wielkie psisko lizało mnie po twarzy. Gdy odsunąłem jego pysk, pies ogromnie się rozbawił i chwyciwszy mnie ostrożnie zębami za rękę, chciał barsztkować. W jakiś czas potem do łoża podeszła chuda, szaro ubrana niewiasta, spojrzała na mnie zimnymi szarymi oczyma i nakarmiła mnie zupą. Sądziłem, że dostałem się do nieba, i wielce byłem zdziwiony, że kobieta nie ma skrzydeł anielskich. Toteż zapytałem nieśmiało:

— Czy jestem w niebie?

Dotknęła moich dłoni, szyi i czoła dłonią twardą jak deska i zapytała:

— Boli cię jeszcze głowa?

Obmacałem głowę i spostrzegłem, że jest obandażowana. Nie czułem jednak żadnego bólu. Zrobiłem więc szybko znak przeczenia, ale natychmiast zabolalo mnie mocno w karku.

— Jak się nazywasz? — spytała — Mikael — odparłem. Wiedziałem to dobrze, bo ochrzczono mnie imieniem świętego archanioła.

— Czyim synem jesteś? — pytała dalej.

Zrazu zawahałem się, ale w końcu powiedziałem:

— Mikaela Konwisarza! — I sam spytałem ciekawie:

— Czy naprawdę jestem w niebie?

— Jedz zupę — odrzekła zwięźle. — Ach tak, toś ty syn Gertrudy... Przesiadła na brzegu łoża i pogłaskała mnie lekko po bolącym karku.

— Jestem Pirjo, córka Matsa z rodu Karvajalka — powiedziała. — Leżysz w moim domu i pielęgnuję cię już od kilku dni...

Wtedy przypomniałem sobie nagle Jutów i wszystko, co się potem wydarzyło. I tak się zląkłem, usłyszawszy jej imię, że nawet zupa już mi nie smakowała.

— Więc jesteś czarownicą? — zapytałem, choć wcale nie miała wyglądu wiedźmy.

Żachnęła się i zrobiła znak krzyża.

— To tak mnie nazywają za plecami? — zapytała ze złością. Ale opanowała się i wyjaśniła:

— Nie jestem wcale czarownicą, tylko leczę ludzi. Gdyby Bóg i wszyscy święci nie obdarzyli mnie zdolnością uzdrawiania, i ty, i wielu innych zmarłoby w czasie tej kłęski.

Zawstydzilem się mojej niewdzięczności, ale z drugiej strony nie mogłem przecież prosić jej o przebaczenie, gdyż wiedziałem, że jest na pewno słynną w Abo czarownicą z rodu Karvajalka.

— Gdzie są Jutowie? — zapytałem. Odpowiedziała, że odpłynęli przed kilku dniami, zabierając z sobą jako jeńców księży, ławników, radnych miejskich i zamożniejszych mieszczan. Abo było teraz biednym miastem, bo Jutowie w ciągu ostatnich lat grabili na morzu najlepsze jego statki. A obecnie zrabowali nawet najcenniejsze kosztowności z katedry. Powiedziała mi też, że już ponad tydzień leżą w jej domu, trapieni gorączką i bólami.

— Ale jak się tu znalazłem? — zapytałem wpatrując się w nią, a w tejże chwili ujrzałem, że jej głowa zmienia się w dobroduszny koński łeb. Nic się jednak nie zląkłem, bo wiedziałem, że czarownice mogą zmieniać postać. Pies podbiegł do mnie, machając ogonem, i lizał mi rękę, a ja znów widziałem moją gospodynię w ludzkiej postaci. Nie wątpiłem już dłużej, że jest czarownicą, a równocześnie poczułem do niej duże zaufanie.

— Masz końską twarz — powiedziałem nieśmiało.

Poczuła się tym dotknięta, ponieważ, jak to zwykle kobiety, była próżna, choć jej najlepsze lata minęły już bardzo dawno. Opowiedziała mi, że wykupiła się od grabieży, wyleczywszy maściami i masażem Juta, kapitana okrętu, który skreślił stopę, wyskakując z żądzły łupu jako pierwszy na ląd.

Trzeciego dnia grabieży miasta jeden z Jutów przyniósł mi do niej nieprzytomnego i zapłacił jej trzy grosze srebrem? żeby mnie uleczyła. Ten miłosierny uczynek zrobił z pewnością dla zmazania swoich grzechów, bo splądrowanie katedry przyprawiło wielu Jutów o ciężkie wyrzuty sumienia. Z opisu domyśliłem się, że był to ten sam człowiek, który zabił mego dziadka i babkę.

Opowiedziawszy mi, w jaki sposób dostałem się do jej domu, pani Pirjo dodała:

— Wyprałam twoją koszulę z krwi, a portki wiszą tam na kołku. Możesz się więc ubrać i iść, dokąd chcesz, bo ja dotrzymałam obietnicy, a leczenie było warte więcej niż trzy grosze srebrem.

Nie miałem na te słowa żadnej odpowiedzi. Ubrałem się i wyszedłem na podwórko. Pani Pirjo zamknęła drzwi chaty i poszła opatrywać chorych i rannych, którzy nie dostali się do klasztoru lub do Szpitala Świętego Ducha, i uznali, że jak już koniecznie trzeba umierać, lepiej to zrobić u siebie w domu. Siadłem na schodkach, w słońcu, bo nogi wciąż jeszcze miałem słabe od choroby, patrząc bezmyślnie na bujną letnią trawę i dziwne rośliny w

ogródki, i nie wiedząc, dokąd mam pójść. Pies przysiadł koło mnie, objąłem go ramieniem za kark i zapłakałem gorzkimi łzami.

i Tak znalazła mnie pani Pirjo, gdy wróciła wieczorem do domu, ale zerknęła tylko na mnie z niechęcią i weszła bez słowa do wnętrza. Po chwili podała mi przez drzwi kawałek chleba ze słowami:

— Rodzice twojej matki nieboszczki są już pochowani we wspólnym grobie razem z innymi biedakami pomordowanymi przez Jutów. W całym mieście panuje zupełny zamęt i nikt nie wie, od czego zaczynać na nowo. Kawki skrzeczą już pod okapem twego domu.

Nie zrozumiałem znaczenia tych słów, ale ona wytłumaczyła mi je jaśniej:

— Nie masz już domu, biedaku — powiedziała. — Nie możesz go odziedziczyć, bo jesteś nieślubnym dzieckiem twojej matki. Według ustnej obietnicy złożonej przez Konwisarza Mikaela, syna Mikaela, i jego małżonkę dla zbawienia ich dusz klasztor zabrał ich dom i ziemię, na której stoi.

Także i w tej sprawie nie miałem nic do powiedzenia. Ale w chwilę później pani Pirjo wyszła do mnie jeszcze raz i wetknąwszy mi w dłoń trzy grosze srebrem powiedziała:

— Weź twoje pieniądze! Niech mi się to liczy na Sądzie Ostatecznym za zasługę, że z miłosierdzia i bez chęci zysku uzdrowiłam cię, biedaku, choć może byłoby lepiej, żebyś umarł. A teraz już zabieraj się stąd i nie zawadzaj mi dłużej.

Podziękowałem pani Pirjo za jej dobroć, poklepałem psa na pożegnanie i zawiązałem trzy srebrne pieniążki w rąbek koszuli. A potem powlokłem się w kierunku mego domu brzegiem rzeki, a po drodze widziałem, że drzwi w domach bogaczy były też powywalane, a z ratusza powyrywano i pokradziono szklane okna. Nikt na mnie nie zwracał uwagi, bo mieszczki zajęte były rozdzielaniem zastrachanych krów, przypędzonych z kryjówek po lasach, a sąsiedzi bobrowali po opuszczonych zagrodach, ratując nadające się do użytku ruchomości, żeby się nie zmarnowały albo nie wpadły w ręce złodziei.

Wszedłem do naszego domu i nie znalazłem tam już nic — ani kołowrotka, ani beczki na wodę, ani garnka czy łyżki, czy choćby najmniejszej szmatki dla okrycia ciała, nic oprócz zakrzepłych kałuż krwi, która nie wsiąkła w twardą polepę. Położyłem się na przypiecku i płakałem gorzko, dopóki mocno nie zasnąłem.

3

Zbudziło mnie wczesnym rankiem wejście czarno odzianego mnicha. Ale nie przestraszyłem się go, bo twarz miał przyjazną i okrągłą. Pozdrowił mnie w imię boże i zapytał; — Czy to twój dom? — A gdy odpowiedziałem twierdząco, dodał: — Raduj się, bo klasztor Świętego Olafa przejął to domostwo i oswobodził cię w ten sposób od wszelkich trosk, jakie pociąga za sobą posiadanie dóbr ziemskich. To z pewnością cudowne zrządzenie boskie, że zostałeś przy życiu, żeby oglądać tak radosny dzień, bo musisz wiedzieć, że wysłano mnie tu, żebym oczyścił tę chatę od wszelkich diabelskich podstępów, które czyhają w miejscach, gdzie nastąpiła gwałtowna śmierć.

Zaczął sypać sól i kropić święconą wodą z przyniesionego naczynia podłogę i piec, zawiasy drzwi i okiennice, kreślił znak krzyża i mamrotał mocne łacińskie zaklęcia. Potem rozsiadł się na przypiecku, wydobyl ze swego zawiniątka chleb, ser i suszone mięso i także mnie poczęstował jedzeniem, mówiąc, że mały posiłek jest konieczny po tak wyteżonej pracy.

Gdy już zjedliśmy, powiedziałem, że pragnę kupić mszę żałobną, żeby wyzwolić dusze Konwisarza Mikaela i jego żony od mąk czyścicowych, bo wiedziałem, iż męki te są okropniejsze od wszelkich ziemskich bólów.

— Masz pieniądze? — zapytał mnie zacny mnich. Rozwinąłem rąbek koszuli i pokazałem mu moje trzy srebrne pieniążki. Uśmiechnął się jeszcze życzliwiej, pogładził mnie po

włosach i rzekł: — Nazywaj mnie ojcem Piotrem, bo Piotr to moje imię, jakkolwiek nie jestem opoką. Nie masz więcej pieniędzy?

Potrząsnąłem głową przecząco, a on zasmucił się wyraźnie i powiedział, że za tak małą sumę nie można kupić mszy żałobnej.

— Ale — ciągnął dalej — gdybyśmy na przykład mogli ubłagać świętego Henryka, który sam doznał nagłej śmierci z rąk morderców, żeby wstawił się w niebie za dusze tych zacnych ludzi, nie wątpię, że moc tak świętego wstawiennictwa byłaby większa od najlepszej mszy żałobnej.

Prosiłem go, żeby mnie nauczył, jak mam przedstawić moją prośbę świętemu Henrykowi, ale on potrząsnął kwaśno głową:

— Twoja skromna modlitewka niewiele wpłynie na świętego Henryka. Obawiam się, że utonie jak mysz w cebrze z pomyjami w powodzi modłów, które biją w tej chwili o jego święty tron. Gdyby natomiast jakiś naprawdę mocny w modłach człowiek, który poświęcił całe swoje życie posłuszeństwu, ubóstwu i czystości, zajął się twoją sprawą i na przykład przez tydzień we wszystkich godzinach kanonicznych odmawiał modlitwy za twoich zmarłych dziadków, święty Henryk z pewnością nakłoniłby ucha, żeby posłuchać, o co chodzi.

— Gdzież znajdę człowieka tak mocnego w modlitwie? — zapytałem pokornie.

— Widzisz go przed sobą — oświadczył ojciec Piotr z naturalną godnością. To mówiąc, wyjął mi z ręki srebrne monetki i włożył je do swego mieszka. — Eozpocznę modły już dziś przy nabożeństwach o godzinie siódmej i dziewiątej, a potem będę je odmawiał dalej w czasie pierwszych i drugich nieszporów. Ciało moje nie wytrzyma nocnego czuwania, toteż nasz zacny przeor zwalnia mnie często od nocnych modlitw i nabożeństw. Nie obawiaj się jednak, że twoi drodzy zmarli na tym ucierpią, pomnożę bowiem odpowiednio ilość modlitw w innych porach kanonicznych.

Nie zrozumiałem wszystkiego, co mówił, ale ton jego był tak przekonywający, że czułem, iż złożyłem sprawę w odpowiednie ręce, i kornie mu dziękowałem. Gdy wyszliśmy na dwór, zaparł drzwi, zrobił kilkakrotnie znak krzyża i udzielił mi błogosławieństwa. Potem rozstaliśmy się, a ja zacząłem krążyć koło chaty pani Pirjo, bo nie wiedziałem, dokąd się udać.

Drżałem, że pani Pirjo rozgniewa się, jeśli mnie zobaczy, bo zdążyłem już zmiarkować, że była to kobieta surowa. Toteż trzymałem się w ukryciu, ale gdy zaczął padać deszcz, wśliznąłem się do obory. Ściany jej obrastał mech, na pokrytym darnią dachu rosła trawa i kwiaty, a jedynym mieszkańcem był wieprzek. Patrząc na jego tłuste boki, zacząłem mu zazdrościć, że ma dach nad głową i nie potrzebuje się trapić o jedzenie i picie. Z braku lepszego zajęcia zasnąłem na wiązce słomy, a zbudziwszy się, znalazłem obok siebie wieprzka, który położył się przy mnie tak, że leżeliśmy bok przy boku i grzaliśmy się nawzajem. W chwilę potem weszła pani Pirjo z żarciem dla wieprzka i wielce się oburzyła zobaczywszy mnie w chlewiku.

— Czyż ci nie mówiłam, żebyś się stąd zabierał?! — wybuchnęła. Wieprzek szturchnął mnie przyjaźnie ryjem w bok i podniósł się do koryta. Żarcie składało się ze strączków grochu, buraków, mleka i kaszy. Cicho zapytałem, czy mogę podzielić jedzenie z wieprzkiem. Powiedziałem to nie tyle z głodu, bo zbyt byłem przygnębiony, żeby odczuwać głód — ale dlatego, że wieczerza wieprzka wydała mi się smaczniejsza niż wszystko, co dostawałem do jedzenia u dziadków od bardzo, bardzo dawna.

— Niewdzięczny i bezczelny chłopak z ciebie — powiedziała gniewnie pani Pirjo. — Uważasz, że wieprz powinien mnie uczyć miłosierdzia, bo grzeje cię swoim ciałem i chętnie dzieli z tobą posiłek? Czyż nie dałam ci trzech srebrnych monet? Za takie pieniądze nawet dorosły chłop potrafiłby zapewnić sobie chleb i dach nad głową na parę mie sięcy.

Mieszczanin czy brat cechowy dałby ci za to roczne utrzymanie i przyjął na ucznia, gdybyś umiał z nim pomówić odpowiednio. Dlaczego nie używasz swoich pieniędzy?

Odpowiedziałem, że już je zużyłem. Zapytała, czy uważam się za księcia albo kardynała, że tak wyrzucam pieniądze w błoto. Bronilem się, mówiąc, że wcale ich nie wyrzuciłem w błoto, tylko dałem ojcu Piotrowi, żeby odmówił modły za biedne dusze moich dziadków i w ten sposób uwolnił je od czyścicowych mąk.

Pani Pirjo przysiadła na progu chlewu, trzymając z roztargnieniem koryto w jednej ręce, żeby wieprzek mógł jeść, drugą zaś podpierając swą długą brodę. Przez chwilę patrzyła na mnie, a w końcu zapytała:

— Czyś ty niespełna rozumu?

Odparłem, że nie wiem na pewno, jak z tym jest. Dotychczas nikt nie mówił nic takiego o mnie, ale odkąd rozbito mi głowę, życie wydaje mi się bardzo dziwne i zaskakujące.

Pani Pirjo pokiwała głową i rzekła:

— Mogłabym cię zaprowadzić do Świętego Ducha, gdzie by cię pewnie przyjęli z powodu twego upośledzenia i umieścili razem z innymi półgłówkami, ślepcami i chorymi na padaczkę. Ani przez chwilę bowiem nie wątpię, że usłyszawszy, co mówisz, uwierzyliby, że jesteś słaby na umyśle. Ale jeśli potrafisz trzymać język za zębami i udawać rozsądnego, może uda mi się dogadać z cechem Mikaela Konwisarza i skłonić cechowych braci, żeby zapłacili za twoje utrzymanie aż do czasu, gdy dorosisz na tyle, żeby zarabiać na chleb.

Prosiłem o wybaczenie, że nie umiem składnie przemawiać, ale nigdy nie rozmawiałem dużo z nikim, bo gdy mówił Mikael Konwisarz, trzeba go było słuchać bez sprzeciwu, a gdy głos zabierała babka, prawiła tylko o okropnościach piekła i grozie ognia czyścicowego, a w tych sprawach wiadomości moje były tak nikłe, że nie mogłem jej nic odpowiedzieć.

— Ale — dodałem — znam za to kilka słów po niemiecku i po szwedzku, a nawet po łacinie.

Nikt nigdy nie odzywał się do mnie tak przyjaźnie i wyrozumiale jak pani Pirjo i tak mnie to rozpałiło, że natychmiast odbębniłem wszystkie obce i niezrozumiałe słowa, które z jakiegoś powodu utkwily mi w pamięci — z kościoła, z mieszczańskich kramów, z cechowej gospody, z portu, jak na przykład *salve*, *pater*, *benedictus*, *male*, *spiritus*, *pax vobiscum*, *haltsmaul*, *donnerwetter*, *sangdieu*, i *heliga kristus*. Gdy zadyszany kończyłem wyliczanie, pani Pirjo zatkała rękami uszy. Ale że nie miałem nic do stracenia, opowiadałem dalej, że wiem, jak Wygląda wiele liter, i umiem napisać swoje imię. A gdy mi nie wierzyła, Wziąłem patyk i nakreśliłem w błocie, najlepiej jak potrafiłem, MIKAEL. Pani Pirjo nie umiała wprawdzie czytać, ale zapytała, kto mnie nauczył tej sztuki. Odparłem, że nikt, ale że z pewnością szybko nauczę się czytać, jeśli ktoś zechce mnie uczyć.

Gdy tak rozmawialiśmy, dzień zbliżył się ku końcowi i zaczęło zmierzchać. I skończyło się na tym, że pani Pirjo zaprowadziła mnie do izby, zapaliła łójówkę i zaczęła obmacywać moją ranę kościstymi palcami. Powiedziała, że igłą i nicią zszyła mi skórę na głowie, ale rana ropieje, więc przemyła ją, obłożyła pleśnią i pajęczynami i obandażowała na nowo. Dała mi także jeść i pozwoliła spać w łożu pod derką za swoimi plecami, prosiła tylko, żebym jej w nocy nie dotykał, bo jest dziewicą, choć nazywają ją panią Pirjo. Nie rozumiałem, czego się z mojej strony obawiała, ale obiecałem, że jej nie tknę.

Tak oto doszło do tego, że zostałem u pani Pirjo. Pomagałem jej we wszystkim, zbierałem łajna czarnych kogutów, wycinałem koniom włos z ogona i runo z karków baranów w mieszczańskich oborach oraz szukałem miejsc, gdzie rosły pożyteczne zioła lecznicze, i zrywałem je przy nowiu księżyca. Najważniejsze jednak było to, że ojciec Piotr na jej prośbę uczył mnie pisać i czytać oraz kształcił w sztuce rozwiązywania rozmaitych pożytecznych zadań rachunkowych za pomocą różańca.

Rana na głowie spowodowała widocznie całkowitą zmianę w moim życiu i charakterze, czego skutki pozostały nawet gdy rana zagoiła się i włosy pokryły bliznę. Okazałem się dzieckiem żywym, ciekawym i pojętym i zapomniałem, że dawniej byłem bojaźliwym płaksą, który nie śmiał sam odezwać się do kogoś obcego. Pani Pirjo nie biła mnie ani nie straszyla, lecz traktowała dobrze i szanowała za to, że tak łatwo i bez trudu nauczyłem się czytać i pisać. Nauka, która dla wielu jest płaczem, zgrzytaniem zębów i ogromnym wysiłkiem, dla mnie była wesołą zabawą i im więcej się uczyłem, tym bardziej rósł mój zapał. I nie wiem w końcu, czy więcej nauczyłem się z pobożnych opowiadań ojca Piotra, czy też z pouczeń pani Pirjo, gdy w jasne noce zimowe opowiadała mi o gwiazdach lub też w wonne noce letnie prowadziła za rękę na przechadzki po gajach i nad brzegiem rzeki i pouczała, na jakie choroby to lub owo zioło stanowi skuteczne lekarstwo

Ojciec Piotr uczył gromadkę dzieci gramatyki prostą metodą: co zostanie wbite w tyłek, najlepiej utrwała się w pamięci. I im więcej uczyliśmy się, tym bardziej zaczynaliśmy kochać mroczną szkołę, której grube kamienne mury zamykały naszą młodość jak w grobowcu. Przysiękliśmy sobie nawzajem solennie, że i my z kolei nie będziemy oszczędzać naszych następców, a kiedy zaczęliśmy samodzielnie układać zdania po łacinie i stwierdziliśmy, że wykute prawidła gramatyczne jak pokorni niewolnicy spieszą obsługiwać nasze myśli, serca przepełniły się nam ogromną radością.

Najznakomitszym wydarzeniem kościelnym za moich lat zakowskich było uroczyste umieszczenie w relikwiarzu kości świętego Hemminga. W owym czasie chodziłem już od czterech lat do szkoły i przygotowywałem się wraz z dziesięciu innymi zaawansowanymi uczniami do studiowania dialektyki. Większość moich kolegów nosiłaby już od dawna imponujące brody, gdyby ludziom uczonym wolno było chodzić nie golonymi.

Muszę przyznać, że nie byłem w nazbyt podniosłym nastroju, gdy drągami żelaznymi wyłamaliśmy kamienne płyty z kościelnej podłogi i zaczęliśmy wygrzebywać święte kości w trupim zaduchu i wszelkich innych okropnych wyziewach, które wydzielali pochowani pod podłogą kościoła zmarli mimo obfitego kadzenia i zapachu świętego kadzidła. Wyróżniłem się niedawno, opiewając wierszem ziemską wędrówkę biskupa Hemminga i cuda przezeń zdziałane, i dlatego właśnie otrzymałem zaszczytne zadanie wykopania kości. Znaleźliśmy ich dużą ilość i podczas gdyśmy je myli i oczyszczali, a księża dokoła nas odprawiali msze święte, przepełniła nas jakaś przedziwna siła i otucha, zupełnie jakbyśmy się napili wina lub jakby zstąpił na nas Duch Święty. Policzki nam płonęły, oczy jaśniały i nagle poczuliśmy zapach niebiańskiego balsamu. Aromat ten stał się szczególnie mocny w chwili, gdy { w dłoniach naszych znalazła się brązowa czaszka świętego i zobaczyliśmy, że w szczęce wciąż jeszcze tkwi kilka złamanych zębów. Podawaliśmy kości, jedną po drugiej, biskupowi Arvidowi i jego prałatom, którzy namaszczały je olejem i wkładali do nowej trumny, dopóki przewielebny biskup nie zawołał ze złością, że już starczy tych kości. Toteż nie może mi być poczytane za winę, że wygrzebawszy z mułu jeden kręg szyjny i jeden cały ząb, schowałem je do własnej kieszeni. Przed złożeniem relikwi do skrzynki na ten cel przeznaczonej mieliśmy, my szkolarze, mnóstwo pracy z łapaniem żywych gołębi i zięb dla oświetlenia tej uroczystości. Katedra pełna była kwiatów, girland i wieńców, tarczy herbowych i obrazów z życia świętego Hemminga, malowanych na tkaninie i oświetlonych. Cała nawa kościoła pławiła się w promiennej jasności. Otwarto na nowo podłogę, święte kości owinięto w kosztowne tkaniny i złożono w połączoną skrzynkę z wypukłym wiekiem. Czaszka świętego umieszczona została w woreczku z czerwonego jedwabiu. Gdy relikwie obnoszono w procesji dookoła kościoła, przed klęczącym tłumem wiernych, zaczęliśmy przez otwór w sklepieniu rzucać na dół płonące pakuły z niewielkim ładunkiem prochu, tak że lud aż krzyczał głośno z podziwu i ze strachu, sądząc, że to błyskawice. Później zdumiewało mnie to, że nie

podpaliliśmy wtedy katedry, bo pokryte kurzem belki poddasza suche były jak hubka, a kawki przez cały czas krążyły nad naszymi głowami przeraźliwie skrzecząc.

Następnie wypuściliśmy pojedynczo na wolność zięby i gołębie, które fruwały pod stropem katedry, i sypaliśmy kwiaty i płatki na wiernych, żeby wzmóc ich ofiarność. Istotnie, katedra uzyskała tego dnia z kwesty sumę pokrywającą wielokrotnie koszty uroczystości, tak że można powiedzieć, iż święty Hemming dobrze się opłacił. Ale zadowolenie było obustronne i pani Pirjo chętnie przyznawała, że miała za swoje pieniądze strawę dla ducha i radość dla oczu. Jakiś staruszek, który pocałował skrzynkę z relikwiami świętego, odrzucił kule i zaczął biegać wkoło na zdrowych nogach, niewiasta zaś, która od lat przebywała jako niema w Szpitalu Świętego Ducha, odzyskała dar mowy, choć wielu uważało, że było to większą szkodą niż błogosławieństwem, gdyż okazało się, że bardzo się plugawie wyraża. Opowiadaniem tym chciałem wykazać, że moich czasów szkolnych wcale nie cechował tylko strach i ucisk, ale że lata te przyniosły mi . także przeżycia pouczające i nabożne.

5

Dzięki moim młodym latom i dobroci pani Pirjo nie potrzebowałem tak jak inni szkolarze wędrować w czasie wakacji od wsi do wsi, zebrząc żywność i pieniądze na opłacanie szkoły, bo pani Pirjo dawała mi wyżywienie i odzież, opał, mieszkanie i światło i nawet kupiła dla mnie książkę, tak że byłem pierwszym z uczniów na kursie retoryki, który takową posiadał. Na karcie tytułowej tej książki napisałem za zgodą pani Pirjo imię Mikael Karvajalka i datę A. Dni M.D.XV. A pod datą dodałem mocne łacińskie przekleństwo na tego, kto by mi tę książkę ukradł lub sprzedał bez mego pozwolenia. Pani Pirjo kupiła ją tanio, a z licznych podpisów na okładkach i na podartych kartkach widać było, że książka przeszła przez wiele rąk. Mimo to jednak była ona moim największym skarbem. Tytuł jej brzmiał „Ars moriendi etc”, czyli innymi słowy „Sztuka umierania”, i gdy o tym mówię, wszyscy wiedzą, o jaką to książkę chodzi, bo jest ona wciąż jeszcze czytana i będzie z pewnością czytana jako pożyteczny przewodnik dla biednych ludzi w drodze do śmierci i przyszłego życia.

Dlaczego pani Pirjo tak się mną opiekowała i takie sobie robiła wydatki, nie mogłem zrozumieć, a raczej nie zaprzątałem sobie tym wcale głowy, uważając to, tak jak i ona, za rzecz zupełnie naturalną i oczywistą. Być może, jej zawód i usposobienie zbyt długo zmuszały ją stronić od innych ludzi i z czasem sprzykrzyło jej się towarzystwo tylko psa i wieprzka.

W czasie wakacji uczyła mnie wielu pożytecznych rzeczy, a w wolnych chwilach czytałem jej i tłumaczyłem urywki z książki „Ars moriendi”. Mówiła wprawdzie, że każdy powinien to zrozumieć własnym rozumem, przyznawała jednak, że po łacinie brzmiało to bardzo uczenie.

Na wiosnę, gdy wypędzano bydło na pastwiska i ojciec Piotr zrobił już wszystko, co możliwe, aby modłami zapewnić mu pomyślność, wszyscy rozsądni ludzie zwracali się w tej samej sprawie do pani Pirjo, gdyż było powszechnie wiadome, że bez jej przychylności krowy nie będą się doić, cielęta będą przychodzić na świat martwe, jagnięta łamać nogi, a konie tonąć w bagnach.

Wiara w to była tak rozpowszechniona, że pani Pirjo pobierała bydlęcą daninę we wszystkich zamożniejszych gospodarstwach. Zdarzało się też czasem, że dla własnej przyjemności pokazywała jakiejś niedowierzającej gospodyni swoją moc, udoiwszy pełny skopek mleka z suchej gałęzi wetkniętej w ścianę chaty. A igraszka ta bynajmniej nie była tak zupełnie niewinna.

Ja jednak, który żyłem w chacie pani Pirjo i w pierwszych latach spałem w jej łożu pod tą samą owczą skórą, uważałem wszystkie te sztuczki za zupełnie proste i powszednie i nie zwracałem na nie żadnej uwagi.

Spośród częstych gości w chacie pani Pirjo przywiązałem się wcześniej do mistrza Wawrzyńca, który w chłodne wieczory zimowe zachodził chętnie na grzane wino z korzeniami. Mistrz Wawrzyniec chętnie słuchał nauk zawartych w mojej książce i chwalił mnie za moją wiedzę. Nosił gruby poplamiony skórzany kaftan i stale wyglądał na bardzo zmartwionego i zasmuconego. Pani Pirjo nazywała go mistrzem, ale ja nigdy nie zastanawiałem się, jaki też on ma zawód, dopóki po raz pierwszy nie zobaczyłem, jak go wykonuje. Pojawiał się zawsze o zmroku i odchodził, gdy noc zapadła, i nigdy go nie widywałem w mieście z innymi mieszczanami, aczkolwiek musiał być jednym z najpoważniejszych obywateli Abo, sądząc z szacunku i przyjaźni, które mu okazywała pani Pirjo.

Przyjaźń ta była tak wyraźna, że zaczynałem przypuszczać, iż mistrz Wawrzyniec jest wiernym wielbicielem pani Pirjo, który nie stracił jeszcze swoich nadziei, choć ona stale zapewniała, że nie zamierza wyjść za mąż aż do śmierci. Za najpewniejszą tego oznakę uważałem, że pani Pirjo za każdym razem podawała mu wino w srebrnym pucharze. Ja sam nie miałem nic przeciw mistrzowi Wawrzyńcowi, bo odnosił się do mnie zawsze bardzo życzliwie. Uważałem, że jest to człowiek poważny i godny zaufania, który chętnie mówi o śmierci i słucha dobrych rad, jak się przygotowuje do rozstania z doczesnością i do życia wiecznego.

Pewnego wiosennego dnia, gdy brzozy wypuściły listki, a ziemia zaczęła zielenieć, mistrz Marcin zwolnił nas z nauki, żebyśmy mogli się przypatrzeć straceni dwóm piratów, których ostatnio schwytano, gdyż z widowiska takiego jego zdaniem mogliśmy odnieść naukę i pożytek.

Tegoż wieczoru przyszedł znowu w odwiedzinę mistrz Wawrzyniec i pani Pirjo poczęstowała go winem w srebrnym pucharze. Pozdrowiłem go po egzekucji, mimo zdziwionych spojrzeń moich kolegów, i gdy teraz mnie spotkał, zacierał z zakłopotaniem ręce i unikał mego spojrzenia. Nieśmiało powiedziałem mu, że nigdy nie przypuszczałem, iż życie można wypuścić z ciała ludzkiego tak zgrabnie i z tak niewielkim wysiłkiem. Przyjął moje słowa jako dowód uznania dla swej zręczności i rzekł:

— Jesteś rozsądnym chłopcem, Mikaelu, wcale niepodobnym do wielu twoich rówieśników, którzy biorą nogi za pas, gdy nadchodzę, albo rzucają za mną kamieniami. Zresztą i ich rodzice też nie są dużo lepsi, bo w piwiarni muszę siedzieć samotnie i gdy tylko tam wchodzę, zaraz milknie gwar i wesołe rozmowy. Dlatego też zawód kata jest zawodem dla samotnego człowieka i zwykle przechodzi z ojca na syna, jak w moim rodzie. Powiedz mi szczerze, Mikaelu, nie przestraszysz się tak jak inni, gdy cię dotknę?

Wyciągnął do mnie dłoń, a ja ją ująłem, nie odczuwając strachu. Długo trzymał moją dłoń w swojej, patrzył mi w oczy ciężko wzdychając, a potem powiedział:

— Dobry z ciebie chłopak, Mikaelu, i gdybyś się tak dobrze nie uczył, chętnie wziąłbym cię na czeladnika i nauczył mego zawodu, bo nie mam syna. Zawód kata to najważniejszy zawód na całym świecie, bo przed katem niejedną książkę, a nawet król w pokorze pada na kolana. Bez kata bezsilny jest sędzia, a jego wyroki nie mają znaczenia. Dlatego też kat dobrze jest wynagradzany i w zawodzie tym nawet w spokojnych czasach można na pewno liczyć na regularne i przyzwoite dochody, ponieważ człowiek jest istotą niepoprawną i zbrodnia nigdy nie skończy się na świecie. W czasach zaś niespokojnych wielu katów stało się bogaczami. Błogosławionym dla nich wynalazkiem jest przede wszystkim ważna sztuka polityki. Umilkł i pociągnął łyk wina, jak gdyby zawstydzony swoją gadatliwością, ale ja żarliwie go prosiłem, żeby opowiedział mi więcej o swoim zawodzie. Zapytawszy więc panią Pirjo o zezwolenie, tak ciągnął dalej; — Od dobrego kata wymaga się przede wszystkim, żeby wzbudzał zaufanie delikwentów, pod tym względem, zawód ten porównać można z powołaniem księdza lub lekarza. Widziałeś dziś na własne oczy, jak moi przyjaciele dzielnie i z pełną ufnością sami włązili na drabinę wiodącą do szubienicy. Złe to świadectwo



umiejętności kata, gdy delikwenta trzeba siłą wlec na szafot, lub gdy płacząc i krzycząc, błaga on tłum o łaskę i zapewnia o swej niewinności. Największą sztuką jest skłonić go, żeby szedł na śmierć jak człowiek mądry, pełen chrześcijańskiej pokory, w przeświadczeniu, że życie jest marne i bez znaczenia, a szybka i bezbolesna śmierć najlepszym darem, jaki może spotkać człowieka na ziemi.

Dopiero po dłuższej chwili ośmieliłem się wyjawić mu przerażającą myśl, która przyszła mi do głowy, gdy zobaczyłem, jak obaj zbrodniarze tańczą swój ostatni pias na szubienicy.

— Mistrzu Wawrzyńcze! — powiedziałem. — Widziałem, jak w waszych wprawnych rękach człowiek umierał tak bezbolesnie, że aż zacząłem sobie zadawać pytanie, czy rzeczywiście jest jeszcze coś po śmierci?

Mistrz Wawrzyniec zrobił pobożnie znak krzyża i odparł: — Nie chcę słuchać tych słów bezbożnych. Kimżeż jestem, biedny człowiek, by szukać dowodów na coś, co nie może być udowodnione.

Ale mówił to z wahaniem i gdy go przyparłem do muru, rzekł:

— Dobrzeż zgadł, Mikaelu. Jako sługa śmierci często zastanawiałem się nad tymi sprawami i rozmyślania doprowadziły mnie do tego, że nie mówię już delikwentom o zbawieniu i życiu wiecznym, lecz z całą ufnością pozostawiam to księżom i mnichom. Ale gdy jakiś biedak w strachu przed wiecznym potępieniem błaga mnie tuż przed zgonem, żebym powiedział, co wiem o śmierci, proszę go, żeby wyobraził sobie, iż w mroźny wieczór zimowy zmęczony wchodzi do ciemnej i ogrzanej izby, kładzie się do miękkiego łoża i twardo usypia, bez obawy, że ktoś zacznie walić w drzwi, by go zbudzić i wygnać z powrotem na mróz.

Mówiłem tak nieraz i jeśli to jest wielkim grzechem, niech mi będą wybaczone, ponieważ dało to pociechę niejednemu z tych, których wiara była słaba.

— Ale jeśli śmierć jest tylko snem i zapomnieniem, czyż życie całe nie jest czymś czczym i niepotrzebnym? — zapytałem.

— To prawda — przyznał mistrz Wawrzyniec. — Toteż zawsze dziwiłem się i nie mogłem pojąć, dlaczego człowiek jest tak szalenie i namiętnie przywiązany do życia.

Choć wiedziałem i wierzyłem, że mistrz Wawrzyniec nie ma słuszności i mówi jak kacierz, sam o tym nie wiedząc, słowa jego dawały mi szczególną pociechę, bo często wspominałem matkę i serce ścisnęło mi się z żalu za nią. Toteż ulgę przynosiła myśl, że topiąc się, odeszła może tylko od nędzy i upokorzeń życia i weszła do ciemnej izby, gdzie nikt nie mógł jej zbudzić.

6

Rozważania takie były oznaką, że straciłem już dziecianną niewinność i że diabeł zaczął zastawiać sidła na moją duszę. Świadczyło też o tym i pogrubienie głosu, które pozbawiło mnie miejsca w chórze chłopięcym. Zmiany, jakie dokonywały się w moim ciele, napawały mnie wielką troską. W pewien sobotni wieczór, gdy pani Pirjo myła mnie w łaźni, przyjrzała mi się uważnie, a gdy wróciliśmy do izby, powiedziała z powagą:

— Mikaelu! Najlepiej będzie, żebyś odtąd sam sobie mył włosy i obmywał plecy. Nie wypada też, żebyś dłużej spał w tym samym łożu co ja, ponieważ może cię to wystawić na nieprzystojne pokusy. A i ja jestem tylko słabą niewiastą. Lepiej, żebyś miał swoje własne łóżko i zaczął się ubierać jak mężczyzna, bo rychło już nim będziesz.

Słowa jej zasmuciły mnie, ale rozumiałem, że ma słuszność, jak również dlaczego czasem na wiosnę ciężko wzdycha w łożu. Zacząłem już zastanawiać się nad związkiem między mężczyzną a kobietą i nie musiałem nosić się z wątpliwościami, bo w sprawach tych szkolarze byli osobnikami szorstkimi i nie przebiegali w słowach. Gdy chełpili się swoimi zdrożnościami, czerwieniłem się ze wstydu. Miałem wysokie wyobrażenie o miłości i nie

odczuwałem najmniejszej ochoty zakosztować jej, gdy się dowiedziałem, jak niska i zwierzęca była jej strona cielesna.

Mimo to umysł mój dręczyły różne niespokojne myśli, a gdy noce stały się jaśniejsze, nie mogłem spać, tylko wałęsałem się po krańcach miasta, wciągając w nozdrza zapach czeremchy i słuchając głosów nocnych ptaków, kwakania kaczek w szuwarach i hukania sowy. Łaknąłem przyjaźni, ale wśród kolegów nie miałem przyjaciela, któremu mógłbym wyjawiać swoje myśli. Toteż powiernikiem moim stał się ojciec Piotr; wielkie znaczenie miała też dla mnie spowiedź, choć nie zawsze umiał udzielić odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Ojciec Piotr miał co prawda wiele słabostek, które dźwigał z chrześcijańską pokorą, ale był bez wątpienia człowiekiem mądrym, bo po odbyciu z nim dłuższej narady pani Pirjo przywołała mnie i rzekła; — Nieraz już prosiłeś, żebym ci pozwoliła towarzyszyć kolegom w wakacyjnej wędrowce po kraju. W tych bezbożnych czasach przyniosłoby ci to niestety tylko szkodę duchową i cielesną. Z drugiej strony jednak pora, żebyś jakoś przyczynił się do swego wyżywienia, toteż postanowiliśmy z ojcem Piotrem, że w czasie wakacji pójdziesz na naukę do niemieckiego puszkarza, który ostatnio przybył do miasta. Poszukuje on przyzwoitego i biegłego w piśmie pomocnika do młyna prochowego i warzelni saletry.

Po tych słowach wybuchnęła płaczem i dalej mówiła przez łzy:

— To nie tyle moje własne życzenie, bo chętnie bym cię dalej hodowała jak kwiat, ale ojciec Piotr twierdzi, że nie jest dobrze dla ciebie mieszkać samemu z niezamężną niewiastą bez męskiego towarzystwa i nauczania. Pamiętaj tylko, że masz trzymać się z dala od tego młyna prochowego i uważać na swoje życie, a także co soboty przyjsć do domu, żebym cię mogła zaopatrzyć w zapas żywności. I doprawdy nie pozwoliłabym ci się uczyć tak niebezpiecznego i zgubnego zawodu, gdyby ten mistrz, na którego pogańskim nazwisku można sobie połamać język, nie obiecywał dobrego wynagrodzenia. Ojciec Piotr mówi też, że nad chłopcem w twoim wieku nie należy się trząść jak nad krowim łajnem na patyku.

Mistrz Schwarzschanz przybył z Niemiec pierwszą okazją po otwarciu żeglugi. Poszedł na żołąd do burgrabiego na zamek i podpisał kontrakt zawierający wiele paragrafów o odlewaniu dział, udoskonaleniu młyna prochowego i założeniu warzelni saletry, co wielu uważało za zapowiedź niespokojnych czasów.

Mistrz Schwarzschanz był to mąż niski i barczysty, o czarniawej twarzy, w której błyszczało dwoje czarnych oczu. Wszystkie swoje polecenia wykrzykiwał w przekonaniu, że czeladź w prochowni lepiej zrozumie jego słowa. Gdy stwierdził, że rozumie jego język i umiem pisać, natychmiast wyrzucił zapijaczonego wędrownego żaka, którego dotychczas — w braku kogoś lepszego — miał za pomocnika i otworzył przede mną serce. Sywał obelgami na burgrabiego, a także na burmistrza miasta i posyłał na samo dno piekła cały kraj i jego gapowatą ludność za to, że go tu zwabiono fałszywymi obietnicami. Żeby dodać odpowiedniego nacisku swoim słowom, zrywał czapkę z głowy, ciskał ją o ziemię i deptał nogami. Nigdy jeszcze nie widziałem tak straszliwego męża, toteż wybałuszałem na niego oczy próbując spamiętać wiele nie znanych mi przekleństw i wymyślań, jakich on, który walczył w wielu krajach, miał niewyczerpany zapas.

Obawiałem się, że będzie dla mnie surowym panem, ale gdy spostrzegł, że jestem młodzieńcem dobrze ułożonym i godnym zaufania, wnet się udobruchał i zaczął mnie traktować życzliwie i nie krzyczał na mnie nawet wtedy, gdy popełniłem jakiś błąd. Doskonale rozumiał, że staram się, jak umiem najlepiej, aby mu się przypodobać, i sam przyznawał, że szybko nauczyłem się tego, co najważniejsze w jego zawodzie.

Stary młyn prochowy stał na pustkowiu, z dala od miasta, nad brzegiem rzeki, gdzie było pod dostatkiem wody do zwilżania prochu i gaszenia pożaru w razie eksplozji. A mistrz Schwarzschanz był człowiekiem ostrożnym i doświadczonym i kazał mleć siarkę, saletrę i węgiel drzewny, każde z osobna, między drewnianymi deszczułkami. Nie mieliśmy kłopotu z przygotowaniem własnego węgla, bo w okolicy było pod dostatkiem wprawnych

węglarzy, którzy wypalali tak doskonały węgiel drzewny, że mistrz Schwarzschanz twierdził, iż nigdy jeszcze nie widział podobnie dobrego, a szczególnie zachwycił się węglem z brzozy, gdyż dawał on prochowi siłę, dzięki czemu można było oszczędzić drogiej siarki i saletry.

Toteż mistrz Schwarzschanz wciąż badał w warsztacie właściwe proporcje różnych składników prochu, bo nie ufał już swoim starym tabelom, od kiedy zetknął się z węglem brzozowym. Miał miarkę z ruchomym ciężarkiem, pod który podkładał ładunki prochu tej samej wagi, i uważnie obserwował, jak wysoko podskakuje ciężarek przy różnych mieszankach. Ja zaś zapisywałem skład ładunków, dopóki nie znalazł właściwych proporcji. A gdy zaczął wiać pomyślny i stały wiatr zachodni, zmieszaliśmy siarkę, saletrę i węgiel drzewny we właściwych ilościach w obracającym się drewnianym bębnie, po czym mistrz połączył bęben z młynem i kazał młynarczykowi doglądać, by bęben obracał się równo. Przeżegnawszy się znakiem krzyża, powiedział do mnie:

— Chodźmy stąd, Mikaelu. — A gdy przechadzaliśmy się po kwitnących łąkach, nie tracąc młyna z oka, opowiadał mi, że wielu prochnerów ma swoje ulubione wiatry, przy których lubią mieszać proch. Niektórzy twierdzą, że najwięcej mocy daje prochowi wiatr północny, inni przekładali południowy, a byli tacy, którym najbardziej dogadzał południowo-wschodni. Na świętą brodę papieża, Mikaelu — ciągnął. — Taka gadanina to tylko próżne mielenie jęzorem i czysty zabobon, który robi wrażenie na laikach, ale nie na wytrawnych w zawodzie braciach cechowych. Niech sobie dmucha, skąd chce, byleby tylko młyn mełł równo i był dobrze nasmarowany, tak aby się nie zagrzał i nie skrzesał iskry do bębna.

Z położenia słońca ocenił po chwili, że upłynęło już dość czasu, i krzyknął z daleka do młynarczyka, żeby zatrzymał skrzydła wiatraka. A gdy przestały się wolno obracać, weszliśmy do młyna, żeby obejrzyć mieszankę. Mistrz wziął garść prochu, powąchał go i posmakował, po czym oświadczył, że jest zadowolony. Składniki zmieszały się tak jak, trzeba. Pachołkowie drewnianymi łopatami rozłożyli proch na podkładzie 7, gładkich desek w celu zwilżenia go, wyrobienia i przesiania przez sita, tak aby powstały ziarenka. Do wyrabiania prochowego ciasta mistrz używał tylko zwykłej wody, choć w tym celu dostawał z zamku wiele konwi cennej gorzałki.

— Gorzałka jest niezbędna przy mokrej pogodzie i w zimie, gdy trzeba, żeby proch był suchy w oka mgnieniu, bo spirytus paruje szybciej niż woda — tłumaczył. — Ale to jest tajemnica zawodowa. Pobieram z zamku konew gorzałki na każdą beczkę prochu i burgrabiego — oby go zżarła zaraza — nie powinno obchodzić, jak tę gorzałkę zużywam. A mocna gorzałka jest nieodzownym wprost środkiem pomocniczym dla puszkarza, zwłaszcza w czasie oblężenia, gdy kończy się proch.

Przez cały czas, gdy mówił ugniatał proch w kruche kostki i pouczał pachołków, jak je mają przecierać przez sita, aby proch uzyskał odpowiednią ziarnistą konsystencję, ponieważ miałkiego można było używać tylko na podsypkę. Następnie kazał rozsypać proch do suszenia na drewnianym stole, na ciepłym i zacisznym słonecznym stoku, aż w końcu zsypano go do beczek, których pokrywy zabito drewnianymi młotami. Pachołkom pracującym przy prochu nie wolno było nosić przy sobie najmniejszych choćby przedmiotów metalowych, a na nogach mogli mieć tylko skórzane pantofle albo brzozowe łapcie. Kiedy jednak kazano im zdjąć z szyi święte medaliki, skarżyli się wszyscy żałośnie, że nie mają już żadnej ochrony w swojej niebezpiecznej pracy. Mistrz Schwarzschanz przewidział to jednak i zaofiarował im medaliki świętej Barbary, które sam odlewał z ołowiu. Pozwolił pachołkom nosić te medaliki w skórzanych woreczkach na szyi i nie brał za nie więcej niż wynosiła połowa wynagrodzenia za pierwszy miesiąc pracy. Ponadto obiecywał odkupić medaliki za taką samą cenę, gdyby pachołkowie w jesieni odchodząc z pracy chcieli zrezygnować z opieki świętej Barbary.

Nawet najgłupszy rozumiał, że nic nie traci, kupując święty medalik, jeśli miały one taką wartość dla mistrza, że przyrzekał je odkupić. Z tych samych też powodów każdy w jesieni uważał, że byłby osłem, pozbywając się tak mocnego talizmanu, gdy nadchodzą ciężkie czasy. A mistrz Schwarzschanz wcale się za to nie gniewał, przeciwnie — wychwalał pachołków i mówił, że chytre z nich chłopcy. Miał bowiem pod dostatkiem takich świętych medalików, gdyż sporządzał je sam. I nie kosztowały go one więcej niż cena ołowiu, z którego były odlane, i parę groszy, które musiał opłacić katedrze.

W ten sposób rozpoczęliśmy wytwarzanie prochu i mistrz Schwarzschanz był zadowolony ze swoich pachołków, gdyż byli to flegmatyczni chłopcy, korzy nie robili niepotrzebnie wielkich ceregieli ani też nie bali się niebezpiecznej pracy.

— Te fińskie parobczaki — zapewniał — przypuszczalnie nigdy by sami nie wynaleźli prochu, ale gdy się już nauczyli tej sztuki, bardzo są w niej zręczni.

Proch wytrzymał zwycięsko wszystkie próby i osiwiali puszkarze na zamku przyznawali, że był nadzwyczaj dobry, pozbawiony pyłu i równoziarnisty. Odbyły się więc ćwiczenia strzelnicze w obecności burgrabiego i mój zacny mistrz pokazał, że trzema strzałami z kartau-na zdoła trafić łódź na rzece. Naturalnie nie strzelał do łodzi, lecz do stałego celu, ustawionego w takiej odległości, bo kule do dział są bardzo kosztowne i po strzelaniu zbiera się je starannie z powrotem. Jedyny wypadek w czasie ćwiczeń wydarzył się, gdy użyliśmy bombardy, bo kamienna kula wielkości dobrej baryłki uderzyła o skałę i pękła, choć była wzmocniona żelazną obręczą.

— Tylko w bardzo zacofanych krajach używa się obecnie kamiennych kul — wybuchnął na ten widok mój mistrz z pogardą. — Kula działowa godna tej nazwy musi być gładka i zupełnie kulista i tego rodzaju kule można już wytwarzać przez odlewanie, co czyni te pociski tanimi, a celowanie łatwym, ponieważ zawsze są tej samej wielkości i mają tę samą wagę. Nie znam jednak sztuki odlewania, gdyż stanowi ona tajemnicę zawodową odlewczy, i dlatego nadal musimy wykuwać nasze kule.

Burgrabia, który zwykle chętnie słuchał objaśnień mego mistrza, tym razem odciął się ze złością:

— Pociski kamienne dobre były dla naszych ojców i dziadów, więc muszą wystarczyć i nam. Mamy w tym kraju twardy szary kamień, jakby stworzony na kule, i tanią siłą roboczą, by toczyć te kule na okrągło, a w dodatku ci, co to robią, zadowolają się rzepą i śledziem. Nasz kraj to kraj biedny, który nie wytwarza innych metali prócz żelaza, i widocznie zamiarem Stwórcy było zastąpić metale kamieniem i tanią siłą roboczą.

Gdy burgrabia odszedł, mistrz Schwarzschanz cisnął czapkę o ziemię, podeptał ją nogami i kłął tak wściekle, że starzy puszkarze uśmiechali się z melancholią:

— Na rany Chrystusa! — powiedział, uspokoiwszy się trochę. — Burgrabia żąda wbrew naszej umowie, żebym mu zrobił działa żelazne, bo Finlandia nie może sobie pozwolić na kupno miedzi i cyny. Ale na zagładę skazany jest kraj, który twierdzi, że nie ma środków na odlewanie dział, gdy na wszystkich wieżach kościelnych wiszą dzwony, a kredensy w domach mieszczan zapchane są cynowymi dzbanami.

Gdy wróciliśmy do-gospody, mistrz mój wyznał mi, że stanął przed trudnym problemem. Jego zdaniem jedno działo brązowe sporządzone według wszelkich prawideł sztuki, warte było co najmniej dziesięciu żelaznych. Działo takie nie jest niebezpieczne dla obsługi nawet gdy pęknie, ponieważ brąz jest metalem ciągliwym i nie rozrywa się na kawałki.

— Tylko głupcy albo szaleńcy zaciągają się do obsługi żelaznych dział — ciągnął. — Chłopy doświadczone dziękują za taki zaszczyt. My jednak znajdujemy się w położeniu przymusowym, bo zobowiązałem się zaopatrzyć zamek w działa. Burgrabia już mi jest winien tyle pieniędzy, że z radością powita zerwanie przeze mnie umowy, żeby tylko uniknąć zapłacenia. Ale nie myślę odlewać dział żelaznych, bo — pro primo nie znam tej sztuki i przywykłem do bardziej podatnego metalu na działa, a pro secundo dlatego, że jestem

mistrzem w swoim zawodzie i nie mogę brać na swoją odpowiedzialność śmierci i nieszczęścia niewinnych puszkarzy, co byłoby jedynym następstwem używania dział odlewanych z żelaza.

Przypomniałem mu, że w Finlandii jest dużo dobrych kowali i że mógłby ich nauczyć wykuwać działa. Mistrz mój podrapał się w kark i powiedział, że choć widział, jak się wykuwa działa i kule działowe, to chyba' nie potrafi nikogo nauczyć tej 'sztuki. Bardzo był tym strapiony, ale gdy wypił parę dzbanów piwa, pocieszył się i zaczął mówić o wynajęciu kuźni, kupieniu żelaza i zatrudnieniu najrzeczniejszych kowali z całej okolicy. Zapytałem go, na to, czy nie wystarczy jeden w pełni wyszkolony kowal, który mógłby wyuczyć swoich czeladników, gdy tylko sam nauczy się nowej metody. Dodałem, że mistrzowie kowalscy żądają wysokiej zapłaty i bardzo dbają o swoją godność. Jakżeż zaś mógłby im zapłacić, skoro nie udaje mu się nawet ściągnąć własnych należności z zamku? Przyznał, że w moich słowach jest sporo słuszności, i podziękował mi za moje rady.

8

Opowiedziałem o tych rzeczach długo i szeroko dlatego, że doprowadziły do innego wydarzenia, które miało wywrzeć wielki wpływ na moje życie. Podczas gdy mistrz Schwarzschanz trudził się nad urządzeniem kuźni, skończyły się mianowicie moje wakacje i jako karny szkolarz zmuszony byłem wrócić na szkolną ławę.

Zdążyłem już przywyknąć do niezależnego życia i nawet subtelna dialektyka wydawała mi się teraz nudna. Mistrz Marcin uważał mnie za tak zaawansowanego w nauce, że okazywał mi pełne zaufanie, używając mnie jako pomocnika. Musiałem więc wbijać podstawy łaciny w zakute pałki nowicjuszy. W taki sam sposób biegły mistrz powierza grubszą robotę czeladnikom i zajmuje się tylko ostatecznym szlifem. Oznaczało to w praktyce, że mistrz Marcin pojawiał się tylko rano, w południe i wieczorem i chłostał bez różnicy wszystkich nowych uczniów, od najstarszego do najmłodszego.

Moją rzeczą było pocieszać ich opowiadaniem, że i ja przeszedłem przez takie same ciężkie próby i że nagrodą za cięgi otrzymane przy nauce jest wiedza i godności. Doradzałem im też, żeby stosowali niedźwiedzie sadło, które miało tak błogosławione skutki, gdy mnie piekła skóra, a oni przyznawali po użyciu, że istotnie sadło niedźwiedzie w wysokim stopniu łagodzi pieczenie po giętkiej brzożowej witce. Ich życie było jednak smutne, dopóki nie nauczyli się porządnie kłać po łacinie, w czym my, starsi szkolarze, pomagaliśmy im po bratersku, ponieważ przypominaliśmy sobie, jak nam to pomogło w naszych własnych trudnościach przy pierwszych krokach na ścieżce wiedzy. Mistrz Marcin uważał niestety za niepotrzebne, żebym uczył się brewiarza, gdyż z powodu mojego nieprawego pochodzenia nie mogłem zostać księdzem, tak że dostępne były dla mnie tylko świeckie godności. Dlatego też kazał mi pracować w charakterze pomocnika — bez wynagrodzenia — co bardzo mnie rozgoryczało, bo musiałem w każdym razie zrezygnować z moich kolorowych pludrów i znowu przybrać szary płaszcz szkolarza. Zakazany owoc zawsze jest najśłodszy i nie przestawałem marzyć, żeby kiedyś zostać wyświęconym na księdza we wspólnocie świętego Kościoła.

Z takimi to myślami w głowie wędrowałem pewnego dnia ulicą, niepomny na otoczenie, gdy wtem ocknąłem się z moich marzeń usłyszawszy przeraźliwe ryczenie i głośnie krzyki o pomoc. Uciekający ludzie przewrócili mnie na ziemię, a gdy podniosłem się na nogi, zaledwie zdążyłem zobaczyć pędzącego wprost na mnie rozwścieczonego byka, gdy już zwierzę wzięło mnie na rogi i jednym ruchem mocnego karku wyrzuciło w powietrze na wysokość dachu. Gdy runąłem na ziemię, zobaczyłem, że z rogu byka zwisa strzęp mego płaszcza. Byk przerwał postronek, na którym był uwiązany, i zdarł przepaskę zasłaniającą mu ślepią. Stał przede mną dysząc tak, że wznosił się kurz, i drapiąc ziemię przednimi kopytami, chciał mnie wziąć na rogi. Byłem pewny, że nadeszła już moja ostatnia godzina, i tak

zdrętwiałem ze strachu, że nie czułem w ogóle bólu ani też nie mogłem wybąkać choćby jednego słowa modlitwy o zbawienie mej duszy. W tejże chwili jednak przed bykiem stanął silnie zbudowany parobczak, chwycił go z zimną krwią za rogi i bez wysiłku zmusił do położenia się na grzbiecie. A przyciskając do ziemi straszliwie ryczące i kopiące zwierzę, zwrócił się do mnie i zapytał: — Czy stało ci się coś złego?

Dopiero wtedy poczułem ból i obrażenia, całe ciało mi się rozdygotało i zacząłem mamrotać modlitwy, dziękując Bogu za ocalenie. Podbiegło kilku innych, spętali bykowi nogi i zawiązali mu oczy przepaską. A chłop, który prowadził byka do rzeźni, zapewniał, że było to zawsze najspokojniejsze i najłagodniejsze zwierzę, jakie sobie tylko można wyobrazić, i że to pewnie ja rozdrażniłem niewinne stworzenie, skoro na mnie napadło. Wtedy ku memu wielkiemu zadowoleniu byk szarpnął głową tak gwałtownie, że wyrwał swemu właścicielowi ramię ze stawu. Toteż ten zaraz zaniechał nierozsądnych twierdzeń i zaczął narzekać, że Abo jest widocznie nawiedzone przez złego ducha i że nigdy nie powinien był tu przyprowadzać swego łagodnego bydła. Ale rada miejska nie lubiła takiego gadania i zaraz znalazł się jakiś strażnik, który zabrał chłopca na ratusz, gdzie miał on odpowiadać za nieodpowiednie słowa i nieprzystojne zachowanie.

Zwróciłem się do mego zbawcy i przyjrzałem mu się dokładnie, bo to jemu zawdzięczałem życie. Był o głowę wyższy ode mnie, a jego szare oczy miały senny wyraz. Na nogach miał brzozowe łąpcie, a na plecach kobiałkę z brzozowej kory i widać było z jego obdartego kaftana, że to biedny chłopak.

— Silny jesteś, skoro gołymi rękoma rzucasz byka na kolana — odezwałem się. — Tobie zawdzięczam, że jeszcze żyję.

— Nie ma o czym mówić — odparł z zakłopotaniem.

Spostrzegłem, że z piersi cieknie mi krew, w boku czułem ostry ból, a w oczach mi się ćmiło, tak że musiałem się oprzeć o ścianę domu, żeby ustać na nogach.

— Dokąd idziesz? — zapytałem.

— Prosto przed siebie — odparł i wyglądało, że uważa moje pytanie za niepotrzebne i natrętne. Ale ja się tym nie zraziłem i poprosiłem go, żeby mnie odprowadził do pani Pirjo, bo kolana tak się pode mną uginają, że sam nie dojdę do domu.

Wyrzucony w powietrze na wysokość dachu, sądziłem, że nadeszła już moja ostatnia chwila, a gdy siedząc na ziemi, patrzyłem w dyszące nozdrza byka, pomyślałem, że chętnie dałbym wszystko, co posiadam, Kościołowi, byle móc żyć. Obecnie wdzięczny byłem za to, że ogłuszony mocnym upadkiem, nie zdążyłem złożyć jakichś pochopnych ślubów, i uważałem też, że nie jestem nic winien świętym, bo uratował mnie osiłek z tego świata. Gdy wsparty na jego ramieniu kuśtykałem do domu, odprowadzany przez tłum przestraszonych i współczujących ludzi, myślałem sobie, że w nagrodę podaruję mu mój sztylecik, inkrustowany srebrem, i groszaki zaoszczędzone z letnich zarobków. Ale gdy doszliśmy już do chaty pani Pirjo, ganiłem sam siebie za tak niepotrzebną rozrzutność, uważając, że trzy grosze srebrem to już byłoby za dużo dla młokosa, który chyba nigdy jeszcze nie miał w dłoni bitej monety.

Pani Pirjo zaczęła gorzko płakać, zobaczywszy mnie w tak żalnym stanie i usłyszawszy, co mi się przytrafiło. Rozebrała mnie jak dziecko i spiesznie zaczęła nacierać swoimi maściami, a zbadawszy starannie, orzekła, że mam złamane dwa żebra. Owinęła mnie tak ciasno, że prawie nie mogłem oddychać, i urządziła mi postanie w swoim własnym łożu. A tymczasem mój parobczak siedział spokojnie na progu, żując twardy placek i kawałek suszonej baraniny, które wygrzebał ze swojej kobiałki. Dzieci, które biegły za nami, tłoczyły się teraz na podwórku i gapiły na niego, dłubiąc w nosie i trąc stopami łydki. W końcu pani Pirjo przegoniła je i zawołała parobka do izby.

— Jak się nazywasz i jak nazywa się twój ojciec? Skąd przybywasz? Czym się trudnisz? Dokąd idziesz? Co cię skłoniło, żeby pośpieszyć na pomoc Mikaelowi w ciężkiej chwili? — zasypała go pytaniami.

Chłopak rozglądał się bezradnie dokoła i drapał za uchem, nie wiedząc, na co najpierw odpowiedzieć. W końcu rozjaśniło mu się w głowie i powiedział, że nazywa się Antti, pochodzi z wioski Letala i przybył do miasta, żeby uczyć się kowalstwa, ponieważ niechcący rozbił kowadło miejscowego kowala, który ze złości wygnał go od siebie.

— Jak mogłeś rozbić kowadło? — zdziwiłem się.

Antti popatrzył na mnie uczciwymi szarymi oczyma i powiedział:

— Kowal dał mi młot do ręki i kazał uderzyć w kowadło. Uderzyłem, ale on kazał, mi uderzyć mocniej. Uderzyłem mocniej, lecz on wciąż mówił „mocniej” i „mocniej”, aż wreszcie wziąłem największy młot i odłupałem szpic kowadła.

Pani Pirjo wpatrywała się w niego ze zdumieniem i rzekła:

— Węgieł mojej chaty osiadł tak, że podłoga całkiem się skrzywiła i gdy szoruję, woda rozlewa mi się po kątach i belki gniją. Wielokrotnie już myślałam, żeby ten węgieł naprawić, ale nigdy nie mogłam się zdobyć, żeby zawołać kogoś, kto by to zrobił. Czy byś nie chciał mi pomóc i podnieść chatę, żebym mogła wsadzić parę kamieni pod węgieł?

— Czemu nie? — zgodził się Antti chętnie. Wyszli na dwór i po chwili dał się słyszeć potężny trzask, łoże zakołysało się jak na wzburzonych falach, a pani Pirjo zawołała wystraszona:

— Tylko nie rozwal chałupy, głuptasie. Wystarczy, już wystarczy! — A gdy po chwili wrócili do izby, Antti nawet nie był zadyszany. Pani Pirjo usiadła i wpatrywała się w niego, podpierając ręką swoją długą brodę, a po chwili odezwała się:

— Ty chyba masz niedobrze w głowie, biedaku?

Antti zastanowił się przez chwilę, popatrzył jej pokornie w oczy i rzekł:

— Może być, że jestem trochę wolno myślący, ale nigdy nie zrobiłem nic złego naumyślnie. I naturalnie nie chciałem przed chwilą rozwalić chaty. Nie umiem tylko dobrze rozłożyć swojej siły, gdy mam coś zrobić. To właśnie jest moją wadą, która wygnała mnie i z domu, i nawet z kuźni.

Poprosiłem go, żeby opowiedział o sobie coś więcej, a on rzekł:

— Pochodzę z biednej miejscowości i z ubogiej rodziny. Moi rodzice nie mieli innego bogactwa prócz dzieci, które rodziły im się co roku, przy czym nierzadko trafiały się i bliźnięta. Było nas razem osiemnaście gąb do wyżywienia i prawdopodobnie moja matka nie zawsze dobrze wiedziała, jak się każde z nas nazywa, bo pamięć jej słabła w miarę tego, jak matka traciła zęby. Ja byłem w domu pożyteczny, bo z łatwością mogłem uciągnąć wóz. Ale gdy się do czegoś przyłożyłem, ojciec miał zawsze mnóstwo roboty z naprawianiem tego i w końcu orzekł, że taniej wyjdzie trzymać konia. Chciałem bowiem jeść tyle ile koń, gdy wykonywałem. pracę konia; ojciec mój jednak był innego, zdania, w ubogim domu bowiem brak zawsze żywności, mimo że wypieka się chleb na wpół z korą.

Posmutniał, otarł gorzką łzę z kącika oka i ciągnął:

— Nie rozumiem, co właściwie ze mną jest, bo zostałem obdarzony większą siłą, niż może się przydać w małej wiosce. Oboje rodzice są słabi, a gdyśmy się mocowali z rodzeństwem, podnosiłem na drążku dziesięciu moich braci na raz, jeśli tylko drążek nie pękł. Z drugiej strony twierdzą, że mój dziadek był silnym chłopem, który nie bał się iść z toporem na niedźwiedzia. I prawdą też jest, że niedźwiedź go zadusił. Ojciec uważał, że najlepiej nadam się na żołnierza, ale ja nie jestem tego zdania, bo bardzo się boją hałasu, kłótni i twardych słów. Matka dała mi na drogą pół bochenka chleba i szepnęła na pożegnanie, żebym się uczył kowalstwa. Staram się robić, jak mi mówiła, ale nie wiem zupełnie, co ze mną biedakiem będzie w tym wielkim mieście.. Może nawet nie bada miał co jeść.

Mimo że wielki chłop, rozplakał się nad swoim losem, ale pani Pirjo zaczęła go uspokajać, mówiąc:

— Nic się nie bój. Oboje z Mikaelem jesteście mi winni wdzięczność, żeś go uratował przed rozszalałym bykiem. Widzą teraz, że to sam świąty Mikołaj posłał ciebie na odsiecz Mikaelowi w ciężkiej godzinie i chciał w ten sposób związać wasze losy. Jestem tylko słabą niewiastą, ale mam serce w piersi, toteż pozwalam ci dziś tutaj przenocować i dam jedzenie i odzież, dopóki nie rozejrzemy się i nie ułożymy ci jakoś życia tak, abyś miał korzyść z Mikaela, a Mikael z ciebie.

— Nie ma co się dużo namyślać! — wykrzyknąłem. — Mistrz Schwarzschanz najął dobrego puszkarza, który potrzebuje czeladników, i to niezbyt biegłych w zawodzie, bo sam puszkarz musi się dopiero nauczyć wykuwać działa pod kierownictwem mego mistrza. W taki to sposób los Antiego związał się z moim. Na początek postarałem mu się o pracę u puszkarza, a wolne chwile spędzał w chacie pani Pirjo.

8

Wszystko to wydarzyło się w roku 1517 i gdy teraz o tym myślę, widzę, że to był ostatni szczęśliwy rok i najszczęśliwszy okres mojej młodości. Pierwsze przecucia tego, co nas czeka, ogarnęły mnie, gdy usłyszałem u pani Pirjo rozmowę mistrza Wawrzyńca z ojcem Piotrem.

Ojciec Piotr powiedział:

- Stany szwedzkie złożyły naszego przewielebnego pana arcybiskupa Gustawa Trolle z jego świętego urzędu. Coś podobnego nie zdarzyło się jeszcze nigdy w szwedzkim królestwie i ze zgrozą myślę co na to powie Ojciec Święty w Rzymie.

— Nie musimy się nad tym długo zastanawiać — zauważył mistrz Wawrzyniec, zacierając z zadowoleniem ręce. — Królestwo obłożone zostanie klątwą, dzieci nie będzie się chrzczyć, umierający nie dostaną ostatniego namaszczenia, przestanie się udzielać ślubów nowożeńcom, a kościoły zostaną zamknięte. Już tak nieraz bywało z mniej ważkich niż obecny powodów.

Wmieszałem się do rozmowy i powiedziałem:

— Daleki jestem od bronienia bezbożnego uczynku, ale słyszałem od ludzi godnych zaufania, że nasz zacny arcybiskup jest zaciekłym zwolennikiem unii, a tym samym wrogiem królestwa. Zawarliśmy pokój z carem na wiele lat naprzód i przypieczętowaliśmy układ ucałowaniem krzyża, tak że obecnie jedynie Dania może zagrozić królestwu. A wiemy, że grozi nam niebezpieczeństwo, ponieważ wyrabia się proch i kuje działa, o czym ja najlepiej mogę zaświadczyć. Przez całe lato harowałem od świtu do nocy, aby wzmocnić obronę królestwa, choć nikt mi nawet za to nie podziękował.

— Ziemska sława i zapłata to tylko próżność i marność — rzekł nabożnie ojciec Piotr. — W dniu Sądu Ostatecznego zostaniemy zważeni i osądzeni według naszych zasług. Okropnie jednak pomyśleć, że Ojciec Święty w swym słusznym gniewie mógłby rzucić klątwę na cały kraj. Klątwa taka byłaby przecież szczególnie szkodliwa dla posłusznych sług Kościoła, pozbawiając ich należnych według prawa opłat za rozmaite duchowe usługi, które oddajemy wiernym według kościelnych przykazań, tak że moglibyśmy bardzo zubożeć.

Mistrz Wawrzyniec zacierał dłonie z miną jeszcze bardziej zadowoloną niż poprzednio.

— Na nic się nie przyda płacz i biadanie — powiedział. •— Gdy mędrzec widzi zbliżającą się burzę, szybko decyduje, czy jest Jutem, czy Szwedem, zwolennikiem unii czy też nie, czy jest za biskupem, czy przeciw niemu, i według tego postępuje. Sztuka ta nazywa się polityką i jest największą ze sztuk, bo prędzej czy później, bez względu na zajęte stanowisko, doprowadza wszystkich do tego samego kresu. Niezależnie od dokonanego wyboru, każdy przeżywa w końcu chwilę, gdy dostaje mieczem w brzuch, pałąk w łeb albo też zakładają mu postronek na



szyję. I życzą, żeby ten ostatni los spotkał wszystkich moich przyjaciół, tak abym mógł ich obsłużyć najlepiej, jak umiem. Tylko kat jest bezstronny, ponieważ zarówno Jutowie, jak Szwedzi go potrzebują. Jest on równie niezbędny dla wszystkich sędziów, tak 3 — Mikael, t. I duchownych jak świeckich. Nie ma powodu żalić się na czasy, w których jego usługi cieszą się największym popytem.

Pani Pirjo odstawiła na bok srebrny pucharek i drewnianą kwartę i rzekła:

— Zaprzestań tych ponurych żartów, mistrzu Wawrzyńcze! Czyż nie widzisz, że chłopcu zsiniał nos ze strachu? Zbladł biedak jak prześcieradło, a nawet Anttiemu włosy zjeżyły się na głowie, choć jest ciężko myślący. Mamy przynajmniej szczęście, że żyjemy w spokoju, z dala od sporów i waśni wielkich panów. Zadowolamy się wybieraniem i obalaniem naszych królów i namiestników — stosownie do tego, jak nam każą ze Sztokholmu. Prostemu człowiekowi, wszystko jedno, czy płaci podatek Jutowi, czy Szwedowi, byle tylko dano mu żyć w spokoju i wykonywać swój uczciwy zawód. Nasz biedny kraj jest szczególnie szczęśliwy, bo stojąc na boku, zyskujemy na czasie, dopóki jedna ze stron nie zwycięży i nie będziemy mogli dokonać wyboru. Mimo wszystko bardzo jestem rada, że Mikael wybrał gęsie pióro, a nie miecz, bo jak mówi Pismo święte, kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Mistrz Wawrzyńiec upierał się, że świat się zmienił i że jedno pociągnięcie gęsiego pióra może dać katu więcej roboty niż brzęk mieczy i huk dział. Ja jednak zbyt byłem jeszcze młody, żeby rozumieć, co miał na myśli. Pani Pirjo postawiła na stole miskę kaszy okraszonej sporym kawałkiem masła. Przeżegnaliśmy się i z zadowoleniem wzięli do jedzenia. Świat nie mógł być tak bardzo zły, skoro biedota zajadała się kraszoną kaszą.

Ostatni statek, który zawinął do portu, nim morze zamarzło, przyniósł z Niemiec znamienne nowiny. Mówiono o wielkim sporze mnichów, do którego doprowadził niejaki doktor Luter, przybijając na bramie kościoła w Wittemberdze dziewięćdziesiąt pięć punktów, w których potępił handel odpustami, i przez to zakwestionował doczesne dziedzictwo Ojca Świętego jako jedyne dzierżyciela kluczy do bram niebieskich. Uważałem jednak, że słuchy te były tylko dowodem na to, że Niemcy są narodem niespokojnym i kłótliwym, co już poprzednio zauważyłem w towarzystwie mistrza Schwarzschanza. Nie mogłem pojąć, jak rozsądny człowiek może mieć wątpliwości co do oczywistych artykułów wiary świętego Kościoła, które czyniły życie prostym i oszczędzały wszelkiego niepotrzebnego rozmyślania.

## CZEŚĆ DRUGA

### POKUSA

1

Pewnego bezmroźnego dnia tuż po świątach Bożego Narodzenia mistrz Marcin rozpuścił uczniów do domów, a mnie kazał iść z sobą do izby. Usiadłszy przy stole, zaczął trzeć między kciukiem a palcem wskazującym swój długi cienki nos z wiecznie wiszącą na czubku błyszczącą kropelką i przyglądając mi się badawczo, zapytał uroczyście:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Czym zamierzasz zostać, Mikaelu, synu mój?

Słowa jego wywarły na mnie silne wrażenie, więc padłszy przed nim na kolana, wybuchnąłem płaczem i odparłem:

— Ojczy Marcinie, żywiłem najlepsze nadzieje, że będzie mi wolno poświęcić się służbie świętego Kościoła i gorzko mi jest na duszy, jakbym się napił piołunu, bo wielu z tych, którzy wraz ze mną pobierali pierwsze nauki, siedząc w kucki w słomie na podłodze, już ma wygolone na ciemieniu księże tonsury. Jestem wprawdzie młodszy wiekiem od tych moich kolegów, a przynajmniej tak mi się zdaje, ale gotów byłbym ciężko pracować dzień i noc, żeby zwiększyć moje wiadomości ku chwale świętego Kościoła. Niestety dano mi do

zrozumienia, że wszystkie moje nadzieje są próżne, a wysiłki daremne. Próbowałem już starać się o przyjęcie do klasztoru, żeby po roku próby móc przywdziać czarny habit i przez całe życie służyć Kościołowi, ale ojciec Piotr odradził mi to i powiedział, że nie mogę liczyć w klasztorze na inną godność niż laickiego braciszka, ponieważ nie mam do odstąpienia żadnych dóbr doczesnych.

— Mikaelu — powiedział na to poważnie mistrz Marcin — kto mówi przez twoje usta, Pan Bóg czy diabeł?

Pytanie jego wprowadziło mnie w zakłopotanie. A on dał mi się przez chwilę zastanowić, a potem ciągnął dalej:

— Jesteś chłopcem pojętym i uzdolnionym, ale twoja zdolność wchodzenia z dziecinną łatwością w najpoważniejsze materie i stawiania pytań, które mogą wprowadzić w zakłopotanie najbardziej uczonego męża, napawa mnie wielką troską o zbawienie twojej duszy. Zdaje mi się, że to bynajmniej nie chrześcijańska pokora przemawia przez ciebie, lecz przeciwnie — szatańska i godna potępienia pycha, gdy w dysputacie usiłujesz uwikłać twego nauczyciela w jego własnych słowach, wprowadzasz go w zakłopotanie i zamykasz mu usta, jak stało się niedawno temu, gdy dysputowaliśmy o Jonaszu i brzuchu wieloryba.

— Ojczy Marcinie — odparłem — bynajmniej nie jestem taki zły, jak sądzicie, i serce moje jest miękkie jak wosk. Dajcie mi jakąś nadzieję, a poprawię się i będę nawet chodził boso po śniegu i pościł całymi tygodniami, żeby tylko okazać się godnym waszego błogosławieństwa.

Mistrz Marcin westchnął ciężko, ale powiedział wciąż jeszcze z gniewem:

— Nie wątpię, że uczyniłbyś wszystko, żeby zaspokoić swoją chorobliwą pychę i być czymś lepszym od innych. Rok po roku czekałem na to, by jakiś potężny i tajemniczy znak wskazał mi twoje właściwe powołanie, ale żaden taki znak się nie objawił i chyba już się nie objawi. Lata mijają i twoje pochodzenie coraz bardziej okrywa mrok i wnet niewielu już będzie takich, którzy pamiętają twoją matkę. Czy nie byłoby lepiej, żebyś wreszcie z pokorą zadowolił się tym stanem, jaki ci jest przeznaczony, i spróbował nauczyć się sprawować jakiś pożyteczny świecki urząd?

— Odrzucacie mnie, ojczy Marcinie? — zapytałem z trwogą, gdyż szkoła była jedynym stałym punktem oparcia w moim życiu i mimo narzekań nie chciałem jej opuścić.

— Wcale cię nie wyrzucam, ty krnąbrny nicponiu — syknął mistrz Marcin. — Wprost przeciwnie, bez żadnego powodu zbyt się do ciebie przywiązałem, bo twój głód nauki i słomiany zapach przypominają mi moją własną młodość. Ścieżka wiedzy usiana jest cierniami i musiałem sprzedać ziemię odziedziczoną po ojcu, żeby móc studiować na uniwersytecie w Rostoku, żadna jednak ofiara nie wydawała mi się zbyt wielką w dążeniu do wiedzy. Dlatego rozumiem cię, Mikaelu, ale spójrz na mnie uważnie, zobacz, co się ze mną zrobiło. W rzeczy samej jestem obecnie tylko zgryźliwym starcem, który niebawem oślepnie od zbytniego rozczytywania się za młodu. A w chwili śmierci moją jedyną pociechą będzie to samo proste pocieszenie, które dane jest każdemu człowiekowi, duchownemu czy świeckiemu, a mianowicie grzechów odpuszczenie i ostatnie namaszczenie. Wszystkie moje umiejętności nie uczyniły mnie pod tym względem lepszym od najprostszego pastucha. Dla twego własnego dobra, Mikaelu, chcę ci powiedzieć, że nic nie zyskasz czepiając się kurczowo nauki i wiedzy. Najmądrzej zrobisz pokornie podporządkowując się twemu losowi i spełniając pożyteczny zawód pisarza, a nie marząc o gwiazdce z nieba.

— Niech będzie i tak — odrzekłem gorzko, czując, że płyną mi z oczu palące łzy. — Zostanę więc pastuchem, ponieważ to jest jedyna mądrość, jaką wynieśliście z życia wy, ojczy Marcinie.

Wtedy zmiękł, poklepał mnie po policzku pokrytą żyłami drżącą dłonią i rzekł:

— Urząd świecki daje ci dostęp do wszelkich prostych uciech doczesnych i nie będziesz też związany na całe życie z kapłańską sukienką. Możesz nosić pióro w kapeluszu i swawolić z

dziewczętami, a gdy się już usatkuje, możesz wejść w związki małżeńskie i żyć szczęśliwie z dobrą żoną i gromadką posłusznych dzieci, źródłem wiecznej radości.

Odparłem kwaśno, że ani małżeństwo, ani gromada drących się dzieciaków w chacie biednego pisarczyka mnie nie nęca.

— A poza tym — dodałem — każdy ksiądz czy nawet biskup ma nałożnicę i dzieci i nikt nie uważa, by popełniali oni jakiś grzech, gdyż Kościół i tak ściąga od nich pokutne za nałożnice, nie troszcząc się o to, czy dany kapłan żyje nienagannie, czy nieobyczajnie. Słudzy Kościoła korzystają zatem ze wszystkich dogodności stanu małżeńskiego, unikając wszelkich tego stanu ujemnych stron. Nie chcę jednak przez to powiedzieć, że ze względu na te korzyści pragnę wstąpić do stanu duchownego. Ale gdy chodzi o takiego jak ja ubożego młodzieniaszka, stan kapłański jest jedyną możliwością kontynuowania studiów i dostania się może kiedyś na jakieś stanowisko uniwersyteckie oraz korzystania z owoców kościelnej prebendy.

Jeszcze nie zdążyłem wymówić tych słów, jak już przejął mnie strach i zaczerwieniłem się z zakłopotania, gdyż niechcący wyjawiałem moje najtajniejsze marzenia i nadzieje, niemożliwe do spełnienia dla takiego jak ja. Dałem przez to mistrzowi Marcinowi słuszny powód do ganienia mnie za bezbożną pychę. Ale mój nauczyciel i wychowawca nie robił mi już więcej wymówek. Powiedział tylko ze smutkiem:

— Czy nie rozumiesz tego, Mikaelu, jak źle czynisz, uważając Kościół i święte sakramenty za posłuszne sługi, które mają ci dopomóc w zaspokojeniu twego pragnienia wiedzy? Kościół wybiera sobie sam swoich sług i twoje słowa potępiły cię jako marnego poszukiwacza fortuny i obłudnika. Użyłbyś świętej monstrancji jako stołeczka pod nogi, gdyby tylko mogło to ciebie postawić o łokieć wyżej. Ale nie chcę cię potępiać, bo nawet nie wiesz, jak dziecinnie i bezmyślnie mówisz. Zrozumiesz to sam w swoim czasie i będziesz się tego wstydził.

— Ojciec Marcinie — rzekłem — posiadam tylko głowę i ręce i poza tym nic więcej na tym świecie, oprócz świętego Kościoła, w który wierzę i któremu ufam. Dlaczego mam być odrzucony, jeśli wielu głębszych i mniej niż ja uzdolnionych uznano za godnych? Dlaczego odrzucił mnie tylko z tego powodu, że nie mam żadnych dóbr doczesnych albo rodziny czy krewnych, którzy by w kurii papieskiej mogli wykupić mnie z grzechu mojej matki? Dlaczego?

— Wątpisz w naukę Kościoła? — zachnął się mistrz Marcin. — Taki nędzny robak jak ty ośmiela się powstawać przeciw jego postanowieniom? Ostrzegam cię, Mikaelu, bliski jesteś herezji.

Jego straszne słowa przeraziły mnie i znów stałem się pokorny, chociaż bunt nie zgasł w moim sercu. W każdym razie mistrz Marcin nie wyrzucił mnie w końcu ze szkoły. Obiecał mi nawet, że dostanę wynagrodzenie, jeśli w dalszym ciągu uczyć będę młodszych żaków gramatyki. Wynagrodzenie to otrzymałem w taki sposób, że w swej dobroci polecił mnie na nauczyciela czytania i pisania dla dwóch synów Larsa Złotnika.

2

Gdy lody puściły na wiosnę, nadeszły niepokojące nowiny. Król Chrystian II zamierzał popłynąć do Sztokholmu, żeby z powrotem osadzić na urzędzie wygnanego arcybiskupa, ukarać butnych panów szwedzkich i dać się ukoronować koroną Królestwa Szwedzkiego, która mu się prawnie należała. Część załogi twierdzy Abo udała się morzem do Sztokholmu, na pomoc regentowi, panu Stenowi, a w zamku ogłoszono pogotowie. Powszechnie jednak mówiono, że nie opłaci się bronić Abo w razie gdyby Sztokholm został wzięty, gdyż mogłoby to tylko spowodować nieprzyjemności i zniszczenie. I już nie gadano tyle co przedtem o

okrucieństwie Jutów. Ludzie woleli milczeć i wyczekiwać. Ja jednak pragnąłem wojny, bo odpowiadało to memu usposobieniu, no i dlatego, że nie miałem nic do stracenia.

W dniu świętego Jana Chrzciciela poszedłem po raz pierwszy od dawna do kościoła, pomodlić się do Matki Boskiej i wszystkich świętych, żeby pomogli mi żyć bardziej cnotliwie. Gdy doszedłem do ratusza, usłyszałem głos Anttiego. Wołał mnie żałośnie z głębi więziennego lochu. Uczeplił się oburącz kraty piwnicznego okienka, w którym widać było jego rozczochrane włosy i szeroką twarz, pokrwawioną i pokrytą sińcami nie do poznania.

— Jezus Maria! — wykrzyknąłem z przerażenia. — Co się z tobą stało, Antti?

— Dużo bym dał, żeby to wiedzieć! — zalił się. — Zdaje się, że upiłem się jak świnia. Nigdy bym nie przypuszczał, że gorzałka może ze spokojnego człowieka zrobić takiego awanturnika. Ale chyba nie ja jeden padłem ofiarą, ponieważ całe ciało mam zbite i potłuczone pałkami i drągami z płotu. Musiał więc ktoś jeszcze brać udział w tej bójce, bo niemożliwością jest tak się poturbować samemu, nawet gdyby się spadło na łeb z kamienistego zbocza.

— Pobiegnę do kościoła i będę się modlić za ciebie, żebyś nie został wychłostany lub rzucony na pożarcie krukom za zabójstwo — powiedziałem, aby go pocieszyć w biedzie.

Ale Antti odparł gniewnie:

— Co się stało, to się stało i nic na to nie pomoże biadanie. Okaż się chrześcijaninem, Mikaelu, i postaraj mi się o coś do zjedzenia i trochę wody do picia, bo brzuch mam pusty i pali mnie w żołądku jak w piecu, tak że więcej lituję się nad nim niż nad własną skórą.

Strażników miejskich nie było widać w pobliżu, więc przyniosłem mu wody w wiadrze dla koni. A pragnienie jego było tak gwałtowne, że zebrawszy siły, wygiął kraty i wciągnął wiadro przez otwór do środka. Przestraszyłem się widząc, że mur pęka i sypie się zaprawa, i napomniałem go:

— Nie niszczyć własności miejskiej, Antti, bo spotka cię jeszcze cięższa kara. Ale jeśli chcesz uciekać, spiesz się. Może się teraz zmieścisz w tym otworze.

— Nie myślę uciekać — odrzekł Antti kwaśno. — Chcę z chrześcijańską pokorą znosić zasłużone nagany i kary, żeby odzyskać własną godność przed Bogiem i ludźmi.

Miałem w mieszkaniu kilka grosików, bo chciałem zapalić świeczkę przed świętym Janem Chrzcicielem, który był mężem cnotliwym i wołał stracić głowę, niż zaspokoić żądze namiętnej Herodiady. Skoczyłem więc do szynku „Pod Trzema Koronami” i kupiłem miskę rzepy i śledzia, i kilka bochnów chleba. Ale nie mogłem zatrzymać się dłużej przy Anttim, gdyż mieszczanie zaczęli już schodzić się na sumę i kazanie.

— Nie trać otuchy — upomniałem go. — Wieczorem postaram się zakraść tutaj znowu i przynieść ci coś więcej do jedzenia.

— To nie .takie łatwe być dobrej myśli, gdy żaby skaczą po mnie, a szczury obgryzają mi czubek nosa, jak próbuję usnąć — odparł Antti. — Ale niech tylko napcham sobie brzuch, świat z pewnością wyda mi się jaśniejszy.

Zostawiłem go w więzieniu i pospieszyłem do katedry, ale szatan zastawia sidła o wiele chytrze, niż przypuszczamy. Bo gdy skruszony po mszy opuszczałem kościół wraz z rzeszą wiernych, zagadnął mnie jakiś młody mężczyzna o policzkach usianych czarnymi cętkami, jak gdyby od wystrzału oddanego tuż przy twarzy. Przypasując miecz powiedział po niemiecku, że słyszał o mnie dużo dobrego. Jest gościem w mieście i mieszka wraz z siostrą w gospodzie tuż obok szynku „Pod Trzema Koronami”. Wyznał mi dalej, że dla wykonania pewnego zadania potrzebuje pomocy tak sprytnego i zdolnego młodzieńca, jakim jestem, i poprosił, żebym odwiedził go wieczorem, a z pewnością tego nie pożałuję. Jego zachowanie było podejrzanie pochlebne, ale uśmiechał się tak ujmująco i był odziany w tak piękne obcisłe skórzane raj-tuzy i aksamitną bluzę z srebrnymi guzami, że zdawało mi się, iż nie mam nic do stracenia spotykając się z nim.

Gdy pani Pirjo usłyszała o żalnym losie Antiego, przyszykowała dla niego worek z jedzeniem. Pod wieczór poszedłem więc do ratusza, żeby nakarmić nieboraka i w ten sposób pomnażać dobre uczynki dla zbawienia duszy. Na podwórku ratuszowym spotkałem dozorcę więźniów, jednonogiego pachółka, który uczył mnie władania mieczem.

— Możesz wejść do środka — powiedział do mnie życzliwie. — Nie ty pierwszy przyszedłeś w odwiedzinę.

Zszedłem więc na dół do lochu, gdzie obecnie płonęła wesołym światłem łójówka przyklepiona do kamiennej płyty. Siedziała tam już szyn-karka spod „Trzech Koron” trzymając w objęciu głowę Antiego, gładząc jego policzki i przemawiając doń czułymi słowy.

— Mikaelu — rzekła z powagą, zobaczywszy mnie w piwnicy — lepszego i szlachetniejszego młodzieńca od twego przyjaciela, czeladnika kowalskiego Antiego, trzeba by szukać ze świeczką. Dziś w nocy, po powrocie do domu z sobótki świętojańskiej, obudzona zostałam nad ranem przez okropny huk i łoskot. Kupa pijanych czeladników wywaliła drzwi i wtargnęła do domu. Wrzucili mojego biednego męża do pustej dzieży i przywalili przykrywą kamieniami, a mnie zmusili do podawania im na stół piwa, wódki i wszelkiego jadła. Ten młodzieniec przypadkiem wszedł przez rozwalone drzwi i gdy spostrzegł, w jakim jestem położeniu, zaczął sam, gołymi rękami, jak święty Samson na murach Jerycha, wyrzucać tych wszystkich drabów, choć nacierali na niego drągami, pałkami i kłodami drzewa i choć ledwie trzymał się na nogach, zmęczony czuwaniem w noc świętojańską. Gdy w końcu przybyła na miejsce straż miejska i obraźliwymi słowy zaczęła mi wyrzucać, że goszczę ludzi w niedozwolonej nocnej porze, ten zacny młodzian, źle zrozumiawszy zamiary strażników, wyrzucił za drzwi także i ich, ażeby ochronić spokój mego domu. Kiedy jednak wyczerpany wysiłkiem ułożył się na podłodze i zasnął, strażnicy wrócili i bijąc i kopiąc zawlekli go do więzienia, bo nie mogli schwycić nikogo innego. Za ten niecny postępek dostaną po skórze, jak mi Bóg miły. I tego samego zdania jest również mój drogi mąż, którego dopiero dziś rano wypuściłam z dzieży, gdyż zupełnie o nim zapomniałam, załamana i przybita.

Pogładziła Antiego po policzku i dodała:

— Jesteś w dobrych rękach, mój przyjacielu, bo nie byłabym chyba tym, kim jestem, płacącą miejskie podatki właścicielką szynku, gdybym cię z tej biedy nie wyciągnęła. Toteż pij piwo, najlepsze, jakie mam w moich kadziach, i nabieraj znowu siły.

Zauważyłem, że Antiemu nic z jadła i napoju nie brakuje i że jest pod dobrą opieką. Ponieważ obecność moja w więzieniu wydawała mi się zbędna, udałem się pod „Trzy Korony”, a karczmarsz potwierdził każde słowo swojej żony i oświadczył, że to niecne kłamstwo oskarżać go o podejmowanie czeladników w niedozwolonej porze.

Mocne piwo pokrzepiło mnie i dodało odwagi, poszedłem więc do gospody zapytać o cudzoziemca, który zamieszkał tam wraz z siostrą. Przybysz nie podał mi swego imienia, ale gdy opisałem jego wygląd i cętkowane od prochu oblicze, właściciel gospody natychmiast domyślił się, o kogo chodzi. Wszystko wskazywało, że obcy musi cieszyć się dobrą opinią jako pan bogaty i szczodry, bo chętnie zaprowadzono mnie do jego pokoju. Już na progu poczułem przyjemny zapach laku do pieczętowania, a świeca woskowa płonęła na stole, przy którym siedział nieznajomy i coś pisał. Poznał mnie natychmiast, podniósł się od stołu i przywitał mnie bardzo przyjaźnie podając rękę, co było szczególnie pochlebne, ponieważ miał wykwintne i nieprzymuszone maniery prawdziwego wielkiego pana, dla którego wspaniałe mieszkanie, przepyszne stroje, codzienne picie wina i sprawna służba były czymś zupełnie naturalnym i oczywistym.

Zaczął ze mną swobodnie rozmawiać. Powiedział, że nazywa się Did-ryk Slaghammer i że jest synem uszlachconego przez cesarza kupca z miasta Kolonii. Od najwcześniejszej młodości podróżuje po obcych krajach, a ostatnio trudni się kupiectwem w Gdańsku i Lubece. Opowieści o świętych miejscach Finlandii, których sława wielka była na całym Bałtyku,

zwabiły go do Abo. Nie ukrywał, że w młodości prowadził życie lekkomyślne, ale po trzydziestce ustatkował się i chętnie pielgrzymuje do świętych miejsc, o ile da się to połączyć z jego zawodem. Wypytywał mnie też o osobliwości godne zwiedzenia w Abo i dał mi do zrozumienia, że chce mnie zatrudnić jako przewodnika i tłumacza w czasie swojej pielgrzymki.

Ogromnie zachwycony zacząłem mu opowiadać o różnych świętych miejscach i zbiorach relikwii, szpitalach i klasztorach, ale w miarę, jak mówiłem, ogarniało go coraz większe roztargnienie, aż wreszcie ukrywając ziewnięcie, które odsłoniło kocie, drapieżne zęby, zaczął bawić się sztyletem leżącym na wieku podróżnego sepetu.

— Straszono mnie surowością fińskiej przyrody, dzikimi zwierzętami i rozbójnikami na drogach — przerwał mi w końcu — więc wziąłem z sobą, dla obrony, parę tych nowomodnych pistoletów, które wybawiły mnie już z niejednej opresji.

Pokazał mi dwie króćce w podwójnych olstrach, które można było przewiesić na końskim grzbiecie tak, by ciężkie ołowiane kolby znajdowały się wygodnie pod ręką. Ale jego zachwyt i zainteresowanie bronią palną nie wydawało mi się zgodne z głoszoną przezeń pobożnością. I rzeczywiście nagle zapytał, czy słyszałem, że król Chrystian zbroi się do wojny przeciw Szwedom i co mówią na ten temat w Finlandii.

Odparłem, że pogłoski takie wyrządziły już wiele szkody uczciwemu handlowi. Mieszkańcy Abo nie chcieli wysyłać swoich statków na pełne morze w obawie przed duńskimi okrętami wojennymi, tak że statki handlowe musiały przebierać się do Lubeki po niebezpiecznych wodach przybrzeżnych, gdzie przy niepomyślnej pogodzie łatwo osiadały na mieliznach i padały ofiarą bezbożnych piratów z wyspy Osel i z wybrzeża estońskiego. Statki z Abo próbowały wprawdzie żeglować pod ochroną lubeckich konwojów, ale Lubeka wcale nie była teraz skłonna udzielać ochrony statkom fińskim, gdyż w radzie miejskiej w Abo Niemcy nie stanowili już, jak dawniej, połowy rajców i wszystkie miejskie godności były obecnie w rękach ludzi wiernych królestwu. Chełpiłem się też, że młyny prochowe pracują bez przerwy i że na zamku odlewa się działa, Jutowie będą się więc mieli z pyszna, gdyby się ośmielili zbliżyć na odległość strzału do Abo.

Pan Didryk bawił się króćcą, krzesząc jasne iskry ze skałki. Potem rzekł z uśmiechem, że wojna mu nie straszna, ale że musi myśleć także o swojej siostrze i jej bezpieczeństwie, toteż czułby się spokojniejszy, gdyby wiedział, ile i jak ciężkich dział jest w zamku, jak duża jest załoga i jak wynagradzana, kto sprawuje dowództwo i skąd pochodzą wojska. Dobrze by też było znać imiona radnych miejskich i wybitniej szych mieszczan, a także czy ludziom tym można ufać w sprawach natury państwowej.

Zrozumiałem, że jest to człowiek bojaźliwy, co zresztą wynikało i z tego, że trzymał broń pod ręką w cichej gospodzie. Aby go uspokoić, opowiedziałem wszystko, com wiedział o załodze zamku i w mieście, nadmieniając przy tym, że nie jestem żołnierzem, tylko szkolarzem, i radząc mu, żeby zapytał o to mego mistrza i dobrego przyjaciela, puszkarza Schwarzschanza. Ofiarowałem się też natychmiast go przyprowadzić, ale życzliwy cudzoziemiec powstrzymał mój zapał, mówiąc, że nie wypada w dniu świętego Jana przeszkadzać szanownemu mistrzowi, który w dodatku rozgorączony niewdzięcznością, z jaką go traktowano w Abo, łatwo mógł się rozgniewać. Słyszał już bowiem niejedno o mistrzu Schwarzschanzu i wie też, że byłem w lecie jego' pisarzem. Toteż wystarczą mu zupełnie moje wiadomości, ponieważ uważa mnie za młodzieńca bystrego i rozgarniętego. Ile zatem bombard znajduje się na zamku, ile jest tam kartaunów, ile kolubryn, falkonów, falkonetów, moździerz i arkebuz? Starłem się przypomnieć sobie wszystko, co wiedziałem, on zaś kreślił szybko gęsim piórem cyfry na papierze, ale przed cyframi stawiał tylko jakieś dziwne zakrętasy. Nie wydawało mi się to zajęciem odpowiednim dla zwykłego kupca lub pobożnego pielgrzyma. I gdy wypytywał mnie dalej, jak są uzbrojeni strażnicy miejscy, kiedy

odpłynęły statki z Abo i jak były uzbrojone, zacząłem się jąkać i dawać niejasne odpowiedzi. Jego ciekawość zdawała się nie mieć granic.

Nagle uświadomił sobie moje ociąganie i zdziwione spojrzenia, odsunął natychmiast notatki na stronę, zamknął je w szkatułce podróźnej, zaczął się wesoło śmiać i wykrzyknął:

— Widzę, że moja przesadna ciekawość dziwi cię, Mikaelu. Urodziłem się z niezaspokojoną żądzą wiedzy i w podróźach zwykłem zbierać najrozmaitsze pożyteczne wiadomości, gdyż nigdy z góry nie wiadomo, co się kiedyś może przydać. Ale już dosyć ciebie wymęczyłem. Jedźmy więc, pijmy i radujmy się, bo chcę, żebyś był dziś moim gościem.

Zaprowadził mnie do sąsiedniej izby, gdzie stał stół, nakryty różnymi przysmakami, w wspaniałym blasku świec woskowych. A jednak nie ten stół przykuł moje spojrzenia. Najpiękniejsza i najbardziej bogato odziana kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem z bliska, wyszła mi na spotkanie i życzliwie mnie przywitała. Spódnice jej szeleściły, gdy zbliżała się z wysoko podniesioną głową, a pan Didryk skłonił się dwornie, żeby ucałować jej rękę.

— Moja droga siostró Agnes — powiedział — pozwól przedstawić ci Mikaela, szkolarza z Abo, młodzieńca mądrego i bystrego, który oprócz wielkich scholastycznych i kanonicznych umiejętności posiada także sztukę robienia prochu, i służył jako pisarz u pewnego puszkarza. Obiecał on łaskawie dopomóc nam w udoskonaleniu naszej wiedzy, zarówno dla naszych korzyści doczesnych, jak i dla naszych biednych dusz.

Gdy szlachetna panna usłyszała te słowa, uśmiechnęła się do mnie ciepło i podała mi rękę. Nigdy dotąd nie całowałem żadnej kobiety w rękę, a moja wstydlivość nie pozwoliła mi podnieść oczu na twarz pięknej damy. Skłoniłem się niezdarnie i dotknąłem wargami dłoni ciepłej, białej i pachnącej wonnymi maściami. A panna Agnes zaśmiała się równie wesoło jak jej brat i rzekła:

— Nie bądźmy tacy sztywni i uroczyści. Wszyscy troje jesteśmy przecież młodzi, a ja bardzo, bardzo już jestem znudzona siedzeniem w zamkniętej izbie i brak mi wesołego towarzystwa. I wcale nie jestem wilkiem, który chce cię pożreć, panie Mikaelu, tak że bez obawy możesz podnieść swoją urodziwą twarz i spojrzeć mi w oczy.

Zmieszałem się jeszcze bardziej, gdy mnie nazwała panem, jak gdybym był jakimś szlachcicem, i gdy wspomniała pochlebnie o mojej powierzchowności. Podniosłem głowę, a ona patrzyła na mnie szelmowsko swymi brązowymi oczyma, uśmiechając się swawolnie czerwonymi ustami, tak że krew mi uderzała do policzków. W mojej młodzieńczej naiwności nie wiedziałem jeszcze wtedy, że usta jej były malowane, brwi wyskubane i uczernione, a policzki przysypane białym pudrem. W jasnym blasku woskowych świec wydawała mi się najcudowniejszą, najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem.

Zasiedliśmy do stołu i jedliśmy ozór wołowy i pieczoną gaś przyprawioną szafranem i pieprzem, a piliśmy do tego słodkie hiszpańskie wino z najwspanialszych pucharów, jakie były w gospodzie. Nie miałem zupełnie pojęcia, ile taka uczta mogła kosztować, ale wszystkie moje wątpliwości szybko znikły i zajadałem zgrabnie, krojąc mięso nożem na małe kawałeczki i niosąc je do ust palcami, zamiast na sposób niewychowanych żarłoków trzymać kość oburącz i ogryzać ją z mięsa ociekającymi tłuszczem ustami. Ogniste wino uderzyło mi szybko do głowy, zapomniałem o całej mojej biedzie i czułem się jak w niebie, otoczony pięknymi życzliwymi aniołami. A podczas uczty w sąsiedniej izbie przygrywał nam jednooki flecista spod „Trzech Koron” rozkoszne melodie, dopóki pan Didryk nie kazał go poczęstować piwem i nie odesłał precz, gdyż — jak mówił — nie może słuchać tak podłej muzyki. Zaproponował natomiast, żebyśmy sami coś zaśpiewali, i tak też uczyniliśmy odśpiewawszy kilka nabożnych studenckich pieśni o znikomości rozkoszy świata tego.

Panna Agnes stwierdziła niebawem, że w izbie jest gorąco, odrzuciła przezroczysty muślinowy szal i obnażyła białe ramiona. Jej stanik z zielonego aksamitu był wyszywany perłami i złotą nicią i haftowany w czerwone serduszka, co mimowoli ciągnęło ciekawy wzrok ku jej piersi. Nigdy jeszcze nie widziałem sukni tak głęboko wyciętej. I doprawdy nie

trzeba było domyślać się kształtów panny Agnes, gdy dokonywała jakichś nieostrożnych ruchów, mimo że czasem podciągała w górę brzeg sukni. Pan Didryk, który obserwował moje spojrzenia rzekł z uśmiechem:

— Moja siostra Agnes jest ochrzczona imieniem świętej Agnieszki i siedząc w zacnej kompanii chciałbym nieraz, żeby i jej przydarzyły się podobne cuda, jak tej świętej. Siostra moja idzie wiernie za modą światową i dworską. Ale niech cię to nie zawstydza, mój Mikaelu. Wierz mi, nasze wesole czasy nie żądają wcale od kobiet, by kryły swoje wdzięki. Wręcz przeciwnie — wymagają one, by najuczciwsze kobiety odsłaniały wszystko, co tylko warte odsłaniania.

Twarz mnie paliła, gdy spytałem, jakie to były cuda świętej Agnieszki. Kult jej znalazł się w Finlandii w cieniu kultu świętego Henryka, toteż była ona dla mnie raczej mało znaną świętą. Pan Didryk opowiedział chętnie, że pewien rzymski sędzia posłał ją nago do zamtuza, ponieważ z powodu wiary chrześcijańskiej odmówiła poślubienia syna sędziego, poganina. Ale Bóg wszechmogący zezwolił w swej łasce tak urosnąć włosom świętej Agnieszki, że okryły ją niby płaszczem, i otulona w loki mogła zasłonić swoją czystość przed bezwstydnymi spojrzeniami i dotknięciami.

— Jak widzisz, siostra moja ufarbowała sobie włosy na rudo, na sposób wenecki — ciągnął.  
— To byłby widok wspaniały — zobaczyć ją całutką okrytą płomienistym płaszczem włosów. Mnie jednak zastanawia inny problem, który z pewnością tylko wielce uczony duchowny potrafi rozstrzygnąć. Przypuśćmy, że taki sam cud zdarzyłby się ponownie, w co ja nie wierzę, ponieważ chodzi tu o moją siostrzyczkę, która nie jest przesadnie wstydliva. Czy włosy jej byłyby wtedy rude na całej długości, czy też część bliżej głowy, zachowałaby swój właściwy kolor, tak że jej ciemny płaszcz z włosów miałby tylko, szeroki na cal purpurowy rąbek?

Przyznałem, że kwestia ta jest dla mnie zbyt trudna do rozwiązania, ale biegły scholastyk mógłby odpowiedzią na to pytanie ubiegać się o stopień doktorski w dyspacie na każdym uczonym uniwersytecie. Ośmieliłem się jednak przy tym napomknąć, że świat straciłby wiele radości, gdyby panna Agnes nieoczekiwanie zaszczycona została takim cudem.

Panna Agnes uśmiechnęła się do mnie wdzięcznie za moją dworność i wykrzyknęła śmiało:

— Na dworach książęcych we Florencji i Mediolanie, nie mówiąc już o królewskim dworze francuskim, szlachetne damy zostawiają często jedną albo obie piersi nagie, żeby nie zakrywać rozkosznych wdzięków, którymi obdarzył je Stwórca. Najpiękniejszy strój oglądałam w Wenecji, gdzie jedna z dam przysłała na ucztę w sukni rozciętej z boku aż do biodra. Na głowie miała przetykany szlachetnymi kamieniami wschodni welon, przejrzysty jak morska piana. Taką szatę chciałabym kiedyś nosić.

Tu westchnęła patrząc na mnie brązowymi oczyma, których spojrzenia pieściły jak aksamit. A pan Didryk rzekł:

— Na dworach książęcych nawet bardzo wysoko postawione damy zazdroszczą dziś słynnym kurtyzanom i każą się malować wielkim artystom całkiem nago, żeby pokazać, że nie mają żadnych cielesnych ułomności, których musiałyby się wstydzić. I cóż może być przyjemniejszego niż życie w leczniczych zdrojach, gdzie mężczyźni i kobiety w całej przystojności spędzają dni w wielkich wannach z gorącą wodą, w samych tylko przepaskach na biodrach, i nawet grywają w warcaby i uczują się razem na pływających stolikach?

Nadmieniłem, że mężczyźni i kobiety w Finlandii mają zwyczaj kąpać się wspólnie w łaźniach, ale czynią tak wyłącznie ludzie z gminu i tylko dla obmywania ciała, a nie dla przyjemności. Pan Didryk zaciekawiał się i zapytał, czy często chodzę do łaźni z młodymi dziewczętami, czemu stanowczo zaprzeczyłem. Spostrzegłszy moje zmieszanie, szybko wymienił spojrzenia z siostrą i zaczął mówić o czym innym.



— Powiedz mi, Mikaelu, co sądzisz o bezprawnym postępku Stanów, które usunęły i uwięziły arcybiskupa Szwecji?

Zdumiony jego niespodziewanym pytaniem odpowiedziałem ostrożnie:

— Kimżeż jestem, bym miał rozstrzygać kwestie dotyczące wysokich spraw królestwa? Arcybiskupa podejrzewają o intrygi przeciw królestwu i w usunięciu go brali udział również przewielebni biskupi. Nie mogę przecież być mądrzejszy od nich?

Pan Didryk rozsierdził się i odparł gwałtownie:

— A więc twoim zdaniem młody pan Sture jest królestwem? Nie uważasz przypadkiem, że rzecz ma się raczej odwrotnie, a mianowicie że krnąbrny ród Sture'ów uważa królestwo za swoją własność, choć jedynym legalnym władcą kraju jest dzięki Unii Kalmarskiej król duński Chrystian?

Odparłem, że Jutowie przynieśli do Szwecji tylko spustoszenie i rozlew krwi i że nie ma wrogów bardziej okrutnych i wiarołomnych od nich, tak że w Abo dzieci straszy się „Zobaczysz, zabiorą cię Jutowie!” Ale pan Didryk ogromnie się zdziwił i odparł ze złością:

— Myślałem, że z ciebie rozsądniejszy chłopak, Mikaelu, ale teraz widzę, że powtarzasz tylko za innymi, nie starając się myśleć własną głową.

Zaczął opowiadać, jakim to wspaniałym i łaskawym monarchą jest król Chrystian, który nade wszystko nie cierpi panoszenia się szlachty i wielmożów i broni przed ich uciskiem chłopów i mieszczan. Król pragnie też skruszyć panowanie Lubeki na Bałtyku i uczynić z Kopenhagi potężne miasto handlowe, tak że niedługo już jego królestwo stanie się silne i bogate.

— To tylko kwestia czasu — mówił z przekonaniem — a krnąbrni panowie szwedzcy zmuszeni zostaną do kapitulacji. Śmiem twierdzić, że wojna stoi przed drzwiami i każdej chwili król Chrystian może ruszyć z flotą na Sztokholm. Człowiek mądry powinien umieć w czas przewidzieć rozwój wydarzeń i już teraz swoim postępowaniem zapewnić sobie łaskę królewską. Bo król Chrystian to najpotężniejszy władca Północy i wierzę, że potomni nazywać go będą Chrystianem Wielkim.

Jego słowa wywarły na mnie ogromne wrażenie, bo jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ktoś z taką ufnością i tak otwarcie wyrażał się o królu Chrystianie. Także panna Agnes przytaczała wiele przykładów królewskiej łagodności i dobroci. Mimo to odważyłem się wtrącić, że odczułem okrucieństwo Jutów na własnej skórze, bo zamordowali mi dziadków, a sam do dziś jeszcze noszę na ciemieniu białą bliznę jako pamiątkę po nich. Ale pan Didryk umiał odwrócić kota ogonem.

— A któż to do tego doprowadził, że duńskie okręty wojenne spustoszyły i ogniem zniszczyły wybrzeża Finlandii, jak nie krnąbrni szwedzcy panowie buntowaniem przeciw prawowitemu władcy? Bunty te przechodziły z pokolenia na pokolenie z wielką szkodą dla prostych ludzi, którzy ślepo idą za panami.

Podniósł puchar i rzekł wyzywająco:

— Nie spierajmy się dłużej, Mikaelu szkolarzu. Wiem o tobie wszystko, więcej, niż przypuszczasz, i serce mnie boli, gdy pomyślę, jak niecznie cię potraktowano, choć jesteś bardzo zdolnym młodzieńcem. Powiedz mi, czy jakiś szwedzki lub fiński szlachcic okazał ci łaskę i ułatwił życie? Kościół odrzucił cię i odmówił ci święceń, ale czyż można się czegoś innego spodziewać od prałatów, którzy zrywają mitrę z głowy własnego arcybiskupa, by wyświadczyć przysługę swoim bezbożnym panom? Dobry król Chrystian chce popierać uczoność i dać wszystkim zdolnym ludziom te same możliwości, bez względu na stan czy pochodzenie. Jest on wiernym synem świętego Kościoła i im bardziej rośnie jego moc i potęga, tym więcej ważą jego słowa w kurii papieskiej, tak że nawet człowiek ubogi może dostąpić wysokich godności kościelnych za jego wstawiennictwem. Obawiam się bowiem, że w niedalekiej przyszłości wiele będzie pustych miejsc w stallach tego królestwa, które obsadzone zostaną ludźmi oddanymi królowi i świętemu Kościołowi.

Słowa jego były tak przerażające, że obejrzałem się za siebie, żeby się upewnić, że nas nikt nie słucha.

— Panie Didryku i panno Agnes — odezwałem się drżącym głosem. — Chcecie mnie skusić do zdrady i spisku przeciw królestwu? Nie jestem ani żołnierzem, ani spiskowcem, tylko spokojnym szkolarzem i nie rozumiem się na wysokiej sztuce polityki więcej niż świnia na cynowych łyżkach.

Ale pan Didryk wstał, podniósł w górę puchar i przekonującym tonem przemówił:

— Daleki jestem od takich zamiarów. Ale czyż jest zdradą przygotowywanie prawowitemu królowi drogi do jego własnego kraju i czy można nazwać spiskowaniem bronienie świętego Kościoła przed bluźniercami i szydcerami, którzy powodowani samolubną ambicją, zapomnieli o obowiązkach swego świętego urzędu i stali się niegodni miana sług Kościoła? Nie, Mikaelu! Jedyne, czego pragnę, to żebyś jako uczciwy i szlachetny człowiek wypił za zdrowie króla Chrystiana i jego szlachetne cele, za własne dobro dziś i w przyszłości.

Nie mogłem mu odmówić i wychyliłem puchar do dna. Mocne wino rozpało mi ogień w żyłach, a panna Agnes, śmiejąc się drażniaco, zarzuciła mi ramiona na szyję i pocałowała w oba policzki. Pan Didryk zaś rzekł z powagą.

— Nie chcę już dłużej prowadzić podwójnej gry. Jako człowiek honoru nie wstydę się przyznać, że całym sercem jestem zwolennikiem króla Chrystiana i że przybyłem do tego kraju, żeby popierać jego sprawę. Tak wielkie jest moje zaufanie do ciebie. A mogę ci powiedzieć też w zaufaniu, że w mieście Abo jest więcej, niż przypuszczasz, takich, którzy w cichości sprzyjają królowi Chrystianowi. Gdybyś jednak skuszony wysoką zapłatą miał mnie zawieść i zdradzić, pamiętaj, że już mi udzieliłeś wielu tajnych wiadomości o wojennych urzędzeniach i że łatwo mogę udowodnić, że wychyliłeś ze mną toast za zdrowie króla.

— Nie zdradzę was — odparłem ponuro — ale pozwólcie mi odejść, bo już jest późno i piłem za dużo wina, a mam jeszcze wiele do myślenia.

Nie zatrzymywali mnie, umówili się tylko ze mną na następne Spotkanie. Ale trudno mi było rozstać się z ich towarzystwem, jasnym blaskiem świec i światowym przepychem, który roztaczali wokół siebie. Zdawało mi się, że związały mnie z nimi mocne więzy. Nie rozumiałem jeszcze wtedy, iż były to śliskie sieci szatana, i sądziłem, że są to ludzie uczciwi, o godziwych zamiarach.

Nie będę się długo rozwodził nad tym, jak to pan Didryk, a szczególnie jego siostra podstępami i obietnicami zrobili ze mnie swego wiernego i posłusznego pomocnika, tak że przez wiele miesięcy pracowałem jako pisarz pana Didryka i pomagałem mu w niebezpiecznych knowaniach. Ale na swoją obronę muszę przytoczyć, że nie tyle myślałem o własnych przyszłych korzyściach, które pan Didryk odmalowywał w świetlanych kolorach, ile przekonywałem sam siebie, że w tajemnicy pracuję dla dobra ogółu i dla sprawy pokoju. Moje wyrzuty sumienia łagodziła też świadomość, że pan Didryk w niedługim czasie zadomowił się w Abo i zyskał sobie życzliwość nawet najbogatszych mieszczan, tak że zapraszano go na wesela i pogrzeby oraz do Gildii Trzech Króli, co było najwyższym zaszczytem, jaki mógł spotkać mieszkańca miasta. Nie uważałem więc, bym czynił coś złego, skoro mój chlebodawca i tak — w ten czy inny sposób — dowiadywał się, czego tylko chciał. Rozdawał on szczodre jałmużny klasztorowi Świętego Olafa i Szpitalowi Świętego Jerzego i wszyscy podziwiali jego uprzejmość. Nie zadzierał nosa i wcale nie uważał, by nawiązywanie rozmów ze strażnikami miejskimi, żeglarzami i prostymi czeladnikami było poniżej jego godności. I nie minęło sporo czasu, jak zaczął otwarcie wielbić króla Chrystiana i jego szlachetność. A gdy ktoś się na to obruszał, pan Didryk patrzył mu prosto w oczy i mówił:

— Szanuję wszelkie poglądy i uważam, że każdy ma prawo myśleć, jak chce, ale domagam się takiego samego prawa i dla siebie i mam do tego tym większe podstawy, że jestem cudzoziemcem. Przybywam z Kolonii i stoję poza waszymi sporami, toteż oceniam sprawę z szerszego punktu widzenia, niż ludzie osobiście w nie wmieszani.

Wszyscy musieli przyznać, że mówił mądrze i słusznie, jak przystało na szlachetnego i rycerskiego pana. Ale nawet najgłupszy i najbardziej naiwni twierdzili, że nie zna on Jutów, którzy są fałszywi i zdradzieccy i łamią wszelkie obietnice.

Przyjemne wspomnienia zachowałem też z naszych wspólnych wycieczek, bo żeby ukryć swoje zamiary, pan Didryk przedsiębrał liczne pielgrzymki do miejsc świętych w okolicach miasta. Pewnego razu pojechaliśmy z panną Agnes do Nadendal, gdzie chciała zakupić klasztorne koronki, uznawane za równie piękne jak flandryjskie. Jarzębina czerwieniła się już, jak to jesienią, a z brzoź opadały żółte liście.

Nie muszę mówić, jak zaślepiony i oczarowany byłem pięknnością i uprzejmością panny Agnes, ale zdawałem sobie sprawę ze swego skromnego stanu i zbyt byłem jeszcze młody i niedoświadczony, żeby ośmielić się choćby tylko podnieść na nią oczy. Gdy po powrocie z Nadendal chciałem, jak nakazuje przyzwoitość, pożegnać się z nią przed bramą gospody, zajrzała mi głęboka w oczy, ciężko westchnęła i rzekła:

— Czuję się taka słaba i zmęczona i pewnie uważasz, że jestem błada i brzydka, Mikaelu, ale mówiąc prawdę, bardzo już jestem znużona tym nudnym miastem i tymi zakutymi łbami, co tu żyją. Zajdź więc do mnie na chwilę, Mikaelu, i napij się ze mną wina, bo brat mój zostawia mnie samą całymi dniami i nie wiem już, co robić, żeby czas jakoś zeszedł.

Zaprowadziła mnie do swojej alkowy, gdzie pachniało wonnymi maściami jak w różanym ogrodzie. A gdy już sączyliśmy wino nagle wybuchnęła:

— Modłę się do Boga, żeby sprawa ta raz już się jakoś rozstrzygnęła. To wieczne czekanie bardzo mi dokucza. Wędrownie i niespokojne życie weszło mi w krew, tak że nie mogę długo przebywać w jednym miejscu. Czuję, że nie ma ze mnie żadnego pożytku w tym kraju, gdzie nie jest potrzebna moja zręczność, gdyż nawet najbardziej doświadczeni mężowie sami wsadzają głowy w pułapki zastawione przez mego brata. Ale teraz wiem już, że flota królewska stoi pod Sztokholmem, i każdej chwili możemy tu otrzymać wieść o bitwie, a wieść ta będzie sygnałem do działania, jeśli królowi nie uda się uniknąć rozlewu krwi za pomocą układów.

— Panno Agnes — powiedziałem — jakiż jest mój udział i nagroda w tym wszystkim? Co rano budzę się ze straszliwym bólem w piersi, ponieważ nie wiem, czy działam słusznie, czy niesłusznie, i chyba nie zniosę już długo badawczych i podejrzliwych spojrzeń, które ranią, mimo że nie oskarżają wprost. I jeśli w moim mieście rodzinnym popłynie krew, każda jej kropla palić mi będzie sumienie i nie zaznam już nigdy chwili spokoju.

Panna Agnes zaśmiała się dźwięcznie, dotknęła mojej szyi i rzekła:

— Masz szyję wątłą i chudą jak przystało pisarzowi, łatwo ją będzie ściąć. Czyś widział kiedy, by ktoś smażył jajka nie stłukłszy wpierw skorupki? Politykę można porównać ze smażeniem jajek i często by coś osiągnąć, trzeba zrobić porządną jajecznicę.

— To grzeszne i nieodpowiedzialne słowa — odparłem. — Żywy człowiek to nie jajko do zbiccia.

— Tak uważasz? — zapytała panna Agnes, miękko biorąc moją dłoń w swoje. — Z was, Finów, dziwnie doprawdy ślamazarne i mało przedsiębiorcze plemię i chyba to niemożliwe rozpalić was na dobre. Także i ty, Mikaelu, bardziej jesteś moim zdaniem wstydlivy niż czysty Józef. I chyba musiałam okropnie zbrzydnać i postarzeć się w tym przeklętym mieście, bo energiczny mężczyzna siedząc, tak jak ty, ze mną sam na sam w zamkniętej alkoWie i pijąc wino, powinien chyba znaleźć inne tematy do rozmowy niż jajecznica. Czy doprawdy nie rozumiesz, że bardzo jestem znużona, Mikaelu? Nie wierząc własnym uszom zapytałem:

— Czy rzeczywiście chce pani, panno Agnes, żebym nadużył jej zaufania, a także zawiódł jej brata, który powierzył mi pani honor i cnotę, żebym pani uchybił i wystawił ją na pokuszenie, które mogłoby się okazać silniejsze od nas obojga?

Zaniosła się takim srebrnym śmiechem, że i ja musiałem się uśmiechnąć mimo strachu. Rozburzyła mi włosy obu rękami i odparła:

— Doprawdy wspaniały i cnotliwy młodzieniec z ciebie, Mikaelu, zupełnie niewiarygodne zjawisko na tym niedobrym świecie. A może noszę pas wenecki dla ochrony cnoty? Nie masz przypadkiem ochoty przekonać się o tym?

Wtedy zacząłem drzeć na całym ciele i padłem przed nią na kolana.

— Panno Agnes — powiedziałem — jesteś piękniejsza i bardziej godna pożądania niż jakakolwiek inna kobieta, a twe wielkie zalety zdobyły me serce. Dlatego błagam cię, odpraw mnie stąd natychmiast i nie wódź mnie na pokuszenie, bo nigdy nie stanę się godny, by ci zaofiarować taką pozycję, do jakiej uprawnia cię twoje urodzenie, piękność i dobre wychowanie.

Zaśmiała się jeszcze serdeczniej i odrzekła:

— Mikaelu, niedobry i bezwzględny chłopaku, musiałeś domieszać jakiegoś niebezpiecznego lubczyka do mego wina, boś mi przecież opowiadał, że twoja przybrana matka zna się na takich tajemnych sprawach. Twoja bliskość podnieca mnie w sposób dziwny i przyjemny. A godziwe pieszczoty i igraszki między dobrymi przyjaciółmi są rozrywką nader niewinną i nie zobowiązują do niczego ponadto. Wierz mi, sztuka miłości jest sztuką cenną, która wymaga znajomości rzeczy i dużej praktyki, podobnie jak wszystkie inne pożyteczne i wartościowe umiejętności. Wiedzieli o tym już dawni Rzymianie i opowiadano mi, że pewien wielki rzymski poeta napisał podręcznik kochania. Zapomniałem, jak on się nazywał, był to albo Wergiliusz, albo Owidiusz, ale to obojętne. Wygląda na to, że jesteś zupełnie nie obeznany z tymi umiejętnościami i brak ci wprawy. Toteż uważam, że wyświadczę ci dużą przysługę, dając krótkie wskazówki w tej trudnej materii, która stanowi ósmą ze sztuk wyzwolonych i wcale nie najmniej ważną spośród nich, jakkolwiek nie nabywa się jej na uczonych uniwersytetach, lecz raczej w ich sąsiedztwie. Bądź zatem moim posłusznym uczniem, Mikaelu, a ja będę twoją mistrzynią, ażeby w ten sposób rozproszyć twoje podejrzenia i dręczące cię myśli. A robię to nie tylko dla własnej przyjemności, ale w imię dobrych uczynków.

Mówiła to tak szczerze i przekonywająco, że zupełnie zawróciła mi w głowie, bo bardzo byłem jeszcze młody i uległy. Ale sędzę, że i mądrzejszy ode mnie by jej uległ, bo była niezwykle doświadczona w swojej sztuce. Lecz nie zdążyliśmy dojść dalej jak do pierwszej lekcji kursu elementarnego i ledwie ją ukończyć, gdy dzwony na wieży katedry zaczęły nagle bić, a z rynku i z portu rozległ się ggiełk.

Panna Agnes natychmiast mnie puściła, odepchnęła od siebie i zaczęła spokojnie porządkować odzież. Ja zaś stałem drżący, nie wiedząc, co czynić.

— Coś się stało — powiedziała zimno i z opanowaniem. Próbowałem wyjąkać, że to może tylko zwyczajny pożar, ale w tejże samej chwili ktoś zastukał do drzwi, a gdy panna Agnes nie otworzyła ich natychmiast z rygła, pan Didryk zaczął walić w nie głównią miecza, sypiąc dzikimi przekleństwami.

— Przebóg! — wykrzyknął wpadłszy do izby, patrząc na nas oboje. — Jak wy wyglądacie i coście tu wyprawiali? Powiniennem zaiste zwalić cię mieczem na ziemię i zawlec za włosy pod pręgierz, moja nieobyczajna siostró. Ale nie mamy teraz czasu na takie głupstwa, bo musimy działać szybko. Do portu zawinał chyży żaglowiec, który przyniósł wieści, że król Chrystian poniósł klęskę pod Brannkyrka, obojętne, gdzie leży ta miejscowość. Jego wojska przechodzą wielkimi rzeszami na stronę Szwedów, on zaś próbuje załadować z powrotem na okręty, ile się da. Trudno powiedzieć, co w tej wieści jest przesadą i chełpieniem się, ale już śpiewają w kościołach „Te Deum” w szale radości z powodu zwycięstwa, a lud hałasuje na

rynku. Obrzucali mnie końskim łajnem, gdy się tu przedzierałem przez tłumy. Nasza uciążliwa robota poszła widocznie tym razem na marne, bo całe to przeklęte miasto wznosi okrzyki zwycięstwa i wierności dla młodego pana Sture i woła „Śmierć Jutom!”

— Panie Didryku! — zawołałem — co się stało, to się stało, i nie ma powodu wątpić, że taka była wola boża, choć nie mogę zrozumieć, jak Bóg może dawać zwycięstwo tym, którzy się naigrawają ze świętego Kościoła. W mieście i na zamku jest wielu takich, którzy pili zdrowie króla Chrystiana na wasz koszt. Zbierzmy ich i śmiało uderzmy w imię naszej słusznej sprawy.

Ale on odburknął:

— Na wojnie Bóg nie ma nic do gadania, rozstrzyga ilość broni i liczba walczących oraz zdolności wodzów. Żeby uratować honor i życie, nie ma innej rady, jak szybko wziąć nogi za pas. Mnie i mojej siostrze nie grozi wprawdzie żadne niebezpieczeństwo, bo jesteśmy gośćmi i cudzoziemcami, ale gorzej z tobą, Mikaelu.

Usiadł spokojnie, wychylił puchar wina panny Agnes i muskając rękojeść miecza, wpatrywał się we mnie z namysłem.

— Z tobą jest gorzej — powtórzył. — Znasz nazwiska wszystkich, którzy pili zdrowie króla. Honor i dobra sława zbyt wielu mężów spoczywa w twych rękach, żebym cię mógł oszczędzić, Mikaelu.

— Ależ panie Didryku! — wykrzyknąłem głęboko dotknięty. — Czy rzeczywiście sądzi pan, że zdradzę moje tajemnice, żeby uratować życie? Jeśli tak, myli się pan gruntownie i krzywdzi mnie pan głęboko.

— Człowiek jest tylko człowiekiem — odparł pan Didryk — i nikt nie może polegać na żadnym innym człowieku na całym szerokim świecie, prócz siebie samego, a i to tylko do pewnego stopnia. Tę nauzkę, którą niejednokrotnie i bardzo dotkliwie odebrałem w moim pełnym zmian życia, daję ci bezpłatnie, bo jesteśmy przyjaciółmi. Droga siostrze — ciągnął, zwracając się do panny Agnes, która już pakowała swoje rzeczy do sepetu — bądź tak dobra i wyjdź na chwilę do drugiej izby albo przynajmniej patrz w inną stronę, bo dla naszego wspólnego dobra zmuszony jestem zabić tego młodzieńca, choć czynię to bardzo niechętnie, gdyż będę musiał zapłacić właścicielowi gospody za czyszczenie dywanu.

Panna Agnes przelekła się, podeszła do mnie, poklepała mnie po obu policzkach i pocałowała w czoło. Dwie jasne łzy zaszkliły się w kąciakach jej oczu.

— Boli mnie, że musimy się rozstać w taki sposób, Mikaelu — rzekła — ale słyszałeś przecie, jak mądrze rozumuje mój brat.

Tak byłem zaskoczony tym szybkim rozwojem wypadków, że wciąż jeszcze nie mogłem uwierzyć, iż mówią poważnie.

— Panie Didryku — wyjąkałem — chce pan naprawdę zamordować mnie okrutnie i z zimną krwią? Jeśli nie boi się pan Sądu Ostatecznego i ogni piekielnych, to powinien pan przynajmniej żywić obawę przed sędziami ziemskimi i prawem kanonicznym, według których zostanie pan uznany winnym zabójstwa.

Pan Didryk zawahał się, ale jego piękna siostra szybko wtrąciła:

— Mogę łatwo i zręcznie znowu doprowadzić moje suknie do nieładu, a dla wszelkiej pewności rozerwać spódniczkę, bo bardzo mi się już sprykrzyła ta suknia. Wszyscy słyszeli, jak dobijałaś się do drzwi główną miecza i kłąłeś z gniewu, toteż uwierzą bez trudności, że zabiłaś chłopca, aby bronić czci i dobrego imienia twej siostry, gdy po pijanemu usiłował mnie zhańbić.

Ten straszny fałsz i wiarołomstwo wydały mi się tak nieprawdopodobne, że zdołałem zaledwie westchnąć „Jezus, Maria” i wpatrzyłem się w nich tak, jakbym widział ich po raz pierwszy. I dopiero teraz spostrzegłem, że cętkowana prochem twarz pana Didryka była podstępna i zbrodnicza, a panna Agnes nie była już taka młoda i uwodzicielska, jak to sobie wyobrażałem, opętany przez szatana. Włosy miała farbowane, twarz umazaną czernidłem do

brwi i czerwoną szminką, którą malowała wargi. Nagle zobaczyłem świat i życie ludzkie bardziej nagie niż kiedykolwiek przedtem i w chwili tej postarzałem się o wiele lat. Ale jeśli chcieli mi zapłacić fałszywą monetą, mogłem i ja oddać im pięknym za nadobne, gdy łuski opadły mi wreszcie z oczu. Dlatego też drżącą ręką wlałem sobie do pucharu ostatni łyk wina, spojrziałem im śmiało w oczy i rzekłem bezczelnie:

— Panie Didryku i panno Agnes, pozwolicie mi może wychylić jeszcze ten ostatni toast za całe zło, fałsz i niegodziwość, które daliście mi tak dobrze poznać. Ale żeby wykazać wam, że byłem rzeczywiście dobrym waszym uczniem, muszę wyznać, że nie dowierzałem wam tak całkiem bez zastrzeżeń. Nie mam też zbyt wysokiego mniemania o dziewictwie i czci panny Agnes. Tylko moje ciepłe uczucia dla niej powstrzymują mnie od tego, by powiedzieć, że jest ona zwykłą ladaczną.

Panna Agnes zbladła, a jej brązowe oczy zaczęły sypać skry:

— Nie zwlekaj dłużej, Didryku, mój ukochany — wykrzyknęła. — Zamknij mu te bezwstydne usta i przebij go mieczem, abyśmy zdążyli wyjechać z tego niewdzięcznego kraju, póki czas. I nie bój się zranić moich uczuć, bo nigdy nie bałam się widoku krwi, i widok ten, przeciwnie, podwoi moją miłość do ciebie.

Ale pan Didryk patrzył na mnie badawczo, próbując z roztargnieniem ostrze miecza na paznokciu kciuka.

— Daj chłopcu mówić — rzekł — bo rzadko kiedy słyszałem tak mądre słowa, i rośnie on w moich oczach, mimo że nie ma jeszcze wielu lat na karku. Słucham cię, Mikaelu. Zdaje mi się, że istotnie musisz mieć coś w zanadrzu, bo inaczej nie ważyłbyś się wypowiadać tak bezczelnych słów..

— Panie Didryku — odparłem — ponieważ jestem do tego zmuszony, będę szczery wobec pana. Dla spokoju ducha, a także podejrzewając, że pańskie zamiary nie są całkiem czyste, powierzyłem w ręce zacnego ojca Piotra w klasztorze Świętego Olafa pisemne zeznanie, w którym dokładnie zdałem sprawę z wszystkich pańskich poczynań, a nadto wymieniłem po imieniu wszystkich, którzy pili zdrowie króla Chrystiana. Tajemnica spowiedzi zabrania ojcu Piotrowi otworzyć zapieczętowane pismo, ale gdyby spotkało mnie coś złego, ma on pełnomocnictwo dać biskupowi do przeczytania to, co napisałem. Prawdę mówiąc, uczyniłem to tylko dlatego, żeby uratować własną skórę, gdyby plany wasze zostały udaremnione, ale teraz widzę, że papier był mi potrzebny bardziej, niż mogłem przypuszczać.

— Czy to prawda? — spytał pan Didryk gwałtownie. Ale ja spojrziałem mu nieulękle w oczy, a on sądząc według siebie, gotów był w to uwierzyć. Westchnął głęboko, włożył miecz do pochwy i wykrzyknął z kwaśnym uśmiechem.

— Mam nadzieję, że zapomnisz mi mój żart i wybaczysz, iż wystawiłem twoją wierność na tak ciężką próbę. Rozumiem teraz, dlaczego tak pilnie robiłeś notatki. I nawet gdybyś kłamał, nie mogę sobie pozwolić na ryzyko.

Panna Agnes zaczęła gorzko płakać i zawołała:

— Zdradził nas ten niewdzięczny chłopiec, który przed chwilą o mało co mnie nie uwiódł. Nigdy bym się po tobie czegoś takiego nie spodziewała, Mikaelu. Wyobrażałam sobie, że jesteś dobrym i łatwowiernym młodzikiem i z całego serca pragnęłam, żebyś młodo i z czystym sercem mógł wstąpić do rajszych ogrodów. Zbyt późno się przekonałam, że byłeś tylko węzem, którego karmiliśmy na naszym łonie.

Lecz pan Didryk ofuknął ją:

— Zakryj piersi i stul gębę, suko! Dużo zawdzięczamy Mikaelowi i w tej sytuacji powinniśmy przynajmniej zabrać go na nasz statek i dopilnować, żeby w dobrym zdrowiu wyjechał za granicę w oczekiwaniu na lepsze czasy, na dzień, gdy będzie mógł wrócić do domu w blasku chwały i zwycięstwa. Zostańmy więc przyjaciółmi i współnikami, Mikaelu, bo to najlepsze, co możemy zrobić, i zadowol się na -razie kilku sztukami złota, zważywszy, że moje pieniądze są na wyczerpaniu. Zabiorę cię na kontynent, gdzie będziesz mógł

przeczekać burzę, zapisawszy się na jakiś uniwersytet, i obiecuję zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby król Chrystian przyznał ci zasiłek na studia, gdyż możesz jeszcze okazać się bardzo dla niego i dla swej ojczyzny pożyteczny.

Było to więcej, niż się spodziewałem, bo w gruncie rzeczy chodziło mi przecież o ujście z życiem. Zerknąłem na miecz pana Didryka, który, jak mi się zdawało, siedział luźno w pochwie, i powiedziałem:

— Szlachetny panie Didryku, będę panu zawsze wdzięczny, jeśli dopomoże mi pan spełnić moje największe marzenia. Zapomnijmy więc rzeczywiście o wszystkich tych żartach i otrząśnijmy z naszych stóp proch tego miasta, póki jeszcze czas.

W porcie stoi lubecki statek i mówiąc prawdę, wykupiłem już .na nim miejsca dla siebie i dla mojej siostry. Odpływają jutro, jeśli dopisze pogoda. To całkiem naturalna rzecz, jeśli mój wierny pisarz uda się wraz z nami w podróż, żeby pogłębiać swoją wiedzę w obcych krajach, i nikt nie może powiedzieć o tym nic złego. Przyjdź więc jutro o świcie do portu i, jak Bóg pozwoli, spotkamy się na pokładzie.

Powiedział to tak spokojnie, że nabrałem podejrzeń i wykrzyknąłem:

— Przed chwilą wspomniał pan w swej wielkiej dobroci o sztukach złota, panie Didryku. A skoro pan sam mnie zachęca, by mówić szczerze, spytam, czy nie zechciałby pan mi dać tych pieniędzy od razu, bo znalazłbym się w ciężkich opałach, gdyby zaszły jakieś przeszkody i nie mielibyśmy się już spotkać.

Ale podejrzeniami mymi krzywdziłem pana Didryka, bo gdy już raz coś postanowił, dotrzymywał słowa. Zresztą i jemu zależało na tym, aby mnie z sobą zabrać, przynajmniej tak samo, jak i mnie. Toteż nie targując się, odliczył mi zaraz pięć papieskich dukatów i trzy reńskie guldeny oraz sporo srebrnych monet na dodatek, tak że nagle stałem się bogatszy niż kiedykolwiek przedtem.

W doskonałym humorze opuściłem gospodę tylnymi drzwiami i zdołałem dotrzeć do chaty pani Pirjo, nie napotkawszy nikogo. Mojej przybranej matce oświadczyłem, że pan Didryk zmuszony jest z powodu niecierpiących zwłoki spraw wyjechać z Abo i że ofiarował się zabrać mnie z sobą za granicę i pomóc w dostaniu się na jakiś uniwersytet. Nie wiedziałem jeszcze, dokąd się udam — do Rostoku, Pragi czy aż do Paryża. Ale, jak ją zapewniłem, jest to największe szczęście, jakie mogło mnie spotkać, i prosiłem, żeby mnie możliwie szybko przygotowała do podróży. A ona nie sprzeciwiała się moim planom, lecz raczej wyglądało na to, że odczuła ulgę, co mnie zdziwiło, gdyż nie przypuszczałem, że wie coś o knowaniach mojego pana.

Następnie pożyczyłem łódkę i aby uniknąć rozpalonych zwycięstw tłumów, popłynąłem rzeką do klasztoru, bo pragnąłem przede wszystkim pomówić z ojcem Piotrem i wypowiedzieć się, gdyż nie chciałem opuszczać ojczyzny z tak czarnym sumieniem.

Pora nowenny już minęła i ojciec Piotr spotkał się ze mną przy bramie klasztoru. Wybierał się do miasta, żeby wziąć udział w świętowaniu zwycięstwa, ale gdy usłyszał o całej sprawie, zaprowadził mnie na szczyt wzgórza i wysłuchał mojej spowiedzi. Gdy mówiłem, że gnał się wielokrotnie znakiem krzyża, w końcu zaś powiedział:

— Sądziłem, że pan Didryk to dobry chłop, ale jak widać, jest to zatwardziały łotr i pomocnik diabła. Dzięki opatrności wszystko obróciło się jednak na dobre i twoje nadzieje się spełniają. Droga, którą otwiera się przed tobą, jest wprawdzie trudna i bardziej usiana cierniami, niż to sobie wyobrażasz, bo wielu szło już w świat szukać wiedzy, by już nigdy nie wrócić. Uważam, że postąpiłeś bardzo głupio i nierozważnie, jeśli chodzi o sprawy królestwa, ale chętnie wierzę, że w młodszej przekorze chciałeś jak najlepiej. Jeśli zaś chodzi o Kościół, to według mego skromnego rozsądku, niczym nie zawiniłeś, lecz przeciwnie — miałeś chwalebne zamiary, toteż jest w mojej mocy dać ci zupełną absolicję, choć wzywam cię, żebyś dla zbawienia duszy modlił się w każdym świętym miejscu, jakie leżeć będzie na twej drodze.

Przejęty głębokim żelem i skruchą, ucałowałem zatłuszczony rąbek jego habitu, gdy wtem przypomniałem sobie, że w pośpiechu nie opowiedziałem mu o lekcji, którą mi dała panna Agnes. Zrozumiałem teraz, że był to mój największy grzech, i według najlepszych możliwości opisałem, co się stało. Ojciec Piotr słuchał uważnie i stawiał wiele pytań, żeby zupełnie wyjaśnić całą sprawę. W końcu westchnął i powiedział:

— Stałeś się ofiarą uwiedzenia, Mikaelu, i trudno było oczekiwać, żebyś przy swoim młodzieńczym niedoświadczeniu mógł się oprzeć tak wielkiej pokusie. Nawet i ja sam chyba też bym się nie oparł grzechowi. Przechodząc do spraw praktycznych, o których nie wolno nam zapomnieć, wzywam cię, idź natychmiast do mistrza Marcina i poproś go o list polecający i świadectwo ukończenia szkoły. Ja zaś zaraz po niesporach przyjdę do ciebie do domu, abyśmy pod dobrą opieką pani Pirjo mogli pomodlić się i wspólnie czuwać, gdy będziesz się przygotowywał do decydującego kroku w twoim życiu.

Jego dobre rady i pociechy oczyściły mi umysł, choć wciąż jeszcze truchlałem na myśl, że mam stanąć przed mistrzem Marcinem. Ale i on przyjął mnie z uśmiechem i wesoło, a jego blade zwykle policzki rumiane były od wina. Wielce się zdziwił i ucieszył na wieść o moim zamierzonym wyjeździe, nie śmiał jednak wydać mi rekomendacji i świadectwa bez zezwolenia biskupa i poprosił, żebym poszedł wraz z nim do biskupiego pałacu przedstawić moją prośbę.

Poszliśmy więc wzdłuż murów katedry i Szpitala Świętego Jerzego do biskupiego dworca i już z daleka poczuliśmy dochodzące stamtąd smakowite zapachy. Zatrzymałem się na progu z czapką w rękę, a mistrz Marcin wszedł do środka, żeby przedstawić moją prośbę. W chwilę potem wrócił, żeby zaprowadzić mnie przed oblicze surowego biskupa. A biskup Arvid Kurk też był w znakomitym humorze i zaczął natychmiast wspominać, jak to sam kiedyś jako beanus ze śpiewem wędrował po europejskich drogach, choć miał możną rodzinę i kościelną prebendę.

Zastanawiał się tylko nad wyborem odpowiedniego dla mnie uniwersytetu. Mistrz Marcin usiłował wspomnieć o Rostoku, który leżał najbliżej, i napomykał, że stamtąd zawsze mógłbym się jakoś dostać do domu, gdyby przycisnęła mnie bieda. Ale biskup kazał mu zamilknąć i rzekł:

— Czasy są tak kiepskie, że nie mogę zalecić żadnego z uniwersytetów niemieckich, gdzie w najlepsze szerzą się herezje z Wittembergi, i młodzieniec mógłby tam ponieść szkodę na duszy. Nie, żaku Mikaelu, jeśli tylko ci się to uda, powinieneś starać się dostać na dostojny uniwersytet w Paryżu, na mój uniwersytet, gdzie ja i wielu innych, którzy zasiadali na biskupim stolcu w Abo, ongiś zdobywało swoje wiadomości.

Surowy biskup zagłębiłby się zapewne we wspomnieniach, gdyby mistrz Marcin nie zdobył się na śmiałość i nie poprosił o pismo polecające dla mnie. Obawiał się bowiem, że po uczcie biskup nie zdoła utrzymać w palcach gęsiego pióra. Wtedy biskup Arvid już bez stawiania mi dalszych pytań postanowił, że mam się zapisać na uniwersytet w Paryżu i podyktował w swoim imieniu list, polecając mnie uczonym mężom uniwersytetu i wszystkim ludziom dobrej woli.

— Mikaelu — rzekł — kiedy już znajdziesz dobrego preceptora i zostaniesz jego uczniem jako beanus, otrzymasz natychmiast wszystkie prawa i przywileje uniwersyteckie. Ale pamiętaj, że wielu już weszło na tę drogę, by nigdy nie wrócić, i wielu wróciło złamanych na ciele i duszy, oddawszy się w tym niebezpiecznym mieście raczej siedmiu grzechom głównym niż siedmiu sztukom wyzwolonym. Lecz jeśli dołożysz najlepszych starań, zostaniesz dopuszczony do dysputy i w swoim czasie uzyskasz godność bakałarza, wtedy poważnie zastanowię się, co będę mógł zrobić dla ciebie. Niech ten pierwszy egzamin będzie dla ciebie kamieniem probierczym i niech rozstrzygnie, że jesteś z hartowanej stali, a nie z giętkiego żelaza.



Dręczyła mnie myśl, co zacny biskup i mój nauczyciel, mistrz Marcin, pomyśla, gdy usłyszą o moich tajnych knowaniach na rzecz Jutów, gdyż nie wątpiłem, że tego rodzaju słuchy wnet się rozejdą. Ale podziękowałem mu kornie i z całego serca, wzruszony do łez, a także i dobry mistrz Marcin nie mógł się powstrzymać od płaczu. Biskup Arvid też się w końcu wzruszył i powiedział:

— Powołuj się na mnie, drogi chłopcze, gdybyś się znalazł w trudnościach lub gdyby choroby osłabiły twoje siły, bo bez przechwałek mogę stwierdzić, że byłem kiedyś jednym z najbardziej znanych fińskich studentów na uniwersytecie w Paryżu. Toteż nie wątpię, że powołanie się na mnie i dziś jeszcze może ci zapewnić dobry posiłek czy puchar wina na kredyt „Pod Głową Świętego Jana” albo „Pod Płaszczem Magistra”, choć już wnet będzie dwadzieścia lat od owych czasów. A żeby okazać ci moją przychylność w bardziej namacalny sposób niż samymi tylko słowy, dam ci do kasy podróźnej mały przyczynek na pierwsze tygodnie.

To mówiąc, zaczął grzebać w dobrze wypchanym mieszku i dał mi trzy lubeckie guldeny, w tym jeden oberżnięty. Mistrz Marcin tak się tym wzruszył, że i on z kolei obdarzył mnie trzema srebrnymi monetami. Tak to ja, który powinienem właściwie znaleźć się w lochu albo pod pręgierzem, doznałem samej tylko życzliwości ludzkiej i zrozumienia, a mój gorzki żal wypalił resztki pychy i samolubstwa, tak że przepełniły mnie same tylko szlachetne postanowienia.

W chacie pani Pirjo panowała uroczyista cisza, a stół był zastawiony napitkami i smakołykami, których starczyłoby dla całego sąsiedztwa. Opiekunka moja napełniła duży worek różnaitą żywnością na drogę, a do poobijanej podróźnej skrzynki, którą przyniósł dla mnie w prezencie mistrz Wawrzyniec, włożyła odzież i wiele zmian bielizny, na samym zaś wierzchu moją zniszczoną książkę „Ars moriendi”. Sam mistrz Wawrzyniec siedział w kącie, wsparłszy łokcie na kolanach, podziękowałem mu więc za jego dar, choć wzdrygnąłem się w duchu na myśl, jakie to przyrzady woził w tej skrzynce z gminy do gminy. W drugim kącie siedział Antti z twarzą schowaną w dłoniach, sądziłem więc, że się dąsa z powodu mego wyjazdu, ale później okazało się, że miał on całkiem inne zmartwienia.

Po niesporach pojawił się ojciec Piotr. Pożyczył on pieczęć klasztorną i w imieniu zakonu polecił mnie wszystkim kongregacjom czarnych braci, aby w drodze udzielały mi wieczerzy i noclegu bez zapłaty, ponieważ jestem bogobojnym i dobrze ułożonym młodzieńcem zdążającym do Paryża, do źródeł wiedzy.

— Podpisałem ten list własnym imieniem — rzekł nabożnie — nie jest to więc żadne fałszerstwo, lecz legalny dokument, i nie zdaje mi się, by ktoś mógł sobie przypomnieć, kto aktualnie jest opatem małego klasztoru w dalekim kraju. Mam nadzieję, że ten papier zaoszczędzi ci wielu srebrnych monet w podróży. Możesz go spokojnie pokazywać w każdym klasztorze, bez względu na kolor habitów braciszków, bo Pan nie przywiązuje wagi do tego, czy jego owieczki są czarne, szare czy brązowe, a ty sam jesteś przecież człowiekiem świeckim.

I niewiele więcej mam do opowiedzenia o tym smutnym wieczorze. Płakaliśmy wszyscy, a pani Pirjo gładziła mnie po włosach i pokazała mi szkatułkę z lekami, którą włożyła do mojej skrzyni podróźnej. Szkatułka była schludnie pomalowana na czerwono i zielono i zawierała jej najlepsze lekarstwa od gorączki, dreszczów, kaszlu i biegunki. Nie zapomniała też o niedźwiedzim sadle i zajęczym tłuszczu; znalazła się tam również drogocenna driakiew. Był tam także mały rożek, napełniony silnie pachnącym płynem, a pani Pirjo szepnęła mi do ucha: — Mikaelu, mężczyźni są mężczyznami i choć jeszcze nie zmeżniałeś, i ty zostaniesz mężczyzną, bo wyjeżdżasz na wiele lat. Nie wiem, czy postępuję słusznie, czy też nie, ale napełniłam ten rożek najsilniejszym lubczykiem, jaki znam. Kilka kropel w winie lub miodzie uczyni powolną nawet najnotliwszą kobietę.

Po wielu radach i przestrożach dała mi jeszcze pięć dużych groszy srebrem i doradziła, żebym wymienił je na złoto w jednym z uczciwych domów handlowych w Lubece. Kazała mi tylko uważać, żeby mi nie wsadzono monet z uszkodzonymi brzegami czy napisem, bo wekslarze znani byli z obrzynania monet.

Nie wstydę się przyznać, że czułem się jak mokra szmata, widząc, jak wszyscy byli dla mnie dobrzy, choć wcale na to sobie nie zasłużyłem. Jeszcze długo po północy modliliśmy się i czuwaliśmy wspólnie, ale o jutrzni ojciec Piotr i mistrz Wawrzyniec usnęli jak bracia na łożu pani Pirjo, a Antti zapodział się nie wiadomo gdzie.

Gdy pierwszy niepewny blask jesiennego brzasku przeniknął przez zielone okienko, byliśmy już wszyscy gotowi. Ojciec Piotr i mistrz Wawrzyniec na chwiejnych nogach ponieśli mój kuferek do portu, ja dźwigałem na grzbiecie worek z żywnością, a pani Pirjo niosła mój tobołek. Czerwieniło się na wschodzie, gdy pomogli mi wsiąść na statek, obsypując na pożegnanie wielu dobrymi radami i błogosławieństwami, i jeszcze z pokładu widziałem, jak machali do mnie dłońmi na pożegnanie. Widziałem czarny habit ojca Piotra, szarą spódnicę pani Pirjo i rdzawoczerwony kaftan mistrza Wawrzyńca. Widziałem potężną wieżę katedry, niskie domki miasta, zielononiebieskie łany kapusty i długie szeregi tyk chmielowych na stokach wzgórza. Wielki statek płynął z wiatrem w dół rzeki na małym żaglu i gdy przepływaliśmy pod ponurymi murami zamku, odmówiłem gorącą modlitwę i pożegnałem się z moim dotychczasowym życiem, by zacząć wędrówkę ku nowym nie znanym losom. Tak to wyjechałem z miasta Abo i mam doprawdy dobre powody, żeby zacząć nową księgę, w której opowiem o tym, jak mi poszło, gdy spróbowałem wziąć swoje życie we własne ręce.

## CZEŚĆ TRZECIA

### ALMA MATER

1

Pan Didryk i jego siostra mieszkali w wysokim kasztelu na rufie. Każde z nich miało wygodne miejsce do spania i można tam było także siedzieć, a nawet stać prosto, jeśli się uważało, by nie uderzyć głową o belki pułapu. Ja natomiast musiałem sobie dawać radę na własną rękę, ale pan Didryk doradził mi, żebym się zaprzyjaźnił z intendentem statku, a ten Lubeczanin o byczym karku, istotnie pozwolił mi ulokować się wraz z rzeczami w małej komórce koło kambuza, co uchroniło mnie od spania razem z marynarzami — jeśli w ogóle znalazłoby się dla mnie miejsce w ich kubryku. Ale właściwie wszystko to było mi całkiem obojętne, bo gdy tylko znaleźliśmy się wśród szkerów, przybrzeżnych wysepek i zaczęli kolebać na lśniących zielonych falach, świeża morska bryza zdmuchnęła wszystkie moje troski i poczułem, jak serce nabrzmiewa mi radością, weselem i otuchą.

Wielka jednak ogarnęła mnie zgroza i zdawało mi się, że oglądam ducha, gdy w biały dzień pod wydętymi potężnymi żaglami ujrzałem, jak z jednego z niezliczonych zakamarków statku wynurza się mój druh Antti, drapie się w kudłatą głowę i zaspanymi oczami rozgląda dokoło siebie po pochyłym pokładzie.

— Jezus, Maria! — wykrzyknąłem. — A co ty tu robisz, Antti? Jak się tu dostałeś? Czyś wśliznął się na statek, żeby odespać przepicie? Skacz natychmiast do wody i płyn do brzegu, póki jeszcze jesteśmy między szkerami!

A on odparł:

— Dostałem się na statek legalnie i płacę za przejazd, pomagając bosmanowi i kowalowi jak na rzetelnego czeladnika przystało. Czas już, żebym poszedł w świat doskonalić się w zawodzie kowala, najznamienitszym i najważniejszym na świecie, jak to często słyszałem.

Toteż wyruszam wraz z tobą z kraju moich ojców bez zbytniego żalu, bo kraj ten dał mi więcej głodu niż chleba i więcej ostrych słów i przekleństw niż ciepła na zapiecku.

— Antti, ty głuptasie! — powiedziałem — wracaj mi zaraz z powrotem! Może twój mistrz ci jeszcze wybaczy, jeśli pokornie go przeprosisz, żeś uciekł.

On jednak odrzekł z uporem:

— Nie mam po co wracać i wcale nie pragnę dostać kuli w pierś. Moje sprawy przybrały taki zwariowany obrót, że gospodarz spod „Trzech Koron”, zaślepiony przez diabła, nastaje na moje życie i trzyma na mnie w pogotowiu pod szynkwasem nabitą fuzję i płonący lont.

— Dlaczegoż on chce twojej śmierci? — spytałem zaskoczony. — Myślałem, że jesteś najwierniejszym przyjacielem tego domu, widząc, jak szynkarka gładzi cię po policzku, gdziekolwiek cię zobaczy, i jak całe wieczory spędzasz w ich kuchni i zjadasz wszystkie resztki po gościach.

Antti popatrzył na mnie poważnie szarymi poczciwymi oczami i odparł:

— Mikaelu, jeśli ci życie miłe, nie pozwól nigdy kobiecie gładzić się po policzkach, bo nic dobrego z tego nie wynika. W najlepszych i najbardziej niewinnych intencjach zaprzyjaźniłem się z szynkarką spod „Trzech Koron”, a raczej to ona szukała mojej przyjaźni od chwili, gdy dzielnie broniłem jej czci i cnoty przed bandą rabusiów. I nie widziałem w tym nic złego, dopóki, jak żona świętego Putyfara, o której słyszałem w kazaniach mnichów, nie zażądała ode mnie, żebym szedł z nią do łóża, gdy tylko małżonek jej, szynkarz, odwrócił oczy w inną stronę.

— Antti — zgorszyłem się — cudzołóstwo jest okropnym grzechem! Nigdy bym cię nie podejrzewał o coś tak złego.

Antti odparł z wymówką:

— Skąd miałem wiedzieć, jak się to czy owo nazywa? Jestem posłusznym chłopcem i robię, co mi każą. Niestety przyłapał mnie gospodarz w chwili, gdy spełniałem wolę jego żony, i nie pozostało mi nic innego, jak wsadzić go do tej samej dzieży, z której go już raz wyciągnąłem. On zaś tak się rozwścieślił i miotał, choć jest chudy jak szczapa, że musiałem przywalić pokrywą beczką solonego mięsiwa. Wtedy wściekł się jeszcze bardziej. I ledwie wydostał się z dzieży, pożyczył od rady miejskiej fuzję, żeby „przeszkodzić obcym w oraniu i obsiewaniu jego pola”, jak to tłumaczył rajcom. Musiałem więc stamtąd odejść. Na szczęście ostatniej nocy żona jego ze łzami w oczach dała mi porządny worek jadła, tak że w czasie żeglugi na morzu nie będę musiał umrzeć śmiercią głodową. A na lądzie mocny chłop zawsze jakoś zarobi na chleb.

Nie robiłem mu już więcej wymówek, bo co się stało, tego nie można odrobić, i człowiek czyni najlepiej patrząc w przyszłość. Nie mogłem się tylko dość nadziwić, w jak znamienne sposób splecione z sobą były nasze losy. Tego samego dnia, a może być i o tej samej godzinie, Antti w sąsiednim domu narażony był na równie wielkie niebezpieczeństwo jak to, które groziło mi ze strony pana Didryka. Przyszło mi na myśl, że widocznie intencją Stwórcy jest, abyśmy podróżowali razem. Przypieczętowaliśmy to uściskiem dłoni, ale żaden z nas nie mógł przewidzieć, że ten pakt zwiąże nas na długo i uczyni nierozłącznymi.

2

O podróży morskiej opowiem jeszcze tylko tyle, że w ciągu następnych trzech tygodni przeżyliśmy dwie burze, które bezbożni marynarze statku nazywali wprawdzie małymi, ale w czasie których, gdy statek kładł się na boki, żagle huczały a wiatr świszczwał w rejach i każda deska żałośnie piszczała, jak gdyby chcąc wyrwać się z kadłuba, zanosilem pobożne modły o uratowanie życia. Aż wreszcie zachorzałem tak ciężko, że nie miałem już nawet siły się modlić, i tylko tęskniłem do domu, a pręgierz wydawał mi się lepszy od trzeszczącego pokładu.

Gdy na horyzoncie pojawił się, jak biała chmurka, obcy statek, otwierano strzelnice dział, zapalano lonty i z wielkim lękiem przyglądaliśmy się zbliżającym się żeglarzom. Ale na szczęście nie natknęliśmy się na piratów, choć marynarze zapewniali, że między Gotlandią i Osel roi się od nich jak od wszy pod pachą u żebraka. W końcu bez opóźnienia przybyliśmy w dobrym zdrowiu do portu w Lubece.

Pan Didryk był dla mnie znowu życzliwy i usiłował mnie namówić, żebym jechał z nim do Kopenhagi, gdzie obiecywał mi wielkie honory, pieniądze i łaski króla Chrystiana. Ale ja dostałem zdrową nauczkę za moją młodzieńczą lekkomyślność i niebezpieczne życie poszukiwacza szczęścia nie nęciło mnie, gdy otwierały się przede mną dostojne bramy wiedzy i nauki. Toteż podziękowałem panu Didrykowi wielu pięknymi słowy, on zaś obiecał zachować mnie w pamięci, gdyby czasy zmieniły się na lepsze.

Z powodu kłopotów z moimi tobołkami, które miały mi umożliwić pobyt i utrzymanie w Paryżu, musiałem przyłączyć się do paru kupców udających się do Hamburga. Za dobrą zapłatę pozwolili mi oni załadować sepet i worek z żywnością na swoje wozy. Dopiero w parę dni później zrozumiałem, że pobożni kupcy chętnie zabraliby mnie bezpłatnie, ponieważ sami wieźli bardzo cenne towary i chcieli w swoim orszaku mieć jak najwięcej mężczyzn dla własnego bezpieczeństwa. Ale wtedy było już naturalnie za późno żałować głupoty.

Niedługo opuściliśmy także i Hamburg i powędrowaliśmy dalej przez żółte pola i rwące rzeki. Z każdym dniem krajobraz stawał się pogodniejszy i bardziej słoneczny. I nie mogłem się nadziwić urodzajności niemieckiej ziemi i liczbie, i bogactwu niemieckich miast. Bo nie minął nawet cały dzień wędrówki, jak już znów szubienica na wzgórzu ostrzegała, że zbliżamy się do gęsto zaludnionej miejscowości, gdzie prawa są przestrzegane.

Z powodu złej pogody zatrzymaliśmy się na kilka dni w zacnym mieście Kolonii nad majestatycznym Renem. Błogosławiłem tę zwłokę, bo pozwoliła mi opatrzyć stopy i zapewnić sobie sto dni odpustu przez odmówienie modlitwy w katedrze. Widzieliśmy już z Anttim wiele miast i kościołów, ale na widok tej wspaniałej świątyni zapomnieliśmy obaj języka w gębie i poczuliśmy się jak nędzne robaki, patrząc na ginące w chmurach iglice wież. Zdawało mi się, że całe miasto Abo, wraz z twierdzą, i mieszkańcami, mogłoby się zmieścić pod sklepieniem katedry, i wcale się nie dziwiłem, że chorzy, ślepi i kaleki doznawali tu cudownych uleczeń modląc się w tym świętym miejscu, gdyż nigdy chyba jeszcze nie czułem się bliżej boskiej wszechmocy niż w tej olbrzymiej katedrze i nie mogłem prawie pojąć, jak nieudolne ludzkie ręce potrafiły ją zbudować.

W Kolonii powierzyłem mój kufer kupcowi, który okrężną drogą jechał do Paryża, a sam powędrowałem dalej we dwójkę z Anttim, bo jesień zrobiła st-ę już późna. Dotarliśmy do Burgundii i do Francji i zaczęliśmy mieć trudności z językiem, ale w każdym mieście i w każdej wiosce spotykaliśmy bogobojnych księży i mnichów, którzy chętnie nam dopomagali, jako że mówiłem po łacinie. Konieczność okazała się dobrym nauczycielem i niebawem umiałem już mówić łamaną francuszczyzną, bo miałem dobre ucho do nauki języków, i spostrzegłem, że łacina była matką francuskiego, jakkolwiek przebranie córki zrazu wprowadzało w błąd. Wędrowaliśmy przez jasne lasy bukowe, w pogodne dni słońce przeświecało przez błyszczącą mgiełkę i oglądało się krajobraz jak poprzez cieniutki welon, tak że człowiekowi zdawało się, że śni lub ogląda miraż. Na Wszystkich Świętych zobaczyliśmy przed sobą ze wzgórza Montmartre wieże i dachy Paryża, ujęte w zielone ramiona Sekwany, i padliśmy na kolana, żeby podziękować Bogu, iż doprowadził nas zdrowych i całych tak daleko od ojczyzny. Lekkiymi krokami pospieszyliśmy potem w dół stromego zbocza i wtedy zrozumiałem, co odczuwał Mojżesz, gdy patrzył ze szczytu góry na Ziemię Obiecana.

Ale za wcześnie odmówiliśmy dziękczynne modły, bo niedużo brakowało, żeby stało się z nami to co z Mojżeszem, który nigdy nie wszedł do Ziemi Kananejskiej, albowiem banda żebraków i rabusiów napadła nas niespodziewanie z zasadzki wśród kasztanów na zakręcie

drogi, grożąc kijami, kamieniami i nożami. I nie wątpię, że z zimną krwią byliby nas zabili i ograbili oraz ukryli w krzakach nasze nagie zwłoki, gdyby siła Antiego nie była tak olbrzymia, że kilku ciosami kostura zmusił do ucieczki całą bandę, która zbiegła z krzykiem i narzekaniem, przekonana, że napadła na samego diabła. Wtedy jednak leżałem już krwawiąc na gościńcu, zraniony w głowę kamieniem, i nie mogłem podnieść się o własnych siłach. W ten sposób Antti uratował mi życie po raz drugi.

Byłem rzeczywiście tak ogłuszony ciosem, że nie odczuwałem nawet żadnych silniejszych bólów. Zdawało mi się tylko, że słyszę bicie dzwonów i śpiewy anielskie. Oto najlepszy dowód, jak blisko byłem wtedy bram raju. Wspierając się na Anttim, pokuśtykałem dalej ścieżką, kawałek drogi niesiony na jego silnych ramionach.

U bram Paryża zostaliśmy zatrzymani przez strażników, którzy nie chcieli wpuścić nas do miasta, bo byłem ranny i pokrwawiony, skutkiem czego te zakute łby ubrdały sobie, że jestem złoczyńcą. Musiałem wielokrotnie przedstawiać moją sprawę i na próżno próbowałem zmiękczyć ich serca, bo na pewno byliby nas zamknęli, gdyby nie przyszedł nam z pomocą stary bosonogi mnich. Obejrząwszy moje papiery, zaręczył za mnie i moją reputację. Bardzo życzliwie zaprowadził nas przez wyspę na drugi brzeg rzeki, gdzie leżała dzielnica uniwersytecka, i wskazał nam skromną gospodę nad brzegiem Sekwany, gdzie mogliśmy przenocować i opatrzyć rany.

Rozczochrana oberżystka przywykła jak widać do oglądania porozbijanych czaszek. Nie proszona przyniosła gorącej wody i lnianych szarpii, a na moją prośbę zebrała z kątów pajęczyny i pleśni, aby mi opatrzyć ranę. Gdy potem wypilem puchar wina, poczułem się lepiej i przeszedł mi zawrót głowy. Ale anielski śpiew dźwięczał mi uparcie w uszach jeszcze przez wiele dni.

Dużo doznałem pomocy od naszej dobrej gospodyni, która karmiła, poila i gościła u siebie wielu studentów i wiedziała, od czego -mam zacząć i do kogo się zwrócić, żeby zostać zapisanym na uniwersytet.

Przede wszystkim musiałem wybrać sobie preceptora, którego wykładów chciałem słuchać, aby w swoim czasie móc w jego szkole dostąpić dysputy na pierwszy stopień naukowy. Z przywilejów uniwersyteckich korzystało się jedynie wtedy, gdy się było wychowankiem preceptora, bo tylko mistrzowie i nauczyciele decydowali w sprawach nacji. Moją nacją była alemańska, do której należeli wszyscy urodzeni poza granicami Francji, musiałem więc wybrać sobie angielskiego albo niemieckiego nauczyciela, gdybym nie znalazł jakiegoś Szweda czy Duńczyka. Ale nasza gospodyni nigdy nie słyszała o tak pogańskich ludach, jak Szwedzi czy Duńczycy. Gdy zaś dowiedziała się jeszcze, że choć przybywam z tak daleka, jestem tylko biednym młodzieńcem, który zamierza żyć skromnie i cnotliwie, dopóki nie dostąpi progów wysokiej nauki, westchnęła ciężko i straciła dla mnie całe zainteresowanie. Dała nam wprawdzie jeść i wiązki słomy do spania, ale poza tym staliśmy się dla niej tak obojętni jak szczury, których mnóstwo biegało po kątach gospody.

Już nazajutrz chciałem biec szukać sobie nauczyciela, bo ferie uniwersyteckie dawno minęły, ale Antti powstrzymał mnie mówiąc:

— Bracie Mikaelu, Bóg nie stworzył pośpiechu, tylko czas — o ile dobrze zrozumiałem kazania czarnych braci. Nie wypada, żebyś stanął przed swoim przyszłym mistrzem z podbitymi oczami i obwiązaną głową, bo łatwo mógłby nabrać o tobie złego wyobrażenia.

U wekslarza na moście postarałem się więc o garść paryskich denarów i szybko zmiarkowałem, że życie w tym ruchliwym mieście jest bardzo drogie w porównaniu z życiem w moim mieście rodzinnym. Gdybym dalej mieszkał w gospodzie, denar dziennie nie wystarczyłby nawet na skromne utrzymanie i garść słomy do spania. Próbowałem znaleźć jakieś duńskie lub szwedzkie kolegium, ale nikt nie słyszał o tego rodzaju instytucjach. Tylko jakiś siwobrody żebrak przypominał sobie niejasno, że kiedyś, sto lat temu, było podobno szwedzkie kolegium w Paryżu. Duńczyków nie widział od lat dwudziestu i twierdził, że

ponoć zabroniono im studiować poza granicami kraju, odkąd otwarty został uniwersytet w Kopenhadze. Ten czcigodny i mądry starzec był zresztą jednym człowiekiem, który dał mi rozsądne rady w pierwszych dniach w Paryżu, bo mówił nienaganną łaciną i oświadczył mi, że wykonuje swój zawód przy moście katedralnym już od pięćdziesięciu lat.

Jakiś pijany student wdał się ze mną w rozmowę, gdy mimo moich szczupłych zasobów zaprosiłem go na wino, ale chciał mnie tylko nauczyć francuskiego poematu o dowcipnych rymach, wyliczającego całe mnóstwo nazw ulic paryskich. Mo-ja znajomość francuskiego była jednak jeszcze tak mała, że nie rozumiałem dokładnie treści tego wiersza, lecz nauczyłem go się na pamięć, aby przypodobać się studentowi. Kosztowało mnie to cały wieczór pracy i dwa i pół denara. Dopiero znacznie później ku memu oburzeniu stwierdziłem, że poemat, który obejmował czterdzieści osiem strofek, wyliczał tylko ulice, na których znajdowały się domy o złej sławie.

Pierwsze większe wydatki stanowiły bez wątpienia opłaty za naukę, które każdy nowo przybyły do Paryża student obowiązany był złożyć. Po kilku dniach wytrwałych wędrówek wyrobiłem sobie jaką taką orientację w Dzielnicy Łacińskiej, budynkach uniwersyteckich oraz licznych kościołach i klasztorach. Na uniwersytecie było około sześciu tysięcy studentów, to jest dwa razy tyle, ile liczyła ludność mego rodzinnego Abo. Eóżne nacje i nabożne fundacje utrzymywały około trzydziestu kolegów, ale tylko nieznaczna część studentów znajdowała w nich miejsce i daremne były starania, by dostać się tam po rozpoczęciu roku akademickiego, w wilię świętego Dionizego, teraz zaś było już blisko Bożego Narodzenia.

Gdy minęło pierwsze upojenie, zacząłem odczuwać niepokój, że wciąż jeszcze znajduję się dopiero u najniższego stopnia nauki. Na szczęście rana na głowie zgoiła mi się w parę dni, tak że mogłem zdjąć opatrunek i trochę poprawić swój wygląd. Przybył też wreszcie mój sepet, przywieziony przez zacnego kupca z Kolonii, więc włożywszy najlepsze ubranie, śmiało udałem się do skarbnika nacji alemańskiej z prośbą o radę w sprawie studiów. Ten młody uczony zaczął mnie ostro łajać, że zaniedbałem pół trymestru, ale przyczytawszy list polecający biskupa Arvida przyznał w końcu, że podróż była długa i uciążliwa. List zacnego biskupa i moja przyzwoita prezencja wprowadziły go z pewnością w błąd co do mego stanu majątkowego, bo zaraz zapytał, czy chciałbym płacić nauczycielowi.

— Nauczanie jest w zasadzie bezpłatne — wyjaśnił — ale to jasne, że nie opłacani wykładowcy fakultetu sztuk wyzwolonych najbardziej dbają o uczniów, korzy ich obdarowują.

On sam był z pochodzenia Holendrem i mógł mi od razu polecić holenderskiego nauczyciela, niejakiego magistra Pietera Monka, który na razie miał tylko niewielu uczniów i pod którego kierownictwem mogłem zatem czynić niezwykle szybkie postępy na drodze do egzaminów. Dał mi też adres magistra Monka przy ulicy de la Harpe i swoje błogosławieństwo.

Szczęśliwie się złożyło, że otrzymałem takie jasne wskazówki, bo ledwie od niego wyszedłem, rzucili się na mnie w przedsiönku dwaj noszący birety magistrowie i mnóstwo studentów i głośno zaczęli zachwalać zalety własne i swoich preceptorów. A gdy im oświadczyłem, że udaję się do magistra Monka, ostrzegali mnie przed nim jak jeden mąż, przypisując mu najokropniejsze rzeczy, jak pijaństwo, chciwość, a nawet herezja, tak że ogarnął mnie lęk przed spotkaniem z nim. Mimo to jednak więcej ufałem skarbnikowi nacji niż tym nieproszonym pośrednikom i jako człowiek uparty postanowiłem w każdym razie pomówić z magistrem Monkiem i chytrze się z nim targować, bo jak było widać, każdy preceptor z otwartymi ramionami przyjmował ucznia płacącego za naukę.

Ulica de la Harpe leżała blisko rzeki i gospody, w której wciąż jeszcze mieszkałem. Pośpieszyłem więc do siebie, żeby przebrać się w skromne szaty wędrowca, zachowując tylko dobre buty na nogach, nie chciałem bowiem moim wyglądem wyrobić u magistra przesadnego mniemania co do mej zamożności.

Uczony magister Monk mieszkał w domu grawera sygnetów, wąskim i wysokim na wiele pięter. Idąc za wskazówkami grawera, udałem się ciemnymi schodami na najwyższe piętro i znalazłem tam w końcu mego magistra, który siedział w zimnej i brudnej izbie przy kulawym stole i coś pisał zgrabiałymi palcami. Na znak swej godności i dla ciepła nie zdejmował z głowy biretu nawet w izbie, a ponieważ była już połowa grudnia i pogoda wilgotna i zimna, przywdział na siebie całą swoją garderobę. Młody, blady i na wpół zagłodzony, patrzył na mnie badawczo zmęczonymi oczyma. Przedstawiłem mu szczerze i z szacunkiem moją prośbę, opowiedziałem o moim pragnieniu wiedzy i skromnych zasobach i przyrzekłem wiernie i posłusznie mu służyć, gdyby mnie przyjął na swego ucznia.

— Beanie Mikaelu — rzekł wysłuchawszy mnie — w tych surowych czasach królowa wiedzy stała się niedobrą macochą, która często daje swoim dziatkom kamienie zamiast chleba. Nie mam więcej jak dwadzieścia pięć lat, ale już nażułem się kamieni, aż mnie rozboleły zęby. Uczciwie mówiąc, uzyskałem moją licentia docendi dopiero w zeszłym roku i nie mam wielu uczniów. Wczoraj szkolarz, dziś magister, jutro profesor — mówi przysłowie — ale są to dni długie jak lata i pełne wiecznych trosk i wysiłków oraz duchowych trudów. W zimie się marznie, a w lecie trzeba oddychać zgniłym powietrzem z ulic. Złe pożywienie i zepsute jaja to scheda nauki, a jedynym wynagrodzeniem pilnego są zniszczone zęby i żołądek zepsuty na wsze czasy. Ale widzę z twoich oczu, że pełen jesteś palącego pragnienia wiedzy i nie boisz się trudów i wysiłków, bezsennych nocy i niespokojnych dni. Toteż nie będę cię więcej ostrzegać. Zrobię, co będę mógł, żeby pomóc ci w studiach stosownie do twoich środków.

Następnie przepytiał mnie zręcznie i przenikliwie przez godzinę, a gdy przesłuchanie było skończone, czułem się tak, jakby przewrócił mnie na drugą stronę jak rękawiczkę i wiedział więcej ode mnie o moich wiadomościach i umiejętnościach. On zaś trzęsąc głową rzekł:

— Mikaelu, synu mój, jesteś pojętny i masz dobre podstawy logiki Arystotelesowej. Natomiast twój zapas słów jest przestarzały, a wiedza twoja przystoi raczej jakiemuś księdzu czy mnichowi niż uczonemu. Widać wyraźnie, że nie miałeś nigdy dostępu do nowoczesnych ksiąg naukowych i związanych z nimi komentarzy. Ale jeśli będziesz pilnie uczęszczać na moje poranne wykłady i co tydzień słuchać dysput, może już na wiosnę zdołasz określić swoje tezy i obronić je w dyspucie z innymi uczniami. Nie wątpię, że potem pilnie studiując przez rok, odważysz się stanąć do egzaminu przed wyznaczonymi przez fakultet uczonymi, żeby uzyskać stopień bakałarza. To mogę ci obiecać, choć mój własny sukces jest zależny od twego, bo mistrza oceniają wedle liczby uczniów. Z mego punktu widzenia byłoby dlatego najmądrzej, gdybym cię obracał na rożnie przez trzy długie lata.

Kazał mi następnego dnia po mszy porannej stawić się przed kościołem Świętego Juliana, opiekuna ubogich, i dodał z wahaniem:

— Beanie Mikaelu, jest w zwyczaju, że uczeń daje swemu preceptorowi jakiś dar stosownie do swoich zasobów. Truchleję o twoją przyszłość, bo masz ograniczone środki, ale gdybyś mógł mi dać denara, może by ci to przyniosło błogosławieństwo. Nie chcę cię ograbić ani obrabowywać, ale uczciwie mówiąc, nie mam dziś nawet na wieczerzę, dopóki nie zapłaci mi drukarz za korektę, z której żyję, a którą musiałem przerwać z twego powodu.

Pokazał mi manuskrypt i wilgotny arkusz druku leżący przed nim na stole. Był to pamflet napisany przez węgierskiego uczonego i opisujący niebezpieczeństwo, jakie groziło całemu chrześcijaństwu, odkąd okrutny i krwiożerczy sułtan turecki Selim podbił rok temu Egipt i opanował w ten sposób szlaki handlowe do Indii. Wziął on pod swoje panowanie cały Wschód i mógł teraz zjednoczyć wszystkie siły na zagładę chrześcijaństwa. Magister Monk zaczął z zakłopotaniem opowiadać mi treść książki, ażebym mógł się zastanowić nad sprawą i obliczyć swoje zasoby.

Stoczyłem w duchu ciężką walkę, słuchając z roztargnieniem jego słów, ale w końcu wręczyłem mu jedną z moich złotych monet, reńskiego guldena pełnej wartości.

— Mistrzu Piętrze, mój zacny nauczycielu — powiedziałem otwarcie — przyjm ode mnie ten dar, dopóki jeszcze mam pieniądze, bo jest to z pewnością najlepszy i najmądrzejszy postępek, który przy niesie mi największy profit, jeśli Bóg tak zechce. W zamian za to proszę tylko, żebyś sam nacierpiawszy się tyle biedy, zechciał mi doradzić, jak mógłbym tu wyżywić się i mieszkać tanio. I żebyś może czasem pożyczył mi jedną z twoich wielu książek, bo mój głód książek jest większy niż głód cielesny. Przysięgam, że strzec ich będę lepiej niż żrenicy oka.

Magister Monk pokraśniał gwałtownie i wzbraniał się długo zanim przyjął ode mnie monetę. Nabierałem coraz większego przekonania, że między wielu krukami, które czyhały na nowych studentów, znalazłem dobrego i uczciwego preceptora. Magister obiecał mi, że będę mógł pożyczać wszystkie jego książki, kiedy tylko zapragnę, a nawet czytać je u niego, jeśli nie znajdę innego spokojnego miejsca. Okazało się, że wielu uczniów mieszkało w tym samym co on domu, ponieważ grawer zarabiał wynajmując izby studentom, i magister chętnie widział swoich uczniów zebranych razem, gdyż w odróżnieniu od starszych profesorów, nie miał jeszcze stałego pomieszczenia na wykłady.

— W młodości człowiek zadowala się małym i gotów jest do wyrzeczeń — mówił. — Ale wszystkie niedostatki mają granicę, której człowiek nie może przekroczyć bez szkody dla zdrowia. Niejeden uczony musi płacić za nadmiar wyrzeczeń w młodości przedwczesną śmiercią i dożywotnimi cierpieniami. Przed nami zima i mrozy, Mikaelu, i dlatego musisz mieć co najmniej miskę gorącej zupy co dzień. Rozpytam się, czy trzech lub czterech moich uczniów nie zechce dzielić z tobą izby, żeby obniżyć koszt komornego i zwiększyć ciepło w mieszkaniu, bo zimą najlepiej spać w kilkoro w tym samym pomieszczeniu. Musisz także dbać o twoje zdrowie, a jeśli pieniądze skończą ci się wcześniej, niż obliczasz, znajdziemy na to wspólnie jakąś radę, ponieważ od tej chwili uważam się za odpowiedzialnego za twoje dobro.

3

Tak rozpoczął się najszcześniejszy może okres mego życia, bo byłem jeszcze młodym i miałem czyste serce, a otrzymałem ostre i użyteczne ostrzeżenie przed światowymi pokusami. Królestwo wiedzy stało przede mną otworem i jako wolny student mogłem wejść w bramy dostępne tylko dla niewielu. O zawrót głowy przyprawiała mnie myśl, że duch ludzki nie zna żadnych przeszkód i że nie ma siły większej od wiedzy. Miałem kolegów równie młodych, ubogich i pełnych zapału jak ja i w wieczornych rozmowach pogłębialiśmy naszą wiedzę, szlifowali myśli i czuliśmy, jak duchowo wyrastamy z naszych rodzinnych zaścianków i wchodzimy w wielkie bractwo wspólnego języka i wspólnej międzynarodowej wiedzy.

Może marzłem i głodowałem owej zimy, ale już tego nie pomnę, pamiętam tylko niesłychane olśnienie wiedzą. Możliwe i że żułem niejeden jałowy kamień razem z prawdziwą nauką, ale miałem mocne zęby młodości i jeszcze nie wątpiłem w wiedzę.

Może wyglądaliśmy jak stado szarych i biednych wróbli, gdy o świcie kuląc się z zimna zbieraliśmy się przed naszym kościołem, mając w żołądku w najlepszym razie łyk wina i kęs chleba, aby po nadejściu mistrza udać się na poszukiwanie wolnego audytorium. Starzy słynni profesorowie na fakultecie sztuk wyzwolonych mieli setki słuchaczy, nas zaś nie było nigdy więcej jak dwudziestu. Ale korzyści z nauki mieliśmy dużo większe, gdyż nasz drogi holenderski magister stał się naszym bliskim przyjacielem.

Młodość jest żarłoczna i połyka bez różnicy wszystkie wiadomości, które się przed nią kładzie. Toteż aż niebezpiecznie nadużywałem udzielonego mi przez magistra Monka pozwolenia czytania jego książek. Pożyczył mi on dwa dzieła swego rodaka Erazma z Rotterdamu, abym miał pobudzającą do myślenia lekturę obok właściwych studiów. Jedna z



tych książek nazywała się „Laus stultitiae”, czyli „Pochwała głupoty”, druga zaś „Colloquia”, czyli „Rozmowy” i robiła wrażenie niewinnego podręcznika łaciny. Obie książki były napisane doskonałą łaciną i połączyłem je w kilka wieczorów. Zdawało mi się, że mi głowa pęknie od myśli, i długo w noc paliłem lampkę olejną nie mogąc usnąć. Nigdy nie czytałem bardziej zadziwiających książek. Gryząca ironia, z jaką autor przedstawiał swoje poglądy, działała na myśl jak trucizna i budziła wątpliwości w sercu. Bo gdy uczony humanista sławił głupotę, stawiał przy tym wszystko na głowie i przedkładał nieodparte dowody, że mądrość i wiedza ludzka to tylko zwidy mózgu, w dodatku stwory zimne i przeraźliwe. W rzeczywistości jedynie odpowiednia doza głupoty nadaje smak i treść ludzkim dążeniom i czynom. Stawiał też tezę, że tylko głupiec może być szczęśliwy w swych pragnieniach i postępkach, i udowadniał tę tezę z zadziwiającą przenikliwością, ucząc, jak u siebie samego i w swoim otoczeniu odkrywać grymasy Pani Głupoty w najbardziej poważnych okolicznościach. Ale „Colloquia”, które dopiero co ukazały się drukiem, były jeszcze niebezpieczniejsze. W fikcyjnych rozmowach autor nie wahał się bowiem kwestionować znaczenia świętych sakramentów dla człowieka, który sam się nie zmieniał i nie poprawiał. Posuwał się nawet do twierdzenia, że kilka wierszy poganina Cicerona stanowi lepszy pokarm i odżywkę dla duszy niż cała scholastyka. Bo, jak mówił, jasna myśl może być też wypowiedziana jasnymi słowami.

Gdy czytałem te książki, czułem się mądrzejszy niż kiedykolwiek, i budziły one we mnie myśli, których nigdy przedtem nie ośmieliłbym się dopuścić. Umysł mój pełen był żarliwego podziwu i niepokojących wątpliwości i czytałem 'Erazma z Rotterdamu jako wielkiego nauczyciela i rybaka dusz, ale nie uspokoilem się dopóty, dopóki magister Monk nie zapewnił mnie, że jest on, jako posłuszny syn Kościoła, wyświęcony na księdza i że Ojciec Święty osobiście czyta jego książki z przyjemnością.

Co niedzielę, po mszy, zbieraliśmy się wokół zacnego mistrza i spożywaliśmy wspólnie najsmakowitszy posiłek tygodnia w małej oberży na naszej ulicy, a często rozmawialiśmy też o sprawach światowych aż do późnego wieczoru. Wspomnienie jednego takiego przedwiosennego dnia, gdy promienie słońca dobrze nas już ogrzewały, stoi mi wciąż jeszcze przed oczyma duszy. Widzę chude i uduchowione oblicze naszego magistra pod czarnym biretem. Widzę nachmurzoną upartą twarz baskijskiego chłopca, widzę bladego, zniewieściałego angielskiego młodzika szlacheckiego rodu, który płacił najlepiej i był ukochanym uczniem, i piegowatego syna holenderskiego tkacza. Nasz preceptor podniósł puchar wina, które postawił nam Anglik, i rzekł: — Niech dusza nieboszczyka cesarza spoczywa w spokoju i chwałę! Wznoszę toast na szczęście i powodzenie mego młodego króla Karola. Oby on, który już nosi korony Hiszpanii i Burgundii, włożył na swoją głowę także i koronę cesarską i został najpotężniejszym władcą chrześcijańskim po wsze czasy, odparł niebezpieczeństwo tureckie i wytepił herezję.

Na to Anglik:

— Grzeczność i dobre obyczaje wymagają, żebym przyłączył się do toastu naszego czcigodnego mistrza. Ale mój własny król, Henryk VIII, ubiega się również o koronę cesarską, a nasz szacunek dla zacnego miasta Paryża i króla Francji wymaga, abyśmy wspomnieli, że i on ma podobne ambicje.

Nadąsany młody Bask wtrącił:

— Nie mam żadnego długu wdzięczności w stosunku do króla Karola, ponieważ Święta Inkwizycja czyni życie w mojej ojczyźnie nie do zniesienia dla wolnego studenta, który pragnie uczyć się żydowskiej i arabskiej sztuki lekarskiej. Niech to jednak będzie mój toast pożegnalny, gdyż skończyły mi się pieniądze. Myślę wrócić do Hiszpanii i zaciągnąć się jako felczer do armii w krajach za oceanem, słyszałem bowiem, że mąż imieniem Cortez szuka dzielnych mężczyzn, którzy chcieliby podbić pogańskie królestwo w Nowym Świecie.

Obiecuję każdemu żołnierzowi tyle łupu w złocie, ile uniesie. Na co syn holenderskiego mieszczanina rzekł:

— W Nowym Świecie nikt jeszcze się nie wzbogacił i nawet Kolumb wrócił stamtąd jako 'biedny człowiek zakuty w kajdany. Ale życzę ci szczęśliwej drogi, jeśli więcej wierzysz w bajeczki o skarbach niż w słowa rozsądku.

Anglik zniecierpliwiał się:

— Wypijemy ten toast czy też nie? To ja stawiam; a czcza gadanina wysusza tylko gardło.

Wypiliśmy więc wspólny toast, wyrażając pobożne życzenie, żeby wybory cesarza przyniosły błogosławieństwo chrześcijaństwu, ale nie wymieniliśmy żadnego szczególnego kandydata. Nie spodobało się to łysemu wagantowi, który słuchał nas ukradkiem bazgrząc umazanymi tuszem palcami jakiś wiersz. Człowiek ten o wyglądzie pijaka, podszedł do naszego stołu i powiedział wyzywająco:

— Czy mnie uszy nie mylą? Czyżby cudzoziemcy, którzy jedynie z łaski i dobroci korzystają z przywilejów tego zacnego miasta i dostojnego uniwersytetu, istotnie stracili resztki naturalnej skromności, skoro wahają się wznieść toast za dobrego króla Franciszka w jego ubieganiu się o koronę cesarską, do noszenia której jest najgodniejszy dzięki swoim zaletom? Król ma chyba prawo wymagać większego szacunku od ludzi, którzy ciągną profit z przywilejów przez niego przyznanych, choć sądząc z tej głupiej gadaniny, wasze talenty nie są więcej warte od zmarzłej rzepy.

Magister Monk, głęboko urażony, odparł:

— Jestem człowiekiem spokojnym i uważam, że byłoby poniżej mej godności jako nauczyciela uniwersyteckiego i kapłana karcić włóczykija, który utopił swój od urodzenia słaby rozsądek jak szczura w dzbanie wina. Ale jeśli któryś z was, moi drodzy uczniowie, chce mu dać nauczkę — grzecznymi słowy i z zachowaniem powściągliwości — nie będę wam przeszkadzał i będę tego kogoś chronił całym moim autorytetem jako pełnoprawny członek nacji i naszego fakultetu.

Spojrzelśmy na siebie z wahaniem, a Anglik powiedział poważnie:

— To moja wina, bo tak nieroztropnie nagliłem do toastu. Nie wątpię, że wspólnymi siłami potrafilibyśmy wyrzucić tego bezczelnego osobnika i skarcić go za jego bezwstydną słowa. Ale problem ten ma wiele stron i jest ze swej natury polityczny, bo ten chytry gryzmoła udaje, że broni honoru swego króla, i może w ten sposób narobić nam kłopotów i postawić nas w przykrym położeniu. Jesteśmy naturalnie obowiązani okazywać należyty szacunek królowi, z którego opieki i życzliwości korzystamy. Najprostszym i najtańszym rozwiązaniem problemu jest zatem moim zdaniem wypicie nowego toastu. Wznoszę go na szczęście i powodzenie szlachetnego i rycerskiego króla Franciszka. Zaprosimy tego pana, żeby wychylił toast wraz z nami, jeśli wpieryw stosownymi słowy poprosi nas o wybaczenie obrazy. I nie sądzą, żeby mój własny król albo król naszego drogiego mistrza mogli nam wziąć za złe takie rozwiązanie.

Ledwie skończył, gdy nieznajomy, który nas obraził, uśmiechnął się całą swoją obrzękłą pijacką gębą, podniósł umazane tuszem dłonie na znak protestu i powiedział:

— Szanowny mistrzu i uczeni panowie beani! Widzę, że popełniłem krzywdzącą pomyłkę, i głęboko żałuję słów wypowiedzianych w gniewie. Jedyłą ich pobudką była troska o honor i szczęście mego króla, bynajmniej zaś nie chęć wszczynania kłótni.

Usiadł całkiem po prostu przy naszym stole, choć patrzyliśmy na niego z niesmakiem, czując jego cuchnący oddech i fetor rozchodzący się od jego łachów. On zaś pragnąc przewyciężyć naszą niechęć, zaczął się chełpić swymi licznymi podrózkami po obcych krajach, jak też wysoko postawionymi protektorami, których nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności zawsze tracił, tak że nigdy nie zaznał spokoju.

— Ale — dodał — pech mój nie złości mnie już tak jak dawniej, bo gorsza klęska dotknie niebawem cały świat, jako też i was, którzy uśmiechnięci i zadowoleni siedzicie tu przy suto



Turków do umiarkowanego używania wina dałoby się może osłabić ich potęgę, ale praktyczne wykorzystanie tego pozostawiam uznaniu zacnych ksiąg chrześcijańskich.

W tym momencie Anglik wyrwał mu z ręki dzban z winem i szybko wlał ostatnie krople do własnego pucharu:

— Anglia jest wyspą! — wykrzyknął z twarzą drgającą od podniecenia — i Anglia nie potrzebuje się obawiać niczego, co się dzieje pod znakiem Ryb. Możecie być pewni, moi panowie, że Anglia odeprze każdy najazd na swoje wybrzeża, choćby cesarz i wszystkie nacje europejskie przepadły.

Julien d'Avril odparł grzecznie:

— Niech mnie Bóg broni, żebym miał powiedzieć choć słówko przeciw naszemu zacnemu gospodarzowi, który podejmuje nas kojącym pragnieniem winem. Chętnie przyznaję, że Turcy prawdopodobnie zabłądziliby na waszej mglistej wyspie, gdyby zaczęli tam szukać waszej stolicy, żeby ją zdobyć.

Także i mnie uderzyło do głowy wino i wydało mi się, że pogoń za wiedzą i wszystkie inne ludzkie sprawy są raczej czczą rzeczą, gdy czeka nas tak wielki kataklizm z przyczyny gwiazd. A młody Bask powiedział:

— Panie d'Avril, bardzo jestem wdzięczny za te przepowiednie, bo umocniły mnie one jeszcze w postanowieniu, żeby jak najszybciej wrócić do kraju i wyprawić się do Nowego Świata. Daje mi to odwagę wstąpić na pokład statku i nic sobie nie robić z niebezpieczeństw wszystkich mórz świata. Czegóż bowiem mam spodziewać się w świecie, gdzie księżętom brak honoru, kobietom cnoty, a święty Kościół popadł w bałwochwalstwo i kuglarskie sztuczki?

Magister Monk położył mu rękę na ustach i kazał natychmiast zamilknąć, grożąc swoim gniewem i twierdząc, że chłopak jest pijany. Potem zaś spojrzął nam poważnie w oczy i rzekł:

— Może być, że każdy prawdziwy chrześcijanin cierpi w głębi serca z powodu poniżenia świętego Kościoła, ale nie naszą jest rzeczą jeszcze pogarszać sprawę, ganiać otwarcie Kościół. Czyńmy pokutę i szukajmy poprawy we własnym sercu, bo wszystkim nam to potrzebne.

— Amen i niech tak się stanie — przytaknął Julien d'Avril pobożnie.

— Chce jeszcze tylko dodać, że długa pielgrzymka jest często pożyteczna, gdy złe uczynki dokuczają nam zbyt mocno i gdy zaczynamy cierpieć prześladowanie ze strony naszego otoczenia. Nieraz byłem zmuszony uciec się do tej wypróbowanej metody i daję wam, moi drodzy przyjaciele, tę dobrą radę za darmo i bez zapłaty.

W taki to sposób zawarłem znajomość z Julienem d'Avril. Nie zawsze wyszła mi ona na pożytek, ale dużo się nauczyłem z jego nie kończących się opowiadań.

Wiosna przysłała do Paryża i kwietne świeczki kasztanów zajaśniały bielą nad zielonymi brzegami rzeki. Ale uniwersytet i wiedza wydawały mi się cudowniejsze od wiosny i jedyną moją troską był grożący mi brak pieniędzy. Z końcem czerwca, w dniu męczeństwa świętego Piotra i świętego Pawła, skończył się rok akademicki. Zacny magister Monk wyjechał do domu, do Holandii, a moi koledzy rozpiechli się na wszystkie strony świata. Magister pozwolił mi w czasie wakacji czytać swoje książki, bo 'droga do Abo była tak daleka i uciążliwa, że nie mogłem myśleć o podróży. Ponadto bałem się też zdrowo, że zostanę pociągnięty do odpowiedzialności jako zwolennik króla Chrystiana i Unii.

W lecie wydałem ostatni grosz i jako jedyne mienie pozostały mi dobre i złe rady Julienu d'Avril. W ciągu zimy nieczęsto spotykałem się z Anttim, bo poszedł on do terminu na przedmieścia i trudnił się odlewaniem dzwonów kościelnych i dział. Odwiedził mnie kilkakrotnie z okazji paru świąt, ale ja byłem tak zajęty studiami, że nie miałem dla niego chwili czasu i poprzestałem tylko na upewnieniu się, że ma pod dostatkiem jedzenia. Ale oto przyszedł pewien niedzielny poranek, kiedy leżałem na moim sienniku osłabiony, nie mając siły podnieść się i pójść na mszę. Zwykły letnią porą odór padliny dochodził przez okno i

myślałem, że życie moje nie jest już nic warte. Przez wiele dni żyłem samym tylko chlebem i wodą, a żeby kupić chleb, zmuszony byłem sprzedać najlepszy kaftan, wołac raczej rozstać się z nim niż z książkami. Wtem do izby mojej wszedł Antti, pociągnął nosem i rzekł, tak jak to on, bez ogródek:

— Drogi Mikaelu, za dużo piłeś wczoraj wieczorem, skoro nie możesz wstać i leżysz w barłogu z zielonożółtą twarzą, w odorze gnoju i zepsutego jadu. Spójrz na mnie, uczciwego puszkarskiego pacholka, który kwitnie jak kwiatek na łące, i już o pierwszym kurze wybrał się tu, żeby się z tobą zobaczyć. To nagroda za to, że unikam wszelkich mocnych napitków i nawet pozwalam kolegom wypijać moją porcję słabego wina stołowego, bo czyni mnie ono tylko sennym, a także dla tego, że w ten sposób dostaję więcej chleba.

— Bracie mój, Antti! — wykrzyknąłem wybuchając płaczem. — Przyszedłeś w sam czas, żeby wysłuchać mej ostatniej woli. Wcale nie popadłem w pijaństwo, lecz słaby jestem z głodu i od ciągłego uczenia się i wiem już, że z powodu moich grzechów będę musiał umrzeć w obcym mieście wśród obcych ludzi. Urządź mi chrześcijański pogrzeb, a Bóg cię wynagrodzi i wszyscy święci.

Antti zaniepokoił się i mocną dłonią obmacał moją szyję i przeguby.

— Rzeczywiście jesteś jak oskubane kurczę — orzekł — i dziwię się, że żebra już dawno nie przebiły ci skóry. Ale czyżbyśmy żyli wśród pogan i czy nie ma w tym mieście ani jednej chrześcijańskiej duszy, która by się nad tobą zlitowała i dała ci jeść?

— Na co by się to przydało? — odparłem zgnębiony. — Dzięki listom polecającym ojca Piotra jadłem już wiele posiłków w klasztorze braci czarnych i nie śmiem się tam pokazywać, a oberżysta „Pod Głową Anioła” karmił mnie już tyle razy na kredyt, że i tam nie mam odwagi pójść. Jestem jeszcze zbyt dobrze odziany, żeby żebrać na ulicach, a zresztą na nic się nie zda przedłużać mój nędzny stan. Toteż postanowiłem lec w tej izdebce na sienniku i kornie wyczekiwać śmierci.

A na to Antti:

— Uważam, że to głupie dawać za wygraną, gdy jeszcze nie wszystko stracone, ale tyś mądrzejszy i bardziej uczony ode mnie, Mikaelu. Leż więc tu, jak chcesz, choć chętnie zaprosiłbym cię na skromny posiłek pod „Głowę Anioła”, bo miałbym ochotę pogwarzyć i odświeżyć wspomnienia z naszej wspólnej ojczyzny. Choć jestem tylko ubogim czeladnikiem i mistrz przestaje rozumieć moją podłą francuszczyznę, gdy tylko wspomnę o wynagrodzeniu, znajdę chyba jeszcze w trzosie parę denarów na taki dobry cel.

Szybko się podniosłem i ubrałem, mówiąc:

— Bracie Antti! dlaczegoż miałbym ci odmówić rady i pomocy, skoro rzeczywiście ich potrzebujesz? Czyż nie jestem twoim jedynym przyjacielem w tym obcym mieście i nie mówię twym ojczystym językiem? Chodźmy więc szybko pod „Głowę Anioła”, bo miska smacznej zupy w żołądku bardzo mi się przyda.

Oberżysta przywitał nas życzliwie, mimo że miałem u niego dług, może właśnie bojąc się, aby nie stracić należności przez chłodne przyjęcie. W oberży spotkaliśmy też Julię d'Avril, co wcale nie było dziwne, bo siedział tam zawsze, gdy go nie przytrzymało za bezwstydną zachowanie lub bójki uliczne.

Przywitał nas grzecznie i rzekł z szacunkiem:

— Sądząc z wyglądu, twój towarzysz jest chłopcem mocnym i dobrodusznym i wcale nie wątpię, że z radością postawi mi kwartę wina, gdy się dowie, że jestem uczonym astronomem i że wydałem książkę drukiem. Powiedz mu, że wcale nie przebredzam, lecz chętnie zadawałam się najtańszym winem, które ten oberżysta zbiera na dnie beczek i sprzedaje później za miedziaka.

Oberżysta przyniósł nam miskę gęstej grochówki i po kawałku chleba. A Antti zamówił wino, bo była niedziela.

Byłem tak osłabiony, że gorąca grochówka uderzyła mi do głowy, i powiedziałem do Juliana d'Avril:

— Uczony bracie, poradź, co mam począć? Bieda puka do moich drzwi i tylko wrodzona wstydlivość przeszkadza mi wyjawić całą moją nędzę. Pozwoliłem tobie i innym wierzyć, że czekam na pieniądze z dalekiej ojczyzny, ale w rzeczywistości jestem równie samotny i opuszczony jak końskie łajno w wiosenną zadymkę.

Julien d'Avril wielce się zdziwił i odparł:

— Mikaelu, głupi ośle, dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej? Moglibyśmy się byli wybrać razem do Frankfurtu, i wtrącić swoje trzy grosze do wielkiej elekcji cesarza. Moje doświadczenie i twoja otwarta fizjognomia działałyby cuda. Teraz jednak Karol V został już cesarzem bez naszej pomocy i musimy lizać własne łapy. Jeśli mamy coś razem wymyślić, Mikaelu, musisz od samego początku zdać sobie jasno sprawę, że nikt z ludzi naszego pokroju nie może się wzbogacić, idąc tylko wąską i usianą cierniami ścieżką cnoty. Musimy wybrać szerszą drogę, jeśli w czasie twoich krótkich wakacji masz zarobić tyle, żebyś w ciągu przyszłej zimy mógł zapłacić za utrzymanie w tym skąpym mieście.

Antti wtrącił, że i on zauważył, iż nikt się jeszcze nie wzbogacił uczciwą i godną szacunku pracą, choć z drugiej strony można w ten sposób nabyć wiele pożytecznych nauk.

A Julien d'Avril ciągnął dalej:

— Gdyby to chodziło tylko o utrzymanie ciebie przy życiu, nie wątpię, że zdołałbym namówić jakiegoś szanownego obywatela, iżby ci dał wyżywienie w zamian za to, że będziesz uczył jego dzieci. Jakaś przychylna wdowa mogłaby ci dać mieszkanie na czas pewien, podobnie jak to się przytrafiło ostatnio mnie. Ale taka pomoc nie przyniosłaby ci na dłuższą metę większego pożytku. Masz naturalnie ten ząb biskupa, który pomaga na ból zębów, jak to sam mogłem stwierdzić, oraz różne inne leki pogańskie z twojej ojczyzny, ale gdybyś został szarlatanem, wnet wszedłbyś w zatarg z fakultetem medycznym, który zazdrośnie strzeże swych przywilejów. Twój silny przyjaciel mógłby łatwo wyłamywać zamki, a ty, z twoim szczupłym ciałem, mógłbyś wśliznąć się przez najwęższe okienko, gdybym wam uprzednio wskazał domy, gdzie są srebrne łyżki, obawiam się jednak, że pobożność przeszkadza ci podnosić rękę na własność bliźniego. Jednakże tego lata przyszedł mi do głowy pewien zbożny plan, w którego urzeczywistnieniu mógłbyś mi pomóc. Zaczynam znów być nadto znany w tym mieście i najlepiej dla mnie byłoby zmienić miejsce pobytu. Zbliży się winobranie i ogarnęło mnie nieprzeparte pragnienie oglądania uśmiechniętych winnic Francji. Poza tym chłopci i hodowcy wina są w czasie zbiorów w dobrym nastroju, a towarzystwo twego silnego przyjaciela chroniłoby nas przed wszelką przemocą.

Zapytałem go, na czym polegają jego zbożne plany, a on odparł:

— Gdy napisałem moją książkę i spostrzegłem, jak nabożnie ludzie prości czytają słowo drukowane i wierzą w nie, nawet ja zacząłem się bać tureckiego niebezpieczeństwa. Dlatego postanowiłem udać się w podróż na Wschód i poświęcić życie nawracaniu Turków i przyzwyczajaniu ich do używania wina, ażeby w ten sposób zmiękczyć ich okrutne obyczaje, nim nadejdzie fatalna chwila. Ale aby osiągnąć ten chwalebny cel, potrzebuję poparcia wszystkich dobrych chrześcijan.

Antti napomknął, że zamiar jest zbożny, choć nigdy nie słyszał o innych metodach nawracania Turków prócz obcinania im głów. Ja jednak rzekłem:

— Mój uczony bracie, Julienie d'Avril, tak grubo szytych kłamstw nie potrafisz wbić w głowę nawet najgłupszemu chłopu, nie mówiąc już o tym, by go skłonić do sięgnięcia do sakiewki.

Julien d'Avril potrząsnął głową:

— Młody jeszcze jesteś, Mikaelu, i nie rozumiesz, że ludzie chętnie wierzą w największe łgarstwa i że właśnie najbezczelniejszym kłamstwem najłatwiej ich zwieść.

Im szerzej wykładał swoje plany, tym bardziej mącił mi w głowie. A nierozgarniętego Antiego skusił opowiadaniem o smakowitym żarciu, które czekało nas na wsi w czasie jesienno-świniobicia. I nie wiem, jak tego dokazał, ale już następnego dnia pokazał mi pismo opatrzone w wiele kościelnych pieczęci, w którym wzywano wszystkich prawdziwych chrześcijan, by mu dopomagali i popierali w jego zbożnej i chwalebnej misji, podjętej z największym pożytkiem dla całego chrześcijaństwa. Przywdział szatę pielgrzyma, opasał się sznurem, a od drukarza dostał na kredyt mnóstwo egzemplarzy swojej książki, którą miałem teraz sprzedawać. Antiego zaś przebrał w jakiś przedziwny strój, jak mówił, strój tureckiego wojownika.

Gdy mieliśmy za sobą dwa dni drogi od Paryża, Julien d'Avril zatrzymał się przed skromnym wiejskim kościółkiem i zaczął donośnym głosem zwoływać ludzi. Nadszedł prostoduszny proboszcz i pobłogosławił nasz zbożny zapach. Sam kupił egzemplarz przepowiedni, a miejscowy oberżysta drugi, żeby dawać swoim umięcym czytać gościom do głośnej lektury. Julien d'Avril przemówił do tłumu, przedstawiając Antiego jako tureckiego janczara, który nawrócił się na chrześcijaństwo. Wezwał go też, by powiedział kilka słów w języku ojczystym, mówiąc, że jest to język turecki.

Następnie Antti dał kilka dowodów swojej siły, przy których widzowie z przejściem żegnali się krzyżem, a Julien d'Avril donośnym głosem wołał, co poczną, gdy ci okrutni Turcy spadną jak szarańcza na Europę. Natomiast przyczyniając się małym datkiem do tej chwalebnej misji, mogą wykupić się od okropnego niebezpieczeństwa. Mieszkańcy tej wioski byli jednak biedni i nie mogli nam dużo dać, ale za to szczerze poili nas i karmili. Wieczorem zaś proboszcz zaprowadził nas do zamku i przedstawił lennemu panu i jego damom i tam zarobiliśmy sztukę złota. Pan lenny opowiadał, że był w Wenecji i widział Turków, i zapewniał, że chodzili tak ubrani jak Antti i mówili podobnym językiem, co ogromnie zdziwiło Julięna d'Avril.

Niechętnie wspominam naszą włóczęgę, która trwała przez dwa miesiące i zawiodła nas aż do południowej Francji. Wędrówka na świeżym powietrzu i obfite pożywienie przyczyniły się do poprawy mego zdrowia, lecz żyłem w ustawicznym lęku, że nasze oszustwo zostanie wykryte. Za to Julięna d'Avril powodzenie robiło z dnia na dzień bezczelnie j szym. I w końcu sam zaczął wierzyć w swoją pielgrzymkę na Wschód, a wiara jego była tak silna, że zalewał się rześnistymi łzami, opisując we wstrząsający sposób swe przyszłe cierpienia z rąk okrutnych Turków. Był tak bezczelny, że nawet w większych miastach udawał się natychmiast do najwyższych dygnitarzy kościelnych, żeby pozyskać sobie ich względy, a raz ofiarował staremu biskupowi woreczek mułu z Ziemi Świętej zapewniając, że przywiózł go sam z Jerozolimy. W braku pieniędzy zadowalał się skromniejszymi datkami i w końcu mieliśmy dwa konie, które dźwigały najrozmaitszą żywność i odzież. On sam jechał na osła, bo co wieczora upijał się na umór i nazajutrz nie miał siły chodzić. Ale nigdy nie zatrzymał się dłużej niż dzień na tym samym miejscu i kazał nam przyrzec, że co rano przywiążemy go do siodła, gdyby nie mógł się w nim utrzymać o własnych siłach.

Dzień świętego Dionizego zbliżał się, toteż zawróciliśmy do Paryża. W ostatnich dniach wędrówki ku wielkiej mojej uldze nie żebraliśmy już. Podróżowaliśmy szybciej, gdyż Julien d'Avril oświadczył, że miał sen, który uważa za zły omen. Na dzień drogi przed Paryżem przenocowaliśmy jak porządni obywatele w gospodzie i Julien d'Avril da-», rował sobie zwykle pijaństwo. Był stroskany i poważny i powiedział do nas:

— Bracie Mikaelu i zacny synu Antti! Jutro musimy podzielić nasz łup i rozstać się, ale już dziś wieczorem dziękuję wam za przyjaźń i wierną pieczę w czasie naszej podróży. Sumienie zaczyna mnie dręczyć, toteż myślę, że nie zabawię długo w Paryżu, lecz rzeczywiście udam się w daleką podróż za granicę, i może zacznę działać jako misjonarz. Kładźmy się więc do snu w spokoju ducha i odpocznijmy po trudach drogi, bo już jutro zobaczymy dobrze znane wieże Notre Dame.

Obaj z Anttim spaliśmy mocno i dobrze, bo przez cały dzień marszu prowadziliśmy juczne konie przy pysku. A gdy się zbudziliśmy, Julien d'Avril znikł już z gospody, zapłaciwszy rzetelnie wspólny rachunek, i gospodarz wręczył nam list od niego.

List ten brzmiał:

*Drogi synu Mikaelu, w nocy wyrzuty sumienia stały się tak palące, że zmuszony byłem natychmiast udać się w dalszą drogę.. Nie mam serca zbudzić ciebie i twego towarzysza, bo śpicie głębokim snem młodości pod opieką wszystkich świętych. Zostawiam wam jednego konia z jukami, bo trudno prowadzić ze sobą dwa konie, jadąc na ośle. Mam szczerą nadzieję, że nie będziecie do mnie żywić urazy, choć zabieram pieniądze, któreśmy zebrali, bo czynią tak dlatego, żeby pieniądze te nie poszły na marne. Choć robię wam zawód, znajduję pociechę w tym, że dzięki mnie nauczyliście się wielu rzeczy cenniejszych od złota, a mianowicie, że pieniądze można z łatwością zarobić na szerokiej drodze i równie łatwo stracić. Gdyby mój drukarz nagabywał cię i domagał się zapłaty za książki, które sprzedałeś, pociesz go, że gdy tylko będę mógł, wrócę, żeby zapłacić dług. Jeśli ci w to uwierzy, tym lepiej dla ciebie. Zawsze będę cię wspominać w moich modlitwach i mam nadzieję, że zostaniesz tym samym niewinnym młodzieńcem, jakim jesteś.*

**Julien d'Avril**

Przeczytałem list Anttiemu i przez chwilę siedzieliśmy bez słowa, wpatrując się w siebie nawzajem. W końcu Antti odezwał się, jak zwykle bez ogródek:

— Ten zapity wieprz to łajdak, który nas oszukał. Czy nie mieliśmy dostać naszej części pieniędzy?

— Tak było umówione — przyznałem. — Ale w gruncie rzeczy przez cały czas zbieraliśmy pieniądze na jego pielgrzymkę i miejmy nadzieję, że istotnie udał się w drogę, żeby nawracać Turków. Na myśl o tym spada mi ciężki kamień z piersi, bo mówiąc prawdę, ukradkiem zatrzymywałem od czasu do czasu trochę srebra dla siebie i zupełnie niepotrzebnie miałem wyrzuty sumienia z powodu mego małego oszustwa.

A na to Antti:

— To z pewnością mój patron święty Andrzej kilka razy skłonił mnie, żebym włożył rękę do wypchanego mieszka Juliana, gdy go wieczorami zanosilem do łóżka, bo często był tak na umór spity, że nie wiedział, ile zebrał pieniędzy.

Gdy policzyliśmy nasze oszczędności, okazało się, że mamy razem dziesięć sztuk złota i całą masę srebra. Konia udało nam się sprzedać za znośną cenę, a żywności starczyło mi na cały miesiąc. Złotem i srebrem podzieliliśmy się po chrześcijańsku, a gdy moje pieniądze się skończyły, pożyczałem co tygodnia od Anttiego. Żyjąc oszczędnie i pracowicie, zyskałem sobie pełną życzliwość magistra Monka, który po Bożym Narodzeniu pozwolił mi stanąć przed sześciu profesorami fakultetu sztuk wyzwolonych. Odpowiedziałem prawidłowo i zadowolająco na wszystkie cztery pytania i otrzymałem dyplom z pieczęcią fakultetu na znak, że zdałem bakalaureat.

W ten sposób pokonałem pierwszą przeszkodę na drodze do wysokich studiów, ale to niewiele znaczyło, bo imienia mego nie wpisano jeszcze do matrykuł uniwersytetu. Trzeba było dodatkowych czterech lub pięciu lat studiów, zanim sam mogłem zostać mistrzem sztuk wyzwolonych i uzyskać licentia docendi. Dopiero wtedy można było zacząć studia na jednym z trzech wyższych fakultetów, a jeśli chciałem zdobyć stopień doktora teologii, musiałem liczyć się z jeszcze co najmniej piętnastu latami studiów. Nie myślałem jednak o latach, które leżały przede mną. Serce moje przepełnione było bezgraniczną radością z powodu pierwszego sukcesu i uważałem, że wart on był wszystkich trudów i wyrzeczeń.

W kilka dni potem okrutnie odarł mnie z różowych nadziei list od ojca Piotra napisany jeszcze ubiegłej jesieni. Pisał on, że zrobię najlepiej trzymając się w tych niespokojnych czasach z dala od Finlandii i że zacny biskup Arvid wielce jest na mnie rozgniewany. Król



Chrystian zaczął przygotowywać nową wyprawę wojenną i zaciągał wojska do ataku na Szwecję, a w Abo prześladowano podejrzanych o sprzyjanie Unii.

"Wszystkie nadzieje opierałem na możliwości powrotu do kraju po zdaniu uniwersyteckiego egzaminu, upadnięcia biskupowi do nóg i błagania go pokornie o darowanie mi młodzieńczych szaleństw, do których doprowadził mnie pan Didryk. Nadzieje te spełzły teraz na niczym, pieniądze się skończyły i z trudem mogłem przeżyć z tygodnia na tydzień, pożyczając od Antiego. Byłem też winien sześć denarów nacji alemańskiej i ryzykowałem przez to utratę przywilejów uniwersyteckich. A w mojej rozpacz nie mogłem nawet uklęknąć przed ołtarzem Matki Boskiej we wspaniałym kościele Notre Dame i oczyścić duszy modlitwą, bo gdy przeor wręczył mi list od ojca Piotra, spojrział na mnie nieufnie i zapytał.

— Mikaelu z Finlandii, zali jesteś w rzeczy samej szwedzkim poddanym?

Przyznałem z szacunkiem, że tak jest istotnie, dodając:

— Ale równie dobrze mógłbym być wróblem na śniegu, bo od królestwa mego nie otrzymuję żadnej pomocy i nie mam ani jednego możnego protektora. Moim jedynym przyjacielem jest zacny ojciec Piotr, który do mnie pisze.

A na to przeor:

— Jeśli nie masz żadnej pociechy ani pożytku ze swej ojczyzny, możesz w każdym razie dzielić z nią ciężkie próby, bo według tego, co mi doniesiono, krnąbrne królestwo szwedzkie obłożone zostało interdyktem, a Ojciec Święty upoważnił króla Chrystiana do wprowadzenia klątwy w życie. Jako szwedzki poddany jesteś zatem wyklęty i moim obowiązkiem jest zawiadomić cię o tym. Nie wolno ci wchodzić do kościoła i korzystać z świętych sakramentów, bo sama twoja obecność może zbezczęścić świątynię, którą trzeba będzie oczyścić za cenę wielkich kosztów. Pewny jestem jednak, że mógłbyś sobie kupić dyspensę, i doradzam ci uczynić to jak najprędzej, bo doprawdy straszną jest rzeczą dla chrześcijanina zostać bez mszy i sakramentów świętych.

— Jezus, Maria! — wykrzyknąłem przerażony i zdumiony. — Nie mam przecież wcale pieniędzy i tak jestem biedny, że chciałem prosić o talerz zupy, bom jeszcze nic dzisiaj nie jadł.

Zmartwił się z mego powodu, długo się namyślał i rzekł:

— Mikaelu z Finlandii, nie wiem o tobie nic złego, w każdym razie nic gorszego niż o innych studentach, choć uczysz się greki, a to już zatraća herezją. Nie chcę cię prześladować, ale powinieneś pośpiesznie stąd się oddalić i więcej się tu nie pokazywać, żeby nie zbezczęścić kościoła. Nie widzę innej rady, tylko musisz się modlić, aby dobry król Chrystian duński szybko uzyskał zwycięstwo nad wrogami Kościoła, o ile naturalnie Bóg słucha modlitw człowieka wyklętego.

4

Było to z końcem zimy i ustawiczne zimno oraz czający się głód powiększały jeszcze moje przygnębienie i rozpacz. Ale zmieniłem się od poprzedniej zimy i nie myślałem już poddawać się losowi jak bezbronne jagnię. Zacząłem snuć różne plany. Były chwile, kiedy brakowało mi towarzystwa Julienu d'Avril, choć okazał się fałszywy, bo jego wesoły, szubieniczny humor często przenikał ożywym powiewem moją duszę, gdy zaczynałem zanadto roztkliwiać się nad samym sobą. Buntownicze myśli i dzikie wątpliwości zaczęły kiełkować w mym sercu jak bujne zielsko, które szybko przytłumi wszystkie pożyteczne rośliny i nie zna lepszej gleby nad głód, zimno i samotność. Zacząłem zaniedbywać studia i zbyt często szukałem pociechy w winie, w wesołej kompanii.

Dotychczas żyłem wiedzą i cieszyłem się, że co dzień uczę się czegoś nowego. Ale teraz oczy moje przejrzały i dostrzegłem zarówno cudowny blask, jak i czarną jak noc nędzę wielkiego

miasta. Ścieżka nauki była długa i niedostępna dla biedaka, a jedyną nagrodą łzy i zgięty przedwcześnie grzbiet. Natomiast bogacze i możni mogli z łatwością kupić sobie biskupi stolec z wszystkimi jego prebendami, papież zaś mógł mianować swego szesnastoletniego syna-ulubieńca kardynałem.

Gdy nadeszły wiosenne odwilże i drogi stały się grząskie, głód i przepicie wyгнаły mnie raz w środku tygodnia, na poszukiwanie Anttiego, który po naszej jesiennej wyprawie wrócił jakby nigdy nic do pracy u puszkarza na przedmieściu. Powędrowałem więc do niego aż do Saint Cloud i zostałem zaproszony do wzięcia udziału w obiedzie u jego mistrza. Gdy inni odpoczywali po posiłku, Antti poszedł ze mną, aby mnie kawałek odprowadzić. Ani się obejrzelśmy, jak zawędrowaliśmy do samego Paryża, i Antti postanowił nie wracać już do swej pracy. Słońce świeciło jasno po chmurnym poranku, pola zieleńły się, a czarne lipy otulał welon przejrzystej mgiełki. W naszej dalekiej ojczyźnie lody jeszcze nie puściły, obaj jednak dotkliwie tęskniliśmy do domu.

Było już prawie ciemno, gdyśmy doszli do miasta i na ulicy spotkali pojazd, który zgubił koło. Woźnica z głupim wyrazem twarzy na próżno usiłował osadzić je na osi, a jakaś kobieta odziana w piękne szaty i futro zarzucone na ramiona, ze złotymi bransoletkami na rękach, stała obok. Robiła wrażenie bardzo niespokojnej. Twarz jej zasłonięta była woalem. Zobaczywszy nas odezwała się:

— Na miłość boską, dobrzy przechodnie, pomóżcie i postarajcie mi się o tragarzy, jeśli macie Boga w sercu.

Odparłem, że po zapadnięciu ciemności nie tak łatwo o tragarzy i że szybciej dojdzie do celu idąc pieszo tak jak my. Ona jednak odrzekła, że woźnica musi zostać przy koniu i nie może jej odprowadzić, a dla samotnej kobiety nie jest wcale bezpiecznie chodzić po paryskich ulicach w nocy — podobnie zresztą jak i w dzień.

Przyznałem jej słusność i powiedziałem:

— Jestem tylko ubogim bakałarzem, a mój brat jest odlewaczem, ale jeśli chcecie nam zaufać, możemy was odprowadzić do domu bezpiecznie. A jeśli boicie się, pani, że wasze trzewiczki i aksamitna spódnica zabrudzą się błotem, przeniesiemy was chętnie na rękach przez najgorsze kałuże.

Zawahała się, przyglądając nam się bacznie poprzez woal, ale pośpiech pokonał jej skrupuły i odparła:

— Mąż mój z pewnością bardzo się niepokoi, bo powinnam była już na nieszpory wrócić od mojej starej, ciężko chorej mamki.

Sługa dał nam pochodnię i ruszyliśmy w drogę. Ja niosłem pochodnię, a Antti kobietę, dopóki nie doszliśmy do suchszych i lepiej oświetlonych ulic. Musieliśmy iść aż do klasztoru bernardynów, zanim kobieta z westchnieniem ulgi nie zatrzymała się przed solidnie zbudowanym kamiennym domem i nie zaczęła dobijać się kołatką do okutej żelazem bramy. Antti otarł pot z czoła i szepnął mi do ucha:

— Bogu dzięki, że już jesteśmy na miejscu, bo przez całą drogę szatan dręczył mnie pokusami i tylko odmawiając zdrowaśki potrafiłem im się oprzeć.

— Czy jest aż tak piękna? — zapytałem, choć już wcześniej sam zwróciłem uwagę na młodość i piękność nieznaną.

— Co mi tam ziemską uroda — odparł Antti. — Ale gdy ją niosłem, bardzo dzwoniły i dźwięczały jej liczne klejnoty i kosztowności. Myślę, że musi mieć na sobie złota i klejnotów co najmniej za sto dukatów. Doprawdy nie rozumiem, dlaczego wytworna dama stroi się w klejnoty i aksamity, idąc w odwiedziny do starej mamki, ale każdy kraj ma swój obyczaj i nie moja rzecz ganić to lub oceniać. W każdym razie szatan kusił mnie okrutnie i szeptał, że można by w oka mgnieniu zgasić pochodnię, zerwać kosztowności i wrzucić babę do rzeki i że poszłoby to szybciej, niż kot kichnie. A potem moglibyśmy żyć latami beztrudnie jak przyzwoici ludzie.

Zacząłem patrzeć na kobietę innymi oczyma, ale w tej samej chwili otwały się wrota domu z szczękiem wielu rygli i kobiecym zwyczajem piękna nieznajoma zaczęła gwałtownie łąjąc odźwiernego za ospałość. Potem zaprosiła nas, żebyśmy weszli do środka, i rzekła:

— Mój mąż zechce bez wątpienia podziękować wam za życzliwą pomoc, której udzieliliście bezbronnej niewieście.

Ale jej mąż, który okazał się maleńkim i gniewnym staruszkim o potarganej brodzie i nabiegłych krwią, opuchniętych powiekach, nie okazał nam najmniejszej wdzięczności. Wygrazając łaską oburknął nas ostro i gwałtownie.

— Gdzie byłaś i dlaczego zapraszasz do mego domu rabusiów i złoczyńców? Patrz, jak pomiętaś swoją aksamitną spódnicę! Bóg mnie pokarał na stare lata, każąc mi dźwigać taki krzyż!

— Szlachetny panie — odezwał się Antti. — Ten krzyż jest lekki i przyjemny do dźwigania i gorsze krzyże przypadły już ludziom w udziale, jak na przykład bieda, głód i pragnienie, które dręczą brata i mnie, bo nałożyliśmy niemało drogi, żeby odnieść bezpiecznie do domu waszą piękną żonę. Ale jeśli chcecie, chętnie weźmiemy ten krzyż i odniesiemy z powrotem na miejsce, gdzieśmy go znaleźli.

Niedobry starzec stuknął gniewnie łaską w kamienną posadzkę, rzucając niepewne spojrzenie na płaczącą żonę i na nas. W końcu pogrzebał w sakiewce i dał nam po denarze za fatygę. Ale żona jego rozplakała się jeszcze bardziej i wołała:

— A więc cena czci twojej żony jest twoim zdaniem tak mała?

Skończyło się na tym, że mimo gniewu zaprosił nas do udziału w wieczerzy, która od dawna już czekała na stole. W czasie posiłku żona jego opowiadała długo i szeroko o wszystkich swoich kłopotach i o chorobie mamki, biorąc nas na świadków, że tak było. Niebawem śmiała się już wesoło, a piękność jej zachwycała mnie ogromnie. Mąż jej także się udobruchał, gdy zapomniał o swoim niepokoju, i uśmiechał się bezzębnyymi szczękami w gęstwinie brody przyznając, że jesteśmy przyzwoitymi ludźmi. Po posiłku poczęstował nas słodkim mnisim likierem w małych kieliszkach i pytał, kim jesteśmy. Zachwycał się siłą Anttiego i powiedział do nas:

— W tych bezbożnych czasach trzeba ze świeczką szukać wśród młodzieży uczciwości i cnoty. Potrzebuję mocnego i godnego zaufania pacholka, który strzegłby domu i towarzyszył mi w podróżach, bo złodzieje i awanturnicy kręcą się koło mnie i czyhają na moją własność w każdej gospodzie.

Antti odparł skromnie, że królewski zbrojmistrz proponuje mu trzy dukaty złotem miesięcznie, jeśli zechce służyć królowi jako puszkarz. Starzec ze zgrozy przeżegnał się kilka razy i wtrącił, że Antti musi też liczyć tu wyżywienie, odzież, dobre mieszkanie, bezpieczne życie i błogi spokój wśród przynoszących błogosławieństwo relikwii. Znajdujemy się bowiem pod dachem handlarza relikwii, mistrza Hieronima Arce. A na to Antti:

— To z pewnością zacni święci pańscy kierowali nasze kroki na pomoc łaskawej pani. Jesteśmy z moim bratem Mikaelem bardzo do siebie przywiązani i jeśli on również będzie mógł korzystać z tego dobrego jadła i dostanie nową odzież tak jak i ja, chętnie popilnuję przez czas jakiś waszego domu, panie. Nie mogę jednak przyrzec, że długo tu zostaniemy, bo muszę się uczyć zawodu.

Powiedział to żartem, ale ku memu zdumieniu mistrz Hieronim ogromnie się do tego zapalił i zaraz dobił umowy podaniem ręki. Jego małżonka, piękna pani Genowefa, dorzuciła:

— Jeśli ten młody student ma jadać w naszym domu, mam nadzieję, że zechce często mnie zabawiać i pomoże mi spędzać czas na głośnym czytaniu budujących legend o świętych. Sama też chętnie będę się uczyła czytać, o ile nabycie tej umiejętności nie nadweręży zbytnio nikłego rozumu, który Stwórca dał nam, niewiastom.

Tak to Antti został odźwiernym w domu mistrza Hieronima i włożył schludny niebieski kaftan ze srebrnymi guzami. Dzięki niemu jadłem tam codziennie wespół z resztą służby, a

pani Genowefa wzywała mnie często na pokoje, żebym czytał jej którąś z licznych francuskich książek z biblioteki starego. Mistrz Hieronim człapał po domu w filcowych pantoflach i bacznie pilnował, by drzwi do komnaty małżonki zawsze stały otworem, gdy przebywałem u niej. Od czasu do czasu zaglądał przez szparę, ale wnet się uspokajał, gdy widział, że nie robimy nic nieprzystojnego.

Mistrz Hieronim prowadził szeroką korespondencję z wielu krajami i handlował relikwiami. W podziękę za to, że pisałem mu listy, zaprowadził mnie raz do swego skarbcza w piwnicy. Gdy odemknął niezliczone zamki w okutych żelazem drzwiach, poczułem wyraźnie zapach świętego balsamu i olśniło mnie kolosalne mnóstwo skarbów, jakie stary handlarz zebrał. Najcenniejszym z nich był odłamek świętego krzyża, zakupiony od Turków po zdobyciu przez nich Bizancjum. Pokazał mi też jako wielką osobliwość kawałek deski z dna łodzi, w której siedzieli święci apostołowie, gdy ujrzeli Jezusa kroczącego po wodzie. Mistrz Hieronim prowadził właśnie pertraktacje w sprawie sprzedaży tej relikwii. Pewien bogaty armator chciał zbadać, czy może ona chronić statki przed burzą. Skarbiec mistrza Hieronima zawierał jeszcze łokieć postronka, na którym powiesił się Judasz, i dwa wspaniałe pióra z ogona koguta, który piał dla świętego Piotra.

Miałem osobiste powody, żeby pomagać mistrzowi Hieronimowi i przebywać w jego domu jak najdłużej, gdyż zadurzyłem się w pani Genowefie od pierwszego spojrzenia i z dala od niej odczuwałem ustawiczny niepokój, a ciało paliło mnie jak ogień. Jej ciemne oczy, tęskne usta i krągłe ramiona oczarowały mnie i nie mogłem już myśleć o niczym innym jak tylko o niej. Czasem kazała mi czytać różne frywolne opowiadania, które wcale nie były budujące. A podczas gdy czytałem, często głęboko wzdychała, opierała policzek na dłoni i wpatrywała się przed siebie. Minał bez mała tydzień od naszego poznania, gdy pewnego dnia, korzystając z nieobecności męża, zapytała:

— Mikaelu, mój przyjacielu, czy mogę ci zaufać?

Zapewniłem ją, że może to w pełni i spokojnie uczynić, gdyż z całego serca považam ją i uwielbiam i myślę o niej tak, jak gdyby była samą świętą Genowefą. A ona westchnęła i rzekła:

— Może nie myślałbyś o mnie równie dobrze, gdybym ci wyjawiała moje myśli... Powiedz, czy to słuszne, by młoda i piękna niewiasta jak ja była związana tysiącnymi kajdanami małżeństwa z brzydkim i niedobrym staruchem takim jak mistrz Hieronim?

Odparłem, że sam się temu dziwiłem i sądziłem, że to rodzice lub rodzina zmusili ją do zawarcia tego nienaturalnego związku małżeńskiego. Ją jednak dotknęły moje słowa i powiedziała gwałtownie:

— Nikt mnie nie zmuszał, żebym to uczyniła. Przeciwnie, zrobiłam sama, co tylko było w mej mocy, żeby go zaślepić i skusić do małżeństwa, bo jest niezmiernie bogaty i choć niezbyt szczodry, dał mi wiele drogocennych kosztowności i pięknych szatek. Wmawiano mi bowiem uparcie, że chorowici starcy w tym wieku nie pozostają przy życiu dłużej niż trzy lata, gdy młoda i pełnokrwista kobieta stara się usilnie im dogodzić i spełnić wszystkie ich pragnienia. Mogę cię zapewnić, że robiłam, co mogłam, ale ku memu zdumieniu, stawał się od tego tylko młodszy i bardziej krzepki i jest teraz zdrowszy niż wtedy, gdyśmy się pobierali, choć nie dawałam mu usnąć w łóżu przez wiele nocy. Myślę, że pewnie musi mieć jakiś ukryty talizman, który dodaje mu siły, i doszło już do tego, że samo jego dotknięcie jest mi nienawistne. Ale to nie takie ważne. Najgorsze jest to, że przed kilku miesiącami spotkało mnie nieszczęście, którego nie mogłam przewidzieć, gdy wychodziłam za męża, i które wypełnia moje dni i noce gorzkim bólem. Czuję się tak jak gdyby niezliczone mrówki nieustannie chodziły mi po całym ciele.

— Na Boga, pani! — wykrzyknąłem z prawdziwym przerażeniem. — Droga pani Genowefo, słyszałem, że francuska albo też, jak ją wolą we Francji nazywać, hiszpańska choroba często

zaczyna się takimi właśnie symptomami.

Kazała mi zaniknąć gębę i nie pleść głupstw.

— Jestem zakochana, Mikaelu — powiedziała i zajrzała mi głęboko w oczy. — Szaleję ze straszliwej miłości, a moim ukochanym jest szlachetny rycerz ze świty królewskiej. Nigdy bym go nie spotkała, gdyby nie pożyczał pieniędzy od mego męża, bo jak to zwykle bywa u najznakomitszych kawalerów, jego pieniężne sprawy są beznadziejnie zagmatwane. I wcale nie wracałam od chorej mamki, gdy spotkaliśmy się wówczas na ulicy. Przeciwnie, potajemnie, ryzykując dobrą sławę, odwiedziłam wtedy mego kochanka.

Poczułem ból w sercu i łyzy zalały mi oczy, gdy wyobraziłem sobie panią Genowefę w objęciach znakomitego i dorodnego rycerza, jakkolwiek nie odczuwałem choćby najśłabszego uczucia zazdrości wobec mistrza Hieronima. Zganiłem ją mówiąc:

— Pani Genowefo, wszak popełnia pani straszliwy grzech i skazuje duszę na wieczne potępienie, zdradzając swego zacnego małżonka.

Odparła mi na to, że sama załatwi sprawę swego zbawienia w rozmowie ze spowiednikiem.

— Czyż nie rozumiesz, że to nie ma nic wspólnego ze zbawieniem duszy? — zapytała. — Nie masz pojęcia, jakim on jest kochankiem. W ramionach unosi mnie do siódmego nieba i całe moje ciało robi się przy nim miękkie jak воск. Ale najgorsze jest to, że on mnie nie kocha...

Wybuchnęła płaczem, przypadła twarzą do mych kolan szlochając gwałtownie i łzami zmoczyła mi pończochę.

— Jakże to możliwe, żeby was nie kochał, pani? — wykrzyknąłem poruszony do głębi.

— Kto mógłby was nie pokochać, gdy raz ujrzał?

— Uwiódł mnie tylko dla pieniędzy — odparła pani Genowefa szczerze. — Sądził bowiem, że zdołam nakłonić męża, by pożyczył mu więcej pieniędzy. I raz istotnie udało mi się tego dokazać, ale tylko jeden raz. Dlatego gardzi mną i odmawia mi swoich względów, a gdy spotkaliśmy się ostatnio, nie wziął mnie nawet w ramiona, tylko robił mi ostre wyrzuty i mówił, że nie chce mnie nigdy więcej oglądać. I wcale go za to nie ganię, bo tak znakomity kawaler potrzebuje dużo pieniędzy. Łatwiej jednak wycisnąć złoto z granitu niż pieniądze z mojego męża, jeśli dłużnik nie ma dostatecznych zastawów albo pewnego poręczyciela. Ale choć mój znakomity kochanek ofiarował na zabezpieczenie pożyczki swój honor szlachecki, mąż mu nie wierzy. Mówi, że nie dałby złamanego szeląga za tak kiepską porękę.

— Ale co ja tu mogę poradzić? — spytałem zdziwiony. Pani Genowefa chwyciła mnie za ramię i rzekła błagalnie.

— Chcę, żebyś napisał i zaniósł do niego list w moim imieniu. W liście masz wyjaśnić, że pod wielu fałszywymi pozorami udało mi się wydostać od męża pięćdziesiąt dukatów i że pokornie błagam, aby zechciał spotkać się ze mną jeszcze raz i przyjąć te pieniądze z moich rąk, choć wstydzę się, że suma tak mizerna. Gdy tylko wyznaczy czas i miejsce, pośpieszę do niego przez ognie piekielne.

Jej rozpacz wzruszyła mnie. Rozumiałem, co czuje, bo sam ją kochałem.

— Pani Genowefo — rzekłem drżąc na całym ciele. — Co mi dacie w nagrodę, jeśli zmuszę go, aby was kochał?

Zaśmiała się dźwięcznie i powiedziała:

— To na pewno niemożliwe, ale jeśli rzeczywiście mógłbyś tego dokazać, wspominałabym cię zawsze w moich modlitwach porannych i wieczornych i nie odmówiłabym ci niczego.

— Pani Genowefo — wyjąkałem — to może grzech i czary i pomagając wam oddaję się pewnie w moc złego ducha, ale posiadam miłosny napój, któremu, zdaniem mojej przybranej matki, nikt nie potrafi się oprzeć. Proszę go skusić, żeby to wypił, gdy się spotkacie.

Zbladła, a oczy jej pociemniały i zaczęły lśnić. Nagle zarzuciła mi ramiona na szyję i pocałowała w same usta.

— Mikaelu, jeśli to prawda, możesz mnie prosić, o co chcesz, a ja nie odmówię ci niczego. Drżąc całowałem jej twarz i nagie ramiona i bełkotałem:

— Pani Genowefo, wstydzę się powiedzieć, czego chcę od was, ale od chwili, gdy zobaczyłem was po raz pierwszy, nie miałem jednego spokojnego dnia, a po nocach śniłem o waszych oczach, które są jak ciemne fiołki. Pragnę was z całego mego serca, choć jest to równie wielki albo może nawet jeszcze większy grzech niż używanie czarów do rozpalania miłości.

Przestraszona, wysunęła się z moich objęć i zaczęła mnie łajać:

— Mikaelu, zupełnie się na tobie zawiodłam i wcale nie rozumiem, jak śmiesz zwracać się do uczciwej niewiasty z takimi słowami. Bo jeśli dobrze je sobie tłumaczę, ogarnęło cię złe i grzeszne pożądanie, czego bym nigdy u ciebie nie podejrzewała.

Z jej słów zrozumiałem, jak głęboko mną gardzi, ale równocześnie opór podniecił mnie i uczynił ją w moich oczach jeszcze bardziej godną pożądania, bo istotnie była piękna, gdy tak przyglądała mi się z rumieńcem gniewu na policzkach, skromnie przykrywając dłońmi gołe ramiona.

— Pani Genowefo — powiedziałem z szacunkiem — proszę pomyśleć, że może jest w mojej mocy zczarować szlachetne serce jej kochanka tak, iż nie będzie już mógł żyć bez was, pani, i spełni wasze najgorętsze pragnienia. Proszę pamiętać, że źródło wasze wcale nie wyschnie, jeśli pozwoli pani spragnionemu napić się łyk u niego, i że nikt nie musi o tym wiedzieć.

Pokusa była wielka. Zaczęła rozpaczliwie załamywać ręce i próbowała mnie wzruszyć czułymi słowami. Pieściła delikatnie moje policzki i zaglądała mi błagalnie w oczy, ale ja nie zapomniałem, że wystawiam na niebezpieczeństwo zbawienie duszy, pomagając jej czarodziejskimi sztuczkami. Toteż uparłem się i domagałem swego wynagrodzenia, które moim zdaniem mimo wszystko kosztowałoby ją dość niewiele trudu.

— Dam pani miłosny eliksir — rzekłem. — Nikt z nas nie wie, jak on będzie działał, ale moja droga przybrana matka nigdy mi nie kłamała, toteż mam wszelkie powody, żeby wierzyć jej także i w tym wypadku. Jeśli napój okaże się skuteczny, szczęście pani będzie tak wielkie, że nie zechce mi pani odmówić drobnej jego części. Gdy spotka pani kochanka, proszę zażądać czegoś do picia, niepostrzeżenie wlać kilka kropel eliksiru do pucharu i nakłonić rycerza, by podzielił wino z panią. Nie sądzę, by mi pani potem żałowała czegokolwiek.

Odparła niecierpliwie, żebym nie plótł głupstw, bo sama dobrze wie, jak to zrobić, byleby tylko dostała eliksir. Ucieszyłem się, bo słowa jej świadczyły, że godzi się na nasz układ.

Napisałem zatem list, o który prosiła, i sam go zaniósłem do szlachetnego rycerza, otrzymawszy od niej dokładne wskazówki, gdzie mieszka i jak go mam tytułować.

Zastałem go w ogrodzie, jak tresował młodego sokoła, którego powieki były zszyte. Ptak siedział bezradnie na rękawicy sokolnika i nie ważył się rozwinąć skrzydeł do ucieczki. Przyznaję, że wielce mnie zdziwił wygląd znakomitego pana, gdyż był on szczuplejszy i niższy ode mnie, a jego uda i łydki w czerwonych jedwabnych majtkach były chude i krzywe. Wyniosłe oblicze szpeciły czarne znamiona, a brodę porastał rzadki włos.

Gdy rycerz przeczytał list, kazał oddalić się swemu słudze i rzuciwszy na mnie gniewne spojrzenie, spytał:

— Czy wiesz, co jest w tym liście? Odparłem, że wiem, bo sam go pisałem.

Zaczerwienił się z gniewu, stracił sokoła z sokolniczej rękawicy i wybuchnął:

— Co znaczy dla mnie pięćdziesiąt dukatów? To tyle co kropla śliny na rozpalonym do czerwoności piecu! Twoja pani straciła chyba rozum, skoro kłopotuje mnie takimi sprawami. Doprawdy lepsze miałem o niej wyobrażenie. Powiedz jej, żeby bezzwłocznie przysłała mi te dukaty, a potem zabrała się do diabła, bo nie chcę jej już nigdy w życiu oglądać. Sama jej obecność przyprawi mnie o młodość z powodu niewypowiedzianego zawodu, jaki mi sprawiła, choć tak dobre o niej miałem mniemanie.

Odparłem, że słowa jego zbyt są surowe i bezlitosne dla uszu słabej niewiasty, i podniosłem, że nic na tym nie straci, jeśli poświęci kilka minut czasu, aby przyjąć pięćdziesiąt dukatów z rąk pani Genowefy, gdyż chce ona ponadto powiedzieć mu coś ważnego. Gdy zrozumiał, że w żaden inny sposób nie dostanie pieniędzy, zaczął rzucać najohydniejszych przekleństw, bluźnić, a w końcu cisnął mi list w twarz i kesał powiedzieć mojej pani, którą nazwał dziewczką i Jezebel, żeby nazajutrz po południu przysłała z pieniędzmi.

— Ale musisz ją uprzedzić, że nie może spodziewać się żadnych faworów za pięćdziesiąt dukatów. Gdyby mi się postarała o pięćset, pozwoliłbym jej może zająć miejsce koło mnie, a za tysiąc zabrałbym ją z sobą do łaźni i kazałbym słudze przygotować miękkie poślanie. Nie zapomnij jej tego powiedzieć i próbuj nakłonić, żeby postarała się przynajmniej o sto dukatów.

Sięgnąłem do mieszka, żeby mnie wynagrodzić za list, ale mieszek był pusty, zadowolili się więc musiałem zapewnieniem o życzliwości i pozwoleniem odejścia. Dla wszelkiej pewności podniosłem jeszcze z ziemi list, żeby nie dostał się w niepowołane ręce, i powędrowałem z powrotem w daleką drogę do miasta, do domu handlarza relikwii. Pani Genowefa uściśliła mnie i pocałowała w oba policzki, piszcząc z radości, gdy usłyszała, że udało mi się załatwić sprawę, ja zaś nie mogłem oprzeć się ogromnemu zdumieniu nad sposobem, w jaki myślą kobiety, i nad ich zadziwiającymi kapryсами.

Tegoż wieczoru powrócił mistrz Hieronim ze zbrojną eskortą. Był w niezwykle dobrym humorze i dał mi sztukę złota, żonie zaś podarował cały woreczek dukatów, żeby mogła kupić sobie u złotników na Nowym Moście klejnot, który jej się spodoba. Mistrzowi Hieronimowi udało się bowiem ściągnąć dziewięć tysięcy dukatów od dłużnika, w którego wypłacalność zaczynał już wątpić, a który niespodziewanie otrzymał spadek po dalekim krewnym z Normandii i z wielkiej z tego powodu radości natychmiast pospłacał wszystkie długi.

Niespodziana radość sprawiła, że mistrz Hieronim zaniedbał zwykłej ostrożności. Cały wieczór ważył i ustawiał w kupki na stole złote monety, obrzynając ze sztuk złota cienkie skrawki, i nigdy jeszcze dotąd nie oglądałem tak ogromnych sum pieniędzy.

Następnego dnia nie robił żadnych trudności, gdy pani Genowefa wyraziła chęć odwiedzenia starej mamki. Wprost przeciwnie nastawał na nią, aby przenocowała tam i nie narażała się na niebezpieczeństwo związane z powrotem nocną porą. Antti miał ją odprowadzić do mamki i przyjść po nią w swoim czasie, ale kazano mu wrócić do domu przed zapadnięciem ciemności, bo mistrz Hieronim bał się złodziei.

Pani Genowefa obmyła wiele razy całe ciało, namaściła się wonnymi maściami, odziała w najlepsze szaty i przystroiła w najpiękniejsze klejnoty. Nie pojmowałem, jak mistrz Hieronim mógł nic nie podejrzewać, widząc te wszystkie przygotowania. On jednak tylko podziwiał ją i mówił:

— Moja żona jest wciąż jeszcze młoda i ma tak mało okazji przywdziewać swoje piękne szaty, ponieważ ja bardzo nie lubię przyjęć i nie mam zbyt wielu znajomych, z którymi chciałoby mi się spędzać wieczory. W moim wieku człowiek znużył się już ludźmi i rozumie, że wszyscy oni są zawsze tacy sami. Ich opowiadania i poglądy nie różnią się zupełnie od siebie i przyprawiają mnie o ziewanie i senność. Toteż jest zupełnie naturalne, że moja żona chce się czasem pokazać poza domem w swoich kosztownościach, i nie żywię o nią żadnego niepokoju, gdy twój mocny brat chroni ją przed rabusiami.

Zrozumiałem z tego, że nie ma ludzi bardziej ślepych niż starzy mężowie, którzy mają piękne żony. Ale powiedziałem sobie, że ten, kto posiada skarb, powinien go pilnować, żeby nie wodzić drugich na pokuszenie, że może równie wielkim grzechem jest wystawiać bliźniego na pokusę, jak samemu jej ulec.

Przez całe to popołudnie pisałem listy pod dyktando mego gospodarza. Mistrz Hieronim pragnął ulokować odzyskane pieniądze w jakiejś wartościowej relikwii, prowadził też ważne pertraktacje z kurfirstem saskim. Jego wysokość był słynnym zbieraczem relikwii i trzeba było do niego pisać po łacinie i dołączać odpisy wszelkich zaświadczeń dotyczących świętych resztek. Rokowania odnosiły się do rąbka płaszcza świętego Franciszka. Pobożny kurfirst pragnął użyć tego płaszcza jako całunu. Sprawa była dość kłopotliwa, bo bractwo minorytów gotowe było za umiarkowaną opłatą pochować go w szarym mnisim habitcie, aby po śmierci mógł zaliczać sobie na poczet zasług wszystkie dobre uczynki minorytów.

Popołudnie minęło mi zatem na pilnej pracy i rozmowach z mistrzem Hieronimem. Antti wrócił do domu, gdy jadłem wieczerzę, i powiedział: — W tym dziwnym kraju zawód mamki musi być dobrze płatny i aż żałuję, że sam nie urodziłem się kobietą, bo pomyśl, jaka byłaby ze mnie niezrównana mamka. Mamka naszej pani mieszka w domu otoczonym murem i jest tak dostojna, że jej samej w ogóle nie widziałem. Tylko jej słudzy w porozcinanych szatkach kręcili się przed bramą jak barwne koguty. Nasza pani dała mi co prawda sztukę złota, żebym tego nikomu nie zdradził i opowiadał całkiem inne rzeczy, gdy mnie ktoś zapyta. Ale sprawa ta jest moim zdaniem tak dziwna, że muszę ci o tym powiedzieć.

Następnego dnia Antti znowu udał się w drogę, żeby przywieźć do domu panią Genowefę. Wróciła bardzo blada i skrajnie wyczerpana. Oczy jej miały błędne spojrzenie i były otoczone czarnymi kręgami, chodziła jak we śnie i nie chciała odezwać się ani słowem do nikogo, lecz pośpieszyła prosto do swojej komnaty, rzuciła się na łożo i zasnęła kamiennym snem.

Nasz pan bardzo się zaniepokoił i lękał się, że zachorowała, ale Antti uspokoił go mówiąc:

— Myślę, że nasza pani po prostu potrzebuje snu. Widocznie przywykła do dobrego łoża i wygodnego życia. Mówiła mi w drodze, że nie zmrzyła oka w nocy i że ohydne robactwo pogryzło jej całe ciało do krwi.

Była to prawda, bo gdy mistrz Hieronim poszedł wraz z nami do alkowy doglądać śpiącej małżonki, zobaczyliśmy, że jej szyja i ramiona pokryte były istotnie czerwonymi plamami, jak gdyby ją coś pogryzło. Spała jednak głęboko i spokojnie, przyciskając mocno do piersi poduszkę. Mistrz Hieronim okrył ją czule przed naszymi ciekawymi spojrzeniami i rzekł:

— Będzie to pożyteczna nauczka, żeby już nigdy więcej nie nocowała u swojej mamki.

Przez cały następny dzień czekałem niecierpliwie na okazję pomówienia z panią Genowefą, ona jednak unikała mnie nadal i była wciąż senna, tak że udało mi się zostać z nią sam na sam dopiero, gdy mistrz Hieronim poszedł na nieszpory.

— Pani Genowefo — powiedziałem błagalnie — zaklinam was na wszystkich świętych, proszę opowiedzieć, co się pani przytrafiło. Chory z niepokoju, przez całą noc nie zmrzyłem oka, lękając się, że zrobiłem pani jakąś krzywdę.

Niechętnie odpowiedziała:

— Mój szlachetnie urodzony kochanek przyjął mnie w swojej komnacie stojąc i zrazu nie myślał nawet poprosić mnie, bym usiadła. Ale zmięknął, gdy mu dałam sto pięćdziesiąt dukatów, i polecił słudze podać mi kielich wina, o który go prosiłam. Szczęśliwie się złożyło, że psy zaczęły się gryźć i awanturować na podwórzu i gdy wyszedł, by je poskromić, domieszałam do wina mikstury stosownie do twoich wskazówek. Na moją prośbę napił się z tego samego pucharu co ja, choć zrobił to bardzo niechętnie. I ledwie przełknął ostatnią kroplę, oboje poculiśmy się senni i zmęczeni. Kochanek mój zaczął ziewać, otworzył okno, żeby wpuścić świeżego powietrza, i wyznał, że pali go całe ciało. Próbowałam zyskać na czasie, żeby napój zaczął działać, i opowiedziałam mu, że mąż mój wrócił, przywoząc dziewięć tysięcy dukatów w złocie. Jeszcze nie zdążyłam wypowiedzieć tych słów, gdy nagle chwycił mnie namiętnie w ramiona i wyznał, że ciało jego pali tak okropny ogień, iż musi rozebrać się do naga i zanurzyć w sadzawce dla ochłody. I ja nie byłam w dużo lepszym



stanie, choć kobieca wstydlivość zmusza mnie do zamilczenia o tym, co się ze mną działo. I zapewniam cię, że zanurzył się w sadzawce tyle razy, iż zupełnie straciłam rachubę i byłam prawie bez zmysłów. Nie dał mi spokoju przez calušką noc, tak że nie sędzę, aby jakaś inna kobieta miała kiedyś bardziej płomiennego i czułego kochanka. Gdy się z nim żegnałam, zapewniał mnie jeszcze o swojej miłości i zmusił, bym powiedziała, że i ja go kocham. Ale teraz muszę zastanowić się poważnie nad tym wszystkim i namyślić, toteż zostaw mnie w spokoju, Mikaelu. Czy nie widzisz, że jestem zmęczona i że boli mnie głowa?

Ośmieliłem się przypomnieć jej, co mi jest winna, a ona odparła z gotowością:

— To jasne, że dostaniesz, co ci się należy, Mikaelu, ale doprawdy wybierasz niezbyt odpowiednią chwilę, by tego żądać. Boli mnie całe ciało i uczciwie mówiąc, nie mogę w tej chwili nawet myśleć o dotknięciu mężczyzny bez silnej niechęci. Oszczędź mnie, błagam na wszystkie świętości, a z pewnością wynagrodzę cię za twoje trudy i umartwienia.. Czyż nie lepiej żyć nadzieją i marzeniami o tym, co cię czeka, niż jak rozrzutnik natychmiast roztrwonić należności?

Odepchnęła mnie obu rękami od siebie i musiałem na tym poprzestać.

Następnego dnia mistrz Hieronim wyruszył w od dawna planowaną podróż do świętego miasta Chartres. Miał zamiar zabrać z sobą panią Genowefę, żeby pomodliła się do cudownego obrazu Madonny, gdyż byli bezdzietni. Ale ona wciąż jeszcze skarżyła się na zmęczenie i wyczerpanie i błagała męża, żeby oszczędził jej trudów podróży.

Ziemskie pożądanja mogą tak zaślepić człowieka, że z całej cudownej katedry w Chartres zapamiętałem tylko to, iż z jej dwóch potężnych wież każda była inna, co stanowiło widok znamienny i wzbudzający respekt. Trzeciego dnia wieczorem wróciliśmy, głodni i spragnieni, do Paryża. Przed domem handlarza relikwii czekał na nas Antti i z zasmuconą miną powiedział:

— Mistrzu Hieronimie, mój zacny panie, wielkie nieszczęście spadło na wasz dom i złym jestem pewnie sługą, bo nie umiałem lepiej dopilnować waszej własności. Najkosztowniejsza aksamitna suknia pani Genowefy zginęła pod waszą nieobecność.

Z wyrazu twarzy Anttiego handlarz relikwii rozumiał, że musiało stać się coś jeszcze gorszego. Chciał wejść do domu, ale Antti przytrzymał go i rzekł:

— To jeszcze nie wszystko. Pani Genowefa też znikła wraz z suknią. W ten sposób Antti przygotował oględnie swego pana i opowiedział, że żona jego zabrała z sobą wszystkie suknie i klejnoty.; a także całe srebro stołowe.

— Własnoręcznie wyniosłem jej z piwnicy skrzynię ze złotem do powozu, który ją stąd zabrał — ciągnął spokojnie. — I zapewniam was, panie, skrzynia była tak ciężka, że dwóch zwykłych chłopów nie ruszyłoby jej z miejsca, ale nasza dobra pani ufała w moje siły, ja zaś chciałem jej usłużyć jak najlepiej, jak samiście mi nakazali, panie.

Mistrz Hieronim zaniemówił ze zgrozy i zaskoczenia i nie mógł wykrztusić słowa, a Antti dodał:

— Drzwi od piwnicy były zamknięte, boście, panie, zapomnieli dać klucze żonie, ale ja pożyczyłem młot od kowala i po wielkich wysiłkach udało mi się rozbić zamek i zawiasy, ponieważ nakazaliście mi, panie, słuchać waszej żony jak was samego.

Dopiero teraz zrozumiałem straszliwe nieszczęście w całej rozciągłości, oczy wypełniły mi się łzami i wykrzyknąłem,:

— Drogi mistrzu Hieronimie, wasza fałszywa i wiarołomna żona zdradziła nas i zawiodła nasze zaufanie. Niech dobry Bóg porazi ją piorunem z nieba i zniszczy jej zdradziecką głowę i niech jej fałszywe ciało rozszarpia psy!

Także mistrz Hieronim ronił gorzkie łzy, ale odparł:

— Nie mów tak, nie mów! Spotkała mnie słuszna kara boska z powodu mojej własnej ślepoty i łatwowości.

Rwał sobie włosy z brody, rzucił czapkę o ziemię, chwycił laskę i zaczął okładać nią Antiego, który pokornie przyjmował zasłużoną chłostę. Ale gdy handlarz relikwii" zmęczył się biciem, wypuścił kij z ręki i zupełnie zmiażdżony rzekł:

— Kije i lży mało tu pomogą, wina nie twoja, boś jeszcze tylko naiwny młody chłopak i ja sam w mojej głupocie kazałem ci słuchać żony.

Powłócząc nogami wszedł do domu i żał mi było patrzeć na jego zgarbiony grzbiet. Lecz jeszcze bardziej żał mi byłp samego siebie, bo pani Genowefa zdradliwie złamała obietnicę i wiedziałem, że nigdy jej już nie zobaczę. Toteż wylałem gniew na Antiego, pytając, czy był głupi, czy szalony postępując tak, jak postąpił. A on odpowiedział mi spokojnie

— Pani Genowefa jest kobietą piękną i kapryśną i trudno prostemu stłudze opierać się jej woli. Wiesz o tym najlepiej sam, bo właśnie powołując się na ciebie zdołała przełamać moje ostatnie wątpliwości. Opowiedziała mi mianowicie, że to ty stoisz za tym całym planem, ponieważ serce twoje płonie miłością do niej i życzysz jej wszystkiego najlepszego. Mówiła, że tobie ma do zawdzięczenia swoje szczęście, i gotowa jest spłacić dług, kiedykolwiek tego od niej zażadasz. A gdy wciąż jeszcze wahałem się ją posłuchać, dała mi maleńką zaliczkę na twój rachunek. I chętnie przyznaję, że pod tym względem jest to kobieta szczodra i chętna, która płaci długi z procentem.

— Antti! — wykrzyknąłem nie wierząc własnym uszom. — Czy istotnie ośmieliłeś się podnieść oczy na panią Genowefę i zbliżyć do niej z żądzą w sercu?

— Mikaelu! — odparł Antti poważnie. — Nigdy by mi to nie przyszło do głowy, gdybym nie zauważył, że zrobiłeś już dobry początek. Uważałem, że postępuję dobrze ściągając część twoich należności, żeby przynajmniej poszły w dobre ręce i nie zmarnowały się zupełnie.

Widząc, że w bezgranicznej głupocie beczelnie uważa, iż działał jak najlepiej w moim własnym interesie, i wyobraziwszy go sobie w ramionach pani Genowefy, wpadłem w taką wściekłość, że zacząłem okładać Antiego pięściami i lżyć najrozmaitszymi słowy. A on pozwolił mi się wyładować, kiedy zaś trochę się opamiętałem, wyciągnął ze mnie tajemnicę miłosnego eliksiru pani Pirjo i jego skutków. Spojrzał na mnie wtedy łagodnie i zapytał:

— Dlaczego nie dałeś jej po kryjomu lubczyka, skoro serce twoje rzeczywiście tak się do niej przywiązało? Może by cię wtedy polubiła i może byś ją zdobył, a w dodatku i te dziewięć tysięcy dukatów, gdybyś był równie chytry jak jej znakomity kochanek?

Wtedy opadły mi łuski z oczu i nie mogłem zrozumieć, jak mogłem być tak naiwny i głupi. Ale nie chciałem przyznać tego przed Anttim i rzekłem:

— Oparłem się pokusie, żeby uratować moją nieśmiertelną duszę.-Gdybym posłużył się czarami dla zdobycia jej przychylności popadłbym w sidła szatana.

— Kwaśne winogrona — rzekł Antti. — Jeśli chodzi o mnie, chętnie bym widział wiele podobnych sideł na mej drodze, choć przyznaję, że może być trudno uwolnić się z nich, gdy się człowiek w nie zapłacze na dobre.

Nikt z nas nie ośmielał się iść do mistrza Hieronima. Zostawiliśmy go samego z jego troską i słyszeliśmy, jak płakał, wzdychał i modlił się w swojej alkwie. W dwa dni później zawołał nas do siebie i powiedział:

— Mam nadzieję, że obaj będziecie milczeć o tym, co się stało. Zamierzam odprawić całą moją służbę, ponieważ otrzymałem list i wiem już, co zaszło. Jestem stary i błędem było, że spodziewałem się miłości i przyjaźni od kobiety zbyt młodej. Pragnę teraz zapomnieć o tym wszystkim, rozumiecie więc, że nie chcę widzieć was nigdy więcej, bo sam wasz widok przypominałby mi wciąż o żonie. Nie sądzcie, że odprawiam was w gniewie czy w niechęci. Przeciwnie — przebaczam wam z całego serca i daję po pięć sztuk złota na głowę, żebyście milczeli tym, co się stało w moim domu.

Oczy miał czerwone od łez i wyliczywszy nam pieniądze do rąk, pogładził brodę trzęsącymi się palcami i kazał nam odejść. W nieszczęściu i żalobie okazał się szlachetniejszy i

mądrzejszy niż w dniach zwodniczego szczęścia, tak że wymknąłem się z jego domu jak zawstydzony pies, głęboko świadom mojej winy. Ale znalazłem pociechę w myśli, że podobne nieszczęście byłoby spadło na niego prędzej czy później bez mego współudziału i że troska wyszła na dobre jego duszy, ponieważ uczyniła go pokornym i mądrym.

Milcząc wędrowaliśmy brzegiem zielonej rzeki, aż zatrzymaliśmy się na przyczółku mostu, żeby popatrzeć na białą i lśniącą fasadę Notre Dame. Po chwili Antti odezwał się:

— Bracie Mikaelu, weź te pieniądze. Pałą mnie tak dziwnie w dłonie i nie sądzę, żeby wyszły mi na dobre.

Zdumiałem się jego słowami, ale spieszenie wziąłem od niego pieniądze, żeby się nie rozmyślił, podziękowałem mu gorąco i obiecałem zaprosić go na smaczny posiłek „Pod Głową Anioła”, żebyśmy się razem zastanowili, co dalej począć.

Ale nie musieliśmy długo medytować nad naszą przyszłością, bo los to zrobił za nas. Gdy skręciliśmy w ulicę de la Harpe, spotkaliśmy tam pana Didryka, który szedł nam naprzeciw ślizgając się na kupach odpadków. Był zgrabnie odziany w duńskie barwy, miał miecz u boku i kapelusz z piórem. Pozdrowił nas tak, jakbyśmy się nigdy nie rozstawali, i powiedział:

— Jakaż to śmierdząca dziura to twoje mieszkanie! I gdzie ty właściwie się podziewasz całymi dniami? Byłem już u ciebie dwukrotnie — na próżno. Mów szybko, gdzie możemy wypić parę dzbanów wina, bo mam do ciebie interes.

— Pan Didryk! — wykrzyknąłem przerażony i zrobiłem znak krzyża. — Jakiż diabeł przyniósł pana tutaj?

— Diabeł czy król Danii, na jedno wychodzi — odparł. — Dostałem twój adres w nacji alemańskiej, a wiatr i pogoda przywiały mnie do Rouen na statku pełnym Francuzów, którzy gniją od odmrożeń i ran. Mam tu na ich miejsce zwerbować nowych, bo król trzyma na żołdzie chorągiew Francuzów. Co się zaś tyczy ciebie, musisz się śpieszyć, jeśli chcesz odebrać nagrodę za cnotę i mieć jakąś korzyść z odmiany fortuny, ponieważ krnąbrny pan Steń padł i jest tylko kwestią czasu, kiedy szlachetny król dostanie całą Szwecję w swoje władanie.

Te dziwne nowiny wprawiły mnie w takie uniesienie, że go zabrałem pod „Głowę Anioła” i zaprosiłem wraz z Anttim na ucztę. Naturalnie zrozumiałem od razu, że nie szukałby mnie, gdyby nie węszył w tym korzyści dla siebie. Ale łączyły nas wspólne interesy i im więcej opowiadał, tym bardziej nabierałem przekonania, że godzina szczęścia wreszcie wybiła i że dostanę dobrze zasłużoną nagrodę za pracę dla króla Chrystiana i Unii, jeśli tylko zdążę na czas, gdy będą dzielić łupy.

— Oddziały królewskie prą naprzód niepowstrzymanie — mówił pan Didryk. — Opór przeciwnika topnieje prędzej od śniegu i zamki poddają się bez jednego wystrzału. Papież popiera króla, cesarz jest jego szwagrem, a Fugger dał mu pieniądze w zamian za szwedzkie kopalnie miedzi. Dzięki temu król mógł zwerbować najemników z Szkocji, ci zaś są tak dzicy, że zaczęli się z sobą bić już w Kopenhadze i zakłuli jednego ze swoich, który chciał się ratować, chowając się pod królewskim koniem na placu w Amager, co widziałem na własne oczy. Gdy opuszczałem Szwecję, mówiono już o zawieszeniu broni, toteż najmądrzej będzie natychmiast rzucić książki w kąć i popłynąć ze mną do Kopenhagi, a stamtąd do Szwecji.

Taki był niecierpliwy, że w największym pośpiechu zakupił proch i sól oraz parę kartaunów, płacąc za nie królewskimi kwitami kredytowymi, i z początkiem maja popłynęliśmy do wesołej Kopenhagi. Po wietrznej i burzliwej podróży dowiedzieliśmy się tam, że król Chrystian zaledwie parę dni przedtem odptynał, aby kierować oblężeniem Sztokholmu i spotkać się ze szwedzkimi Stanami, zwołanymi na początek czerwca. Odnowiliśmy zapasy żywności, uzupełniliśmy ładunek i popłynęliśmy w dalszą drogę wzdłuż brzegów Szwecji.

W ciągu całej podróży, z wyjątkiem dni, kiedy cierpiał na morską chorobę, pan Didryk wychwalał nieustannie króla Chrystiana i prze powiadał nam złote czasy. Jeśli poprzednio miałem jeszcze jakieś wątpliwości co do Unii, ostatnie z nich rozwiązały się pod wpływem

coraz to nowych wiadomości o królewskich zwycięstwach. I gdy w połowie maja zarzuciliśmy kotwicę pod Sztokholmem, byłem zupełnie przekonany, że nadeszły czasy wielkości zjednoczonej Północy.

W takim to nastroju witałem wiosenną zieleń białopiennych brzoź i oglądałem po raz pierwszy wieże Sztokholmu wznoszące się nad Strömmen. Z wiosną przy płynęliśmy na północ i miałem w sercu wiosnę, gdy patrzyłem na las masztów królewskiej floty wojennej i niezliczone białe namioty w obozie oblegających. Ale żeby opowiedzieć o oblężeniu Sztokholmu przez króla Chrystiana muszę napisać nową księgę.

## CZEŚĆ CZWARTA ŻNIWA

1

Obóz wojskowy w blaskach wiosennego słońca stanowi może z oddalenia piękny widok dla młodego człowieka, ale gdy się żyje jego życiem codziennym, aż nazbyt szybko dochodzi się do wniosku, że nie ma gorszego skupiska wszelkiej nędzy, rozpusty, gwałtu i rozprężenia. Przenikliwy smród kału i moczu, szczęk broni, głośne przekleństwa, zgiełk i wrzaski pijanych żołnierzy można było słyszeć i poczuć już na kilkaset kroków. Jestem pewny, że w ciągu trzech miesięcy oblężenia królewscy żołnierze zadali sobie nawzajem więcej szkody i cielesnych obrażeń niż kule z murów miasta i wysiłki załogi, aby zniszczyć rowy oblężnicze i stanowiska artylerii.

Pan Didryk był przekonany, że miasto wnet skapituluje, gdy Stany usłuchają królewskiego wezwania, i tegoż zdania byli także najemni żołnierze, którzy uważali, że kampania jest już zakończona. Toteż nie mieli ochoty wdawać się w poważniejsze ataki na miasto i często wystarczyło parę strzałów armatnich dziennie na znak, że wojna trwa.

Całkowicie zależny od pana Didryka, deptałem mu wciąż po piętach, aż rozgniewany przezwiał mnie „gzem”, zwłaszcza że niezbyt mu się powiodło w jego planach, gdyż z powodu innych ważniejszych spraw król nie miał czasu, aby go przyjąć. Wchodziłem więc wszystkim w drogę i moje pieniądze topniały w oczach, bo musiałem płacić za żywność i legowisko na słomie według ustalonej w wojennych artykułach wysokiej taksy obozowej. Jakoś trzeba było jednak przeżyć ten okres i doczekać chwili, kiedy mnie będą potrzebować.

Anttiemu nie brakowało niczego, bo był wprawnym rzemieślnikiem i zaraz zaciągnął się do niemieckiego puszkarza, ryzykując życie w gradzie kul pod murami miasta. Poważnie myślałem nad tym, czy nie pójść w jego ślady, ale gdy pewnego dnia odprowadzałem go do stanowisk artylerii, kula działowa z hukiem uderzyła tuż koło mnie, tak że obsypało mnie ziemią. Była to pożyteczna nauczka i natychmiast zrozumiałem, że nie jestem stworzony na żołnierza i że najlepiej będzie zarabiać na chleb w inny sposób. Zostawiłem więc Anttiego, żeby dalej zajmował się ostrzeliwaniem murów, a sam szybko wróciłem do południowej części obozu, gdzie stałem na kwaterze u duńskiego markietana.

W drodze powrotnej spotkałem niemieckiego knechta, który z wyrazem najwyższego zdumienia szedł zataczając się, z oderwanym uchem w jednej ręce, podczas gdy drugą usiłował zatamować upływ krwi w miejscu, gdzie to ucho przedtem wyrastało. Był tak pijany, że ledwie się trzymał na nogach, a kaftan jego aż lepił się od zakrzepłej krwi. Z powodu mego płaszcza wziął mnie za obozowego felczera i zawołał przez czkawkę:

— Na wszystkie świętości, szlachetny panie doktorze, przyszyj mi ucho, żeby ze mnie nie drwili, gdy wrócę do swojej wioski.

Wyraziłem ubolewanie, że nie jestem lekarzem, i przyrzekłem pomodlić się za niego do świętego Piotra, który sam kiedyś w gniewie zadał bliźniemu podobne obrażenie i z pewnością ulituje się nad jego smutnym wypadkiem. Niemiec zawahał się i powiedział:

— Niech mnie Bóg broni, żebym powątpiewał, że święty Piotr może mi dać nowe ucho, gdyby zechciał, ale takie cuda się nie zdarzyły mimo najgorętszych modłów, więc chyba lepiej będzie zaufać lekarzowi.

Żołnierz był rzeczywiście tak pijany, że trudno mu było chodzić, i z czystego miłosierdzia zaprowadziłem go do stodoły, która pełniła funkcję lazaretu. Idąc ścisnął w garści odcięte ucho, żeby go nie zgubić.

Na progu stodoły siedział młody mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, kreśląc końcem miecza kabalistyczne figury na kawałku deski. Na nasz widok okrutnie zaklął i wpatrzył się w nas dziwnie ostrymi i jasnymi oczyma. Był to mąż niewielkiego wzrostu, ale żylasty, z ciężkimi workami pod oczyma. Mimo że stosunkowo młody, zaczynał już łysieć, co świadczyło, że jest to człowiek uczony.

— Szlachetny i uczony panie doktorze — odezwał się Niemiec, wyciągając pokornie ucho w brudnej garści. — Bądź taki dobry i przyszyj mi ucho na miejsce. Ulecz mnie, bo dotknęło mnie nieszczęście, które naprawić może tylko diabelska zręczność.

— Wszelka wiedza doskonała pochodzi od Boga, a niedoskonała od diabła — odparł lekarz. — Rzuć to ucho do wiadra, pijany wieprzu. Opatrzę ci ranę, ale w żaden inny sposób nie mogę ci pomóc, bo byłbym oszustem, gdybym za drogie pieniądze przyszywał uszy i obiecywał, że dokonam cudu. We Włoszech widziałem raz sam wędrownego chirurga, który popisował się tą sztuką na jarmarku i wszyscy go wychwalali pod niebiosa, ale ucho wcale nie chciało zrósć się z ciałem i w kilka dni później zgniło.

Niemiec zaczął żałośnie biadać, lecz doktor wyrwał mu ucho z dłoni i wrzucił je do wiadra. Potem kazał mi przytrzymać Niemca za głowę, obmył ranę, nałożył na nią maść leczniczą i obandażował go zgrabnie i szybko czystymi szmatkami lnianymi. A ściągawszy z Niemca należność, kazał mu przyjść za kilka dni na nowy opatrunek. Jego słowa i zachowanie cechowała niezwykle siła i energia, tak że trudno mi było odejść i stałem patrząc w jego jasne, przenikliwe oczy.

— Co cię dręczy? — zapytał mnie w końcu doktor.

— Uczony mistrzu — powiedziałem — jestem biednym studentem i czekam na rozkazy króla, ale czekając, cierpię biedę. Mistrzu, przyjm mnie na ucznia i naucz swojej sztuki, bo znam zioła lecznicze od dzieciństwa i myślę, że mogę ci się na coś przydać.

Zaśmiał się szyderczo i odrzekł:

— Jaki mogę mieć pożytek z takiego kurczaka jak ty? Czy nie wiesz, że jestem wielkim doktorem Teofrastem Bombastem Paracelsem z Hehenheim? Studiowałem na wielu uniwersytetach we Włoszech i Francji, ale niczego nie mogli mnie tam nauczyć. Dlatego później w pościgu za prawdziwą wiedzą wędrowałem do Hiszpanii, Granady, Lizbony, Anglii, Holandii i wielu innych krajów, których nie trzeba tu wyliczać. Zbyt dobrze już wiem, że wiedza uczonych uniwersytetów tylko dławii, okalecza, zabija i truje pacjentów. Z tego powodu wybrałem inną drogę. Moją wiedzą jest wiedza samej przyrody, moimi podręcznikami wielka księga natury. Dlatego boją się mnie ludzie i twierdzą, że jestem adeptem czarnej magii, diabłem i czarnoksiężnikiem.

Po tych mocnych słowach odczułem lęk i podziw dla niego. Tak był pełny silnej wiary w siebie i zaufania do własnej wiedzy, że porwał mnie, jak wiatr porywa zeschnięte liście. On zaś pograżył się w milczeniu, a po chwili namysłu dodał:

— Po zastanowieniu się widzę, że rzeczywiście potrzebuję ucznia, który by mówił językiem tego kraju i mógł mi pomóc porozumieć się z cyrulikami, kąpielowymi, położnymi, Cyganami i oprawcami, bo dobre umiejętności można znaleźć także w ciemnych zakamarkach i pod niską strzechą i każdy kraj ma swoje choroby, jak swoje na nie leki.

Zaprosił mnie do stodoły, otworzył lekarską skrzynkę, pokazał rozmaite zioła, z których kilka znałem, innych natomiast nie, i wypytywał mnie o ich właściwości lecznicze, po czym porównał moje odpowiedzi ze swymi zapiskami.

Tak to zostałem na krótko uczniem mistrza Paracelsa i poznałem jego obyczaje, które nie zawsze wydawały mi się nienaganne, bo często szukał on dziwnego towarzystwa i upijał się tak, że w pełnym ubraniu kładł się do łóżka. Z łatwością mógłby przestawać z uczonymi i z wysoko urodzonymi, bo jego sława uzdrowiciela rosła z każdym dniem, ale on wolał ludzi nieuczonych i prostych i mówił, że nic go nie obchodzi, co kto o nim myśli.

Był nauczycielem i mistrzem męczącym, bo dręczony niepokojem, potrafił wstawać w środku nocy, żeby zrywać zioła, gdy pozycje gwiazd temu sprzyjały, lub też aby rozmawiać z duchami nad brzegiem świeżo wykopanego grobu. W lecie zdumiewał się ogromnie nad białymi nocami, kiedy pnie brzoź lśniły srebrnobiałe w szarym mroku, a ptaszki śpiewały całą dobę. I nie lękał się pełzających białych robaków ani odoru trupów, lecz całe noce przesiadywał nad grobami i zaklinał dusze zmarłych, aż mi chodziły ciarki po grzbiecie. I pouczał mnie tak: — Człowiek ma ciało ziemskie i ciało astralne, które rozkładają się równocześnie. Ale podczas gdy ciało ziemskie staje się prochem, ciało astralne przyciągane jest znowu do gwiazd. Dlatego człowiek o dostatecznie bystrych oczach może widzieć duchy zmarłych unoszące się nad grobami we wszelkich stadiach rozkładu, a najłatwiej jest to zobaczyć w miejscach, gdzie pochowano ludzi, którzy padli na wojnie albo zginęli nagłą śmiercią. Światło dzienne przyćmiewa astralne kontury, ale nocą oko może je rozróżnić, a jasne północne noce szczególnie nadają się do oglądania duchów.

Wierzyłem w to, co mówił, bo gdy dostatecznie długo wpatrywałem się w szarość nocy nad jakimś grobem, mogłem we mgle dostrzec niewyraźne kontury ludzkich postaci. Ale jaka była z tego korzyść, nie rozumiałem i często byłem zły, że straciłem nocny sen.

2

Tymczasem zebrały się Stany szwedzkie i ratyfikowały traktat pokojowy, w którym uznawano króla Chrystiana jako króla Szwecji i uzyskiwano jego łaskę dla tych, co się poddali. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że Stany nie były w pełnym składzie, a Finlandia nie stawiała się w ogóle, mimo królewskiego wezwania. Zamek i miasto w Sztokholmie opierały się nadal, a wdowa po panu Stenie nie chciała podporządkować się uchwale Stanów. Sztokholm był dobrze zaopatrzony w broń i żywność, a najemnicy króla Chrystiana nie mieli najmniejszej ochoty iść do szturm na mury, które zaczynały pluć ogniem i ołowiem, gdy się do nich zanadto zbliżano.

Chętnie natomiast w ciepłe letnie pogody leniuchowali w obozie i brali za to żołd, każdy zaś dzień oblężenia kosztował króla i Danią niestychane sumy i niebawem król Chrystian zmuszony był wrócić do domu po nowe zapasy, a także pożyczyć pieniądze na żołd dla wojska. Doktor Paracelsus przygotowywał się ze swej strony do odwiedzenia szwedzkich kopalń, gdzie chciał studiować choroby górników, i prawdopodobnie byłbym mu towarzyszył w tej podróży, gdyby pan Didryk wreszcie się nie pojawił, żeby mnie zaprowadzić do doktora Hemminga Gadha. Klął ponuro i mówił:

— To hańba, że opór jednej kobiety może tak opóźnić szczęśliwe rozwiązanie. Panowie i mieszczaństwo Sztokholmu to doprawdy dzieci, skoro tańczą, jak im zagra pani Krystyna, zamiast słuchać króla Chrystiana.

Odparłem:

— Król obiecał łaskę i przebaczenie wszystkim, którzy mu się podporządkują, lecz przeraża mnie, gdy słyszę, jak duńscy kapitanowie mówią, że jeszcze nie dość bogatych wdów w Szwecji, że szwedzki chłop musi się nauczyć sztuki uprawiania pola jedną ręką i

jedną nogą. Ale to z pewnością tylko kiepski żart, bo król Chrystian rozdzielił sól między lud i obiecał dać odszkodowanie wszystkim, którzy ucierpieli od wojny.

Pan Didryk rzekł na to:

— Unia istnieje od stu lat i przez cały ten czas wciąż były powstania i rozlew krwi, dlatego tylko, że chciwi szwedzcy panowie nie chcieli się pogodzić z władzą królewską i przy pierwszej okazji łamali przysięgi i święte obietnice. Wojna kosztowała już tyle, że Dania stała się ubogim krajem. My, duńscy mężowie, którzyśmy ofiarowali życie, krew i mienie królowi, mamy prawo do pełnego odszkodowania za poniesione straty i chcemy mieć pewność, że Szwecja nie wyłamie się z wspólnoty królestwa pod przewodnictwem swoich wicherzyciel-skich panów, gdy tylko wojska zostaną rozpuszczone. To jasne jak słońce i dlatego musimy się z nimi rozprawić, gdy tylko złożą broń i gdy wszystkie zamki i miasta znajdą się w ręku królewskim. Ale nie mów tego doktorowi Hemmingowi, bo to człowiek stary i ma już kiepsko w głowie.

Słowa jego przygnębiły mnie jeszcze bardziej. Doktor Hemming okazał się istotnie starym człowiekiem z trzęsącą się siwą głową. Odłożył już ostrogi i kapelusz z piórem, które nosił w sile swoich dni, i przywdział z powrotem strój kapłański.

Przyjął mnie uprzejmie i powiedział:

— Pan Didryk polecił mi ciebie i mówił, że jesteś człowiekiem spokojnym, który dużo wycierpiał w swoim kraju za obronę sprawy Unii. Ale teraz musimy zapomnieć, co było, i tylko myśleć o dobru naszej wspólnej ojczyzny. Przez całe życie walczyłem przeciw Unii, aż wreszcie otworzyły mi się oczy i rozumiem dziś, że próżno opierać się temu, co nieuniknione, bo król Chrystian ma niezwyciężoną armię i sam się przekonałem o jego dobrej wierze i zacnych celach.

— Doskonale to rozumiem — odparłem. — Pan Didryk gruntownie mi to -wszystko wytłumaczył i wiem, że król Chrystian jest dobrym i szlachetnym władcą, który przyobiecał narodowi sól i śledzia, a panom łaskę i przebaczenie. Ale w czym ja mógłbym się tu przydać?

Pan Hemming odpowiedział:

— Napisałem długi list do biskupa Arvida, apelując do niego, żeby się poddał, póki jeszcze pora. Ty zanieśiesz to moje posłanie, a ponieważ wzrosłeś w Abo, musisz przemówić do rady miejskiej i do ludu i wykazać im, że opór jest niepotrzebny i szkodliwy.

— Wielebny ojcze! — zawołałem szybko. — Nie mam obrotnego języka, a ponadto jestem zbyt młody i niedoświadczony, żeby spełnić tak ważną misję. A zacny biskup Arvid obiecał mi kołnierz z smołowanych konopi zamiast księzowskiego, jeśli kiedykolwiek powrócę do Abo.

— Skromność zdoła młodzińca — odpowiedział doktor Hemming — ale człowiek, który chce coś zdobyć, nie może być nadto skromny. Świadectwo pana Didryka w pełni mnie zadowala, a pismo, które ci dam, posłuży ci za list żelazny u biskupa Arvida. Pan Didryk opowiadał mi o tobie i twoich umiejętnościach i jeśli wypełnisz zadanie ku memu zadowoleniu, obiecuję ci łaskę królewską i wstawię się też za tobą u papieskiego legata, żebyś dostał dyspensę za twoje nieprawie urodzenie. Jedno pociągnięcie jego pióra i odcisk pieczęci na miękkim wosku wystarczą, żebyś został wyświęcony na księdza, i myślę, że biskup Arvid nagrodi cię jakąś tłustą prebendą w Finlandii.

— Ojcze Hemmingu! — powiedziałem — będę wam dozgonnie wdzięczny, jeśli w waszej dobroci uznacie mnie za godnego święceń kapłańskich i wstawicie się za mną u legata. Ale nie rozumiem, co ta kościelna sprawa ma wspólnego z podróżą do Abo, gdzie mnie będą lżyć jak łotra i zdrajcę i gdzie nie mogę spojrzeć w oczy uczciwym ludziom i przyjaciółom z dzieciństwa.

Doktor Hemming poderwał się gwałtownie i poczerwieniał na twarzy.

— Czyż nie udowodniłem własną krwią i pracą oraz postępami całego życia, że jestem dobrym patriotą? — wybuchnął. — Jeśli moja siwa głowa może dźwigać oskarżenia głupców

o zdradę, udźwigną je z pewnością i twoje młode barki. Chcesz spełnić to zadanie czy mam wierzyć, że tylko połowicznie popierasz sprawę Unii? Jeśli tak, ani król, ani Kościół ciebie nie potrzebują. Na wojnie i w polityce nie ma miejsca dla niezdecydowanych, Gra się tam o pełne stawki.

Słowa jego dodały mi odwagi i były z pewnością najmądrzejsze z tych, które powiedział. Wziąłem od niego list i kilka sztuk złota na drogę. A podróż moja była o wiele mniej niebezpieczna, niż się obawiałem, bo wysadzono mnie na umówionym miejscu na wybrzeżu, gdzie dostałem konia, aby udać się do Abo. Na każdym postoju ludzie chciwie słuchali obietnic króla Chrystiana i mówili, że lepszy chudy pokój niż najtłustsza wojna i że nikt nie chce wojny, prócz panów, którzy boją się stracić posiadłości i przywileje.

Ale nie wpuszczono mnie do Abo przez bramę miejską i strażnicy kazali mi jechać do Kustb, które biskup Arvid przygotowywał właśnie do obrony. Przybyłem tam tegoż samego dnia wieczorem. Mimo zapadnięcia ciemności prace fortyfikacyjne były w pełnym toku i murowano, stukano młotami i obrabiano drzewo przy świetle pochodni i kotłów ze smołą. Biskup Arvid zamienił strój kapłański na błyszczący pancerz i chodząc między ludźmi, poganiał ich do roboty. Pozdrowiłem go z szacunkiem i powiedziałem bez wszelkich ogródek, że przybywam ze Sztokholmu z listem od doktora Hemminga. Wziął list z mojej ręki, a równocześnie podniósł pochodnię i oświetlił mi twarz. Poznał mnie natychmiast i krzyknął głośno, wzywając profosa i trabantów.

— Łapcie tego człowieka! - krzyczał — i powieście go na strach i przestrozę dla wszystkich zdrajców i oszustów, bo to wiarołomny bękart Mikael z miasta Abo.

Sądziłem, że nadeszła moja ostatnia chwila, ale rzuciłem się przed nim na kolana i zawołałem błagalnie:

— Ojczy Arvidzie, zechciejcie przeczytać orędzie doktora Hemminga, bo to list żelazny dla mnie. Jestem jego wysłańcem i król Chrystian pomści surowo moją śmierć. Jeśli zaś okażecie mi łaskę i życzliwość, mogę bardzo się przydać i wam, i całemu krajowi.

Biskup Arvid nie dał się ubłagać i kazał mi odebrać konia i miecz i zamknąć w lochu. Na sznurze spuszczone mnie na zgniłą słomę, między szczury, żaby i nieczystości. I miałem tam pod dostatkiem czasu na rozmyślanie o mocy króla Chrystiana i mądrości doktora Hemminga. Nad ranem nie dałbym złamanego szeląga za żadne z nich. Ale trochę później w ciągu dnia otworzyła się pokrywa w powale, trabanci spuścili sznur i wyciągnęli mnie na rozmowę z biskupem Arydem. Byłem jednak tak umazany i zabrudzony gnojem i kałem, że zacny biskup tylko pociągnął nosem i kazał mnie szybko zaprowadzić do łaźni i dać mi jakieś inne szaty, nim moje własne nie zostaną wyczyszczone. W łaźni poprawił mi się humor, a gdy jeszcze dostałem talerz zupy i dzban mocnego piwa, poczułem się znowu dziarsko i pomyślałem, że nie mam nic do stracenia, a wszystko do zyskania.

Stałem przed biskupem, przytrzymując zbyt obszerne pludry, i zrobiłem mu ostre wymówki za haniebne potraktowanie królewskiego posłańca, grożąc, że doniosę o wszystkim królowi. A zacny biskup nie gniewał się za moją śmiałość. Siedział z listem doktora Hemminga przed sobą, a list był zmięty jak szmata, on zaś wyglądał go na nowo, przeczytał jeszcze raz i rzekł:

— Mikaelu, mój synu, ciężko mi na sercu i pełen jestem niepokoju z powodu tych wszystkich nieszczęść, które spadły na królestwo. Przebacz mi zatem złe traktowanie, na jakie naraziła cię moja popędliwość, i uważajmy, żeś w ten sposób odpokutował za popieranie króla. Jeśli człowiek taki jak doktor Hemming staje się królewskim poplecznikiem, wybacalne jest, gdy taki sam błąd robi słaby i chwiejny młodzieniec. Opowiedz mi dokładnie i wyczerpująco wszystko, co wiesz o królewskim wojsku i flocie wojennej, o sprawach Szwecji i o obronie Sztokholmu.

Spełniłem jego żądanie, jak mogłem najlepiej, zgodnie z instrukcjami doktora Hemminga, a biskup chodził niespokojnie i ciężko wdychał. W końcu powiedział:



— Muszę ci wierzyć, ponieważ to samo mówi doktor Hemming w swoim liście, a nie podejrzewam go, aby kłamał staremu przyjacielowi. Ale jak on może ufać Duńczykom? Wiemy przecież bardzo dobrze, że za każdym razem wypierali się własnych słów, łamali przysięgi i święte obietnice i gwałcili szwedzkie prawa i tradycje, gdy tylko dostali władzę w swoje ręce. Widzę już, że bronię przegranej sprawy, ale zawsze dzieliłem los pani Krystyny i nie mogę ustąpić, dopóki ona się opiera. W nagrodę za moją lojalność musi wyjednać od króla ulaskawienie dla mnie i dla innych panów fińskich. Dlatego pragnę, abyś natychmiast powrócił do Sztokholmu i za pozwoleniem doktora Hemminga przekazał list ode mnie pani Krystynie, ponieważ w żaden inny sposób nie mogę się z nią porozumieć. Flota duńska przechwytuje wszystkich moich gońców i wiesza ich szybciej, niż kot zdąży kichnąć. Pragnę także, abyś przemówił za mną i wykazał moją dobrą wolę doktorowi Hemmingowi, a za jego pośrednictwem i królowi Chrystianowi.

Ale musisz opowiedzieć także i o zbrojeniach, które widziałeś na wła snę oczy, i zapewnić ich, że zamierzam drogo sprzedać skórę, jeśli król odmówi mi swej łaski.

Następnie biskup Arvid dał mi list żelazny i na moją własną prośbę posłał mnie do Abo, gdzie miałem czekać, aż sformułuje swoją pisemną odpowiedź, bo chciał się wpierw naradzić z innymi fińskimi panami. Oddano mi także konia, a gdy poskarżyłem się na szczupłość podróźnej kasy, biskup dał mi nowy kaftan w miejsce starego, który skurczył się w praniu, i dwa lubeckie guldeny. Z eskortą żołnierzy pojechałem do Abo jak jakiś dostojnik i bardzo mi to pochlebiało, gdy ludzie stawali na ulicach, by mi się przyglądać.

Ale gdy przed moimi oczyma pojawiła się potężna wieża katedry i zobaczyłem stada kawek krążące wokół niej z chrapliwym krakaniem, jak dusze nie mogące znaleźć spokoju, przejęła mnie zbawienna pokora i zapomniałem o próżności. Zsiadłem z konia, oddałem wodze giermkowi i wszedłem do katedry, żeby się pomodlić. Biskup Arvid nie usłuchał bowiem interdyskutu papieża i trzymał kościół otwarty, każąc odprawiać msze, jak gdyby nic się nie stało.

Wszystkie wspomnienia dzieciństwa oładnęły mną i przepełniły smutną melancholią i poczułem, że znów jestem w domu, nie bogatszy, lecz biedniejszy niż opuściłem te strony. A gdy znowu wyszedłem na dwór, spostrzegłem nagle, jak ubogie, niskie i małe jest miasto mojego dzieciństwa w porównaniu z wielkimi miastami na szerokim świecie, i nie chciałem już dumnie paradować na koniu przez ulice, bo ciężkie koleje czekały może Abo skutkiem głupiej i upartej wierności wielu ludzi dla przegranej sprawy. Kazałem żołnierzom odprowadzić konie do stajni biskupa, a sam poszedłem pokornie pieszo do małej chatki pani Pirjo. Pałace ły zaślepiły mi oczy, gdy zobaczyłem pokryty darnią krzywy dach, starą gruszę, obrośniętą mchem, i potknąwszy się na progu, uderzyłem czołem w poczemiałe odrzwia ciemnej sieni. Pani Pirjo krzątała się w chacie. Zgarbiła się jeszcze mocniej, posiwiała, a broda jej wydawała się jeszcze dłuższa i kościstsza niż dawniej.

— Dobra matko i dobrodziejko, pani Pirjo! — powiedziałem, dusząc się od łez. — To ja, Mikael, twój przybrany syn, wracam do domu.

— Wytrzymaj stopy, wysmarkaj się i siadaj — odparła pani Pirjo bez wahania. — Czyś już coś jadł, czy też mam ci ukroić kawałek kiełbasy albo ugotować kaszy? Jesteś dość chudy i szyjkę masz cienką jak kurczak, a przeguby także wydają się szczupłe, ale wyglądasz zdrowo i masz całą głowę na karku, więc nie będę cię więcej łąjać.

Podeszła do mnie, dotknęła moich policzków i ramion dłonią twardą jak deska, a potem wybuchnęła płaczem i powiedziała:

— Nasz zacyjny biskup obiecał cię powiesić, a nasz drogi pan Steń zmarł w zimie marnie z ran na lodzie pod Sztokholmem. Jutowie pustoszą Szwecję jak w dniu Sądu Ostatecznego i sól droższa jest dziś niż trzydzieści lat temu. — Biedna pani Krystyna tak młodo została wdową, nigdy jeszcze nie widziałam takich ciężkich czasów, a wielu przepowiada koniec świata i

nowy potop. Jak chcesz, mogę cię schować w piwnicy i utuczyć jak prosiaczka i nikt cię nie zobaczy i nie będzie ci mógł skrócić karku.

— Pani Pirjo — odparłem ze zranioną dumą — nie jestem doprawdy prosiakiem, którego trzeba tuczyć, lecz bakałarzem dostojnego uniwersytetu w Paryżu i jednym z ulubieńców króla Chrystiana i doktora Hemminga. A poza tym przychodzę tu prosto od zacnego biskupa, który podarował mi nowy kaftan i dwie sztuki złota pełnej wagi, tak że zupełnie niepotrzebnie lejesz łzy z mego powodu.

— Możesz sobie być, czym chcesz, ale jesteś chudy jak szczapa i wzdrygasz się na każdy szelest, toteż byłoby najlepiej, żebyś podjadł i wyspał się trochę, dopóki nie zdążę ci uszyć kilku nowych koszul obrębionych najcieńszą koronką, abyś występował godnie, stosownie do twego uczonego stopnia.

Ale trudno mi było usiedzieć spokojnie i płażałem z zapału, by wypełnić polecenie doktora Hemminga. Wprzód jednak chciałem spotkać się z ojcem Piotrem, który najlepiej orientował się w miejscowych stosunkach, bo inaczej ryzykowałem łatwo tęgie lanie, jeśli przypadkiem zwrócę się do niewłaściwej osoby, i to pomimo listu żelaznego biskupa Arvida. Posłałem wiadomość do klasztoru Świętego Olafa i ojciec Piotr nadbiegł wkrótce, spocony i zdyszany, żeby mnie zobaczyć. Pani Pirjo nie miała w domu ani kropli piwa, poszliśmy więc do szynku „Pod Trzema Koronami”. Gospodyni zrobiła się jeszcze grubsza niż dawniej i posmutniała, bo jej drogi małżonek pośliznął się na stromych schodkach do piwnicy, spadł i skrzył kark. Rozpłakała się na mój widok, głaskała mnie po policzkach i podała nam najlepsze piwo z Lubeki. Gdy opowiadałem ojcu Piotrowi, jak sprawy stoją w obozie królewskim i jak wygląda oblężenie Sztokholmu, zebrało się wokół nas mnóstwo ludzi, żeby się przysłuchiwać, wzdychać i biadać z lęku przed przyszłością. I nie potrzebowałem się troszczyć o zapłatę, bo ludzie zapraszali mnie, żebym zwilżył gardło i opowiadał dalej. A niedługo potem do gospody przyszedł pisarz rady i z szacunkiem oświadczył mi, że burmistrz i rada chcieliby się ze mną spotkać.

Zatrzymałem się w Abo kilka dni w oczekiwaniu na list biskupa. Od obfitego picia i jedzenia krew krążyła mi żywiej w żyłach i pochlebiało mi, że mimo niejakiego szemrania mieszkańcy Abo z szacunkiem i uważnie słuchali moich słów oraz próbowali spojrzeć na sprawy z innego punktu widzenia. Ale tyle opowiadano im o okrucieństwie i wiarołomności Jutów, że nienawiść i rozgoryczenie weszło ludziom w krew. Toteż wielkie wynikiło zamieszanie, gdy nagle musieli zacząć dobrze myśleć o Jutach. W rozterce oddali się nadziei, że od króla Chrystiana spotka ich tylko to, co najlepsze, i postać jego otoczona została aureolą, która rozjaśniała ciemne strony Jutów i kazała zapomnieć o grabieży i pożogach, i mordach dokonywanych przez wojska królewskie. Czegóż bowiem można się było spodziewać od bezbożnych najemników? W dniach owych wiele wznoszono toastów w Abo za zdrowie króla Chrystiana i za pokój, tak że chodziłem stale po mieście w oparach wina, co wcale nie wyszło mi na zdrowie, bo z oparów tych zrodziło się w mojej głowie wiele dziwnych pomysłów.

3

Z końcem sierpnia znalazłem się znowu w obozie królewskim. Przekazałem doktorowi Hemmingowi list biskupa Arvida, a on podziękował trzęsąc głową i zapewnił mnie o swej przychylności. Zaniósł pismo własnoręcznie pani Krystynie do zamku w Sztokholmie, nie żądając nawet listu żelaznego ani zakładników za swoje życie, bo per-t traktacje o poddanie miasta posunęły się już bardzo. List biskupa Arvi-da i innych fińskich panów zrobił niewątpliwie swoje i już w kilka dni później zostały podpisane i przypieczętowane warunki kapitulacji, które zapewniały pani Krystynie i sprzymierzonym z nią biskupom i panom szwedzkim pełne przebaczenie. Dzwony były, odświętnie ubrani mieszczanie tłoczyli się na

ulicach Sztokholmu, król wjechał do swego zacnego miasta i budujący był widok radosnego nastroju, w jakim go witano. U bram miasta wręczono królowi klucze Sztokholmu na aksamitnej poduszce niesionej przez członków rady, najpiękniejsze panny w barwnych szatach sypały kwiaty na jego drodze, trąby i bębny grały. Ale w całej tej radości miałem jakieś dziwne uczucie, że wyprowadzono mnie w pole. Doktor Hemming nie uznał mianowicie, że bym był godny przyłączyć się do jego świty, tak że najzwyczajniejszy knecht i najemnik był panem i zwycięzcą w porównaniu ze mną, który musiałem oglądać to wszystko tłocząc się w ludzkiej ciżbie.

Dopiero w kilka dni później przypominano sobie o mnie znowu, gdy król posyłał do Finlandii wiele okrętów wojennych, żeby przejąć fińskie zamki, i wyznaczył doktora Hemminga do prowadzenia negocjacji.

Gdy po mnie przysłano, zrozumiałem zaraz, że mnie potrzebują, i wreszcie zażądałem wynagrodzenia i uznania za oddane usługi. Doktor Hemming prosił mnie o wybaczenie, tłumacząc się, że jest roztargnionym starcem, który z sercem pełnym ustawicznych trosk myśli tylko o dobru naszej wspólnej ojczyzny. Zapomniał powiedzieć o mnie legatowi papieskiemu, ale uczyni to niezwłocznie przy najbliższej sposobności. Po czym zapoznał mnie z butnym junkrem, który nadzorował załadunek koni. Stał on z pięściami opartymi o biodra i sapał przez spłaszczony nos jak byk. Był to Tomasz Wolf, rycerz, który miał zostać dowódcą zamku w Abo i który na wstawiennictwo doktora Hemminga przyjął mnie jako pisarza, bo znałem język fiński. Tak to dostałem wyżywienie i odzienie oraz obietnicę zapłaty trzech groszy srebrem miesięcznie. W czasie podróży morzem poznałem lepiej junkra Tomasza i stwierdziłem, że był to człowiek nieuczony, który ledwie umiał napisać swoje imię. Był jednak z pewnością zdolnym dowódcą, bo przy najmniejszej okazji miotał okropne i pogańskie przekleństwa.

Popłynęliśmy więc do Abo, a stopy strażnicze zapowiadały nasze przybycie od wyspy do wyspy czarnymi słupami dymu i gdy okręty zarzuciły kotwice na rzece, z zamku Abo zaczęły grzmieć armatnie saluty. Biskup Arvid otrzymał przebaczenie, a miasto łaskawe królewskie gwarancje. Zamek przekazano junkrowi Tomaszowi z wojskowymi honorami i przy dźwięku bębnow i piszczałek, a junkier Tomasz natychmiast obsadził go swoimi ludźmi i dokładnie sprawdził wszystkie zapiski inwentarzowe. Potem zapytał mnie, gdzie można by było dostać sprawnego kata, a ja poleciłem mu gorąco mistrza Wawrzyńca. Kazał go zaraz sprowadzić do siebie i na próbę powiesić dwóch najemników, którzy awanturowali się „Pod Trzema Koronami”, tłukli mieczami porządnych mieszczan i zgwałcili jakąś dziewczynę w stajni gospody. Postępek ten wzbudził wielkie zadowolenie wśród mieszkańców miasta, którzy wielce chwalili surowość i sprawiedliwość junkra Tomasza.

Doktor Hemming zalił się bardzo, że będąc starym człowiekiem musi — jako poseł królewski — znosić liczne niewygody podróży, gdy chłody jesienne już ścięły ziemię, ale nie można było na to nic poradzić, bo dowódcy zamków w Finlandii wcale nie okazywali ochoty przybycia na pokojowe rokowania, jak się tego spodziewał. Toteż musiał na czele królewskich żołnierzy pojechać do Tavastehus, a stamtąd do Wyborga, żeby przekonać jego dowódcę Tdnne Erikssona.

Towarzyszyłem mu do Tavastehus, gdzie spotkał się z Ake Abranssonem i zmarnował wiele dni, zanim udało mu się rozproszyć wątpliwości tego upartego pana i przeprowadzić swoją wolę. I pan Ake nie ustąpił dopóty, dopóki nie otrzymał potwierdzenia godności kasztelana, choć zmuszony był przyjąć duńskiego doradcę i królewskich żołnierzy w-obręb murów zamkowych. Pan Tbnne zaś napisał z Wyborga, że odda zamek, gdy otrzyma z rąk doktora Hemminga pismo z ułaskawieniem. Doktor Hemming odesłał mnie do Abo z wieścią do junkra Tomasza, że negocjacje przybrały obrót pomyślny. Junkier Tomasz zaś wysłał mnie dalej do Sztokholmu z tymi dobrymi wiadomościami. Król Chrystian miał być uroczyście koronowany na króla Szwecji i pałałem pragnieniem uczestniczenia w tym święcie. Ale nikt z

fińskich panów nie przyjął zaproszenia i nawet biskup Arvid zachorował i legł w łożu w najmniej odpowiedniej chwili, co bardzo dotknęło junkra Tomasza.

Przybyłem do Sztokholmu w sam dzień Wszystkich Świętych i wraz z Anttim, którego odszukałem w obozie, widziałem jak Stany z wielką pompą składały cześć swemu królowi na wzgórzu Brunkeberg, przystrojonym proporcami i chorągwiami. Stany zrzekły się bowiem prastarego przywileju wyboru monarchy i oświadczyły, że Szwecja na wieczne czasy staje się dziedzicznym krajem króla Chrystiana. A następnego dnia byłem wraz z Anttim świadkiem, jak arcybiskup Gustaw Trolle namaścił w kościele Świętego Mikołaja w Sztokholmie króla Chrystiana świętymi olejami i ukoronował go insygniami władzy, która to uroczystość zakończyła się ludowymi zabawami trwającymi parę dni.

Czwartego dnia leżałem w mojej kwaterze z mokrymi okładami na czole. Każde uderzenie kopyt o bruk, gdy liczni goście koronacyjni odjeżdżali do domów, odbijało mi się bolesnym echem w głowie. Zwijąłem się jak na mękach, nie mogłem nic jeść i tylko żulem słonego śledzia i popijałem wodą z dzbana, żeby ugasić palące pragnienie. Do izby mojej wszedł Antti w podartym kaftanie. I on trzymał głowę w dłoniach i zaklinał się na wszystkie świętości, że już nigdy nie weźmie do ust mocnych napojów.

— Pociesza mnie tylko to — mówił — że nie chodzę w skórze wielkich panów, bo w mieście krążą dziwne słuchy. Powiadają, że król zaprosił panią Krystynę i wielu szlachetnie urodzonych panów na zamek, ale dziwaczne to jakieś przyjęcie, bo przed drzwiami stoją uzbrojeni trabanci i sam arcybiskup ma palnąć kazanie i wyznaczyć pokutę tym, którzy go obrazili.

Odparłem, że wszystkie stare grzechy zostały zapomniane i wybaczone, zakazałem Anttiemu pleść głupstwa i błagałem, żeby dał mi spać. Ale pod wieczór okazało się, że mówił prawdę. Pani Krystyna, wraz z wielką rzeszą znakomitych szwedzkich panów i biskupów, siedziała zamknięta na zamku, a w jej domu, w skrytce w jednej ze ścian, znaleziono dokument, w którym rada królestwa i przewodniczący Stanów wspólnie skazywali arcybiskupa na utratę godności i przyrzekali razem przeciwstawić się kłótnie papieskiej, jakiej można było się spodziewać za ten czyn. W obronie małżonka pani Krystyna powoływała się na ten dokument, utrzymując, że nikogo nie można pociągać do odpowiedzialności za usunięcie arcybiskupa, bo ponosi za to winę całe królestwo. Nie bardzo rozumiałem, jak ktoś może być oskarżony o czyny, które król obiecywał zapomnieć i wybaczyć. Ale następnego dnia sprawa wyjaśniła mi się całkowicie, gdy pan Didryk przybiegł do mnie jeszcze nim kury zapały:

— Mikaelu, ubieraj się natychmiast — wysapał szybko. — Ku swemu wielkiemu zmartwieniu król zmuszony jest ustanowić trybunał duchowny dla sądenia kacerzy, a trybunał szuka sekretarza i nie może w pośpiechu znaleźć nikogo dostatecznie uczonego, bo wszyscy się wymawiają. Ty jednak jesteś uczony, biegły w łacinie, nie podlegasz wyłączeniu jako bezstronny, a w dodatku jesteś Finem. Toteż nie marudź, gdy trafia ci się szczęście, i śpiesz czym prędzej do zamku.

Wyciągnął mnie na wpół śpiącego z łoża i nie bardzo rozumiejącego, o co chodzi, zaprowadził na zamek, do kosockiego mistrza Slaghecka, który wyjaśnił mi moje zadanie. Tak to zupełnie nieoczekiwanie znalazłem się w ścisłym wybranym gronie duchownych, bo za zamkniętymi drzwiami zgromadzili się w zamku — poważni i zatroskani — trzech biskupów, ośmiu kanoników, przeor dominikanów i sam arcybiskup. Jego przewielebność zapytał mnie, czy jestem stanu duchownego, i bardzo był zaskoczony, dowiedziawszy się, że nie zostałem wyświęcony na księdza. Uznał, że trzeba to natychmiast naprawić i szybkim nałożeniem rąk wprowadził mnie do kapłańskiego stanu, nim się opamiętałem i ośmieliłem uwierzyć, że skutkiem tak prostej procedury chleb i wino będą się odtąd przemieniać w ciało i krew Chrystusa. A gdy odważyłem się wyjąkać moje wątpliwości przed arcybiskupem, który włożył już pełny ornat, ten ofuknął mnie ostro, że zna się na tych sprawach znacznie lepiej. Dodał jeszcze, że w razie koniecznej potrzeby mógłby przez nałożenie rąk uczynić

spróchniały pniak godnym udzielania świętych sakramentów kościelnych, z czego wynnioskowałem, że ksiązę Kościoła jest człowiekiem porywczym i w złym humorze i uznałem, że lepiej będzie siedzieć cicho jak mysz.

Jak się zdaje, zebranie nie przypadło nikomu z prałatów do gustu. Po wyczerpujących uroczystościach najchętniej byliby się smacznie wypali, a wielu z nich wciąż jeszcze trudno było zebrać myśli w pełni i zastanawiać się nad tą niezwykle poważną sprawą.

Arcybiskup od razu objął przewodnictwo obrad, rozwijając akt oskarżenia, który poprzedniego dnia wystosował przeciw panom szwedzkim, oraz tajny akt, którego miejsce ukrycia pani Krystyna z kobiecą bezmyślnością wyjawiała, aby bronić honoru swego zmarłego małżonka, pana Stena. Akt ten — oświadczył zacny biskup ze smutkiem — powiększa jeszcze bardziej hańbę i zniewagę, której doznał, gdyż ujawnia, że nadspodziewanie wielu wysoko postawionych panów szwedzkich, włącznie z burmistrzem i radą Sztokholmu, zamieszanych było w ten okropny kacerski spisec przeciw świętemu Kościołowi.

Teraz nie chodzi już tylko o wynagrodzenie szkody arcybiskupowi. Składając królewską przysięgę, król Chrystian zobowiązał się bronić praw świętego Kościoła, obowiązkiem jego zatem stało się obecnie zbadanie jak dalece rozprzestrzeniła się w jego królestwie szkodliwa herezja. Trybunał duchowny ustanowiony został, żeby zbadać tę sprawę i złożyć sprawozdanie o wynikach dochodzeń.

Jako pierwszy punkt obrad biskup wysunął pytanie, czy któregoś z sygnatariuszy aktu można uważać za niewinnego zarzucanego im przestępstwa. Panowie duchowni odparli jednogłośnie, że należy wyłączyć ze sprawy biskupa Hansa Braska z Linkoping, ponieważ złożył swój podpis tylko pod przymusem.

Nastąpiła obszerna debata na temat orzeczenia trybunału i jego brzmienia, co do samej decyzji jednak nie było właściwie różnicy zdań i nie mogło jej też być, gdyż sprzysiężeni przeciwstawiając się świętemu Kościołowi i autorytetowi papieża popadli bez wątpienia w herezję.

Biskup Jens, człowiek zacny i prostoduszny, stwierdził to jasno i dodał:

— Nasze zadanie jest ciężkie i przygnębiające, ale pocieszmy się tym, że nie wydajemy żadnego wyroku, a zatem nie bierzemy na siebie odpowiedzialności za ostateczne rozstrzygnięcie, które spoczywa w rękę królewskim. Herezja wymaga wprawdzie surowej kary, ale wielka liczba winnych, ich wysokie stanowiska oraz zaprzysiężona przez króla obietnica przebaczenia dawnych przewinień zapewnia naturalnie obwinionym jego łaskę.

Ale arcybiskup odparł na to ostro:

— Nie nasza rzecz mówić o karze. Musimy ograniczyć się jedynie do zadania, które nam powierzono. Król zobowiązał się wprawdzie do okazania łaski i przebaczenia dawnych przewinień, ale przebaczenie takie nie może — rzecz jasna — tyczyć się herezji, ponieważ król wcale nie ma prawa darowywać przestępstw przeciw Kościołowi. Zapada wieczór i zbliża się pora posiłku. Dość już straciliśmy czasu na jałowe gadanie. Przystąpmy do dyktowania naszej decyzji i podpisania jej i zostawmy królowi powzięcie ostatecznego wyroku, ponieważ nie jesteśmy jego doradcami.

Tak więc zaczęto dyktować orzeczenie trybunału, a ja wypisywałem je na czysto pięknym charakterem pisma. Oskarżonych wymieniono po nazwisku i trybunał stwierdził, że wszyscy oni, z wyjątkiem biskupa Hansa Braska, byli notorycznymi heretykami, przekazując ich ramieniu świeckiemu. I muszę przyznać, że te straszliwe słowa zmroziły mi krew w żyłach, gdyż tradycja prawa kanonicznego nadawała oskarżeniu i orzeczeniu złowieszczą doniosłość, i czułem już swąd kacerskiego stosu. Ale decyzję podjęto szybko, bo panowie duchowni od wczesnego ranka nie mieli w ustach ani kawałeczka chleba czy łyku piwa.

Członkowie trybunału, z arcybiskupem na czele, podpisali orzeczenie w grobowym milczeniu. Zapaliłem świece stojące na stole, a panowie topili w ich płomieniu lak i przykładali pieczęcie do aktu. Następnie arcybiskup z uśmiechem wezwał zgromadzonych do

posiłku, na który dobrze sobie zasłużyli, i zniżył się nawet do tego, że i mnie poklepał po ramieniu i polecił mi również zająć miejsce przy stole, gdyż z pewnością jestem głodny, wypełniwszy tak starannie ważne zadania sekretarza. Jego życzliwość dodała mi odwagi i zapytałem jeszcze raz, czy istotnie należę odtąd do stanu duchownego. On zaś odparł, że spokojnie mogę sobie sprawić duchowną sukienkę, wygolić tonsurę na ciemieniu i od wielebnych kanoników kapituły zażądać wydania mi kapłańskich pełnomocnictw. Ośmieliłem się zauważyć, że nie osiągnąłem jeszcze wieku kanonicznego i nie zostałem nawet zrodzony w małżeństwie, on jednak uśmiechnął się kwaśno, patrząc na mnie lodowato, i powiedział, że to-są rzeczy bez znaczenia w porównaniu z wielką usługą, jaką oddałem dzisiaj świętemu Kościołowi. Następnie oddał orzeczenie trybunału mistrzowi Slagheckowi, który żywo porwał dokument, żeby zanieść go czym prędzej królowi. Arcybiskup zaś wskazując na niego rzekł:

— Mistrz Slagheck także urodził się poza małżeństwem, co więcej jest nieprawym synem księdza, ale myślę, że zasłużył sobie dziś na infułę biskupa, jakkolwiek nie w mojej mocy przepowiadać przyszłe wydarzenia.

Głodni i zmarznięci, zasiedliśmy więc do długiego stołu w zacisznej sali jadalnej, ogrzewanej trzaskającym ogniem na kominku.

Podano nam gorącą zupę, grzaną krwawą kiszkę i różne smakołyki, które zostały z trzydniowej uczyty na zamku, ale mimo mocnego piwa rozmowy przy stole gasły i jedliśmy w przytłaczającej ciszy i przygnębieniu. Na dworze była pogoda listopadowa, nieliczne płatki śniegu prószyły z szarych chmur za oknami i wcale nie czułem się ani trochę szczęśliwy, mimo że nagle spełniły się moje najgorętsze pragnienia.

Wszystko to stało się tak szybko i nieoczekiwanie, że jeszcze wciąż nie mogłem zrozumieć, w co się wdałem. Odniosłem wrażenie, że prałaci i biskupi dopiero w ciepłej sali jadalnej i dzięki ożywcemu działaniu piwa na stępione umysły zaczęli rozumieć doniosłe skutki swego orzeczenia. Gdyż według odwiecznej praktyki prawnej Kościoła śmierć jest jedyną skuteczną karą za niepoprawną herezję i królowi byłoby bardzo trudno, mimo wszystkich zobowiązań i przy najlepszej nawet woli, obejść te przepisy.

W czasie biesiady dały się słyszeć od strony miasta odległe dźwięki rogów, ale zrazu nie zwracaliśmy na to uwagi. W końcu podnieśliśmy się od stołu i biskup Jens odmówił krótką modlitwę, dziękując Panu Bogu za jego dobre dary, których zakosztowaliśmy. W tej samej chwili do komnaty wpadł przerażony służący, wołając, że biskupa Mateusza i biskupa Wincentego wyprowadzają właśnie z zamku na stracenie na Wielkim Rynku. Poderwaliśmy się na to, ale arcybiskup uspokoił nas mówiąc:

— Ten człowiek musi być chory i mówi w gorączce. A zacny biskup Jens wtrącił:

— Niech nas Bóg broni, byśmy uwierzyli, że jego królewska mość . ważyłby się podnieść rękę na ludzi takich jak oni. To kłamstwo i obmowa i crimen laesae maiestatis. — A gdy się trochę otrząsnął z wrażenia, dodał ze śmiechem: — Wiemy dobrze, że nikt z mieszkańców Szwecji nie zdziałał po kapitulacji tyle dla króla co biskup Mateusz ze Strangnas, i król nie postawiłby chyba na swoim bez jego pomocy.

Ale duchowni panowie bardzo niespokojnie kręcili się po komnacie i próbowali zobaczyć coś przez okno. W końcu zacny biskup Jens polecił mi dowiedzieć się, co się dzieje. Wymknąłem się przez drzwi i pospieszyłem na zamkowy dziedziniec, gdzie napotkałem wielką gromadę niemieckich najemników, którzy klęli i krzyczeli na mnie, żebym zawrócił do środka. Król kazał uderzyć w trąby i wydał polecenie, że wszyscy z zamku i w mieście mają siedzieć w domu. W tejże chwili otworzyły się drzwi i na dziedziniec wyszli pod eskortą strażników biskupi Mateusz i Wincenty.

Obaj byli bladzi z bezsenności i wzruszenia, a gdy profos wystąpił, aby objąć ich pod swoją straż, pan Wincenty spróbował się uśmiechnąć i zapytał żartobliwie:

— Co nowego, profosie?

A ten pozdrowił go głębokim ukłonem i odparł z szacunkiem:

— Nic dobrego, jego wielmożność. Proszę o przebaczenie, ale przyszedł rozkaz, że jego wielmożność ma stracić głowę.

Nie sądzę, by uwierzyli w te słowa, wzięli je raczej za okrutny żart, tak jak i ja, który znałem dziwny zmysł humoru Niemców. W każdym razie biskupów wyprowadzono z zamku, a najemnicy zaczęli mnie znowu szturchać i popychać do wnętrza, tak że wróciłem do sali jadalnej i opowiedziałem, co widziałem i co słyszałem. Ale dodałem, że z pewnością jest to tylko ordynarny żart. Mimo to wielu z prałatów pobladło, a biskup Jens złapał się za serce i zaczął narzekać na duszność. Kilku innych członków trybunału odczuło nagłe dolegliwości żołądkowe i przeor dominikanów, który znał wnętrze zamku, pokazał im drogę do ustępu. A gdy wrócili stamtąd i wszyscy zgromadzili się w komnacie, wpadł jeden ze służących biskupa Mateusza, gorzko płacząc, w porwanym kaftanie, brocząc krwią z nosa, i opowiedział nam, że na Wielkim Rynku zbito z desek szafot i wzniesiono wokół niego mnóstwo szubienic i że obaj biskupi klęczą już przed pnem katowskim, a z zamku prowadzą na Rynek innych oskarżonych.

Wielu panów zakrzyknęło ze zgrozy i ukryło twarze w dłoniach. Tylko biskup Jens zachował panowanie nad sobą i rzekł:

— Spieszmy do króla błagać o łaskę i prosić, żeby nie dopuścił się takiej okropności.

Wszyscy z wyjątkiem arcybiskupa wybiegli z komnaty, a ja podążyłem za nimi, oniemiały z przerażenia. Ale zastąpił nam drogę mistrz Slagheck z rozpostartymi ramionami i klnąc po niemiecku, zabronił przeszkadzać królowi, już i tak dostatecznie przytłoczonemu i głęboko wstrząśniętemu decyzją, do powzięcia której zmusiło go orzeczenie trybunału.

Prałaci wrócili więc jak niepyszni do sali jadalnej i zaczęli modlić się głośno do Boga o zmiłowanie. Nie śmieli spojrzeć sobie w oczy, a to samo było i ze mną. Na przemian robiło mi się zimno i gorąco i rozumiałem już teraz, dlaczego tak trudno było znaleźć pisarza do wypisania orzeczenia trybunału. Wciąż jednak nie mogłem uwierzyć w najgorsze i myślałem, że król chce tylko napędzić strachu panom szwedzkim i każe może kilku stracić, resztę zaś puści wolno. Toteż chciałem widzieć wszystko na własne oczy i zwróciłem się z tym do mistrza Slaghecka. Ten zaś klepnął mnie mocno po ramieniu i śmiejąc się grzmiąco, wezwał do zachowania pogody ducha, gdyż — jak mówił — chodzi tu tylko o złoczyńców i zbrodniarzy, którzy otrzymują zasłużoną karę. Na moją prośbę kazał jednemu z halabardników towarzyszyć mi, żebym mógł bez przeszkód dotrzeć na Rynek i być świadkiem wykonania wyroku.

Nieprzytomny ze strachu podreptałem za knechtem pustymi ulicami do Rynku, gdzie stał wielki tłum przerażonego pospólstwa. Otoczeni lasem włóczyń czekali tam wokół szafotu szlachetni panowie szwedzcy. Liczba skazanych na śmierć rosła z każdą chwilą, bo wielu, którzy opuścili już Sztokholm, zawróciło, a przy bramach miasta porwano ich z siodeł i zaprowadzono na plac stracenia. Byli tam też liczni mieszczanie, których zabrano od wykonywania ich uczciwych zawodów — jednego wprost od garbarskiej kadzi, innego z wagą do ważenia korzeni w rękę, a jeszcze innych w skórzanych fartuchach albo z zakasanyimi rękawami. W wykuszu ratusza stało kilku królewskich doradców i od czasu do czasu wołało głośno, że ludzi nie powinna przerażać kara, która spotyka zbrodniarzy, spiskowców, sprzysiężonych i kacerzy. Ale wielu spośród skazanych mieszczan sztokholmskich odkrzykiwało w odpowiedzi, że to kłamstwo i oszustwo.

„Zacni i szlachetni mężowie szwedzcy! — wołali oni do ludu. — Zachowajcie dobrze w sercu krzywdę i niesprawiedliwość, która nas spotyka, bo taki sam los grozi każdemu, kto zaufa tyranom i dopuści, by go haniebnie zdradzono za pomocą fałszywych obietnic. Obalcie tyrana, a my będziemy w niebie modlić się o siłę dla was i krew nasza wołać będzie o pomstę ze ścieków Sztokholmu”.

Gdy krzykom nie było końca, dowódca straży zniecierpliwiał się i kazał uderzyć w bębny, żeby zagłuszyć skazanych, którym zatem nie pozwolono skorzystać z należnego im prawa, by u pnia stracenia przemówić do ludu. Nie dano im nawet przyjąć świętych sakramentów, lecz zmuszeni byli sami modlić się i polecać dusze Bogu. Nie wyglądali na heretyków, bo wielu spośród nich klękało przy modlitwie jak pobożni ludzie, silniejsi pocieszali słabszych, a starcy dodawali ducha młodzieńcom. A poprzez szmer ich głosów i warkot bębnow słychać było głucho uderzenia topora o pień stracenia i szafot stawał się śliski od krwi spływającej strumieniami na Rynek. Beczki wypełniały się głowami straconych, a okaleczone ciała rzucano na kupę po obu stronach szafotu. Prosty zaś ludzi, którym ich stan nie dawał prawa do ścięcia, wieszano na szubienicach wokół Rynku.

Usiłując policzyć straconych, ku wielkiemu zdumieniu stwierdziłem, że kat pozbawił życia o wiele więcej ludzi, niż ich wyliczono w orzeczeniu duchownego trybunału. Opary krwi unosiły się nad całym Rynkiem w zimnym listopadowym powietrzu i zamieszanie zrobiło się stopniowo tak wielkie, że wielu z tych, którzy znaleźli się tam całkiem przypadkowo, tracono bez sądu i wyroku, skutkiem pomyłki, a może i celowo. I ludzie wywlekami z tłumu na szafot tak byli sparaliżowani zgrozą, że nie okazywali wcale zdziwienia, sięgali tylko szybko do mieszka po pieniądze dla kata, żeby ściął ich szybko i zgrabnie.

Także i mnie poraziło to okropne widowisko i przelew krwi, że nie mogłem wybełkotać swego imienia, gdy paru pachółków profosa zaczęło rozglądać się dokoła za nowymi ofiarami i zauważywszy mnie pytać:

— Któż to jest ten młodzieniec o twarzy uczonej i palcach poplamionych tuszem? To z pewnością jakiś zwolennik Szwedów! W dodatku ma on koronkowe mankiety, należy mu się więc z pewnością miejsce bliżej szafotu.

Przebiegli się przez gęste szeregi zbrojnych, aby mnie schwycić, i pewnie zostałbym wepchnięty między skazanych i ścięty lub powieszony, gdyby mistrz Paracelsus nie spostrzegł nagle, w jakich znalazłem się opałach, nie wyskoczył z tłumu i nie uderzył moich prześladowców po palcach płazem miecza. Obronił mnie i powiedział im, kim jestem, a Niemcy, którzy bali się go jako wielkiego czarownika, zostawili mnie zaraz w spokoju.

Trabant z zamku dawno już poszedł swoją drogą; zamieszkał się gdzieś w tłumie na Rynku między innymi bezbożnymi żołdakami, by kraść mieszki, pierścienie i zapinki z okrwawionych trupów. Oparłem się na ramieniu mego zbawcy i z doznanego przestachu zwymiotowałem wszystko, co zjadłem na uczcie, bez żalu, bo czułem, że przysmaki te zatrąłyby mnie, gdyby pozostały dłużej w moim żołądku.

Tymczasem zaczęło zmierzchać. Gdy trochę przewyciężyłem lęk, chciałem opuścić Rynek, ale mistrz Paracelsus zatrzymał mnie mówiąc, że pragnie porozmawiać z katem. Opowiedział mi też, że podróżował po kraju, by studiować choroby górników, i dodał:

— Nie jestem żadnym wróżem, tylko lekarzem, ale przysiągłbym, że król Chrystian każdym ciosem miecza kata rozbija w drzazgi własną błyszczącą koronę. Ten lud jest uparty i kocha wolność i nie tak łatwo go przestraszyć, łatwiej wzbudzić w nim gniew. Widziałem w podróży, że w lasach kryją się ludzie, którzy nie zaufali królewskim obietnicom. I jeśli jest pośród nich ktoś, kto nadaje się na wodza, wybiorą go królem i nie będzie już potrzebował bać się współzawodników, bo król Chrystian krótkowzrocznie usunął ich wszystkich z jego drogi.

Oparłem, że z pewnością nie można sobie wyobrazić innego króla na tronie szwedzkim teraz, gdy król Chrystian został ukoronowany, a Stany uznały Szwecję za jego kraj dziedziczny po wszystkie czasy. I dodałem:

— Może lud będzie się krzywił, ale będzie musiał przełknąć to piwo czy chce, czy nie chce, bo prawdę mówiąc, lub sam sobie go nawarzył.

W gęstniejącym mroku mistrz Paracelsus wpatrzył się we mnie straszliwymi oczyma jasnowidza i rzekł:



— Ciekawym, jakie jest to piwo, którego ty sobie nawarzyłeś, Mikaelu. Pamiętaj, że jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz i że gdy dasz diabłu palec, wnet zażąda całej ręki... Słowa te spadły na mnie jak grom, tak że kilkakrotnie przeżegnałem się znakiem krzyża. Tymczasem ustał wreszcie warkot bębnow, masa ludzka zaczęła się rozpraszać, a kat zszedł i usiadł na stopniach szafotu, dysząc z wyczerpania. Był skąpany we krwi od stóp do głów i cała jego odzież przesiąkła krwią, a nawet z nóg musiał zdjąć buty, żeby wylać z nich krew. Nawet zbrojni odsuwali się od niego ze zgrozą, a mnie znowu ogarnęły mdłości i zacząłem wymiotować raz po raz wstrząsany gwałtownymi dreszczami, które nie ustały nawet i wtedy, gdy się w końcu znalazłem w łóżku w moich czterech ścianach. Nocy tej niewiele tylko zmrzyło oczy do snu w mieście Sztokholmie i z każdego domu słychać było płacz i biadanie, a bezbożni żołądacy wdzierali się do domostw straconych mieszczan i plądrowali skrzynie i szafy, pozbawiając wdowy i sieroty wszystkiego. Nie sądzę jednak, by robili to na rozkaz królewski, jak to mówiło wielu. W owym czasie bowiem ludzie przypisywali już królowi Chrystianów' wszystko, co złe.

Przez cały następny dzień bezgłowe trupy leżały na rynku sztokholmskim ku wielkiej zgrozie ludności. Dopiero w sobotę załadowano je na wozy i zawieziono na przedmieścia, aby je spalić na stosie i także zwłoki pana Stena wygrzebano z grobu, żeby spłonęły wraz ze zwłokami innych kacerzy. Król Chrystian pragnął pokazać, że chodzi tu o karę wymierzoną przez Kościół kacerzom, nie zaś akt zemsty czy złej woli. Jego poplecznicy próbowali jak mogli szerzyć takie poglądy wśród ludności i niebawem mieszczanie zaczęli między sobą mówić, że właściwie nie mają zbyt obowiązków wdzięczności wobec butnej szlachty, która tylko uciska i ugniata biedny lud i ogranicza jego prawa. A najlepsi spośród nich odczuwali wielką pociechę na myśl, że tyle jest teraz wolnych urzędów w radzie w zacnym mieście Sztokholmie.

4

Także i ja zacząłem odzyskiwać otuchę, ale coś się we mnie buntowało przeciw temu, żeby odwiedzić kanoników kapituły, bo nie chciałem ich nigdy więcej oglądać. Z drugiej strony, słaby i chory, nie ośmielałem się jeszcze włożyć duchownego stroju i wygolić sobie ton sury na ciemieniu. W niedzielę wieczorem zawezwano mnie do zamku i zaprowadzono do komnaty, gdzie mistrz Slagheck przymierzał infulę biskupa Wincentego. Zabrał bowiem odzież po zacnym biskupie, ażeby sobie zaoszczędzić kosztów zakupu nowego ornatu. Gdy mnie zobaczył, przerwał swoje nieczne zajęcie, odłożył infulę na bok i powiedział:

— Bakałarzu Mikaelu, jesteś wiernym sługą króla czy też tylko niezdarnym nicponiem? Odpowiedz mi natychmiast, żebym wiedział, jak mam ciebie traktować.

Odparłem, że wsiadłem na królewskie sanie i muszę się ich teraz trzymać, choć od szybkości jazdy piecze mnie siedzenie i kręci mi się w głowie. Wielce mu się to spodobało i rzekł:

— Król pragnie cię poznać i powierzyć ważne zadanie, jeżeli można na tobie polegać. I jeśli wiernie i zręcznie spełnisz swój obowiązek, możesz być pewny łaski królewskiej.

Powiódł mnie schodami ukrytymi w murze do sekretnej komnaty, gdzie siedział król Chrystian ze zmarszczonym czołem, zupełnie wyraźnie cierpiąc od skutków okropnego przepicia. Król zapytał mnie:

— Tyżeś to ten Fin i sekretarz trybunału duchownego, co ku memu żalowi postawił mnie przed smutną koniecznością skazania na śmierć i spalenia na stosie jako kacerzy czołowych przedstawicieli najwybitniejszych rodów szlacheckich w Szwecji? Mało który król zmuszony był podjąć tak gorzką decyzję, ale sądzę, że wszyscy ludzie prawo-myślni rozumieją moje trudne położenie i udzielają mi poparcia.

Odparłem, że z całego serca go rozumiem i popieram jako wierny poddany, ale dodałem:

— Jako że z łaski arcybiskupa nagle i niespodziewanie wstąpiłem do stanu duchownego, zmuszony jestem jako posłuszny syn Kościoła stwierdzić, że biskup Mateusz i biskup Wincenty byli obaj mężami świętymi i nawet według poglądów trybunału nietykalnymi. Toteż wielkim grzechem i szkodą dla świętego Kościoła było ścięcie i spalenie ich ciał na stosie bez dania im możliwości choćby tylko przyjęcia świętych sakramentów czy też obrony przed trybunałem.

Król rzucił mi niełaskawe spojrzenie i wybuchł gniewnie:

— Nie potrzebuję odpowiedzi na pytania, których nie zadałem, i zapamiętaj sobie, że mam już aż nadto kłopotu z wytłumaczeniem się z tego przed jego świętobliwością papieżem. Twierdzę jednak, że ci biskupi, których nazywasz świętymi, brali udział w groźnym spisku na moje życie i chcieli wysadzić mnie prochem w powietrze. I możesz to w zaufaniu powtarzać w Finlandii wszystkim, którzy cię spytają. Ale opowiadaj to poufnie i z zachowaniem wszelkiej ostrożności, bo nie bezpieczeństwo, które groziło mojemu cennemu życiu, może wywołać niepokój i zamieszanie wśród wiernego ludu.

Nowina ta bardzo mną wstrząsnęła i zrozumiałem, że biskupi bez wątpienia zasłużyli na karę, jeśli istotnie do tego stopnia zapomnieli o obowiązkach swego świętego powołania. Nie miałem wprawdzie na to żadnego innego dowodu jak słowa królewskie, ale nie mogłem sobie wyobrazić, żeby król z zimną krwią i tak świadomie mógł kłamać, patrząc mi w oczy. A król obserwował moją twarz, po czym powiedział:

— Korona królewska niełatwa jest do dźwigania i ciężka od trosk. Przed Bogiem i tylko przed Bogiem muszę zdawać sprawę z moich uczynków. Jako sekretarz trybunału duchownego wiesz dobrze, że także i Hemming Gadh złożył swój podpis i pieczęć pod heretyckim dokumentem. Bardzo to mną wstrząsnęło, gdyż jest on widocznie arcy-kaczerem, choć miałem o nim dobre mniemanie z powodu jego gorliwości i zapału. Ale teraz mam słuszne powody podejrzewać, że zapał ten był tylko wynikiem kacerskiej chęci intrygowania i aby pokrzyżować mu szyki, muszę jak najszybciej posłać go na prebendę w królestwie niebieskim, zanim wiadomość o tych pożałowania godnych wydarzeniach w Sztokholmie dojdzie do jego uszu. Weź więc ten zapieczętowany list z wyrokiem na niego, udaj się do Finlandii, znajdź go, gdziekolwiek przebywa, i każ natychmiast ściąć. Moje pełnomocnictwo uprawnia cię do wszelkiej potrzebnej pomocy w wypełnianiu twoich obowiązków, a mistrz Slagheck każe ci wypłacić dziesięć marek srebrem na nieuniknione wydatki.

— Wasza królewska mość nie mówi chyba tego poważnie! — wykrzyknąłem przerażony. — Doktor Gadh jest sługą Kościoła i gorącym zwolennikiem Unii i wasza królewska mość nie dostałby nigdy zamków fińskich bez jego daru przekonywania i zaufania, jakim się cieszy. Nagroda za tak dobre uczynki nie może być tak okropna.

Ale król odparł niecierpliwie:

— Jesteś sługą Kościoła i obowiązkiem twoim jest tępić herezję, gdzie tylko ją spotkasz. I doprawdy nie potrzebujesz mi przypominać o zasługach doktora Gadha, bo zbyt są wielkie, by przy swoich szerokich wpływach mógł zachować życie po tym, co się stało. Równie szybko i łatwo, jak nakłonił fińskich panów do kapitulacji, mógłby ich znowu podburzyć przeciwko mnie. Toteż obowiązkiem moim jest z ciężkim sercem skazać go na śmierć, a jedyną moją pociechą to, że doktor Gadh jest już starym człowiekiem i dość się nacieszył dobrodziejstwami długiego żywota.

Dalsze opieranie się mogło narazić na niebezpieczeństwo moją własną głowę, i to bez żadnego pożytku, gdyż król łatwo znalazłby innego człowieka do wykonania swoich ponurych zamiarów. Toteż przyjąłem zapieczętowany wyrok śmierci i królewskie pełnomocnictwo, uprawniające mnie do wszelkiej pomocy władz, po czym król dał mi na klęczkach ucałować swoją rękę i pozwolił odejść. Ale najpierw kazał mistrzowi Slagheckowi przynieść sobie jeszcze jeden dzban piwa. A potem zostawiliśmy króla w jego sekretnej komnacie i mistrz Slagheck zaprowadził mnie do zamkowego skarbnika i kazał wypłacić za

pokwitowaniem dziesięć marek czystym srebrem — pękaty woreczek — co mimo przygnębienia i wyrzutów sumienia podniosło mnie trochę na duchu, bo nigdy jeszcze nie miałem w ręku takiej sumy.

Gdy wyszedłem na świeże powietrze, miałem uczucie, jakbym zostawił za sobą loch więzienny albo grób i w bramie dotknąłem ostrożnie szyi i karku, które wydały mi się szczególnie kruche i cienkie. W gospodzie spakowałem pośpiesznie rzeczy, a Antti, który miał mi towarzyszyć w podróży, poszedł za moim przykładem. Pobiegłem też pożegnać się z doktorem Paracelsem, który wybierał się niedługo do Polski krajać niemieckich najemników, po czym wsiedliśmy wraz z Anttim na statek odchodzący do Abo. Nigdy jeszcze nie mieliśmy podobnej żeglugi, bo szyper miał rozkaz płynąć o wszystkich żaglach, mimo listopadowego sztormu, i gdy wyszliśmy na otwarte morze, widzieliśmy tylko spienione bałwany i rozdarte chmury. Bardziej umarły niż żywy wysiadłem w końcu na ląd po tygodniowej podróży. Wiadomości o krwawej łaźni w Sztokholmie doszły już jednak do Abo przed nami w formie słuchów i rozprzestrzeniły się po całym kraju jak pożar, przyczyniając się do wzburzenia ludzkich umysłów, choć junkier Tomasz robił, co mógł i ogłosił, że wszystko to tylko "plotki^ kłamstwo i oszczerstwo oraz fałszywe świadectwo przeciw królowi.-

Na pierwsze wieści o tym, co się stało, doktor Hemming poróżniwszy się mocno z biskupem Arvidem, mimo podeszłego wieku wsiał na konia i parszając z gniewu, popędził z grupą trabantów biskupa Arvida do Raseborga, gdzie kasztelanem był Nils Eskilsson Baner, niegdyś królewski przeciwnik, potem ułaskawiony i przywrócony do władzy. Junkier Tomasz miał dobre powody do podejrzeń, że pan Nils może i teraz łatwo ulec pokusie knucia z doktorem Hemmingiem spisków przeciw prawowitemu królowi. Toteż bez zwłoki udałem się w dalszą podróż, nie mając nawet czasu odwiedzić przyjaciół, mimo że po burzliwej podróży morzem wciąż jeszcze byłem obolały i niezdolny do jazdy wierzchem. Cierpiałem też piekielne męki skutkiem odparzeń od niewygodnego siodła, ale dwaj lekkobrojni, których junkier Tomasz dodał mi jako straż przyboczną, śmieli się tylko z moich dolegliwości i podcinałi mego konia, gdy próbowałem zwolnić tempa jazdy, błagając wszystkich świętych o zmiłowanie. W ten sposób dotarliśmy do Raseborga w dwa dni.

Gdy z grzbietu spienionego rumaka zobaczyłem czarne mury zamku na oblanej morzem skale, serce zrobiło mi się w piersiach ciężkie jak kawałek ołowiu i poczułem się ogromnie marnie na duchu. Mimo moich nawoływań i rozkazów nie spuszczonego mostu i brama pozostała zamknięta, dopóki pan Nils we własnej osobie nie wyszedł na mury, żeby zobaczyć, kto woła. Przywitał mnie życzliwie i kazał zaraz otworzyć bramę, tłumacząc, że trzymają ją zamkniętą w obawie przed zamieszkami, do których łatwo może dojść z powodu rozsiewanych po kraju dzikich pogłosek ze Sztokholmu, obelżywych dla króla Chrystiana.

Most zwodzony spadł ze zgrzytem i szczęką, brama zaskrzypiała w zawiasach. Gdy wjeżdżałem pod dudniące głuchym echem sklepienie, odmówiłem Ave, Pater noster i Credo dla dodania sobie otuchy. A gdy tylko znalazłem się na dziedzińcu, kazałem natychmiast zamknąć bramę i przywołałem kapitana niemieckich najemników, który ciekawie wyszedł mi na spotkanie. Pokazałem mu pieczęć królewską i pełnomocnictwo i wezwałem, aby udzielił mi wszelkiej potrzebnej pomocy w wykonaniu królewskich rozkazów. Sądzę, że kapitan otrzymał już odpowiednie instrukcje od junkra Tomasza, bo kiwnął głową potakująco na znak, że mnie zrozumiał, i zaraz kazał bić w bębny na alarm. Usłyszawszy dźwięk bębnow, pan Nils wypadł z gołą głową na dziedziniec, pytając, co u diabła tu się dzieje i czy on już nie jest panem we własnym domu. Ale uspokoił się zaraz na widok królewskiej pieczęci i po chwili wahania zaprosił mnie w końcu do wnętrza, choć nie byłem już dla niego miłym gościem.

Zaprowadził mnie do sali rycerskiej, gdzie na wielkim kominku płonął trzaskający ogień i gdzie zastaliśmy doktora Hemminga, który kulejąc i trzęsąc starą siwą głową podszedł do mnie, wziął mnie w ramiona i przywitał tak serdecznie, że nawet pan Nils powrócił do dawnej

uprzejmości. Jeszcze nie zdążyłem dobrze posmakować powitalnego piwa, gdy obaj panowie zaczęli mnie zasypywać pytaniami: Co się stało w Sztokholmie? Czy to prawda, że ten czy tamten ze szwedzkich wielmożów został zdradziecko zgładzony przez króla? W co wierzyć z tych wszystkich okropnych pogłosek, jakie krążą między ludźmi?

Zastanowiłem się przez chwilę, jak postąpić, ale nie widząc innego wyjścia, podniosłem się i powiedziałem:

— Wszystko to, a i jeszcze więcej, jest prawdą, ale nie czas teraz, by o tym rozmawiać. Drogi doktorze Hemmingu, najlepiej dla was będzie odwrócić myśli od spraw tego świata i przygotować się do powierzenia waszej biednej duszy w ręce boskie. Król Chrystian obiecał wam bowiem dobrą prebendę, ale leży ona w królestwie niebieskim i jeszcze dziś wieczór wstąpicie do rajskich wspaniałości. Polecono mi pomóc wam w tej drodze, choć czynię to z ciężkim sercem, bo zawsze okazywaliście mi życzliwość i traktowali lepiej, niż ojciec traktuje własnego syna.

Ale choć mówiłem tak oględnie i ładnie, doktor Hemming mimo podeszłego wieku wielce się wzburzył i zawołał:

— To okropne i niemożliwe! Nie mogę wprost uwierzyć w tak niecne wiarołomstwo, bo mam przecież własnoręcznie przez króla podpisany i pieczęcią opatrzony żelazny list, do którego się odwołuję.

Podąłem mu wyrok i rozkaz królewski i wezwałem pana Nilsa, aby i on je przeczytał, mówiąc:

— 'Sprawy stoją tak, jak powiedziałem, i doktor Hemming ma być ścięty bezzwłocznie, a pan Nils jako kasztelan zamku ma udzielić mi przy tym wszelkiej potrzebnej pomocy. Nie mam jednak nic przeciwko temu, żeby doktor Hemming przyjął święte sakramenty przed tą smutną egzekucją, która wywołuje tylko przynębienie wśród nas, jego przyjaciół. I nie zamierzam też spalić jego zwłok, lecz chętnie udzielę mu uczciwego pochówku, gdyż nie otrzymałem żadnych specjalnych rozkazów w tej sprawie. Ale proszę z całego serca, żebyście obaj pośpieszyli i nie utrudniali mi zadania, które i tak już jest dostatecznie gorzkie.

Pan Nils odpowiedział na to przekleństwem i oświadczył, że woli zawisnąć na szubienicy, niż usłuchać tak haniebnego i bezbożnego rozkazu. Wyciągnął miecz i może byłby mnie przebił, gdyby nie powstrzymał go doktor Hemming. Bardzo mnie przeraziło nieopanowane i szalone postępowanie pana Nilsa, który zaczął głośno wołać na swoich ludzi i kazał im uzbroić się i opanować zamek. Ale nikt go nie słuchał, bo zacny kapitan Tile Gissel wystawił już wszędzie posterunki i pięciu jego arkebuzerów stało na dziedzińcu i na schodach z hakownicami i płonącymi lontami, gotowi strzelać do każdego, kto ośmieliłby się stawiać opór. Gdy kapitan Gissel usłyszał wściekle ryki pana Nilsa wszedł do sali i wezwał go, aby oddał miecz, uspokoił się i słuchał królewskich rozkazów. Ale pan Nils nie mógł jeszcze zrozumieć, co się stało, i wołał, że jeśli chodzi o niego, zdradziecki król duński może się zabierać do piekła albo jeszcze lepiej zniknąć przez dziurę w wychodku, i że on wcale nie zamierza słuchać takiego króla i woli podburzyć wszystkich uczciwych ludzi do powstania, by sprzedać swoją skórę jak najdrożej

— To prawdziwa przyjemność myśleć o cenie, jaką ten krwawy pies Chrystian, Chrystian tyran, zapłaci jeszcze za swoje wiarołomstwo! — ryczał.

Pocziwy kapitan zmuszony był przywołać dwóch uzbrojonych w dzidy knechtów, którzy zapędzili kasztelana w róg sali, gdzie ten wreszcie poddał się, zdejmując pas i rzucając miecz na podłogę. Widząc to doktor Hemming uspokoił się trochę, zbladł i powiedział:

— Nic nie pomoże kłąć i pnieć się, gdy już siedzimy po uszy w gnoju. Powinieneś był słuchać moich dobrych rad, przepędzić załogę i wziąć zamek w swoje ręce, aby w spokoju czekać na potwierdzenie lub zaprzeczenie tych pogłosek. Wtedy moglibyśmy byli rozważyć, co należy uczynić. Teraz zaś mamy związane ręce i nogi i robią z nami, co chcą. Toteż

najlepiej, żebyś się temu podporządkował i pokornie prosił tu obecnych o zapomnienie tego, coś powiedział. Co się zaś tyczy mojej siwej głowy, czuję już na skroniach chłód śmierci.

A gdy pan Nils go nie chciał usłuchać i dalej wykrzykiwał i odgrażał się królowi, doktor Hemming zwrócił się do mnie i do kapitana i rzekł z szacunkiem:

— Nie słuchajcie go i zapomnijcie, co mówi, bo rozpacza, że muszę umrzeć. Weźcie moją starą głowę, bo bardzo już jestem zmęczony myśleniem o wiarołomstwie i złu, które pleni się na całym świecie. Ale jemu pozwólcie odejść w spokoju, bo jest młody i szlacheckiego rodu, i niesłusznie byłoby zrobić mu coś złego tylko z powodu jego nierozważnych słów.

Zamknięto więc pana Nilsa w jego komnacie, żeby się uspokoił, a kapitan postawił przed drzwiami wartownika. W zamku bawił wówczas wędrowny kaznodzieja, dominikanin z klasztoru z Wyborga, i mnich ten przyjął spowiedź i udzielił doktorowi Hemmingowi rozgrzeszenia i komunii świętej, a zacny doktor nie trwonił czasu na darmo, tak że wszystko odbyło się ogromnie szybko. W Raseborgu nie było kata, ale jeden z niemieckich knechtów ofiarował się chętnie za zwykłą opłatę trzech-groszy srebrem ściąć głowę skazanemu na śmierć, na co się zgodziłem, upewniwszy wprzód, że trafi mieczem we wskazany punkt na drewnianym palu. Wytoczono więc tęgi brzozywny pniak na wzgórze koło zamku i tłum ludzi — zamkowej służby, dziewcząt służebnych i gapiów z położonego w pobliżu targowiska zgromadził się wokół niego. Wielu płakało żałośnie, bo zacny doktor Hemming był szanowany przez wszystkich i cieszył się wielkim poważaniem w całym kraju.

Przyszedł na miejsce stracenia na własnych nogach, nie opierając się na nikim, i gdy już wychylił puchar kata, tak przemówił do ludu:

— Nie płaczcie z mego powodu, zacni ludzie, bo otrzymuję tylko dobrze zasłużoną zapłatę za to, że więcej wierzyłem pięknym oczom i obietnicą okrutnego i wiarołomnego króla niż własnemu sercu i doświadczeniu, jakie miałem co do przysięg królów i wielmożów. I nie mam innej obrony dla siebie jak tylko to, że wierzyłem, iż przynoszę pokój zamiast miecza i zgodę, i porozumienie po wszystkich kłótniach, sporach i rozlewie krwi. Ale nie stało się tak, jak się spodziewałem, i nigdy nie może dojść do zgody z wrogiem, który przy pierwszej sposobności łamie dane słowo, depcze przysięgi, zrywa układy, przekreśla podpisy i kruszy królewską pieczęć. Toteż płaczcie nad naszą biedną ojczyzną i nad całą Szwecją, bo dopóki panuje ten krwawy król, nikt nie będzie pewny gardła, bez względu na to, czy jest wysoko, czy nisko postawiony, bogaty czy biedny. I jako potwierdzenie tych słów zobaczycie tu, jak moja siwa głowa potoczy się w błoto, choć jestem mężem duchownym, korzystającym z opieki świętego Kościoła.

Zaczerpnął tchu i wyprostował się, a jego biała głowa przestała się trząść. I rósł w moich oczach, i znów przewodził ludowi, jak w swoich najlepszych dniach. Podniósł twarz ku chmurnemu grudniowemu niebu i krzyknął wielkim głosem:

— Wysłuchaj mnie, dobry Boże w niebiesiech, i niech krew moja woła z ziemi do Twego promienistego tronu. Z miejsca, gdzie stoję, przeklinam krwawego króla Chrystiana za wszystko zło, które wyrządził. Przeklinam go całą mocą duchowną, która jest mi dana przez Twój święty Kościół na ziemi, i przeklinam go przed Twoim obliczem, wszechmocny Boże, żeby już za życia spotkała go kara za jego nieczne czyny, żeby utracił swój kraj i królestwo, i koronę, którą zbeczcześcił, żeby zmarł jako nędzarz w biedzie, prześladowany przez wszystkich i pozbawiony Twojej łaski. Wszystko to niech go dosięgnie, bo na to zasłużył. Wysłuchaj mego wołania, święty Boże!

Jego przekleństwo było tak potężne i majestatyczne, że nawet knechci przeżegnali się znakiem krzyża, a lud podniósł oczy w górę i oczekiwał, że niebiosa się otworzą. Także i ja wypatrywałem proroczych znaków w chmurach, ale widziałem tylko szare zimowe niebo, choć niektórzy ze zgromadzonych opowiadali później, że przeszywały je błyskawice. Skończywszy mówić, doktor Hemming oddał trzosu katu, ukląkł kornie w błocie, podkładając sobie pod kolana połę płaszczka, położył głowę na pniaku i zamknął oczy. Niemiec oburącz

podniósł w górę miecz i ściął mu głowę jednym cięciem tak zręcznie, że potoczyła się na ziemię. Następnie owinięto zwłoki i głowę w całun i zanieiono do zamkowej kaplicy, gdzie dominikanin odprawił mszę żałobną.

Kapitan Gissel uważał się obecnie za kasztelana na zamku i prosił mnie, żebym się za nim wstawił u junkra Tomasza o zatwierdzenie go na tym stanowisku. Zjedliśmy razem obfity posiłek, na który obaj dobrześmy sobie zasłużyli i w czasie którego wspominaliśmy z żalem doktora Hemmłnga i jego piękne cechy charakteru, ubolewając, że takiego zacnego i uczonego człowieka musiał spotkać tak żalosny koniec. Ale smaczną ucztę zakłócało nam walenie pana Nilsa w drzwi i gdy już wypróżniliśmy dzban jego najlepszego wina, kapitan Gissel spochmurniał i rzekł:

— Co zrobimy z tym wściekłym szaleńcem? Jeśli mu damy uciec, wnet będziemy mieli na karku całą chmurę bąków, a junkier Tomasz wpadnie w gniew. Jeśli zaś będziemy go trzymać w więzieniu, stanie się wieczną groźbą dla zamku, bo mam pod swoim dowództwem zaledwie dwudziestu chciwych knechtów i łatwo można ich przekupić. Z drugiej strony jeśli wyślę go do Abo, może po drodze uciec albo zostać uwolniony przez swoich przyjaciół. Uczciwie mówiąc, pan Nils wcale nie jest szlachetnym człowiekiem, tylko pysznym i niedobrym pan-kiem, który przez cały czas wynosił się nade mnie, choć jestem od niego starszy i brałem już udział w wielu wojennych wyprawach. Uważam ponadto ze sprawę honoru służyć temu, kto w danej chwili płaci mi żołd. Cóż więc zrobimy z panem Nilsem?

— Doprawdy nie wiem — odparłem zgodnie z prawdą — i nie chcę w żaden sposób mieszać się do waszych obowiązków i urzędowych czynności, choć przyznaję, że mój przyjazd postawił was, kapitanie, w trudnym położeniu.

Westchnął ciężko i rzekł:

— Zawód żołnierza to zawód przykry, który czyni duszę ludzką twardą i każe człowiekowi zapomnieć o wszystkich boskich przykazaniach. Pocięchę dla mnie stanowi mała lutnia, którą zawsze z sobą wożę i na której często zwykłem w samotności grywać, śpiewając przy tym jakąś wesołą i dodającą otuchy piosenkę. Jest to o tyle dobre, że dzięki temu nie muszę spędzać czasu jedynie przy mocnych -trunkach, grze w kości i dziewczkach. Zauważyłem też, że piosenka i kilka uderzeń w struny czyni mnie dziwnie bystrym i jeśli nie macie nic przeciwko temu, panie, przyniosę lutnię i zaśpiewam wam pieśń zastanawiając się nad tą trudną sprawą.

Wrócił po chwili z lutnią i zaczął grać i śpiewać, a czynił to bardzo pięknie. Także i pod innymi względami był bardzo miłym człowiekiem ze skłonnością do melancholii, miał ładne dłonie i miękką błyszczącą brodę. Na koniec zaśpiewał smętną piosenkę o tym, że lato minęło i przyszły chłodne pogody. Piosenka mówiła dalej o kasztanowym ogierze i o dziewicy, która zmoczyła suknie w rosie pokrywającej w nocy trawę, słuchając śpiewu słowika. Ta żalosna opowieść wycisnęła mi z oczu rzęsiste łzy.

— Tak, tak — powiedział w końcu kapitan, odkładając lutnię. — Lato minęło i na dworze pociemniało, a wy, uczony panie Mikaelu, macie pełnomocnictwo opatrzone królewską pieczęcią i muszę udzielić wam wszelkiej potrzebnej pomocy. Pełnomocnictwo to nie jest jednak niczym ograniczone i nie wymienia ściśle waszego zadania, tak że wszystko zależy od waszego uznania. Jestem zmuszony słuchać waszych rozkazów we wszystkim i gdybyście na przykład polecili mi skrócić pana Nilsa o głowę, nie miałbym innej rady jak was usłuchać. Zrobiłbym to zresztą bez najmniejszego wahania, ku wielkiemu memu zadowoleniu, gdyż byłoby to znakomitym rozwiązaniem naszego trudnego problemu.

— Szlachetnie urodzony panie Tile! — wykrzyknąłem ze zgrozą. — To prawda, że lato minęło i pogody są zimne, ale niech mnie Bóg uchowa, żebym miał wam wydać taki bezbożny rozkaz. Nie mam wcale mocy ani władzy, żeby dokonać takiego czynu.

— Ależ drogi panie Mikaelu — odparł kapitan chytrze - słyszeliście przecież, jak zacny pan Nils wielokrotnie zaklinał się na wszystkich diabłów, że rozpruje wam brzuch, gdziekolwiek

was spotka, jako żeście zdrajca i kreatura króla Chrystiana. Pan Nils ściągnął sam na siebie nieszczęście nie słuchając w porę rad doktora Hemminga. Nie stawiajcie się w podobnym położeniu, zamykając uszy na moje rady, dopóki macie jeszcze królewskie pełnomocnictwo. Naturalnie mógłbym go kazać uśmiercić w jego komnacie i twierdzić, że próbował uciec, ale dałoby to później podstawy do najrozmaitszych oszczerstw, których człowiek honoru najchętniej unika. Gdyby w przyszłości wynikły jakieś wątpliwości w tej sprawie, przyrzekam bronić was i oświadczyć, że działaliśmy po dojrzałym namyśle, z konieczności, i że jedyną naszą myślą było dobro króla, gdyż nie chcieliśmy być zmuszeni do ścięcia później setek karków w miejsce głowy jednego uparciucha.

Musiałem przyznać, że mówił jak człowiek rozsądny. Dobre wino pana Nilsa zrobiło też swoje, zwłaszcza, że byłem ogromnie zmęczony trudami podróży i przeżyciami, które przyniósł ten dzień. Mimo że myśl o odpowiedzialności za taki postępek wciąż mnie przerażała, ani się obejrzałem, jak sprawa została rozstrzygnięta. Choć już zapadał wieczór, pan Gissel kazał uderzyć w bębny i wysłał knechtów do komnaty pana Nilsa, żeby go związać, co im się w końcu po gwałtownej bójce udało. Następnie kapitan kazał zapalić na dziedzińcu kilka pochodni i niemiecki knecht ściał głowę panu Nilsowi tak zgrabnie, że ten prawie się nie zdążył połapać, co się z nim stało. Ku wielkiemu memu smutkowi muszę przyznać, że pan Nils umarł bez żalu za grzechy, z zatwardziałym sercem, miotając aż do końca ohydne obelgi na mnie, na pana Tile i na króla Chrystiana. Zmartwienie moje zwiększył jeszcze bardziej fakt, że musiałem z własnej sakiewki zapłacić niemieckiemu knechtowi trzy grosze srebrem po raz drugi, ponieważ pan Tile oświadczył, że nie posiada w kasie żadnych pieniędzy a knecht nie chciał się zadowolić mniejszą sumą, choć się targowałem.

Gdy już było po wszystkim, poczułem się tak zmęczony po podróży i winie, że położyłem się na spoczynek i spałem kamiennym snem do późnych godzin porannych następnego dnia.

Mimo że wciąż jeszcze zdrętwiały od trudów podróży wierzchem, obudziwszy się wyruszyłem natychmiast w drogę powrotną, nie chcąc przebywać dłużej w ponurej twierdzy.

Do Abo wracałem stępa. Droga była błotnista, stały na niej kałuże pokryte cienką warstwą lodu, pękającego z traskiem pod końskimi kopytami. Później jednak pokazało się słońce, dzień zrobił się jaśniejszy, a i mnie robiło się lżej na duszy z każdym końskim krokiem, który oddalał mnie od czarnych murów twierdzy. Na postojach miałem sposobność rozmawiać z poczciwymi wieśniakami, którzy żałośnie narzekali, że junkier Tomasz gnębi ich ciężkimi rekwizycjami, ściągając mięso i zboże dla wojska. Ludzie ci nie brali sobie zbytnio do serca tego, co król Chrystian uczynił ze szwedzkimi wielmożami, ale głęboko wzdychali nad bydłem i zbożem, mówiąc: „Oj źle, oj bardzo niedobrze! Mamy gdzieś żalosny los panów i szlachty, bo ziemia jest tym lepsza, im mniej panów żywi, byle tylko król odwołał póki czas tych okropnych żołdaków, którzy jak szarańcza zjadają wszystko, co z wielkim wysiłkiem, jak mrówki, zdołamy zgromadzić”.

Gdy przybyłem do Abo, miasto było równie ponure i puste jak Sztokholm, w chwili gdyśmy go opuszczali, a ludzie z czerwonymi od płaczu oczyma przemykali się pod ścianami domów, podskakując ze strachu na najmniejszy odgłos. Nie zachęcało to zbytnio do zatrzymywania się i dowiadywania o nowiny, więc pojechałem prosto do zamku, gdzie junkier Tomasz przyjął mnie bardzo życzliwie. A gdy mu opowiedziałem wszystko, co się stało, pochwalił wielce mój spokój, przytomność umysłu i rozsądek i wyrzekł wiele pięknych słów o kapitanie Gisselu.

— I ja też — oświadczył — tłumaczyłem sobie królewskie rozkazy według najlepszego rozumienia, dbając, aby nie okazać się zbyt małostkowym. Szkodliwe chwasty należy wyrwać w porę, zanim zdążą się rozplenić i przytłumić zdrową roślinność. Wydaje mi się, że w tej chwili cała ta prowincja jest spokojna i posłuszna i nie sprawi królowi i jego wiernym sługom żadnych kłopotów.

Parskał przez nozdrza, zarośnięte gęstymi krzaczkami czarnej szczeciny i stał nade mną sztywny i niewzruszony jak skała, dyktując pismo, w którym miałem opisać królowi usługi oddane mu przez junkra Tomasza. Ja zaś, napisawszy ten list, zwróciłem się do niego z szacunkiem i powiedziałem:

— Zacny arcybiskup Gustaw wyświęcił mnie na księdza, więc nie przystoi, żebym służył jako prosty pisarz zamkowy za cztery grosze srebrem. Mam nadzieję, że biskup Arvid da mi odpowiednią do moich zasług prebendę i że będę mógł dalej studiować zgodnie z wolą bożą. Na te słowa junkier Tomasz zaśmiał się głośno i rzekł:

— Chętnie pozwalam ci przenieść się do domu i być moim okiem i uchem w mieście, ale świnia wraca do koryta i chyba wnet zobaczysz, gdzie dla ciebie najwięcej korzyści.

Wybrałem się więc pomówić z arcybiskupem, ale po drodze zbrakło mi odwagi i wstąpiłem pod „Trzy Korony”, żeby napić się piwa i dodać sobie w ten sposób otuchy. Ale gdy wszedłem, w przyjemnej winiarni umilkły wszystkie rozmowy i jeden gość za drugim kładł monetę na stole i wychodził, tak że izba nagle opustoszała, ku niezadowoleniu gospodyni, kora przywitawszy się ze mną powiedziała:

— Nie mogę pojąć, co się dzisiaj z ludźmi dzieje. Oburzają się, że junkier Tomasz kazał postawić szubienice na rynku. Czegoś takiego jeszcze dotąd nie było i dobrze wiadomo, że ludzie bez narzekania wędrują aż do Wzgórza Szubienic, żeby przyglądać się egzekucjom. Co do mnie, jestem wesoła jak szczygieł, bo twój przyjaciel i brat Antti powrócił i zamieszkał u mnie. Chce założyć własną kuźnię w mieście i kto wie, może będzie z czasem puszkarzem na zamku i wielkim panem, bo zebrał wiele umiejętności w czasie podróży pp dalekich krajach. Byłoby jednak może lepiej dla ciebie, Mikaelu, gdybyś odtąd przychodził tylnymi drzwiami i siadał w kuchni, dotrzymując towarzystwa Anttiemu, bo mi wystraszasz gości spod „Trzech Koron”. W ostatnich czasach ludziska zrobili się bardzo dziwni.

Jej bezmyślne słowa bardzo mnie dotknęły. Ale' nie mogłem przecież oczekiwać czegoś innego od głupiej karczmarki, toteż odpowiedziałem spokojnie, że mogę równie dobrze napić się piwa w gospodzie, bo nie przystoi memu stanowisku trwonić czasu w miejscu o niedobrej sławie.

- Poszedłem więc do gospody, ale jej właściciel wcale się nie ucieszył na mój widok i natychmiast zaczął narzekać na złe czasy i marne zarobki. Pacholek zaś, który usługiwał przy stole, podał mi zwietrzałe piwo, wylewając na mnie pół dzbana, tak że miałem mnóstwo kłopotu z doprowadzeniem odzieży do porządku, żeby móc się pokazać biskupowi. Wycierając mi kolana fartuchem, gospodarz powiedział:

— Uczony panie Mikaelu, nie bierzcie za złe tych słów staremu człowiekowi, ale wielu odgraża się, że spuści wam tęgie lanie i wrzuci do rzeki. Toteż niechętnie widzę, jak przychodzicie tu zbyt często, bo będę miał mnóstwo przykrości, jak dojdzie do bójki i porozbijają mi okna i sprzęty z waszego powodu. Nie mam nic przeciwko temu, żeby podawać Jutom i Niemcom, którzy mają dużo pieniędzy i nie są skąpi. I żaden rozsądny człowiek nie może powiedzieć złego słowa, gdybym podejmował pieczoną gęsią samego junkra Tomasza, ponieważ jest on cudzoziemcem i zaprzedał się duszą i ciałem królowi. Ale ty, Mikaelu, urodziłeś się w naszym kochanym mieście i wyrosłeś wśród nas i jesteś z nazwy Finem, choć Bóg wie, skąd pochodził twój ojciec. I dlatego niektórzy nie mogą pojąć, dlaczego biegasz królowi na posyłki jak merdający ogonem pies, z wielką szkodą dla twego własnego kraju i wielu wspaniałych ludzi. Wybacz mi i nie żyw do mnie żadnej urazy, jeśli plotę bzdury, ale zrobiłem się już stary.

Nie od razu znalazłem właściwą odpowiedź i dopiero na schodach przyszło mi do głowy, co powinienem był mu odpowiedzieć, toteż wyszedłem z gospody mruczając pod nosem wiele mściwych słów. Dotknięty i rozgoryczony, minąłem kościół i Szpital Świętego Jerzego i zakolałem do drzwi biskupiego dworca, tak że aż się echo rozległo:1 Sługa, który mi



otworzył, błady był jak prześcieradło, a biskupowi, który przyjął mnie natychmiast ręce wciąż się jeszcze trzęsły ze strachu, gdy wszedłem do jego komnaty.

— Co ty sobie wyobrażasz?! — wykrzyknął z naganą. — Walisz do drzwi jak rozbójnik i wdierasz się do mego domu tak, że dostaję biegunki. Żyjemy w niedobrych czasach, kiedy nawet biskup nie jest pewny życia.

— Łaskawy panie Arvidzie — odparłem z godnością. — Każdy człowiek honoru i zwolennik Unii cieszy się pełnym bezpieczeństwem pod opieką naszego dobrego króla i tylko ci, którzy mają coś do ukrycia, widzą upiory w białych dziełach.

— Masz słuszość — przyznał biskup pośpiesznie. — Oczywiście, że nie mam nic do ukrywania. Siadaj, Mikaelu, mój drogi synu i opowiedz, jak ci poszło i w czym mogę ci pomóc.

Zaczął mnie wypytywać o wszystko i bardzo się przejął dowiedziawszy się o smutnym losie doktora Hemminga.

— Bogu dzięki, że nie miałem z nim nic do czynienia — powiedział. — Z doktorem Hemmingiem rozstaliśmy się w gniewie. Wcale nie czuję się powołany do oceniania królewskich postępów, ale w tym wypadku postąpił on słusznie, bo doktor Hemming był łajdakiem i patrzył tylko, skąd wiatr wieje. I jedynie Stwórcy w niebie-siech mam do zawdzięczenia, że uchronił mnie przed wplątaniem się w sieć jego intryg.

Opowiedziałem mu dalej, że czcigodny arcybiskup, trzech biskupów i ośmiu kanoników uczestniczyło w wyświęceniu mnie na księdza, podkreślając jednakże, że byłbym spokojniejszy, gdyby biskup Arvid potwierdził ten akt swoją łaską i dokonał go z przepisaniem kościelnym ceremoniałem w katedrze w Abo. Wyraziłem też nadzieję, że darząc mnie życzliwością i łaską zechce mi przyznać jakąś skromną prebendę, która by mi zabezpieczyła dalsze studia w Paryżu, gdyż nie miałem wielkiej ochoty pozostać w kraju rodzinnym. Ale biskup zakłopotany rzekł:

— To bardzo zawiły i trudny do rozwiązania problem teologiczny, który wprawdzie muszę przedyskutować z moimi kanonikami. Bo chociaż wyświęcenie dokonane przez arcybiskupa można porównać z dopuszczonym przez Kościół chrztem z wody, wolałbym jednak znaleźć jakiś odpowiedni prejudykat. Jest niezliczone mnóstwo uczonych wypowiedzi o chrzcie z wody i nie popadłbym też w zakłopotanie, gdybym był zmuszony ochrzcić dziecko piaskiem zamiast wodą albo też plując mu na ciemiączko; a gdy dziecko rodzi się w niewłaściwej pozycji można je ochrzcić, choć tylko tyłeczek wystaje z łona matki, ale w twoim wypadku nie widzę żadnego prejudykatu.

Z pewnym oburzeniem zapytałem, czy uważa się za mądrzejszego od arcybiskupa, ale pan Arvid bronił się:

— Pokaż mi pisemne zaświadczenie z pieczęcią arcybiskupa albo przynajmniej orzeczenie panów z kapituły i sprawa załatwiona. Ale tak, jak jest, mogę się oprzeć tylko na twoich słowach i choć jestem w pełni przekonany o twej uczciwości, ustne świadectwo nie wystarcza w tak złożonej teologicznej kwestii, która wprawiałyby w wielki kłopot nawet uczonych doktorów dostojnego uniwersytetu.

Nalegałem i nawet groziłem mu niełaską arcybiskupa, ale pozostał nieugięty. Zapewnił mnie o swej pełnej życzliwości i obiecywał wszystko załatwić, gdy tylko postaram się o nieodzowne papiery z Upsali. Nie miałem więc innego wyjścia, jak napisać pokornie do biskupa Slaghecka i prosić go, aby poparł mnie swoim wpływem. Udało mi się, wysłać ten list przed świętami Bożego Narodzenia, ale zaraz potem morze zamarzło tak, że miałem sporo czasu na wyczekiwanie na odpowiedź. Do zamku w Abo nie chciałem wrócić, aby służyć pod łaską junkra Tomasza, bo mówiąc szczerze, zacząłem się bać jego towarzystwa. Musiałem więc osiedlić się w moim dawnym i jedynym domu u pani Pirjo. Zaopiekowała się mną i chroniła mnie, bo znała moje dobre intencje, a ojciec Piotr też mnie nie opuścił w opałach, lecz odwiedzał często i pocieszał, opowiadając pouczające przypowieści o przemijaniu

ziemskiego szczęścia. Czasem — zgodnie ze swoim zwyczajem — zachodził także do domku pani Pirjo mistrz Wawrzyniec i popijając grzane wino z wytartego srebrnego pucharka, rozprawiał o nieśmiertelności i duchach. Oni dwaj byli moim jedynym towarzystwem, bo wszyscy inni ludzie i dawni znajomi unikali mnie jak złego powietrza i wynajdywali najrozmaitsze preteksty, żeby spotkawszy przypadkiem na ulicy minąć szybko bez przywitania. Trzech członków rady miejskiej powieszono bowiem na placu przed ratuszem, a mnie niewinnie posądzono, że przyczyniłem się do ich żalosnej śmierci. I kiedy lud szukał kozła ofiarnego, spojrzenia padły na mnie, który byłem dzieckiem nieprawego łoża, samotnym i bez protektora.

5

Nic dziwnego zatem, że w ciągu długiej zimy ogarnęła mnie głęboka melancholia i chętnie trzymałem się z dala od ludzi, nie czując braku ich towarzystwa. Gdybym był bezczelny i natrętny, z pewnością umiałbym zmusić radę, aby mi dała jakiś urząd połączony z dochodami. Ale ja nie chciałem ciągnąć korzyści za pomocą nikczemnego wymuszania, gdyż czułem się bardzo dotknięty ludzkim zachowaniem i niezdolnością zrozumienia moich dobrych intencji. Wmawiałem sobie, że może w czasie złych dni, które nadejdą, zwrócą się oni do mnie z biadaniem, by prosić o pomoc i łaskę, i myśl ta przynosiła mi pociechę. Jeszcze większą pociechę znajdowałem w książkach, bo zacny biskup dopuścił mnie do swojej biblioteki, by takim sposobem utrzymać mnie w dobrym nastroju. W celu przysposobienia się do świętego powołania, którego ani na chwilę nie straciłem z oczu, czytałem z należytą pokorą dzieła świętych ojców Kościoła i nawet „Summę”, świętego Tomasza z Akwinu, która dla mądrzejszych ode mnie była poważnym orzechem do zgryzienia.

Dni zaczęły stopniowo robić się dłuższe, zasy pył śniegu topniały i z wiosną rozeszły się niepokojące wieści, które botniccy narciarze i łowcy fok przynieśli ze szwedzkiego wybrzeża. Opowiadano, że młody i zapalczywy panek imieniem Gustaw Waza, którego ojciec został ścięty jako kacerz na rynku sztokholmskim wraz z innymi szwedzkimi panami i szlachtą, podniósł otwarty bunt w Dalekarlii i zebrał wokół siebie wielką rzeszę chłopów, którzy oburzeni z powodu ciężkich podatków, odmówili wydania broni królewskim wójtom. Chłopi ci pozabijali wielu wójtów i niewinnych poborców podatkowych i żaden Duńczyk nie może teraz bez zbrojnej eskorty podróżować między szwedzkimi miastami i zamkami.

Także i w południowej Finlandii, gdzie śnieg jeszcze się trzymał, zaczęli chybcy narciarze dokuczać poborcom podatkowym i atakować z łuków ciężko zbrojnych jeźdźców, dobrze wiedząc, że królewscy żołnierze nie mogą ich ścigać w leśnych kryjówkach. Narciarze ci rabowali na drogach wozy przewożące zebrane z podatków sumy pieniędzy, a raz w nocnych ciemnościach zamknęli sędzię ze switą w budynku sądu, zabili okna i drzwi i podpalili ich żywcem, tak że wszyscy oni zginęli w ten okropny sposób. I nikt nie wiedział, skąd ci szybko przychodzą lub gdzie znikają, a jeśli nawet ktoś wiedział albo się czegoś domyślał, nie śmiał nic powiedzieć, żeby mu nie poderżnięto gardła albo nie podłożono ognia pod węgiel chaty nocną porą. Toteż wszyscy zacni i poczciwi ludzie trzęśli się ze strachu i jednakowo bali się szybkich narciarzy z lasu jak jeźdźców junkra Tomasza, z których każdy miał na łęku siodła giętki stryczek.

Narciarze zapuszczali się aż do Abo, bo pewnego ranka ktoś przybił na drzwiach katedry ogłoszenie, w którym była mowa, że duński ucisk, gwałt i tyrania wnet się skończą i że ten, kto pomaga Duńczykom radą lub czynem, ryzykuje własnym gardłem. Też samej nocy kilku bezbożnych czeladników zbiegło od pracodawców i znikło z Abo, a synowie paru mieszczan poszli w ich ślady mimo ostrzeżeń i łez rodziców. Innej znów nocy zakłuto w mieście dwóch niemieckich knechtów, a ślady krwi prowadziły prosto do rzeki. Tak więc

wszyscy żyli tej wiosny z tajemnym niepokojem i oczekiwaniem w sercu. I gdy się rozmawiało z ludźmi i patrzyło im w oczy, było to tak, jak gdyby się grzebało w wygasłym popiele, aby odkopać ukryty żar. I jasno zdawałem sobie sprawę, że wszystko to może przynieść krajowi tylko żalobę i nędzę, i zniszczenie.

Dopiero w lecie doczekałem się listu od biskupa Slaghecka. Pisał w ogromnym pośpiechu, że niestety nie może mi pomóc, ponieważ arcybiskup Gustaw to człowiek szalony, z którym nikt rozsądny nie potrafi dojść do ładu, i Slagheck nie dziwi się już, że szwedzcy panowie jak jeden mąż pozbawili ongiś arcybiskupa jego świętej godności. Arcybiskup wszedł bowiem teraz w przymierze z biskupem Jensem przeciw mistrzowi Slagheckowi i nie zwracając najmniejszej uwagi na jego rady i przestrogi chciał nadal grać pierwsze skrzypce w Szwecji.

Ale już ktoś inny zaczął się wybijać w szwedzkich prowincjach — pisał Slagheck — a był to ten bezbożny pan Gustaw, który do tego stopnia rozbawił lud, że mistrz Slagheck był zmuszony zamienić infułę na miecz i wyruszyć przeciw niemu na czele wojska, co znów skończyło się wielkim laniem i żalosną klęską. Klęska ta nie spotkała jednak wspomnianego dopiero co pana Gustawa, lecz samego mistrza Slaghecka, który ledwie umknął przed strzałami i oszczepami rozwścieczonych chłopów. Nie trzeba naturalnie opowiadać o tym nikomu w Finlandii i mistrz Slagheck porusza tę sprawę tylko po to, żebym w chrześcijańskiej pokorze zrozumiał, że ma on doprawdy o czym innym do myślenia niż o mojej sukience duchowej. A zresztą jeśli nie potrafię sam sobie poradzić, muszę o to winić własną głupotę, on bowiem nie zamierza ciągnąć mnie za włosy na wyższe stanowiska, jeśli brak mi konceptu, jak to zrobić samemu. „Tuszę jednak — kończył się list — że jeśli nie jesteś jeszcze głupszy, niż myślałem, powinieneś być zdążyć zebrać śmietankę z miski mleka, którą postawiłem przed tobą zeszej zimy, i być teraz zamożnym człowiekiem. Toteż poprzestaję na przesłaniu ci mego błogosławieństwa i życzeń powodzenia we wszystkim, do czego się weźmiesz”.

Gdy przeczytałem te słowa, łuski opadły mi z oczu i odczułem taką samą pustkę wewnętrzną jak wówczas, gdy Julien d'Avril otrząsnął pył ze swoich stóp i wyruszył, aby nawracać Turków, a ja zostałem z jego listem pożegnalnym w małej gospodzie na przedmieściach Paryża. I nie mogłem zupełnie zrozumieć, co mistrz Slagheck miał na myśli, mówiąc o „śmietance”, i chętnie bym go teraz zmusił do wylizania całej tej śmietanki, którą karmiono mnie owej zimy w mieście Abo. Bo niczego innego, jak szyderstwa, drwin i niechęci doprawdy nie zaznałem, i to zarówno od mieszczan, jak i od sług Kościoła.

6

Pogrążonego w tych ponurych myślach zastał mnie Antti, gdy przyszedł wieczorem w odwiedzin. Zdjął czapkę z głowy bez słowa przywitania, siadł w kącie, podparł brodę rękami i ciężko westchnął. Odpowiedziałem też ciężkim westchnieniem, żeby mu pokazać, że mam własne troski, ale gdyśmy już tak przez parę chwil powzdychali, rozżłościłem się i zapytałem z gniewem, dlaczego mi przeszkadza, co mu się stało i czy przypadkiem się nie upił.

— Nie sądź mnie tak surowo, Mikaelu — odparł Antti — bo mam pętlę ha szyi i nie wiem, co począć. Jesteś mądrzejszy i bardziej uczony ode mnie i musisz mi poradzić, jak się z tego wyplątać. Przez całą zimę opiekowała się mną wdowa spod „Trzech Koron” i jeśli chodzi o to, nie mam powodów do narzekania. Ale teraz przyparła mnie do muru i chce, żebym się z nią żenił. Grozi, że się odwoła do biskupa, i twierdzi, że nadużyłem jej wdowiego stanu i kobiecej łatwowierności fałszywymi obietnicami.

Wysłuchałem go ze zdumieniem i serdecznie mu pogratulowałem, mówiąc:

— Szczęśliwiec z ciebie, Antti, bo „Trzy Korony” to najlepszy szynk w Abo, a wdowa zbiera złoto garściami. Jest też doświadczona w zawodzie, a przy tym to niewiasta niebrzydka i

wygadana i jeśli nawet nie uważa zbyt na swoją cnotę, to przecież twoją rzeczą będzie jej pilnować.

Antti odparł:

— Ach, gdyby to chodziło tylko o wikt, nie skarżyłbym się, bo mnie karmi, jak należy. Ale małżeństwa boję się, bo jestem jeszcze młody, ona zaś ma dwa razy tyle lat co ja. Toteż czuję się, jak gdyby chciała mnie siłą zaprowadzić do ołtarza. W dodatku na wiosnę zawsze ziemia pali mi się pod stopami, bo przywykłem ruszać w świat i uczyć się zawodu. I nie mogę tu już teraz dłużej wysiedzieć, choć wciąż — rano, wieczór, a szczególnie przy posiłkach — sobie wmawiam, że dobrze jest żyć między bliskimi i znajomymi, którzy mówią chrześcijańskim językiem.

Jego narzekania i wzdychania dały mi do myślenia i po głębokim zastanowieniu powiedziałem:

— To jasne, że gwiazdy związały nasze losy, Antti, bo i ja również mam ostatnio takie uczucie, jakbym siedział bez portek na mrowisku. Zrodziły się we mnie bowiem poważne wątpliwości co do dobrych intencji króla Chrystiana, bo wszyscy uczciwi ludzie mówią o nim źle i nazywają go tyranem, a w każdym razie płaci on kiepsko. Toteż i ja chętnie bym już stąd wyjechał, gdyby nie to, że trudno podróżować będąc biedakiem, a nie wiem, jak sobie nabić kiesę.

Antti spojrział na mnie badawczo i rzekł:

— Wczoraj wieczorem przyszedł pod „Trzy Korony” jakiś obcy i gdy dowiedział się, że jestem biegłym puszkarzem, zaczął mnie namawiać do bardzo przyjemnego zajęcia. Jeśli się nie mylę, był to jeden z ludzi Nilsa z Grabbacki, a rzemiosło, o którym mówił, to zawód kapra, w którym człowiek sprytny szybko może się wzbogacić.

- Antti Antti — przestrzegałem go — mówisz rzeczy okropne i bezbożne. Nie jesteś stworzony na żeglarza, a junkier Tomasz poprzysiągł, że powiesi Nilsa z Grabbacki na maszcie „Księcia Finlandii”. Ten Nils to poza wszystkim człowiek krwiożerczy, który spalił już wielu niewinnych knechtów junkra Tomasza i nawet kościoły plądrował.

— Ale on przyjmuje tylko młodych i nieżonatych mężczyzn —

odparł smętnie Antti — a to przemawia na jego korzyść. Przybysz, który zjawił się pod „Trzema Koronami”, nie mógł się dość nachwalić jego obrotności i chytryści. Nils z Grabbacki głosi, że obrabowuje Duńczyków w imię Boga i ojczyzny, i wszystkich uczciwych ludzi. A na groźby junkra Tomasza odpowiada, że jeśli jeszcze jest na świecie sprawiedliwość i bojaźń boża, junkier Tomasz zawiśnie rychło na szubienicy. Pośród korsarzy nie brak żaków i synów mieszczańskich i na równi z innymi wielkimi wodzami pan Nils potrzebuje okrętowego kapelana, który by umiał pisać po łacinie i przed powieszeniem udzielać sakramentów niemieckim i duńskim jeńcom, co dowodzi, że jest to człowiek pobożny i wcale nie żaden poganin.

— Daleki jestem od myśli choćby o takich sprawach — wykrzyknąłem — i wielce się obawiam, że nie nadawałbym się na księdza dla pana Nilsa, lecz byłbym raczej kapelanem diabła, gdybym poszedł na tę służbę. Poza tym kazałby mnie natychmiast powiesić, bo był on jednym z dawnych towarzyszy od kielicha Nilsa Eskilssona z Raseborga i przysiągł pomścić jego śmierć.

Antti podniósł się i upewniwszy się, że nikt nie podsłuchuje nas pod drzwiami, spojrział na mnie przeciągle i rzekł:

— Może nigdy go nawet nie zobaczysz na oczy, bo pan Nils potrzebuje także ludzi niewidzialnych i gotów jest płacić bitym srebrem, jeśli nie zechcą mu służyć z samej tylko nienawiści do Duńczyków. Pragnie on między innymi wiedzieć, jakie statki odpływają z Abo, jaki wiozą ładunek i jak są uzbrojone. Chciałby dalej mieć wiadomości o podróżach poborców podatkowych — kiedy wyjeżdżają z miasta i kiedy wracają oraz wszelkie inne rzeczy, które mogą się przydać kaprowi. Prosty jestem człowiek i niewiele z tego wszystkiego

rozumiem, ale mój wczorajszy kompan pokazał mi głęboką szparę w murze katedry naprzeciwko święto j erskiego szpitala. I gdyby ktoś śmiały od czasu do czasu wetknął w te szparę pismo, znalazłby może na tym samym miejscu złote i srebrne jajka jako zapłatę. Ja jednak jestem nieuczony i nie umiem pisać, dlatego ucieknę do lasu, żeby uniknąć małżeństwa z szynkarką.

— Pan Bóg i wszyscy święci niech cię mają w swej opiece, Antti! — wykrzyknąłem. — Namawiasz mnie do okropnej zdrady. Na samą myśl o tym już czuję na szyi stryczek.

Antti odparł spokojnie:

— Najlepiej, żebyś się przeniósł na zamek i przyjął służbę u junkra Tomasza, jeśli nie chcesz iść ze mną do lasu. Inaczej szybko dostaniesz nożem między żebra, bo Nils z Grabbacki podobno bardzo się rozsierdził z powodu nędznej śmierci swego kompana od kielicha. Ale nawet mieszkając na zamku, będziesz miał z pewnością wiele spraw do załatwienia w katedrze i w dworcu biskupim, a po drodze możesz zbadać ową szparę w murze kościelnym. I nie potrzebujesz się bać nikogo, bo tylko ja jeden wiem o całej sprawie i nikt nie ma pojęcia, że to ty możesz pisać te listy.

Nie zwraca? już uwagi na moje przestrogi i dobre rady, lecz tejże samej nocy zbiegł z miasta, ku wielkiemu zmartwieniu wdowy spod „Trzech Koron”. Ale mówił prawdę, bo już następnego wieczoru ciężko mnie pobito, gdy wracałem z niesporów, tak że uznałem za najlepsze wrócić do junkra Tomasza narzekając, że w mieście nie jestem' już pewny życia. On zaś przyjął mnie życzliwie, bo sprzykrzył mu się już nowy sekretarz, prosty szwedzki szkolarz, który nie ukrywał niechęci do Duńczyków. Do mnie zaś miał junkier Tomasz pełne zaufanie i odsłaniał przede mną wszystkie swoje plany, mówiąc gorzko, że Finowie to naród hardy i niedobry, gdyż każdą świńską tuczę i każdy worek kaszy trzeba im zabierać siłą pod groźbą mieczów i pik. I dodał, że naród fiński nadaje się tylko na żer dla kruków.

Czas dłużył mi się na zamku bez towarzystwa i aby go jakoś spędzić, sporządziłem dokładny spis statków, które odpływały z Abo, zapisałem ich ładunki, uzbrojenie i inne potrzebne szczegóły, zanotowałem nazwiska szyprów i liczbę członków załogi i nadmieniałem o odsiecz, którą junkier Tomasz zamierzał posłać zagrożonemu przez korsarzy Raseborgowi. Idąc do biblioteki biskupa, aby wypożyczyć stamtąd komentarze do pism świętego Tomasza z Akwinu, wetknąłem spis w szparę w murze naprzeciw ściany szpitala. I nie wiem, czy wszystko to było moją zasługą, ale koło Wysp Alandzkich złapano i zatopiono wiele stateczków z żywnością dla Sztokholmu. Szwedzka prowincja nie mogła już bowiem wyżywić stolicy i junkier Tomasz z wielkim trudem zbierał żywność w doszczętnie splądrowanych okolicach Abo.

Gdy w jakiś czas później odnosiłem komentarze do domu biskupa, zatrzymałem się przy murze kościelnym, żeby załatwić potrzebę, i równocześnie wetknąłem rękę w szparę w murze. Na dnie leżał miękki i ciężki mieszek, który z radością schowałem do kieszeni kaftana. I gdy, spiesznie udawszy się do domku pani Pirjo, policzyłem pieniądze, okazało się, że mieszek zawierał wielkie i małe srebrne monety, grosze ze Sztokholmu i Abo, kilka guldenów z Lubeki i jednego błyszczącego dukata. Wtedy znowu poczułem się zamożny, bo pieniędzy tych starczyło na kilkumiesięczną wędrowkę. Dla bezpieczeństwa zakopałem je pod płaskim kamieniem przy gruszy w ogródku pani Pirjo.

Nastrój mój nagle się odmienił, jak to bywa, gdy słońce wyjdzie zza chmur i niebo zrobi się błękitne po długim deszczu. Powiedziałem sobie, że życie jest jak gra w kości, w której można wygrać jedynie wtedy, gdy się gra fałszywymi kośćmi, strzegąc się tylko, by nie zostać przyłapanym na gorącym uczynku.

Król Chrystian i mistrz Slagheck brali mnie za durnia, bo byłem łatwowierny i naiwny, i postawili mnie w przykrym położeniu, które przyniosło mi tylko zmartwienie i udręki. Toteż nie uważałem, żebym był im winny jakąś wdzięczność. A jeszcze mniej zawdzięczałem junkrowi Tomaszowi, człowiekowi okrutnemu, o brutalnych obyczajach. Dotychczas byłem

jak jagnię wśród wilków i nieraz mnie strzygli pod wielu fałszywymi pozorami, teraz jednak postanowiłem stać się wilkiem w owczej skórze. W Abo i tak nie mogłem pozostać, bo bardziej mnie tam nienawidzono niż Duńczyków, najlepiej więc było zebrać, co się da, póki czas.

Toteż niejeden jeszcze raz udawałem się tego lata do miasta i nikt mi nie przeszkadzał wsadzać od czasu do czasu ręki do szpary w murze kościelnym. Niebawem dziwne ptaki zaczęły latać z Abo do wszystkich kryjówek na morzu i na pustkowiach i ptaki te w jakiś czas później wracały by znosić złote i srebrne jaja w szczelinie muru. Statki ze Sztokholmu przywoziły równocześnie ponure wieści. Mówiono, że chłopskie hufce pana Gustawa podchodzą już pod Sztokholm i zamknęły miasto w żelaznym pierścieniu, i że z królewskich zamków i warownych miast ucieka ludność — bez względu na stan — aby zaciągać się pod sztandary pana Gustawa. Szwedzi wybrali go sobie na regenta, on zaś werbuje za pieniądze Lubeczan niemieckich najemników, żeby stworzyć mocny kościec dla swego wojska. Junkier Tomasz nie mógł się nadziwić śmiałości fińskich kaprów oraz temu, jak dobrze wiedzieli oni o jego planach. Statki duńskie musiały teraz żeglować do Sztokholmu pod osłoną okrętów wojennych, co powodowało wiele niepotrzebnej zwłoki. Toteż junkier Tomasz stał się bardzo podejrzliwy i mówił, że ten wstrętny fiński kraj pełen jest zdrady i, że zdrajcy prowadzą widocznie swoją grę także wewnątrz murów zamkowych, gdyż bezbożni korsarze i złoczyńcy umieją zgadywać nawet najtajniejsze jego zamiary.

Pierwotnie miałem zamiar otrząsnąć prochy miasta Abo z moich stóp z nadejściem jesieni i wyjechać do obcych krajów, pozwalając innym załatwić między sobą wszystkie spory w mej niespokojnej ojczyźnie, gdyż sam byłem człowiekiem ducha i gęsie pióro było jedyną moją bronią. Zwlekałem jednak z podróżą do Paryża, bo człowiekowi zawsze trudno wyrwać się z domu i iść na niepewne. Ponadto rozeszły się słuchy, że król Francji zbroi się do wojny z cesarzem, i nie chciałem wpaść z deszczu pod rynnę i zamienić swojską kłótnię na obcy spór. Tak więc jeszcze w listopadzie siedziałem w zamku w Abo, gdy wojska pana Gustawa wysiadły na ląd i połączyły się ze zbrojnymi watahami Nilsa z Grabbacki.

## CZEŚĆ PIĄTA BARBARA

1

O oblężeniu Abo niedużo mam do powiedzenia, bo nie przyniosło ono sławy żadnej ze stron. Oblęgający nie mieli porządnych dział i przeważnie siedzieli po domach mieszczan, pijąc piwo, podczas gdy ci, którzy wbrew swej woli znaleźli się zamknięci w zamku, też leniuchowali w arsenale, kłócili się i popijali.

Zacny biskup Arvid odłonił wreszcie prawdziwe oblicze i oddał oblegającym własnych trabantów i proce z biskupiego dworca oraz konie, proch i ołów, a także żywność, bo zwolennicy pana Gustawa byli to biedacy, którzy cierpieli wielki brak dóbr tego świata. Toteż ogromnie byli radzi, gdy mogli wygrzewać się po domach i sjać tym, co junkier Tomasz zostawił jeszcze mieszkańcom miasta. Zrazu, gdy wojsko pana Gustawa weszło do miasta, mieszczanie witali je ze łzami radości, dzwonili w dzwony katedry i śpiewali hymny dziękczynne Bogu. Ale nim jeszcze nadeszły święta Bożego Narodzenia, zaczęli smętnie wzdychać i zastanawiać się, czy nie lepiej było żywić nieliczne stado wilków junkra Tomasza niż mnóstwo żarłocznych szczurów pana Gustawa.

Nietrudno było nam dowiedzieć się o uzbrojeniu, duchu i sile oblegających, bo jedynym celem wycieczek było złapanie od czasu do czasu jakiegoś języka. Junkier Tomasz witał

wszystkich jeńców z jednakim zadowoleniem i wydusiwszy z nich, co wiedzieli, .wieszał ich potem na murach, nie bacząc na stan i pochodzenie.

Mimo to na zamku nie było świątecznego nastroju i junkier Tomasz napotykał tylko ponure Myny i odwrócone oczy. Toteż zasepił się i narzekał, że Bóg pokarał go za grzechy, posyłając do tego ciemnego i niewdzięcznego kraju. Był jednak tęgim dowódcą, choć może trochę brutalnym w postępowaniu. W porę, jeszcze nim morze zamarzło przy brzegu, odesłał okręty wojenne i inne statki do królewskiego admirała, Seweryna Norby, aby nie wpadły w ręce wroga. Obiecał też utrzymać twierdzę w Abo aż do wiosny i w nagrodę za to dostał od króla już w styczniu obietnicę rychłej odsieczy. Król rozgniewany rebelią kazał też natychmiast powiesić wszystkich Szwedów i Finów znajdujących się w zamku, zawiadamiając, że taki sam rozkaz otrzymali wszyscy jego kapitanowie w całej Szwecji.

Junkier Tomasz ucieszył się wielce z tego rozkazu i wynosił pod niebiosa króla Chrystiana, mówiąc, że już mu się uprzykrzyło oglądanie dokoła siebie kwaśnych min i że jedynym jego zmartwieniem jest, czy starczy szubienic. Tak był niecierpliwy, że tylko dzięki modlitwie i czuwaniu mógł doczekać się następnego dnia, kiedy cieśle zaczęli pracować, i tegoż dnia powiesił wszystkich Szwedów i Finów stosownie do królewskiego rozkazu. Niektórych z nich żałowałem, ale najbardziej truchlałem o własną skórę, pewny, że i mnie spotka taki sam los. Byłem z pochodzenia Finem i gdy już wszyscy zawisli na murach w braterskiej zgodzie, a ciała nie zdążyły jeszcze ostygnąć, przejął mnie taki ból, że sam poszedłem do junkra Tomasza i kornie zapytałem, kiedy kolej na mnie.

Moje pytanie zaskoczyło go, ale po chwili namysłu, w czasie której przyglądał się bacznie mojemu karkowi, junkier Tomasz przeżegnał się pobożnie i odparł:

— Taka okropna i bezbożna myśl nie powstała mi nawet w głowie, Mikaelu. Nie mogę ciebie powiesić, bo jesteś duchownym i sam arcybiskup wyświęcił cię przez nałożenie rąk. Jako człowiek wierzący mam szacunek dla sakramentów, choć kupiłem sobie dyspensę od dni postu z powodu słabego zdrowia. Niech mnie Bóg broni, żebym miał podnieść rękę na duchownego, jakkolwiek nie nosisz sukienki.

2

Zima była łagodna i wiosna przyszła wcześniej. Morze zrzuciło lodowe okowy i nie minęło wielu dni, jak flota admirała Norby przy pomyślnym wietrze zawinęła do ujścia rzeki. Ludzie pana Gustawa uciekali tak szybko, że w dworcu biskupim zastałem na stole nie do-jedzoną miskę zupy. Nie dużo więcej można było znaleźć w całym Abo, bo pan Nils przechowywał prochy w kamiennym domu na północnym brzegu rzeki i w popłochu kazał wysadzić je w powietrze, powodując tym pożar, który strawił większą część miasta. Katedra, klasztor i inne 'domy kamienne, jak dworzec biskupi i szpital, ocalały wprawdzie, ale nawet sprawne w ołów szybki okienne rozleciały się w proch przy wybuchu. Zaczny biskup i mieszcianie zdążyli jednakże na długo przedtem wywieźć z miasta swoje mienie i pożar zniszczył głównie puste i splądrowane domy. A admirał Norby i junkier Tomasz byli tym bardzo rozdrażnieni i wyrażali się z przekąsem o sztuce wojennej pana Nilsa.

Jeden z pierwszych pobiegłem do miasta, w czasie gdy pożar jeszcze szalał, i zboczywszy tylko na chwilę do biskupiego dworca, gdzie już nie było nic do ratowania, pospieszyłem do chaty pani Pirjo, żeby w razie potrzeby bronić jej przed plądrującymi. Chata stała na swoim miejscu, ale okna były wybite, a drzwi wyrwane. I gdy wszedłem do środka, zobaczyłem od razu, że wszystkie sprzęty, które były coś warte, zabrano, resztę zaś porozbijano. Na podłodze leżał na słomie Antti blady, pobity i tak słaby, że z trudem tylko mógł unieść głowę. Przy nim siedziała gospodyni spod „Trzech Koron” z rozpostartymi spódnicami, a z oczu lały jej się łzy jak z rynny.

— Niech cię Bóg błogosławi, Mikaelu, żeś przyszedł — wyszłochała na mój widok. — Mój szynk stoi w płomieniach i z trudem udało mi się przenieść twego brata tutaj, bo wiedziałam, że nadejdiesz i że jesteś jego jedyną nadzieją. Mnie bowiem nic nie grozi; jestem szynkarką i prowadzę uczciwy interes, a poza tym ukryłam dwie beczki mocnego piwa i baryłkę wódki w kupie gnoju z myślą o złych czasach.

Na ulicy rozległy się ciężkie stapania i łomotania. Nie widząc w pośpiechu innej rady, szybko wyjąłem przybory do pisania i spryskałem twarz Anttiego czarnym tuszem. I gdy w chwilę potem wpadli do izby żołnierze, powstrzymałem ich mówiąc:

— Tutaj umiera chory .na ospę i sami widzicie, że nie ma tu nic do zabrania.

Szybko się wycofali, robiąc znak krzyża, bo Antti, spryskany tuszem, robił ze strachu okrutne grymasy i wyglądał naprawdę strasznie. A gdy odeszli, zwróciłem się do niego i zapytałem:

.— Co ci się stało i gdzie jest pani Pirjo? Dlaczegoś tu został? Chcesz, żeby cię powiesili na szubienicy, ty głupcze!? Twoi przyjaciele mogli ci chyba dopomóc, jeśli jesteś chory, a przynajmniej trzeba się było schronić do kościoła albo do klasztoru i szukać azylu przy ołtarzu.

Na co Antti odparł ze smutkiem:

— Nie mam już przyjaciół i towarzyszy na tym podłym świecie prócz ciebie, Mikaelu, i tej zacnej wdowy, która przyczepiła się do mnie jak rzep do psiego ogona i nie chce się odczepić, choć ją o to błagani. Wiedz, że pokłóciłem się z moimi towarzyszami i z mieszczanami, i to oni mnie tak okropnie zbili, że ledwie zipię.

Zwymyślałem go, że nie umie nawet wyżyć w zgodzie z towarzyszami i że pewnie się znowu upił i wszczął bójkę, na co on odparł z rozgoryczeniem:

— Żebym przynajmniej był pijany, biłbym się z ochotą, bo na trzeźwo jestem łagodny jak baranek. Ale doprawdy omal mnie nie zabili, gdy próbowałem obronić twoją złą matkę, panią Pirjo. Biedaczka nie żyje.

Szynkarka spod „Trzech Koron” wytarła głośno nos i zapewniła mnie, że Antti mówi prawdę. A gdy wstrząśnięty żalobną wieścią nie mogłem wydobyć słowa, opowiedziała żywo, że mieszczanie przed paru dniami wpadli na pomysł, żeby obwinie panią Pirjo o czary. Z pomocą rozbestwionych żołdaków wrzucili ją z mostu do rzeki, a gdy dzięki szerokim spódnicom bez trudu wypłynęła z powrotem na ląd, jak prawdziwa wiedźma, ukamienowali ją na śmierć i zwłoki w starej beczce wrzucili do morza, żeby prąd zabrał je jak najdalej.

— Oskarżyli ją, że wydała na świat taki diabelski pomiot, jakim ty jesteś, i że żywiła cię w swojej chacie •—• ciągnęła szynkarka. — Zemścili się na niej, gdy nie udało im się złapać ciebie, a pierwsi rzucili w nią kamieniem Szymon Cynownik i Gustaw Odlewacz Świec. A gdy Antti usłyszał, co się dzieje, runął na nich jak rozwścieczony byk — mimo moich próśb i ostrzeżeń — gołą pięścią rozbił czaszkę jednemu, a drugiego wrzucił do rzeki, gdzie ten utonął jak szczur, nie umiejąc pływać. Także wielu innych poturbował i strącił do rzeki, zanim udało im się go poskromić. I pewnie by mu odrąbali głowę, gdybym nie przysłała na pomoc i nie wykupiła go za piwo i bite srebro.

A Antti dorzucił:

— Nie bierz sobie tego zbytnio do serca, Mikaelu. Pani Pirjo prosiła przed śmiercią, żebyś jej nie opłakiwał, bo niceś temu nie winien. I mówiła, że zawsze cię kochała jak własnego syna i życzyła ci-wszystkiego najlepszego, co jeszcze bardziej rozwścieczało jej dręczycieli. Wcale nie była smutna, że musi umrzeć, raczej do ostatniego tchnienia harda i surowa. I krzyczała do tych, co ją kamienowali, że niedługo będą smażyć się w piekle. Biskup stał na moście, ale nawet nie kiwnął palcem, żeby jej pomóc, a ona wołała do niego, że nie dożyje lata.

To okropne opowiadanie tak mnie przejęło, że kolana ugięły się pode mną z wielkiej rozpaczy i osunąłem się na podłogę. Bo chociaż pani Pirjo niewątpliwie była czarownicą, czego dowodem było choćby to, że dopłynęła do brzegu, jako że czarownice są lżejsze od wody, to



jednak nie zasłużyła sobie na tak żalony los. Gdy pomyślałem o tym, znenawidziłem całe Abo i wszystkich jego mieszkańców i wmawiałem sobie, że sami oni ścignęli przekleństwo na swoje głowy, kamienując bezbronną staruszkę, która nie zrobiła nikomu nic złego. I moją jedyną pociechą było, że pani Pirjo okazała się silna w nienawiści, bo w kilka dni później pół miasta uległo zniszczeniu skutkiem pożaru, a nie sądziłem też, by i biskup Arvid potrafił ująć przekleństwu, choć uciekł z miasta.

Ale czas naglił, bo wiatr zmienił kierunek, i gdy wyjrzałem przez drzwi, zobaczyłem kłęby dymu i snopy iskier, a na ulicy mnóstwo szczurów, które uciekały z płonących domów. Nie mieliśmy chwili do stracenia, jeśli życie nam było miłe.

Bóg wszechmogący miał jednak Anttiego w swej opiece, bo nagle z kłębow dymu wychynał jakiś silnie poparzony i jęczący żołnierz duński, zerwał z głowy rozpalony hełm i rzucił go na ziemię. Zabłądził między chałupami z żądy rabunku i bardzo łatwo mi przyszło wyróżnić go w głowę drągiem. I sądzę, że uwalniając go od mąk, uczyniłem rzecz miłą Bogu. Następnie zdjąłem z niego szybko pancerz i wraz z hełmem włożyłem na Anttiego oraz przybrałem go w duńskie barwy i przypasałem mu miecz do boku. Z wielkim trudem udało nam się z wdową wyprowadzić Anttiego na brzeg rzeki i ułożyć w łódce. Przeprawiliśmy się przez rzekę do klasztoru, gdzie ojciec Piotr ukrył Anttiego w spiżarni klasztornej między beczkami, garncami i tuczami bydła. Po czym padliśmy sobie z ojcem Piotrem w objęcia i opłakiwaliśmy wspólnie los pani Pirjo, on zaś przeklinał okrutnego biskupa, który bez słowa pozwolił tłumowi ją ukamienować. Opowiedział mi też, że biskup uciekł z Abo do Raumo, gdzie czekał nań naładowany najrozmaitszym bogactwem statek, którym zamierzał przedostać się do Szwecji i oddać pod opiekę pana Gustawa.

Na wieść o tym pospieszyłem do miasta i zgłosiłem się u admirała Norby. Zostałem go, jak siedział na kamieniu grobowym przed drzwiami katedry, podczas gdy jego żołnierze usiłowali wywabić zbiegów z kościoła. Był to pan wesoly i żartobliwy i gdy opowiedziałem mu o statku biskupa naładowanym złotem i srebrem i czekającym w porcie Raumo, wielce się tą nowiną ucieszył i zaraz zapowiedział, że zada biskupowi tęgiego bobu. Ale jak się później okazało, biskupa dosięgła zza grobu klątwa pani Pirjo. W czasie przeprawy do Szwecji gwałtowna burza zatopiła statk<sup>^\*</sup> wraz z nim i wszystkim, co było na pokładzie. Śmierć pani Pirjo ogromnie mnie przygnębiła i pozbawiła wrodzonej pogody oraz wywołała we mnie przekonanie, że przynoszę tylko wszystkim nieszczęście. Ale chęć uratowania Anttiego uchroniła mnie od popadnięcia w apatię. Admirał Norby okazał się wielce łaskawy i prosił, żebym napisał w jego imieniu list do pani Krystyny, która wraz z wielu innymi dostojnymi damami szwedzkimi przebywała teraz w Danii jako więzień króla. W liście tym admirał wyznawał, że wielce go oczarowała piękna i dumna wdowa, w której żyłach płynie najszlachetniejsza krew szwedzka. Pragnie on więc zrobić, co w jego mocy, żeby przewyciężyła żalobę i zaczęła znowu myśleć o życiu światowym.

List napisany przeze mnie spodobał się admirałowi i kiedy odebrał go z moich rąk, spojrzał na mnie życzliwie i zapytał:

— Dlaczego jesteś taki ponury, młodzieńcze? Idź na morze, a zaraz cię uleczy z twoich trosk sercowych!

Jego życzliwość wielce mnie wzruszyła. Rozpłakałem się i przez łzy odparłem:

— Całą zimę żyłem w smrodzie rozkładających się zwłok wisielców, a moją jedyną muzyką było krakanie kruków. Moją ukochaną przybraną matkę ukamienowano jako wiedźmę. Jedynym moim pragnieniem jest teraz udać się z pielgrzymką do Ziemi Świętej i błagać o darowanie grzechów, potem zaś zostać mnichem albo pustelnikiem.

A na to admirał:

— Każdy ma swój rozum i nie chcę cię od niczego odwodzić, ale jesteś jeszcze młody i niezbyt nadajesz się na świętego. Toteż myślę, że tęga pijatyka zrobiłaby ci doskonale.

Ale gdy mu opowiedziałem o losie pani Pirjo, pokiwał głową ze zrozumieniem i powiedział:

— Czary są często pożyteczne i potrzebne i żaden rozsądny żeglarz nie może się obejść bez pomocy czarownic. Ja sam mam wielu mądrych żeglarzy, którzy umieją wywołać burzę, gwizdząc i drapiąc paznokciami w obsadę masztu, gdyż nie boją się burzy i przekładam wicher nad ciszę morską. Ale gdy zdarzy się nieszczęście, ludzie zwykli zwałać winę na czary.

Widząc, że admirał jest dla mnie życzliwy, powiedziałem pokornie.

— Mam przybranego brata, poczciwego i pracowitego, choć bardzo głupiego młokosa. Służył on panu Nilsowi jako pacholek puszkarzski, ale pokłócił się z towarzyszami i został ciężko ranny, broniąc mojej matki. Weźcie go na służbę, panie, i uratujcie mu życie, bo gdy odpłyniecie z Abo, junkier Tomasz z pewnością każe go obwiesić.

Admirał zastanowił się przez chwilę i odparł:

— Znalazłbym może istotnie użytek dla śmiałka, który nie trzęsie się o własną skórę. Bo ci chytry kramarze z Lubeki przygotowują wojnę i kilka ich okrętów wojennych już wyszło na morze. Moi zaś wywiadowcy w Lubece są albo zupełnie do niczego, albo pijani, albo też już ich połamano kołem i powieszono, bo nie otrzymuje stamtąd żadnych wiadomości. Jeśli więc chcesz mi w tym pójść na rękę, chętnie przyjmę cię do służby, a twój przybrany brat może ci towarzyszyć, jeśli rozumie się na działach i okrętach wojennych, bo przypuszczam, że ty nie znasz się na tym więcej niż świnia na cynowych łyżkach.

— W jakim sposobie dostanę się do Lubeki? — zapytałem. — I czy wolno mi będzie po spełnieniu zadania wziąć bez przeszkód kostur pielgrzyma i wyruszyć do Ziemi Świętej?

Roześmiał się i odrzekł:

— Podobasz mi się, Mikaelu, bo się dużo nie zastanawiasz. Zapewniam cię, że jeśli chodzi o mnie, jesteś wolny jak ptak na niebie i możesz sobie iść, dokąd ci się podoba, choćbym otrzymał tylko taką wiadomość, że świnia oprosiła się i ma osiemnaścioro prosiąt. W ten sposób bowiem zawiadomiłbyś mnie, że flota lubecka wyszła na morze w sile osiemnastu okrętów. Bez takich wiadomości jestem ciemny jak tabaka w rogu.

Polecił mi szukać w szynkach portowych w Lubece mężczyzny z zajęczą wargą i tylko trzema palcami u prawej ręki. Z nim mogę z pełnym zaufaniem załatwiać wszystko, co ma związek z handlem wieprzami, jeśli zaś już go powieszono, mam przekupić jakiegoś rybaka, żeby udał się na Gotlandię sprzedać wieprzki. Rybacy bowiem i inna biedota z Lubeki i okolic wrogo odnosili się do pyszałkowej rady miejskiej, nie powinienem więc mieć trudności ze znalezieniem posłańca. W taki to sposób pan Norby wziął nas na pokład swego admirałskiego okrętu, gdy znowu wyruszył na otwarte morze, aby zniszczyć flotę Lubeki, gdziekolwiek ją spotka. Zanim odpłynęliśmy, poszedłem jeszcze na miejsce, gdzie stała przedtem chata pani Pirjo, i pod osmaloną pożarem gruszą wygrzebałem moje pieniądze z kryjówek pod płaskim kamieniem. Przeszukałem też piwnicę pani Pirjo i wziąłem stamtąd mnóstwo różnych jej leków, żeby móc w Lubece występować jako lekarz. Uznałem, że mądrzej będzie przybyć do tego miasta jawnie i otwarcie niż wkraść się tam jako podejrzany cudzoziemiec.

Bez żalu pożegnałem się z junkrem Tomaszem. Po kilku dniach żeglugi dotarliśmy w pobliże Lubeki i admirał kazał nas zawieźć na ląd, po czym sam odpłynął na Gotlandię, aby czekać na wiadomości o planach wroga. Ja zaś wraz z Anttim, który dźwigał na grzbiecie mój tobolek udałem się prościutko do Lubeki. Bez trudu udało nam się zmieszać z innymi wędrowcami i gdy u bram miasta oznajmiłem, że jestem illusterrimus doctor Mikael Pelzfuss, wpuszczono nas do miasta od razu. Strażnicy nie zadawali żadnych pytań, bo dałem im bitego srebra. Szlachetny admirał zaopatrzył mnie w niemieckie srebrne monety i florentyńskie złote dukaty, żebym się nie zdradził pieniędzmi bitymi w Abo albo w Szwecji.

Jako uczonego lekarza stanąłem nie w zajeździe, lecz w lepszej gospodzie i nie wnosząc o łaskawe pozwolenie rady miejskiej, wynająłem dobosza, który ogłosił, że otwieram praktykę

lekarską i leczyć wszystkie choroby, nawet takie, jakich nie umieją wyleczyć miejscowi lekarze. Jak się należało spodziewać, natychmiast obiegli mnie nieuleczalnie chorzy i ich krewni, a równocześnie lekarze zaczęli szturmować do rady miejskiej i narzekać, że obcy znachor narusza ich przywileje. Zanim zdążyłem zaszkodzić komuś z chorych, zostałem pozwany do sądu za nielegalne wykonywanie zawodu lekarskiego i zażądano, żebym przedłożył dyplom doktorski, zapłacił grzywnę i złożył formalną petycję do związku lekarzy, w razie gdybym chciał wykonywać zawód lekarski w Lubece. Tak więc nikt nawet nie pomyślał, że mogę mieć inne, o wiele niebezpieczniejsze cele.

Pewny siebie stanąłem zatem przed wysoką radą, podczas gdy lekarze kręcili się koło mnie jak kruki w swoich bramowanych futrem aksamitnych kaftanach, potrząsając okutymi w złoto laskami lekarskimi. Opowiedziałem długo i szeroko o studiach na dostojnym uniwersytecie, dodając, że podróżowałem po wielu krajach, aby zebrać cenną wiedzę i że byłem także uczniem słynnego doktora Teofrasta Bombasta Paracelsa. Lekarze jednogłośnie orzekli, że jestem zbyt młody, by móc być w pełni wyszkolonym lekarzem, i wyzwali mnie na dysputę o subtelnościach zawodu lekarskiego. Ja jednak odezwałem się do rady, mówiąc:

— Wiedza lekarza nie polega na łacinie, którą wypluwa 011 z ust tak, jak owca sypie bobki z tyłka. Sztuka lekarza polega na leczeniu chorych i cierpiących. Wyzywam zatem lekarzy tego zacnego miasta, żeby współzawodniczyli ze mną w uzdrawianiu. Pozwólcie mi kurować pacjenta, którego nie mogliście wyleczyć, i wnet dojdziemy do tego, kto ma większą biegłość — oni czy ja.

Członkowie rady spuścili z tonu, bo nie przypuszczali, żeby ktoś mógł mówić tak śmiało, nie będąc pewnym swego, i już nie patrzyli na mnie jak na oszusta. Ale lekarze rozeźlili się na dobre i rzekli:

— Więc życie zacnych Lubeczan znaczy dla was tak mało, że pozwalacie, aby ten znachor ich kurował? Takiemu może się nawet czasem udać zmniejszyć cierpienia nieuleczalnie chorego przy użyciu diabelskiej siły, ale są to tylko sztuczki. Podejrzewamy też, że ten człowiek to nędzny heretyk i szarlatan.

Po gwałtownym sporze rada zabroniła mi wykonywania zawodu lekarskiego w Lubece i orzekła, że mam pokryć koszty procesu. Nie skazano mnie jednak na grzywnę, bo właściciel gospody zaświadczył, iż nie zdążyłem jeszcze przyjąć żadnych pacjentów.

Tak więc lekarze postawili na swoim, ja zaś uzyskałem równocześnie dobrą sławę w Lubece, bo jeden z członków rady przystąpił do mnie natychmiast po rozprawie i spytał, czy mógłbym go wyleczyć z ustawicznej zgagi i wzdęcia, na jakie cierpiał. Powiedział mi też, że żadne prawo ani dobry obyczaj nie może zabronić kurować chorych, jeśli nie będę brał za to zapłaty, z drugiej zaś strony nie będzie nic bezprawne-nego w tym, jeśli chorzy dawać mi będą dary z własnej woli. Ja jednak odparłem, że nie mam ochoty zostać w tak niewdzięcznym mieście i zamierzam udać się dalej do Gdańska i Polski, na co on ostrzegł mnie, że panuje wojna i że duńscy korsarze grasują na wszystkich wodnych szlakach.

Udzieliłem mu więc paru rad, zaczerpniętych z tego, co mówił mistrz Paracelsus, które w żadnym razie nie mogły mu zaszkodzić, a w toku rozmowy dowiedziałem się, że Lubeka sprzedała ostatnio panu Gustawowi Erikssonowi dziesięć w pełni uzbrojonych okrętów wojennych, biorąc za nie w zastaw wiele szwedzkich zamków.

Powróciwszy do gospody poleciłem gospodarzowi obwieścić chorym i ich krewnym, że nie mogę ich przyjąć z powodu intryg miejscowych lekarzy, co wywołało rozgoryczenie i masę burzliwych protestów. Jeszcze nie zdążyłem się z nimi uporać, gdy Uwagę moją przykuło przybycie jakiejś damy w bardzo kosztownych szatach. Włosy jej były farbowane na włoska modłę, a jej brązowe oczy rozszerzyły się ze zdziwienia na mój-widok. Zrobiło mi się tak, jakbym już poczuł zaciskającą się na szyi pętlę stryczka, ale ona udała, że nie zwraca na mnie uwagi, i znikła w swojej izbie. Zapytałem gospodarza, kim jest ta dama, a on opowiedział mi, że to bogata szwedzka wdowa szlachetnego rodu. Przebywa ona w Lubece, czekając na

przywrócenie pokoju, aby móc wrócić do Szwecji i odebrać majątności, których pozbawił ją bezwzględny król Chrystian po śmierci męża, poległego w walce przeciw Jutom.

To, co usłyszałem, uspokoiło mnie, bo wykazywało, że i panna Agnes też nie ma czystego sumienia. Zastanawiałem się, czy pójść pogadać z nią bez ogródek i zapewnić sobie jej milczenie, ale tymczasem wrócił Antti z portu. Był tak pijany, że ledwie się trzymał na nogach. Posłałem go bowiem do portowych szynków, aby szukał owego mężczyzny 11 — Mikael, t. I

— Ifil 0 zajęcej wardze i trzech palcach. Chciał gwałtem iść tam znowu 1 domagał się ode mnie pieniędzy, tak że kosztowało mnie niemało trudu, żeby go uspokoić, aż nagle wywalił się jak długi na podłogę i zasnął kamiennym snem. Byłem tak wściekły na niego, że zacząłem go kopać, i panna Agnes zaskoczyła mnie na tym chwalebny zajęciu. Wśliznęła się do mojej izby, zarzuciła mi ramiona na szyję, mówiąc, że zawsze za mną tęskniła.

— Tyżes to doprawdy, Mikaelu? — wykrzyknęła. — Jakżeż się cieszę, że cię znowu widzę, choć smucą mnie zmarszczki na twym czole i bruzdy w kącikach ust, które świadczą, że nie jesteś już tym samym niewinnym młodzieniaszkiem, jakim byłeś, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz. Ale, najdroższy mój, nie wolno ci pokazać w tym niedobrym mieście, że mnie znasz, bo wielce by mi to zaszkodziło. Nikt tu nie wie, że pan Didryk jest moim bratem. Prowadzę życie cnotliwe i mam nadzieję, że znajdę jakiegoś zacnego człowieka, który się ze mną ożeni.

— Podzielał twój smutek, piękna panno Agnes — odparłem — opowiadano mi bowiem, że jesteś bogatą i szlachetnie urodzoną wdową, która pała chęcią zemsty na złym królu Chrystianie. Pewnie dlatego zbierasz dane o wojennych operacjach Lubeki i wszyscy twoi wielbiciele to wybitni kapitanowie statków i okrętów wojennych.

Zaczerwieniła się po uszy, z czym jej było bardzo do twarzy, i odparła:

— Więc miałaś czelność mnie szpiegować? I cóż w tym złego, jeśli według moich skromnych możliwości pocieszam szlachetnych mężów, którzy mają wypłynąć na morze, na spotkanie wielu niebezpieczeństw? A ty, Mikaelu? Czego ty tu szukasz? Skończysz na szubienicy, jeśli ktoś się dowie, że służyłeś duńskiej sprawie.

— Jestem szanowanym lekarzem — odrzekłem — i nikt nie wie, że jestem Fin. Nazywam się Mikael Pelzfuss. Jedziemy na tym samym koniu, panno Agnes, i nie mam ochoty poznawać ciebie, jeśli ty mnie nie będziesz poznawała. Ale gdybym musiał zawisnąć na szubienicy, wtedy — klnę się na wszystko, co święte — ty zawiśniesz koło mnie.

— Nie wolno ci mówić takich strasznych rzeczy, Mikaelu. Dlaczego nie obejmiesz mnie i nie jesteś dla mnie czuły, choć takam samotna i boję się niebezpieczeństw, na które mnie wystawił mój niedobry brat. Masz chyba pieniądze?

Odparłem, że mam tyle, żeby przez jakiś czas prowadzić skromne życie. Wielce się ucieszyła i rzekła:

— Daj mi dziesięć sztuk złota, a nie opowiem o tobie nikomu i nie wydam cię. W zastaw i porękę oddam ci chętnie cokolwiek zechcesz, nawet moją cnotę i cześć, jeśli posuniesz się do aż tak bezwzględnego żądania.

Ja jednak odmówiłem porywczo:

— Droga panno Agnes! Twoje zastawy i poręki są dla mnie be2 wartości i nie dałbym za nie złamanego szeląga. Prawdę mówiąc, sam chciałem się do ciebie zwrócić i zaapelować w imię dawnej przyjaźni do twego dobrego serca, aby pożyczyć kilka złotych guldenów. Pragnę odbyć pielgrzymkę do Ziemi Świętej, aby uzyskać odpuszczenie grzechów, toteż zrobisz uczynek miły Bogu pomagając mi w podróży.

Odrzuciła głowę i rzekła:

— Twój kamrat, który tam leży, ryczał jak byk i mimo woli słyszałam, że szukasz w porcie mężczyzny o zajęcej wardze i trzech palcach u dłoni. Dasz mi sztukę złota, jeśli ci pokażę drogę do niego?

— Niech nam Bóg wybaczy nasze grzechy! — wykrzyknąłem zdumiony. — Wygląda na to, że służymy jednemu panu, droga "panno Agnes. Oczywiście, że dam ci sztukę złota, jeśli mi powiesz, gdzie się podziewa ten człowiek, bo w Lubece każdy żebrak wie o rzeczach, o których admirał Danii nie ma pojęcia.

Piękna panna Agnes poprosiła najpierw o dukata, a kiedy go już zacisnęła w drobnej dłoni, powiedziała z niewinną miną:

— Nie mogę ci przyprowadzić tego mężczyzny. Musisz sam do niego pójść. Znajdziesz go koło bramy arsenału. Wisi tam poćwiartowany na hakach w murze.

Zmuszony byłem jej uwierzyć i wielce mnie rozgniewało, że zmarnowałem całego dukata prócz tych srebrnych monet, które przepił Antti. Nie pozostało mi nic innego, jak zaufać pannie Agnes, zapytałem więc, jak sobie daje radę z handlem wieprzkami, gdyż maciory oprosiły się już dawno. Odparła, że cały handel wieprzkami zeszedł na psy, gdy prosiaki uciekły z chlewu. A admirał za długo zabawił w Finlandii, żeby zdążyć złapać je do worka. Potężni władcy Lubeki mają uszy we wszystkich portowych szynkach i kiedy zbroili się do wojny, kazali przede wszystkim pojmać albo stracić tych, którzy wykazywali przesadne zainteresowanie okrętami wojennymi.

— Mam uczucie jak gdybym włożyła głowę w paszczę niedźwiedzia — narzekała panna Agnes. — Nie udało mi się przekazać ani jednego raportu do Visby. Siedzę tu ze swoimi wiadomościami jak chciwiec, który bez żadnego pożytku zbiera sztuki złota na dnie skrzyni. Myślę zresztą, że król Chrystian przegrał już grę. Lubeka wystawia przeciw niemu całą swoją potęgę, jego kochany stryjek, książę Hol-stein zamierza przyłączyć się do jego nieprzyjaciół i nawet papież pogniwał się na niego, odkąd król wezwał do Kopenhagi protestanckich kaznodziejów. Najlepiej byłoby przenieść się na inne łowiska, bo cesarz i król francuski też z sobą walczą i potrzebują sług, a Henryk VIII Angielski wypowiedział wojnę bezbożnej Francji i w nagrodę za to otrzymał od papieża tytuł obrońcy Wiary. Gdybyś tylko miał dość pieniędzy, Mikaelu, towarzyszyłabym ci bez chwili wahania kawałek drogi, na przykład aż do Wenecji, choć muszę myśleć o mojej dobrej sławie.

Opowiedziała mi tyle zaskakujących nowin o sprawach europejskich, że poczułem, iż zbyt długo żyłem jak w ciemnej komórce. Zamówiłem więc wino i jedzenie do mojej izby, żeby wspólnie spożyć wieczerzę i równocześnie przy tym skorzystać z jej wiadomości.

Tak więc spędziłem wesoły wieczór w towarzystwie panny Agnes, podczas gdy Antti chrapał na podłodze. Dowiedziałem się od niej, że młody sultan turecki Soliman, po śmierci ojca, okrutnego Selima, w roku ubiegłym zdobył Belgrad, najsilniejszą twierdzę i bastion chrześcijaństwa. Zagraża teraz Węgrom, wykorzystując sprytnie roz-dźwięki między chrześcijanami, większe dziś niż kiedykolwiek dawniej, tak że mądrzy ludzie uważają, że cała Europa znajduje się w zupełnym rozkładzie. Papież Leon X zmarł, a złe języki mówią, że umarł bez sakramentów, ponieważ zdążył je sprzedać, podobnie jak sprzedawał połowie Europy godności kościelne i odpuszczenie grzechów. Nie było więc już w Kościele niczego, czego by Stolica Apostolska zaniedbała spieniężyć po przystępnej cenie. Cesarzowi udało się dzięki intrygom wynieść na stolec papieski swego surowego holenderskiego nauczyciela, a nowy papież przybrał imię Hadriana VI. Przybył on do Rzymu wędrując piechotą, boso, a jego skromne życie wywoływało wielkie zgorzienie. Panna Agnes opowiedziała mi też wiele swawolnych anegdot o dworze francuskim i metresach króla Franciszka I i o tym, że cesarz kocha tylko swoje psy. Była cięta i złośliwa, ale od czasu do czasu wzdychała smętnie, przyglądając mi się brunatnymi oczyma, aż w końcu powiedziała:

— Jesteś młody, Mikaelu, młodszy niż ja, i czuję się przy tobie jak staruszka, choć nie skończyłam jeszcze dwudziestu pięciu lat — a w każdym razie trzydziestu. Zrobiłeś się też bardziej męski i inny, niż cię zachowałam w pamięci, a twoje opanowanie i ciemne oczy czynią cię bardzo interesującym.

Dawno już nie piłem i dobre wino oraz śmiałe słowa panny Agnes odurzyły mnie. Ona zaś zrobiła się roztargniona i wpatrywała się we mnie ciekawie:

— O czym myślisz, Mikaelu? — zapytała zakładając białe ramiona w tył, tak że jej krągłe piersi podniosły się i wynurzyły w wycięciu sukni.

— Zastanawiam się, co zrobić, żeby się stąd wymknąć póki czas, i wściekam się na myśl, że w tym mieście są może i inni wywiadowcy równie bezczynni jak my, bo pan Norby choć bardzo przebiegły zawiódł się na swoim planie.

Na co panna Agnes odparła:

— Dość na dziś kłopotów. A zresztą zapadł już wieczór. Ciało mi drętwieje od wina, a chrapania twego służącego przeszkadzają mi. Chodźmy zatem rozmawiać dalej do mojej izby, gdyż boję się sama iść do łoża i pragnę czułości i dobrego słowa.

Potężne chrapanie Antiego przeszkadzało i mnie, poszedłem więc z nią do jej izby. Wspomnienia młodości wypełniły mi duszę melancholią, gdy znów poczułem rozkoszny zapach jej pachnideł i maści, a ona wszedłszy do izby opadła nagle z sił i oparła się na mnie, ważąc równocześnie ukradkiem w dłoni mój trzos z pieniędzmi. Kiedy zaś poczuła, że jest on dość ciężki, chciała bez zwłoki iść do łoża. Poprosiła, żebym poodpinał haftki i zapinki jej sukni, gdyż pokojowa położyła się już spać na sianie zamiast dotrzymywać towarzystwa jakiemuś giermkowi. I choć postanowiłem święcie, że nigdy nie zbliżę się do żadnej kobiety, sprzeniewierzyłem się memu postanowieniu szybciej niż trwa odmówienie jednej zdrowaśki. To tylko mogę powiedzieć na moje usprawiedliwienie, że panna Agnes była dla mnie szczególnie przystępna i łaskawa i nauczyła mnie rozumieć niejedno, co przedtem dziwiło mnie wśród często bardzo dziwacznych pragnień kobiecych.

Jednak pomimo usilnych próśb nie zostałem u niej na noc, bo wiedziałem, jak mało można jej ufać. Zabrałem ubranie, pas i sakiewkę i wróciłem do siebie, zamykając starannie drzwi izby. Antti chrapał równie mocno jak przedtem, ja jednak mimo fizycznego zmęczenia nie mogłem zmrzyć oka i leżałem bezsennie w łożcu z napiętymi wszystkimi zmysłami. Żar, który wlało mi w żyły wino, stopniowo gasł i chłódł, przez otwarte okno wchodził zapach mokrej trawy z ogródka gospody, a szare światło brzasku wkradało się z wolna do izby. Zdawało mi się, że stoję jedną nogą na progu śmierci i patrzę wstecz na zmarnowane życie. Marzenia o światowych sukcesach i honorach, które może mógłbym osiągnąć służąc panu Norby, wydały mi się nagle czczym i zwodnym złudzeniem. Na myśl o intrygach wielkiej polityki stawało mi natychmiast przed oczyma szare niebo zasnutę płatkami śniegu i opary unoszące się z rozlanej krwi ludzkiej na rynku w Sztokholmie. A kiedy pomyślałem o moim kraju, widziałem tylko lśniące czernią stada kruków i matkę Pirjo, jak bezbronnymi rękami usiłuje osłonić głowę przed spadającymi na nią kamieniami. Nie było już dla mnie powrotu do ojczyzny i na myśl o tym przepełniło mnie tylko niewypowiedziane przygnębienie i bezbrzeżny smutek. I nie czułem na wet nienawiści do nikogo z moich rodaków, a tylko mówiłem sobie, że najgorszym wrogiem dla człowieka jest człowiek.

Myślałem także o świętym Kościele i w chłodnym świetle mej. własnej pustki zrozumiałem, że tylko z samolubstwa i chorobliwej ambicji dążyłem do stanu duchownego. I nie patrzyłem na to święte powołanie jako na służenie biednym ludziom, lecz raczej myślałem o tłustej prebendzie, która by mi dawała siedem, dziesięć albo i piętnaście marek srebrem rocznie, tak abym mógł bez przeszkód żyć i studiować, co mi się spodoba, i dzięki tym studiom osiągać coraz wyższe stopnie hierarchii i coraz tłustsze prebendy. Wcale nie miałem zadowolenia z moich studiów, gdyż posłusznie godziłem się z wszystkim, czego mnie uczono, i nigdy nie odważyłem się zapytać o coś własnej głowy, żeby nie popaść w konflikt ze świętym Kościołem, jak to się w owych czasach działo z każdym, kto przekornie przekraczał granice, zakreślone przez Kościół dla ludzkiej wiedzy.

Po nocy spędzonej w napięciu i trawiącym serce smutku moje znużone ciało odczuło w szarym świetle poranka bolesny i dziwny dreszcz. Wszystkie otaczające mnie mury runęły i

nagle uświadomiłem sobie, że Bóg i szatan są w moim własnym sercu, w którym drzemią niezmiernie możliwości dobra i zła. Natomiast poza moim sercem nie ma ani Boga, ani szatana, tylko szalony, bezsensowny świat, gdzie żywe istoty walczą z sobą w śmiertelnym pojedynku strachu, żądzy i rozpusty. Bóg i szatan kryli się we mnie samym i nie mieli żadnej mocy poza duszą ludzką, w której się objawiają. Wszystko inne to tylko sprawa przyzwyczajenia, schemat, konstrukcja, którą człowiek wznosił w strachu i radości. Także i święty Kościół to tylko pusta skorupka stworzona ludzką ręką i nie ma on żadnej władzy ani mocy odpuszczania czy wiązania. Syn Boży musiał zejść na ziemię jako człowiek, ale gdy już raz odkupił krwią grzechy całego rodzaju ludzkiego, Kościół nie miał prawa odmierzać Jego ciała i krwi złotem. I gdzie tylko dwoje czy troje ludzi spotyka się, by szukać Boga w swych sercach, mogą łamać chleb i błogosławić wino, które staje się w ich rękach ciałem i krwią Chrystusa równie dobrze jak w rękach księży wyświęconych przez Kościół.

Tak to nagle i niespodziewanie uświadomiłem sobie wszystkie kacer-skie myśli, które w ciągu długiego czasu dojrzały we mnie po kryjomu, i mimo mego uniesienia przeraziłem się, bo myśli te były zbyt silne i żrące.

Ale gdy ocknąłem się rano, zdawało mi się, że miałem tylko zły sen, i wnet znowu pograżyłem się w codziennych troskach na widok Anttie-go, który siedział na podłodze z głową w dłoniach i mrucał coś pod nosem, skarżąc się, że ma piekielne pragnienie, że głowa mu pęka z bólu i że go okradli przy picciu.

Na nic się nie zdało ganić go za jego głupotę, toteż kazałem tylko przynieść mu wiadro wody, a sam udałem się do portu, by szukać jakiegoś wyjścia i możliwości przesłania wieści admirałowi. Ale moja wędrówka była daremna. Widziałem tylko spoconych pacholców w filcowych butach na nogach taszczących baryłki prochu na okręty, a wśród odpadków zalegających rynsztoki leżeli liczni żołnierze powyrzucani z szynków.

Spędziliśmy w Lubece ponad dwa tygodnie i zebrałem mnóstwo wiadomości, które mogłyby się przydać admirałowi, gdyby do niego dotarły. Co rana wychodziły rzeką na morze statki rybackie z sieciami, ale zawsze w towarzystwie okrętów wartowniczych, które nie pozwoliły im oddalać się poza zasięg widzenia.

Ludzie mnie nie podejrzewali, bo utrzymywałem, że czekam na bezpieczną okazję okrętową do Gdańska, jadłem, piłem i często pokazywałem się w towarzystwie panny Agnes, tak że gospodarz zajazdu ubrał sobie, że poważnie zaczynam starać się o piękną i bogatą wdowę.

Pewnego dnia- Antti wróciwszy z dzielnicy portowej, gdzie miał wielu przyjaciół, powiedział:

— Koło arsenału już czwarty dzień siedzi jakiś kosoocki chłop i próbuje sprzedać prosiaki na spyżę dla statków. Ale żąda tak wysokiej ceny, że nikt ich nie chce kupić, choć on płacze i narzeka i zaklina ludzi na wszystkie świętości, żeby kupili wieprzki, bo inaczej surowa matka wygarbuje mu skórę.

Wydało mi się, że zez podobnie jak zajęcza wargą mógł być przejawem zmysłu humoru pana Norby, jako że nawet ktoś obcy może łatwo rozpoznać zezowatego. Toteż poszedłem prosto do portu, do brudnego i śmierdzącego handlarza świń, i powiedziałem:

— Czyż zupełnie zgłupiał, człowieku, że już czwarty dzień tu siedzisz i próbujesz Sprzedać świnię po takiej bezczelnej cenie? Nie wiesz, że rada miejska zakazała wszelkiej "lichwy? Zaraz przyjdą tu halabardnicy, ochłoszczą cię i ukradną ci wieprzki, nie dając ani grosza. Sprzedaj mi je, a będziesz miał dobrego kupca.

Kosoocki płakał i wzdychał mówiąc:

— Rada ustaliła ceny tylko na szlachtowane tucze i na soloną wieprzowinę, a za żywe wieprzki można brać, ile się chce. A moja matka żąda wysokiej ceny za te świnki, bo są szlachetnej rasy i łatwo obrastają w tłuszcz. W Sztokholmie byłyby na wagę złota. Słyszałem, że ludzie zjadają tam już koty i szczury.

— Mój sługa popilnuje przez chwilę twoich świń — powiedziałem — a ty chodź ze mną do kościoła, to pomówimy o naszym handlu.

Zrobił, jak go prosiłem, a gdyśmy już ukłękli do modlitwy, mruknął do mnie:

— Dostojny pan i rycerz, którego imienia nie znam, polecił mi wypatrywać człowieka, który mimo młodego wieku wygląda jak półtora nieszczęścia. Jesteś bezwątpienia tym człowiekiem, powiedz mi więc natychmiast, co wiesz, bo odpływam już dziś w nocy. Mam dać sztukę złota za każdego wieprzka, o którym wiesz, albo też wsadzić ci nóż w brzuch, jeśli uznam, że tak będzie lepiej.

Odparłem, że szkoda byłoby zbeczczyć kościół niepotrzebnym rozlewem krwi, powtórzyłem mu wszystko, czego się dowiedziałem, i prosiłem usilnie, żeby zabrał z sobą pewną szlachetnie urodzoną damę, gdyż zdawałem sobie sprawę, że trudno mi będzie w inny sposób pozbyć się panny Agnes. Podczas gdy rozmawialiśmy, odezwały się dzwony kościelne i w kościele zaczęli zbierać się rozradowani ludzie, aby dziękować Bogu. Zapytałem, co się stało, a oni odparli:

— Wielką bitwę morską stoczono pod Sztokholmem i dumne okręty Lubeki w służbie szwedzkiego pana Gustawa zniszczyły straszną duńską flotę wojenną, która przybyła z Finlandii, aby oswobodzić Sztokholm. Zniszczenie i zagłada floty nieprzyjacielskiej są tak zupełne, że ani jednemu okrętowi nie udało się umknąć, i pan Gustaw kazał powiesić na maszcie admirała tej floty, duńskiego junkra Tomasza, ponieważ nie zasługiwał on na lepszy los z powodu swoich niecznych czynów.

Kosooki westchnął ciężko i rzekł:

— Teraz to mam już aż nadto do opowiadania admirałowi, który z pewnością mnie powiesi w nagrodę za dobre nowiny. Najwyższy czas ruszać w drogę, ale żadnej kiecki na statek nie wezmę, gdyż baby przynoszą tylko nieszczęście na morzu, a podróż będzie ciężka i niebezpieczna.

Błagałem go, żeby spełnił moją prośbę, a w końcu powiedziałem, że może zatrzymać wszystkie sztuki złota przeznaczone dla mnie, jeśli zabierze z sobą pannę Agnes. Wtedy kosooki zmienił nagle zdanie i wykrzyknął obłudnie:

— Jeśli przebierze się za mniszkę, mogę ją wykraść z snias.ta nie budząc niczyich podejrzeń. Jako mniszka nie podrażni być może złych duchów burzy i będę miał szczęśliwą podróż. Każ więc jej się przygotować. Czekam na nią pod kościołem Panny Marii po nieszporach.

Wyszliśmy z kościoła i mój towarzysz znikł zaraz w tłumie, nie troszcząc się wcale o swoje wieprzki. Ja zaś podążyłem do gospody, żeby opowiedzieć panie Agnes o wielkim szczęściu, które ją czeka. Ale ona wcale się nie ucieszyła na wiadomość o morskiej podróży; zaczęła załamywać ręce, płakać i biadać:

— Więc mnie, już zupełnie nie kochasz, Mikaelu? I wszystkie twe słowa i obietnice były tylko kłamstwem i obłudą jak zawsze u mężczyzn? A tak wierzyłam w twoje przyrzeczenia, że mnie zabierzesz do Wenecji...

— Droga panno Agnes — odparłem — rozumiałaś mnie zupełnie na opak. Obiecywałem bowiem tylko uratować cię z kłopotliwej sytuacji i dopilnować, żebyś mogła odebrać od admirała dobrze zasłużoną nagrodę. Nawiasem mówiąc, jest to mąż dorodny i żadna niewiasta mu się nie oprze. A w Visby zbiera on obecnie kosztowności ze statków, które splądrował, i niewiele tam będziesz miała współzawodniczek. Natomiast w Wenecji walka jest twarda, twardsza niż gdziekolwiek indziej na świecie, bo sama mi przecież opowiadałaś, że jest tam dwadzieścia tysięcy legalnych ladacznik i tylko siedem dziewcząt wśród uczciwych dziewcząt miasta. Będziesz też miała z pewnością mnóstwo roboty w czasie podróży i żegluga wcale nie wyda ci się nudna, gdyż jako zapłatę za twój przejazd pozwoliłem kosookiemu zatrzymać wszystkie złote monety, które admirał dał mi dla mnie.

Oburzyła się i syknęła:



— Mikaelu, czyżbyś rzeczywiście przypuszczał, że jestem tak podła, iż będę całować i ścisnąć zezowatego handlarza świń choćby za pięćdziesiąt sztuk złota?

Ale zauważyłem, że się zastanawia nad moimi słowami i że myśl o podróży zaczyna ją pociągać. Toteż powiedziałem:

— Droga panno Agnes, mam o tobie najlepsze wyobrażenie, ale sądzę, że za kilka sztuk złota całowałabyś samego diabła i nie chcę cię za to ganić, bo jesteś samotną niewiastą i pragniesz czułości. Toteż przebierz się w habit mniszki, choć to przebranie najmniej ci odpowiada, i jedź z kosookim do Yisby. A jeśli jego zez będzie ci przeszkadzał, zamknij mocno oczy i myśl o dwudziestu złotych ptaszkach, które trzepoczą skrzydełkami w jego trzosie i chcą wylecieć na wolność.

Westchnęła ciężko i powiedziała:

— Widzę, że z powodu twego zimnego i twardego serca muszę zrezygnować z podróży do Wenecji, Mikaelu. Widocznie taki już mój los wypisany w gwiazdach, choć nigdy nie przypuszczałam, że będę zmuszona odziać się w habit mniszki.

Życzyłem jej szczęścia w podróży, a ona uściśnęła mnie, próbując Przy tej sposobności małym nożykiem odciąć rzemyki mego trzосу. jednak Tjie zyskała, bo obejmując ją trzymałem mocno mieszek drugą ręką. Wtedy oczy jej zasły łzami z niekłamanego zawodu i życzyła mi, żebym w podróży do Ziemi Świętej wpadł w ręce piratów lub Turków, i tak rozeszły się nasze drogi. A gdy się oddaliła, powiedziałem do Anttiego:

— Spełniliśmy nasze zadanie jak ludzie honoru. Jesteśmy teraz wolni jak ptaki niebieskie i możemy iść, dokąd nam się spodoba. Chodźmy więc na południe do obcych krajów i pod inne gwiazdy; zostawmy za sobą smutne wspomnienia i udajmy się do Wenecji i do Ziemi Świętej, żeby otrzymać odpuszczenie grzechów.

Antti zapytał, czy daleko do Ziemi Świętej, f oświadczył, że grzechy jego nie są jeszcze tak strasznie wielkie, ale że chętnie znajdzie się możliwie jak najdalej od zacnej wdowy spod; „Trzech Koron”. Zrzuciłem więc wspaniałe szaty, a wraz z nimi całe dotychczasowe życie, przybrałem szarą opończę pielgrzyma i przewiązałem lędźwie grubym sznurem. Sprzedałem wszystko, co zbyteczne, i zatrzymałem tylko skrzynkę z lekami, którą Antti podjął się dźwigać aż do Ziemi Świętej. A gdy już opuściliśmy mury miasta, wyciąłem sobie z jesionu kostur pielgrzyma. Maszty okrętów, szare mury i smukłe wieżycy Lubeki znikły w dali za nami i powędrowaliśmy gościńcem przed siebie, kierując się na południe, a zboża na polach zaczynały już dojrzewać do żniw i przez cały czas panowała piękna pogoda. W drodze towarzyszyło nam lato i śpiew ptasi, jesień zostawiliśmy za sobą, na mrocznej północy.

Spotykani po drodze włóczędzy nie napastowali nas, widząc, że noszę szatę pielgrzyma, i sądząc, że jestem biedny, a szerokie bary Anttiego i jego tęgi kij też wzbudzały należyty respekt. Tak to wędrowaliśmy przez sześćdziesiąt dni bez pośpiechu, ale także i bez trwonienia czasu, aż w końcu zobaczyliśmy przed sobą pokryte śniegiem Alpy, wznoszące się ponad żółtymi i zielonymi winnicami stromo ku niebu jak niebieskawy obłok. Na ten majestatyczny widok Antti spoważniał i z oczyma wielkimi od podziwu wykrzyknął:

— A to ci płotek, co się zowie! Kto wie, czy uda nam się przez niego przeleźć i nie podrzec sobie portek!

Miał słuszość, bo mnie się to przydarzyło jeszcze zanim nawet dotarliśmy do podnóża Alp. Spędziliśmy noc w mieście otoczonym murami. W winiarni przy naszej gospodzie siedział nad dzbanem wina jakiś ponury mężczyzna z krzyżem joannitów na płaszczu. Widząc mój strój pielgrzyma zapytał, dokąd zdążam, a dowiedziawszy się, że do Ziemi Świętej, oświadczył, że próżne są moje zamiary.

— To nie wiesz, biedaku — mówił — że Turcy, którzy służą fałszywemu Prorokowi, oblegają twierdzę na Rodos? Jeśli ten bastion chrześcijaństwa padnie, galery joannitów nie będą już dłużej mogły ochraniać statków z pielgrzymami. Wtedy statki te będą napadane i pielgrzymi dostaną się do okrutnej niewoli. Toteż żaden statek nie waży się dziś płynąć do



wątpienia już sama Wenecja jest miastem grzechu i występku, jeśli jednak mamy podróżować jeszcze dalej i udać się do Ziemi Świętej, dotrzemy w obce strony, których zwyczaje i obyczaje są dla nas obce i gdzie nawet sposób przyrządzania stawy jest całkiem inny, co znowu narazi na niebezpieczeństwo nasze zdrowie. Zaproponował więc, ażebyśmy zamiast tego kupili sobie rynsztunek najemników i zaciągnęli się pod sztandary cesarskie, gdyż według, zapewnień werbowników cesarz zdobył już Mediolan i zamierza podbić całą Francję, tak że na tej drodze moglibyśmy zdobyć wielką sławę, a ja mógłbym może nawet zostać hrabią, on zaś królewskim puszkarzem.

Zapytałem go, czy nie ma jeszcze dość wojny i rozlewu krwi, i doradziłem, żeby raczej myślał o ranach Chrystusa i swojej własnej nieśmiertelnej duszy, niż marzył o plądrowaniu miast i niedoli biednych ludzi. Jeśli jednak pragnie zostać krzyżowcem — mówiłem — i iść walczyć przeciw Turkom na Rodos, to jest to myśl godna pochwały i piękna i może być pewny, że szybko dostanie się do raju, gdyż jest rzeczą miłą Bogu bronić krzyża przed niewiernymi. Poza tym zaś wydaje się też, że jest to jedyna możliwość dostania się do Ziemi Świętej.

Nie musieliśmy się jednak długo spierać o te sprawy, gdyż jak wszystko na to wskazuje, musiałem zbyt mocno dzwonić kiesą w tej gospodzie i nieszczęście spotkało nas już następnego dnia, gdy o świcie poszliśmy w dalszą drogę w kierunku górskiej zapory. Nie uszliśmy daleko, gdy Antti zaczął się skarżyć na bóle żołądka i w końcu wlaź w leszczynowe krzaki na skraju drogi, żeby sobie ulżyć. Nie przeczuwając nic złego, stałem na gościńcu czekając na niego, gdy od strony miasta nadjechało pędem dwóch jeźdźców, a kiedy zrównali się ze mną, jeden z nich uderzył mnie mocno w głowę, zaś skarbnik z Rodos porwał mnie za kark i przerzucił przez łąk siodła. Przypuszczam w każdym razie, że tak to musiało wyglądać, bo ocknąłem się dopiero w południe, na cienistej polance w lesie. Miałem na głowie guz i okropną ranę i trząsałem się z zimna, ponieważ napastnicy ograbili mnie do naga, a liściaste gałęzie, którymi mnie przykryli, nie dawały żadnego ciepła. W ten sposób straciłem nie tylko trzos z pieniędzmi, ale ponadto i owe sztuki złota, które staranie zaszyłem w ubraniu z myślą o rabusiach na drogach.

Zbudził mnie śpiew ptaka, który wyraźnie wymawiał jakieś słowa w moim języku ojczystym: „Na nic! Na nic! Wróć! Wróć!” Przez chwilę zdawało mi się, że znów jestem małym chłopcem i zasnąłem w dąbrowie pod Abo pilnując świń matki Pirjo. Ale zaraz zacząłem marznąć i poczułem bolesny guz na głowie, odsunąłem więc gałęzie, którymi byłem przykryty, i próbowałem usiąść. Wtedy usłyszałem miły głos, który mówił:

— Bogu dzięki, że żyjesz, piękny młodzieńcze. To oczywiście moja zasługa, bo zostałam' przy tobie i gorąco modliłam się o twoje życie, choć sądziłam, że już jesteś martwy. A nie zrzucaj tych gałęzi! Już i tak przyglądałam ci się zbyt długo i wprawiasz mnie we wstyd obnażając swe ciało.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, gdzie jestem i jak się znalazłem w tym lesie, i chwilowo nie pamiętałem nawet, kim jestem ani czego szukam. Słyszac przed chwilą, jak ptaszek przemawia do mnie, przypuszczałem, że ten miły głosik wychodzi ze starego dębu rosnącego tuż koło mojej głowy i że rozumiem ptasią mowę, jak gdybym połknął język białego kruka. Ale gdy mimo zawrotu głowy i ostrego bólu udało mi się odwrócić głowę, ujrzałem kobietę klęczącą koło mnie na ziemi, w schludnie rozpostartej spódnicy w czerwone pasy. Wyglądała na zupełnie młodą i przyglądała mi się czule żółtozielonymi kocimi oczyma. Odziana była jak niezamężna mieszcza i nosiła na piersi dużą srebrną broszę, jej rudawe włosy były potargane, a blada twarz obsypana piegami. Gdy tak siedziała z nabożeństwem mi się przyglądając, przypominała mocno kościstego kota.

Szybko naciągnąłem na siebie gałęzie, aby osłonić nagość, i zapytałem:

— Gdzie jestem, co się stało, kim jesteś, co tu robisz w lesie i jak się nazywasz?

Odrzekła:

— Jestem Barbara Biichsenmeister, zrodzona z uczciwych rodziców w zacnym mieście Memmingen, gdzie ojciec mój jest rusznikarzem. Przyszłam tu, żeby odwiedzić mego kochanego wujka. Jesteśmy niedaleko od miasta, a do lasu wybrałam się, aby zbierać piołun. Ale kim jesteś ty? Czyś człowiekiem, czy pogańskim duchem leśnym, który przybrał ludzką postać, żeby mnie uwieść?

Wyciągnęła ostrożnie dłoń i dotknęła mego ramienia, żeby się upewnić, czy rzeczywiście jestem z krwi i ciała, a dotknięcie jej wcale nie było nieprzyjemne.

— Jestem człowiekiem i twoim bliźnim — odparłem — i nazywam się Mikael Pelzfuss, a przynajmniej tak mi się zdaje, choć w tej chwili pamiętam bardzo mało z mej przeszłości, bo zostałem pobity i ograbiony, i porzucony w lesie, i dlatego to jestem równie nagi, jak w chwili urodzenia, i równie ubogi, i zależny od miłosierdzia dobrych ludzi. Spłotła dłonie do modlitwy i dziękując Bogu rzekła:

— Bóg wszechmogący wysłuchał zatem moich modłów i sen mój się sprawdził. Od dawna już dręczył mnie niepokój i dlatego właśnie przybyłam odwiedzić wujka, w nadziei, że znajdę tu męża, jako że nie mogłam nikogo znaleźć w moim mieście rodzinnym, gdzie wszyscy mnie znają. Ale i w tym mieście nikogo nie spotkałam, bo najlepsze lata do małżeństwa, -zostały już poza mną. Jakiś czas temu otrzymałam we śnie polecenie, aby szukać męża w lesie, i odtąd co dzień błdziłam tu, -rozmawiając z węglarzami i drwalami, aż dziś znalazłam ciebie. Stwórca wszechmogący niewątpliwie wybrał cię na męża dla mnie, bo zesłał cię tu nagiego, chorego i bezradnego, nie możesz więc ode mnie uciec tak jak inni mężczyźni. A ja już cię polubiłam i nawet myślałam o ślubnej wyprawie, mimo że kobieca wstydlivość przeszkadzała mi w przyglądaniu ci się zbyt dokładnie.

— Barbaro Biichsenmeister — odparłem — Bóg i wszyscy święci niewątpliwie przywieśli cię tu, abym nie umarł z zimna i ran lub po nadejściu nocy nie został rozszarpany przez wilki i inne dzikie zwierzęta. Nie przeczę temu. Ale nie powinnaś z tego powodu snuć jakichś czczych planów, jestem bowiem mężem duchownym i znajduję się w pielgrzymce, nie mogę więc myśleć o małżeństwie. Gdy tylko odzyskam zdrowie, ruszam w dalszą drogę.

Schwyciła moją dłoń, ścisnęła ją mocno i przykładając do płaskiej piersi rzekła:

— Pamięć cię z pewnością zawodzi, Mikaelu, i jesteś jeszcze zamroczony od uderzenia, bo nie widzę żadnej tonsury na twoim ciemieniu i nie przypominasz wcale duchownych, choć swymi rękami nie wykonywałeś ani ciężkiej pracy, ani żadnego mieszczańskiego zawodu. Są zresztą mnisi i księża, którzy głoszą nową naukę i żenią się bez żadnych przeszkód. A ja z radością przyjmę tę nową naukę, jeśli potrzeba, i z pewnością znajdziemy jakiegoś wędrownego kaznodzieję, który zgodzi się dać nam ślub podług ewangelii, bylebym tylko wpięrow doprowadziła cię do zdrowia, postawiła znowu na nogi i postarała ci się o odzież.

Zakręciło mi się w głowie, poczułem mdłości i zacząłem trząść się ze wzruszenia na całym ciele, gdy zrozumiałem, że wszystkie moje pieniądze przepadły i że rzeczywiście nie mogę kontynuować podróży. Byłem równie nagi i bezbronny jak w chwili przyjscia na świat i jedyną moją pomocą był ten chudy kot, który przyglądał mi się życzliwie żółtozielonymi oczyma. I nagle zaczęło mi się zdawać, że rozmawiam z dzikim kotem, podobnie jak niedawno, że mówił do mnie ptak, zacząłem majaczyć, wymiotować i wić się w bólu jak nadeptany robak, wołałem Anttiego, aż wreszcie straciłem zmysły i zdawało mi się, że jestem w piekle. Dopiero po trzech dniach choroby odzyskałem znowu przytomność i stwierdziłem, że leżę w wielkim łożu pod baldachimem, w maleńkiej izbie, i wpatruję się w dwoje żółtozielonych oczu, a Barbara Biichsenmeister trzyma moje dłonie w swoich. Byłem tak słaby, że prawie nie mogłem ruszyć palcem, ale ból ustał i było mi przyjemnie chłodno, bo ustąpiła też gorączka. Gdy Barbara spostrzegła, że się ocknąłem, pochyliła się nade mną, musnęła moje wargi wstydliwym pocałunkiem i rzekła:

— Mój drogi narzeczony, Mikaelu, jesteś znowu zdrowy i przytomny. Od trzech dni walczę ze śmiercią o twoje życie i nie zmrzyłam oka. Zmuszona byłam siłą przytrzymać cię w łożu, a cyrulik upuścił ci tyle krwi, żeś słaby i blady jak duch. Ale jesteś zdrow, a wnet cię odkarmią i odzieją. Jeśli chcesz, możesz teraz pomówić z twym towarzyszem, który bardzo się niepokoi o twoje zdrowe zmysły. Dobrze wie.c, żebyś go uspokoił i zapewnił, że ma zupełną swobodę i może iść dokąd mu się spodoba, bo ty i ja jesteśmy już zaręczeni i zaopiekuję się tobą, dopóki nie zostaniemy zaślubieni przed ołtarzem w moim rodzinnym mieście, na oczach wszystkich.

Zawołała do izby Anttiego, który podszedł do łoża żując kęs chleba, spojrzał na mnie ciekawie i rzekł:

— Twoja głowa, Mikaelu to bardzo dziwna rzecz, bo wytrzymuje najokropniejsze uderzenia. Byłbym przysięgł, że umrzesz, a ty żyjesz i nawet zdążyłeś już się zaręczyć. Mogę ci więc tylko życzyć szczęścia i powodzenia, choć szczerze mówiąc, trochę się dziwię twemu pochopnemu postanowieniu. Ale taki głupek jak ja nie może oczywiście wyrażać opinii o twoich postępkach i pewnie robisz mądrzej żeniąc się niż udając do Ziemi Świętej, by stać się niewolnikiem u pogan i niewiernych. Z drugiej jednak strony nie mogę ani rusz zrozumieć, co widzisz w pannie Barbarze i jak tak nagle mogłeś się w niej zadurzyć.

— Antti— odparłem — do niczego nie dojdziemy długą gadaniną i próżno płakać nad rozlanym mlekiem. Ile ci zostało pieniędzy?

Pogrzebał w sakiewce, policzył groszaki i oznajmił pogodnie:

— Niecały gulden. Oto skutki tego, żeś się uparł nosić wszystkie pieniądze w trzosie u pasa i zaszyte w ubraniu. Nie ufałeś mi i sądziłeś, że sprzeniewierzę twoją własność i przepiję pieniądze. Kto jak kto, ale ty powinieneś przecież wiedzieć, że najbardziej ze wszystkiego nie cierpię trunków upajających, które tylko przynoszą mi szkodę i zgubę. Ale wolałbym przepić te pieniądze, niż żebyś ty je przetrzącił szybciej niż kot kichnie. W naiwności myślałem, że to Bóg porwał cię za włosy do nieba, gdy tak nagle zniknąłeś z gościńca, a ja słyszałem tylko tętent kopyt i szum wiatru. I z płaczem biegłem za końmi aż do utraty tchu, ale zniknąłeś bez śladu. Wróciłem więc do miasta, żeby opowiedzieć księdzu o tym cudzie, ale oto u bramy miejskiej odnalazłem cię w towarzystwie twojej narzeczonej, na wiązce słomy, na wózku ciągnionym przez woły. I poszedłem za tobą aż tu, do tego domu, którego jedyną wadą jest skąpe jedzenie i surowy porządek.

— Antti, mój bracie — odparłem — nie ma wątpliwości, że jest intencją Stwórcy, i z pewnością tak mi zapisano w gwiazdach, że muszę zostać pod opieką tej cnotliwej panny. Takim słaby, że bez pieni-

dzy nie mogę ruszać w dalszą podróż, a jeśli zażąda zapłaty za mieszkanie i wyżywienie, lekarza i cyrulika, nie mani innej rady, tylko muszę się z nią ożenić, bo niewątpliwie zawdzięczam życie pannie Barbarze. To najprostsze i najłatwiejsze rozwiązanie wszystkich moich trosk i kłopotów, bo w tej chwili pragnę tylko odpoczynku. Toteż i ty musisz znaleźć sobie dobrą żonę, założyć dom i wykonywać jakiś uczciwy zawód, bo najwyższy czas, żebyś się już ustatkował.

Antti zasłonił się obu rękami i rzekł:

— Jesteś widocznie wciąż jeszcze zamroczoney na umyśle. A poza tym to niegodne wiernego druha wciągać brata w pułapkę, w którą sam wpadłeś. Ale nie musisz się niepokoić, Mikaelu. Także i ja wziąłem sobie narzeczoną. To kolubryna! Na imię jej Leniwa Dorota i bardzo jestem do niej przywiązany. Ale teraz czas się rozstać i pożegnać z sobą, Mikaelu, bo muszę wracać do mojej lubej.

Dopiero po długim wypytywaniu udało mi się dowiedzieć, że Anttie-mu sprzykrzył się chudy wikt u panny Barbary. Zabłądził do piwiarni, gdzie cesarski feldfebel zwerbował go na

puszkarza i wypłacił mu trzy guldeny na werbowniczym bębnie, Antti zaś przepił te pieniądze i wszystko, co jeszcze miał, tak że został mu tylko niespełna gulden.

— Zrozum, że byłem niespokojny o ciebie, bo myślałem, żeś stracił rozsądek. A cesarski feldfelbel opowiadał takie cuda o Włoszech i Księstwie Mediolanu, że zapragnąłem zobaczyć ten kraj na własne oczy, zwłaszcza że byłem wciąż pijany mocnym piwem, które tutaj warzą. Toteż musisz mi wybaczyć, bo doprawdy wolę leżeć przy mojej kolu-brynie niż w łożu swarliwej niewiasty.

Tak to Antti powędrował pod cesarskimi sztandarami walczyć we Włoszech i we Francji, a ja zostałem pod opieką panny Barbary. Doglądała mnie czule i nie spuszczała z oka ani na chwilę, a gdy tylko ogarniał mnie niepokój, wzywała cyrulika, żeby upuścił mi parę garnuszków krwi, co mnie zaraz uspokajało i czyniło sennym. • Kiedy już mogłem chodzić, usadowiła mnie na swoim kufrze na wozie zaprzężonym w woły i zawiozła do domu rodziców w mieście Memmingen, gdzie ojciec jej był rusznikarzem. Barbara była piątym i najmłodszym dzieckiem swoich rodziców i jedyną córką. Trzej starsi bracia służyli cesarzowi jako puszkarze, czwarty zaś, posępny i ponury, był czeladnikiem u ojca i miał w swoim czasie zostać po nirn mistrzem.

Wciąż jeszcze byłem zamroczony i nie pamiętałem dużo z mego minionego życia, które powoli wynurzało się z niepamięci. Barbara była łagodna, ale stanowcza, myślała za mnie i wszystko za mnie załatwiała, 12 — Mikael, t. I tak że nie odczuwałem żadnych życiowych kłopotów. Tak minęły dwa miesiące, w czasie których — zbyt słaby jeszcze, aby dużo chodzić — trzymałem się przeważnie domu, a liście w ogrodzie zrobiły się płomiennie czerwone. Aż pewnego dnia Barbara nieśmiało wpatrując się we mnie swymi złotozielonymi oczyma, rzekła z wahaniem:

— Jesteś już zdrow i w pełni sił, Mikaelu, i musisz rozstrzygnąć, co chcesz robić dalej, bo nie wypada, żebyś jako obcy żył w naszym domu i zjadał chleb moich rodziców. Nie chcę cię zmuszać do niczego i jeśli pragniesz, możesz swobodnie odejść, a ja nie żądam zapłaty za nic. Ale jestem samotna i opuszczona, a i ty nie masz ani rodziców, ani przyjaciół, ani nawet domu, do którego mógłbyś wrócić. Dlaczego więc nie miałbyś zostać u mnie i przyjąć wiana, żebyśmy w nadchodzący dzień Wszystkich Świętych mogli zawrzeć chrześcijańskie małżeństwo i dzielić odtąd stół i łożo, skoro serce moje upodobało sobie ciebie i chyba już nie mogłabym dłużej żyć, gdybyś mnie opuścił i odszedł.

Podawała mi haftowaną przez siebie piękną koszulę i zawiesiła mi na szyi łańcuch miedziany z owalnym wizerunkiem jakiegoś świętego. Dotknęła przy tym dłonią mego ramienia i zbliżyła twarz do mojej. Wionęło od niej ciepłem, zaczerwieniła się, rysy jej zmiękły i piegi znikły, i widziałem tylko jej złotozielone urocze oczy, które wysysały ze mnie całą siłę i czyniły ją dla mnie upragnioną. Nie bardzo wiedząc, co czynię, wziąłem ją w ramiona, przytuliłem do siebie i całując jej wargi powiedziałem:

— Jestem w twojej mocy, Barbaro, i nie mam innego wyboru. Jeśli chcesz związać swój los z moim, pragnę dzielić z tobą małżeńskie łożo, choć może dźwigam jakieś przekleństwo i przynoszę zawsze nieszczęście tym, których kocham.

Ucałowała mnie namiętnie niezliczoną ilość razy i odparła:

— Cieszę się z całego serca, że wybrałeś mnie na żonę, i przyrzekam być dla ciebie dobrą i wierną małżonką. I nie wiem, jak doczekam aż do Wszystkich Świętych, bo przez całe życie bardzo tęskniłam do małżeństwa. Musisz zaraz ułożyć się z ojcem co do posagu, i to ja będę mówić w twoim imieniu, bo już zauważyłam, że jesteś nieśmiały.

W taki to sposób związałem się z Barbarą i nigdy tego nie żałowałem, choć przed dniem ślubu często przyglądałem się jej z boku i wyraźnie widziałem, że nie była już taka młoda. Ale wystarczyło, by popatrzyła na mnie swymi złotozielonymi oczyma, i zaraz była jak odmieniona, powabna, rysy jej miękkie, piegi znikły z twarzy, a zęby stawały się białe i wolne od skazy. I wpatrywałem się w te jej oczy jak zaczarowany.

Pewnego dnia, gdy przygotowania do wesela w domu rusznikarza były w pełnym toku, Barbara po raz pierwszy straciła cierpliwość, wsunęła mi do ręki sztukę srebra i poprosiła, żebym poszedł na piwo do piwnicy „Pod Kłem Dzika”, zamiast płać się po domu. Chętnie usłuchałem i poszedłem do piwiarni, która leżała koło ratusza i gdzie było chłodno w lecie i ciepło w zimie, tak jak powinno być w dobrej piwiarni.

Tak długo żyłem z dala od ludzi, że zmieszałem się, gdy nagle ucichł szmer głosów i wszystkie spojrzenia zwróciły się na mnie. Ale że miałem na sobie przyzwoitą odzież, którą mi kazała uszyć Barbara, siadłem bez ceremonii przy końcu stołu i kazałem gospodarzowi podać dzban najlepszego piwa. Zawahał się przez chwilę udając, że wyciera stół rąbkiem fartucha, w końcu jednak natoczył piwa z beczki, ale podając tak mocno je postawił, że piana opryskała mi kolana. Młodzi mężczyźni, siedzący przy tym samym stole, zaczęli coś szeptać między sobą, a jeden z nich splunął ze złością na podłogę, gdy spotkał moje spojrzenie. Nie dbałem jednak o niego, bo sądząc z ubrania, był to jakiś prosty czeladnik. Bardziej natomiast zainteresował mnie inny młodzieniec, który siedział pośrodku, mając przed sobą otwartą książkę. Nosił on u pasa miedziane przybory do pisania, a rękawy miał bufiaste i rozcięte według najnowszej mody. Przykuło mnie jednak nie tyle jego ubranie, co twarz. Było to oblicze otwarte i energiczne, a duże błyszczące oczy, szeroko rozstawione pod czarnymi brwiami, nadawały mu myślący wygląd człowieka silnego duchem. Podczas gdy sączyłem piwo, on nakazał swoim towarzyszom ciszę i zaczął dalej czytać głośno z książki rozłożonej przed sobą, od miejsca, w którym mu przerwało moje przyjście. Słuchałem uważnie i treść słów wydała mi się znana, ale trwało dobrą chwilę, nim pojąłem, że czyta Ewangelię po niemiecku. Był to dla mnie taki wstrząs, że gwałtownie się poderwałem i mimo woli zrobiłem znak krzyża. Na to czytający obruszył się, zamilkł, wlepił we mnie oczy spod namarszczonych brwi i powiedział:

— Jeśli jesteś obcy w mieście Memmingen i boisz się słuchać słów bożych, nic ci nie stoi na przeszkodzie dopić do dna piwo i pobiec do rady :i do proboszcza, by na mnie donieść. A żebyś wiedział, kogo masz wydać, powiem ci, że nazywam się Sebastian Lotzer i że ojciec mój jest kuźnikiem. Służę u niego jako czeladnik, a w wolnych chwilach wykładam słowo boże uczciwym ludziom w języku, który rozumieją.

Jego towarzysze zaczęli szemrać i szturchać się łokciami, mówiąc między sobą:

— Wyrzucmy stąd tego księżego pupilka i połammy mu wszystkie kości, żeby wiedział, co go czeka, jeśli ma zamiar zostać w Memmingen. To pewnie ten błąd narzeczony Barbary Buchsenmeister, co to nie wiadomo jakiemu diabłu wypadł spod ogona.

Ich wzburzenie nastraszyło mnie i dotknęło, toteż zacząłem się wycofywać do drzwi, uważając kłótnię za poniżej mej godności. Mimo to jednak odezwałem się na swoją obronę:

— Nazywam się Mikael Pelzfuss i jestem bakałarzem czcigodnego "uniwersytetu w Paryżu. Nie macie żadnego powodu, żeby mnie nienawidzić. Dopiero co ozdrowiałem z ciężkiej choroby, a przed chwilą zdawało mi się, że słyszę, jak ty, Sebastianie Lotzer, czytasz słowa boże z książki drukowanej po niemiecku, i to mimo że nosisz strój świecki i mówisz, iż jesteś kuźnikiem z zawodu. Toteż mogę to rozumieć tylko tak, że diabeł chce wypróbować moją wiarę niecnym podstępem i że poplątał mi słuch i zaczarował oczy.

Sebastian Lotzer uśmiechnął się do mnie i rzekł:

— Długo istotnie musiałeś chorować, skoro nie umiesz jeszcze czytać znaków czasu. Siadaj pośród nas i słuchaj tego, co czytam, bo wraz z towarzyszami kupiliśmy tę świętą książkę za cenę dobrego konia, aby oprzeć wiarę w zbawienie wyłącznie na świętych słowach Biblii i według nich oceniać wszystko, co się dzieje. Ta księga to Nowy Testament, przełożony na język niemiecki przez doktora Lutra, wcale zaś nie jakiś diabelski wynalazek. Każdy uczciwy człowiek może odtąd czytać i wykladać treść Biblii i nie znalazłem w całej książce ani słowa, które by zakazywało to czynić laikowi.

W taki to sposób zapoznałem się z Sebastianem Lotzerem i zacząłem słuchać, jak wyklada słowa Biblii całkiem inaczej niż ktokolwiek inny dotychczas. Gdyż on i jego przyjaciele tkacze nie szukali w Biblii przede wszystkim zbawienia duszy; chcieli raczej wiedzieć, czy są obowiązani opłacać małe i duże dziesięciny kościelne i czy człowiek musi czcić świętych, wierzyć w czyściec i orędownictwa lub też czy mnisi i mniszki po klasztorach mają prawo konkurować w pracy z ubogim cechem tkaczy, nie płacąc podatków ani innych opłat miejskich. Sebastian Lotzer udowodniał śmiało, że ludzie nie muszą wierzyć w nic ani płacić niczego, do czego ich nie zobowiązują wyraźnie słowa Biblii. Twierdził też, że w Piśmie świętym nie ma mowy o klasztorach, które są czystym wynalazkiem diabelskim, mającym na celu gnębienie i dręczenie biednego ludu i szkodzenie uczciwym rzemieślnikom. Ubodzy tkacze nie mogą już wyżywić swoich rodzin, ponieważ muszą konkurować z wielkimi tkalniami klasztornymi, wolnymi od wszystkich danin.

I dodawał:

— Sprawiedliwość boska przewyższa kościelną i cesarską, bo Kościół to instytucja ludzka, a cesarz też jest wybierany przez ludzi. I na pewno nie jest wolą boską, aby mnisi obrastali w sadło w klasztorach, podczas gdy chłopci i mieszczenie muszą ciężko harować na suchy chleb. Nie, trzeba z tym zrobić koniec, bo krew Chrystusa zbawiła wszystkich biednych ludzi, toteż wszyscy jesteśmy równi w obliczu Boga. Bóg nie zna biskupów ani księży, mnichów czy hrabiów i przed Bogiem wszyscy mają jednakowe prawa. Ludzie muszą w tym celu uczyć się rozumieć znaki naszych czasów, bo cierpliwość ubożego ludu nie jest nieskończona.

Gospodarz spod „Kła Dzika” słucał do tej pory z szacunkiem, ale teraz zaniepokoił się, zebrał ze stołu puste dzbany, wytarł rozlane piwo i rzekł:

— Więcej nie mogę podawać na kredyt ani tobie, ani twoim przyjaciołom, Sebastianie. Gdyby ojciec twój słucał, co glosisz, spralby cię na kwaśne jabłko. Najlepiej, żebyś odtąd czytał głośno z świętej książki gdzie indziej, choć przyznaję, ciekawie było słucać o rzeczach, o których dotąd nie wiedziałem. Za chwilę zbierają się bowiem tutaj mieszczenie, aby ćwiczyć się w śpiewie chóralnym, a wtedy czeladnicy muszą się stąd zabierać, czy stoi o tym w Biblii, czy nie.

Sebastian Lotzer owinął drogocenną książkę w płat sukna i wsadził ją pod pachę. Wyszliśmy razem z gospody i gdy towarzysze jego mocno kląć spierali się o słowa Biblii, Sebastian powiedział do mnie:

— Bądźmy przyjaciółmi, Mikaelu! Brak mi bowiem kogoś z mego stanu, z kim mógłbym roztrząsać płomienne myśli, jakie kłębią mi się w głowie. Chętnie chciałbym też rozmawiać z tobą po łacinie. Uczyłem się jej na własną rękę i choć mówię dość kulawo, czytałem dużo z Biblii po łacinie, nim ukazała się drukiem ta niezrównana księga.

Pożegnał się z towarzyszami i zaprowadził mnie do domu swego ojca, wysokiego i rozrośniętego mężczyzny, z podobnie jak u syna szeroko rozstawionymi dużymi błyszczącymi oczyma. Zamaszystymi, pewnymi cięciami noża kroił właśnie cenne futro na obramowania płaszczy bogatych i możnych.

Znalazłem przyjaciela — oznajmił Sebastian przedstawiając mnie ojcu. — Jest on obcym w tym mieście, ale to młodzieniec uczony, z dwornymi manierami, i proszę cię, ojcze, okaż mu życzliwość i nie miej mi za złe, że będę z nim dziś rozmawiać i dyskutować raczej niż pomagać ci przy przykrawaniu.

Mistrz Lotzer spojrział na mnie przeciągle, jakby chcąc mnie ocenić, po czym rzekł:

— Witaj w moim domu, Mikaelu Pelzfuss! Nie ściągnij nieszczęścia na mego syna, bo to wartogłów, który szybciej mówi, niż myśli. Toteż powinieneś go uspokajać i poskramiać. Wiem już, że nie jest stworzony na kuśnierza, bo gęsie pióro szybciej biega w jego rękę niż nóż kuśnierski, ale jeśli się w porę nie ustakuje, stanie się niebawem istną klęską dla wszystkich dobrych ludzi. Miałem nadzieję, że zostanie prawnikiem, i postarałem mu się o miejsce pisarza w sądzie, ale stracił je z powodu arogancji i pyskowania. Nie śmiem posłać go



na uniwersytet do Bolonii, bo nie umie trzymać języka za zębami i w obcym mieście łatwo wpadłby w szpony Inkwizycji. I ja jestem wolnomyślny i pozwalam każdemu myśleć, co mu się podoba, ale mój młody syn nie rozumie jeszcze, że jest różnica między myśleniem a myśleniem głośno.

Sebastian uściskał ojca i uśmiechnął się do niego promiennie, a gdy patrzyłem na jego dumną głowę i szlachetną postawę, zrozumiałem, że ani ojciec, ani nikt inny nie mógł w głębi serca gniewać się na niego i że zwykle zapewne wybaczano mu jego nierozsądne słowa. Zaprowadził mnie do swojej izby, gdzie było dużo książek, kominek z niebieskoszarych kafli i łoże przykryte narzutą z lśniącego futra. Uświadomiłem sobie, że był to rozpieszczony syn zamożnej rodziny, który nigdy nie musiał marznąć ani cierpieć żadnych braków. Dlatego też z pewnością łatwo mu było igrać z myślami, które kogoś innego mogły pozbawić domu i chleba, a może nawet zaprowadzić na stos kacerski. Mówił z wielkim entuzjazmem, nie dając mi często okazji do wtrącenia słowa, ale gdy w końcu umilkł, powiedziałem:

— Sebastianie, wiesz już, że w sobotę mam zawrzeć małżeństwo z córką rusznikarza, Barbarą, a że jestem tu obcy, nie mam nikogo, kto by mnie odprowadził do ołtarza. Jeśli chcesz być moim przyjacielem, tak jak twierdzisz, towarzyszy mi do ołtarza, a potem przyjdź do weselnego domu jako mój gość, żebym nie stał się pośmiewiskiem wszystkich.

Spochmurniał i zagryzł wargi odwracając wzrok. A po chwili rzekł:

— Mikaelu, czy zdajesz sobie dobrze sprawę z tego, co zamierzasz uczynić i czy istotnie znasz rudą Barbarę i jej rodzinę? Dziewczyna ma niedobrą sławę, co nawet odsunęło jej rodziców od innych mieszczan. Czy wiesz, że raz musiała już nawet składać przysięgę oczyszczającą przed trybunałem duchownym? Nie jest to wprawdzie żaden dowód, bo pobożni słudzy Kościoła mają na oku głównie te dwa i pół guldena, które dostają w wykupie, ale nawet słudzy Kościoła nie mogą żądać przysięgi oczyszczającej od człowieka, który nie daje powodów do podejrzeń. Wierz mi, Barbara ma złą reputację i nikt w Memmingen nie może zrozumieć, że zdobyła sobie takiego narzeczonego jak ty naturalnymi środkami. Wielu utrzymuje, że i ty jesteś diabelskim nasieniem, boś taki nienaturalnie bładny, inni zaś mówią, żeś tylko ubogim poszukiwaczem szczęścia, którzy w swej głupocie pożądają pieniędzy rusznikarza. Ja jednak wiem po rozmowie z tobą, że nie jesteś ani jednym, ani drugim, i dlatego ostrzegam cię, abyś sobie uświadomił, co chcesz zrobić.

Słowa jego wyjaśniły mi wiele z tego, na co już zwróciłem uwagę, ale o czym nie miałem siły myśleć, chory i słaby. Ostrzeżenie dotknęło mnie, bo już zdążyłem przywyknąć do myśli, że opatrność przeznaczyła mnie na męża Barbary. Opowiedziałem więc, to co uznałem za stosowne, o naszym pierwszym spotkaniu w lesie i prosiłem Sebastiana, by lepiej rozważył swoje słowa i powiedział mi, co złego widzi w Barbarze.

— Od dziecka była inna niż wszyscy — odparł z wahaniem. — I nikt nie może zrozumieć tajemniczej władzy, jaką ma nad rodzicami.

Dotknąłem miedzianego łańcucha, który mi dała Barbara, i odparłem:

— Ty też jesteś inny, Sebastianie. I ty też masz dziwną moc nad ojcem, który nie łąje cię, choć z pewnością miałby do tego powody.

Sebastian musiał się uśmiechnąć, ale ciągnął dalej:

Nie rozumiesz albo nie chcesz tego dobrze zrozumieć. Był tu kiedyś chłopak, którego Barbara zaczarowała, choć wszystkie dzieci unikały jej, biły ją i ciągnęły za włosy, gdy chciała się z nimi bawić. Chłopaka tego zabił piorun. Samo spojrzenie Barbary wysusza pokarm w piersi młodych matek. A gdy kiedyś rozgniewała się na żonę kupca korzennego i wyciągnęła ku niej rękę, tamtej zrobiły się na dłoni trzy czarne plamy. Toteż nikt nie ośmiela się spojrzeć jej w oczy; i to tymi oczyma z pewnością cię zaczarowała, Mikaelu, bo dawno już wyszła z lat najlepszych do zamążpójścia, jest brzydka i ruda, i ma ze-by zjedzone przez robaki.

Jeż to wszystko prawda, co mówisz, Sebastianie — odrzeknij • ale może i zwykła miłość nie Jest niczym innym jak zaślepieczaniem, bo matka kocha także i najbrzydsze

dziecko i uważa je za ładne. Każde twoje słowo trafia mnie boleśnie w samo serce, bo w moich oczach Barbara nie jest brzydka. Dla mnie cera jej jest ciepła i biała i kocham jej złotozielone oczy i jej włosy. I wcale nie pożądam pieniędzy jej ojca, lecz chcę ją utrzymywać tak jak przystało na małżonka, gdy dostanę jakieś zajęcie, odpowiednie do moich umiejętności. Jeśli chcesz być moim przyjacielem, winienesz mnie przeprosić za obraźliwe słowa, bo inaczej muszę być twoim wrogiem. Chłószcz językiem mnie, bo jestem błądy i obcy, ale nie chłószcz Barbary, która jest moją przyszłą żoną.

Gwałtowna radość i uniesienie ogarnęły mnie, gdy mówiłem te słowa do Sebastiana. Dopiero gdy lżył moją narzeczoną, zrozumiałem, jak bardzo kocham Barbarę, że pragnę jej i że chcę żyć z nią razem, choć nawet mnie samemu wydawało się to dziwne. I Sebastian nie 1 potrafił mi się oprzeć. Jego ciepła serdeczność była silniejsza niż zdrowy rozsądek. Uścisnął mnie jak przyjaciela i obiecał mi towarzyszyć do ołtarza, odziany w najpiękniejsze szaty, potem zaś przyjść na wesele jako mój gość. Pożyczył mi nawet aksamitny płaszcz z kołnierzem z niebieskiego lisa, abym miał co włożyć na ramiona w weselnym orszaku, bo pogoda robiła się już chłodna i często wiały lodowate wiatry od Alp.

Nie chce więcej opowiadać o moim ślubie, bo byłem szczęśliwy i zaślepiony i nie zwracałem uwagi na żadne złe znaki, choć ludzie patrzyli na nasz orszak weselny z kwaśnymi minami i nie składali nam życzeń i błogosławieństw, jak to było w zwyczaju. Przed domem rusznikarza rozdawano biednym jałmużnę i podejmowano ich jadłem, na ucztę weselną przybyło wielu gości, a do stołu przygrywała nam muzyka złożona z bębenków i piszczałek. Sebastian, ożywiony i wesoły, prawił mnóstwo dowcipów niewiastom, a jego swobodne zachowanie bardzo się przyczyniło do podniesienia nastroju. I podziwiałem go tak bardzo, jak podziwiałem Barbarę, której złotozielone oczy świeciły do mnie tajemniczym blaskiem, ilekroć na nią spojrzałem, aż wreszcie z trudem tylko mogłem doczekać się chwili, gdy goście weselni odprowadzą nas do małżeńskiej łóżnicy. A gdy już wszyscy odeszli, zostawiając nas samych, pod drzwiami zostali tylko grajkowie, którzy mieli nam przygrywać do późnej nocy, aby zagłuszać możliwy płacz i skargi wstydlivej oblubienicy.

Ale Barbara wcale nie była wstydliva ani zalękniona. I gdy tylko znalazła się sama ze mną w łóżu, rozgorzała taką czułością i namiętnością, że następnego dnia rano byłem bardziej umarły niż żywy.

Wiano Barbary stanowiła odzież odświętna i bielizna oraz naczynia gospodarskie, a także pięćdziesiąt reńskich dukatów, które stary rusz nikarz skrupulatnie mi odliczył w skórzanym mieszk. Chciałem uścisnąć go jak ojca, ;"a on odepchnął mnie szorstko. I nie minął tydzień, jak zrozumiałem, że i on, i jego syn szczerze pragną, żebyśmy się wynieśli z ich domu.

Zacząłem szukać jakiegoś odpowiedniego zajęcia, ale nie należałem do żadnego cechu i byłem w mieście obcy, toteż gdy spotkałem się z kilkoma bezwzględnyymi i upokarzającymi odmowami, ogarnęło mnie wielkie przygnębienie i poczułem się jak wyrzutek. Jedynym moim przyjacielem był Sebastian, który chętnie roztrząsał ze mną różne problemy, ale ponieważ interesowały mnie bardziej problemy teologiczne niż prawnicze, mówiliśmy często zupełnie o czymś innym, wykładając jasno słowa Biblii. Jego towarzysze raczej mnie unikali, zazdroszcząc mi jego przyjaźni, i dalej nazywali mnie bladolicym, choć odzyskałem już siły i zdrowy kolor twarzy.

Duma moja cierpiała z powodu tego wszystkiego bardzo, ale mimo usilnych starań nie mogłem znaleźć żadnej stosownej pracy. Toteż popadłem w rozterkę i przygnębienie.

Całe dni spędzałem karmiąc ptaszki i patrząc przez zielone szybki okien na strome dachy sąsiednich domów. I nie ważyłem się już nawet zejść na dół do warsztatu, bo rusznikarz i jego syn patrzyli na mnie coraz niechętniej, dając mi wyraźnie do zrozumienia, że jestem bezużytecznym darmozjadem.

W końcu nie mogłem już opanować rozpacz, złożyłem głowę na kolanach Barbary i gorzko narzekając powiedziałem:

— Nicpoń ze mnie i niedołęga, samotny jak palec na świecie. Nikt mi nie chce powiedzieć dobrego słowa i nie umiem nawet wyżywić żony. Kiepsko zrobiłaś, Barbaro, wybierając mnie na męża. Z pewnością byłoby lepiej, gdybym znikł z tego świata tak samo, jak nań przyszedłem.

A ona pogładziła mnie po włosach wąską dłonią i powiedziała:

— Nie martw się, Mikaelu, bo wszystko już sobie ułożyłam. Jeśli chcesz, możemy stąd wyjechać, bo chętnie będę żyć z tobą pod gołym niebem, gdyż cię kocham. Pisarz rady miejskiej to pijak i trzęsą mu się ręce. Prędzej niż przypuszczasz spotka go jakieś nieszczęście i sądzę, że będziesz mógł kupić jego stanowisko. Staraj się więc pozyskać jego przyjaźń i pomagaj mu tymczasem bezinteresownie w pracy, żeby panowie z rady zdążyli się do ciebie przyzwyczaić i przestali cię unikać. Chętnie bym poszła z tobą w świat, ale czasy są niepewne i miasta zubożały, a rękodzielnicy narzekają wszędzie na dodatkowe opłaty i mniejsze zarobki. Toteż lepiej, żebyśmy nie ryzykowali i zo r, stali tu w Memmingen, gdzie ludzie znają mnie i mego ojca, choć mnie nienawidzą.

Gdy gładziła mnie po głowie, przejęło mnie rozkoszne zwodnicze uczucie bezpieczeństwa i nie zastanawiałem się dokładniej nad treścią jej słów. Toteż wdałem się w znajomość z pisarzem rady, co było bardzo proste, gdyż wystarczyło go zaprosić na piwo „Pod Kłem Dzika”. Zabierał mnie odtąd często do swego urzędu albo na posiedzenia rady i pomagałem mu sporządzać protokoły, żeby szybciej mógł wrócić do szynku. Nauczyłem się obchodzić z pieczęcią miejską i osłuchiwałem z najczęstszymi dyskusjami, tyczącymi się fałszywych miar i wag używanych przez kupców albo kontroli cen wyrobów rękodzielniczych w celu zapobieżenia nieuczciwej konkurencji. I wcale nie myślałem o tym, jak monotonna i nudna może być taka praca, lecz zacząłem marzyć, jak cudnie byłoby pędzić takie spokojne życie, wykonując to proste zajęcie, i zestarzeć się jak szanowny człowiek z dobrą żoną, wśród rozmów z przyjaciółmi i uczonych ksiąg jako doczesnej rozrywki. Z myślą o takiej przyszłości robiłem, co mogłem, żeby pozyskać sobie przychylność radnych, kłaniałem im się nisko, spotykając ich na swej drodze, przychodziłem do pracy zawsze schludnie ubrany i wypisywałem akta najładniejszym charakterem pisma. I wcale nie przestraszał mnie niechlujny i zapuszczony wygląd mego pryncypała pisarza, jego rozczochrane włosy, kaftan wytarty na łokciach, przekrwione oczy, obrzękła twarz i wiecznie trzęsące się od nadmiernego picia ręce. Widziałem w nim obraz mojej własnej przyszłości w służbie miasta. Zazdrościłem mu jego stanowiska i w głębi serca życzyłem mu źle. Ale nie ważyłem się tego przyznawać nawet przed samym sobą i zadowalałem się tylko zapraszaniem go na piwo, aby się upijał i potrzebował pomocy coraz częściej.

Tymczasem wrócił Sebastian, który wraz z miejscowym proboszczem, zwolennikiem Zwingli'ego wybrał się do Zurychu po nowiny i na dysputę w sprawach religijnych. Wrócili obaj upojeni religijnym zapałem i wiarą w zwycięstwo, gdyż — jak obwieścili swoim zwolennikom w Memmingen — proboszcz Zurychu, Ulryk Zwingli, z powodzeniem bronił sześćdziesięciu trzech tezo wolności chrześcijan o d ucisku Kościoła i nikt nie umiał stawić mu prawdziwego oporu.

— Gdy ktoś próbował zabrać głos — opowiadał Sebastian — Zwingli zmuszał go do milczenia płomiennym spojrzeniem i grzmiącymi słowy i przeciwnicy uznali za najrozsądniejsze milczeć z uwagi na własną skórę, bo srodzy mężowie stali gotowi, aby ich wyrzucić z sali i wychłostać pod ratuszem, w razie gdyby odważyli się sprzeciwić świętym słowom Biblii. Skutek był taki, że wysłannicy bisku pów, księża i mnisi uchylili się od dysputy i umknęli jak wystraszone psy z podwiniętymi ogonami, i prorok Boga pozostał jako zwycięzca w katedrze. Wysoka rada miasta postanowiła, że odtąd w kantonie Zurychu nie wolno głosić niczego, co nie opierałoby się na wyraźnych słowach Biblii, zrozumiałych dla każdego uczciwego człowieka. Uchwała ta była z góry powzięta i miała wejść w życie, gdyby

Zwingli zwyciężył w dyspucie. A pozycja jego jest bardzo mocna, bo silnie podkreśla, że nie jest uczniem Lutra, tak że przeciwnicy jego nie mogą przeciw niemu stosować klątwy.

A gdy wyraziłem wątpliwości, czy to możliwe, aby Bóg obdarzył go łaską większą niż dana była ojcom Kościoła i dał zwycięstwo człowiekowi tak niegodnemu jak Zwingli, który jest niewolnikiem własnego ciała i złamał celibat, wstępując w związki małżeńskie, oraz nie przejawia świętości w swoich obyczajach, Sebastian spojrział na mnie przenikliwie i licznymi argumentami usiłował przewyciężyć moje zastrzeżenia, w końcu zaś rzekł:

— Mikaelu, Bóg dał człowiekowi na mieszkanie wspaniały świat i władzę nad zwierzętami w lesie, ptakami w powietrzu i rybami w rzekach, a krwią swego Syna jedynego odkupił ludzi i uczynił ich równymi, bez -względu na stan i majątek. Taka i tylko taka jest prawdziwa, nauka Biblii. Ale chłop musi harować w pocie czoła wyłącznie dla dobra pana na zamku, a praca rękodzielnika wychodzi na korzyść jedynie wielkim domom handlowym. Chłopa zakuwają w kajdany i musi gnć w lochach zamkowych, jeśli ośmieli się złowić rybę w rzece i zgotować z niej supę dla chorej żony, a rzemieślnik traci chleb powszedni i zostaje wygnany z miasta, jeśli w gniewie zaciśnie pięści i wykrzykuje przekleństwa przeciw wielkim tkalniom klasztornym. Bóg nie mógł tak chcieć i dlatego musi Biblia stać się bronią, gdy królestwo boże buduje się na ziemi.

Siedziałem wpatrzony w Sebastiana, ale nie patrzyłem już na niego jak na przyjaciela, tylko jak na piękne i niebezpieczne zwierzę o jedwabnym futerku. Jego kaftan przybrany był srebrnymi guzami, a puszysty futrzany kołnierz przy aksamitnym płaszczu miękko muskał jego czerwone policzki, gdy Sebastian gwałtownie poruszał głową, aby nadać wagę swoim słowom. Grzech, cierpienie i odkupienie człowieka były dla niego czymś obcym i niepojętym, a w Biblii nie szukał drogi do królestwa niebieskiego, lecz jedynie zmiany stosunków na ziemi. Toteż odparłem:

— Najemni żołdacy noszą Biblię w plecakach, by plądrować kościoły i gwałcić mniszki. Biblia to straszliwa broń w rękach człowieka nieoświeconego, jeśli nie szuka on w niej z czystym sercem zbawienia, a tylko pragnie zaspokoić żądze. Wierz mi, Sebastianie, szatan jest najgorliwszym czytelnikiem Biblii. Erazm zniósł jaje. Luter je wysiedział, aż wyskoczył z niego kogut, a Zwingli zapiał już jak kogut, w pełni wyrosły. Ty zaś rozniecasz płomień i zapalasz pochodnię, od której jeszcze zapali się cały kurnik. Dlaczego to robisz i co cię właściwie dręczy? Nie mogę zrozumieć, co cię opętało, bo przecież nie brak ci niczego, czego człowiek mógłby słusznie pragnąć w tym życiu. Jesteś młody i zdrow, pochodzisz z dobrego domu i wszystkie drzwi stoją przed tobą otworem, gdy zapragniesz. Odwrócił wzrok, poczerwieniał jak burak i odparł:

— Są drzwi, które się dla mnie nie otworzą, choćbym rozbijał sobie o nie pięści do krwi. Ale niedługo otworzymy te drzwi prochem i działami i wtedy nikt już nie będzie mną gardził.

Barbara wmixała się do rozmowy i żartobliwie rzekła:

— Sebastianie, nie musisz rozwalić całego świata z powodu twego pożądanja. Kup lepiej jakiś wypróbowany lubczyk, a wtedy nie bę^ dzie ci trzeba żadnej Biblii. Zaspokoisz żądze i uzyskasz spokój ducha za parę sztuk złota.

Sebastian poderwał się jak ukąszony i ryknął głosem drgającym od nienawiści:

— Ty diabelska czarownico, dziewczko i kobieto o złym oku! Dość nacierpieliśmy się z twego powodu w Memmingen i przysięga oczyszczająca już ci nie wystarczy. Pewnego pięknego dnia usmażysz się na stosie i odkupisz twoje złe uczynki.

Nie sądzę, żeby Barbara chciała powiedzieć coś złośliwego, ale gdy Sebastian ją przeklinał, wstała, jej zielonkawe oczy rozbłyły gniewem, a policzki stały się nagle tak białe, że piegi wystąpiły na nich jak brunatne plamy. Przez chwilę wpatrywała się ostro w Sebastiana, ale opanowała się i opuściła izbę bez słowa. Wtedy on pożałował swego wybuchu i kilka razy przeżegnał się znakiem krzyża. Rozgorzyczony jego gwałtownością, odezwałem się drwiąco:

—\* Jeśli chcesz iść za Chrystusem według niedwuznacznych przykazań Biblii, powinieneś sprzedać wszystko, co posiadasz, a pieniądze rozdzielić między ubogich, bo jeśli już kto, to właśnie ty najbardziej jesteś bogatym młodzieńcem z Biblii. A święty Franciszek właśnie tak postąpił.

Wtedy zbladł i odrzekł:

— Masz słuszość, Mikaelu, ale ja nie zamierzam popełnić błędu świętego Franciszka i szukać nieba po śmierci. Nie, będę szukał królestwa niebieskiego na tej ziemi i zmuszę klasztory i bogaczy, że by podzielili majątki między biednych i zadowolili się tym samym co ja.

Wyrzekłszy te słowa, rzucił swój piękny aksamitny płaszcz na ziemię i podeptał go nogami, poodrywał z pasją srebrne guzy od kaftana i rozrzucił je po izbie, krzyząc:

— Od dziś odzież moją będzie odzież biednego czeladnika i będę zarabiać na chleb pracą rąk i zadowalać się pożywieniem, jakie ma najbiedniejszy czeladnik w domu mego ojca, i nikogo nie będę prosić o łaskę.

Poszarpawszy ubranie na strzępy, zalał się łzami, wybiegł z izby i wypadł z domu, zanim zdążyłem się z nim pożegnać. Wywnioskowałem z tego, że dręczy go jakaś tajemna troska sercowa, i którą wyznać zbyt był dumny, i wołał już zachowywać się jak szaleniec.

Barbara wróciła do izby, wciąż jeszcze blada. Podniosła z ziemi aksamitny płaszcz Sebastiana i oczyściła z kurzu, pozbierała srebrne guzy i z goryczą powiedziała:

— Sebastianowi łatwo tak mówić, bo jest synem bogacza i nikt nie ośmieli się podnieść na niego choćby palca. Gdybyś jednak ty, obcy, mówił i zachowywał się podobnie jak on, zostałbyś wygnany z miasta jako podżegacz. A przecież Sebastianowi nic nie dolega, prócz tego, że szlachetnie urodzona panna z zamku dała mu kosza z powodu mieszczańskiego stanu, ojciec jego zaś nie jest dostatecznie bogaty, żeby mógł tak jak Jakub Fugger kupić sobie od cesarza hrabiowską koronę.

Uderzył mnie nowy akcent w jej głosie, zapytałem więc:

— Barbaro, czy rzeczywiście chciałabyś, żebym mówił tak jak on i głosił przekształcenie świata?

Po raz pierwszy odwróciła oczy, gdy ją o coś pytałem, i nagle zobaczyłem, że jest brzydka i chuda, ma wystające kości policzkowe i piegi.

— Gdybyś miał wiarę, Mikaelu, nie pytałbyś mnie o radę — odparła — ale ty jej nie masz, choć wiesz, że Kościół często jest okrutny, księża leniwa, a mnisi skąpi i ciemni. Wody święconej i wosku można używać zarówno w złych, jak i w dobrych celach. I może ty też jesteś taki sam, Mikaelu, i może ja jestem taka, choć o tym nie wiesz. Ale mój kobiecy rozsądek mówi mi, że świata nie można zmienić i że zawsze będą na świecie bogaci i biedni, możni i uciskani, tak jak i pośród ludzi są mądrzy i głupi, silni i słabi, zdrowi i chorzy. Toteż nie kocham ludzi i nie życzę im dobrze, gdyż oni mi tego nie życzą, co łatwo mogłeś zmiarkować ze słów Sebastiana. Jesteś jedynym, którego kocham, Mikaelu. Żyjmy więc dalej ha uboczu i siedźmy cicho, żeby nie budzić niechęci, w razie gdyby ludzie zauważyli, że oboje jesteśmy ulepiani z zaczarowanego wosku.

A gdy znowu spojrzała na mnie swymi zielonkawymi oczyma, z których biła czułość, zapomniałem o jej zagadkowych słowach. Nagle zrobiła się piękna i wzięłem ją w ramiona i żądza ogarnęła mnie jak fala, i zazналиśmy z sobą szczęścia, choć było to wielkim grzechem w biały dzień w jasnej izbie. Powiedziałem sobie w duchu, że świat, na którym żyjemy, jest być może tonącym okrętem, ale nie zostałem stworzony po to, by go ratować, choć z drugiej strony nie chciałem też brać udziału w zatapianiu go. Do spotkania się planet pod znakiem Ryb pozostał niespełna rok.

Tak to ochłodziła moja przyjaźń z Sebastianem. Dotrzymał słowa i zaczął żyć jak ubogi czeladnik i jadać przy stole czeladników swego ojca. Wieczorami czytał Biblię i pisał długie polemiczne traktaty o wolności chrześcijan, i udało mu się przekonać pewnego drukarza, by

wydrukował parę z nich. I nawet nie miałem ochoty spotykać go więcej, bo miał bardzo złą sławę u panów z rady, a nawet własny ojciec skarżył się gorzko na jego upór i podejrzewał, że ktoś zaczarował Sebastiana, skoro nagle stał się on tak całkiem inny. Co do mnie, nie znajdowałem, żeby jego przemiana była tak bardzo nagła, bo wiedziałem, że długo w nim dojrzewała. Ale ojciec jego nie umiał zajrzeć mu do głębi serca i lamentował z powodu zmian zewnętrznych, które widział. I w rzeczy samej nie minęło wiele tygodni, jak Sebastian stał się równie chudy, zaniedbany i płomiennooki jak wędrowni kaznodzieje, którzy zatrzymywali się na rynku, aby żebrać o jałmużnę.

W tym samym czasie pisarza miejskiego spotkało nieszczęście przepowiedane przez Barbarę. Gdy usiłował dostać się do swego mieszkania, spadł ze schodów i złamał prawą rękę, tak że na długo stał się niezdolny do trzymania pióra. Za aprobatą rady zatrudnił więc mnie jako pomocnika i dzielił się ze mną swoją płacą. Dzięki temu mogłem zupełnie przestać pracować, choć dla pozorów pokazywał się od czasu do czasu w ratuszu, aby wydawać mi polecenia. Ten porządek rzeczy dogadzał nam obu i tak się jakoś złożyło, że prawa ręka pisarza nie chciała przyjść do zdrowia już nigdy, gdyż jak twierdził, lewa wy<sup>^</sup>starczy mu w zupełności, aby przechylać dzban z piwem do góry dnem.

Gdy trunek uderzył mu do głowy, zwykł mawiać:

— Wiem swoje, Mikaelu, i nie uda ci się mnie oszukać, ty chytry lisie! Doskonale wiem, czym sztuczkom mam do zawdzięczenia ten upadek ze schodów. Nie żywię do ciebie żadnej niechęci, bo życie moje stało się dzięki temu przyjemniejsze i mogę całym sercem poświęcić się szukaniu prawdy na dnie dzbana z piwem, jako że prawda kryje się wszędzie i znajdujemy ją tam, gdzie jej najmniej oczekujemy. Zrobisz jednak mądrze, jeśli powiesz rudej Barbarze, że twój doczesny dobrobyt zależny jest całkowicie ode mnie, gdyż jako obcy i jej mąż nigdy nie dostałbyś posady pisarza, tak że moja śmierć nie wyszłaby ci na korzyść, lecz tylko przyniosła szkodę. Toteż nie upokarzaj się niepotrzebnie i nie przypodchlebiaj radnym jak pies machający ogonem, lecz zaufaj wyłącznie mnie i powtórz te słowa twojej żonie.

Mówił zawile i niejasno, a ja przypisywałem jego aluzje do Barbary pijaństwu.

Byłem już śmiertelnie znużony ponurym domem mego teścia, gdzie w każdym kącie zdawała się czyhać groza. Wiedziałem doskonale, że małomówny rusznikarz, a przede wszystkim jego posępny syn pragnęli, żebym co rychlej wyniósł się, gdzie pieprz rośnie, zabierając z sobą Barbarę. Zmęczyło mnie także oglądanie jej chorej matki, która cierpiała na puchlinę wodną i przeważnie leżała w łożu. I wcale nie szukałem życzliwości wysokiej rady po to, aby zaszkodzić memu przyjacielowi i protektorowi, pisarzowi miejskiemu, ale dlatego, że w piwnicy ratusza były dwie małe izdebki, w których miałem nadzieję zamieszkać i w ten sposób stworzyć sobie własny dom. Jednemu z ławników miejskich spodobała się moja usłużność i akuratność oraz grzeczne zachowanie i obiecał mi to mieszkanie w wypadku, gdyby zajmujący je obecnie woźny miejski i jego żona, oboje zżarci francuską chorobą, chcieli się stamtąd wyprowadzić. Na polecenie Barbary poszedłem do tego człowieka i ofiarowałem mu sztukę złota, by się na to zgodził. Spojrzał na mnie spode łba i bez słowa zaczął pakować manatki, żeby wynieść się możliwie najszybciej, i tylko jego żona, którą znalazł niegdyś w młodości, gdy służył cesarzowi jako najemnik, i która<sup>^</sup>obdarzyła go francuską chorobą, podniosła wielki krzyk. Ale on kazał jej milczeć i zadowolić się sztuką złota zamiast ściągać na nich nieszczęście przekleństwami. Napędziło to kobiecie strachu, a tak byli ubodzy oboje, że oddali nam mieszkanie w czasie krótszym, niż trzeba na odmówienie jednego pacierza.

W taki to sposób uzyskaliśmy z Barbarą nasz pierwszy i jedyny dom. Żyliśmy tam z sobą przez rok cichutko jak w mysiej dziurze, kryjąc się przed nadchodzącą burzą i ludzką złą wolą. Nie chcieliśmy wadzić nikomu i wieczorami, gdy ratusz stał pusty, zamiataliśmy razem wielkie sale, w których najmniejszy odgłos odbijał się tysięcznym echem, zmywaliśmy kamienne posadzki i schody. W blade zimowe poranki rozniecałem ogień na ogromnych

kominkach, a w ciągu dnia wykony-, wałem funkcję pisarza, cichutko i starannie, nie mówiąc nikomu złego słowa.

Nasz protektor, zapij aczony pisarz, spożywał obiady w naszym domu i Barbara dokładała najlepszych starań, żeby mu dogodzić, ja zaś po każdym posiłku przynosiłem dla niego z szynku duży dzban najmocniejszego piwa.

Pisarz miejski świadom był korzyści, jakie ze mnie ciągnął, i z pewnością nie życzył nam zła, ale im dłużej szukał prawdy na dnie dzbana z piwem, tym bardziej stawał się zrzędny i złośliwy, i jego niejasne przytyki nieraz wyciskały Barbarze łzy z oczu, tak że zaciskała mocno zęby i czerwieniła się gwałtownie.

Ale po cóż mam opowiadać o rzeczach nieprzyjemnych? Byliśmy bardzo z sobą szczęśliwi i przez cały ten czas nie tęskniłem za niczym lepszym. Zielonkawę oczy Barbary pomagały mi widzieć ociekające wilgocią ściany jako przystońnięte mieniącymi się makatami, a blade światło olfcjnej lampki przemieniało się w blask wieloramiennego świecznika, kiedy zaś wieczorami brałem ją w objęcia, piękniejsza była dla mnie niż jaka królowa, choć twarda praca robiła jej ręce szorstkimi i zgrubiałymi, a stałe przebywanie w na wpół ciemnych pomieszczeniach czyniło jej policzki jeszcze bledszymi niż przedtem.

Często napominała mnie, żebym szukał towarzystwa przyjaciół lub czerpał wiadomości z ksiązek, gdyż jej zdaniem nie byłem stworzony, by żyć takim życiem, i wierzyła niezłomnie, że los kryje dla mnie w zanadru o wiele większe zadania. Ja jednak zacząłem czuć się obco z Sebastianem, a panowie z rady z pewnością mieliby mi za zła, gdybym przestawał z jego fanatycznymi i kacerskimi zwolennikami. Toteż zamiast tego zacząłem znowu uczyć się po grecku, jakkolwiek już bez entuzjazmu lat młodzieńczych.

Barbara także rzadko wychodziła z naszej piwnicy, i to tylko po zapadnięciu ciemności, jak gdyby bojąc się spotkań z ludźmi i pragnąc, aby wszyscy w Memmingen zapomnieli o jej istnieniu. Jej dziwna bojaźliwość udzieliła się i mnie, tak że często dręczył mnie bolesny lęk przed życiem. Zdawało mi się, że najlepiej jest tak, jak jest, i że każda zmiana przyniesie tylko nieszczęście. I z czystym sumieniem przed Bogiem i wszystkimi świętymi mogę przysiąc, że ani razu, w czasie kiedy mieszkaliśmy w naszym przedziwnym domu w ratuszowych lochach, nie zauważyłem, aby Barbara popełniła coś podejrzanego czy zrobiła coś, co by świadczyło o czarach. Jeśli więc kiedykolwiek trudniła się ciemnymi sprawami, wierzę głęboko i mocno, że w małżeństwie ze mną zupełnie się od takich spraw odgrodziła i chciała się wyrzec wszelkiego zła.

Co się zaś tyczy psa, to zjawił się on w naszym domu w sposób bardzo naturalny. Spotrzegliśmy go pewnego ranka bawiącego się samotnie na ratuszowym dziedzińcu i nikt nie zgłosił się po niego. Był wtedy jeszcze szczeniakiem i wyglądał jak kruczoczarny, włochaty kłębuszek, ale nie było żadnych wątpliwości, że pochodził z rasy małych piesków, które żony najemników zwykły nosić na rękę w czasie długich marszów, gdyż krótkie nóżki nużą im się łatwo. Pieski te bardzo są pożyteczne w życiu obozowym, bo czuwają nad snem swoich właścicieli, tak że nikt w obozie nie może bezkarnie skraść im broni czy garnków do gotowania albo oderznąć rzemieni od mieszka.

Później w ciągu dnia piesek zaczął z głodu skomleć pod drzwiami i zaniósłem go do Barbary, która dała mu jeść i znowu wypuściła na podwórzec. Ale właściciel nie zjawił się, aby go zabrać, i żal mi się zrobiło bezbronnego zwierzątka. Myślałem też, że może dotrzymywać towarzystwa Barbarze, samotnie spędzającej całe dni w ciemnych pomieszczeniach.

Zaopiekowaliśmy się więc pieskiem i nieraz, gdy spał głębokim snem szczeniaka na kolanach Barbary, gładziła łagodnie jego czarną, miękką sierść i przemawiała do niego czule:

— Będziesz się nazywał Azrael i wyrośniesz na silnego pieska, równie silnego jak Azrael, który jest aniołem. Twoja sierść wskazuje, że będzie z ciebie prawdziwy tropiciel mandragory i musisz wzbogacić mnie i Mikaela tak, abyśmy mogli wyjechać stąd do ciepłych krajów na Południu. Rośnij szybko, maleńki Azraelu, i szukaj dla nas korzenia mandragory, choćby cię

to miało kosztować życie. A my ubierzemy ten korzeń w dziecięce ubranko i sprzedamy go za wielokrotną wagę w złocie, jeśli nie zechcemy zatrzymać go dla siebie, aby powodziło nam się dobrze we wszystkim i żebyśmy się szybko wzbogacili nie ruszywszy nawet palcem.

Uśmiechnęła się do swoich myśli i nie przestając gładzić śpiącego pieska szczupłą, wąską dłonią patrzyła na mnie złotozielonymi oczyma i mówiła:

— Nie lękaj się moich słów, Mikaelu, bo tylko żartuję. Ale to prawda że znam miejsce głęboko w lesie, gdzie ongiś powieszono człowieka i gdzie rośnie ziele, które łącno może być prawdziwą mandragorą. Człowiek naraża wprawdzie życie, gdy wyrywa je z ziemi, ale nie boję się niczego, jeśli zrobimy to razem, Mikaelu, a wtedy nie będzie nam 13 — Mikael t. 1 r i już nigdy niczego brakować i staniemy się bogaci do końca życia. Czarny pies może wyrwać dla nas mandragorę z ziemi i może straci skutkiem tego życie. Ale my nie musimy się niczego bać, bylebyśmy tylko starannie zatkali sobie uszy woskiem, bo gdy ziele wyrwane zostaje z ziemi, wydaje krzyk tak straszny, że człowiek, który go usłyszy, może paść trupem albo oszaleć do końca swoich dni.

— Barbaro — powiedziałem — nie nazywaj tego pieska Azraelem, bo imię to jest za ciężkie do dźwigania dla małego szczeniaka. I nie chcę, aby spotkało go coś złego, bo rozczula mnie, liżąc małym języczkiem moją dłoń i patrząc mi w oczy brązowymi ślepkami spod krzaczystych brwi. Powiedz, czy rzeczywiście znasz miejsce gdzie rośnie mandragora?

A gdy nie odpowiadała ciągnąłem:

— Raz tylko widziałem mandragorę pośród skarbów wielkiego przekupnia relikwii w Paryżu, ale niewiele mu pomogła, bo żona jego uciekła z pewnym szlachcicem, zabierając z sobą wielką sumę pieniędzy. Wiem, że jest to korzeń bardzo rzadki, i oszuści okryli go złą sławą, wycinając zwykle korzenie w ludzkie kształty i sprzedając je, przebrane w szaty dziecinne, za bezczelne ceny łatwowiernym ludziom, jako prawdziwe mandragory.

Jeszcze nieraz rozmawialiśmy żartobliwie na ten temat i zastanawialiśmy się, co byśmy zrobili, znalazłszy mandragorę, i gdyby udało nam się wydrzeć ją z ziemi nie tracąc przy tym życia i zostając dzięki temu bogatymi. Ale niebawem zapomnieliśmy o tej sprawie i pokochaliśmy naszego małego pieska, który stał się nam przyjacielem, radością i towarzystwem i stałe okazywał wierność w stosunku do nas obojga. Imię jego przybrało ostatecznie brzmienie Bael i prawie zapomniałem, jakiego magicznego słowa było ono zdrobnieniem. Byliśmy bardzo szczęśliwi, ale mimo to wieczorami dręczyło mnie czasem jakieś niezrozumiałe przygnębienie. Także i Barbara odczuwała to samo i odgadując instyktownie moje myśli, tuliła się wtedy do mnie kryjąc twarz przy mojej piersi. W takie wieczory leżeliśmy w milczeniu w naszym łożu, przytuleni do siebie, trzymając się za ręce mocno, jak gdybyśmy się oboje po kryjomu obawiali, że się nawzajem stracimy. A gdy myślę o tym dziś, długo po tym, wydaje mi się, że były to może najlepsze nasze chwile i że byliśmy wtedy tak bliscy sobie, jak tylko dwoje ludzi może stać się bliskimi, choć nie mówiliśmy do siebie ani słowa.

Tak minął ten rok, kiedy także i wiele innych ludzi lękało się przyszłości. Ale potężne planety spotkały się w lutym pod znakiem Ryb i mimo to nie stało się nic szczególnego. Wiosna zazieleniła się i rozkwitła wokół miasta i promienie słońca igrały na straganie odlewacza cynowych naczyń na targowisku pod ratuszem. Byłem jeszcze młody i łatwo zapominałem o złych przeczuciach i rozkoszowałem się swoim ziemskim szczęściem, mimo że było tak nikłe, małe, ubogie i zaprawione nieraz goryczą. Ale te szybko upływające krótkie wiosenne miesiące były ostatnim okresem mego szczęścia i wraz z nimi minęła moja radość życia. Toteż kończę tę księgę na wiosnie 1524 roku, aby przystąpić do napisania szóstej, najbardziej gorzkiej księgi moich wspomnień.

## CZEŚĆ SZÓSTA



# STOS

1

Wiele widziałem w życiu rzeczy dziwnych i niewytłumaczalnych i nie chcę posuwać się aż do herezji twierdząc, że czary nie istnieją, albo też że człowiek nie może wejść w przymierze z diabłem. Nie zapomniałem przeżyć z dzieciństwa w chacie pani Pirjo. Jest też dużo tak bezspornych i zgodnych świadectw o czarach w różnych krajach, że człowiek myślący byłby szaleńcem, gdyby chciał zaprzeczać faktom. Najpewniejszym może dowodem jest chyba to, że nawet arcyheretyk doktor Luter dzieli poglądy papieża w tej sprawie. Można jednak mieć różne zapatrywania co do tego, jak należy czary wykrywać, sądzić i karać. I do końca mego żywota, do ostatniego tchnienia, będę głęboko przekonany, że święty Kościół stosuje w tym względzie metody błędne i ohydne, choćbym sam miał z tego powodu skończyć na stosie i znaleźć się w piekle.

Wierzę dalej, że wiele z tego, co ludzie uważają za czary, jest tylko wiecznym dążeniem człowieka do znalezienia jakiejś krótszej drogi życiowej. Także i ja odczuwałem takie pragnienia, ale nie wierzę już, żeby istniały jakieś krótsze drogi, i nie sądzę, aby nawet więdźmy je znalazły, a najlepszym dowodem na to jest moje własne życie. To wieczne pragnienie drzemie w duszy ludzkiej i budzi się dopiero przez duchowe cierpienia, toteż zdaniem moim nie jest ono godne potępienia ani karalne, a w każdym razie nie zasługuje na okrutne kary wymierzane przez święty Kościół. Jeśli bowiem ktoś, tak jak więdźmy, sądzi, że znalazł krótszą drogę w życiu, to jest to tylko złudzenie, a złudzenia nie zasługują na karę bardziej niż sny.

Ale Barbara nie była wcale złudzeniem, toteż łatwo jest urągać mi z powodu moich kacerskich myśli i wyśmiewać mówiąc, że sam jestem najlepszym dowodem istnienia czarów, gdyż Barbara potrafiła mnie oczarować, choć była brzydka, ruda i piegowata, i o wiele lat starsza ode mnie.

Dopiero później zrozumiałem, że święty Kościół potrzebował jej śmierci, aby zademonstrować swoją nieprzemijającą siłę. A umarła nie jak męczennica, lecz skazana na śmierć jako wiedźma za czarną magię, i to właśnie uważam za wieczną niesprawiedliwość i za hańbę dla świętego Kościoła, jakkolwiek nie pragnę już dzisiaj więcej oskarżać go i zadowalam się stwierdzeniem, że Kościół miał złych sług. Z drugiej strony trudno mi oskarżać ojca Anioła, ponieważ poznałem go dobrze i jestem pewny, że działał w dobrej wierze, spełniając swój ciężki obowiązek.

Nie zdołałem jeszcze wykryć, czy wszystko to zostało ułożone w kurii, czy tylko na dworze księcia biskupa, sądzę, że Kościół chciał dać ostrzegawczy przykład swojej mocy, ponieważ heretycy kaznodzieje występowali z coraz bezczelniejszymi twierdzeniami i głoszona przez Sebastiana doktryna boskiej sprawiedliwości była na ustach wszystkich. Ewangelicka herezja rozprzestrzeniła się już do tego stopnia, że nie wazono się sądzić ani skazać nikogo za kacerstwo, gdyż trzeba by było uwięzić lub spalić połowę diecezji, a to doprowadziłoby do otwartego powstania. Natomiast naturalnym prawem Kościoła było wydawanie wyroków o czary i tego prawa nie śmiał Kościołowi odmawiać nawet najzagorzalszy heretyk. Tak więc książe biskup i jego sędziowie z pewnością, a może i bogaci patrycjusze miejscy, z zimną krwią wyliczyli sobie, że swąd palącego się ciała ludzkiego będzie miał zbawienny i uspokajający wpływ na wzburzone umysły. Ofiarą tego chytrego planu padła moja żona, Barbara, ale jego przeprowadzenie nie przyniosło spodziewanych skutków. Tak więc nie mogę przyznać, że panowie ci byli bezstronni, choć staram się patrzeć na całą sprawę bezstronnie. I nienawidzę ich nadal równie zajadle i gorzko, jakkolwiek przypuszczalnie sami oni są przeświadczeni, że mieli słusność i działali tylko dla dobra świętego Kościoła.

Sam zaprowadziłem szaro ubranego człowieka o twarzy szczura do rady miejskiej, nie znając jego reputacji. A on zwracał się do mnie uprzejmie i klepał po ramieniu, kręcąc nieustannie głową na wszystkie strony i świdrując okrutnymi oczyma, jak gdyby przez cały czas czegoś szukał. Powierzchność miał niepozorną i nie mogłem zrozumieć, dlaczego panowie z rady witali go z takim respektem i natychmiast kazali zamknąć drzwi sali, żeby zataić przebieg rozmowy nawet przede mną. Ale niedługo drzwi te znowu się otwały i szaro ubrany mężczyzna podszedł do mnie w towarzystwie dwóch członków rady, którzy zakłopotani unikali mego wzroku.

— Nazywasz się Mikael Pelzfuss, nieprawdaż? — zwrócił się do mnie życzliwie. — Jestem mistrz Fuchs, przybywam ze stolicy diecezji i chciałbym się zobaczyć z twoją żoną Barbarą. Mam jej parę słów do powiedzenia. Bądź tak dobry i pokaż mi drogę.

Wciąż jeszcze niczego nie przeczuwałem, tak zwodnicze było jego zachowanie, ale gdy chciałem pobiec przodem, aby uprzedzić Barbarę o wizycie, złapał mnie mocno za ramię i nie puścił. Tak więc zostałem zmuszony zaprowadzić go bez zwłoki do mego mieszkania, mimo że wstydziłem się naszego ubóstwa i chciałem, aby Barbara miała czas włożyć inną suknię przed przyjściem gości.

Był jasny dzień wiosenny i po mrocznych piwnicznych schodach mieszkanie nasze wydawało się jasne w promieniach słońca, które wpadały tam przez małe okienko pod sklepieniem. Gdy otworzyliśmy drzwi, Barbara mieszała coś właśnie w garnku.

Zdziwiona podniosła oczy pytając:

— To ty, Mikaelu?

A gdy zobaczyła nieznanego, wzdrygnęła się, łyżka wypadła jej z dłoni, zrobiła krok w tył i w jasnej izbie twarz jej zbladła tak, że stała się zupełnie przezroczysta, a piegi wystąpiły jej brzydko na policzkach.

Obcy patrzył na nią badawczo małymi okrutnymi oczkami. A potem uśmiechnął się, odsłaniając dwa żółte siekacze, odwrócił się do panów z rady i rzekł:

— Możemy już iść. To wystarczy.

Panowie z rady zmieszali się i jeden z nich rzucając mi współczujące spojrzenie zapytał nieznanego:

— Czy nie chcecie przeszukać mieszkania, mistrzu Fuchsie?

— To wystarczy — powtórzył obcy, odtrącił lekko stopą Raela, który nie przeczuwając nic złego śpieszył, aby go powitać, i odwrócił się, aby odejść. Panowie z rady szli za nim w milczeniu, ja zaś zamknąłem za nimi drzwi z głębokim ukłonem. Potem spojrzałem zdziwiony na Barbarę i zapytałem:

— O co właściwie chodzi?

Stała z łyżką w dłoni, wpatrzona gdzieś w dal, i przez dobrą chwilę nic mi nie odpowiadała. Zupa wykypiała z garnka na ogień, ale ona nie zwracała na to uwagi. Rael zaczął cicho skomleć, jak gdyby odgadując ciężkie myśli swojej pani. Barbara pochyliła się nad nim z roztargnieniem, żeby go pogłaskać.

— Muszę stąd wyjechać, Mikaelu — powiedziała w końcu. — Im mniej wiesz o tej sprawie, tym lepiej. Nie mogą ci zrobić nic złego, to moja jedyna nadzieja. Ale cokolwiek by się stało i gdybyśmy nawet nie mieli się nigdy więcej spotkać, błagam cię, nie myśl o mnie źle, najdroższy, bo kocham cię i zawsze kochałam ciebie i tylko ciebie i będę cię kochać zawsze. Słowa jej sprawiły, że serce skurczyło mi się ze strachu.

— Kim jest ten człowiek? — zapytałem.

— Komisarz biskupa, mistrz Fuchs — odparła tak prosto, jak gdyby imię to tłumaczyło wszystko. A widząc, że dalej nic nie rozumiem, uśmiechnęła się przelotnie i od razu stała się piękna w moich oczach.

— Zapomniałam, że jesteś tu obcy, Mikaelu, choć to przecież dlatego tylko ożeniłeś się ze mną. Mistrz Fuchs jest u biskupa łowcą czarownic. Chętni się, że potrafi je wywęszyć na

odległość i samo jego spojrzenie wystarczy, żeby potępić człowieka. Raz już musiałam z jego powodu składać przysięgę oczyszczającą, ale wykupiłam się tylko dlatego, że ksiązę biskup potrzebował wtedy pieniędzy i przydały mu się dwa i pół guldenu, które to nas kosztowało. W owym czasie mieszkałam jeszcze w domu mego ojca i chronił mnie cech rusznikarzy. Teraz nie chroni mnie nikt. I dlatego muszę stąd wyjechać.

Pełne znaczenie jej słów olśniło mnie jak błyskawica i nasze odosobnienie, moje złe przecucia i wypowiedzi Sebastiana o Barbarze połączyły się nagle w jedną całość i stały oczywistą pewnością, aż się zdumiałem, że mogłem być dotychczas tak zaślepiony. I jeśli ktoś chce, może naturalnie i w tym dopatrywać się dowodu, że mnie zaczarowała swoimi sztuczkami, skoro nie połapałem się w sprawach tak oczywistych.

— Masz słuszość, Barbaro! —; zawołałem. — Musimy uciekać. Może uda nam się przedrzeć przez góry i lasy do Konfederacji. A idąc z biegiem Renu, możemy się przedostać na stronę francuską.

— Naprawdę chciałbyś uciekać ze mną Mikaelu? — zapytała z niedowierzaniem, patrząc na mnie swoimi złotozielonymi oczyma. — Uciekłybyś ze mną, choćbym nawet była czarownicą i ucieczka narażałaby ciebie na to samo posądzenie?

— Naturalnie —• odparłem niecierpliwie. — A ty nie jesteś żadną czarownicą, wiem to doskonale. Toteż nie plećmy głupstw, tylko pakujmy natychmiast tyle, ile zdołamy unieść, i uciekajmy, gdy się ściemni.

— Kocham cię, Mikaelu — powiedziała Barbara, całując mnie lekko, i wargi jej stopiły się miękko z moimi. — Jesteś uparty i wiem, że nie zdołam ci przeszkodzić w ucieczce wraz ze mną, choć mogłoby to ściągnąć na ciebie wielkie nieszczęście. Obmyślmy więc naszą ucieczkę mądrze, aby nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Przede wszystkim musisz wykonywać twoje zajęcia tak jak zawsze. A tymczasem ja przygotuję wszystko do ucieczki wieczorem. Na wypadek jednak, gdyby przytrafiło się coś nieoczekiwanego i bylibyśmy zmuszeni uciekać każde osobno, spotkamy się w lesie pod miastem, w którym mieszka mój wuj, w tym samym miejscu, gdzie cię wtedy znalazłam.

Mówiąc to, musiała już z pewnością zdawać sobie sprawę, że ucieczka jest beznadziejna, i chciała tylko za wszelką cenę powstrzymać mnie, żebym nie wpadł w nieszczęście. Bo kiedy późno po południu siedziałem pochylony nad moimi księgami, na rynku zrobiło się nagle zbiegowisko i wszczął się zgiełk i hałas. Wypadłem na dwór śmiertelnie przerażony i ujrzałem mistrza Fuchsa, prowadzącego na sznurze Barbarę. Miała ręce związane z tyłu za plecami, a kilku strażników odsuwało na bok wrzeszczący tłum, który ciskał w nią błotem i końskim nawozem. Mistrz Fuchs potrząsał zwycięsko nad głową małym węzełkiem i wołał:

— Złapałem ją na próbie ucieczki, gdy usiłowała wymknąć się na ulicę z ratuszowego podwórca. Dlaczego by uciekała, gdyby nie była czarownicą? Niewinny człowiek nie ucieka na mój widok.

— Wiedźma! wiedźma! wiedźma! czarownica! — wył tłum wokół niej, odpychając dzidy strażników, żeby kopać, bić i opluwać Barbarę. Krew ciekła jej już z nosa i ust. Nadludzkim wysiłkiem udało mi się przedrzeć do niej i złapać za ramię mistrza Fuchsa.

— Puśćcie ją, mistrzu Fuchsie! — zawołałem ze łzami w oczach. — To przecież moja żona. Jako jej mąż wiem lepiej niż inni, że nie jest czarownicą.

— Odejdź, Mikaelu, odejdź! — wołała Barbara szarpiąc się w więzach, jak gdyby chciała odepchnąć mnie od siebie. Ale tłum zwrócił już na mnie uwagę i ryczał:

— Przybłąda! Przybłąda! Uwięźcie go, mistrzu Fuchsie! To z pewnością diabli pomiot tak jak ona.

Mistrz Fuchs uśmiechnął się dufnie i podniósł rękę na znak, że chce mówić; Zgiełk uciszył się i niektórzy zaczęli nawoływać: „Słuchajcie, słuchajcie!” Wtedy on donośnym głosem powiedział:

— Doskonale rozumiem wasze wzburzenie, dobrzy ludzie, bo ta wiedźma, Barbara, ściągnęła już niemało szkody i przekleństwa na Memmingen. Ale to nie wasza sprawa lżyć ją i maltretować. Święta Inkwizycja sprawiedliwie zbada ją i osądzi. I jeśli okaże się, że była powodem nieszczęść i cierpień, możecie być pewni, że jej własne cierpienia będą stokroć cięższe, nim pójdzie do piekła w płomiennym \ozie swego mistrza i pana. Wiedźcie, dobrzy ludzie, że dominikanin, ojciec Anioł, przybył ostatnio do miasta księcia biskupa z pełnomocnictwami sądenia czarownic, które tyle szkody narobiły w naszej diecezji w ciągu ostatnich kilku lat. Nagle na rynku rozległ się potężny głos:

— Do diabła z papieżem i mnichami!

Tłum natychmiast podjął okrzyk, życząc papieżowi i mnichom piekła z taką samą zajadłością, jaką dopiero co wykazał wobec Barbary. Jakiś długowłosy obdartus, którego nigdy przedtem nie widziałem na oczy, wdrapał się na stragan odlewacza cyny. Wymachiwał dziko ramionami i z oczyma płonącymi jak żagwie ryczał na całe gardło:

— Oddajcie nam wiedźmę, mistrzu Fuchsie. Do diabła z papieżem i mnichami! Sami potrafimy się z tym załatwić i spalić nasze czarownice bez pomocy papieża. Biegnijcie po drzewo i zarzewie, dobrzy ludzie, wypalmy to zło spośród nas własnymi siłami!

Mistrz Fuchs jakby zatroskał się i rzucił mi ukradkowe spojrzenie. Nagle wydał jakiś rozkaz strażnikom i powlókł Barbarę do ratusza. Z pomocą strażników udało mi się odeprzeć napór zaskoczonych tłumów, wciągnąć Barbarę do wnętrza i zamknąć ciężkie drzwi, które oparły się uderzeniom i ciosom. Mistrz Fuchs ze zmarszczonym czołem drapał się z zakłopotaniem za uchem, odsłaniając żółte szczurze zęby w szerokim grymasie. Nie zwracał wcale uwagi na to, że ukląknę przy Barbarze, odwiązałem sznur, którym była spętana, i otarłem jej krew z twarzy. Gorące łzy kapały mi z oczu na jej policzki, aż ocknęła się z omdlenia i otworzyła oczy.

— Postarzeliście się już, mistrzu Fuchsie — wykrzyknął jeden z radnych z ironią. — Jakoś nie widać tej waszej słynnej i niezrównanej zręczności w załatwieniu tej sprawy. Może to was drogo kosztować.

Mistrz Fuchs roześmiał się z zimną krwią.

— Macie słusność — rzekł. — Będą nieprzyjemności, gdy się o tym dowie książe biskup i ojciec Anioł. Ale i dla miasta nie będzie to tania historia. Posłuchajcie...

W teże chwili rozległ się dźwięk pierwszych tłuczonych szyb i na podłogę potoczył się kamień. Pod ratuszem wył rozjuszony tłum, domagając się wydania mu wiedźmy na spalenie.

— Czy to sam szatan podsunął ci pomysł ucieczki za dnia, czarownico? — zapytał mistrz Fuchs, kopiąc lekko leżącą na ziemi Barbarę. — Byłem przygotowany, żeby cię złapać po zapadnięciu ciemności, bo znam te sztuki.

Nie powiedział tego z jakąś szczególną złością i raczej wyglądał na zaciekawionego, jak gdyby spotkał się z czymś nowym w swoim zawodzie. Dwa drogocenne malowidła na szkle rozleciały się na drobne kawałki, a zamknięci w ratuszu panowie z rady zaczęli załamywać ręce z rozpaczą. Tylko mistrz Fuchs zachował zupełny spokój.

— Czasy są burzliwe — przyznał. — Czy nie byłoby dobrze, gdyby ktoś wylazł na galerię uspokoić tłum? Najmądrzej byłoby powiedzieć im, że wyprowadziłem wiedźmę tylnymi drzwiami i w najlepsze uciekam z miasta, uwożąc ją z sobą. Wtedy w nocy moglibyśmy wyjechać stąd nie zaczepieni.

Ale żaden z panów rady nie okazywał większej ochoty, aby stanąć przed tłumem, pod gradem kamieni. A ironiczny radny, o którym wiedziałem, że po cichu sprzyja luteranom, zbladł nagle i rzekł szorstko:

— Mistrzu Fuchsie, wydajcie wiedźmę ludowi. Nie wypada naruszać praw miasta Memmingen, które jest wolnym miastem Rzeszy. Barbara Pelzfuss urodziła się i wyrosła tutaj i nie macie prawa więzić i uprowadzać jej stąd bez zezwolenia rady.

— W sprawie takiej jak ta nie tylko rada, ale i cesarskie sądy podporządkowane są świętemu Kościołowi — odparł mistrz Fuchs. — Mam zresztą w kieszeni pisemne zezwolenie rady. Dziś rano sami zgodziliście się mi ją wydać, jako że święty Kościół najchętniej działa w porozumieniu z sądem grodzkim. Bądźcie pewni, że ojciec Anioł w swoim czasie odeśle wam ją jak najchętniej w celu wykonania wyroku. Ale Święta Inkwizycja musi ją przesłuchać i osądzić. To jądro sprawy, coście powinni sami zrozumieć, jako ludzie rozsądni.

Panowie z rady spierali się pomiędzy sobą i doszli do wniosku, że mistrz Fuchs ma słuszość, ale żaden z nich nie chciał znaleźć się pod gradem kamieni, zaczęli więc wypychać jeden drugiego, aby szedł uspokoić tłum.

Mistrz Fuchs przyglądał im się przez chwilę z pogardą, po czym zwrócił się do mnie, siedzącego wciąż jeszcze na podłodze z głową Barbary na kolanach.

— Mikaelu Pelzfuss — powiedział. — Dopóki człek żyw, nadzieja nie zagasa. Niedługo tłum wędruje się tutaj i wiesz dobrze, co się wtedy stanie z twoją żoną. W rękach Świętej Inkwizycji natomiast jest ona zupełnie bezpieczna, dopóki nie zostanie jej udowodniona zbrodnia na podstawie ważnych zeznań świadków i jej własnych. A proces taki może trwać przez wiele miesięcy. I zapewniam cię, że ojciec Anioł jest mężem - pobożnym i sprawiedliwym, o którym nie można powiedzieć złego słowa. To właśnie dlatego wyznaczony został do pełnienia trudnych obowiązków inkwizytora. Biegnij na galerię, Mikaelu, i powiedz im, że już stąd wyjechałem razem z twoją żoną.

Nie wiedząc, co czynić, uniosłem głowę Barbary. Otworzyła swoje złotozielone oczy i szepnęła:

— Mikaelu, najdroższy, błagam się, wbij mi nóż w serce. Umrą w twoich ramionach, a to nie będzie boleć.

Ale byłem tchórzem i czepiałem się promyka nadziei, który zabłysł w obłudnych słowach mistrza Fuchsa.

— Nie jesteś czarownicą — zaszeptałem jej do ucha. — Uratuję cię. Święty Kościół nie może wydać niesprawiedliwego wyroku. Sam pomówię z ojcem Aniołem.

Potrząsnęła słabo głową i próbowała uczepić się mnie mocno, ale wyrwałem jej się, wbiegłem po schodach na pięterko i wypadłem na galerijkę, krzycząc i gestykulując:

— Łapcie go, dobrzy ludzie! — wołałem. — Wyprowadził tylnymi drzwiami moją żonę i zabrał ją do swego wozu. Ratujcie ją z rąk Inkwizycji, dobrzy ludzie. Ratujcie ją, bo jeszcze nie zdążyli pewnie wyjechać z bram miasta.

Krzyczałem i wymachiwałem ramionami, aż ustał hałas i ludzie usłyszeli, co mówię. I gdy pierwsi zaczęli biec ulicą, inni pośpieszyli za nimi wyjąca, bezmyślną masą. Gdy tłum znikł, rynek usiany był powyrywaniem z bruku kamieniami, pogubionymi czapkami, polanami drzewa i drągami.

Gdy zszedłem na dół, kazano mi wypisać kwit za usługi wyświadczone miastu: „Za polowanie na czarownicę — jedna sztuka — według taksy 7 guldenów”. Mistrz Fuchs podpisał się wspaniałymi zakrętami, a skarbnik miejski wyliczył mu niechętnie na rękę siedem sztuk złota. Komisarz włożył pieniądze do trzосу u pasa i zwrócił się do mnie.

— Musimy jakoś spędzić czas aż do północy — powiedział — bo nie jest wskazane ruszać w drogę wcześniej. Na szczęście zostawiłem wóz u znajomego chłopca pod miastem, żeby nie zwracać uwagi. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy spędzili wieczór w waszym mieszkaniu, i nie mam też nic przeciwko temu, żeby twoja żona przyrządziła nam wieczerzę. Przypuszczam, że chcesz ją odprowadzić do miasta i do więzienia, i też się na to zgadzam, bo zabiorę z sobą strażników dla ochrony, a ojciec Anioł z pewnością zechce ciebie od razu przesłuchać.

Zostawiliśmy więc panów z rady, którzy wciąż jeszcze się spierali, i zesliśmy w troje schodami do naszego skromnego mieszkania. Rael wybiegł nam na przywitanie, skomląc i szczerkając z radości, bo nie przywykł, żebyśmy go zostawiali samego, a mistrz Fuchs usiadłszy wziął go na kolana i zaczął drapać za uszami. Poleciał strażnikom stać na straży za drzwiami, a Barbara zgotowała tyle zupy, że starczyło po misce także i dla nich. Była to smaczna zupa, bo nie mieliśmy już powodu oszczędzać zapasów. Mistrz Fuchs odmówił pobożnie modlitwę, a potem zabrał się do jedzenia i jadł za dwóch, ja jednak nie mogłem • przełknąć niemal niczego, tak miałem ściśnięte gardło ze wzruszenia. Rozglądałem się po mieszkaniu i nigdy jeszcze nie wydawało mi się tak drogie, zaciszne i bezpieczne jak w czasie tych ostatnich godzin przed podróżą do krainy zgrozy.

Gdy stróż nocny monotonicznie obwieścił północ, wymknęliśmy się ostrożnie z ratuszowego podwórca i poszliśmy tą samą uliczką, którą usiłowała uciec Barbara. Nikt nas nie zaczepił, a rada wydała tajny rozkaz strażnikowi przy bramie, którą pędzono do miasta bydło, i ten przepuścił nas szybko i bez stawiania niepotrzebnych pytań. Niebawem jechaliśmy już skrzypiącym wózkiem po wyboistej drodze do miasta księcia biskupa, a noc wiosenna wokół nas odurzała zapachem ziemi i kwitnących traw. Siedzieliśmy na słomie na dnie wózka, a mistrz Fuchs głaskał z zadumie uszy Raela, którego trzymał na kolanach. I gdyby Barbara była zdrowa i w pełni sił, moglibyśmy może spróbować uciec w nocnych ciemnościach, mimo że okratowanie wózka otaczało nas jak klatka. Ona jednak zupełnie osłabła i nie zdołałaby uciec daleko. Ponadto zaś kusiła mnie zwodnicza nadzieja, że ojciec Anioł, którego pobożność i sprawiedliwość mistrz Fuchs tak wychwalał, wykryje niewinność Barbary i wnet ją zwolni z więzienia, i to mimo, że słyszałem dużo złego o procesach czarownic. Barbara składała już raz bez szkody dla siebie przysięgę oczyszczającą i wcale nie wątpiłem, że dobrymi słowami i pieniędzmi uda mi się zjednać dwudziestu lub trzydziestu świadków, którzy swoimi zeznaniami uwolnią ją od oskarżeń o czarną magię i czary. Gdybyśmy zaś próbowali uciec z wózka, stanowiłoby to przekonywający dowód przeciw niej.

Noc była ciemna, wiatr wzdychał i szumiał, robaczki świętojańskie błyszcząły niesamowicie w trawie, a głuchy tupot kopyt końskich był jakby tajemnym zwiastunem śmierci. Była to noc czarownic. Próbowałem dojść do .ładu ze swoimi myślami i zadawałem sobie pytanie, czy rzeczywiście w głębi serca wierzę w niewinność Barbary. Leżała opierając głowę na moich ramionach i obejmowała mnie kurczowo za kolana, a od czasu do czasu ciałem jej wstrząsał gwałtowny szloch. Aby uwolnić się od wszystkich wątpliwości, przycisnąłem wargi do jej ucha i szepnąłem: „Barbaro”. A gdy poruszyła głowę, powtórzyłem: „Barbaro, jeśli rzeczywiście jesteś czarownicą, możesz się teraz uratować!” Ona jednak tylko szlochała i obejmowała moje kolana jeszcze bardziej kurczowo. I wtedy zrozumiałem, że nie mogła być czarownicą w przymierzu z diabłem, bo z pewnością diabeł przyszedłby jej teraz na pomoc.

20?

Gdy zbliżaliśmy się do miasta, słońce wstawało i nie wiem, czy kiedykolwiek świat wydawał mi się tak młody i piękny jak tego poranka. Pokryte śniegiem góry wznosiły się w dali na horyzoncie jak niebieskie obłoki, trawa w dolinach lśniła świeżą zielenią, a rzeka toczyła jasnozielone fale o spienionych grzbietach po gładkich, białoszarych kamieniach. Winnice złociły się i brunatniały, świeżo rozwite liście otulały żółtozielonymi welonami czarne pnie jesionów i lip, a przed nami wznosiły się szare i brązowe mury miasta księcia biskupa. Tu i ówdzie nad blankami murów widać było górne piętra domostw podobne do jaskółczych gniazd, a cienki, jasny głos klasztornej sygnaturki wzywał braciszków do modlitwy porannej. Strażnik u bramy rozpoznał mistrza Fuchsa i przepuścił nasz wóz pod sklepieniem bramy, żartując grubiańsko z rudych włosów i bladej cery Barbary. Wcześni przechodnie, dziewczki służebne i rzemieślnicy otwierający swoje kramy stawali, aby gapić się na pomalowany na żółto wóz do przewożenia czarownic, i niebawem ciągnął za nami sznur dziewcząt, czeladników i diatwy, gdy zmęczony koń truchcikiem zdązał wąskimi uliczkami do

więziennej wieży przy biskupim pałacu. Mistrz Fuchs zbudził strażnika więziennego, rzucając kamieniem w okutą żelazem bramę, i oddał Barbarę w jego ręce. Następnie zaś, ku memu wielkiemu zdziwieniu, wziął Raela za skórę na karku i podniósł go do góry tak, że pies aż zapiszczał z bólu.

— Psa zabieram — oświadczył. — Ojciec Anioł zadecyduje, czy będzie go potrzebował tylko na świadka, czy też i przeciw niemu podniesione będzie oskarżenie o czary.

Biedny Rael próbował wyrwać się z ramion mistrza Fuchsa, skomląc żałośnie za Barbarą, która wciąż jeszcze stała w drzwiach wieży, skąd rozchodził się wstrętny odór więziennego lochu. Zgąbiony strażnik przyglądał się jej niechętnie i naradzał się z mistrzem Fuchsem, jak ją najlepiej przykuć w wieży. Dałem mu całego guldena i prosiłem, żeby nie szczędził jej jadła i napoju. Mimo to jednak nie pozwolono mi wejść do mrocznej wieży. Sam tylko mistrz Fuchs poszedł za strażnikiem, niosąc w ramionach biednego psiaka za skórę na karku. Popychali przed sobą Barbarę, a niskie drzwi wieży zamknęły się za nimi.

W jakiś czas później drzwi otworzyły się znowu z głuchym łoskotem i mistrz Fuchs wyszedł na światło dzienne, ocierając dłonie o poły szarego kaftana.

— Nie potrzebujesz się bać — powiedział do strażnika więziennego. — Ojciec Anioł da ci święconej wody i wosku i jeśli będziesz unikał patrzenia wiedźmie w oczy i nie zapomnisz odmawiać modlitw, nie stanie ci się nic złego. Ona jest już unieszkodliwiona.

— Coście zrobili z moją żoną, mistrzu Fuchsie? — wykrzyknąłem ze zgrozą.

— Wzięliśmy ją w dyby — odparł — a potem obszukałem ją, jak mi nakazuje obowiązek, czy nie ma ukrytego w sukniach albo przy ciele jakiegoś zaklętego talizmanu, żeby nie przyniosła jakiejś szkody temu zacnemu człowiekowi i jego rodzinie.

Ze zgrozą patrzyłem na jego oczy, twarz i okrutne ręce i przejęły mnie bezgraniczne przerażenie i odraza. Ale nic bym nie zyskał doprowadzając go do gniewu. Toteż opanowałem się i powiedziałem pokornie:

— Drogi mistrzu Fuchsie, jestem niedoświadczony i nie wiem nic o procesach, bo nigdy jeszcze nie miałem do czynienia z sądami czy to świeckimi czy duchownymi. Powiedz mi więc, co mogę zrobić dla mojej żony, żeby zaś nie marnować przy tym czasu, chętnie zapraszam cię na puchar grzanego wina z korzeniami w jakimś szynku w pobliżu, abyśmy się rozgrzali po trudach podróży.

— Bardzo w porę to proponujesz, Mikaelu Pelzfuss, a poza tym przypadłeś mi do serca — odrzekł. — Chodźmy więc stąd i napijmy się po pucharu, a równocześnie przedłożę ci także rachunek za podróż.

Potał nos i zmierzył mnie od stóp do głowy, oceniając moje możliwości płatnicze.

— Nie jesteś zbyt zamożny — ciągnął — toteż będę umiarkowany. Ale najlepiej pomówmy o tym przy winie.

Dopiero przy bramie ośmieliłem się go zapytać, co zrobił z pieskiem.

— Skuty i związany siedzi w osobnej celi — odparł. — Nie potrzebujesz się o niego niepokoić, Mikaelu. Ma wodę do picia, a dzieci strażnika postarają się dla niego o chleb i kości, bo to miły piesek i nie chcę, aby mu się stało coś złego, choć obowiązkiem moim było go pojmać i uwięzić. Mam szczerą nadzieję, że niewinność jego będzie oczywista, a wtedy chętnie ci go zwrócę.

A po chwili podjął:

— Bardzo lubię zwierzęta, zwłaszcza ptaki, i mam w domu dużo ślicznych ptaszek w klatkach.

Gdy wyszliśmy na rynek, mistrz Fuchs rozejrzał się dokoła, szukając winiarni, i mruknął w roztargnieniu pod nosem, jakby sam do siebie:

— Miałem kiedyś czworo dzieci, ale wszystkie umarły na ospę w ciągu tygodnia. Także i żona zmarła mi na ospę. Było wtedy suche lato i czarownice zatrwały kurz, który roznosił zarazę między ludźmi.

14 — Mikael, t. 1 3?onad tysięcy ludzi umarło i zaraza ustała dopiero, gdy spalono osiemnaście czarownic.

Weszliśmy do przyjemnej winiarni i zamówiłem grzanego wina, świeże słodkie pieczywo i ciastka smażone na tłuszczu. Mistrz Fuchs wciąż jeszcze liczył na palcach, gdy popijaliśmy wino, a w końcu oświadczył, że biorąc pod uwagę moją młodość i ubóstwo, zadowoli się dwoma i pół guldenami. Do sumy tej wliczone było: eskorta, transport, najem konia i wózka i rewizja osobista czarownicy. Nie targując się, wysupłałem pieniądze z sakiewki, bo na wszelki wypadek zabrałem z sobą wszystko, co nam zostało z posagu Barbary, oraz moje własne oszczędności z półtorarocznej pracy. Wiedziałem, że zdiera ze mnie skórę, ale było to jego prawo, a ja rozpaczliwie starałem się być z nim w dobrych stosunkach. Wiedziałem, że będę zmuszony zapłacić koszty procesu i należność świadków, bez względu na to, czy Barbara zostanie uwolniona, czy też nie. Ale nie myślałem o wydatkach i miałem cichą nadzieję, że wystarczy mi pieniędzy na wszystko.

Na moje liczne pytania o dalszy bieg sprawy mistrz Fuchs odpowiedział, że tym razem nie może być mowy o przysiędze oczyszczającej. Trybunał nie przyjmował też zeznań świadków na korzyść oskarżonego. Tylko obciążające świadectwa przyjmowano ad notam.

— Musisz wreszcie zrozumieć sytuację, Mikaelu — tłumaczył mi cierpliwie. — Czary to crimen exceptum tak samo jak obraza majestatu, zdrada kraju i bicie fałszywej monety, lecz o wiele jeszcze straszniejszej natury. Sędzia w procesie czarownic musi być wyposażony w szczególne pełnomocnictwa, bo w czasie dochodzeń raz po raz zmuszony jest zmagać się nie tylko z czarownicą, ale również z samym szatanem, który jako ojciec kłamstwa stoi po stronie oskarżonej, zaślepia oczy sędziego, mąci pamięć świadków i ich bieg myśli i wystawia wszystkich uczestniczących w procesie na wielkie niebezpieczeństwa. Toteż jasne jest, że nazwiska donosicieli i świadków muszą w razie potrzeby być trzymane w tajemnicy i że trzeba posługiwać się specjalnymi metodami, żeby wymusić przyznanie się oskarżonego do winy. Wszystkie środki są dozwolone w tej walce z szatanem, byleby tylko prowadziły do rzucenia jasnego światła na całą sprawę i wyjawily prawdę. I jeśli zechcesz użyć swego rozumu, Mikaelu, i być sprawiedliwym, przyznasz, że jest to zupełnie słuszne stanowisko.

Chętnie przyznałem mu słuszność, ale wytrwale upierałem się, że Barbara jest niewinna, twierdząc, iż jako jej mąż wiem to najlepiej. I dodałem, że minionej nocy diabeł miał wspaniałą sposobność dopomóc Barbarze w ucieczce, gdyby rzeczywiście zawarła z nim przymierze.

— Sam o tym myślałem i bardzo się niepokoiłem — przyznał mistrz Fuchs. — Bo po raz pierwszy zmuszony byłem okolicznościami przewozić czarownicę nocą. Ale diabeł jest nieskończenie bardziej chytry, niż możemy sobie wyobrazić, i uznał zapewne za korzystniejsze przybrać ją w płaszczyk niewinności i oddać w moc trybunału, zamiast ponownej próby ucieczki, gdyż czarownica zostałaby przypuszczalnie wnet złapana w tych gęsto zamieszkałych okolicach. Z tego powodu przypuszczam, że szatan nauczył ją pewnych sztuczek, które pomogą jej wypierać się przed sądem. Ale Święta Inkwizycja też dysponuje środkami, które moja przysięga służbowa zmusza mnie zataić przed tobą.

— Mam w każdym razie nadzieję, że nie zostanie poddana mękom, których nie może znieść słaba niewiasta — powiedziałem z sercem złodowaciałym ze zgrozy.

Mistrz Fuchs uspokoił mnie przyjaznymi słowy:

— Nic takiego nie nastąpi, a zresztą nie jest jeszcze powiedziane, że podda się ją inkwizytorskiemu przesłuchaniu. Ale nawet gdyby do tego doszło, przesłuchanie nie powoduje szkody fizycznej dla oskarżonego. Przeciwnie, ustalono wyraźnie, że nie może ono powodować trwałego kalectwa ani też przekraczać sił oskarżonego. Naturalnie, zdarzało się



czasem, że szatan zabił czarownicę, gdy spostrzegł, że jej opór słabnie, ale nie było w tym żadnej szkody, bo taka śmierć stanowi ostateczny dowód, że w danym wypadku chodziło o czarownicę, i to samo dotyczy także wypadków, gdy śmierć następuje w więzieniu.

Dobre wino z korzeniami paliło mnie w ustach jak żółć, gdy słuchałem jego słów, ale postawiłem mu jeszcze jeden puchar, a on opowiadał dalej i cytował liczne przykłady interwencji diabła na rzecz jego uwięzionych zwolenników.

— Mistrzu Fuchsie — rzekłem w końcu. — Z tego widzę, że dla diabła nie ma nic niemożliwego. Ale opowiadania wasze przerażają mnie, tak że chciałbym jak najszybciej spotkać się z ojcem Aniołem, aby wyjaśnić mu tę sprawę i apelować do jego sprawiedliwości. Mistrz Fuchs okazał się istotnie bardzo życzliwy i załatwił wszystko tak, żebym jeszcze tegoż popołudnia mógł spotkać się z ojcem Aniołem w jego surowej celi w klasztorze dominikanów.

Wielki był mój ból, ale kiedy wstąpiłem w mury klasztoru i w ciszy, która mnie ogarnęła, wciągnąłem w nozdrza znajomy aromat kadzidła i odór przepoconych habitów, gdy szedłem chłodnym kamieniem krużgankiem w ślad za braciszkiem służebnym, klasztorny spokój ukoił moje zbolełe serce.

•— To dom boży — mówiłem sobie w duchu. — Uświęcony wiekami modłów, umartwień i pobożnych kontemplacji. Są dobrzy mnisi i źli mnisi, ale dom boży jest poręką, że Barbarze nie stanie się nic złego.

Gdy wszedłem do celi, ojciec Anioł podniósł się z klęcznika przed obrazem Ukrzyżowanego. Rzuciłem się przed nim na kolana i ucałowałem rąbek czarnego habitu z drogiego sukna, pod którym miał białe jak śnieg giezło. Nie nosił sandałów i widać było po żyłastych i pokrytych guzami stopach, że chodził boso jak rok długi. Mimo to stopy miał bardzo czyste, a gdy podniosłem w górę oczy, zobaczyłem, że i twarz jego była czysta i promienna. Twarz ta wychudła od umartwień, promieniowała pobożnością i dobrocią, gdy schylił się nade mną, aby mnie podnieść.

— Nie powinieneś klękać przede mną, Mikaelu Pelzfuss — powiedział — lecz tylko przed Bogiem i Jego świętymi. I nie czcij mnie jako człowieka, ponieważ jestem słaby i ułomny. Ale jeśli już to czynisz, czcij we mnie wieczną i niezachwianą sprawiedliwość Kościoła, która skazuje winnego i uwalnia niewinnego. Siadaj, synu mój. Miej ufność w Bogu i opowiedz mi szczerze wszystko, co masz na sumieniu, bo przez to najlepiej pomagasz sobie samemu i twojej nieszczęsnej żonie.

Słowa te były tak życzliwe i pocieszające, że wybuchnąłem płaczem, osłabiony lękiem i przygnębieniem, bezsennością i postem. Ukoił mnie swoją łagodnością, wskazał niski stołek do siedzenia, a sam zajął miejsce w fotelu z oparciem. Jego ciepła życzliwość przełamała tamy mojej duszy. Opowiedziałem mu całe swoje życie, wyznałem, że jestem z nieprawego łoża i zwierzyłem się z gorącego pragnienia służenia Kościołowi. Pokazałem mu też mój mocno już wygnieciony dyplom z uniwersytetu w Paryżu i opowiedziałem, że twarde ciosy losu kazały mi żałować moich uczynków i natchnęły myślą pielgrzymki do grobu Zbawiciela. Po drodze jednak zostałem napadnięty i ograbiony przez rozbójników i porzucony w lesie na zagładę.

— To właśnie Barbara znalazła mnie w moim żalonym położeniu i było to tak, jakby sam Bóg swoimi niezbadanymi ścieżkami zaprowadził ją do mnie — mówiłem. — Była dla mnie dobra i czuła, uzdrowiła mnie z ran i odziała, bo nie miałem nawet koszuli na ciele. Serce moje przywiązało się do niej i pobraliśmy się, aby żyć z sobą do końca naszych dni. Żyliśmy skromnie i pracowicie, nie czyniąc nikomu nic złego, i tylko złośliwość i zła wola ludzka, która prześladowała Barbarę od dziecka z powodu jej wyglądu, są przyczyną tego strasznego podejrzenia, które teraz na nią spadło. Ale ja, jej mąż, znam ją najlepiej i mogę przysiąc na Boga i święte sakramenty, że jest niewinna tej straszej zbrodni, o którą jest oskarżona.

Ojciec Anioł siedział spokojnie i bez ruchu w krześle, wpatrując się we mnie jasnymi, badawczymi oczyma. Oparł piękne, smukłe dłonie na poręczach i zachęcał mnie krótkimi pytaniami, ilekroć się zawahałem, tak że opowiedziałem mu wszystko, co mi się przytrafiło, zgodnie z prawdą i bez zastrzeżeń. Gdy skończyłem moje opowiadanie, siedział przez długą chwilę w milczeniu i wpatrywał się we mnie jasnymi oczyma. W końcu westchnął głęboko i rzekł:

— Mikaelu Pelzfuss, wierzę w to, co mówisz, i chcę myśleć o tobie dobrze, gdyż aby odkupić swoje grzechy, byłeś w drodze do Ziemi Świętej, gdy czarownica znalazła ciebie i dostała w swoją moc. Ale jesteś niedoświadczony i nie rozumiesz jeszcze, o jak straszną i ważną sprawę tu chodzi. Mam jednak nadzieję, że z pomocą bożą doprowadzę ją do dobrego zakończenia. Toteż muszę przede wszystkim postawić ci kilka pytań.

Znieruchomiał i siedział jak skała w swoim krześle, a jego łagodne oczy wbiły się we mnie nagle zimnym, twardym spojrzeniem sędziego.

— Mikaelu Pelzfuss — zapytał — czy wierzysz, że istnieją czary i czarownice?

Zrobiłem znak krzyża i odparłem:

— Niech mnie Bóg broni, żebym miał wąpić w coś, czego uczy 'Kościół święty, gdyż nie jestem bynajmniej heretykiem. Naturalnie, że istnieją czarownice, ale moja żona Barbara jest niewinna.

— Wierzysz zatem, że czarownice skazane przez święty Kościół wcale nie były niewinne i poniosły jedynie słuszną karę za swój okropny grzech i mieszanie się z szatanem? Spuściłem oczy, aby się zastanowić, ale po chwili zmuszony byłem odpowiedzieć cichym głosem:

— Muszę w to wierzyć, bo święty Kościół nie może się mylić. Coś jednak buntowało się we mnie, w głębi duszy, i nie mogłem mu patrzeć w oczy przy tej odpowiedzi.

Przechylił się w tył w krześle i spojrzenie jego zrobiło się znowu ciepłe.

— Synu mój — rzekł — masz prawdziwą wiarę i nie jesteś heretykiem. Toteż musisz także wierzyć, że żonę twoją spotka sprawiedliwość i tylko sprawiedliwość. Dochodzenie w sprawach o czary to trudne i straszne zadanie, które wystawia wszystkie siły duchowe sędziego na próbę. W mojej słabości nieraz sarkałem na ten straszny obowiązek, który na mnie nałożył Ojciec Święty. Szatan doświadcza w ten sposób moją słabość i tylko przez ustawiczne modły i cielesne umartwienia udaje mi się przewyciężyć wątpliwości, które szepce mi do ucha. Módl się więc i ty, Mikaelu, o siebie, jak i o to, żebym umiał przewyciężyć słabość i jako sprawiedliwy sędzia odsłonić podstępny szatana w tej niedobrej sprawie.

Jego wezwanie świadczyło o tak głębokim bólu duszy i takiej nie-ugiętości, że moja własna męka skurczyła się i stała się maleńka wobec duchowych mąk świętego męża.

— Ojcie Aniele — powiedziałem pokornie. — Będę się z całego serca modlił, żeby Bóg pomógł wam wykryć prawdę. Będę się też modlił o zbawienie mojej własnej biednej duszy, ale najgorętsze modły zanosić będę o moją żonę Barbarę, żeby nie stało się jej nic złego.

Ojciec Anioł potrząsnął lekko głową.

— Synu mój — odparł — z boską pomocą wydobędę na jaw prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Ale jeszcze nigdy nie stałem przed tak trudnym zadaniem. Muszę skazać czarownicę na podstawie wiążących dowodów, a równocześnie uratować twą zaślepioną duszę i przeszkodzić, by nie popadła w niewiarę. A także doprowadzić do tego, abyś ufając w pełni w sprawiedliwość świętego Kościoła pobożnie przyznał, że prawda zwyciężyła, czyniąc to nie tylko wargami, ale i sercem całym.

Następnie postawił mi szereg dociekliwych pytań, jak Barbara mnie znalazła, jak mnie pielęgnowała w czasie choroby i jak się pobraliśmy. Pytał też o psa i chciał wiedzieć, w jaki sposób pisarz miejski złamał sobie rękę, przy czym spostrzegłem, że był doskonale

poinformowany o naszym życiu. Ale odpowiadałem na wszystkie pytania szczerze i nigdy nie popadłem w sprzeczność z samym sobą, gdy je powtarzał w różnych formach. W końcu zapytał:

— Czyście chodzili regularnie na mszę, spowiadali się i przystępowali wspólnie do komunii? Zmuszony byłem przyznać, że do pewnego stopnia zaniedbywaliśmy nasze obowiązki religijne, lecz tylko dlatego, że Barbara cierpiała z powodu ludzkiej złości i bała się pokazywać ludziom i chodzić do kościoła. Zapewniłem jednak, że nie zapominaliśmy o naszych modlitwach i obserwowaliśmy wszystkie posty. I dodałem:

:— Głęboko żałuję naszej opieszałości i rozumem teraz, że nie dbając o ludzkie złośliwości powinniśmy byli chodzić pilnie do kościoła i wypełniać wszystkie obowiązki wierzących, tak jak szczerze tego pragnęliśmy, choć baliśmy się ludzi.

— Człowiek niewinny nie boi się i nie unika bliźnich — rzekł ojciec Anioł. — Czarownica ma ważne powody, aby unikać mszy świętej i ludzi., a jeszcze cięższym dowodem przeciw niej jest, jeśli unika świętych sakramentów. Szatan jest jednak chytry i uważałbym to za udawanie i za równie obciążający dowód przeciw niej, gdybym usłyszał, że pilnie uczęszczała do Kościoła i często przystępowwała do komunii.

— Moja żona nie jest czarownicą — odezwałem się, jako że nic innego nie miałem do powiedzenia.

— Zawarłeś związek małżeński z Barbarą Biichsenmeister rzekł ojciec Anioł. — Uważasz, więc, że jest ona ładna?

— Uważam ją za ładną — odparłem i na myśl o tym, że Barbara skuta w dyby leży w brudzie i smrodzie więziennych lochów, wybuchnąłem płaczem i wykrzyknąłem: —• ojcze Aniele! W moich oczach jest ona najpiękniejsza z wszystkich kobiet i kocham ją bardziej niż cokolwiek na świecie!

Ojciec Anioł wzdrygnął się gwałtownie i zrobił znak krzyża.

— Wystarczy — rzekł. — Od tej chwili musisz poświęcić się nieustannym modlitwom, umartwieniom i pokucie. Inaczej nie zdołam wyrwać cię z mocy szatana. Nie widziałem jeszcze czarownicy Barbary, ale wiem, że jest to brzydka i ruda kobieta o zębach zjedzonych przez robaki i twarzy pełnej piegów. Jest o wiele lat starsza od ciebie i miała już dawno za sobą najlepszy wiek do zamążpójścia, gdy cię spotkała. Od tej chwili nie wolno ci zrobić kroku poza mury klasztoru. Oddaję cię pod nadzór przeora, żebyś modlił się i czynił pokutę, dopóki nie zostaną zebrane wszystkie zeznania świadków i nie będzie można zacząć procesu.

— Ojcze Aniele! — wykrzyknąłem, rzucając się przed nim na kolana. — Niczego więcej nie pragnę, jak modlić się i oddawać umartwieniom, ale pozwól mi odwiedzić żonę w więzieniu, abym mógł ją pocieszyć, bo serce mnie boli na myśl o jej okropnym położeniu.

Prośby moje nie wzruszyły go i zauważyłem, że mój upór zaczyna go złościć. Toteż opanowałem się i zamilkłem, a on zaprowadził mnie do przeora i w czasie niesporów włożyli mi do ręki poświęconą świecę, wcisnęli do ust poświęconej soli, a mnisi śpiewali przy tym psalmy, aby przepędzić diabła, zaś ojciec Anioł i inni ojcowie zanosili płomienne modły o zbawienie mojej duszy. Ta męcząca ceremonia uspokoiła mnie o tyle, że popadłem w śmiertelne odurzenie. W trzy godziny później mnisi zbudzili mnie znowu i zaprowadzili na nocne nabożeństwo.

Tak postępowano ze mną dzień po dniu i posty oraz ustawiczne czuwanie uczyniło mnie miłosiernie zamroczonym. Od czasu do czasu jednak błyskało w moim mózgu jasne światło świadomości i gdy przypominałem sobie Barbarę i myślałem o jej losie w więzieniu, uczucie, jakby mi ktoś wetknął nóż w serce. Krzyczałem wtedy z bólu wielkim głosem i błagałem braciszków, żeby chłostali mnie zawężonym postronkiem albo cierniami, tak aby męki cielesne odpędziły obawy o los mojej ukochanej. Dobrzy mnisi chłostali mnie, aby wypędzić ze mnie diabła, aż plecy zmieniły mi się w jedną ranę i zaczęły ropieć. Tak minęły blisko dwa miesiące i lato rozkwitło pełnym kwieciami wokół biskupiego miasta. Ja jednak nie

wiedziałem nic o lecie, bo mieszkałem w pustej celi mnisiej i kamienna podłoga była mi posłaniem, chleb i woda pożywieniem, a moja jedyna droga wiodła kamiennym krużgankiem do kościoła i z powrotem. Stopniowo słabły moje męki i stawałem się coraz bardziej zamroczony i spokojny. Gdy przeor spostrzegł, że zostałem uleczony z niepokoju, uznał, że mogę zaniechać umartwień. Pozwolono mi znowu nosić własną odzież i jeść pożywną strawę i po kilku dniach rozjaśniło mi się w głowie i znowu stałem się sobą. Zrozumiałem, że proces zacznie się niebawem, i czekałem niecierpliwie na dalszy bieg wydarzeń. Pewnego dnia poprosiłem przeora o pozwolenie udania się do miasta, żeby ostrzyć włosy. Nie śmiałem zwracać się do strażnika więziennego, ale poszedłem do biskupiego dworca, żeby przynajmniej zobaczyć wieżę, w której więziono Barbarę, i łązy gorące polały mi się z oczu na widok grubych murów. Gdy otarłem oczy rękawem, zobaczyłem nagle ojca Barbary wychodzącego z pałacu biskupa i zmierzającego ku bramie. Widok jego ucieszył mnie niewypowiedzianie i uznałem to za dobry omen, choć nigdy nie mogłem polubić mego teścia. On również nie okazał zachwyty ze spotkania ze mną, ale jego zwykła mrukiwość znikła, widać było, że pił wino i chciał z kimś porozmawiać. Po krótkim wahaniu zaprosił mnie na piwo i gdy zasiedliśmy na ławie przy drewnianym stole w piwiarni, rozgadał się i zaczął narzekać na swoje kłopoty zawodowe.

Zniecierpliwiło mnie to i odważyłem się przerwać mu, aby zapytać:

— Czy macie jakieś nowiny o waszej córce Barbarze, drogi ojcze? Spojrzał na'mnie krzywo i zaczął chichotać:

— Złożyłem już zeznanie w tej sprawie i postawiłem krzyżyk przy moim imieniu — odparł.

— Nareszcie się jej w ten sposób pozbędę. Otrzymałem pełnowartościowe gwarancje dla siebie i rodziny, że nie spotkają nas żadne więcej przykrości z powodu Barbary. Nasza opinia została oczyszczona i nikt nie może nam nic zarzucić. Jeszcze nie miałem w życiu dnia tak błogosławionego i warto wypić na cześć tego dnia jeszcze jeden dzban piwa, bo syn mój może teraz rozpocząć nowe życie i wszystkie te podobne do zmory lata są już wreszcie za nami.

— Świadczyliście przeciw własnej córce?! — wykrzyknąłem ze zgrozą. — Czyż można nienawidzić własnego ciała i krwi? W takim razie świat istotnie jest bardziej szalony, niż sądziłem.

Uderzył dzbanem w stół na znak, że chce więcej piwa, i rzekł:

— Nie mam do ciebie urazy, Mikaelu, ale zapłaciłbym ci nie zapłacił pięćdziesięciu guldenów za to, żebyś zabrał czarownicę z naszego zacnego miasta, tak abym wreszcie się jej pozbył? Ale ty tego nie zrobiłeś. Zamiast tego osiedliliście się wśród nas, musicie więc teraz ponosić następstwa swego czynu. Umywam ręce, a wraz ze mną moja żona i mój syn. Pytasz, czy nienawidzę swojej córki, i teraz, gdy jej przeklęte oczy wreszcie przestały się wpatrywać we mnie, mogę swobodnie wyznać, że nienawidziłem jej od chwili urodzenia, i nie wierzę nawet, by była moją córką, lecz uważam, że jest płodem diabła, który jako inkubus spłodził ją z moją biedną żoną. Jednakże wykupiłem już rozgrzeszenie i przebaczenie także i za to.

Patrzyłem na jego nalaną gębę i wodniste od pijaństwa oczy i było mi tak, jakbym widział go po raz pierwszy. Podniosłem się od stołu i chlusnąłem mu gwałtownie w twarz piwem, po czym wybiegłem z oberży, zatrzasnąwszy za sobą drzwi i gotując się z pasji.

Ale wnet gniew mój ustąpił i ogarnęła mnie bezkresna niemoc, gdy zrozumiałem, że gniewem najmniej mogę pomóc Barbarze, i że najlepiej trzymać język za zębami. Toteż znów przybrałem pokorną minę i wróciłem cichutko do klasztoru. Ledwie wszedłem do mojej celi, gdy ojciec Anioł wezwał mnie do siebie. Siedział nad wielkim stosem papierów.

— Opancerz swoje serce, żebyś mógł znieść prawdę, mój synu — rzekł do mnie przyjaźnie.

— Jutro odbędzie się proces i musisz być silny. Toteż aby cię przygotować na to, co cię czeka, chcę cię zapoznać z góry z całym materiałem dowodowym, choć nie jest to zgodne z

praktyką sądową. Robię to jednak po to, aby uratować twoją duszę. Wiedz zatem, że żona twoja Barbara jest czarownicą!

Przewidywałem to i nic nie odpowiedziałem, tylko opuściłem głowę i zrobiłem znak krzyża, aby mu się przypodobać. A potem zapytałem cicho:

— Czy będę mógł zobaczyć Barbarę w czasie procesu? Ojciec Anioł westchnął i rzekł:

— Nie możemy temu przeszkodzić i dla zbawienia twojej duszy dobrze jest, żebyś był przy tym obecny. Gdy przeczytasz te zaprzysiężone zeznania, sądzę, że nie będziesz miał żadnych wątpliwości, a gdy już będziesz gotów z lekturą, proszę, żebyś podpisał własne zeznania, które podyktowałem sekretarzowi trybunału według twego ustnego opowiadania.

Wręczył mi papiery, a ja zacząłem czytać je uważnie, choć chwilami nie umiałem stłumić okrzyków gniewu czy zdziwienia. Ale hamo wałem się i trzymałem oczy spuszczone, tak że ojciec Anioł nie mógł widzieć ich wyrazu. Jego badawcze spojrzenie utkwione bowiem było we mnie nieprzerwanie, a poczucie absolutnej pewności uczyniło jego rysy twardymi i surowymi.

Nie warto powtarzać wszystkich zeznań, toteż przytoczę tylko kilka. Rodzice poprzedniego konkurenta Barbary, który zmarł przed wielu laty, zaświadczała, że kłóciła się ona gwałtownie z chłopcem na łące za miastem robiąc przy tym gesty ku niebu. Natychmiast rozpętała się gwałtowna burza i padł piorun, który zabił chłopca, choć szukał on schronienia przed deszczem pod samotnie stojącym drzewem. Natomiast Barbara nie odniosła żadnej szkody, mimo że stała na środku otwartej polany. Mogły to być tylko czary i świadkowie wyrazili przypuszczenie, że Barbara z pomocą diabła skierowała piorun tak, aby zabił ich syna, równocześnie zaś sama posłużyła się swoim imieniem, gdyż święta Barbara chroni ludzi przed uderzeniami piorunów.'

Jakaś kobieta twierdziła, że wyszło jej w piersi mleko, gdy się pokłóciła z Barbarą.

Mój przyjaciel, pisarz miejski, zaświadczał, że Barbara diabelskimi sztuczkami sprawiła, iż spadł ze schodów i złamał sobie rękę, potrzebną mu do pracy w zawodzie. A uczyniła to po to, aby uzyskać posadę dla mnie. Wabiła go też codziennie, aby jadł z nami obiady, chcąc przeszkodzić wyleczeniu chorej ręki, która też pozostała sparaliżowana. Pisarz nie chciał jednak oskarżać mnie i uważał, że nie byłem świadom czarów mojej żony.

Woźny miejski zeznał, że przepędziliśmy go wraz z żoną z mieszkania, aby objąć je w posiadanie, i twierdził, że nigdy nie ustąpiłby dobrowolnie, gdyby nie bał się, że Barbara zaszkodzi mu czarami.

Członkowie rady miejskiej podpisem i pieczęcią zaświadczała, że Barbara od dzieciństwa miała opinię czarownicy i że już raz poprzednio zmuszona była złożyć przysięgę oczyszczającą.

Ojciec jej opowiadał, że widział, jak Barbara — jako mała dziewczynka — skakała po podwórzu czyniąc przedziwne ruchy i mrużąc pod nosem niezrozumiałe słowa. Niedługo potem przyleciały ptaszki i usiadły na jej ramieniu, a wiewiórka jadła jej z ręki. Gdy Barbara podrosła, trzymała całą rodzinę w strachu swoimi pomysłami i nikt nie ważył się jej przeciwstawić. Raz rozzłościła się na matkę i pokazała na nią palcem, a w niespełna dwa miesiące później matka zachorowała na wodną puchlinę i nie opuszcza odtąd łóża. Pewnego ranka Barbara zeszała do warsztatu ojca i tegoż popołudnia piec do topienia metali pękł z przeraźliwym hukiem, wyrządzając wiele szkody.

Takie to były zeznania, które czytałem z wielkim rozgorzeniem.

I z każdym nowym świadectwem byłem coraz bardziej przygnębiony. Można było bowiem obalić niektóre z nich, ale te sanie obwinienia powtarzały się stale i razem wzięte stanowiły miazdzący materiał dowodowy przeciw Barbarze. Ostatni dokument był nie podpisany i zacząłem go czytać, nie pojmując zrazu, że chodzi tu o moje własne zeznania.

Ja, Mikael Pelzfuss z Finlandii, bakałarz uniwersytetu w Paryżu, opowiadałem, że Barbara w sposób niewytłumaczony znalazła mnie pobitego i obrabowanego w lesie i że tylko sam diabeł mógł ją zaprowadzić do ukrytego miejsca, gdzie rabusie porzucili mnie w przekonaniu, iż nie żyję. W czasie mojej choroby dawała mi pić gorzkie dekokty ziołowe, których skład był mi nie znany. Bez wątpienia były to czarodziejskie napitki, gdyż niedługo później zakochałem się w Barbarze, mimo jej brzydoty, i ożeniłem się z nią. W czasie naszego małżeństwa Barbara dalej czarowała mnie diabelskimi sztuczkami, tak że w moich oczach była najpiękniejszą kobietą na świecie. Ale teraz, gdy prawda wyszła na jaw odrzekam się od niej i od czarów i przyznaję, że rozumiałem, iż tylko czarodziejska siła mogła mnie zmusić do ożenku z nią.

Gdy przeczytałem ten okropny dokument, który ojciec Anioł podyktował według mego opowiadania, choć sfałszował je i uczynił z niego oskarżenie, podniosłem oczy i oświadczyłem mocnym głosem: ' — Ojczy Aniele! Nigdy nie podpiszę tego oskarżenia, bo nie jest ono zgodne z prawdą.

Ojciec Anioł podskoczył na krześle z gniewu, ale opanował się i rzekł pojednawczo:

— Czyż nie jest to napisane tak, jak mi to sam opowiadałeś? Nie rozumiesz, że jako czarownica oczarowała cię swoimi dekoktami? Nikt bowiem przy zdrowych zmysłach nie może twierdzić, że jest to najpiękniejsza kobieta na świecie.

Ale mimo wielu perswazji odmawiałem podpisania zeznania. W końcu więc pozwolił mi napisać je na nowo i opowiedziałem, że Barbara znalazła mnie w lesie i wyleczyła ziołami oraz że ożeniłem się z nią z własnej nieprzymuszonej woli i kocham ją bardziej niż cokolwiek na świecie. Ale gdy chciałem dodać, że nie wierzę, by Barbara była czarownicą, i że w czasie naszego małżeństwa nigdy nie zauważyłem w jej zachowaniu czegoś, co by wskazywało na czary, ojciec Anioł zakazał mi tego zdecydowanie, mówiąc, że to nie moja rzecz rozstrzygać, czy Barbara jest winna, czy nie. Uczynią to sędziowie, którzy zajmą stanowisko wobec wszystkich złożonych zeznań, nie wyłączając m<sup>o</sup>jego. Zbyt późno połapałem się, że mimo wszystko postanowił wykorzystać moje zeznanie przeciw Barbarze. Ale ponieważ wola jego była silniejsza od mojej i ponieważ miałem nadzieję być obecnym w czasie procesu i zapobiec przekręcaniu moich słów, podpisałem dokument, a on wziął go ode mnie. Wtedy od razu stał się znów spokojny i twarz jego znowu zrobiła się piękna i miłosierna, gdy patrzył na mnie.

— Wierz mi, Mikaelu — rzekł — i ja również jestem tylko człowiekiem i zadanie włożone na moje barki wydaje mi się często zbyt ciężkie na moje siły. Muszę jednak przewycięzać swoją słabość, bo inaczej nie mógłbym być gorliwym sługą Kościoła. W takim wypadku jak ten nawet i ludzkie miłosierdzie jest tylko okrutną sztuczką diabła, którą kusi on mnie, żeby ratować swoich zwolenników.

— Nie wierzę, żeby żona moja była czarownicą, cokolwiek ludzie by przeciw niej powiedzieli — stwierdziłem.

Ojciec Anioł oparł głowę na dłoniach, westchnął ciężko i odmówił cichą modlitwę.

— Mikaelu — powiedział — jestem słabym człowiekiem. Płacz ludzki sprawia mi cierpienie, a męka ludzka przyprawia o mdłości. Właśnie z powodu mojej słabości wybrany zostałem na ten urząd, aby przewyciężając ją przyczyniać się do chwały boskiej. Kościół święty trwać będzie wiecznie. Ziemskie błoto i brud są przemijające, ale święty Kościół nie przemienie.

Poczułem się zmiażdżony jego słowami, bo rozumiałem, że nie tylko głupi i bezmyślni ludzie, ale i cały święty Kościół opowiedział się przeciw Barbarze. Stała samotna, nie mając żadnego obrońcy, bo nawet ja, jej małżonek, podpisałem zeznanie, które mogło być wykorzystane przeciwko niej.

-Trybunał inkwizycyjny zebrał się w wieży więziennej, w ciemnej izbie słabo tylko oświetlonej odbłaskiem wpadającym przez wąskie strzelnice w grubych murach. Czekając na

czcigodnych ojców, wyjrzałem przez wąskie otwory i ze zdziwieniem spostrzegłem, że na dworze jest lato, drzewa pokryte są liśćmi, a zieleń murawy jasna i soczysta, izba w wieży znajdowała się bowiem wysoko ponad koroną muru i roztaczał się stamtąd wspaniały widok za miasto, aż po niebotyczne Alpy.

Ojciec Anioł, jako przewodniczący trybunału, miał dwóch innych dominikanów jako współsędziów, z których jeden prowadził protokół. Funkcję oskarżyciela pełnił mistrz Fuchs. Nikomu poza tym nie wolno było uczestniczyć w posiedzeniu trybunału, a gdy do izby wprowadzono Barbarę, nawet strażnik więzienny musiał pozostać za zamkniętymi drzwiami. Barbara była umyta i uczesana, i odziana tylko w czystą grubą koszulę. Obawiałem się tego spotkania, wyobrażając sobie cierpienia i okropności pobytu w więzieniu, ale uspokoiłem się natychmiast, gdy ją zobaczyłem, bo nie zauważyłem żadnych zewnętrznych oznak złego traktowania. Mimo to schudła porządnie i miała świeżą bliznę w kącie ust. Wydawała mi się też zadziwiająco brzydka. Włosy jej miały kolor rdzawy i straciły połysk, a gdy mrużąc oczy próbowała oswoić się ze światłem, zobaczyłem, że twarz jej pokrywały żółtawe piegi. Zdaje mi się, że przez jakiś czas nie mogła niczego rozróżnić, bo od czasu do czasu przecierała oczy, jak gdyby ją piekły.

Przesłuchanie trwało ponad dwie godziny. Gdy ojciec Anioł postawił zarzut czarownictwa i przymierza z diabłem i zapytał Barbarę, czy przyznaje się do winy, ona z całym spokojem zaprzeczyła. Następnie sekretarz zaczął monotonnym głosem czytać liczne zeznania świadków, a Barbara odpowiadała czasem potakująco, a czasem przecząco na pytania sędziego. Z ulgą stwierdziłem, że zdołała zachować bystrość myślenia, gdyż odpowiadała potakująco na wszystko, co oczywiście się wydarzyło i mogło być udowodnione, na przykład o kłótni z narzeczoną i karmiącą kobietą albo też o pęknięciu kotła czy o złamaniu ręki przez pisarza, natomiast zaprzeczała stanowczo, jakoby w jakikolwiek sposób miała coś wspólnego z tymi nieszczęśliwymi wypadkami. Jej postawa zaczęła na mnie stopniowo oddziaływać tak, że wszystkie moje ukryte wątpliwości rozwiały się i szczerze, uwierzyłem w jej niewinność.

Gdy odczytano moje zeznania, oczy jej oswoiły się już ze światłem w izbie. Rozejrzała się dokoła i odkryła mnie siedzącego w kącie. Jej zielonkawe oczy spoczęły na mnie jeszcze raz, a szczupła twarz rozblęśla niewypowiedzianą radością i nagle stała się znowu piękna w moich oczach i serce moje wypełniło się słońcem i śpiewem ptaków.

Gdy sekretarz odczytał już wszystkie zeznania i członkowie trybunału przedyskutowali między sobą każdy punkt oskarżenia, ojciec Anioł zimnym i surowym głosem zwrócił się do Barbary z następującymi słowami:

Wiedzmo Barbaro, w świetle tych bezspornych i zgodnych z sobą zeznań Święta Inkwizycja uważa, że jesteś winna czarownictwa w każdym z wymienionych wypadków, co wyszło biednym i niewinnym ludziom na szkodę, a w wypadku twego byłego narzeczonego wywołało ludzką śmierć. Ponieważ zaś nie ma czarów bez przymierza z diabłem, trybunał uznaje także i ten punkt oskarżenia za w pełni udowodniony. Czy chcesz zatem dobrowolnie przyznać się do winy, czy też pragniesz nadal pokładać ufność w szatanie i zapierać się tego, co ci się zarzuca?

— Nie jestem czarownicą! — wykrzyknęła Barbara — i nie stoję w przymierzu z diabłem, bez względu na to, co ludzie mówią za moimi plecami, bo nienawidzili mnie od dziecka, gdyż byłam brzydka i inna niż wszyscy.

— Wezwana dobrymi słowy do dobrowolnego przyznania się do winy czarownica hardo zaprzeczyła oskarżeniu — dyktował ojciec Anioł spieszenie • — • przyznała jednak, że od dzieciństwa była inna niż wszyscy dobrzy ludzie.

Znowu zwrócił się do Barbary.

— Zarówno w czasie twego uwięzienia, jak i przed sądem czyniłem wszystko, co było w mej mocy, aby skłonić cię do dobrowolnego przyznania się, ale ty trwasz w uporze. Dlatego

odraczam posiedzenie trybunału do popołudnia, po czym proces będzie kontynuowany stosownie do praktyki trybunału inkwizycyjnego z zastosowaniem tortur. Przykro mi, moja córko, ale sama ponosisz za to winę i masz jeszcze czas, żeby się namyślić, czy wolisz dobrowolnie się przyznać, czy też chcesz, żeby święty Kościół był zmuszony zadać ci fizyczny ból i cierpienie, aby zmusić cię do przyznania się. Nie sądź, że twój sprzymierzeniec diabeł pomoże ci, gdy dostaniesz się w ręce kata. Przyznaj się i oszczędź nam tego ciężkiego obowiązku, który ani tobie, ani nam nie sprawi radości.

— Ależ ja nie jestem czarownicą — jęknęła Barbara i wybuchnęła płaczem.

Ojciec Anioł zignorował jej łzy i kazał przywołać dozorcę, żeby zabrał ją do więzienia na okres przerwy południowej.

— Ojcie Aniele — błagałem — pozwól mi pomówić z żoną i przekonać ją, że najlepiej będzie, jak się przyzna, jeśli rzeczywiście jest winna, bo nie mogę znieść myśli, że będzie musiała cierpieć.

— To niemożliwe, Mikaelu — odparł ojciec Anioł niecierpliwie. — Znów by cię zaczarowała, jak to dobrze sam wiesz. Poza tym mógłbyś jej podać coś, czym mogłaby sobie zaszkodzić, albo też jakiś środek, który by ją znieczulił na ból, a jako sędzia nie mogę ryzykować udaremnienia całego procesu. Nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości, bo mam przed sobą męczące popołudnie z powodu uporu czarownicy.

Wyrwał mi się i odszedł. Sam książe biskup bardzo ciekaw rezultatów procesu zaprosił członków trybunału na obiad. Ojciec Anioł kazał mi wprowadzić iść do kuchni, gdzie miano mi dać coś do jedzenia, ja jednak nie miałem wcale apetytu i błąkałem się przez dwie nie kończące się godziny po podwórku biskupiego pałacu. Próbowałem przekupić dozorcę, aby puścił mnie do Barbary, ale choć staruch był chciwy, to jednak nie ważył się ryzykować skóry i złamać wyraźnego zakazu ojca Anioła. Natomiast gdy dałem mu pieniądze, obiecał postarać się dla niej o dobry posiłek.

Gdy czcigodni ojcowie wrócili z biskupich komnat z twarzami zaróżowionymi od wina, ocierając wargi i żywo z sobą rozprawiając, zbliżyłem się do ojca Anioła jeszcze raz i błąkałem go, żeby przynajmniej pozwolił mi być obecnym przy przesłuchaniu inkwizycyjnym. Tym razem okazał się bardziej ustępliwy i rzekł:

— Przewidywałem twoją prośbę i przedyskutowałem to z księciem biskupem, gdyż o ile mi wiadomo, coś podobnego nie miało nigdy dotychczas miejsca. Ale chodzi tu o wypadek zupełnie niezwykły, a ty zostałeś zaczarowany, i nie sądzą, żebyś kiedykolwiek się z tego zupełnie wyleczył, jeśli nie usłyszysz na własne uszy z jej ust przyznania się do winy. Możesz zatem być przy tym za zezwoleniem biskupa, ale tylko pod warunkiem, że ani słowem, ani gestem nie będziesz mieszał się do przesłuchania i będziesz spokojnie siedział na swoim miejscu. Ponadto musisz złożyć zwyczajową przysięgę, że nie będziesz potem nienawidził ani żywił niechęci do nikogo z obecnych, że nie skusisz ani nie przekupisz nikogo, aby zemścił się za ciebie i że pogodzisz się z tym, co się działo. Przysięga ta obejmuje członków trybunału, jako też mistrza Fuchsa, biskupiego kata i katowskiego pachołka. Wróciliśmy więc do izby na wieży i tam złożyłem przysięgę, którą odczytał mi ojciec Anioł. Następnie zeszedliśmy gęsiego na dół po wąskich schodkach do izby tortur, która była pozbawiona okien i miała sklepiony pułap. Oświetlona była dwiema pochodniami i czekali tam na nas kat i jego pachołek, schludnie odziani w czerwień według przepisów swego zawodu, choć nie mieli prawa rozlewać krwi ani zadawać trwałych uszkodzeń cielesnych w czasie tortur. Gdy się rozejrzałem dokoła w lochu, próbowałem szukać pociechy w myśli, że wszystkie te okropne cęgi i przyrządy do wykręcania palców nie znajdą zastosowania. Ale wystarczył widok drabiny opartej na dwóch, kozłach, zwisającej z koła u pułapu liny i potężnych ciężarów kamiennych, aby oblał mnie zimny pot z przerażenia. Zacni ojcowie zajęli miejsca, skarżąc się na niewygodne siedzenia, po czym wprowadzono Barbarę. Była sparaliżowana strachem i drżała na całym ciele, ale gdy kat opisał na wezwanie ojca Anioła, w jaki sposób używa



swoich narzędzi, ona mimo wszystko zaprzeczyła, jakoby była winna, i w pokornych i błagalnych słowach powiedziała, że nie może przyznać się do czegoś, czego nie popełniła. Ojciec Anioł westchnął tylko i nakazał mistrzowi Fuchsowi wszczęcie przesłuchania.

Kat i jego pachołek ściągnęli z Barbary koszulę, grubo żartując i udając, że ją pocieszają. Została naga. Przewrócili ją i przywiązali mocno do drabiny za ręce i nogi. Bardzo schudła, ale starannie obmyte ciało wciąż jeszcze było białe i jedynymi widocznymi znakami więzienia były ciemne pasy, które dyby zostawiły jej na przegubach rąk i kostkach u nóg. Jęknęła parę razy, gdy kat bezlitośnie zgolił jej włosy, nie zostawiając na ciele najmniejszego meszku. Następnie wystąpił mistrz Fuchs i zaczął dokładnie obmacywać każdy kawałek jej skóry i wszystkie wgłębienia ciała, szukając jakiegoś diabelskiego talizmanu, który mógłby uczynić ją nieczułą na ból. Ojciec Anioł nie chciał ze skromności przyglądać się tej procedurze i wołał półgłosem rozmawiać z innymi ojcami. A ja nie uważałem tej brutalnej i haniebnej operacji za zbyt okropną, gdyż błogosławiłem każdą chwilę, która oszczędzała Barbarze nieznośnych mąk.

— Niejedna czarownica chętnie się, że będzie zupełnie nieczuła na ból, jeśli tylko zdoła zachować mały strzępek swego odzienia — rzekł mistrz Fuchs. — Ale jeśli ta tutaj nie jest obecnie pozbawiona wszelkiej mocy, to ja nie nadaję się już dłużej na mój urząd komisarza od czarownic.

Cofnął się, a do nagiego ciała Barbary zbliżyli się teraz zacni ojcowie, którzy opryskali ją wodą święconą, odśpiewali nad nią unisono modlitwę i wcisnęli jej do ust poświęconą sól. Ta ceremonia oczyszczająca bardzo podniosła na duchu kata i jego pachołka, którzy związując Barbarę ukradkiem robili znak krzyża. Wyraźnie też widziałem, że i zacni ojcowie sami w ponurej, oświetlonej pochodniami celi bali się jej jako czarownicy i spostrzeżenie to doprowadziło mnie do rozpacz, wskazywało bowiem na to, że sądzili ją w dobrej wierze i byli przekonani o jej winie.

Ojciec Anioł wezwał teraz mistrza Fuchsa do dokonania próby igły. Ten chwycił gorliwie długą i ostrą igłę i zaczął szukać na ciele Barbary nieczułego na ból stygmatu czarownicy. Zacni ojcowie pochylili się nad nią z ciekawością, aby przyglądać się próbie, i za każdym razem, gdy jęknęła i krew połała się z ran, wydawali głębokie westchnienia. Mistrz Fuchs badał starannie każde znamię i kłuł ją nawet w sutki, tak że Barbara krzyczała głośno z bólu. W końcu znalazł na biodrze dość duże znamię, które nie krwawiło, gdy wetknął w nie igłę, i nie było bolesne. Niewątpliwie był to stygmat czarownicy, którym diabeł napiętnował ją na znak ich przymierza, aby pokazać, że należy do jego wiernych. Doznałem gwałtownego wstrząsu i przypomniało mi się, Jak niezliczone razy w chwilach namiętności całowałem tę plamkę, o której sądziłem, że jest znamieniem.

Sekretarz zapisał w protokole, że próba igły wykryła na prawym biodrze czarownicy, o cal nad kością biodrową, nieczuły na ból stygmat w kształcie kopytka. Ojciec Anioł nakazał odwiązać Barbarę od drabiny i zważyć ją. I nikt się nie zdziwił, gdy mistrz Fuchs obwieścił, że Barbara waży o dobrych dziesięć funtów mniej niż kobieta jej wzrostu i budowy ciała ważyć powinna. Członkowie trybunału, jako też kat i jego pachołek byli już z powodu stygmatu całkowicie przekonani, że Barbara jest czarownicą, i nie mieli dla niej najmniejszego współczucia. Próba wagi utwierdziła ich tylko w tym przekonaniu, gdyż czarownice są lżejsze niż zwykli ludzie i mogą z tego powodu utrzymać się na wodzie.

Ojcu Aniołowi obrzydło już przyglądanie się Barbarze i nakazał katu, aby odział ją znowu w koszulę. Następnie zapytał ją ponownie, czy pragnie się przyznać. Ona jednak stała bez słowa z opuszczoną głową, wobec czego ojciec Anioł z widocznym wstrętem nakazał katu pełnić jego powinność. Ten chwycił Barbarę, a jego pomocnik związał jej ręce za plecami. Linę zwisającą z koła u pułapu okręcono jej wokół kostek i podciągnięto ją w powietrze tak, że zawisała tuż pod stropem z nienaturalnie wykręconymi stawami barkowymi. Następnie kat, zwolnił linę i pozwolił Barbarze opaść, ale nim dosięgła podłogi, napiął znowu linę i

Barbara przeraźliwie krzyknęła z bólu, gdyż ramiona jej omal nie zostały wyrwane ze stawów.

— Mikaelu! — krzyczała — Mikaelu!

Pot ściekał mi po twarzy i podniosłem rękę, aby dotknąć ojca Anioła. Ale w świetle pochodni zobaczyłem, że wpatruje się w Barbarę z wykrzywioną twarzą i że wielkie krople potu wystąpiły mu na wysokie, czyste czoło. Cierpiał podobnie jak ja od okropnego widoku i ręka opadła mi bezsilnie. Kat powtórzywszy ten zabieg kilkakrotnie, opuścił Barbarę na podłogę, tak że upadła twarzą na kamienie. Wtedy ojciec Anioł zapytał ją niemiłosiernie, czy nie chce się przyznać. Barbara jęczała cicho, wzywała Matkę Boską na pomoc, po czym powiedziała:

— Do czegoż mam się przyznać? Nie wiem, co mam powiedzieć. Na miłość boską, nie torturujcie mnie więcej, dostojni ojcowie!

Ojciec Anioł rozgniewał się i skinął na kata, a ten przytoczył kamienny ciężarek, ważący ponad piętnaście funtów. Związano Barbarze stopy i przyczepiono kamień do palców u nóg za pomocą pierścienia. Jęczała straszliwie, gdy kat powoli podciągał ją w powietrze, ramiona trzeszczały w barkach, palce u nóg wyciągały się. Już przy pierwszym 15 — Mikael, t. I upadku ramiona wyskoczyły ze stawów i Barbara zawisła 2 wykręconymi w tył rękoma wyciągniętymi- pionowo nad głową. Wydała straszliwy krzyk bólu, który jednakże wnet przemienił się w cichy, przeciągły jęk, co przypawiło mnie o konwulsyjny skurcz ciała. Ojciec Anioł zapytał twardym głosem, czy nie chce się przyznać, ale Barbara straciła przytomność. Spuszczono ją na dół i kat zaczął nacierać jej skronie szmatką umoczoną w occie i zwilżać jej wargi wódką. Mistrz Fuchs rzekł z ożywieniem:

— Czcigodni ojcowie, czyż nie widzicie, że nie uroniła ani jednej łzy? Czarownica nie umie płakać, i to jest trzecia próba.

Zapisano więc w protokole, że także próba łez wykazała, iż Barbara jest czarownicą. Odzyskała w końcu przytomność i cicho jęczała, ale gdy ojciec Anioł pochylił się nad nią, aby wydobyć z niej przyznanie się do winy, wydawało się, jakby straciła mowę, i tylko poruszała głową. Aby przyspieszyć sprawę, ojciec Anioł zwrócił się do kata i kazał mu zwiększyć wagę ciężarka, ale dodał:

— Zatkaj jej usta, bo od jęków pękają nam uszy, a wcale nie jest potrzebne, aby przesłuchanie stało się zbyt męczące dla czcigodnych ojców i dla mnie.

Kat wetknął Barbarze między szczęki wydrążony klocek drewniany w kształcie gruszki. Klocek ten nie przeszkadzał w oddychaniu, ale rozdziawiał jej usta i wydymał policzki. Potem zwiększywszy balast o dziesięć funtów, wciągnął ją z pomocą pachołka znowu pod pułap, umocował linę i czekał.

Przez chwilę w izbie tortur trwało milczenie i słychać było tylko trzeszczenie pochodni i cichy szmer piasku w klepsydrze sekretarza trybunału. Jęki Barbary ustały, ale dyszący oddech podnosił i obniżał jej piersi i widziałem, jak wątłe palce u jej nóg wyciągają się okropnie pod ciężarem balastu, a ramiona zaczynają puchnąć i sinieć w stawach. Kat przyniósł z niszy w murze dzban piwa, napił się i dał też swemu pachołkowi. Jeden z ojców zaczął półgłosem mrużyć modlitwę i przesuwając między palcami brunatne paciorki różańca. Nagle poczułem, że już dłużej nie potrafię się opanować. Wybuchnąłem gwałtownym płaczem, rzuciłem się ku Barbarze i wspierałem się na palce, żeby móc objąć jej kolana i udźwignąć straszne ciężarki.

— Przyznaj się, Barbaro, przyznaj się — prosiłem tchórzliwie. Przyznaj się w imię naszej miłości, bo nie mogę już tego dłużej wytrzymać.

Otworzyła swoje zielonkawe kocie oczy, ale spojrzenie jej nie miało teraz na mnie żadnego działania, i czułem tylko okropność jej męki, gdy dźwigałem jej szczupłe członki w moich ramiona-ch.

Ojciec Anioł podszedł do mnie i rozluźnił moje ręce tak, że drgające ciało Barbary opadło w dół i zawisło na wyłamanych stawach.

— Przyznajesz się czarownico? — zapytał i pchnął ją pięścią w pierś. — Jeśli się nie przyznasz, wciągniesz swego męża Mikaeja z sobą w zagładę.

" Wtedy Barbara poruszyła głowę, aby pokazać, że chce mówić, i kat wszedł na drabinę, żeby wyjąć jej z ust drewniany klocek. Kąciki jej ust popękały i cienkie strumyki krwi sączyły się po brodzie.

— Może i jestem czarownicą — wydyszała z trudem — ale dajcie spokój Mikaelowi. On nie wie nic o mnie.

Ojciec Anioł westchnął z ulgą i polecił katu zwolnić linę. Ciężary opadły ku ziemi i Barbarze było łatwiej mówić. Postawiono jej szereg pytań, co do każdego punktu oskarżenia oddzielnie, a ona przyznała, że wszystkie były uzasadnione. Ojciec Anioł dyktował do protokołu:

— Pytanie: Czy przyznajesz się, że wezwałaś piorun, aby zabił twego narzeczonego?

Odpowiedź: Tak. Pytanie: Czy przyznajesz, że czarami złamałaś rękę pisarzowi miejskiemu?

Odpowiedź: Tak.

Nie mam zamiaru wyliczać wszystkich pytań i odpowiedzi, ale chcę wspomnieć, że usłyszałem z własnych ust Barbary, iż prowadzona przez szatana znalazła mnie w lesie i że użyła czarodziejskiego napoju, żeby mnie zaczarować i zdobyć na męża. Gdy przesłuchanie doszło do tego stadium, ojciec Anioł zerknął na mnie i przypuszczalnie zauważył jeszcze w moich pełnych zgrozy oczach jakiś błysk powątpiewania, bo zmienił sformułowanie swego ostatniego pytania.

— Jaki to był napój, którym zaczarowałaś tego oto Mikaela? Barbara zawahała się i odwróciła głowę, rozejrzała się dokoła gasnącym spojrzeniem, ale odpowiedziała dysząc:

— Składał się on z wody święconej, sporyszu i soku szaleju.

Gdy to usłyszałem, nie mogłem już dłużej wątpić, że mnie zaczarowała. Ledwie dosłyszalnym głosem dodała:

— Przebacz mi, Mikaelu! Ojciec Anioł pytał nieubłaganie:

— Czy przyznajesz się, że w domu twoim utrzymywałaś diabła w postaci czarnego psa, aby używać go do twoich diabelskich sztuczek?

Wtedy Barbara otwarła gwałtownie oczy i wyjęczała przerażona:

— Nie przyznaję się do tego, bo Rael to tylko zwykły pies i nie zrobił nic złego.

To się jeszcze pokaże — odparł ojciec Anioł i ciągnął dalej. — A teraz zastanów się i zważ dobrze twoje słowa, wiedźmo, bo chcę wiedzieć, kiedy, gdzie i w jaki sposób zawarłaś przymierze z diabłem? Chcę dalej wiedzieć, kiedy i gdzie odcisnął on swoje signum na twojej skórze i jakiej postaci, oraz jak często uprawiałaś z nim stosunki cielesne? Gdy odpowiesz mi na te pytania, damy ci spokój, a gdy wyrzekniesz się diabła, święty Kościół przyjmie cię z powrotem do swej wspólnoty i przebaczy ci grzechy oraz uratuje twoją nieśmiertelną duszę od ognia piekielnego. Odpowiadaj, wiedźmo.

Ale Barbara milczała, wpatrując się tylko z bezmiernym zdziwieniem w ojca Anioła. Rozdrażniło go to i powtórzył kilkakrotnie swoje pytania, ona jednak uparcie zaprzeczała związków z diabłem i prosiła © łaskę, mówiąc, że nie ma pojęcia, o co mu chodzi. Kat poderwał ją znowu z podłogi tak, że wyłamane stawy chrupnęły okropnie i przeraźliwy krzyk Barbary zmusił mnie do zatkania uszu rękami.

— Niech powisi, dopóki nie przejaśni jej się w głowie — orzekł ojciec Anioł rozgniewany.

— Przez ten czas przesłuchamy psa.

Także i on zakrywał dłońmi uszy i szybko wbiegł po schodach na górę. Wszyscy pośpieszyli za nim, a w piwnicy został tylko pacholek kata.

Rozjaśniło mi się trochę w głowie, gdy znaleźliśmy się na świeżym powietrzu, w izbie na wieży, ale zacząłem drżeć z zimna, bo mokra od potu odzież przywarła mi do ciała. Strażnik więzienny przyniósł wina, które przydało nam się bardzo wszystkim i ojciec Anioł wychyliwszy puchar rozsiadł się z westchnieniem ulgi w wygodnym krześle.

— Przyniescie psa, mistrzu Fuchsie — nakazał.

Gdy mistrz Fuchs powrócił, ciągnąc na smyczy opierającego się Raela, nie poznałem prawie mego pieska, bo był ogolony do skóry i pozbawiony czarnego błyszczącego futerka. Szara skóra świeciła nagością, a całe jego małe ciało pokryte było ropiejącymi ranami. Rael zwęszył mnie i zaczął skomleć i wydierać się do mnie i mistrz Fuchs pozwolił mu wskoczyć mi na kolana. Pies drżał na całym ciele, płakał i próbował lizać mnie po twarzy i wciskał mi mocno nos pod pachę, tak że polały mi się gorące łzy na jego rany. Jeśli bowiem Barbara była może winna czarownictwa, co usłyszałem z jej własnych ust, to ten mały piesek na pewno był niewinny, o czym wiedziałem najlepiej ja, który go znalazłem na podwórku ratusza.

— Pies wabi się Rael — oznajmił mistrz Fuchs — jest to niewątpliwie dziwne pogańskie imię, ale wiele uczciwych ludzi, a nawet szlachetni panowie nadają często swoim psom dużo dziwniejsze imiona. Poza tym pies umie wykonywać przeróżne sztuczki. Ale tresowane psy, które wędrowni komedianci pokazują za pieniądze na jarmarkach, wykonują o wiele dziwniejsze sztuczki. Zgodnie z moim obowiązkiem zbadałem to zwierzę najlepiej, jak umiałem, i usiłowałem zmusić, je do mówienia, bo jeśli szatan albo któryś z demonów niższego stopnia miałby występować w postaci psa, musiałby umieć mówić. Toteż chłostałem tego psa wiele razy dziennie i spalałem mu na grzbiecie pióra umoczone w smole, lecz nie słyszałem, aby wypowiedział choćby jedno tylko słowo albo wydał dźwięk podobny do mowy ludzkiej, choć czasem skomlenie jego przypominało kwilenie maleńkiego dziecka. Także i próba igły dała rezultat negatywny, bo nigdzie nie odkryłem diabelskiego stygmatu. Ojciec Anioł przypatrywał się psu z obrzydzeniem i zatykał ręką nos, bo rany biednego zwierzęcia cuchnęły okropnie.

— Po cóż by wiedźma trzymała tego psa u siebie w domu, gdyby nie mieszkał w nim .diabeł? — zapytał w końcu.

Ale mistrz Fuchs dokładał najlepszych wysiłków, żeby bronić Raela, i odparł, że czarownice bardzo często używają niewinnych zwierząt do swoich sztuczek. Ojciec Anioł znużył się szybko dyskusją i kazał psa poddać torturom, gdyż w przeciwieństwie do mistrza Fuchsa nie lubił zwierząt. Nastąpiła okrutna scena, której przyglądałem się ze łzami w oczach, czując, że równocześnie coś we mnie zawęzła się na twardy węzeł i stygnie, bo jeśli zdrowy rozsądek mówił mi, że wprowadzie Barbarę torturami doprowadzono do przyznania się do winy, to nawet najokropniejsze tortury nie mogły zmusić do mówienia biednego małego pieska.

— Ojcie Aniele! — wykrzyknąłem w pewnej chwili. — Psa nie możecie zmusić do mówienia, choćbyście go zamęczyli na śmierć. Puśćcie przynajmniej psa. Moja żona jest już przecież skazana.

A mistrz Fuchs poparł mnie, mówiąc:

— Cała moja wiedza i doświadczenie przemawiają za niewinnością psa. Byłoby lepiej użyć tego psa tylko jako świadka przeciw czarownicy, a potem go wypuścić na wolność.

Ojciec Anioł i inni członkowie trybunału zgodzili się po chwili wahania z tym poglądem i mistrz Fuchs przyniósł Raelowi miseczkę wody, którą piesek chciwie wychleptał. Następnie sekretarz trybunału wezwał ze zwykłymi formalnościami psa, aby świadczył przeciw czarownicy.

Kat wziął psa na smycz i powróciliśmy do izby tortur, gdzie Barbara wciąż jeszcze wisiała pod pułapem, na wpół martwa, z głową opuszczoną bezwładnie na piersi. Na progu izby tortur ojciec Anioł zwrócił się uroczyście do Raela:

Psie, kimkolwiek jesteś! Święty trybunał wezwał cię, abyś świadczył. Przypominam ci więc o prawach i obowiązkach świadka i nakazuję, abyś nam wskazał, czy jest w tej izbie ktoś, kto para się czarami, a jeśli tak, kto nim jest?

Kat zwolnił psa ze smyczy i w .tej samej chwili Rael z głuchym warczeniem rzucił się na chwiejących nogach na mistrza Fuchsa i ugryzł go w łydkę. Ten wrzasnął i odrzucił psa kopniakiem aż pod ścianę, ale Rael nieustraszenie- ponowił atak i mistrz Fuchs z trudem tylko

zdołał się obronić, dopóki kat znowu psa nie wziął na smycz. To nieoczekiwane zajście wywarło wrażenie na mnie i na członkach trybunału. A kat przeżegnał się znakiem krzyża i zaczął dziwnie przyglądać się mistrzowi Fuchsowi, który tarł pokąsaną tydkę i przeklinał psa, iż tak mu się odpłacił za obronę i ocalenie życia.

A zwracając się do ojca Anioła mistrz Fuchs powiedział—

•— To świadectwo jest bezwartościowe i żądam ze względu na moją dobrą sławę, żeby uznać je za nieważne i wykreślić z protokołu. Pies świadczył przeciw mnie z wrogości, bo z obowiązku musiałem go poddać bolesnym próbom. Toteż żądam, żeby powtórzyć próbę spuściwszy uprzednio wiedźmę na podłogę, aby pies mógł łatwiej ją zwęszyć. Wielebni ojcowie naradzili się między sobą i stwierdzili, że mistrz Fuchs mówi rozsądnie i słusznie. Nic dołączono więc do protokołu żadnej wzmianki o całym zajściu. Mimo to ojciec Anioł zaczął rzucać na komisarza ukradkowe spojrzenia. Tymczasem kat opuścił Barbarę na podłogę. Pies natychmiast zaskomlał i gdy ojciec Anioł powtórzył wezwanie, Rael podbiegł radośnie do Barbary i piszcząc zaczął lizać ją po twarzy, szyi i rękach. Zapisano więc w protokole, że pies dobrowolnie i bez przymusu poświadczyl, iż jego pani jest czarownicą, i cofnięto oskarżenie przeciw Raelowi oraz zwolniono psa z procesu.

.Czułości Raela ocuciły nieco Barbarę. Otworzyła oczy i zaczęła jęczeć. Natomiast ja nie mogłem już tego dłużej wytrzymać, zrobiło mi się czarno przed oczyma i straciłem przytomność. Ocknąłem się w izbie na wieży, gdy pacholek katowski nacierał moje członki i wlewał mi do gardła wódkę. Rael był przy mnie i lizał mi ręce.

— Co się stało? — zapytałem trzymając się za głowę.

— Czarownica przyznała się do wszystkiego — odparł pacholek. Nie wytrzymała trzeciego stopnia tortur i wyparła się diabła. Opowiadała, że dwa razy do roku leciała na Łysą Górę na ożogu i tam oddawała się nierządowi z diabłem, który czasem występował w postaci czarnego capa, czasem zaś bladego mężczyzny. To było strasznie ciekawe i wciąż jeszcze chodzą mi po grzbiecie ciarki od słuchania wszystkich tych okropności. Ale mistrz Fuchs posłał mnie tu na górę, żeby się tobą zająć, bo jestem jeszcze kawalerem. Pewnie przez to tak dużo straciłem. Nieco później do wieży przyszedł ojciec Anioł. Krople potu stały mu na czole i drżał cały od napięcia.

.— Czarownica przyznała się do wszystkiego, Mikaelu — mówił z podnieceniem. — Już jako dwunastoletnia dziewczynka oddała się szatanowi i otrzymała jego signum. Jej mistrzynią była pewna czarownica spalona dziesięć lat temu. I musisz przyznać, że jeśli nawet były jakieś najmniejsze wątpliwości co do możliwości związku z diabłem, to najrozmaitsze zeznania, które zebrano w różnych krajach, są dzięki swojej zgodności i podobieństwu w najmniejszych szczegółach bezspornym dowodem na to, że związki takie naprawdę istnieją. Tak więc i to przyznanie się jest nowym ogniwem w łańcuchu, którym w ciągu stuleci święty Kościół spętał królestwo szatana. Czarownica Barbara przyznała nawet, że w czasie parzenia się z szatanem zauważyła, że nasienie jego jest lodowato zimne, co ojcowie Kościoła od dawna już wiedzieli na podstawie identycznych zeznań licznych czarownic.

— Boże w niebiesiech! — wykrzyknąłem. — Więc wciąż jeszcze ją torturujecie, ojcie Aniele? Czyżby nie przyznała się jeszcze do wszystkiego?

Spojrzał na mnie tak, jak gdyby wątpił w mój zdrowy rozsądek.

— To jasne, że czarownica musi wyjawic współwinnych — powiedział. — To najtrudniejsza faza przy wszystkich przesłuchaniach. Obawiam się, że będzie musiała jeszcze przejść przez czwarty i piąty stopień tortur, zanim wyciśniemy z niej potrzebne informacje. Ale ja i obaj wielebni ojcowie gotowi jesteśmy czuwać przez całą noc, gdyby tego było trzeba. Bo jeśli zostawimy ją teraz w spokoju i zaczekamy do jutra, może zebrać siły i cofnąć zeznania, co czarownice często czynią, gdy szatan doda im nowych sił w ciągu nocy.

Popił tyk wina, popatrzył na mnie ze współczuciem i dodał:

— Wierzę w twoją niewinność, Mikaelu, i doświadczony mistrz Fuchs też w nią wierzy, ale musimy naturalnie przy przesłuchaniach wypytywać ją o ciebie, jako też o nazwiska tych wszystkich, których spotykała na piekielnych sabatach czarownic na Łysej Górze. A na to trzeba czasu i cierpliwości. Ku mojej radości mogę ci powiedzieć, że dotychczas stanowczo zaprzeczała, jakobyś był jej współnikiem.

Słowa jego sprawiły, że na nowo straciłem przytomność i pogrążyłem się w miłosierne omdlenie, które trwało aż do późnego wieczora. Ocknąłem się, gdy ojciec Anioł oświetlił mi pochodnią twarz.

— Zbudź się, synu — powiedział. — Wszystko już za nami. Stoczyliśmy wspaniały bój i wygraliśmy. Jesteś zupełnie niewinny i jeśli chcesz, możesz teraz zobaczyć się z twoją byłą żoną, żeby się z nią pożegnać, bośmy jej to obiecali, gdy się ukorzyła i wyraziła żal za swe straszne przewinienia. Teraz nie może ci już zaszkodzić. Trybunał ułaskawił ją także z powodu jej całkowitego przyznania się do m winy i żalu za to, co uczyniła, toteż wydamy ją teraz świeckiemu ramieniu władzy z postulatem, aby przed spaleniem na stosie skręcono jej kark, tak iżby nie potrzebowała cierpieć mąk śmierci w ogniu.

Oddalił się, a ja zszedłem na chwiejących się nogach po stromych schodach, niosąc Raela pod pachą, i wróciłem do sklepionej piwnicy, którą wciąż jeszcze widzę w nocnych zmorach. Bo jeśli fizyczne cierpienia człowieka są wielkie, to męki duchowe są na pewno jeszcze okrutniejsze, gdy widzi, jak najdroższa osoba cierpi, a nie może jej nic pomóc.

W otwartym kominku izby tortur płonął ogień, a kat opatrywał Barbarę wprawna dłońią i przemawiał do niej dobrymi słowami pociechy, bo płakała cichutko, choć już nastawił jej powykręcane ramiona i owinął wyłamane stawy kojącymi ból okładami z octu. Był tam też strażnik więzienny, któremu dałem pieniądze, prosząc o jedzenie i mocne wino i o trochę wody dla psa.

Oczy Barbary były na wpół przymknięte i czułem, jak serce tłucze jej się dziko o żebra. Gdy ostrożnie gładziłem jej okaleczone kostki i palce u nóg, skurczyła się z bólu. Wrócił strażnik, niosąc parującą wieczerzę w dwóch glinianych misach. Przyniósł też dzban wina, z czego kat tak się ucieszył, że zaczął mnie nazywać szlachetnym panem i prosił, żebym nie miał do niego urazy z powodu mojej żony.

Próbowałem karmić Barbarę palcami, ale ona zdołała przełknąć jedynie trochę zupy i łyk wina. Rael natomiast jadł z apetytem, aż mu się zaokrąglił chudy brzusek, i był tak szczęśliwy, iż jest razem z nami, że odbiegał od posiłku, aby lizać Barbarę po rękach i ocierać się o moje kolana. Gdy kat skończył się posilać, zaproponował dość nieśmiało, abym — skoro już tu jestem — zapłacił mu i jego pomocnikowi według obowiązującej taksy należne im wynagrodzenie. Opowiadał przy tym o swoim ubóstwie i o licznej rodzinie, ale nie odważył mi się patrzeć w oczy, gdy zażądał czterech guldenów, z których jeden miał przypaść pachołkowi.

Aby się wreszcie go pozbyć, dałem mu pięć guldenów, bo pieniądze straciły już dla mnie wszelkie znaczenie i wydawały mi się równie bezwartościowe jak zeschnięte liście. Biedny łotrzyk tak się uradował, że padł przede mną na kolana, pocałował mnie w rękę i błogosławił nas oboje. Zostawił mi też swoje maści i medykamenty i poradził, jak najlepiej opatrywać Barbarę, gdy gorączka zacznie się podnosić, oraz obiecał, że jeśli — jak się tego spodziewa — na niego przypadnie obowiązek stracenia i spalenia Barbary, skręci jej kark tak szybko i zgrabnie, że ona tego nawet nie poczuje. Pożegnał się również z Barbarą, nazywając ją „szlachetną panią”. Gdy już odchodził, spostrzegłem nagle, że od chwili ocknięcia się z omdlenia nie widziałem mistrza Fuchsa, a w obawie, żeby nie odebrał mi Barbary i nie posadził jej w dyby na noc, zapytałem kata, gdzie też on się podział.

Zakłopotał się bardzo i trąc szerokie dłonie i przestępując z nogi na nogę wyznał szeptem, że mistrz Fuchs jest uwięziony i siedzi w dybach, w lochu pod wieżą.

— Było to tak — opowiadał. — Właśnie mieliśmy zastosować piąty stopień i już myślałem, że wszystkie moje wysiłki pójdą na marne, gdy czarownica — to znaczy ta szlachetna pani — wyznała ojcu Aniołowi, kim byli jej współnicy. Zaprzeczyła więc nadal stanowczo, żebyście wy, panie, mieli jakiś udział w zbrodni. Natomiast oświadczyła, że na Łysej Górze widziała wiele razy mistrza Fuchsa i że był on w szczególnych łaskach u szatana, bo wydawał rozkazy czarownikom i odprawiał czarne msze. Przysięgła dalej na wszystkich świętych, że mistrz Fuchs jest największym czarownikiem, jakiego kiedykolwiek widziano w niemieckich krajach. Ale obawiała się mocy danej mu przez diabła i dlatego dopiero teraz wymienia jego imię. Po czym ostatekiem sił wyrzekła się diabła i z oczu jej zaczęły lecieć łzy, co było znakiem, że moc diabelska nad nią została złamana. Ojciec Anioł musiał więc, mimo swoich wątpliwości i zaklęć oraz protestów mistrza Fuchsa, kazać go aresztować i posadzić w dybach, jako że i ten mały mądry piesek też świadczył przeciw niemu. I gdy tylko zabrano mistrza Fuchsa, jakby nam opadły łuski z oczu i przypomnieliśmy sobie rozmaite drobne, ale podejrzanе szczegóły w jego zachowaniu w ciągu minionych lat, tak że nie wątpię, iż ojciec Anioł zbierze dostateczne dowody przeciw niemu. Wydarzenie to wyjaśnia także, dlaczego mistrz Fuchs tyle wiedział o czarach.

Opowiadanie kata zdumiało mnie i zaskoczyło tak, że zwątpiłem w swój zdrowy rozum. Wydawało mi się zupełnie niemożliwe, aby niezmordowany łowca czarownic o dwudziestoletniej praktyce mógł być winnym tej zbrodni. Ale kat wzruszył tylko ramionami i odparł, że fałsz i podstęp diabła są większe, niż grzeszny człowiek może przypuścić, jakkolwiek jedno jest pewne, że ojciec Anioł jest odpowiednim człowiekiem do zwalczania szatana.

Nareszcie zostaliśmy z Barbarą sami i poczułem smutną ulgę, choć powietrze w lochu przesycone było ludzką męką i cierpieniem, a okrutne narzędzia tortur wokół nas nie pozwalały zapomnieć o długich godzinach męczeństwa Barbary. Ogień palił się na kominie, rozpostarłem na podłodze obok niego mój płaszcz dla Barbary na posłanie i ułożyłem ją tam, trzymając jej głowę w ramionach. Rael zwinął się w kłębuszek, ogrzewał jej stopy i spał snem nasyconego psa, wzdychając od czasu do czasu ciężko przez sen. Pieściłem delikatnie koniuszkami palców czoło Barbary, a ona leżała bez ruchu w moich ramionach wpatrując SIĘ szeroko rozwartymi oczyma w ogień. Czuję, że gorączka zaczyna jej się powiększać. Po chwili odezwała się cicho :

∴, \_•.                      «\*•! . \* •!.

j — Mikaelu, ja już nie wierzę w Boga!

Mimo woli zrobiłem znak krzyża i prosiłem, żeby nie mówiła takich okropnych rzeczy i żeby lepiej się uspokoiła i myślała o zbawieniu swojej nieśmiertelnej duszy, gdyż Kościół jej przebaczył i niedługo musi umrzeć. Wtedy ona zaczęła się śmiać, najpierw cicho, potem coraz głośniejsze, aż śmiech ten stał się głośny i przenikliwy, a jej szczupłe ciało zaczęło wic się konwulsyjnie w moich ramionach.

— A więc i ty wierzysz, że jestem czarownicą w przymierzu z diabłem?! — wybuchła. — W takim razie dlaczego trzymasz mnie w ramionach i starasz się mnie pocieszyć?

Długo zastanawiałem się nad jakąś rozsądną odpowiedzią.

— Nie wiem, Barbaro, odparłem w końcu szczerze. — Może dzieje się tak dlatego, że w dniach, kiedy byliśmy szczęśliwi, pieściłem cię tak i dlatego także i w złej godzinie chcę cię ukryć w ramionach, choć z twoich własnych ust słyszałem, że jesteś czarownicą.

Oczy jej płonęły gorączką, gdy poważnie patrzyła na mnie.

— Mikaelu — powiedziała — z pewnością mi nie wierzysz i za dużo byłoby żądać, żebyś myślał o mnie dobrze wbrew uzasadnionemu mniemaniu wszystkich innych ludzi. Ale kocham cię i kochałam tylko ciebie od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłam. Nie myśl o mnie źle teraz, gdy mam umrzeć i już nigdy nie będziemy z sobą. Jakie przysięgi są jeszcze dość święte, aby oczyścić mnie w twoich oczach? Mogę tylko przysiąc, że tak jak nie wierzę

już dłużej w Boga i święty Kościół ani w sakramenty święte, tak też i nie jestem czarownicą. I nigdy nie byłam w przymierzu z diabłem, choć grzeszyłam i igrałam ze sprawami, z którymi nie powinno się igrać. Nauczyłam się od starych kobiet roz-rozróżniać niedobre zioła i poznałam ich działanie. Życzyłam też źle pisarzowi miejskiemu ze względu na ciebie i możliwe, że także i innym ludziom życzyłam źle, gdy się na nich rozzłościłam, ale to jeszcze nie ,cz,a,r,y.; Całe czarnoksięstwo polegało na tym, że moje złe życzenia miały większą siłę niż niechęć innych ludzi, gdyż zawsze byłam inna od wszystkich. Toteż próbowałam poskromić swój charakter i sama się karałam, gdy tylko spostrzegłam, że w mojej gwałtowności życzę komuś źle. Jednego tylko pragnęłam z całego serca i ze wszystkich sił. Chciałam, żebyś mnie kochał, i pokochałeś mnie, ale nie było w tym czarów, klnę się, że to prawda, tak jak prawdą jest, że nie wierzę już w Boga ani w dobroć ludzką.

Taka była powaga w jej słowach i spojrzeniu, że czułem się zmuszony jej uwierzyć, mimo że mówiła w gorączce i że poprzednio słyszałem z jej ust całkiem co innego.

— Wierzę ci, Barbaro — powiedziałem — i rozumiem także, że nie możesz już cofnąć przyznania się do winy, bo to by cię wystawiło na nowe i jeszcze cięższe męki i cierpienia. Toteż lepiej będzie dla ciebie umrzeć szybką i łagodną śmiercią, jak to obiecał kat. Ale nie wolno ci wciągać z sobą w zagładę niewinnego człowieka i umierać z tym strasznym grzechem na sumieniu. Bo jeśli to, co mówisz, jest prawdą, nie mogłaś widzieć mistrza Fuchsa na Łysej Górze i złożyłaś przeciw niemu fałszywe świadectwo. A po tym wszystkim, co widziałem dziś wieczorem, nie wątpię, że ojciec Anioł wymusi z niego przyznanie się do winy i że mistrz Fuchs krzywoprzysięstwem wtrąci swą duszę do piekła, cńioć jest mocnym i twardym mężczyzną.

Zaśmiała się cicho i dotknęła dłonią mojego policzka:

— Wielki z ciebie prostaczek, Mikaelu, i bardzo jeszcze jesteś naiwny, ale zawsze to wiedziałam i może dlatego właśnie tak ciebie kocham. Gdybyś przeszedł wszystkie te męki piekielne już tutaj na ziemi, tak jak ja je przeszłam dzisiaj i w czasie tygodni spędzonych w więzieniu, nie mówiłbyś takich głupstw. Ojciec Anioł nie zwolniłby mnie od tortur, dopóki jeszcze iskra życia kołatałaby się w moim udreńczonym ciele, gdybym mu nie wydała jakiegoś współnika. Ze złej woli i aby zarobić na swoje podłe wynagrodzenie skruszył mistrz Fuchs nasze biedne szczęście, choć chcieliśmy tylko żyć z sobą cichutko jak dwie małe myszki. Wymieniłam go nie tylko z zemsty, Mikaelu, bo taka zła jeszcze nie jestem, lecz myślałam' przy tym o tych dziesiątkach biedaczek, które już posłał na stos, i o setkach niewinnych, których ograbił do cna, wymógłszy na nich przysięgi oczyszczające. Mistrz Fuchs zasłużył na swój los. Może jednak sądzisz, że byłoby lepiej, abym w czasie piątego stopnia tortur położyła kres moim mękom, wyznając, że to ty jesteś moim współnikiem w przymierzu z diabłem, gdyż taka była druga możliwość, którą ojciec Anioł z wielkim zapałem usiłował ze mnie wymusić.

Zapomniałem już o tym i zimny pot oblał mnie całego, gdy pomyślałem, co by się stało, gdyby Barbara nie kochała mnie tak mocno.

— Przebac mi moją głupotę — powiedziałem pokornie. — Jesteś moją dpbrą i wierną żoną i mądrzejsza ode mnie. Nie mogę pojąć, skąd wzięłaś siły, żeby wytrzymać te okrutne męki i nie wydać mnie. Na twoim miejscu z pewnością bym ciebie zdradził.

Wtedy Barbara uśmiechnęła się, chwyciła mnie za rękę i dotknęła suchymi, rozgorączkowanymi wargami.

— Po co pleść głupstwa? — powiedziała. — Piasku ubywa w klepsydrze i koniec mój zbliża się. Bądź dla mnie dobry Mikaelu, jak w dniach naszego szczęścia. Trzymaj mnie mocno w ramionach, bo dobroczyzna gorączka łagodzi mój ból. Trzymaj mnie mocno, tak mocno, abym nie bała się ciemności...

Dusza moja pełna była melancholii i spokoju, gdy następnego dnia odwiedziłem ojca Anioła. Ból i żaloba zelzały, gdyż czułem, że najgorsze było już za nami, i cokolwiek stanie się z



Barbarą, może być tylko dobre w porównaniu z tym, co przeszła. Istnieją też granice tego, co człowiek może odczuć i wycierpieć. Gdy cierpienie jest zbyt wielkie, granice te pękają i człowiek uspokaja się i ostyga, a ból wylewa się z duszy jak z ciasnego naczynia i człowiek nie cierpi więcej.

Nie potrafię bowiem inaczej wytłumaczyć mojego spokoju w ów jasny poranek. Wydawało mi się, że nawet śmierć Barbary jest czymś zupełnie naturalnym i nieuniknionym, z czym serce moje już się pogodziło. Świadomość, że żadna siła na świecie nie zdoła zmienić jej losu, gdy raz święty Kościół wziął go w swoje ręce, podziałała zbawiennie na spokój mego ducha, tak że mogłem odwiedzić ojca Anioła.

On natomiast wcale nie był spokojny i chodził tam i z powrotem po kancelarii księcia biskupa z twarzą ściągniętą niepokojem ducha i z oczyma podbitymi od bezsenności. Zatrzymał się przede mną i zapytał, czy jestem już przekonany, iż Barbara jest czarownicą, i czy nie cofnęła ona swoich zeznań. A gdy obłudnie potwierdziłem, że słyszałem przecież jej przyznanie się do winy na własne uszy i że wszystko to jest zapisane w protokole, oraz wyraziłem mu wdzięczność za jego dobroć i miłosierdzie oraz radość, że Barbara uzyskała od Kościoła absolicję i poniesie łagodną śmierć, wzruszył się i objąwszy mnie ramieniem, chwalił, że jestem dobrym synem Kościoła. Potem zaś ogarnęły go znowu niepokój i zmęczenie i wybuchł płaczem, a szlochając rozdzierająco mówił do mnie tak:

— Mikaelu, Mikaelu, jestem zupełnie zgubiony i nigdy jeszcze nie byłem w gorszej rozterce, jeśli chodzi o mój gorący zapal służenia Kościołowi w trudnych sprawach. Musisz wiedzieć, że mistrz Fuchs, któremu zawsze ślepo ufałem, okazał się wężem, którego karmiliśmy na swym łonie. W czasie ostatniego przesłuchania wczoraj wieczorem został on zdemaskowany jako czarownik! Z początku nie mogłem wprost w to uwierzyć i podejrzewałem, że jest w tym chytry podstęp diabelski, a nawet wątpiłem w swój zdrowy rozsądek, ale w końcu otwały mi się oczy i zrozumiałem, o jak straszliwą sprawę tu chodzi.

— Ale dlaczego mistrz Fuchs miałby tak gorliwie prześladować czarownice? — odparłem.

— Dlaczego miałby je wydawać? Równie dobrze można by podejrzewać samego księcia biskupa o czary i diabelskie intrygi. Mistrz Fuchs jest przecież jego zaufanym sługą.

Ojciec Anioł otarł pot z czoła, wytarł nos w rękaw habitu i zezując niespokojnie wokół siebie powiedział zniższy głos:

— Twoja żona czarownica dała nam odpowiedź i na to pytanie, Mikaelu. Mistrz Fuchs jako zauszniak szatana miał za zadanie pilnować, aby wszystkie wiemy, które z tego czy innego powodu obrażyły majestat diabelski, bez zwłoki kończyły na stosie. Odtąd nie śmiem już wierzyć nikomu. I jestem przerażony nawet twoją wzmianką o jego przewielebności, bo dziś w nocy zachowywał on się doprawdy w sposób taki, który nie przystoi wysokiemu prałatowi i księciu Kościoła, "i odniósł się do mnie tak, jak gdyby raczej sprzyjał diabłu kosztem Kościoła. I nawet ciebie, Mikaelu, podejrzewałbym, gdyby czarownica w czasie najstraszniejszych tortur nie zaprzeczyła stanowczo twemu współudziałowi w czarach i przymierzu z diabłem.

Zapytałem grzecznie, czy mistrz Fuchs może być skazany jedynie na podstawie zeznań Barbary. Ojciec Anioł westchnął i łamiąc ręce odparł:

— Gdyby tylko zeznanie wiemy mówiło przeciw niemu, mógłby się może oczyścić przysięgą oczyszczającą. Ale twój pies świadczył także przeciw niemu, i to w sposób zatrwajający, a ponieważ wciąż jeszcze wątpiłem w mój rozsądek i w świadectwo własnych zmysłów, kazałem pośpiesznie, pod osłoną nocy, przeszukać jego dom, co dało nam dalsze dowody jego zbrodniczości. W mieszkaniu mistrza Fuchsa znaleziono bowiem lalkę zrobioną z wełny, mocno już zniszczoną i wytartą od ciągłego używania. Miał też klatkę z ptakiem o barwnych piórkach, który zbudziwszy się ze snu, zaczął mówić jak człowiek, kłąć i wołać: „Dajcie mi dzban piwa! Dżban piwa!”, dopóki ciemny knecht bojący się diabelskich sztuczek nie ukreślił mu karku. Mimo to książę biskup sromotnie mi urąga, a przede wszystkim

przeklina mnie za to, że nie kazałem natychmiast wszystkim obecnym przy przesłuchaniu złożyć przysięgi milczenia, tak że wieść o tym rozeszła się lotem błyskawicy po całym mieście i niedługo cała diecezja mówić będzie, że mistrz Fuchs został zdemaskowany jako czarnoksiężnik. Biskup twierdzi, że przyniesie to nieobliczalną szkodę i hańbę Kościołowi i podsyci heretyckie nowinki i niepokoje, które w wielu okolicach już pobudziły chłopów do łączenia się w wielkie gromady, aby przedkładać swoje żądania panom i klasztorom. Jego przewielebność stracił panowanie nad sobą do tego stopnia, że klnąc posyłał mnie na samo dno piekieł i groził doniesieniem do kurii. W końcu nie miałem innej rady, jak powołać się na osobiste pełnomocnictwo Ojca Świętego i na szczęście książe biskup zląkł się tego i zamilkł. Ojciec Anioł zaczął znowu biegać po komnacie, objając się o sprzęty i jęcząc:

— Mikaelu, Mikaelu, synu mój, wiesz, że szukam tylko prawdy, całej prawdy i niczego innego jak prawdy. Dlaczego muszę wypić ten gorzki puchar? Jeśli mistrz Fuchs jest czarnoksiężnikiem, musi zostać spalony na stosie, bez względu na stosunki na świecie, jakkolwiek sam dobrze rozumiem, że w obecnych okolicznościach wyjdzie to Kościołowi bardziej na szkodę niż na pożytek i że ta cała historia robi ze mnie i z księcia biskupa przedmiot pośmiewiska. Kościół musi zawsze prowadzić jakąś politykę dla utrzymania i umocnienia swoich praw wieczystych — nieraz wbijano mi to w głowę, a ostatnio dziś w nocy. Ale dyplomacja kościelna to sprawa, która obchodzi legatów Ojca Świętego, ja zaś powinienem powodować się tylko nakazem sumienia, choćby to miało mnie doprowadzić do zagłady. Toteż mogę tylko uderzyć się w piersi i zawołać: „Nie jestem w stanie postąpić inaczej”. A potem niech jakiś mądry legat rozwikła ten węzeł, który zasuplałem, ja zaś wrócę do niego spokojnego klasztoru na resztę życia i służyć będę jako najprostszy służebny braciszek, co będzie dla mnie gorzką pigułką, bo już widziałem w snach czerwony kapelusz kardynalski.

Z pewnym wahaniem zapytałem go, czy uważa przyznanie się do winy pod wpływem tortur rzeczywiście warte tego całego kłopotu i cierpienia, jakie jest z tym związane.

Zatrzymał się nagle na środku komnaty, wpatrzył się we mnie jak w wariata i spytał:

— Mikaelu, wierzysz w Boga?

Zrobiłem znak krzyża i odparłem, że wierzę głęboko.

— W takim razie musisz zrozumieć, jakim strasznym grzechem . byłoby pozwolić duszy dostać się na wieki w ogień piekielny, jeśli można pozyskać ją dla nieba kosztem cielesnych mąk i cierpień. Gdy więc poddaję nieszczęśliwych ludzi cierpieniom Inkwizycji, wiem, że wyświadczam im największą przysługę, jaką można oddać bliźniemu, i to przekonanie przynosi mi ulgę.

Litowałem się nad nim z powodu jego rozterki i nie mogłem go nienawidzić, bo rozumiałem, że działa w dobrej wierze, choć zaplątał się we własne sieci. Zapytałem go o ostateczny los Barbary i czy mogę ją dalej widywać przed egzekucją. Ale ojciec Anioł zakazał mi tego stanowczo, mówiąc:

— Wierzę w twoją uczciwość i szlachetne intencje, Mikaelu Pelzfuss, ale światowe myśli nie powinny już dłużej zaprzętać twojej żony. Musi ona poświęcać cały czas, jaki jej pozostał, na pokutę i akty strzeliste. Nie mogę ci jeszcze powiedzieć, kiedy nastąpi egzekucja, bo data jej zależy wyłącznie od biskupa. O ile wiem, chce on usunąć tę sprawę z porządku dziennego jak najszybciej, ale musi wpierw rozstrzygnąć, czy lepiej będzie ogłosić o egzekucji w całej diecezji, czy też tylko w waszym mieście rodzinnym, żeby ludzie zebrali się przy stosie dla swego zbudowania i byli świadkami niezachwianej mocy świętego Kościoła oraz pomyśleli nad zbawieniem swoich dusz. Podziękowałem mu, że tak życzliwie przyśpieszył całą sprawę, aby oszczędzić mnie i mojej żonie mąk wyczekiwania, i zapytałem pokornie ,o łączny koszt procesu. Spytał, czy już zapłaciłem kata, a następnie zaczął obliczać koszty własne.

— Usiłowałem policzyć ci to możliwie najtaniej — rzekł po chwili. — Sam nie domagam się żadnego wynagrodzenia, co ci naturalnie nie stoi na przeszkodzie w ofiarowaniu klasztorowi

jakiegoś trwałego upominku w moim imieniu, o ile masz na to środki. Dwóch pozostałych członków trybunału musisz opłacić według ustalonej taksy i obawiam się, że honorarium sekretarza będzie szczególnie wysokie, bo wielebny ojciec zużył wiele tuszu i pergaminu na protokoły. Spróbuję jednak pokryć część wydatków procesowych z mienia mistrza Fuchsa, gdyż oba te procesy są z sobą związane. Oczywiście musisz też zapłacić za werdykt wyroku i za podpis cesarskiego namiestnika, ale nie zdaje mi się, żebyś miał poza tym jakieś większe wydatki prócz utrzymania twojej żony i komornego za więzienie do dnia egzekucji, no i oczywiście za partię wybornego bukowego drzewa na stos. Ostrożnie kalkulując, myślę, że wystarczy ci na to wszystko dwadzieścia pięć guldenów, wliczając już w to skromną srebrną skrzyneczkę na opłatki dla mego klaszoru.

Z ulgą odetchnąłem, że wystarczy mi pieniędzy na pokrycie długów i z wdzięczności za dobroć ojca Anioła ucałowałem rąbek jego habitu. Jeszcze raz na próżno próbowałem uzyskać pozwolenie na odwiedzenie Barbary, a spotkawszy się znowu z odmową, zapytałem, czy mogę pomówić z mistrzem Fuchsem przed jego straceniem.

Ojciec Anioł zdziwił się zrazu ogromnie mojej prośbie, ale po chwili zastanowienia zgodził się, mówiąc, że może to pomóc w uzyskaniu od mistrza Fuchsa dobrowolnego przyznania się do winy, za które otrzymałbym siedem guldenów z kasy biskupa. Gdy już miałem opuścić komnatę, złapał mnie nagle za ramię, zbladł, twarz wykrzywiła mu się okropnym grymasem i wielkie krople potu wystąpiły mu na wysokie czoło.

— Mikaełu — rzekł ochryple — zatrzymaj się jeszcze przez chwilę. Wpadło mi coś do głowy i nie wiem, czy to podstęp diabelski, czy palec boży, aby uratować święty Kościół od publicznej hańby. Przyszło mi mianowicie na myśl, że można by podać mistrzowi Fuchsovi kawałek stryczka albo nóż, żeby sobie przeciął żyły albo też sam się powiesił w więzieniu. Byłoby to najlepszym dowodem jego winy, a równocześnie skandal zostałby zduszony w zarodku. Truchleję na myśl, co mnie czeka na końcu tej drogi, na którą wkroczyłem, niczego nie przeczuwając. Gdyby mistrz Fuchs za poduszczeniem diabelskim popełnił samobójstwo przed dniem jutrzejszym, zarobisz siedem guldenów, Mikaełu, a gdy bliżej się nad tym wszystkim zastanowię, widzę, że nie musisz także kupować upominku dla mego klasztoru, bo wystarczy, jeśli się pomodlisz za moją biedną duszę.

Wciąż jeszcze wahał się, ściskając mnie za ramię i usiłował się uspokoić mówiąc:

— Nie wiem, czy to dyplomacja niebiańska, czy ziemską, ale coś mi mówi, że to jest w każdym razie dyplomacja, która zadowoli wielebного biskupa i przyniesie Kościołowi więcej pożytku niż śmierć mistrza Fuchsa na stosie.

Obiecałem zrobić dla dobra sprawy, co się da, i ojciec Anioł dał mi swój własny sznur od habitu oraz wyjął z biskupiego sekretarzyka maleńki, bardzo ostry nożyk do pieczęci. Włożyłem sznur i nożyk do mieszka i rozstałem się z ojcem Aniołem, który błogosławił mnie ze łzami w oczach i nazywał zacnym synem, a nawet pozwolił na koniec, abym przed egzekucją pożegnał się z Barbarą. Już na podwórku biskupiego pałacu poczułem nagle silny głód, zawróciłem więc jeszcze do kuchni, gdzie dobrym słowem udało mi się skłonić hożą dziewczynę, aby przyniosła mi chleba, sera i pół kuropatwy z biskupiego stołu oras dzban pianistego piwa, które trochę uderzyło mi do głowy. Po\*

krzepiony na duchu, przeszedłem na drugą stronę dziedzińca i ącałem dobijać się kamieniem do okutych żelazem drzwi więzienia, aż strażnik otworzył mi i z latarnią w garści zaprowadził do mistrza Fuchsa do cuchnących lochów więzienia.

Brnęliśmy, potykając się na kupach brudu i odpadków, i od czasu do czasu słyszałem, jak umykające na bok szczury z pluskiem wpadały w kałuże. Może i lepiej, że migotliwe światło latarni ledwie rozpraszało ciemność w sklepionym lochu, bo nawet w tym słabym oświetleniu więzienie było tak okropne i ohydne, że przyszedłszy tu ze świeżego powietrza, bałem się, iż smród mnie zadusi.

W końcu strażnik podniósł latarnię w górę i zobaczyłem mistrza Fuchsa siedzącego na gołej ziemi z głową opuszczoną na piersi, z ramionami i nogami rozstawionymi i zamkniętymi w ciasnych otworach dybów, tak że prawie nie mógł się ruszać. Toteż siedział już w kałuży własnych odchodów, ale nie czułem dla niego litości, gdy pomyślałem, że Barbara przez wiele tygodni przebywała w ciemnicy w tej samej męczącej pozycji. Myśl o tym przyprawiła mnie o drzenie tak gwałtowne, że tylko z trudem udało mi się zapanować nad głosem.

— Czy to ty, Mikaelu Pelzfuss? — zapytał mistrz Fuchs gniewnie, rozpoznając mnie z trudem w słabym świetle latarni. — Przyszedłeś pewnie, aby sztydzić ze mnie i zemścić się za twoją żonę, która zaprawdę jest czarownicą i narzędziem diabelskim, bo każdy rozsądny człowiek musi zrozumieć, że wszystko to jest tylko niecznym podstępem szatana na moją zgubę, gdyż wyrządziłem mu dużo szkody przez wiele lat. Powiedz mi, czy to dzień, czy noc? I wygrzeb z mego pasa sakiewkę, weź z niej pieniądze i postaraj mi się o coś do jedzenia i picia, bo jestem wściekle głodny, choć myślałem, że nie zdołam niczego przełknąć z powodu wielkiego rozgoryczenia i słusznego oburzenia.

Powolałem się na ojca Anioła i kazałem strażnikowi uwolnić ręce komisarzowi. Mruczał coś pod nosem, ale zaczął z trudem odkręcać zardzewiałe śruby i razem podnieśliśmy górną belkę dybów, aby więzień mógł wyciągnąć ręce. Zaczął sobie rozcierać przeguby, zaklął straszliwie parę razy i skarżył się, że szczury w nocy poobgryzały mu koniuszki palców. Nie mógł nawet rozwiązać mocno zaciśniętego sznurka od swojej sakiewki, więc musiałem mu dopomóc i posłać strażnika po piwo i jedzenie. Gdy stary odszedł, powiedziałem:

16 — Mikael, t. 1 , — Mistrzu Fuchsie, zabawa się skończyła i położenie wasze jest poważne. Zbierają przeciw wam straszliwy materiał dowodowy i wyszło na jaw, że jesteście arcykapłanem i marszałkiem dworu szatana. Żadna ziemiska czy niebieska moc nie zdoła was już uratować od stosu.

Zaklął ponuro, zrobił znak krzyża i odparł:

— Tego właśnie się bałem tutaj w mej samotności. Widocznie muszę wypić to piwo, którego diabeł dla mnie nawarzył. Ale doprawdy ciekaw jestem, jakie dowody udało im się wynaleźć przeciw mnie, i zastanawiam się, od jakiego końca ojciec Anioł zacznie dochodzenie.

— Pro primo to świadectwo psa — powiedziałem.

— Takie to podziękowanie za to, że chciałem uratować życie przekłętemu pokurczowi! — wybuchnął mistrz Fuchs z goryczą. — Zawsze lubiłem zwierzęta, ale teraz wierzę, że w tym psiaku naprawdę mieszka diabeł.

— Pro secundo — ciągnąłem — mamy świadectwo mojej żony Barbary, przy którym trwała ona mimo piątego stopnia tortur, jak o tym sami wiecie.

Mistrz Fuchs nic nie odpowiedział, tylko wsadził sobie brodę do ust i zaczął ją żuć z wściekłością.

— Pro tertio — ciągnąłem — w waszym domu znaleziono starannie schowaną podobną do człowieka figurę uwitą z wełny. Lalka była zupełnie wyraźnie używana do czarnej magii.

— To lalka mojej córeczki, która zmarła na ospę — odparł mistrz Fuchs, tłumiąc szloch. — Schowałem ją na pamiątkę, bo była to moja najmniejsza i najdroższa córeczka i nie mogłem się zdobyć, żeby spalić jedyną pozostałą po niej zabawkę.

— Ponadto znaleziono u was w domu demona w postaci mówiącego ptaka — mówiłem dalej. — Powiadają, że ludzkim głosem domagał się dzbana wina od trabantów biskupa, dopóki jeden z nich, zląkwszy się, nie skreślił mu karku. To chyba tylko bajka, ale wielu jest na to świadków.

Mistrz Fuchs załkał jeszcze rozpaczliwiej i rzekł złamanym głosem.

— Te łotry zabiły moją piękną papugę, którą kupiłem za drogie pieniądze od wędrownego Hiszpana. Biedny ptak rzeczywiście wymawiał kilka słów ludzkim głosem, choć nie ważyłem się nikomu do tego przyznać, jako że aż nadto dobrze znam ludzką przesadność. Mam jeszcze

inne ptaszki, Mikaelu. Kto je będzie teraz karmił, jak mnie nie ma, kto im da wody? To moje największe zmartwienie, bo zawsze kochałem małe ptaszki.

— Mistrzu Fuchsie — odparłem — mogę to dla was uczynić, bo i tak nic nie mam do roboty, czekając na spalenie żony. Chyba widzi cię żeście zgubieni na podstawie tych wszystkich dowodów i że będą one rosnąć jak lawina, aż was pogrzebią. Z myślą o honorze i dobrej sławie świętego Kościoła ojciec Anioł pragnie jednak, abyście przyznali się dobrowolnie, iżby nie musiał was zbytnio torturować. I uważam, że winniście Kościołowi tę drobną przysługę, gdyż służyliście mu przecież z takim zapałem przez całe życie.

Mistrz Fuchs zastanawiał się przez dobrą chwilę, ciężko wzdychał, aż w końcu powiedział:

— Mikaelu Pelzfuss, postaraj mi się o pergamin, pióro i tusz. Prośba jego wydała mi się podejrzana, więc zapytałem ostro:

— Na cóż wam to w waszym położeniu, mistrzu Fuchsie?

— Wiem, jaki spotka mnie los — odparł — choć przed chwilą próbowałem dodać sobie ducha przekleństwami. Ale gdy myślę o tym, co mnie czeka nieuniknienie, znajduję pociechę, wspominając każdego, kto mnie kiedykolwiek zelżył, skrzywdził albo obraził czy powiedział złe słowo. A takich było wielu, Mikaelu Pelzfuss, bo urząd komisarza do spraw czarownic doprawdy nie jest usłany różami. I teraz zamierzam zanotować każdego, kto mnie uderzył, oszukał przy kupnie albo przy grze w kości, obraził, chlusnął mi piwem w twarz albo w jakikolwiek inny sposób mi się naraził. A już szczególnie będę pamiętać o przewielebnym księciu biskupie, który w tak wiarołomny sposób pozostawił mnie memu losowi, oraz o wielu innych wysokich dygnitarzach kościelnych, którzy kładli łapę na prawnie należnym mi udziale w skonfiskowanym mieniu czarownic. Wiele muszę sobie przypomnieć i w tym celu potrzeba mi pióra i pergaminu, gdyż nie jestem już młody i pamięć zaczyna mnie zawodzić, nie chciałbym zaś zapomnieć o nikim.

— Jezus, Maria! — wykrzyknąłem. — Chcecie oskarżyć samego księcia biskupa o związek z diabłem?

— Naturalnie! — odparł mistrz Fuchs. — Ale przede wszystkim doniosę na ojca Anioła, który — jak wszystko na to wskazuje — jest prawdziwym pomocnikiem szatana, gdyż tak zdradziecko i podstępnie rzuca się na mnie, żeby wtrącić mnie w zagładę.

Zabrakło mi tchu w piersiach i musiałem przycisnąć obie dłonie do skroni, aby odzyskać równowagę ducha.

— Mistrzu Fuchsie! — zawołałem — czyż nie widzicie, jak bezbożne są wasze słowa, dyktowane zemsta, w chwili gdy powinniście się gotować, aby stanąć przed obliczem Boga?

Ale on zasłonił się rękoma i rzekł:

Tu wcale nie chodzi o zemstę, Mikaelu. Jestem jednak dostatecznie doświadczony, aby wiedzieć, że ojciec Anioł każe mi przejść przez wszystkie stopnie tortur, od pierwszego do piątego, nawet gdybym dobrowolnie do wszystkiego się przyznał, aby mu dogodzić. Dlatego konieczne jest, abym miał spis i nauczył się go na pamięć i abym w każdym stopniu tortur mógł wydać odpowiednią liczbę współników, zaczynając od osób mało znacznych i przechodząc stopniowo do coraz wyżej postawionych i możnych. Ojciec Anioł nie zadowolony się bowiem byle czym, gdyż twierdzi, że jestem pierwszym pomocnikiem diabła i odprowadzałem czarne msze. Oskarżenie takie zakłada już samo w sobie, że znam wszystkie czarownice i czarnoksiężników w całych Niemczech. I ja mu ich wydam, bo nie chcę niepotrzebnie przedłużać przesłuchania, a przez to i własnych mąk.

Były to słowa rozsądne, jakkolwiek mówił bezbożnie, i nagle zrozumiałem całe znaczenie tej sprawy i pojąłem, że ojciec Anioł rzucił kamyk, który pociągnie za sobą lawinę o fatalnych następstwach dla resztek autorytetu świętego Kościoła w kraju kipiącym od luteran-skich nowinek. Stało się dla mnie jasne, że za wszelką cenę należy zapobiec okropnemu skandalowi i że ojciec Anioł w ostatniej chwili miał boskie natchnienie, dzięki któremu wszystko może się jeszcze obrócić na dobre.

Mokrymi od potu palcami zacząłem szukać stryczka w moim mieszkaniu, ale w tejże chwili przydreptał strażnik, przynosząc wieczerzę i światło. Mistrz Fuchs zabrał się żarłocznie do jedzenia, z lubością pociągając tęgie łyki mocnego piwa. Gdy się już najadł, położyłem drżącą dłoń na jego ramieniu i zapytałem:

— Mistrzu Fuchsie, co mi dacie w zamian za szybkie i bezbolesne uwolnienie was od tortur i stosu, abyście jako skruszony grzesznik z czystym sumieniem mogli oddać duszę boskiemu miłosierdziu?

Nadstawił uszu i odparł poważnie:

— Mikaelu Pelzfuss, za taką przysługę błogosławiłbym cię do ostatniego tchnienia. Nie zasłużyłem sobie na to, bo wyrządziłem tobie i twojej żonie dużo złego, choć z drugiej strony wiem, że żona twoja z pewnością jest czarownicą i wywarła na mnie najokrutniejszą zemstę, jaką sobie można wyobrazić. Ale może błogosławieństwo moje nie jest zbyt wiele warte, toteż radzę ci zejść do piwnicy w moim domu i poszukać tam luźno osadzonej płyty w posadzce. Pod tą płytą znajdziesz sakiewkę zawierającą blisko siedemdziesiąt sztuk złota, dobrych reńskich guldenów i weneckich dukatów. Mam nadzieję, że siepacze biskupa nie znaleźli tej skrytki. A jeśli zobaczysz u mnie w domu jeszcze coś, co ci się przyda, możesz to sobie wziąć. Ale jeśli już opieczętowali drzwi pieczęcią biskupa, musisz się wystrzegać, żeby cię nie oskarżono o złodziejstwo. Obiecuj mi tylko, że będziesz dbał o moje ptaszki, i albo dasz je wraz z klatkami w darze dobrym dzieciom, albo też wypuścisz na wolność.

Mówił z całą powagą i jakby z obawą, że dręcę go fałszywą nadzieją z chęci zemsty za zło, które mi wyrządził. Toteż usiłowałem skusić mnie opowiadaniem o wspaniałych przedmiotach, które miał w swoim domu, a gdy wyraziłem obawę, że popadnę w kłopoty z powodu przywłaszczenia sobie jego mienia, które i tak wkrótce miało stać się własnością Kościoła, uspokajał mnie, obiecując napisać pełnomocnictwo upoważniające do zabrania z jego domu przedmiotów wartości pięćdziesięciu guldenów w złocie, dając mi zarazem mnóstwo dobrych rad, co mam wybrać.

Jego obietnice nie robiły na mnie wielkiego wrażenia, gdyż wszelkie ziemskie dobra, z pieniędzmi włącznie, wydawały mi się rzeczą czczą w obliczu nieuniknionej śmierci Barbary. Do tego stopnia jednak pogodziłem się z tym, co miało nastąpić, że myślałem już o niej jak o osobie umarłej, i rozsądek mówił mi, że wszystko będzie się toczyć dalej, i że żeby żyć, będę znowu potrzebował pieniędzy. Toteż w końcu podziękowałem mistrzowi Fuchsowi za jego obietnice i pozwoliłem mu napisać moimi przyborami do pisania, które nosiłem u pasa, owo upoważnienie. Następnie zaś dałem mu sznur, którym\* przepasywał się ojciec Anioł, i zgrabny nożyk biskupa od odrywania pieczęci, mówiąc, że sam musi sobie wybrać rodzaj śmierci — albo powiesić się, albo przeciąć sobie żyły. I zostawiłem mu czas na decyzję do następnego dnia rano.

Mistrz Fuchs ścisnął sznur w jednej ręce, a nożyk w drugiej, jakby bojąc się, żebym mu ich w ostatniej chwili nie odebrał. — Dałeś mi twarde orzechy do zgryzienia, Mikaelu — wykrzyknął —

I doprawdy nie wiem, co wybrać. Powiesić rni się niełatwo, bo stopy mam uwięzione w dybach. Także i powolne wykrwawienie się na śmierć nie jest specjalnie przyjemne. Gdybym jednak mógł trzymać dłonie w wiadrach z gorącą wodą, przeciąwszy sobie żyły, ból nie byłby przy tym większy od ukąszenia komara. Ale, jak powiedziałeś, mam sporo czasu do jutra rana, ażeby dobrze zastanowić się nad tą sprawą, co mi ułatwi doczekanie do pierwszego piana koguta.

Gdy wydostałem się na górę do bramy więzienia i znów odetchnąłem świeżym powietrzem, był<sup>o</sup> mi tak, jakbym wstąpił z piekła do nieba. Strażnik więzienny przykuśtykał, aby mi otworzyć bramę, i zapytałem go, jak się miewa Barbara. Ku wielkiej mojej radości dowiedziałem się, że dużo śpi i że dzięki znakomitym maściom kata zaczyna już przychodzić

do zdrowia. Dałem więc strażnikowi jeszcze jednego guldena, a ten tak się ucieszył, że zaczął płakać i wynosić mnie pod niebiosa. Ale gdy mu kazałem zanieść mistrzowi Fuchsowi wiadro gorącej wody, bardzo się przeraził i kreśląc znak krzyża na piersiach zapytał:

— Po cóż, na Boga, mistrzowi Fuchsowi wiadro wody? Chyba nie myśli się utopić? Bo to by mnie, biedaka, doprowadziło do wielkiego nieszczęścia.

Uspokoiłem go, że mistrz Fuchs chce się tylko umyć, a gdy wielce się tym zdziwił, uważając mycie za rzecz sprzeczną z naturą i ogromnie szkodliwą dla zdrowia oraz wyraźnie przemawiającą za tym, iż mistrz Fuchs istotnie jest winny czarów, nie wdając się w dłuższe dyskusje ze staruchem, powtórzyłem ostro moje polecenie, powołując się na ojca Anioła, a strażnik pomrukując przyrzekł mi usłuchać.

Opuściłem wieżę więzienną i pośpieszyłem do ojca Anioła, którego zastałem w kancelarii biskupa na klęczkach, pogrążonego w modlitwie. Gdy mnie zobaczył, przerwał natychmiast swoje modły, podbiegł do mnie i zaczął mną niecierpliwie potrząsać. Wydawało mi się wskazane trzymać go przez jakiś czas w niepewności, wyraziłem więc tylko nadzieję, iż zdołam do jutra rana doprowadzić mistrza Fuchsa do rozsądku i nakłonić do dobrowolnego opuszczenia ziemskiego padołu i przyznania się w ten sposób do zarzucanej mu zbrodni.

— To naprawdę niebezpieczny czarnoksiężnik — wyznałem — i drżę na myśl o zeznaniach, jakie może złożyć, gdy zostanie poddany bolesnym torturom. Obawiam się, że pół kraju popadnie w chaos, gdyby zeznania jego zostały zaprotokołowane.

— Mikaelu — rzekł ojciec Anioł. —• Jeśli dla dobra Kościoła i dla mnie dokażesz tego, przysięgam, że dokonam boso pielgrzymki do Rzymu i przedłożę Ojcu Świętemu całą sprawę i motywy mego postępowania oraz odcierpię karę, którą Kościół zechce mi nałożyć, bo ten czarnoksiężnik musi doprawdy zostać pozbawiony życia.

Pokazałem mu pełnomocnictwo mistrza Fuchsa, prosząc o pozwolenie zabrania pewnych przedmiotów z jego domu. Twarz ojca Anioła skrzywiła się, jak gdyby ugryzł kwaśne jabłko, gdy zobaczył, że mam dostać mienie wartości całych pięćdziesięciu guldenów.

— To musi rozstrzygnąć biskup — orzekł wymijająco — i nie sądzę, abyś miał prawo brać rzeczy, które przypadną w spadku świętemu Kościołowi. Powinieneś w każdym razie wiedzieć, że jeśli będziesz się przy tym upierał, nie zdołam wyjednać, aby kasa biskupa wypłaciła ci owe siedem guldenów, które ci obiecałem i które mogłyby ci się przydać w twym ubóstwie.

Prosiłem go pokornie, żeby dowiedział się, jaki jest pogląd biskupa w tej sprawie, ale on odparł, że książę biskup zachorzał ze wzburzenia i zmuszony był położyć się do łóża. Po długich namowach ojciec Anioł ustąpił w końcu i udał się do sypialni biskupa, a w chwilę później usłyszałem poprzez wiele ścian donośne wołanie księcia kościoła, abym stanął bezzwłocznie przed jego obliczem. Gdy wszedłem do sypialni i zbliżyłem się do łóża, biskup wychylił spomiędzy zasłon twarz siną z gniewu i ryknął do ojca Anioła, aby się zabierał do diabła i wziął mnie z sobą.

— Mistrz Fuchs był najlepszym komisarzem od czarownic we wszystkich krajach niemieckich i dawał memu biskupiemu stolcowi co rok poważne dochody uboczne! — krzyczał. — To człowiek niezastąpiony, choćby nawet po stokroć służył szatanowi, a ty, przeklęty klecho, naraziłeś mnie na niepowetowane szkody. Doprawdy nie pojmuję, jak kuria mogła wybrać takiego barana jak ty na urząd tak ważny i wymagający tyle taktu. Jeśli za pięćdziesiąt guldenów możemy usunąć tę sprawę ze świata, jest to dobry interes i najlepsze możliwe rozwiązanie. I jeśli Bóg pozwoli mi jeszcze podnieść się z łóża choroby, będzie dla mnie prawdziwą przyjemnością przegonić cię kopniakami po podwórku, przeklęty dominikaninie! Dawaj tu pióro!

Podaliśmy mu spieszenie pióro z mego futerału, umoczywszy je w rożku z tuszem. Kipiąc z gniewu, nabazgrał swoje imię pod pełnomocnictwem mistrza Fuchsa i ryknął na pisarza, aby

ściągnął ze mnie pięć guldenów za pieczęć biskupią. Gdy chciałem pocałować go w rękę, dał mi siarczysty policzek, a upuszczenie krwi wcale nie umniejszyło jego siły fizycznej.

— Dopilnujcie, aby rzeczy, które ten zasraniec zabierze, zostały ocenione w obecności notariusza! — krzyknął jeszcze biskup — a to, co przekroczy pięćdziesiąt guldenów, niech wpłaci do mojej kasy za pokwitowaniem. Należy też bezzwłocznie sporządzić inwentarz mienia Fuchsa. A teraz zabierajcie się wszyscy do diabła, żebym mógł odpocząć i zebrać siły, i modlić się do Boga, aby uwolnił święty Kościół od takiego durnia jak ojciec Anioł.

Poczułem się dotknięty tymi słowami i próbowałem wyjaśnić, że jeśli cuchnę odchodami, to wyłącznie z tego powodu, że brodziłem w nich po kolana w więzieniu, usiłując wedle najlepszych moich sił służyć księciu biskupowi. Ale sekretarz położył mi dłoń na ustach i wyprowadził z komnaty, po czym obaj z ojcem Aniołem wyjaśnili mi jednogłośnie, że księżę biskup często jest nawiedzany przez diabła i że nie warto przywiązywać wagi do jego słów.

^Sekretarz nie wziął ode mnie pięciu guldenów, lecz oświadczył, że pójdzie ze mną do domu mistrza Fuchsa, aby sporządzić inwentarz. Był to miły młodzieniec z głodnymi oczyma i tak mu zależało na tym, aby mi towarzyszyć i pomagać, że bez trudu zrozumiałem, iż wyjdzie mi to tylko na korzyść. Pożegnaliśmy się więc z ojcem Aniołem, który znowu pograżył się w modlitwach, i udaliśmy się razem do miasta. Po drodze rozmawialiśmy z sobą przyjaźnie, a nawet zatrzymaliśmy się na chwilę w tawernie, aby wypić kielich wina, po czym w wesołym nastroju powędrowaliśmy do maleńkiego domku mistrza Fuchsa, o wąskiej fasadzie wciśniętej między dwa duże domy kupieckie. Przy drzwiach pełnił wartę jeden z trabantów biskupa w czerwono--niebieskich barwach, z dzidą na ramieniu, ale odesłaliśmy go, aby poszedł napić się piwa na nasz rachunek i sami weszliśmy do wnętrza domu. Z izb na pięterku dochodził szczebiot ptaków, a we wnękach okien wisiało wszędzie mnóstwo klatek, plecionych z wikliny lub sporządzonych z połączonych prętów żelaznych, w których ptaszki skakały wesoło z żerdki na żerdkę. Wszystko inne porozrzucone było w mieszkaniu w nieładzie. Pościel zwalona na wielką kupę na podłodze, poduszki porozpruwane, zamki w skrzyniach powyłamywane. Sekretarz biskupa trząsł głową na widok tego zniszczenia. I zaraz zaczął od niechcienia obmacywać srebrny dzban, który przykuł jego oko.

Oznajmiłem, że pójdę po wodę i pokarm dla ptaszków, i wspomniałem równocześnie, że mistrz Fuchs obiecał mi dać łacińską Biblię. Sekretarz spiesznie ofiarował się pomagać mi w szukaniu, zostawiłem go więc samego i zszedłem na parter, a stamtąd, wzięwszy światło, do piwnicy. Bez wielkiego trudu znalazłem luźną płytę w posadzce, według wskazówek mistrza Fuchsa, i z radością włożyłem ciężki mieszek do mego trzosa, a wszystko razem nie trwało dłużej niż jedną zdro-wąską. Z westchnieniem ulgi wróciłem do kuchni, gdzie znalazłem pokarm dla ptaszków, który zaniósłem na górę. Nakarmiwszy ptaszki, podarowałem dwa najpiękniejsze przechodzącym ulicą dzieciom, które obiecały dobrze się nimi opiekować i z wielką radością zabrały je do domu, a resztę wypuściłem na wolność. Sekretarz biskupa miał zrazu pewne zastrzeżenia, czy nie będzie musiał potrącić wartości tych ptaszków, z moich pięćdziesięciu guldenów, ale obróciłem całą sprawę w żart, pytając słowami Biblii, czyż nie sprzedaje się dwóch wróbli za szeląg. A on tak był zachwycony moją wiedzą teologiczną, że zapomniał o wszystkim i zaczął przymierzać aksamitny szlafrok mistrza Fuchsa. Srebrny dzban znikł już z półki pod moją nieobecność, zauważyłem jednak odpowiednią wypukłość pod płaszczem sekretarza. Toteż bez większych skrupułów zabrałem dla siebie dwa małe srebrne pucharki i wytarty kielich na wino z wygrawerowanym herbem szlacheckim. Następnie zacząłem szperać w szafie mistrza Fuchsa i zobaczyłem, że jego bielizna i koszule były z najcieńszego płótna i że miał on na zimę piękny płaszcz z bobrowym kołnierzem, podbity wspaniałym futrem. Sam tylko kołnierz wart był z pewnością więcej niż pięćdziesiąt guldenów i gdy go rozpostarłem, sekretarz też zaczął go obmacywać, przy czym obaj starannie unikaliśmy patrzenia sobie w oczy.

W końcu on zdecydował się i rzekł:



— Mikaelu! — spodobałeś mi się i wypiliśmy już z sobą na ty, więc nie powinniśmy nic przed sobą ukrywać. Nikt nam nie uwierzy, za prosty i niewykształcony człowiek jak mistrz Fuchs, mógł używać tak pięknych i cennych szat i mieć tak wartościowy zbiór cynowych naczyń. Jeśli zapiszemy to do inwentarza, padnie na nas od razu podejrzenie, że ulegliśmy pokusie i ukradliśmy coś, bo obaj jesteśmy jeszcze młodzi i biedni. Innymi słowy, mamy trudny orzech do zgryzienia i musimy zastanowić się nad znalezieniem najlepszego wyjścia, aby zachować dobre imię.

Dodał też, że mistrz Fuchs prowadził bardzo odludne życie z powodu swej ponurej profesji i że nikt z pewnością nie wie, co kryło się w jego domu. Trabanci zaś biskupa, którzy przewrócili tu już wszystko do góry nogami, mają też powody do milczenia, bo w całym mieszkaniu nie ma ani jednego srebrnego świecznika, a w szkatułce z pieniędzmi wyłamano zamek.

Odparłem mu na to, że nadchodzi surowa zima i bardzo przydałby mi się ciepły płaszcz w czekającej mnie wędrownicy po drogach. On natomiast, jako przystojny i uczony kawaler i sekretarz biskupa, z pewnością spotyka się z niejedną piękną i wytworną młodą damą, skutkiem czego na pewno potrzebuje aksamitnego szlafroka. Po krótkim sporze osiągnęliśmy pełne porozumienie, on zaś dodał jeszcze, że ma znajomego Żyda, który choć skąpy i zgryźliwy, zawsze chętnie kupi niejedno za gotówkę, a przy tym umie trzymać język za zębami.

Pochwaliłem jego zdrowy rozsądek i zabraliśmy się do sporządzania inwentarza. W pełni legalnie odziedziczyłem wspomniane już srebrne naczynia i lnianą bieliznę, wełniane kaftan, łacińską Biblię i wielki arkebuz z widełkami. Wziąłem też woreczek kuł, miarę i rożek na proch, misternie pokryty srebrną płytką, oraz pas z drewnianymi łuskami, w których według nowej mody można było sobie z góry przygotować ładunek prochu. W ten sposób strzelec mógł ładować fuzję stosunkowo szybko jedenaście razy raz po raz. Wszystko to zanotowane zostało w inwentarzu. Ponadto jednak zabrałem drogi futrzany płaszcz, a gdy Żyd nawyfywawszy sobie włosów z pejsów i wzywając na po-c Abrahama zapłacił nam siedemdziesiąt dwa guldeny za cynowe aczynja i puchowe poduszki, sporo odzieży i kilka ładnych krzesel, tore mu się spodobały, przypadła mi jeszcze w udziale połowa z tych pieniędzy i nagle a niespodziewanie stałem się całkiem zamożnym człowiekiem.

Wspólnym wysiłkiem udało nam się sklecić zadowolający inwentarz, w którym nie brakowało niczego, co mogłoby się przydać samotnemu człowiekowi. I nikt też nigdy nie wątpił w jego akuratność. Na tym i na targach z Żydem upłynął nam dzień aż do wieczora.

Po powrocie do pałacu biskupiego sekretarz, z którym bardzo się zaprzyjaźniliśmy, zaprosił mnie na wspaniałą wieczerzę z kilkoma rodzajami win i nie szczędził słów uznania dla mego taktu i delikatności. Proponował mi nawet nocleg i którąś ze służebnych księcia biskupa na towarzyszkę łoża, ale podziękowałem mu za to mówiąc, że zupełnie wystarczy mi sam nocleg. Wtedy zaczął obłapiać puciołowatą dziewczkę, która nam usługiwała, ja zaś zaspokoiwszy głód, życzyłem mu wesołej nocy i pośpieszyłem do więzienia, aby zanieść Barbarze kosz gruszek, brzoskwiń i winogron zabrany z biesiadnego stołu. Chciałem także powiedzieć mistrzowi Fuchsowi, że zatroszczyłem się o jego ptaszki. Dopiero teraz przyszło mi na myśl, że ograbiliśmy mieszkanie jeszcze za jego życia, ale pocieszałam się myślą, że on sam mnie o to prosił.

Mistrza Fuchsa zastałem w rześnym oświetleniu ośmiu woskowych świec, które paliły się równocześnie. Cztery z nich były przyklepione do górnej belki dybów, cztery pozostałe zaś płonęły pośród talerzy i na brzegu wiadra z wodą, z którego buchała para. Nie przysięgnęłbym jednak, czy świec tych było istotnie osiem, bo od wina trochę szumiało mi w głowie i dwoiło mi się w oczach, tak że zrazu wydało mi się nawet, że widzę dwóch mistrzów Fuchsów, i zastanawiałem się, do którego z nich przemówić najpierw. Ale przytknąwszy dłoń do jednego oka, stwierdziłem, że jest tylko jeden mistrz Fuchs i że w lochu jest jasno jak za dnia. A

mistrz Fuchs, który kazał sobie podać wspaniały posiłek, był zupełnie pijany, jeszcze gorzej niż ja, o czym świadczyła również wstrząsająca jego ciałem gwałtowna pijacka czkawka.

Czkawka ta przeszkadzała nam ogromnie w rozmowie, doradziłem mu więc, aby nie pił więcej piwa, on zaś przyjął moją radę życzliwie i odtąd razem popijaliśmy wino z cynowego dzbana. Opowiedziałem mu o wszystkim, co zaszło w jego domu, on zaś pograżył się we wspomnieniach ze swoich młodych lat. Ale gdy dno dzbana zaczęło przezierać i opowiadania jego stały się monotonne, ośmieliłem się przypomnieć mu delikatnie, że ranek się zbliża i że kur wnet zapieje na pałacowym podwórku. Podziękował mi za przypomnienie mu tej przykrej okoliczności i wyjaśnił, że nie ma odwagi popełnić samobójstwa, bo jest to grzech śmiertelny. Czuje się w tej chwili tak znakomicie —, mówił iż raczej z zadowoleniem myśli o kłopotach, jakich przysporzy katu w czasie przesłuchania, i o minie, jaką robi biskup, gdy on go oskarży o związek z diabłem, gdyż powszechnie wiadomo, że biskup często jest nawiedzany przez szatana.

Byłem w rozpacz. Wszystkie moje wysiłki wydawały się próżne z powodu pijaństwa mistrza Fuchsa. Toteż przypominałem mu, że przez dwadzieścia lat służył wiernie świętemu Kościołowi na trudnym i odpowiedzialnym stanowisku i że przez swoją śmierć może wyświadczyć Kościołowi wielką przysługę, ratując przy tym równocześnie duszę od wiecznego potępienia oraz skracając sobie poważnie okres oczyszczenia w czyścicu. Słowa moje wywarły na nim pewne wrażenie, ale zaraz zaczął znów jęczeć i biadać, że nie ma odwagi tego uczynić i że zarówno sznur, jak i nóż są dlań w tym momencie równie odpychające.

— A jeśli rzeczywiście chcesz, żebym umarł, Mikaelu — dodał chytrze — wyświadcź mi tę przyjacielską przysługę i zrób to za mnie, wybawiając mnie w ten sposób z kłopotu. Uczyni to, Mikaelu, nikt się o tym nie dowie, wszyscy pomyślą, że sam pozabawiłem się życia, i tylko Bóg wszechmogący wiedzieć będzie, że nie popełniłem grzechu śmiertelnego.

Jego propozycja przejęła mnie z początku zgrozą, ale byłem już porządnie pijany i zadziwiająca dialektyczna wymowa wina przekonała mnie, że prośba jego była słuszna i rozsądna. Gdy więc włożył ręce do wiadra, w którym woda zdążyła już trochę ostygnąć, przeciąłem mu pod powierzchnią wody żyły w przegubach nożykiem biskupa tak zręcznie, że tylko wzdrygnął się i jęknął, i ból zaraz ustał.

Z pewnym zdziwieniem w głosie mistrz Fuchs podziękował mi za przysługę i wyznał, że czuje tylko lekkie swędzenie, po czym poprosił, abym podniósł dzban z winem do jego warg, bo nie chce patrzeć, jak krew spływa do wody. A wypiwszy mnóstwo wina, westchnął, uspokoił się i zapomniał o bólu, i orzekł, że najlepiej będzie, jeśli go zostawię, aby nie wynikły dla mnie jakiejś nieprzyjemności, tym bardziej że pragnie jeszcze pomodlić się w spokoju w blasku świec. Pożegnałem się więc z nim i wymknąłem cichutko z wieży.

Przez wiele dni czułem się chory i opuszczony przez Boga ludzi, ręce mi się trzęsły i jedzenie nie smakowało, bo choć ból z powodu losu Barbary stępsiał już, gdyż wiedziałem, że śmierć będzie dla niej wybawieniem z cierpień, które przeszła, to jednak brak mi jej było niewypowiedziane. Tęskniłem do niej, do jej pieszczot i złoto-zielonych oczu i byłbym dał nie wiadomo co, żeby tylko móc być z nią podczas jej ostatnich dni. Ale ojciec Anioł był nieubłagany i dostęp do Barbary mieli tylko on sam i inni wielebni ojcowie, którzy przygotowywali ją na śmierć. Jedyne, co mogłem dla niej uczynić, to posyłać jej dobre jedzenie, ciastka, słodczyce i wino, które strażnik więzienny zanosił jej po kryjomu w nocy, gdy wielebni ojcowie wrócili już do klasztoru. Nie mogłem nawet do niej napisać listu, bo nie umiała czytać, ale sądziłem, że smakołyki, które dla niej wybierałem i posyłałem przez strażnika, choćby nawet nie miała na nie ochoty, powiedzą jej, że nieustannie o niej myślę i bardzo ją kocham.

Mieszkałem teraz „Pod Czarnym Łabędziem”, dokąd przenieśliem swoje rzeczy wraz z przypadłą na mnie częścią spadku po mistrzu Fuchsie, gdyż ojciec Anioł nie żądał już dłużej, abym przebywał w klasztorze. Właściciel gospody wiedział naturalnie, że jestem mężem czarownicy, ale pieniądze mają moc przekonywania, a w tym zacnym mieście ludzie odczuwali w stosunku do mnie raczej ciekawość niż lęk. Mądry po szkodzie umieściłem większość moich pieniędzy — ponad sto guldenów — u miejscowego agenta domu handlowego Fuggerów.

Nie musiałem długo czekać, bo rada miasta Memmingen odesłała bezzwłocznie wyrok trybunału z ustnym posłaniem do księcia biskupa, że musi on sam wespół z namiestnikiem cesarskim przyjąć na siebie odpowiedzialność za stracenie i spalenie Barbary na stosie, bo w Memmingen panuje taka niechęć do Kościoła, iż rada nie waży się wznieść stosu i dokonać spalenia czarownicy z kościelnym ceremoniałem. Na przyszłość Memmingen będzie karać swoje czarownice samo, jako wolne miasto, bez obcej interwencji, tak że biskupi komisarz dla spraw czarownic nie ma tam odtąd czego szukać.

Jego przewielebność znużył się całą tą sprawą i nakazał, aby Barbara została stracona już w najbliższą niedzielę, po sumie, przed katedrą, na rynku dla odstrasżającego przykładu i ostrzeżenia. W sobotę zobaczyłem z mego okna, jak na rynku wznoszą stos z bukowych bierwion i budują szafot. A w niedzielę rano pozwolono mi widzieć się z Barbarą w jej celi, jasnej i schludnej izdebce na wieży. Jednak ojciec Anioł i dwaj inni ojcowie byli obecni przy naszym spotkaniu, tak że mogłem tylko ją uścisnąć i zmieszać moje łzy z jej łzami.

— Mikaelu, mój najdroższy, pamiętasz, co ci powiedziałam? — zapytała Barbara.

— Pamiętam! — odparłem i w tej samej chwili ojciec Anioł rozdzielił nas mówiąc, że raczej powinniśmy się cieszyć, niż płakać, gdyż świąty Kościół przyjął z powrotem Barbarę na swe łono i zapewnił jej zbawienie niebieskie. Kazano mi odejść i podczas gdy mnisi z klasztoru śpiewali na podwórku ratusza psalmy pokutne, ojciec Anioł wysłuchał spowiedzi Barbary i udzielił jej rozgrzeszenia. Gdy już przyjęła komunię i ostatnie namaszczenie, zaczęto bić w dzwony na wieży katedry i wyprowadzono ją z wieży pod gołe niebo.

Była jesień, drzewa owocowe stały obsypane dojrzałym owocem, a błękitne niebo wydawało się bezkresne i pełne światła. Barbara i otaczająca ją procesja czarno odzianych mnichów wyglądali pod jego przestworzem dziwnie mali i drobni i zdawało mi się, że widzę ich jakoś z wielkiego oddalenia albo wysoko z góry. Nie płakałem już wlokąc się pokornie z tyłu za procesją. Barbara, odziana w zgrzebną koszulę pokutnicy, szła z odkrytą i ogoloną głową, wsparta na ojcu Aniele, krótką drogą z ratusza na plac przed katedrą. Mnisi śpiewali pięknymi głosami, a na miejscu stracenia zgromadził się wielki tłum ludzi, wśród nich wielu okolicznych chłopów, którzy przyglądali się widowisku milcząc i ze strachem, bo trabanci i jeźdźcy biskupa otoczyli plac, aby zapobiec wszelkim wystąpieniom przeciw Kościołowi.

Ludzie oglądali chętnie palenie czarownic, ale księżę sutanny i mni-sie habity budziły powszechną niechęć. Przez zgromadzony tłum przeszedł szmer, gdy kanonicy kapituły wyszli przez portal katedry. Wiódł ich biskup odziany we wspaniałe niebiesko-czerwone szaty pontyfikalne, z błyszczącym od drogich kamieni krzyżem na szyi i z pastorałem w ręku. Święty Kościół w całym majestacie pojawił się, aby być świadkiem egzekucji Barbary, a wysoko nad placem wznosiły się potężne wieżycy katedry, odcinając się ostro na tle błękitnego nieba. Barbara weszła na szafot sama. Stałem tak blisko, że mogłem rozróżnić rysy jej małej bladej twarzyczki i widziałem, jak chwieje się na nogach, odurzona świeżym powietrzem i zmęczona drogą na miejsce stracenia, po długim więzieniu, torturach i gorączce. I pewny jestem, że była tak oszołomiona, iż nie wiedziała chyba dobrze, co się z nią dzieje. Ale rozglądała się dokoła, jakby szukając kogoś, i niepomny na tłum, na księży i na mnichów podniosłem obie ręce nad głowę, aby mnie zobaczyła. Wtedy uśmiechnęła się i skinęła do mnie głową i po raz ostatni zobaczyłem jej złotozielone oczy, świetlistsze niż kiedykolwiek

przedtem, i wydawała mi się znowu najpiękniejszą z kobiet. Ogarnęła mnie fala bezmiernego i smutnego bólu i zrozumiałem nagle, że nigdy już nie będę jej żywej trzymał w ramionach. Ale chwila ta była krótka. Kat wstąpił na szafot za swoją ofiarą, związał Barbarze ręce za plecami i kazał jej uklęknąć przy pniu. Książe biskup próbował mu dawać jakieś znaki, ale kat był jakby tknięty głuchotą i ślepotą i jednym ciosem topora oddzielił głowę Barbary od tułowia, tak że nie musiała wcale cierpieć. W ten sposób kat dotrzymał danej mi obietnicy, było bowiem postanowione, że Barbara ma czekać na śmierć, aż ludowi zostanie odczytany wyrok na nią wydany. On zaś oszczędził jej tego czekania, za co mu byłem wdzięczny i za co zapłaciłem mu później więcej, niż zażądał.

Spóźniony herold wszedł spiesznie na szafot i odczytał bardzo długie i monotone orzeczenie trybunału, podczas gdy krew Barbary wciąż jeszcze sączyła się z szafotu na kamienne płyty rynku. Lodowata jasność przepełniła mnie, gdy pomyślałem o mojej miłości, o Barbarze i o ojcu Aniele, i o świętym Kościele. Nagle zrozumiałem wszystko i serce przepełniła mi nienawiść tak zimna i przejmująca, że raniła mnie samego. Nie nienawidziłem ojca Anioła ani czarno odzianych mnichów, ani też niebiesko-czerwonych szat pontyfikalnych przewielebnego biskupa, bo wszyscy oni nie byli nic winni, byli jedynie ślepymi sługami Kościoła. Nie, nie ich była wina, lecz świętego Kościoła, który nadużywał swej mocy do okrutnych czynów. Sam tylko papież, jako głowa Kościoła, był winien cierpienia i śmierci Barbary. I podczas gdy herold monotonnym głosem odczytywał wyrok trybunału, przeciśnałem się do szafotu, by zebrać w podstawioną dłoń ostatnie krople krwi Barbary. A kiedy krew ta przeciekała mi przez palce, powziąłem w sercu straszliwą przysięgę, ślubując zwalczać papieża do ostatniego tchnienia i nie zaznać chwili spokoju, dopóki Klemens VII nie zostanie wygnany z papieskiego stolca i nie stanie się bezdomnym i bezsilnym zbiegiem, a panowanie Rzymu nie będzie obalone.

Nie wiem, czy to Bóg, czy też szatan podsunął mi tę przysięgę, ponieważ nigdy przedtem nie myślałem nic takiego. Wszystko to zrodziło się we mnie z nagłą jasnością, gdy widziałem, jak umiera Barbara\* a z nią moja miłość. Ale sądzę, że to jednak Bóg podyktował mi tę okropną przysięgę, bo pozwolił mi ją wypełnić i moje pragnienia miały się ziścić przed upływem trzech lat.

Wtedy jednak jeszcze o tym nie wiedziałem i czułem się samotny i bezsilny w mej nienawiści, gdy kat rzucał martwe ciało Barbary na stos. Płomień buchnął i ogień objął bukowe bierwiona, dym zaczął się kłębić, a gdy poczułem odór palącego się ciała mojej ukochanej, siły opuściły mnie i padłem na kolana na kamienne płyty placu, kryjąc twarz w okrwawionych dłoniach.

## **CZEŚĆ SIÓDMA**

### **WOJNA CHŁOPSKA**

1

Zwróciwszy kasie biskupa i radzie miejskiej wydatki poniesione w związku z procesem i egzekucją i zapłaciwszy katu należne mu wynagrodzenie, gotów byłem opuścić miasto diecezjalne i nigdy więcej nie oglądać jego murów i wież. Zabrałem Raela od strażnika więziennego, który się nim opiekował, i załadowawszy mój kufer na chłopski wóz, dałem woźnicy szeląga, żeby mnie zawiózł do Memmin-gen, jedynego miejsca, dokąd na razie mogłem się udać.

Po przybyciu do Memmingen poszedłem odwiedzić Sebastiana Lot-zera, gdyż nie miałem innych przyjaciół. Ale zastałem tylko jego ojca, który bardzo był przygnębiony i nie wzgardził rozmową ze mną, choć żonę moją spalono na stosie jako czarownicę.

— W złych żyjemy czasach, Mikaelu — powiedział. — Może już wiesz, że w wielu okolicach chłopci zebrali się w kupy i powstają przeciw swoim panom, a nawet plądrują święte klasztory? Także i mój zaślepiony syn Sebastian zaczął głosić takie bluźnierstwa, że ściągnęło to na mnie złą sławę w naszym zacnym mieście. Odszedł z kacerską Biblią Lutra pod pachą, obrzucając pogroźkami i obelgami starego ojca, i jedyną moją nadzieją jest, że bieda sprowadzi go kiedyś z powrotem do domu.

Nie mogę zrozumieć, jaki diabeł opętał naszą dzisiejszą młodzież, że chce przewrócić do góry nogami i zniszczyć cały porządek świata. Od czasów pogańskich i barbarzyńskich przodkowie nasi w pocie czoła budowali doskonały ustrój społeczny. W świecie tym każdy, tak bogaty jak biedny, ma przeznaczone sobie miejsce i syn obejmuje w spadku zawód ojca, a prawo, dobre obyczaje oraz ustawy cechowe regulują życie człowieka od kolebki do grobu, poza nim zaś opiekę nad naszymi biednymi duszami obejmuje święty Kościół. W tym dobrze urządzonym świecie wszystko ma określoną cenę, chłop płaci podatki i odrabia pańszczyznę oraz składa dużą i małą dziesięcinę z pól i bydła, a każda 17 — Mikael, t. I praca i każdy przedmiot są dokładnie otaksowane. Nawet grzechy ocenione są według taksy ustalonej przez nasz święty Kościół, tak że każdy może żyć spokojnie i bezpiecznie przez całe swoje życie. Wszystko to chce dziś kilku durniów wywrócić i zniszczyć.

Odparłem, że moim zdaniem świat wcale nie jest taki dobry, jak sądzi mistrz Lotzer, i że napatrzyłem się już aż nazbyt wielu morderstw i żałoby, rozpacz, bólu, nędzy i łez. Przyznał mi słuszość, ale dodał:

— Porządek, zbudowany przez ludzi jest naturalnie zawsze do pewnego stopnia niedoskonały, nawet gdy oparty jest na boskich podstawach. Toteż nawet w naszym dobrze urządzonym świecie nie możemy zapobiec różnym zakłóceniom, które należą do naturalnego porządku rzeczy tak jak choroby i śmierć, bo i tych nie możemy uniknąć. Zakłócenia te są jednak nikłe i bez znaczenia w porównaniu z błogosławieństwami, które przynosi nam wielki i dobry porządek. Dlatego też ludzie, którzy chcą ten porządek zachwiać i naruszyć, są równie nierozsądni jak chłop, który zabija zdrową i mleczną krowę, dlatego że od czasu do czasu zgodnie ze swą naturą wydziela ona śmierdzący gnój. I nie może być nic bardziej szalonego niż naruszanie za pomocą nowych nauk podstaw świętego Kościoła, gdyż wszelki ład i porządek opiera się na Kościele i gdy on się chwieje, wtedy chwieje się cały świat i bliskie są dni sądu.

Nie chciałem naturalnie się z nim spierać, pragnąłem tylko przedłużyć rozmowę, gdyż czułem się bardzo opuszczony i samotny. Toteż rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o tych sprawach. Aż w końcu przezwoi-tość nie pozwalała mi dłużej zostać, więc pożegnałem się i opuściłem jego domostwo.

Zauważyłem już, że ludzie spoglądali na mnie z niechęcią, choć nie lżyli mnie głośno, bo każdy miał własne kłopoty w tych niespokojnych czasach. Woźny miejski i jego żona sprowadzili się z powrotem do mieszkania w piwnicy ratusza i używali naszego łóża i niewielu sprzętów jak swoich własnych. Zostawiłem więc pod ich opieką mój kufer podróżny i postanowiłem z uwagi na to wszystko opuścić miasto Mem-mingen, zabierając z sobą tylko mego pieska Raela.

Miałem wprawdzie pieniądze i mógłbym być zapisać się na jakiś uniwersytet i żyjąc oszczędnie wytrzymać przez dwa lata. Ale wiedza straciła już dla mnie smak i przemieniła się w zwietrzałą sól. Mogłem być też kontynuować pielgrzymkę i próbować dostać się do Jerozolimy, aby modlić się u grobu Pana naszego, Jezusa Chrystusa, ale plan ten był ryzykowny od czasu upadku Rodos i nie nęcił mnie już, odkąd złożyłem pochopną przysięgę przy stosie, na którym zginęła Barbara.

258

i „-\_ poszukamy naszej pani, Rael! — powiedziałem do mego pieska. — Ona da nam z pewnością dobrą radę.

Zamknąłem na cztery spusty kufer i wyruszyłem na wędrowkę, zabierając z sobą tylko odzież, którą miałem na ciele, jedną zmianę bielizny, łacińską Biblię i muszkiet mistrza Fuchsa, dla obrony przed rabusiami na drogach. Najpierw udałem się do miasta, w którym mie-ezkał wuj Barbary i gdzie leczyła mnie ona z obrażeń, stamtąd zaś poszedłem do lasu i odszukałem miejsce, gdzie znalazła mnie przykrytego sośniną. Głośno wzywałem ją po imieniu, żeby wróciła do mnie, mówiłem, że kocham ją i przyszedłem, aby ją odnaleźć. Ale tylko echo odpowiadało memu wołaniu i pies zaczął skomleć z niepokoju na dźwięk imienia Barbary. W pobliżu stał porzucony szałas węglarza, w którym zamieszkałem na zimę, z rzadka tylko wyruszając do miasta na zakup jedzenia. I chyba owej zimy byłem niespełna rozumu, bo ani głód, ani pragnienie nie robiło na mnie żadnego wrażenia, zapuściłem brodę, a odzież moja zrobiła się brudna i obszarpana.

Gdy zaczęły wiać wiosenne wiatry i białe kwiatki pojawiły się na polankach, zrobiłem się spokojniejszy, zacząłem chodzić na długie leśne spacerki i nie wzywałem już więcej Barbary, a gdy przestałem jej szukać, sama przysłała do mnie i czułem jej bliskość w szumie wiatru i słodką miękkość jej warg na płatkach kwiatów polnych, i czułem jej obecność w czerwieni zachodów słońca. Wtedy zapłakałem z radości "i poczułem, że znów jestem zdrowy. Ogarnąłem się, jak mogłem najlepiej, i wróciłem znowu do ludzkich siedzib. W połowie lutego przybyłem do Memmingen.

Ale tym razem nie wróciłem sam. Cała ta część Niemiec znajdowała się w ogniu powstania i uzbrojone kupy chłopskie ciągnęły wszystkimi drogami. Sebastian Lotzer wrócił do domu ojca, a jego zwolennicy rządili w mieście. Rada nie miała nic do gadania i nie podejmowała żadnych uchwał bez zapytania się wprawdzie Sebastiana lub jego pomocników. Gdy wszedłem do domu kuśnierza, Sebastian rozwijał właśnie czerwono-białą chorągiew, na której wyszyty był krzyż świętego Andrzeja. Zobaczywszy mnie podbiegł z otwartymi ramionami wołając:

— Przybywasz w dobrej chwili, Mikaelu, bo właśnie dzisiaj przybijamy naszą chorągiew do drzewca, aby świat zmienił się i sprawiedliwość boska zapanowała w Niemczech.

Nie nosił już teraz łachmanów, lecz tak jak poprzednio, aksamitny kaftan ze srebrnymi guzami, choć stan jego wcale go do tego nie uprawniał. Wyglądał bardzo ładnie w swym entuzjazmie, jego wielkie oczy lśniły zapałem, gdy zaczął tłumaczyć dwanaście artykułów, które zestawił na papierze. Na podstawie tych artykułów, ufny w sprawiedliwość boską, zamierzał z pomocą biednych rzemieślników i chłopów stworzyć nowy ład. I nie byłem jedynym jego słuchaczem, izba pełna była wiejskich sołtysów i zamożniejszych chłopów z wiosek podlegających miastu Memmingen, a także członków koła ewangelickiego Sebastiana.

— Każda gmina ma prawo sama wyznaczyć i w razie potrzeby usuwać swego kapłana, a kapłan może głosić tylko czyste słowo boże, bez żadnych ludzkich wymysłów — czytał Sebastian. — Wynagrodzenie kapłana opłaca się z wielkiej dziesięciny od ziarna, reszta zaś ma być przeznaczona na pożytek biednych parafii. Małą dziesięcinę od bydła znieśie się całkowicie, gdyż Pan Bóg stworzył bydło na pożytek ludzki. Pańszczyzna nie daje się pogodzić ze słowem bożym, bo Chrystus odkupił nas wszystkich swoją krwią i zbawił zarówno książy jak i pastuchów.

Bóg stworzył zwierzęta na ziemi, ptaki w powietrzu i ryby w wodzie dla człowiek' f oteż polowanie, rybołówstwo i ptasznictwo są dozwolone i wolne dla każdego. Lasy przechodzą na wspólną własność, aby każdy mógł swobodnie brać z nich budulec i opał stosownie do swoich potrzeb. Dni i zajęcia pańszczyźniane, którymi panowie w coraz to większym stopniu obciążają chłopów, zostają zmniejszone do liczby rozsądnej, ustalonej słowem bożym i stosowanej przez naszych ojców, i żadnemu panu nie wolno ich samowolnie powiększać. Mężowie zaufania ustalą rozsądne opłaty za gospodarstwa, których czynsze dzierżawne wzrosły nadmiernie, tak aby chłop nie był zmuszony pracować za darmo, gdyż według słów bożych wyrobnik wart jest zapłaty swej. Zamiast dotychczasowej samowoli w sądownictwie

powinny być respektowane stare prawa, tak by żadna kara nie była wymierzana wedle stanu i przywilejów, lecz by prawo było równe dla wszystkich. Pola i łąki, które panowie odebrali wioskom, powinny z powrotem stać się wspólną własnością. Okrutne prawo spadkowe dla poddanych powinno być zniesione, aby wdowy i sieroty nie były haniebnie i bezbożnie ograbiane.

Sebastian przerwał, rozejrzał się dokoła i powiedział:

— Najważniejszy z wszystkich jest artykuł dwunasty i ostatni, gdyż wykazuje, że nie chcemy się buntować ani dopuszczać gwałtów, lecz uznajemy sprawiedliwość boską również za podstawę naszych obowiązków. Artykuł ten mówi, że jeśli ktoś na podstawie Pisma świętego potrafi wykazać lub udowodnić, że jeden lub więcej z naszych artykułów nie godzi się z boskimi przykazaniami, artykuł lub artykuły takie powinny być przez nas odrzucone. Nawet gdyby artykuł taki został nam teraz przyznany, lecz potem okazał się niesprawiedliwy, powinien od tej chwili być uznany za martwy i bez mocy prawnej. Ale w taki sam sposób zastrzegamy sobie prawo uchwalania nowych artykułów, jeśliby okazały się one uzasadnione na podstawie słów Pisma świętego.

Chłopi orzekli, że wszystko to jest słuszne i dobre, ale jak, na miłość boską, Sebastian wyobraża sobie wprowadzenie tych artykułów w życie? I co będzie z tymi petycjami na piśmie, które pisali do swoich panów, uzyskawszy pozwolenie na przedstawienie im swoich ciężarów pod warunkiem, że dobrowolnie rozejdą się do domów. Sebastian odparł na to, że czytał wiele z takich petycji i nawet pomagał je pisać, dopóki nie zrozumiał, że wszystkie papierowe skargi są zupełnie bez wartości. Tak więc lepiej papieru, na którym są pisane te skargi, użyć na przybitki do strzelb w walce o sprawiedliwość boską i nie narażać wspólnej chłopskiej sprawy targami o błahostki i chwilowe ulgi, co może ściągnąć nieszczęście na chłopów z innych okolic, często jeszcze bardziej uciskanych i ograbianych przez swoich panów, "•dyna droga do celu, to przybić chorągiew do drzewca, wybrać kapitana, poruczników i chorążego, ustanowić artykuły wojenne i zaprzysiąc posłuszeństwo dla nich, aby w ten sposób wprowadzić wojskową dyscyplinę.

Chłopi przestraszyli się jednak tych słów i zaczęli mruzczyć, że inna sprawa przedstawiać legalnie petycje i skargi, co innego zaś podnosić sztandar buntu. Zawsze bowiem chłop musi przegrać w zbrojnej rozgrywce z panami.

Sebastian przekonywał ich, jak mógł, ale oni wciąż drapali się za uchem, przestępowali z nogi na nogę i wykręcali się, że trudno im zrozumieć, o co mu chodzi. Nie ma powodu do pośpiechu, dodawali, i lepiej wpięrow dowiedzieć się, co myślą o tej sprawie doświadczeni ludzie z Baltringen i innych okolic, bo gdy raz sztandar zostanie przybity, nie będzie już odwrotu.

W końcu Sebastian rozgniewał się na ich powolność i ociężałość i nawymyślał im od leniwych wołów, krzycząc:

— Czy nie można wam tego wbić w wasze zakute łby, że nigdy jeszcze nie było lepszej i korzystniejszej okazji, żeby podnieść nasz sztandar? Cesarz rozpoczął wyprawę wojenną i werbuje najemników w całych Niemczech, i niemieccy książęta mają do dyspozycji tylko nieliczne załogi. Król francuski oblega Pawie w Italii przeważającymi siłami, a Frundsberg z najemnikami przeszedł Alpy. Jestem pewny, że niedługo usłyszymy, iż cesarz poniósł równie ciężką klęskę jak pod Marignano, toteż każdy stracony dzień jest zupełnie nieoceniony, gdyż książęta i rycerze drżą w swoich zamkach, a mnisi i mniszki zakopują swe skarby. Nie sądzicie chyba, że panowie są tak głupi, iż zgodziliby się wysłuchać skarg chłopskich, gdyby nie byli do tego zmuszeni z powodu swojej słabości. Przyjmując wasze skargi i petycje, kuszą was, żebyście wracali do domów. A przez to zyskują na czasie i zdążą naradzić się między sobą, i zwerbować wojska dla swojej obrony.

Słowa jego wywarły wpływ na chłopów, którzy orzekli jednogłośnie, że jest dużo rozsądku w tym, co mówił. Po dyskusji uchwalili włączyć petycje i skargi trzydziestu czterech wsi do dwunastu artykułów Sebastiana, podnieść sztandar i przedłożyć artykuły radzie miejskiej w Memmingen, aby odtąd sprawiedliwość boska stanowiła podstawę wszelkiego porządku na obszarze tego wolnego miasta.

W kilka dni potem uzbrojeni chłopci weszli do miasta pod czerwono-białą chorągwią, poprzedzani przez bębny i piszczałki, radośnie witani przez czeladników i biedniejszą ludność, podczas gdy szanowni mieszczaństwo zamykali kramy i warsztaty i barykadowali bramy domów. Stu reprezentantów chłopskich układało się z członkami rady miejskiej w wielkiej sali ratusza. Sebastian i proboszcz z Memmingen przedstawili sprawę chłopską, udowadniając cytatami z Biblii, że każdy z dwunastu artykułów jest słuszny. Radni bronili się zażarciem i też cytowali Pismo święte, ale chłopcy zagłuszyli ich słabe głosy, zwłaszcza że w radzie nie było zbyt wielu biegłych w Piśmie. Toteż stał się cud i rada w Memmingen bez walki i rozlewu krwi przyjęła dwanaście artykułów sprawiedliwości boskiej za podstawę porządku społecznego w mieście i w podległych mu wioskach. Gdy się o tym dowiedziano, na rynku wybuchła wielka radość i wielu chłopów spiło się do nieprzytomności, tak że leżeli bez zmysłów w rynsztokach, czeladnicy zaś biegali pożyczając strzelby i kusze, gdyż polowanie było odtąd wolne dla wszystkich.

Więść o wydarzeniach w Memmingen i o przyjęciu dwunastu artykułów przez miasto rozeszła się lotem ptaka i nie zdążyliśmy się jeszcze opamiętać, jak już wezwano Sebastiana do Baltringen, gdzie przywódcy kup chłopskich znaleźli się w ciężkich opałach i tonęli w skargach i petycjach.

Udaliśmy się więc tam bez zwłoki i zrobiliśmy wielkie oczy ze zdziwienia, gdyż to, co zobaczyliśmy, nie było już dziecinną zabawą. Niezliczona masa chłopów uzbrojonych w dzidy i pałki, i kolczaste maczugi zgromadziła się w Baltringen i okolicy. Jedni mówili, że jest tam pięć, inni że dziesięć tysięcy ludzi, i nawet dowódcy nie znali dokładnej liczby, bo chłopcy wędrowali tam i z powrotem, odwiedzając od czasu do czasu domy, aby się wyparzyć i odnowić zapas żywności.

Wybrany przez nich przywódca układał się tymczasem z książętami i biskupami i zdołał ich już nakłonić do przyjęcia chłopskich skarg i petycji. Był to pobożny i prosty rzemieślnik imieniem Ulryk Schmid, który cieszył się opinią elokwentnego mówcy i którego chłopcy wybrali na swego przedstawiciela, ponieważ znał dobrze Biblię. Sam on nie bardzo rozumiał, jak do tego doszło, że znalazł się w Baltringen na czele dziesięciu tysięcy chłopów, którzy zasypywali go skargami.

Schmid stanął w ratuszu miejskim, gdzie wałęsający się najemnicy i uzbrojeni chłopcy tworzący jego straż przyboczną pili, grali w kości i hałasowali. Przywitał Sebastiana ze łzami radości i natychmiast mianował go swoim pomocnikiem, po czym bezradnym gestem wskazał na stół zasypany pismami i zwojami dokumentów — niezliczonymi chłopskimi skargami na panów świeckich i duchownych.

Sebastian zaczął je zaraz studiować, ale niedługo poniechał tego beznadziejnego zadania, stwierdzając, że wszystko to już mieści się w dwunastu artykułach. Odczytał je Schmidowi, a ten słuchał go uważnie, po czym przyznał, że Sebastian ma słuszność i że bez wątpienia został zesłany przez Boga, żeby mu pomóc. Natychmiast też kazał bić w bębny i zwołać chłopskich przywódców, aby wyjaśnić im artykuły. Cały tydzień trwały narady, prośby i tłumaczenia, nim chłopcy pojęli, o co chodzi. Ale Schmid był uparty i mocno trzymał się tego, co mu trafiło do przekonania, powtarzając swoje raz po raz, aż udało mu się wbić to nawet w najbardziej zakute pałki. Toteż w końcu chłopcy zaczęli sami palić petycje i wołać o sprawiedliwość boską i wśród okrzyków radości obnosili Schmida na drzewcach włóczni wokół obozu, wiwatując na jego cześć.



Za radą Sebastiana Schmid próbował stworzyć związek chrześcijański potężnych rzesz chłopskich z różnych księstw niemieckich i skłonić chłopów do przyjęcia sprawiedliwości boskiej jako wspólnego hasła. Rokowania były długie i burzliwe i nieraz groziły zupełnym rozbięciem. Nie warto rozwodzić się nad szczegółami. Wspomnę tylko, że dla ugłaskania Sebastiana przyjęto jego sztandar, czerwono-białą chorągiew z krzyżem świętego Andrzeja, jako wspólny znak polowy trzech wielkich kup chłopskich. I chłopci poprzysięgli nie szczędzić życia, czci mienia — jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Animusz ich wzrósł bardzo na wieść, że były hercog wirtemberski pan Ulryk, otwar- przyrzekł poprzeć ich sprawę. Za pieniądze króla francuskiego zwerbował on zaciężne wojsko w Konfederacji i wkroczył do krajów esarskich, aby odzyskać swoje księstwo.

W te gorączkowe dni wiosenne napływały same tylko dobre wieści i gdy dwanaście artykułów rozeszło się wśród ludu, Baltringen stało się punktem zbornym wysłańców kup chłopskich. W całych południowych Niemczech kotłowało się, a jedyne siły zbrojne, które cesarskiemu namiestnikowi i książętom udało się skupić, maszerowały przeciw hercogowi Ulrykowi. Nic dziwnego zatem, że chłopci pełni byli radości i ufności, pozwalali klasztorom hojnie się podejmować i cieszyli się wiosennym słońcem, gdyż ufali, że ich przywódcy ziszczą sprawiedliwość boską drogą pomyślnych rokowań z książętami.

Tak zmarnowane zostały bezcenne, niezastąpione dni. Nagle i nieoczekiwanie przysłała porażka. Jak przeraźliwy grzmot przetoczyła się po całym kraju wiadomość, że cesarz nie poniósł — Jak się tego spodziewano — klęski we włoskiej wojnie z królem Francji, lecz przeciwnie, odniósł pod Pawią największe za ludzkiej pamięci zwycięstwo. Szwajcarskie oddziały zaciężne w służbie francuskiej zostały zniszczone, a jego królewska mość arcychrześcijański król Franciszek we własnej osobie wzięty do niewoli. Wieść ta przeraziła wszystkich rozsądnych ludzi w wojsku chłopskim i wielu zaczęło nagle mówić o orce i wiosennych zasiewach, najmądrzejsi zaś wymknęli się od razu do domów. Ale było ich raczej niewielu i większość wciąż jeszcze wierzyła w sprawiedliwość boską.

Ulryk Schmid i delegaci związku chrześcijańskiego udali się potulnie do Ulm, żeby układać się z książętami, ale odbyło się to już w całkiem innej tonacji. Książęta oraz doradcy cesarscy używali twardych słów i żądali całkowitego podporządkowania się chłopów. Kupy chłopskie miały się natychmiast rozwiązać, a chłopci wrócić do swoich wiosek i płacić podatki oraz odrabiać pańszczyznę jak dawniej. Dopiero potem książęta byli gotowi wyznaczyć komisję do przestudiowania dwunastu artykułów i wydania wiążących obie strony decyzji.

Ulryk Schmid pojechał do Ulm przeświadczony o sprawiedliwości boskiej, a wrócił stamtąd jako złamany i stary człowiek, unikając naszych spojrzeń. Przygnębionym głosem wyznał, że delegaci zgodzili się przedłożyć masom chłopskim żądania książąt i przemawiać za ich przyjęciem. Gdy to usłyszał Sebastian, zerwał z siebie aksamitny kaftan, aby nabrać tchu w piersi, i ryknął:

— Czyś ty oszalał, Ulryku? Zdradziłeś sprawiedliwość boską i nie ufasz już więcej twemu Stwórcy? Jeśli nasze szeregi się rozwiążą, sprawiedliwość boska nie będzie warta więcej niż krowie łajno na gościńcu i wróci cała dawna bieda, jeszcze wielokroć gorsza niż przedtem!

Schmid próbował się bronić, tłumacząc, że szwajcarscy najemnicy opuścili hercoga Ulryka, który uciekł do Francji, i że w ich strony zbliża się cesarski dowódca Jiirgen Truchsess z wojskiem. Ale chłopscy kapitanowie i chorążowie zakrzyćzeli go oskarżając o zdradę chłopskiej sprawy i zarzucając, że dał się przekupić.

Powstał wielki zgiewk, chłopci zaczęli biegać na wszystkie strony, a dowódcy wrzeszczeli i lżyli Schmidą, nazywając go zdrajcą i oszustem. Mało brakowało, a zostałby zabity, szarpano go za włosy, bito i poszturchiwano, aż rozplakał się i zawołał, że niczego bardziej nie pragnie, jak żyć i umrzeć dla dobrej sprawy. Oświadczył też, że nie ma ochoty czekać w obozie na

atak książąt, lecz pragnie chwycić za miecz i walczyć o sprawiedliwość boską, jeśli tylko ktoś z dobrego serca pokaże mu, jak się włada mieczem.

Ale rola jego już się skończyła. Najlepsi i najbardziej doświadczeni dowódcy zebrali swoich zwolenników i naradzali się po cichu, co robić. Po ich stronie opowiedzieli się też wszyscy włóczędzy, stęsknieni bogatego łupu najemnicy i spragnieni zemsty chłopci, którzy dość już mieli pokojowych metod.

Nocy tej spłonął zamek Schemmeringen stanowiący własność mnichów z Salem, o ile mi wiadomo, pierwszy, który podpalono w czasie powstania. Całą winę za to ponoszą jednak książęta, gdyż to oni wywołali wojnę swym nierozsądnym oporem, nie zaś chłopci, którzy chcieli tylko sprawiedliwości boskiej.

Wyglądało, jak gdyby chłopci tylko czekali na ten znak, bo gdy łupy Schemmeringen rozgorzały na nocnym niebie, jak daleko okiem sięgnąć, stawały w ogniu zamki i klasztory i piekło rozpętało się w Niemczech. Chłopci chcieli zemścić się za doznane krzywdy i niejeden okrutny rządcą musiał biec między chłopskimi pałkami, a niejeden pan padł w walce.

I nawet bardziej umiarkowani, którzy trzymali się wciąż Ulryka Schmida, wierząc że ten wyciągnie ich z kabały, dali się porwać żądzy rabunku, gdy zobaczyli, jak ich pijani towarzysze ściągali łupy zrabowane w zamkach i klasztorach. Toteż coraz więcej chłopów łączyło się w kupy i wyruszało na wyprawy łupieżcze aż w dolinę Dunaju. Z jednej z takich wypraw Sebastian wrócił pobladły ze zgrozy i powiedział do mnie:

— Straciłem już ochotę do walki. Nigdy nie przypuszczałem, że znajdę się wśród okrutnych rabusiów i przestępców. Jeśli tacy ludzie chcą zaprowadzić sprawiedliwość boską, nie wierzę już w sprawiedliwego Boga. Wracam do ojca do Memmingen i tobie też radzę uciekać stąd czym prędzej, bo nic dobrego nie może z tego wyniknąć.

Wtedy opadły mi łuski z oczu i zobaczyłem go takim, jakim był naprawdę. I patrząc na jego urodziwą twarz i brązowe oczy, na zbrudzony aksamitny kaftan ze srebrnymi guzami, roześmiałem się głośno, wstydzając się, że uważałem go dotąd za przyjaciela. Gdyż był to tylko rozpieszczony synek bogacza, który przywykł wodzić rej na swoim podwórku i kazać innym słuchać swoich zachcianek. I odpowiedziałem mu:

— Nie, Sebastianie! Ja stąd nie ucieknę. Ty możesz odejść, bo masz dom i bogatego ojca. Ale dokąd ja miałbym się udać? Moim jedynym oparciem jest ten mały piesek i fuzja, którą już umiem się posługiwać, choć kopie przy każdym wystrzale tak, że mam siniec na sińcu. Choć cudzoziemiec, pochodzę z ludu wiernego, który twardo stoi przy raz powziętym postanowieniu. I jeśli kiedyś okazałem się zdrajcą, raz mi wystarczy. Odtąd zamierzam wyc razem z wilkami, już bowiem zbyt długo beczałem jak jagnię, idąc w ślad za tobą. Może te wilki stworzą nowy, lepszy porządek, natomiast widzę wyraźnie po tobie, że barany go nie stworzą.

Tak to rozeszły się nasze drogi i przysła nasza przyjaźń. Sebastian opuścił obóz, udając się do domu, i niebawem dowiedziałem się o przyczynie jego nagłej zmiany. Popadł mianowicie w kłótnię o dowództwo nad wojskami. Chłopski weterani mieli go dość i kazali mu zamilknąć i nie mieszać się do spraw, o których skryba nie ma pojęcia. On jednak nie chciał się na to zgodzić, wobec czego dostał po głębie i przepędzono go drzewcem włóczni. Dlatego to właśnie oświadczył, że nie chce więcej żyć między rabusiami i złoczyńcami, i przepowiadał im żalosny los.

Po odejściu Sebastiana nie miałem zamiaru zostawać dłużej przy Ulryku Schmidzie i przyłączyłem się do Jiirgena Knopfa, dowódcy chłopów z Allgau. Jego wysłannik próbował werbować muszkietników z Baltringen, aby zdobyć siedzibę diecezji. Nie potrzebował mnie prosić dwa razy.

Ów Jiirgen Knopf był to mężczyzna szczupły i drobny, o cienkiej wiotkiej szyi, na której chwiała się głowa duża, jak gdyby miał w niej wodę. Ale nie był bynajmniej kphem i dobrze

wiedział czego chce, a jego wyprawa na miasto-rezydencję biskupa nie była bezplanowym łupieskim wypadem. Skupił najodważniejszych i najlepszych ludzi, zabrał kilka dział, zdobytych w zameczkach rycerskich, oraz dopilnował, żeby było dość prochu i kuł do zrobienia wyłomu w murach siedziby jego przewielebności.

— Sam na własnej skórze poznałem chciwość i porywczosć naszego kochanego biskupa — mówił. — Znam aż nazbyt dobrze jego więzienie i raz mało brakowało, a byłby mnie obwiesił. Od stu lat chłopci tej diecezji procesują się w obronie swoich praw i przegrali jak dotąd wszystkie procesy. A obecny biskup jest najgorszy ze wszystkich, bo jeśli chłop ośmiela się upierać przy swoim prawie, w biskupa wstępuje diabeł, tak że własnoręcznie łapie chłopów za gardło i każe ich chłostać do utraty przytomności. Tym razem zamierzam dla odmiany ja złapać biskupa za kark i będzie to najradośniejszy dzień w moim życiu, a gdy to się stanie, nie dbam już zbytnio, czy będę żył, czy też umrę, choć wcale nie mam zamiaru umierać.

Skrzywił cienkie wargi w chytrym uśmiechu i przechyliwszy ciężką głowę na ramię dodał:

— Wielu z naszych nie widzi dalej końca własnego nosa, ale tobie mogę powiedzieć w zaufaniu, Mikaelu Pelzfuss, że wysłałem gońców aż do Turynii i Czech. Zamierzam też postawić swój krzyżyk w dokumentach samego cesarza, bo najszybszy rumak z całej okolicy kłusuje właśnie w najlepsze do Pawii i Mediolanu z moim zaufanym na grzbiecie, który ma pomówić z knechtami Frundsberga. To nasi krewni, kuzyni i rodacy i powinni wiedzieć, co się dzieje tutaj w domu. Jeśli powrócą i przyłączą się do nas, będzie to podzwonne dla ksiąząt i sądzę, że ci już teraz robią w portki ze strachu. Ale trzeba nam dużo pieniędzy, żeby zapłacić żołd knechtom, i o te pieniądze zamierzam się postarać u pana biskupa. Trzeba kuć żelazo póki gorące.

W czasie tej rozmowy zbliżyliśmy się ku miastu i gdy w marcowym słońcu zobaczyłem wznoszące się na tle błękitnego nieba wieże, poczułem pieczenie w sercu i pomyślałem, że dziwne są koleje losu i że Bóg dziwne wybiera czasem narzędzia zemsty. Od powrotu do Memmingen żyłem jak w gorączce i bezsenne noce, stały pośpiech i liczne sprawy i zajęcia nie zostawiały mi dużo czasu na myśli o Barbarze. Teraz jednak przypomniałem sobie, jak rok temu, pewnego poranka wczesną wiosną, przybyłem do tego miasta w pomalowanym na żółto wózku łowcy czarownic.

Z murów i wież miasta padło w kierunku chłopskiego wojska kilka strzałów i małe obłoczki białego dymu zawisły w słonecznej mgiełce. Ale Jiirgen Knopf dobrze przygotował sobie grunt, bo miejscowi czeladnicy i biedota natychmiast wszczełi zwykłą ruchawkę na rynku i napędzili strachu radzie miejskiej, która zresztą niezbyt kochała księcia biskupa. Panowie z rady kazali otworzyć bramy miasta tak szybko, że nie potrzebowaliśmy oddać ani jednego strzału działowego. Wyrzekli się zwierzchnictwa biskupa i nawet dali nam jeszcze kilka dział do oblegania jego dworca. Ku naszemu zmartwieniu stwierdziliśmy jednak, że jego przewielebność opuścił miasto i zamknął się w zameczku na pobliskim szczycie górskim, zabierając tam z sobą swoje skarby i najcenniejsze klejnoty klasztorne. Doradcy Jiirgena, weterani, którzy brali udział w wielu kampaniach, pośpieszyli natychmiast na mury miasta, żeby przyjrzeć się dokładniej umocnieniom zamku, po czym orzekli, że ksiązę biskup bez trudu może wytrzymać w nim kilkumiesięczne oblężenie.

Pocziwy Jiirgen Knopf jednak tym się nie zniechęcił. Powiedział, że dość kłopotów na dzisiaj i że na zmartwienia czas jutro, wkroczył na czele oddziałów do klasztoru tak dobrze mi znanego, po czym nastąpiła noc niepohamowanego rabunku, rozpusty i obżarstwa.

Nazajutrz zdobyto i splądrowano dworzec biskupi przy bardzo słabym oporze. Kasa biskupa była jednak pusta, a największe skarby wywiezione, i Jiirgen Knopf, głęboko z tego powodu rozgoryczony i rozwścieczony, oświadczył:

— Za wszelką cenę musimy teraz zdobyć zamek, to gniazdo krucze, gdyż nigdy nie przeciagniemy na swoją stronę naszych braci i krewniaków z armii cesarskiej, jeśli nie

będziemy mogli im zapłacić godziwego żołdu. A w tym celu musimy mieć skarby i klejnoty biskupa.

Zebrał ludzi i kazał wlec działa na szczyt wzgórza, gdzie puszkarze wybrali najłabsze miejsca w murze biskupiego zameczku i zaczęli je ostrzeliwać, chcąc zrobić wyłom. Mimo budzącego respekt wyglądu mury były z miękkiego kamienia i łatwo się kruszyły. Ale i puszkarze biskupa odpowiadali ogniem na ogień, a gdy chłopci usłyszeli, jak kule gwizdzą im koło uszu, zaczęli się oglądać za siebie i pomrukiwać, że mądrzej byłoby zostawić to gniazdo os i w spokoju szukać jakichś bardziej zyskownych łowisk.

Chytry Jiirgen Knopf posłał kilku pojmanych trabantów i służących jego przewielebności do zamku, każąc im oświadczyć obrońcom, że pragnie uniknąć rozlewu krwi i wzywa ich do poddania. Zapewniał, że oblegający stanowią tylko straż przednią, za którą idą działa oblężnicze i dziesięć tysięcy pikinierów, i kazał też opowiedzieć, że książe uciekli z kraju, Frundsberg przyłączył się do chłopów, a wojska cesarskiego dowódcy Jiirgena von Truchsess zostały rozpedzone. Jeśli zamek nie podda się szybko, on, Knopf, nie odpowiada za życie obrońców, gdyż rozwścieczeni chłopci zemszczą się z pewnością okrutnie i nikt nie ujdzie z życiem. Posłańcy Knopfa wykonali swoje zadanie doskonale, gdyż już następnego dnia w zamku wybuchł bunt i usłyszeliśmy wrzaski, zgiełk i strzelaninę, a zwodzony most opadł z potwornym łoskotem. Buntownikom udało się uszkodzić łańcuchy tak, że nie można było mostu podnieść. Jiirgen obiecał bowiem część łupu tym spośród obrońców zamku, którzy będą pomagać jego sprawie, a słynne skarby biskupa kuszyły nawet biskupich najemników, którzy, zmyleni bezwstydnymi łgarstwami Knopfa, sądzili, że jego przewielebność przegrał już swoją stawkę. Ale księciu biskupowi udało się przywrócić porządek w zameczku j następnego dnia rano do fosy wyrzucono z murów mnóstwo trupów. Brama zameczku została po opadnięciu mostu zwodzonego odsłonięta i puszkarze Knopfa próbowali skierować na nią ogień naszych dział. Brama ta znajdowała się jednak głęboko pod sklepieniem, przedpiersia przeszkadzały w ostrzeliwaniu i nie dawały nam podciągnąć dział na dogodniejsze pozycje. Toteż Jiirgen Knopf mruknął ponuro:

— Gdyby znalazł się śmiałek, który ufając Bogu wysadziłby bramę petardą, zamek byłby nasz już dzisiaj. Dałbym tysiąc guldenów z pieniędzy biskupa temu, kto by się tego podjął, a tysiąc guldenów to więcej pieniędzy, niż ktokolwiek z was widział w całym swoim życiu.

Ale weterani potrząsali głowami i mówili:

— Człowiek martwy nie ma żadnego pożytku z tysiąca guldenów, wiesz o tym doskonale, Jurgenie, chytry lisie. To żadna sztuka rzucać się ślepo w paszczę śmierci. Nie, sztuka wojenna polega na tym, aby dokładnie rozważać wszystkie niebezpieczeństwa i wybierać najmniejsze ryzyko.

W czasie tej dyskusji opatrywałem, jak się dało, chłopca, któremu kula działowa oberwała prawą nogę. Twarz jego robiła się już szara jak ołów i wiedziałem, że kona, toteż zostawiłem go i podeszedłem do Jiirgena:

— Czy rzeczywiście zapłacisz mi tysiąc guldenów z pieniędzy biskupa, jeśli wysadzę tę bramę? — zapytałem.

Spojrzał na mnie spode łba i jego wielka głowa zakołysała się, ale przysiągł mi na krew Chrystusa i święte słowa boże, że dotrzyma obietnicy. Wszyscy weterani skupili się zaraz koło mnie, wychwalając moją odwagę, ale wiedziałem, że uważają mnie za szaleńca i są przeświadczeni, że nie wrócę po swoje wynagrodzenie. Ja jednak zmęczony życiem miałem własne powody, dla których podejmowałem się tej próby.

Gdy puszkarze zorientowali się, że myślę poważnie, pobiegli zaraz do furgonów i przynieśli mi petardę bardzo ciężką, lecz nadzwyczaj prostą w konstrukcji. Odmierzili też kawałek lontu, który miał płonąć przez czas potrzebny na zmówienie jednego pacierza, ażeby dać mi szansę ucieczki przed wybuchem. Jiirgen Knopf obiecał też trzymać najodważniejszych ludzi

w pogotowiu z okutą w żelazo kłodą, możliwie blisko bramy. Mieli oni po wybuchu podbiec i wyłamać nadwątlone belki.

Wiedziałem, że jedyna szansa ratunku polega na tym, aby dobiec jak najszybciej do sklepienia bramy, które dałoby mi jaką taką osłonę. Wetknąłem za pas krótki młot i dwa duże żelazne haki, w zęby wzięłem lont płonący z obu końców, aby zaoszczędzić sobie krzesania ognia, chwyciłem petardę i pobiegłem w kierunku bramy.

Nie było to więcej jak sto pięćdziesiąt kroków, ale droga wydawała mi się okropnie długa, a petarda ciążyła straszliwie. Już w połowie drogi zupełnie się zadyszałem, krew tętniła mi w głowie, a z murów słychać było nieprzerwany huk palby, gdyż obrońcy zamku strzelali do mnie z czego się dało. Kule gwizdały mi koło uszu, a parę utkwiło w desce, którą osłoniłem sobie piersi, co może uratowało mi życie. Najgorsze jednak były strzały z kusz, które bzykały koło mnie jak °sy, gdyż celność strzałów z kuszy jest o wiele większa niż z ha-kownic.

Jiirgen Knopf i jego ludzie dotrzymani jednak obietnicy i skierowali także gwałtowny ogień na szczyt murów zamku, aby zmusić obrońców do krycia się i przeszkodzić im w celowaniu. Toteż udało mi się w końcu dobiec i wśliznąć się pod sklepienie bramy, gdzie, jak sądziłem, byłem już całkiem bezpieczny. Ale gdy zacząłem oglądać bramę, spostrzegłem ku memu przerażeniu, że w murach po obu stronach znajdują się wąskie i wysokie strzelnice. I gdy podniosłem petardę, aby przybić ją hakami do bramy, w miejscu gdzie, jak przypuszczałem, znajdują się zamek i rygle, zdrętwiałem ze zgrozy, gdyż ze strzelnicy wysunęła się wycelowana we mnie lufa. Ledwie zdołałem rzucić się pod mur, gdy padł strzał, który trafił w bramę, równocześnie ze strzelnicy po przeciwnej stronie wysunęła się druga lufa.

Przez chwilę miotałem się tak w bramie, oblewając się potem ze strachu, ale w końcu zmęczyło mnie to i postawiłem na jedną kartę, wiedząc, że i tak wszystko w ręku Boga. Chwyciłem petardę i na nic nie bacząc, przybiłem ją do bramy paru grzmiącymi uderzeniami młota, a strach dodał moim ramionom takiej siły, że baki weszły w twarde drzewo jak w masło. Jakiś strzał trafił tuż koło mojej głowy, robiąc w bramie dziurę wielką jak pięść, ale nie miałem ochoty zaglądać do środka, tylko zapaliłem lont. A gdy zaczął trzeszczeć i piekący dym siarkowy zakłębił się wokół mnie, przeżegnałem się i wybiegłem na pole. Chyba nikt nie przypuszczał, że wyjdę żywy spod sklepienia bramy, bo przebiegłem pięćdziesiąt kroków, zanim zaczęto do mnie strzelać z murów. W tejże chwili rozległ się huk większy niż przy wystrzale z działa i dzielni ludzie Jiirgena Knopfa rzucili się do bramy z taranem. Mieli szczęście, że chwilę przedtem wystrzelono z wszystkich strzelb zamku i że nabicie broni na nowo trwało chwilę.

Wyważenie bramy przechyliło szalę walki na naszą stronę. Księżę biskup widząc beznadziejność położenia, skapitulował, gdy tylko Jurgen Knopf zapewnił go, że pozwoli mu oddalić się z zamku z ludźmi, bronią i osobistymi rzeczami. Wprawdzie Jurgen był wściekły, że nie może zemścić się na biskupie wedle swego upodobania, ale dalsza walka kosztowałaby sporo ofiar, bo biskup mógł kazać wytoczyć działa na dziedziniec i mimo pewnej przegranej urządzić prawdziwą masakrę wśród szturmujących.

Tak to Jurgen Knopf wziął w posiadanie zamek, a w nim ogromny łup wojenny. Jako własność i osobiste rzeczy biskupa uznał bowiem tylko dziesięć srebrnych pucharów, dwieście guldenów w złocie i dwa konie, z których jednego objuczono biskupimi piernatami i pościelą. Gdy jego przewiełbność dowiedział się o wykładni warunków kapitulacji, wpadł w taki gniew, że stracił mowę i ledwie mógł złapać oddech. Twarz mu posiniała i felczer uznał za najpewniejsze natychmiast upuścić mu krwi, a dwóch mocnych pachółków musiało trzymać księcia biskupa w czasie tej operacji. Następnie podsadzono go na konia i musiał opuścić zamek, a jego wojska maszerowały za nim z kobietami, dziećmi i drobnym dobytkiem, przy dźwiękach bębnów i piszczałek, podczas gdy działa chłopskie oddawały grzmiące salwy. W ten sposób wszyscy, z wyjątkiem biskupa, byli zadowoleni i uważali, że uratowali honor.

Nie mam pojęcia, jaka była ilość pieniędzy, złota i srebra, które wpadło w ręce Jiirgena Knopfa, bo pozwolił on tylko dwóm najbardziej zaufanym powiernikom towarzyszyć sobie do skarbcza biskupa pod jedną- z wież zamkowych. Gdy ludzie zaczęli z tego powodu sarkać, Knopf rozdzielił między nich po trzy guldeny na głowę, co odpowiadało żołdowi najemnika, ci zaś, którzy wdarli się na dziedziniec zamku, otrzymali po sześć guldenów. Gdy chłopci uspokoili się i zaczęli jeść i układać się na spoczynek, podszedłem do Jiirgena Knopfa i poprosiłem, aby mi wypłacił tysiąc guldenów nagrody. A on westchnął ciężko, unikając mego spojrzenia, i rzekł:

— Mikaelu Pelzfuss, obawiam się, że podobnie jak inni bardzo przeceniasz bogactwa biskupa. Musisz pamiętać, że potrzeba ponad trzydzieści tysięcy guldenów, by opłacić żołd dziesięciu tysięcy ludzi. Dlatego nie mogę obecnie wypłacić ci całej sumy w gotówce. Ale w uznaniu twojej odwagi dam ci trzydzieści pięć guldenów teraz, a na resztę otrzymasz skrypt dłużny, który obowiązują się wykupić natychmiast, gdy tylko nowy porządek wejdzie w życie i sprawiedliwość boska zapanuje na ziemi.

Jego odpowiedź oburzyła mnie, zwłaszcza po doznanych strachu i obrażeniach. Zwymyślałem go więc gorzko, nazywając łotrem i krzy-woprzysięzcą i żądając, żeby wypłacił mi przynajmniej połowę obiecaną sumy. Po gwałtownej wymianie słów, w czasie której Knopf używał jako argumentów zarówno łez, jak gróźb, wyciągnąłem z niego sto guldenów, a i to więcej niż połowę w oberżniętych guldenach, na resztę zaś dał mi skrypt dłużny i wręczając mi go napominał pobożnie, abym ufał Bogu. I nigdy nie dowiedziałem się, co się stało z niezmiernymi skarbami biskupa, gdyż Knopf mógł wydać tylko część ich na werbowanie najemników, reszta zaś przepadła bez śladu, gdy stracił on głowę. W każdym razie jednak osiągnęliśmy porozumienie, a wróbel w garści lepszy jest niż szczygieł na dachu, jak zwykła do mnie mówić zacna matka Pirjo. Na znak swoich dobrych intencji Knopf kazał mi także dać niezłego konia ze stajni biskupa. O świtaniu, gdy białe gwiazdy nocy letniej wciąż jeszcze świeciły na niebie, wróciłem konno do Baltringen z radosną wieścią o wielkim zwycięstwie chłopów z Al-Igau i o haniebnej ucieczce biskupa na starej chabecie.

Przywieziona przeze mnie wieść wcale nie ucieszyła Ulryka Schmida, który zaczął już słabnąć w swej wierze. Oświadczył on, że gwałt rodzi tylko gwałt i że Jiirgen Knopf zginie od miecza, którym wojuje.

Znużyło mnie jego biadanie, poszedłem więc do oberży, postawiłem konia w stajni i kulejąc, z poparzonymi nogami, wdrapałem się po wąskich schodkach do maleńkiej izdebki na poddaszu, którą udało mi się dla siebie zachować. Mieszkałem bowiem w pojedynkę, a pewna zacna niewiasta, wdowa po przekupniu korzeni, pod której opieką zostawiłem pieska, odpowiadała za to, żeby nikt nieproszony nie wtargnął do izdebki w czasie mojej nieobecności. Łatwo zatem można sobie wyobrazić moje oburzenie, gdy zobaczyłem jakiegoś zupełnie obcego żołdaka rozwalonego na moim łóżku i chrapiącego z otwartą gębą. Był ubrany w kolorowe rozcięte pluderki, a rozpięty kaftan odsłaniał owłosioną pierś. Śpiący jedną ręką ścisnął mocno rękojeść miecza, w drugiej zaś trzymał kurczowo mieszek. Na jego brzuchu, zwinięty w kłębuszek, spał mój pies i nawet nie chciało mu się podnieść, żeby mnie przywitać. Machał tylko żywo ogonkiem i mrugał na mnie jednym okiem, jak gdyby chcąc dać do zrozumienia, że nie wy pada. przerywać snu wojaka. Nie znałem tego człowieka, choć było coś znajomego w jego szerokiej, głupiej fizjonomii, co mnie zastanawiało. Ale gniew wziął nade mną górę, złapałem więc śpiącego za kaftan na piersi i mimo jego potężnej postury potrząsnąłem nim mocno, aż się ocknął. Zaczął wykrzykiwać w różnych językach komendy wojskowe i kląć po hiszpańsku, a gdy w końcu otrzeźwiał, usiadł na łóżku, przyjrzał mi się i rzekł:

— Mikaelu, mój bracie! Tyżeś to naprawdę, żyjesz jeszcze? Jak się czujesz, bo widzę, że kulejesz jak stara baba z próchnicą kości.

Opadły mi łuski z oczu i poznałem go. Był to Antti, którego tak bardzo mi nieraz brakowało i którego już od dawna oplakałem, sądząc, że stracił swoje głupie życie na polach bitew cesarskich pod Mediolanem i we Francji. Rozplakałem się z radości i wziąłem go w ramiona, a -gdy mi oddał uścisk, poczułem, że nadal jest silny jak niedźwiedź, bo mało mi żeber nie pogruchołał. Wyrósł jeszcze i zmężniał, twarz jego jeszcze bardziej stępała, a całą jego postać cechowała niemiłosierna brutalność lancknechta. Ale szarymi sennymi oczyma patrzył na mnie tak jak dawniej.

— A więc nie zginąłeś, Antti, choć nie słyszałem o tobie od lat? — zapytałem. — I spadłeś tu, do Baltringen, jak z jasnego nieba? Bogu dzięki, że jesteś znowu ze mną i że mogę się tobą zaopiekować, by głupota nie doprowadziła cię do zguby, nie mówiąc już o tym, że mam pieniądze, tak że nie będziesz potrzebował cierpieć biedy, choć doprawdy nie rozumiem, jak dałeś sobie radę bez moich rad i pomocy.

Antti brzęknął dumnie ciężkim mieszkciem i odparł:

— Nie wracam jako biedak. Gdy usłyszałem, co się tutaj dzieje, opuściłem natychmiast obóz cesarski, aby cię odnaleźć, bo trzy lata służby u cesarza dobiegały już końca, i doprawdy cesarz jest mi więcej winien niż ja jemu. Ale i tak nie mam powodu się skarżyć, bo szczęście dopisywało mi, choć jestem tylko biednym głupkiem. W każdym razie dobrze, że dowiedziałem się o powstaniu w Niemczech, bo nie zdążyłem przepić pieniędzy. Wróciłem, bo wiedziałem, że twoja natura i pobożne serce z pewnością wplączę cię w tę awanturę. Teraz zaś zamierzam cię wyplątać z tego, co się tu święci.

Ucieszyłem się serdecznie, że szczęście mu sprzyjało, choć nie mogłem pojąć, jak to możliwe, skoro nie było mnie pod ręką, abym mu doradzał i pomagał, ale reszta jego słów uraziła mnie.

13 — Mikael, t, I — Jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz, mój Antti — odparłem — i nic nie rozumiesz z tego, o co tu chodzi. Biedni czeladnicy i chłopci niemieccy powstali jak jeden mąż, żeby zbudować nowy porządek oparty na dwunastu doskonałych artykułach, których nawet nie próbuje, ci przeczytać, bo twoim słabym rozumem wcale byś ich bez długich tłumaczeń nie zrozumiał. Mogę cię jednak zapewnić, że artykuły te są znakomite, ponieważ sam brałem udział w ich opracowywaniu. W każdym razie ci uczciwi ludzie postanowili zbrojnie ustanowić nowy porządek i wprowadzić sprawiedliwość boską na ziemi. Dlatego świetnie żeś przybył, bo każdy uczciwy człowiek powinien pomagać w urzeczywistnieniu tego szlachetnego celu.

Antti ziewnął, podrapał się za uchem i zerknął na mnie niepewnie.

— Mój bracie, Mikaelu — powiedział. — Jesteś człowiekiem uczonym i mądrzejszym ode mnie i rozumiesz się z pewnością lepiej na tych teologicznych sprawach, ale tyle zdążyłem zobaczyć na własne oczy, szukając ciebie jak igły w stogu siana, że ten nowy porządek wygląda trochę dziwnie, i duża część tych, którzy go wprowadzają, to raczej diabli pomiot niż dobrzy ludzie. Najchętniej zabrałbym ciebie z sobą do Włoch, gdzie złote jabłka wiszą na drzewach.

Miał z pewnością dobre intencje i mówił tak, jak umiał, toteż nie chciałem się na niego gniewać, uśmiechnąłem się tylko z politowaniem i odparłem:

— Nie spierajmy się na ten temat. Raczej opowiedzmy sobie wszystko, co nam się przytrafiło. Bardzo jestem ciekaw usłyszeć o twoich losach i jak to możliwe, że miałeś szczęście. Sam też chętnie ci opowiem o moich niepowodzeniach, żebyś zrozumiał, że nie jestem już ten sam co wtedy, gdyśmy się rozstawali.

Gdy padło słowo „szczęście”, Antti spoważniał i powiedział smutno:

— Nie ma czystego i niczym nie zakłóconego szczęścia. W każdym pucharze jest kropla goryczy, ale przez to nie mam na myśli moich trudów i wyrzeczeń, zimna i biedy, gorączki i głodu, zarazy i ran, które tak nierozzerwalnie są związane ze służbą na żołdzie cesarza. Myślę tu o czymś innym, o czym opowiem ci później. Ty zaś nie potrzebujesz mi opowiadać o

twoich kłopotach, ponieważ wiem już o wszystkim, bo szukając ciebie, przybywam tu z Memmingen. Wiem, jaki los spotkał twoją żonę, i dzielę twoją żalobę, jakkolwiek ta nowina nie była dla mnie żadną niespodzianką, bo każdy na pierwsze wejrzenie mógł zrozumieć, że była ona czarownicą, i tylko ktoś tak niewinny, jak ty mógł się w niej zadurzyć. Toteż raczej pozwól mi mówić, bo mam ci powiedzieć wiele pouczających rzeczy. I może lepiej, żebym wpiery trochę zwilżył sobie gardło, bo opowiadanie potrwa z pewnością aż do wieczora. Przypomniałem sobie o obowiązkach gospodarza, zapomniałem o zmęczeniu i poczułem trawiący mnie głód. Zbiegłem na dół i znalazłem wdowę po przekupniu korzeni w kuchni na tyłach domku, jak wyjmowała z pieca świeżo upieczony chleb. Bardzo była wzburzona i na mój widok zaczęła od razu gdakać jak kura:

— Panie Mikaelu, nie chcę powiedzieć nic złego o przybyszu, twoim przyjacielu, bo jak na to wygląda, jest to mąż silny i pobożny, choć pije straszliwie. Ma pieniądze i płaci dobrze za to, co wypije, i jego mowa też jest przyjemna dla słabej niewiasty. Ale nie mogę zgodzić się na to, że sprowadził tę cudzoziemską sukę do mego domu. Jest pyszna i zarozumiiała, mówi jakimś pogańskim językiem, odziewa się w jedwabne spódnice ponad swój stan i nosi pióra na głowie zamiast dwurożnego czerwonego czepca. To się musi skończyć i dość już mam rozpusty i haniebnego wszeteczeństwa w moim domu. Nie wierzę, że są oni z sobą poślubieni po łacinie i przy poświęcanych świecach, i nie życzę podobnie żalostnego losu człowiekowi tak uprzejmemu i pobożnemu jak wasz przyjaciel, panie, rozumiem też doskonale, że pije on okropnie, aby zalać robaka z powodu tej nieznośnej dziewczki, i mam nadzieję, że w porę się opamięta i wygna tę sukę precz.

Słowa jej wprawiły mnie w zdumienie i odparłem, że Antti jest —

o ile wiem — czystym młodzieńcem, który wcale nie ma zwyczaju włączyć z sobą dziewczek. Zawołałem Anttiego, żeby zszedł na dół, ale on na moje pytania przeżegnał się tylko nabożnie i rzekł:

— Wolałbym raczej mieć do czynienia z workiem dzikich kotów niż z tą niewiastą i nie chcę w tej chwili o niej mówić, bo pragnę zrobić ci małą niespodziankę. Nie chcę też zepsuć sobie apetytu i pragnienia poruszając ten temat, bo to ona właśnie jest gorzką kroplą piołunu w pucharze mego powodzenia.

Dwoma łykami wychylił dzban piwa, poprosił o jeszcze i dodał:

— Nie powinno się jednak źle mówić o piołunie. Włosi warzą z wina i piołunu mocny trunek, który wielu już uleczył z kurczów żołądka i febry.

Zwróciłem mu uwagę, żeby się pohamował, i przypomniałem o złych skutkach nadmiernego używania piwa i wina. Ale on sprzeciwił się gwałtownie.

— Widać, że nigdy nie brałeś udziału w prawdziwej kampanii —• rzekł. — Dobry żołnierz nie pije wody i zawsze wydaje ostatni grosz na wino lub piwo. Widziałem wielu towarzyszy, którzy marnie zginęli napiwszy się zepsutej wody z przydrożnego rowu. Toteż mój sierżant nie dowierzał ani jeziorom, ani sadzawkom, ani rzekom i mawiał, że jeśli już musisz pić wodę, pij ją gorącą z ziołami. Tę dobrą radą przekazuję tobie, Mikaelu, bo jak widzę, i ty jesteś na wojnie, a przy tłumach, jakie się zgromadziły w tym mieście, wnet wybuchną zarazy i przetrzebią spośród nas tych, co piją wodę.

Mówił to tak poważnie, że musiałem mu wierzyć, bo był w tych sprawach bardziej doświadczony ode mnie. Piłem więc i ja wino i piwo do obiadu i wnet podochociliśmy sobie i cieszyliśmy się z naszego spotkania, klepiąc się po plecach i żartując z wdową po korzennym kupcu, która nie żalowała nam jedzenia i podawała wciąż nowe potrawy, żegnając się krzyżem z podziwu na widok niezmiernej żarłoczności Anttiego i zachęcając go życzliwie, żeby jeszcze sobie dołożył. A gdy Antti zaspokoił pierwszy głód, zaczął opowiadać.

— Niech Bóg błogosławi naszą zacną gospodynię i wynagrodzi jej trudy, bo doprawdy sprzykrzyły mi się już cesarskie oliwki i łykowata oślina, a świeże masło i krucha wieprzowina wygładziły mi język. Toteż chcę ci opisać moje losy, ale zanim to uczynię,



muszę wpieryw powiedzieć słów parę o wielkiej polityce światowej, gdyż inaczej nic nie zrozumiesz, Mikaelu, bo ty wiesz więcej o sprawach niebieskich niż ziemskich. Ja natomiast zmuszony byłem nauczyć się tego trochę, bo żołnierz musi wiedzieć, komu sprzedaje swój miecz i dla kogo nadstawia karku. «.

Wychylił puchar wina, który gubił się zupełnie w jego potężnej dłoni, i poprosił gospodynię, żeby podała mu inny, większy. A potem ciągnął:

— Otóż, jak sobie przypominasz, wstąpiłem na służbę u cesarza, myśląc, że robię coś mądrego, jako że nasz zacny pan Karol V jest najpotężniejszym władcą świata i jego kraje dziedziczne obejmują Austrię i Neapol, Hiszpanię i Niderlandy, żeby tylko wymienić kilka z nich. Ponadto jest on cesarzem całych Niemiec i Indii, i Ameryki za morzami, o czym hiszpańscy arkebuzerzy opowiadają historie, od których włosy się jeżą na głowie. I gdyby te historie o Nowym Świecie choć w części tylko były prawdziwe, cesarz byłby najbogatszym z książąt i mógłby sobie zteudować zamek z czystego złota i szlachetnych kamieni. Natomiast w rzeczywistości cierpi on na ustawiczny nieuleczalny brak pieniędzy, co jest najlepszym dowodem, że Hiszpanie, którzy byli za morzem, są największymi łgarzami, jakich kiedykolwiek oglądał świat.

Zniecierpliwiłem się trochę i wtrąciłem, że wiem o Hiszpanach tyle, co i on, oraz wezwałem go, aby trzymał się tematu. A on ciągnął bez urazy:

— Prócz naszego szlachetnego cesarza nie ma właściwie żadnych innych książąt, o których warto byłoby mówić, z wyjątkiem króla Francji, Franciszka, którego znam bardzo dobrze, bo brałem udział w pojmaniu go do niewoli pod Pawią, a także króla angielskiego Henryka VIII, który zrobił pieniądze na handlu wełną.

O niemieckich książętach nie ma nawet co wspominać, bo nie znaczą nawet tyle co musze łajno na ścianie, i cała Rzesza niemiecka jest właściwie tylko jednym wielkim trawnikiem, gdzie grafy i książęta, biskupi i wolne miasta wyrastają jak grzyby po deszczu. Jedynym prawdziwym władcą w tym kraju jest hercog Ferdynand, brat cesarski, nawiasem mówiąc, młodzik dość niedoświadczony, który jest namiestnikiem w Niemczech i Austrii i broni węgierskiego króla-dzie-ciucha przed Turkami oraz czyni we wszystkim tak, jak mu nakaże cesarz. O Polsce i Moskwie nie chcę mówić, bo nic o nich nie wiem. A wielki sułtan turecki, Soliman, to osobny rozdział, i z pewnością na równi z cesarzem jeden z najpotężniejszych władców na ziemi, ale jest on tak daleko, że nie będę o nim wspominać, choć złe języki utrzymują, że król francuski pragnie zawrzeć przymierze z sułtanem w celu zwalczania cesarza. Jak sądzę, jest to tylko gadanina i podłe oszczerstwo.

Wzburzony tym, co usłyszałem, wtrąciłem:

— Jako były student czcigodnego uniwersytetu w Paryżu — mieście, któremu równego próżno by szukać na ziemi — i jako przyjaciel Francji chcę raz na zawsze oświadczyć, że twierdzenia takie są fałszywe i kłamliwe. Nie powinniśmy przysparzać brzemienia szlachetnemu i rycerskiemu królowi Franciszkowi, który tak mężnie opiera się cesarzowi, a opiera mu się dlatego, że z pewnością nie jest intencją Boga, by jeden człowiek zdobył panowanie nad całym światem.

Antti uderzył pięścią w stół, aż deska trzasła, i huknął z zadowoleniem:

— Wspomnisz moje słowa, Mikaelu, żeś trafił w samo sedno. Mądrzejszy jesteś, niż przypuszczałem, nawet w sprawach politycznych, bo właśnie dlatego ci dwaj żyją jak pies z kotem i nigdy nie mogli się zgodzić, od czasu gdy konkurowali o koronę cesarską. Francja jest bowiem najbogatszym i najpotężniejszym krajem Europy i jedyną przeszkodą w rozszerzeniu władzy cesarza na cały świat. Abyś jednak dobrze wszystko zrozumiał, muszę ci teraz wyjaśnić sytuację we Włoszech. Jest to kraj, który nie zniesie nad sobą żadnego pana. Cesarz i król Francji nie przestali nigdy walczyć o księstwo Mediolanu i o żyzną Lombardię, z której przybywam. Wenecja granicząca z Mediolanem odgrywa dzięki swoim posiadłościom największą rolę we Włoszech, choć nie należy także zapominać o papieżu.

Pochodzi on z rodu Medyceuszów i dlatego władza nie tylko Rzymem, ale i nad Florencją. Oprócz tego mamy księstwo Neapolu, które należy do cesarza, ale którego domaga się król Francji na mocy prawa dziedzictwa.

— Kręci mi się już w głowie od tego wszystkiego — zaprotestowałem. — Opowiadaj lepiej, co sam widziałeś i słyszałeś. Mogę powiedzieć tylko jedno, że zarówno cesarz, jak i król postępują bezbożnie i zbrodniczo, tocząc wojnę, gdyż wszystkie ich sprawy i problemy dziedzictwa mogą być rozwiązane na drodze prawa, sprawiedliwie dla obu stron.

Antti wybuchnął głośnym śmiechem i powiedział:

— Sprawy dziedzictwa i przymierzy oraz układów są tak zawikłane, że sam diabeł by się w tym nie połapał, i wielu już uczonych jurystów dostało od tego fioła i poszło do klasztoru. Cesarze i królowie nie uznają innego prawa prócz siły. Ten, kto może wystawić większą liczbę pikinierów, arkebuzerów, jazdy i dział, wygrywa sprawę. Księstwo Mediolanu było oficjalnym powodem wybuchu wojny i znajdowało się w posiadaniu króla francuskiego, gdy przekraczaliśmy Alpy, żeby wygnać Francuzów z Włoch i ścigać aż do Prowansji, rabując, mordując i gwałcąc, ile się dało. Naszym dowódcą był bowiem konetabl francuski, książę Burbonu, który, rozwścieczony na króla Francji, chciał mu przyczynić jak największą szkodę. Wdowa po przekupniu korzeni zaczęła się żegnać znakiem krzyża, mówiąc, że jest tylko prostą niewiastą i nie bardzo rozumie opowiadanie Anttiego, ale nie może mu uwierzyć, by płądrował, grabił i mordował niewinnych ludzi. Ja zaś zapytałem, czy to możliwe, by naczelny dowódca wojsk francuskich i konetabl walczył po stronie cesarza przeciw własnemu królowi.

Anttiego zmieszały trochę słowa wdowy i próbował bronić się mówiąc:

— Grabież i płądrowanie związane są z zawodem żołnierza i stanowią naturalne prawo wojska. Nigdy też nie zabiłem dla przyjemności niewinnego człowieka, jak to robią Hiszpanie, gdy ponosi ich temperament. Jeśli chodzi o gwałty, to mogę tylko powiedzieć, że wiele kobiet w Prowansji nie uważało tego za coś złego. Raczej biegały one za żołnierzami, niż ich unikały, szczególnie gdy mieli na sobie lśniące pancerze i rozcięte pludry, tak że i w tym wypadku mam czyste sumienie. Francuski konetabl zaś zdradził swego króla i przeszedł na służbę cesarza, żeby pod jego ochroną założyć własne królestwo na ziemi francuskiej. Ten książę Burbonu dowodził jednak nami tak niezdarnie, że siły nasze topniały jak śnieg na słońcu i po dłuższym oblężeniu y Marsylii zmuszony byłem zostawić moje wspaniałe działa w rękach Francuzów i podjąć uciążliwą ucieczkę aż do Mediolanu, gdyż król francuski zdołał wbrew wszelkim oczekiwaniom wystawić w jesieni olbrzymią armię i ścigał się teraz z nami przez Alpy do kraju mediolańskiego.

Antti wpadł w ferwor i przerywając opowiadanie od czasu do czasu, żeby zwilżyć gardło łykiem wina, opowiedział nam długo i szeroko o zmiennych kolejach kampanii we Włoszech, o wielkich wodzach, z których najwyżej stawał naczelnego dowódcę cesarskiego wojska, markiza Pescarę i pana de Lannoy, i o wielkiej bitwie pod Pawią, która zakończyła się ogromnym zwycięstwem cesarza i kiedy to sam król Franciszek I dostał się do niewoli cesarskiej.

Wychyliwszy dzban wina zakończył przypatrując mi się poważnie: — Mikaelu, bracie mój! Rozmawiałem z tobą o wielkiej polityce o bitwie pod Pawią, gdzie trzydzieści tysięcy dobrze uzbrojonych i wprawnych w boju ludzi dowodzonych przez biegłych w prowadzeniu wojny dowódców poszło do natarcia na trzydzieści siedem tysięcy. Wszystko to opowiedziałem w najlepszym zamiarze, abyś może wreszcie zrozumiał, że nierozumne powstanie chłopskie nie znaczy — w porównaniu z wielką polityką i prawidłowym prowadzeniem wojny — więcej niż musze łajno na ścianach. Doświadczony wódz położy tych chłopów tak, jak się kosi zboże ostrym sierpem. Po zwycięstwie pod Pawią cesarz jest najmocniejszy na świecie, on zaś nie cierpi luteranów. Zaprzysiągł, że najpierw wyrwie z korzeniem wszelkie kacerstwo w Niemczech, potem zaś pokona Turków z pomocą całego

zjednoczonego chrześcijaństwa. Toteż z serca ci radzę, żebyś posłuchał głosu rozsądku i żebyśmy, póki jeszcze czas, wycofali się z tego i udali się w inne, lepsze okolice.

Jego słowa dały mi dużo do myślenia, ale uważałem się za mądrzejszego od niego, a przy tym byłem trochę odurzony winem, toteż wydrwiłem jego przewidywania, udowadniając, że sprawiedliwość boska jest silniejsza niż prawa cesarzy i królów i że Samson pobił Filistynów za pomocą szczęki ośle. A gdy upierał się przy swoim, chciałem go porządnie zwymyślać, lecz w tejże chwili otwarły się drzwi i do izby weszła lekkim krokiem kobieta o uszminkowanych policzkach i z uśmiechem na ustach, ubrana w podartą spódnicę i kapelusz z opadającymi czaplami piórami. Nuciła dość ładnie smętną piosenkę:

Zmarło się panu la Police, Pod Pawia zginał chwał, Choć tuż przed śmiercią, Chytry lis, żył jeszcze, i to jak! V Zacna wdowa po przekupniu korzeni zaczęła gwałtownie szlochać z rozgoryczenia, mówiąc:

— To ona, to ta okropna dziewczka, którą pan Antti przywiózł ze sobą z Włoch, i jeśli jest pan mężczyzną, panie Mikaelu, weźmie pan kija i przegoni ją z mego przyzwoitego domu.

Ale gdy usłyszałem dźwięk głosu przybyłej i przypatrzyłem jej się bliżej, zerwałem się z zydlu i przeżegnałem, jak gdybym spotkał diabła we własnej osobie, gdyż oto stała przede mną nieco chwiejąc się na nogach, lecz żywa i prawdziwa pani Genowefa z domu mistrza Arce z Paryża. I choć nie była już całkiem młoda, policzki wciąż jeszcze miała krągłe, wargi pełne, a oczy jak ciemne fiołki. Gdy mnie zobaczyła, wykrzyknęła z radości, zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała mnie w oba policzki, zanim zdołałem jej w tym przeszkodzić i strząsnąć ją z siebie.

Cała pewność siebie opuściła nagle Anttiego. Skurczył się na swoim zydlu i patrząc na mnie błagalnie wybąkał:

— Przebacz mi, Mikaelu, ale nie mogłem temu zapobiec, bo przyczepiła się do mnie jak rzep, spotkawszy mnie pod Pawią. Uprzykrza mi życie tak, że mam szczerą nadzieję, iż zechcesz się nią zaopiekować. Pamiętam bowiem jeszcze, że dawniej byłeś bardzo nią oczarowany, ona zaś jest ci wciąż jeszcze winna pewne rzeczy, których męska skromność nie pozwala mi nazwać po imieniu.

Tak byłem zdumiony i zaskoczony, że nie mogłem dobyć słowa, a pani Genowefa usiadła we frywolnej pozie, obciągnęła suknię tak, że wyjrzał obnażony biust, i zaczęła mi się przyglądać z przekrzywioną na bok głową, jak gdyby była psem, a ja kawałkiem mięsa. I nie przestawała przy tym nucić swojej piosenki dźwięcznym głosikiem, dopóki nie odzyskałem przytomności i rozgniewany nie powiedziałem:

— Na Boga! Nasłuchałem się już dość o Pawii i wystarczy mi tego do końca moich dni. I jeśli rzeczywiście przywlokłeś tu tę szlachetną damę jako twoją część łupu aż spod Pawii, to jesteś, Antti, głupszy, niż myślałem, i wcale mi nie zrobiłeś tym przysługi.

Pani Genowefa myślała widocznie, że nie podoba mi się jej śpiew, i rzekła z urazą:

— Pan de la Palice zacniejszy był od was obydwóch i lepiej byście zrobili śpiewając wraz ze mną tę piosenkę, którą wzięci do niewoli Francuzi ułożyli na jego cześć. Otoczony przez stu Hiszpanów bił się do ostatniego tchu, choć oczy mu już zachodziły mgłą i jedną rękę miał odrąbaną tuż przy ramieniu, a w biodrze otwartą ranę.

Kazałem jej zamilknąć, żeby zebrać myśli, ale z równym powodze niem mogłem próbować zatrzymać koło młyńskie gołymi rękami, bo paplała dalej nieprzerwanie:

— O męskości pana de la Palice nikt nie potrafi zaświadczyć lepiej ode mnie, bo raczył raz okazać mi swoją skłonność, a następnego dnia rano dał mi dwadzieścia złotych monet w pięknie haftowanym jedwabnym woreczku. Także król Francji całował moją dłoń i inne miejsca mego ciała, których wstydlivość nie pozwala mi wymienić, bo był to wielki galant i rycerski kawaler, który lubił urozmaicenie i któremu w obozie dłużył się czas. Również i inni najszlachetniejsi panowie ubiegali się i współzawodniczyli o moje łaski.

Opowiadanie jej wykazywało, że miała niebywałe powodzenie w zawodzie, który sobie obrała.

— Francuscy rycerze nie mają sobie równych w świecie, jeśli chodzi o galanterię, szczodrość i sztukę miłosną — ciągnęła. — Mogę o tym coś powiedzieć i sama nie wiem, kogo więcej nienawidzić — Niemców, którzy są niezdarni i brutalni, nie rozumieją się na kobietach i wołają kielbasę i piwo od najrozkoszniejszych sztuczek uwodzicielskich najwspanialszych kobiet, czy Hiszpanów, którzy umieją kochać, i to nawet ogniście, ale są jeszcze skąpsi od Niemców i na podstawie prawa zwyczajcy chcą dostać za darmo to, co każdy uczciwy mężczyzna chętnie kupuje za godziwą cenę. O Włochach w ogóle nie ma co mówić, bo stają się po prostu głusi, gdy delikatna kobieta wspomni o pieniądzach czy nowych sukniach. Bóg mi świadkiem, Mikaelu, że całe moje nieszczęście wynikło z tego powodu, że dzicy i bezwzględni najemnicy zrabowali wszystkie moje kosztowne szaty, skrzynkę z kosmetykami i pachnidła-mi, dobre olejki i czernidło do brwi, a poza tym całe okazałe mienie, które skrzętną pracą zarobiłam w obozie królewskim, ażeby zapewnić sobie i dzieciom beztrudne życie.

— Jezus, Maria! — wykrzyknąłem przerażony, nie zwracając uwagi na ostrzegawcze grymasy Anttiego. — A więc macie także dzieci, droga pani Genowefo?

W tym miejscu do rozmowy wtrącił się Antti.

— Drogi braciszku, Mikaelu! Zaklinam cię, nie wierz we wszystko, co ta kobieta opowiada, bo kłamie wprost okropnie i twierdzi, że ma dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, których umieściła u znacznych ludzi w Tours. Mówi, że chłopiec skończy niedługo pięć lat, i jakkolwiek jej nie wierzę, związała mnie z sobą twierdząc, że to mój syn.

— Jeśli o to chodzi, niemożliwa jest jakkolwiek pomyłka — wtrąciła pani Genowefa łagodnie. — Niech mnie Bóg skarzę i piorun spali, jeśli, od pierwszej chwili, gdy chłopak ujrzał światło dzienne, nie wiedziałam, że jest on synem dzielnego pana Anttiego. Tylko z ogromnym trudem udało mi się przekonać mego pierwszego opiekuna, że jest ojcem dziecka. Pamięta go pan, Mikaelu, nieprawdaż? Uznał w końcu chłopca za swego bastarda i dzieciak przebywa obecnie pod opieką dobrej szlacheckiej rodziny, choć ojciec jego — mówię tu o ojcu legalnym, a nie rzeczywistym, którym jest pan Antti — był łajdakiem i nicponiem. Chłopak nosi imiona Andrzej Florian, uważałam bowiem, że powinien nazywać się po obu swoich ojcach, i często leżąc w ramionach słabszych i mniej miłych mi kochanków, wspominałam z tęsknotą czułości jego ojca cielesnego, dopóki opatrność nie przywiodła go znowu do mnie, aby uratować mnie z mocy Hiszpanów pod Pawią.

Pani Genowefa przemawiała tak przekonywająco, a spojrzenia jej fiołkowych oczu, które rzucała Anttiemu, były tak czyste, że nie mogłem wątpić w jej słowa. Przewyciężywszy więc pierwsze zdziwienie, zmuszony byłem przyznać, że Antti był zupełnie niewinny i że jako człowiek honoru postąpił słusznie, biorąc pod opiekę matkę swego syna, choć mogło to nam przysporzyć mnóstwo kłopotów, przykrości i wydatków.

A Antti powiedział:

— Czy ty wierzysz temu, co ona mówi, Mikaelu? Bo ja nie, albowiem babski język jest śliski, a mowa pełna pułapek i zasadzek. Ale jeśli istotnie jej wierzysz, obowiązkiem twoim jako mężczyzny jest po męsku wziąć na siebie twój udział w ciężkim brzemieniu ojcostwa, bo jako człowiek uczciwy musisz przyznać, że chłopak jest twój co najmniej w połowie, i że jest naszym wspólnym synem. Jego imiona powinny właściwie brzmieć Andrzej Mikael Florian.

Wykrzyknąłem ze zdumienia i oburzenia, rwąc na sobie kaftan, aż guzy posypały się na wszystkie strony. Nigdy bowiem nawet nie dotknąłem pani Genowefy, jakkolwiek w mojej młodszej głupocie nie brakowało mi wcale ochoty. Ocalił mnie jej fałsz, za co dziękowałem teraz Bogu, widząc, do czego doprowadziło to Anttiego. A on, przyglądając mi się drwiąco lekko zamglonymi od wina oczyma, ciągnął, że pani Genowefa jest mi przecież winna dług, na poczet którego niegdyś w moim imieniu przyjął zapłatę, tak więc jestem co

najmniej tak samo jak on odpowiedzialny za dziecko. Nie mogłem temu zaprzeczyć, i przepełniło mnie to bezsilną wściekłością. Pani Genowefa wzięła moje milczenie za zgodę i snuła dalej smutną historię o swoich przygodach. O tym, jak po bitwie szukała schronienia w celi klasztornej, którą zapewnił jej protektor, i jak wystroiła się w najpiękniejsze szatki w nadziei, że pojawi się jakiś szlachetny pan, który zaofiaruje jej swoją opiekę. I jak zamiast tego wpadła w ręce okrwawionej i brudnej tłuszczy, która ograbiła ją z wszystkiego, nawet z odzieży, aż w końcu przyszli Hiszpanie i nie znajdując już nic więcej do wzięcia, zgwałcili ją okrutnie. A gdy wreszcie prawie naga w łachmanach zdołała się oswobodzić, sądziła, że jest zgubiona, dopóki dzięki opatrności nie spotkała ojca swego syna i nie rozpoznała go, a on uratował ją z najgorszej opresji, choć jeszcze dotychczas nie zdołała postarać się o nową garderobę i toaletowe przybory, od których zależy w dużej mierze powodzenie światowej damy i możliwość odzyskania poprzedniej pozycji.

Antti zarzekł się szybko, że nie zamierza wyrzucać ciężko zarobionych dukatów na babskie fatałaszkę, nawet gdyby była tysiąc razy matką jego syna. Ja jednak zastanowiłem się nad jej słowami i szybko pojąłem, że nie pozbedziemy się pani Genowefy, dopóki nie zaopatrzymy jej we wszystko, co potrzebne do wykonywania jej profesji. Toteż powiedziałem jej, że chłopci łupią zamki i pańskie siedziby w całym kraju i że nie wątpię, iż zdołamy za umiarkowaną cenę zakupić dla niej odpowiednie suknie. Następnie zaś oświadczyłem, że jestem bardzo zmęczony, nogi mnie okrutnie bolą, i zaproponowałem, żebyśmy już poszli spać.

Pani Genowefie zabłyśły oczy, objęła mnie za szyję i szybko powiedziała, że chętnie mi pomoże ułożyć się do snu, jeśli skutkiem wina trzymam się niepewnie na nogach. Obiecała też wysmarować oparze-lizny kojącymi maściami i ogrzać mnie w łóżku własnym ciałem, gdyż noce wiosenne wciąż jeszcze były chłodne i najcieplej było spędzać je we dwoje. Całkiem fałszywie zrozumiała moje słowa o pójściu do łóżka i odpoczynku, ale nie miałem już siły się opierać, i gdy wdowa po przekupniu korzeni stanowczo odmówiła pożyczania pani Genowefie swego łóżka, przepowiadając nam same nieszczęścia z powodu naszego bezbożnictwa, wdrapaliśmy się znowu na poddasze i ułożyliśmy się wszyscy troje w jednym łóżku, w ten sposób, że pani Genowefa leżała pośrodku, a mój piesek zwinął się w kłębuszek przy uchu Anttiego, aby chronić go w czasie snu, gdyż bardzo był nim zachwycony. Antti usnął, gdy tylko przytknął głowę do poduszki, a kiedy pani Genowefa usłyszała jego chrapanie, objęła mnie czule ramionami za szyję, pocałowała w ucho i zaczęła szeptać o najrozmaitszych rzeczach, które moja skromność zabrania mi wymieniać. Ja jednak odrzuciłem jej uwodzicielskie sztuczki, gdyż zbyt byłem pijany i zmęczony, aby myśleć o cielesnych rozkoszach, i zasnąłem, mając jej ramiona wokół szyi.

Tak skończyła się bitwa pod Pawią, jeśli chodzi o mnie.

Dopiero rankiem następnego dnia spostrzegłem z całą wyrazistością, że poprzedniego wieczoru nadużyliśmy wina. Także Antti wdychał ciężko z głową opartą na dłoniach i zaklinał się, że nigdy nie tknie już kropli wina, lecz zadawała się będzie zsiadłym mlekiem i wodą, o ile naturalnie nie będzie musiał w polu chronić swego zdrowia słuchając rad zacnego sierżanta. Dopiero łyk piwa wprowadził jakiś ład w moje myśli, tak że zdołałem dowlec się do Ulryka Schmida. Jego kapitanowie donieśli, że armia chłopska w sile pięciu tysięcy ludzi maszeruje na miasto Leipheim nad Dunajem, w których to stronach jest dużo bogatych klasztorów i zamków. Oznajmiłem, że zamierzam bez zwłoki udać się do Leipheim, bo w duchu zdawałem sobie sprawę, że im prędzej pozbedziemy się pani Genowefy, tym lepiej dla mojej cnoty, która w jej obecności stale będzie wystawiona na niebezpieczeństwo.

Ulryk Schmid pochwalił ten zamiar i zaklął mnie na miłość boską, abym nakazał chłopom przyłączyć się do głównych sił możliwie jak najprędzej, gdyż szwabski generał Jiirgen von Truchsess nadciągał forsownymi marszami, zabijając, mordując, ścinając głowy, wyłupując oczy i paląc chłopów z rozbitych oddziałków. Ulryk miał nadzieję, że widząc siły chłopskie zjednoczone, Truchsess wda się z nim w układy. Pojechaliśmy więc do Leipheim. Zaczął się

dopiero kwiecień. Droga była rozmyta wiosennymi deszczami, dookoła lśniły łąki pokryte kwieciami i łatwo, było oddychać czystym i świeżym powietrzem, przesiąkniętym aromatem lip. Przypomnił nam się ubogi i daleki kraj rodzinny, gdzie o tej porze roku morze jest jeszcze skute lodem, a szare chatki drzew na wprost zasypane śniegiem. Ogarnęła nas tęsknota i Antti zaczął opowiadać, że spotkał wśród niemieckich najemników duńskiego porucznika, który swego czasu służył pod królem Chrystianem. Duńczyk mówił, że król dawno już stracił koronę i kraj na rzecz stryja, hercoga holsztyńskiego, i uciekł do Niderlandów, aby szukać schronienia u swego szwagra, cesarza. Panowie szwedzcy w chwili słabości koronowali na króla pana Gustawa z rodu Wazów, który tak mężnie podzegał Szwecję i Finlandię do oporu przeciw prawowitemu władcy. Pan Gustaw jednak okazał się bardzo niewdzięczny, gdyż nie znosił żadnych współzawodników w walce o władzę. Król Chrystian wyświadczył mu wielką przysługę, ucinając głowy mężom, którzy mogliby się ubiegać o władzę, a pan Gustaw przewidująco dokończył tego dzieła.

Żywo rozmawiając o ojczystych sprawach, zbliżyliśmy się do Leipheim, a pani Genowefa też zabawiła nas najrozmaitszymi historiami o dworze francuskim i o trybie życia króla Franciszka. Gdy przybyliśmy do małego miasteczka Leipheim, spotkaliśmy roztasowane na okolicznych wzgórzach liczne gromady chłopskie. Wszędzie panował gwar, zgiełk i nieporządek, pijaństwo i obżarstwo. Na targowisku żywo handlowano najrozmaitszymi towarami, a handlarze żądali bezczelnych cen za hrabskie fatałaszkę, kupione za bezcen od spragnionych piwa chłopów.

Odszukawszy przywódców chłopskich powtórzyłem im wezwanie Ulryka Schmida, aby wrócili do Baltringen dla poparcia słusznych żądań chłopskich w pokojowych układach z panem von Truchsess, który nadchodził, aby nauczyć chłopów moresu. Ale oni zaślepieni siłą i licznymi sukcesami odrzekli, że nie wierzą w rokowania ani w królewskich dowódców, a już najmniej wierzą w Ulryka Schmida, który jest starą babą. A gdyby pan von Truchsess ośmielił się przyjść w te okolice, oni mu pokażą, gdzie raki zimują.

W czasie tej rozmowy pani Genowefa odkryła skrzynkę pełną wspaniałych sukien, jedwabiu i aksamitów, płaszczy bramowanych futrem, koronek i czaplich piór. Skrzynia zawierała nawet pudło barwiczek i pachnideł oraz oprawne w srebro zwierciadła, szczotki, grzebienie, obczątki i łopatki i musiała widocznie stanowić własność jakiejś szlachetnej, dostojnej damy, która uciekła przed chłopami. Pani Genowefa objęła mnie mocno za szyję i pocałowała w usta i byłaby pocałowała także Anttiego, gdyby się od tego nie wymówił. Błagała nas, żebyśmy kupili jej skrzynię z całą zawartością, bo jest w niej akurat to, czego potrzebuje. Żartowała, że z pewnością jej nie poznamy, gdy włoży nowe suknie i umaluje twarz. Była rzeczywiście bardzo ponętna, gdy tak drobiła koło nas ładnie i lekko, jak to zwykle czynią kobiety francuskie, tak że odżyły we mnie wszystkie wspomnienia z młodości. Toteż zacząłem się targować z chłopskim chorążym, pytając, ile chce za skrzynię.

Ten rozłożył ręce i biorąc Boga za świadka zapewniał, że wcale nie zamierza sprzedawać takich skarbów, lecz chce zachować je jako trofeum wojenne i ofiarować swojej drogiej żonie. Suknie były co prawda dla niej za wąskie, zarówno z przodu jak i z tyłu, ale można je rozpruć, więc nie rozstanie się z skrzynią nawet za tysiąc guldenów. Zrozumiałem z tego, że chętnie sprzedałby skrzynię, i choć pani Genowefa błagała mnie ze łzami w oczach, abym natychmiast zapłacił żadaną cenę, ofiarowałem chorążemu sześćdziesiąt guldenów, na co on z oburzeniem zatrzasnął wieko skrzyni, oświadczając, że nie chce więcej mówić o tej sprawie. Gdyśmy się targowali, Antti rozglądał się po dalekich wzgórzach na horyzoncie i patrzył na Dunaj, który, żółtozielony, wystąpił z brzegów, obejmując rwącą pętlą małe miasteczko i wszystkie drogi dojazdowe.

— Widzę jakichś jeźdźców na drodze — odezwał się nagle. — Mają kopie i lśniące pancerze i zbliżają się w pełnym galopie. W moich głupich oczach wygląda to raczej na jazdę cesarską

niż na podjazdy chłopskie, bo chłopskie konie mają szpata i chodzą nieokiełzane, podczas gdy te rumaki są wielkie, lśniące i wykarmione i nie mają żadnych wad w nogach, o ile mogę to stąd zobaczyć.

Choraży odwrócił się, wysmarkał się w palce i powiedział:

— To chyba nie nasi jeźdźcy, bo kto byłby taki głupi, żeby się rozbijać po pustych drogach bez żadnego pożytku, kiedy już splądrowaliśmy całą okolicę i spaliliśmy wszystkie zamki? Ale jest nas wielu i nie poznaję nawet własnych ludzi, ci zaś jeźdźcy przybywają widocznie zza Dunaju, żeby się do nas przyłączyć.

Patrzyliśmy w głąb doliny i widzieliśmy, jak jeźdźcy w pełnym galopie uderzyli na kilku chłopów, wiozących fury ze zbożem, i przebili ich kopiami, a ciała zabitych stratowali kopytami wierzchowców. Krzyki zabijanych dolatywały do nas słabym echem, konie w zaprzęgach zaczęły ponosić i zjechawszy z bitej drogi wywróciły wozy. Wszystko to wyglądało w ciepłych promieniach słońca jak jakaś zjawa i wprost trudno nam było uwierzyć własnym oczom.

Tymczasem Antti pokazał nam drugą grupę jeźdźców nieco dalej, zbliżającą się do miasta z innej strony.

— Mam trochę wojennego doświadczenia — powiedział — i zdaje mi się, że już najwyższy czas uderzyć na alarm, bo jeśli bardzo się nie mylę, to strażę przednie pana von Truchsess wysłały podjazdy, żeby zbadać teren. A on sam z pewnością też nadciąga, skoro jazda ośmiela się wdawać w potyczki tuż przed naszymi stanowiskami.

Chłopiek śmiał się z Anttiego, że widzi duchy w biały dzień. Ale w tej samej chwili w mieście zaczęto bić w dzwony na alarm i z bram wysypali się chłopci, jak roje pszczół, i wszyscy biegli na wzgórze, potykając się o własne oszczepy. Obie grupy jeźdźców stanęły, żeby rozejrzeć się po przedpolu. A potem nagle zawróciły i odjechały ostrym galopem.

Także i na naszym wzgórzu uderzono w bębny na alarm i chłopci wyłazili z kurników i piwnic przecierając zaspane oczy. A choraży pobladł ze strachu, ale próbował dodać sobie otuchy mówiąc:

— Jeśli ci jeźdźcy rzeczywiście należeli do książęcej jazdy, to by-\* ło ich nie tak znów wielu i z pomocą boską pobijemy ich w otwartym boju. Zresztą zawrócili i uciekli zobaczywszy naszą wielką przewagę.

W tej chwili w obu dolinach pojawili się pikinierzy. Nadciągali ku nam sprawną kolumną z jazdą na flankach. Gdy chłopski choraży to zobaczył, przeżegnał się krzyżem i powiedział do mnie:

— Mówiliście, panie, sześćdziesiąt guldenów? Dołóżcie jeszcze dziesięć i skrzynia jest wasza z wszystkim, co się w niej mieści.

Pani Genowefa, która nic sobie nie robiła z jeźdźców i falującego w oddali lasu włóczni, zaczęła z radości tańczyć i skakać jak młoda dziewczyna, i złapała mnie za ramię, żeby skłonić do zawarcia umowy. Ale Antti powstrzymał mnie mówiąc:

— Lepiej odłożyć kupno do odpowiedniejszej chwili, bo zdaje mi się, że wpadliśmy w prawdziwe gniazdo os. Jeśli mnie oczy nie mylą, ten pan von Truchsess jest tęgim dowódcą, choć naturalnie nie można go równać z markizem Pescarą. Założę się, o co chcecie, że zamknie nas w tym kolanie Dunaju szybciej, niż pół piasku zdąży się przesypać w klepsydrze. Widzę zaprzęgi wołów, ciągnące działa polowe. Nie mam tu czego szukać, bom tu obcy. Zabierajmy się stąd szybko, aby uratować nasze cenne życie.

.Tymczasem chłopci zaczęli ustawiać wozy tak, aby tworzyły chroniące ich koło, a między nimi wbijać żerdzie i rozpinać liny. Wytoczyli też na pozycje dwa małe działka, a ci którzy mieli muszkiety, zaczęli przygotowywać się do boju. Ucieszyłem się i rzekłem do Anttiego:

— Idź, jeśli pozwala ci na to twoje sumienie. Moje miejsce jest tutaj, między tymi poczciwymi ludźmi, którzy, jak widać, pragną nieustraszenie walczyć o sprawiedliwość boską.

Pani Genowefa też stanowczo odmówiła udania się dokądkolwiek bez skrzyni, mówiąc, że jest to największa okazja w jej życiu i że raczej umrze, niż ją zmarnuje. Aby dodać swoim słowom nacisku, rzuciła się na wieko skrzyni, czepiając się jej kurczowo obu rękoma. Chłopok zerknął jeszcze raz w dolinę, gdzie wielkie czworoboki piki-nierów rozwiązały się i podzieliły na mniejsze jednostki i w nieskazitelnym szyku zaczęły otaczać wzgórze. Po czym nagle oświadczył, że ziemski blichtr nie znaczy dla niego nic i że największym skarbem są słowa boskie. Chętnie więc zadowolił się trzydziestu guldenami za skrzynię, jeśli dostanie pieniądze natychmiast. Nalegania pani Genowefy zaślepiły mnie do reszty i szybko odliczyłem pieniądze na jego wyciągniętą dłoń, nie zdążywszy nawet oddzielić pełnowartościowych monet od oberżniętych. Antti pilił:

— Mikaelu, zaklinam cię na naszą dawną przyjaźń, chodź ze mną. Może jestem głupi i naiwny, a ty o wiele ode mnie mądrzejszy, ale całe moje doświadczenie wojenne mówi mi, że to ostatnia sposobność, żeby pełnym galopem przedostać się przez miasteczko, zdobyć łódź i przeprowić się przez rzekę. Zgadzam się, żebyśmy zabrali z sobą tę skrzynię, ale musimy odjechać stąd natychmiast.

Jednak moja wiara w zwycięstwo dobra i sprawiedliwości uczyniła mnie głuchym na głos rozsądku. Przypuszczalnie uderzyło mi też do głowy, że udało mi się wysadzić petardą bramę w zamczku biskupa. Oprócz tego nie widziałem jeszcze dotąd, aby chłopci ponieśli najmniejszą choćby porażkę. Toteż odparłem drwiąco:

— Uciekaj, Antti! Przeprow się przez Dunaj i szukaj bezpieczeństwa. Dogonię cię, gdy pokonamy wojska książąt. Doprawdy nie przypuszczałem, że taki z ciebie zajac!

Antti rozejrzał się dokoła i rzekł z rezygnacją:

— Już za późno, ta gadanina uniemożliwiła nam ucieczkę, zostaję więc przy tobie, bo nie chcę uciekać sam, skoro odbyłem tę długą drogę aż z Italii, aby cię odnaleźć i ratować od wszelkiego zła, w które wciąż popadasz z powodu twej lekkomyślności.

Nie zdążył powiedzieć więcej, bo kapitanowie, chorążowie i sierżanci, którzy powtykali do czapek pióra kogucie na znak swojej rangi, zaczęli biegać jak bezgłowe kury, bijąc ludzi pięściami i popychając ich na wyznaczone stanowiska, aby odeprzeć atak pikinierów. Na pięć tysięcy chłopów ze trzydziestu było uzbrojonych w muszkiety. Gdy jazda książęca szarżowała na zbocza, ustawiłem się w szeregu muszkietników, wbiłem widelki w ziemię i choć serce tłuło mi się w piersiach jak jesienny liść, wycelowałem, jak umiałem, i oddałem strzał. I zdaje mi się, że w każdym razie zraniłem jakiegoś konia. Gdy jeźdźcy ujrzeli języki ognia wylatujące z luf, zjechali na bok, robiąc miejsce piechocie i starając się oskrzydlić wzgórze.

Natarli teraz pikinierzy, maszerując mocnym, krótkim krokiem w górę zbocza, a gdy działa artylerii książąt zaczęły ostrzeliwać wzgórze, wozy chłopskie zwały się na kupę, a nasze szyki zmieszały się i rozpierzchły. Gdy pierwsze szeregi pikinierów podeszły do naszych linii, Antti kazał mi strzelać w największą gęstwę, sam zaś chwycił swój dwuręczny miecz. Wszystko to jednak nie przydało się już na nic. Gdy bowiem chłopci zobaczyli przed sobą długie dzidy pikinierów, zwątpili nagle; swoją słuszną sprawę i rzucając broń podali tyły wołając, że mury miejskie dadzą im lepszą ochronę niż słaby pierścień wozów.

Widząc tę bezładną ucieczkę, Antti wybuchnął hucznym śmiechem i zawołał do mnie:

— Wierzysz mi już, Mikaelu? Uciekajmy, ile sił w nogach, bo od tego zależy teraz wszystko. Nie potrzebował mi tego powtarzać dwa razy. Rzuciliśmy się biegiem do ucieczki, a Antti torował nam drogę mieczem, choć i ja muszę przyznać, że kolbą muszkietu obaliłem paru biegnących przede mną, aby szybciej móc uciekać samemu. Nasze konie znikły bez śladu, a pani Genowefa płakała i krzyczała, łamała ręce i zaklinała nas, żebyśmy ratowali drogocenną skrzynię. Lecz Antti uderzył ją w twarz wierzchem dłoni i pociągnął za sobą. Wmieszaliśmy się w uciekający tłum i Antti torował nam mieczem drogę w straszliwym ścisku, i sam nie



wiem, jakim cudem udało nam się trzymać razem. Ale pamiętam, że czepiałem się szerokiego skórzanego pasa Anttiego, a on włókł za sobą panią Genowefę, ciągnąc ją to za włosy, to za ramię. I choć ponad dwa tysiące chłopów padło na zboczu wzgórza w czasie krótszym, niż potrzeba na odmówienie jednej zdrowaśki, zdołaliśmy dobiec do miasta.

Antti nie pozwolił nam się tu nawet zatrzymać i popędzał nas, byśmy czym prędzej przedostali się na drugą stronę, i dopiero gdy dotarliśmy do brzegu rzeki, stanął, aby złapać oddech. Rozejrzał się dokoła, przypatrzył dokładnie zielonej rzece, która toczyła wezbrane fale, pieniące się w miejscach, gdzie tworzyły się potężne wiry. Chłopi, którzy wraz z nami zdołali się przedostać aż tutaj, w panice rzucili się na łeb, na szyję do wody, ale zaraz nurt porwał ich z nieprzewyciężoną siłą i zniósł bezkutecznie opierających się w dół rzeki.

W czasie gdy Antti łapał oddech, zrobiło się koło nas trochę luźniej i zobaczyliśmy kilku chłopów, którzy nie opodal wlekli do rzeki przewróconą do góry dnem łódkę. Antti zawołał na nich, ale im się ani śniło czekać, i gdy tylko udało im się spuścić łódkę na wodę, rzucili się hurmem, tak że łódka ugrzęzła w przybrzeżnym szlamie i nie mogła ruszyć z miejsca. Dzięki temu Antti zdołał złapać za rufę łodzi i wywlec ją ze straszliwą siłą z powrotem na ląd. Przemówił przyjaźnie do chłopów, wzywając ich, żeby nam odstąpili łódkę, której potrzebuje dla załatwienia niecierpiących zwłoki spraw, a nawet ofiarowując się odkupić ją od nich. Ale oni nawet mu nie odpowiedzieli na jego grzeczne słowa, a jeden z nich dobył podstępnie noża i zranił Anttiego w dłoń, zaciśniętą wciąż jeszcze na rufie łodzi.

19 — Mikael, t. I Choć krew lała mu się po palcach, Antti nie stracił panowania nad sobą i oświadczył, że zrobił godziwą propozycję, ale jeśli wolą kłótnię i walkę, on gotów jest także i do tego. Następnie płazem miecza zwałił tego, który go zranił, poprosił mnie, abym przez chwilę potrzymał mu miecz, a sam wszedł do wody i gołymi rękami opróżnił łódkę z ludzkiego balastu, wyrzucając z niej wszystkich, z wyjątkiem drobnego człeczyny, który leżał na samym dnie i błagał, żebyśmy mu pozwolili zabrać się przez Dunaj.

W łodzi było dość miejsca na cztery osoby, toteż Antti kazał nam wsiąść do niej bez chwili zwłoki, bo strumień uciekających wylewał się z bram miasta i słychać było tętent zbliżających się jeźdźców nieprzyjacielskich. Ale pani Genowefa uparła się, że za nic w świecie nie powierzy swego cennego życia przeciekającej łódce, i Antti znowu musiał wciągnąć ją za włosy. Przycupnąłem na dnie łodzi z muszkietem w dłoni, a drobny człowieczek widocznie bystro połapał się w sytuacji, bo natychmiast chwycił za wiosła i odbiliśmy od brzegu.

Wszystko to słało się w ostatniej chwili. Antti zmuszony był wymachiwać mieczem i obalić wielu chłopów, którzy w strachu przed nieuniknioną śmiercią próbowali wdrapywać się do łodzi, brnąc za nami w głęboką wodę i czepiając się burty. I łódź z pewnością by się wywróciła, gdyby Antti nie odcinał mieczem palców i rąk szukających ratunku. Po chwili porwał nas wartki prąd i mały człowieczek zaczął dzielnie wiosłować ku drugiemu brzegowi, Antti zaś pomagał mu wiosłem sterowym, tak że wiry nie mogły sprowadzić nas z kursu, choć parokrotnie łódź okręcała się z szaloną szybkością jak wiórek w rwącej kipieli, a nam serce stawało w gardle ze strachu. Nędzna łódeczka kołysała się jak łupinka na wzburzonych falach i przeciekała tak mocno, że ratunek wisiał na włosku, i gdy wreszcie dotarliśmy na drugi brzeg, byliśmy przemoczeni do nitki. Gdy znowu poczułem stały grunt pod stopami, ogarnęła mnie wściekła żądza zemsty i postanowiłem przypomnieć książęcym pikinierom, że i oni są śmiertelnikami. Udało mi się uchronić proch od przemoczenia, toteż mimo protestów Anttiego, który nawoływał do dalszej pośpiesznej ucieczki, zatrzymaliśmy się wraz z grupą innych uratowanych, aby zobaczyć, co się dzieje na tamtym brzegu.

Pikinierzy i jeźdźcy otoczyli wielotysięczną masę chłopską i cięli ją jak gęsty łąn. Nieco dalej od brzegu siedział na czarnym koniu dowódca w błyszczącym pancerzu. Sądząc po pióropuszu i po sztandarze powiewającym nad jego głową, był to Jlrgeii von Truchsess. Podniósł przyłbicę i widać było jego kędzierzawą brodę i szczupłą, smagłą twarz, z lubością

przyglądał się rzezi, którą według wszelkich prawideł sztuki urządzali jego żołdacy. Ale panowie ze świty przekonywali go, aby zakończył to bezcelowe mordowanie, bo chłopci nie rodzą się przecież na kamieniu, i zawsze ich potrzeba do orki i siewu.

W końcu pan von Truchsess kazał dać w trąby na znak zakończenia rzezi i wezwał oprawców, aby ferować sprawiedliwość według prawa. Wołał tak głośno, że wiatr przyniósł jego głos aż za rzekę, a gdy usłyszałem, że wzywa kata, wbiłem widełki muszkietu w ziemię, wycelowałem i wystrzeliłem. Ale nie trafiłem. Mój wspaniały muszkiet pękł z głuchym trzaskiem, widocznie bowiem do lufy dostała się woda w czasie przeprawy przez rzekę. I tylko niepojęta łaska boska sprawiła, że ani ja, ani nikt ze stojących w pobliżu nie został okaleczony czy zraniony ostrymi odłamkami, choć mnie proch osmalił twarz.

Na widok rzezi mały człowieczek zaczął gorliwie głosić, że wydarzenie to jest najlepszym dowodem, iż szwabscy chłopci wyznawali fałszywą naukę.

Na moje pytanie, kim właściwie jest i dlaczego tak uważa, odparł, że jest najskromniejszym z małuczkich, na imię ma Jakub i jest krawcem z zacnego miasta Miühlhausen w Turynгии. Jako wysłannik swego mistrza i nauczyciela do sąsiednich miejscowości miał wzywać do wspólnego powstania przeciw panom i książętom, ale w Leipheim chłopci nie chcieli go słuchać i pluli na jego pełnomocnictwa, za co teraz spotyka ich dobrze zasłużona kara.

Kara ta istotnie już się zaczęła. Kat pana von Truchsess stał gotów do dzieła, a lancknechci wlekli do niego przywódców chłopskich. Głowy toczyły się jak gruszki pod kopyta czarnego rumaka pana von Truchsess, a Jakub krawiec cieszył się wielce tym widokiem mówiąc, że to kara boska za małoduszność i herezje Szwabów.

— Bo Luter wcale nie jest prorokiem bożym, lecz raczej wilkiem w owczej skórze — tłumaczył. — Prawdziwym rzecznikiem Boga jest mój mistrz i nauczyciel, który podobnie jak święty Jan Chrzyciel przybył z pustyni, aby głosić słowo boże i zapowiadać tysiącletnią Rzeszę. Nie mam tu już nic więcej do roboty i zamierzam wrócić do mego mistrza, bo ci niedobrzy pikinierzy rozglądają się za tratwą, jak gdyby chcieli przepawić się przez rzekę i dobrać do naszej skóry.

Miał słusność. Toteż spieszenie poszliśmy stamtąd, a krawiec pokazywał nam drogę, i z każdym krokiem oddalaliśmy się coraz bardziej od Baltringen, gdzie zostawiłem mego pieska pod opieką wdowy po przekupniu korzeni, sądząc, że niedługo powrócę. Teraz zaś Dunaj i wojska pana von Truchsess zamykały nam drogę do Baltringen. Ogarnęły mnie złe przeczucia, co stanie się z Ulrykiem Schmidem, pozbawionym moich dobrych rad. I rzeczywiście, stracił głowę w tydzień później, a całe jego wojsko w sile dziesięciu tysięcy ludzi poszło w rozsypkę bez boju i chłopci wrócili do swoich zagród, z których zostały tylko wypalone kominy po wizycie pana von Truchsess. Ale o tym wszystkim dowiedziałem się dopiero o wiele później.

Szliśmy więc za przewodem małego krawca przez pola i gliniaste bezdroża, żeby uniknąć spotkania z ludźmi. Pani Genowefa bez przerwy gorzko płakała i wymyślała nam od niedołęgów, bośmy nie uratowali jej skrzyni, skutkiem czego była biedniejsza niż przedtem, bo straciła nawet buciki, które ugrzęzły w glinie. Wypytywałem krawca o jego mistrza, a on z zapałem oświadczył, że jest nim Tomasz Muntzer, który obecnie tworzy gminę wybrańców, w mieście Miühlhausen, założywszy poprzednio podobne gminy w wielu innych miastach, mimo że ciężko go prześladowano z powodu jego wiary. Muntzer nie ma jeszcze skończonych trzydziestu pięciu lat — mówił mały krawczyk — ale zdążył już odbyć nauki na wielu dostojnych uniwersytetach i mówi po grecku i hebrajsku oraz zna Biblię na pamięć i w młodości uważany był za jednego z najbardziej uczonych ludzi w Niemczech. Ale Bóg nie dawał mu spokoju. Muntzer nigdy nie mógł zostać długo na jednym miejscu, wciąż wędrował jako nauczyciel i kaznodzieja, zrezygnował więc z wszystkich stopni naukowych i tytułów i głosi słowo boże.

Dopiero pod wieczór Antti uznał, że jesteśmy w bezpiecznej odległości od Leipheim. W głębokim lesie rzuciliśmy się wyczerpani na ziemię, dzieląc po chrześcijańsku kęs chleba, który Antti znalazł w tobołku, oraz kawałek sera, który krawiec wygrzebał z swej żebraczej sakwy. W ten sposób posililiśmy się nieco i udało nam się nawet rozpalić ognisko, aby wysuszyć odzież, choć krawiec Jakub zgorszył się wielce, gdy pani Genowefa obnażyła dolną część ciała, susząc spódnicę przy ogniu. Jakub nie zgodził się też leć na spoczynek nocny obok pani Genowefy, tak że znowu musiała spać między mną a Anttim i grzała nas przez całą noc jak gorący piec.

Nazajutrz rano musieliśmy postanowić, dokąd się udamy, bo niełatwo jest wędrować bez celu. Antti był z początku za powrotem do Francji, ale gdy po wyjściu na gościniec zobaczyliśmy na zachodzie słupy gęstego dymu, zmienił zdanie i orzekł, że mądrzej będzie iść za krawcem Jakubem.

Wędrowaliśmy więc jak synowie Izraela na pustyni prowadzeni za dnia gęstymi słupami dymu, a w nocy łunami płonących zamków i dworów. Niebawem mogliśmy znów najeść się do syta i znaleźliśmy też piękne suknie dla pani Genowefy. Nie wyglądała już jak obszarpa-na i obdarta dziewczka obozowa, gdy po dwóch tygodniach wędrówki bez większych przygód dotarliśmy do Miihlhausen.

Miihlhausen było to miasto duże, jedno z największych w Rzeszy Niemieckiej, gdyż liczyło siedem tysięcy mieszkańców. Otoczona murami jego część nie mogła pomieścić wszystkich i biedacy mieszkali na pięciu rozległych przedmieściach za murami.

Na ulicach widać było mnóstwo przechodniów, a na każdym rogu stały grupki żywo rozprawiających ludzi. Za pomocą pieniędzy i gładkich słów udało nam się zdobyć dach nad głową i posiłek, a gdy już się zakwaterowaliśmy, krawiec Jakub, któremu wielce spieszyło się do domu i żony, poradził nam pójść do kościoła wysłuchać nabożeństwa, obiecując, że nas zapozna z Tomaszem Muntzerem i jego naczelnym dowódcą, Henrykiem Pfeifferem.

Ale ani Antti, ani pani Genowefa, zmęczeni podróżą, nie mieli ochoty iść ze mną do kościoła zobaczyć obu kaznodziejów, więc poszedłem sam i ledwie zdążyłem na początek nabożeństwa.

W kościele panował ogromny tłok. Pełno było tam mieszczan, czeladników, mieszkańców przedmieść i przybyłych z daleka chłopów, spragnionych słowa bożego.

Nad ołtarzem wisiała rozpostarta olbrzymia chorągiew, na którą z pewnością zużyto trzydzieści łokci grubego białego atłasu. Jako znak związku wyhaftowana na niej była tęcza, a pod spodem po łacinie: „Słowo pańskie trwa na wieki”. Po chwili zjawił się Tomasz Muntzer. Na pierwszy rzut oka zrobił na mnie niezbyt wielkie wrażenie. Był prawie o głowę niższy ode mnie, nos miał jak kartofel, miękkie usta, brodę cofniętą, a policzki brunatnożółte jak ktoś chory na żółtaczkę albo cudzoziemiec. Twarz jego dziwnie przypominała świński ryj, zwłaszcza gdy w czasie kazania wysuwał ku przodowi wątlą brodę.

Gdy jednak zabrał głos, zapomniałem o jego wyglądzie, przykuty oczyma, w których płonął jakiś przedziwny żar. Nigdy nie słyszałem tak potężnego i przekonującego kazania jak to, które wygłosił Tomasz Muntzer. Cała jego istota promieniowała tak niezachwianą wiarą, że można było rzeczywiście uwierzyć, iż przemawia przez niego Duch Święty. Widząc i słuchając Tomasza Miintzera, trzeba mu było wierzyć, ale nie potrafię wytłumaczyć, na czym polegała ta jego cudowna i niewiarygodna moc nad ludźmi. Mówił przez trzy godziny i nawet gdy podnosił głos do krzyku, każde słowo słyhać było jasno i wyraźnie, najcichszy zaś jego szept dochodził do najodleglejszego kąta kościelnej nawy.

Głosił, że Bóg objawił mu swęją wolę w czterech tezach. Przede wszystkim każdy ma prawo swobodnie i bez ograniczeń głosić słowo boże, tylko bezbożne języki miały zostać uciszone. Po drugie: drzewa w lesie, ryby w wodzie, ptaki w powietrzu, dzika zwierzyna i wszystkie łąki, i pastwiska są wolne i wspólne dla wszystkich. Po trzecie, książęta, grafowie i szlachta muszą zburzyć swoje zamki i pałace, zrezygnować z wysokich tytułów i oddawać cześć Bogu

jedynemu. Po czwarte — i to było dla mnie coś nowego — książęta i rycerze mieli w zamian za to otrzymać prawo korzystania z wszelkich dóbr ziemskich, należących do świętego Kościoła, klasztorów i dygnitarzy duchownych, oraz bezpłatnie odzyskać te domeny, które z braku pieniędzy zmuszeni byli zastawić.

Gdy zebrani usłyszeli czwartą tezę, w kościele rozległ się pomruk zdziwienia, ale Miintzer uderzył obu pięściami w kazalnicę i wspiąwszy się na palce, zawołał, że Bóg w swej dobroci pragnie, by książęta dobrowolnie podporządkowali się Jego mocy, aby przez to umknąć zła i rozlew krwi. Dodał też zaraz, że ci, którzy staną pod tęczową chorągwią i zgłoszą się do jego związku, muszą się wyrzec wszelkiej własności i słuchać woli bożej, jak ją w każdym wypadku Bóg wyrazi przez usta Tomasza Miintzera.

Na te słowa zaczęto ciężko wdychać i wielu ze łzami w oczach mówiło, że dyktuje trudne warunki i że Luter uszczęśliwia ludzi mniej bolesnymi środkami. Ale zwolennicy Miintzera uciszali wątpiących i małodusznych, a on sam podniósł głos i krzyczał, że nadszedł czas radości i wesela, bo Bóg chce oddać bezbożników w moc wiernych i rozdzielić między sprawiedliwych bogactwa, które powstały z potu i krwi ludzi biednych. Toteż gdy ocierając pot z czoła zszedł z kazalnicy, zebrani długo nie przestawali wznosić okrzyków na jego cześć, mimo że parokrotnie podnosił dłoń, aby uciszyć zgietk i dopuścić do głosu Pfeifferra. I widziałem, że tamtemu wszystko to nie bardzo się podobało. Z ręką na głowni miecza i chmurnie zaciśniętymi wargami czekał na umilknięcie nieustającego zgietku. Ożywił się i rozjaśnił dopiero wstąpiwszy na kazalnicę, gdy ludzie przyjęli go życzliwymi zawołaniami i śmiechem zadowolenia. Był ulubieńcem tłumu, rubasznym mówcą, który zabawiał zgromadzonych grubymi dowcipami i przemawiał w zupełnie innym duchu, a jego twarz wesołego piewosza promieniowała zadowoleniem. Nie będę powtarzał, co mówił, bo większość z tego nie miała żadnego znaczenia. Powiem tylko, że atakował książąt i Kościół, nie cofając się przed najgrubszymi słowami, i podzegał do wyprawy na sąsiednie miasta, gdzie ludzie powstali przeciw radom i plądrują klasztory. Zapewniał też, że siły książąt są rozproszone i obezwładnione strachem, nie stanowią więc żadnego zagrożenia. W ra zie potrzeby — mówił — on sam podejmuje się rozwalić mury zamków za pomocą zwykłego miękkiego chłopskiego sera.

Ta dobroduszną pewnością siebie zrobiła wielkie wrażenie na ludziach, mnie jednak przepełniła raczej złymi przeczuciami. Zauważyłem też, że przemówienie wcale nie ucieszyło Miintzera. Z kolei on zacisnął wargi i kilkakrotnie zrobił ruch, jakby własnoręcznie chciał ściągnąć Pfeifferra z kazalnicy. A gdy Pfeiffer skończył i ludzie zaczęli się wysypywać z kościoła, Miintzer złapał Pfeifferra za kołnierz i powłókł do zakrystii. I gdy w chwilę później krawiec Jakub zaprowadził mnie tam, aby przedstawić swemu mistrzowi, zastałem ich pogrążonych w gwałtownej kłótni. Miintzer łątał Pfeifferra za namawianie chłopów do niebezpiecznych awantur i wymyślał mu, nazywając diablím pomiotem, ten zaś odgryzał się, zarzucając Miintzerowi słabość i tchórzostwo i odgrażając się, że każe go wypędzić z Miuhlhausen, jak to już raz poprzednio miało miejsce, po czym wyszedł długimi krokami z zakrystii, zatraskując za sobą drzwi z taką siłą, aż echo poszło pod sklepieniem, a Miintzer zatrzęsł się ze strachu.

Gdy się trochę opamiętał, wybuchnął płaczem i rzekł, że dzień, w którym wreszcie zobaczy tego dzwoniącego szabelką Henryka Pfeifferra dyndającego na szubienicy, będzie dla niego dniem największej radości. Mały krawiec objął go za szyję i pocieszał czułymi i pełnymi otuchy słowami, a i ja próbowałem go pocieszyć wedle moich sił. Złożyłem mu też sprawozdanie o Ulryku Schmidzie i Jiirgenie Knopfie oraz wysunąłem przypuszczenie, że pan von Truchsess łatwo skruszy chłopów szwabskich, nie ponosząc dużych strat, i zniszczy jedną kupę po drugiej, tak jak to uczynił pod Leipheim, gdzie pokonał pięć tysięcy chłopów, tracąc sam tylko kilka koni, zranionych z muszkietów, i paru knechtów, którzy połamali nogi przy przełazeniu przez szczątki chłopskich fur. I skończyło się na tym, że Miintzer poprosił

mnie, abym stanął pod jego sztandarem, mówiąc, że przynajmniej będzie miał przy sobie kogoś mądrego i zrównoważonego, u kogo będzie mógł zasięgać rady.

Dopiero po zapadnięciu zmroku wracałem do gospody w bardzo ponurym nastroju. Kazanie Miintzera zrobiło wprawdzie na mnie wrażenie, ale już w zakrystii zobaczyłem, że był człowiekiem słabym i bezradnym, tak jak wielu innych, toteż nie mogłem żywić większej wiary w jego posłannictwo, choć sam był ślepo przeświadczony, że Bóg przemawia przez jego usta.

Wdychałem chłodne nocne powietrze i wznosiłem oczy ku niebu, wypatrując białych gwiazd wiosennych. Pograżyłem się w medytacji nad moim losem i zobaczyłem siebie jak samotną iskierkę niesioną pośród nocy potężnym tchnieniem Pana nad wrzącym kotłem niemieckich krajów do jakiegoś niepojętego i nieodgadniętego celu.

Jeszcze ciężiej niż w ciągu wielu ostatnich miesięcy odczułem moją żalobę i samotność i przypomniała mi się naiwna przysięga, którą złożyłem Barbarze, gdy jej gorąca krew polała mi się na ręce. Oczyma ducha widziałem święty Kościół wznoszący się przede mną majestatycznie aż do gwiazd. Przez piętnaście wieków wznosił się on tak niewzruszenie z morza ludzkich grzechów, oczyszczany krwią męczenników i kąpiąc się w glorii świętych, a jego święte sakramenty dawały biednym ludziom jedyną drogę do zbawienia. Kimżeż byłem ja, marny robak, abym miał naruszyć najmniejszy choćby kamień w tej świętej budowie, nawet gdybym tysiącrotnie przyłączył się do głosicieli nowej nauki i chciał przemienić ziemię w królestwo boże, jak to było napisane w Piśmie świętym?

Opuuszczony przez Boga i słaby w wierze, stałem pod wiosennym niebem, pełnym gwiazd, i serce moje chore było od troski, a myśli przeraźliwie nagie i wyraźne. I nie mogłem wprost znieść bezlitosnej świadomości, że jestem przecież tylko marnym człowiekiem. Opuściłem oczy i spiesznie wróciłem do gospody, do ciepła i światła, między życzliwych zwykłych ludzi. Bo miejsce człowieka jest między ludźmi i tylko śmierć potrafi zagłuszyć nieuleczalną tęsknotę serca ludzkiego.

Wszystkie moje niedobre przeczucia niestety sprawdziły się niebawem. Wyprawa, do której parł Pfeiffer, doszła istotnie do skutku • i zrazu siły nasze rosły nieustannie, jak lawina, a Miintzer, którego pewność siebie też wzrastała z każdym dniem powodzenia, witał nowych zwolenników, obciążonych łupem z poprzednich wypraw, i wygłaszał do nich wzniosłe kazania z siodła swego konia, stojąc pod tęczową chorągwią. Ale potem zaczęły gromadzić się chmury, przyszła wieść, że Luter, zazdrosny o sławę Miintzera, we własnej osobie przyłączył się do książąt, aby kazać przeciw niemu i zwalczać go wspólnymi siłami. Dufny w swoje siły Miintzer wysłał mnie jako swego posłannika do księcia Jana w Weimarze, który miał zostać kurfirstem po śmierci Fryderyka Mądrego, z propozycją polubownego załatwienia sporów między chłopami a książętami, bez uciekania się do walki. Ale moja wyprawa, w której towarzyszył mi Antti, podczas gdy pani Geno wefa pozostała na ten czas w Miihlhausen, skończyła się niepowodzeniem. Książę Jan był wprawdzie człowiekiem łagodnym i niechętnie uciekał się do gwałtu, ale odesłał mnie do Miintzera ze stanowczym wezwaniem, aby ten złożył broń i wyjechał natychmiast z Niemiec do jakiegoś innego kraju, gdyż inaczej może go spotkać nieszczęście i wciągnie wiele ludzi w otchłań śmierci. W czasie pobytu na książęcym dworze widzieliśmy siłę koalicji książąt, która zbierała się już w Weimarze. Był tam najgorszy wróg chłopów, bezwzględny hercog Jerzy Saski, którego kraje odniosły najwięcej szkody od łupiestwa Miintzera, był graf Mansfeld, graf heski Filip, hercog Brunświku, każdy z nich wiódł z górą tysiąc jazdy i o wiele więcej piechoty, a jak to stwierdził Antti, nie brakowało im też dział. Jedyną korzyścią, jaką odniosłem z tej wyprawy, był glejt osobistego bezpieczeństwa, wydany mi przez księcia Jana na drogę powrotną, który w niedalekiej przyszłości, po klęsce Miintzera, przyczynił się do uratowania nam życia.

Mimo glejtu z ciężkim sercem wracaliśmy do Miihlhausen. Nie dojechaliśmy jeszcze do wschodniego przedmieścia, gdy zobaczyliśmy jadącego nam naprzeciw Miintzera, który

pokłóciwszy się z Pfeifferem, wyrzucony przez niego z Miühlhausen, udawał się właśnie do położonego w pobliżu słynnego z warzelnii soli miasteczka Frankenhausen. Zebrała się tam sześciotysięczna rzesza chłopów, którzy przyjęli jego cztery artykuły i wzywali go, aby przybył zaprowadzić u nich chrześcijański porządek, wieczne królestwo boże i niemiecką mszę. Miintzer przyjął z wściekłością moje sprawozdanie o żądaniach księcia Jana i o przygotowaniach książąt do walki z nim, i oświadczył, że książęta i szlachta to tylko diabelskie nasienie, a Luter nie jest niczym innym, jak wysłańcem szatana. Mówił też o nowym porządku, który zamierza wprowadzić, o tym, że nie będzie się już wdawać w żadne układy, dopóki książęta nie złożą swoich tytułów i nie zburzą zamków. Stwierdził, że dotychczas był chwiejny, jak to zwykle słaby człowiek, ale Bóg objawił mu wreszcie, że nadszedł czas, i przepelnił go żarem Ducha Świętego. Prawda boża objawiła mu się, gdy tęczowa chorągiew powiała nad jego głową. Cztery tezy, które dotychczas głosił, okazały się niepotrzebne, a wola boska mieści się w trzech krótkich słowach. Opowiadał mi też o sobie, o swojej życiowej wędrówce i o tym, jak stracił wszystko, co posiadał, w dążeniu do pójścia raczej za głosem Boga niż za przykazaniami ludzkimi, aż olśniła go prawda i zaczął ją głosić. — Bo ludzie są głusi i ślepi w swych doczesnych kłopotach i krzątaniu — mówił. — Słuchają nie słysząc, patrzą nie widząc. Toteż człowiek musi się ugiąć pod ciężarem krzyża aż do ziemi, aż nie pozostanie mu nic — ani nadzieja, ani przyszłość, ani czułość, pożądanie, przyjaciele ani nawet rozczarowania, samo tylko poczucie pustki i nagości, tak że staje się jakby wydmuchaną skorupką jajka. E! dopiero wtedy słowo boże trafia do niego i rodzi się na nowo na wargach niegodnego, i może ono wyjść z ust uczonego i nieuka, niemowlęcia czy szaleńca i nawet z ust takiego, kto sam nie rozumie swego posłannictwa.

Gdy go słuchałem i patrzyłem na niego, przejął mnie dreszcz, bo wiedziałem i czułem, że mówi prawdę, i sam przeżyłem wszystko to, o czym mówił. Toteż do dziś uważam, że było w tym mężu coś boskiego, choć twarz miał żółtą i nalaną, i skośne oczy. I mogę to wytłumaczyć tylko tak, że tu na ziemi wszystko jest ułomne i niedoskonałe i że nawet będąc posłannikiem Boga, człowiek z powodu swojej ludzkiej natury zaciemnia, nie rozumie, źle interpretuje i zniekształca wolę boską. Gdy jechałem u boku Miintzera pod tęczową chorągwią do miasta soli, Frankenhausen, ufałem mu ślepo i pałałem żarem jego potężnego posłannictwa.

Niedługo po przybyciu do Frankenhausen, gdzie Miintzer zaraz wygłosił porywające kazanie do swoich nowych zwolenników, do miasta zaczęli napływać liczni uciekinierzy. Płacząc i żałując ręce opowiadali, że nadciągają wojska hercoga Jerzego i grafów mansfeldz-kich. Ale zobaczywszy ogromną masę chłopów, którzy zebrali się wokół miasta Frankenhausen pod przewodnictwem Miintzera i jego dwóch wojskowych doradców, uchodźcy nabierali otuchy i przyznawali, że książęta mają dużo mniejsze siły. Oddziały chłopskie zaczęły się ćwiczyć i przygotowywać do bitwy, a w przerwach między ćwiczeniami Miintzer zagrzewał je słowem do boju.

Tak mijał czas, a my mieszkaliśmy w piekarni, z trudem zdobytej na mieszkanie w przeludnionym mieście. Aż pewnej nocy zostaliśmy zaalarmowani, podjazd księżęcej jazdy wpadł z nienacką do miasta i narobił niemało zamieszania, choć po krótkiej walce został wyparty ze stratami, zostawiając kilku zabitych. Z ich pancerzy i barwy można było stwierdzić, że polegli należeli do wojsk księcia heskiego, okazało się zatem, że książęta zbliżają się z dwóch kierunków, dążąc do okrążenia miasta. Niedługo potem przybył chłopiec, który w czasie wyprawy po żywność wpadł w ręce jeźdźców margrabiego Filipa i hercoga Brun-świku. Opowiadał, że zaprowadzono go przed oblicze margrabiego, który był w świetnym humorze, i kazawszy go tylko wychłostać odesłał do Frankenhausen z poleceniem zawiadomienia chłopów, że obiecuje im przebaczenie, jeśli natychmiast złożą broń, wydadzą sztandary i dowódców, rozejdą się do domów i zobowiążą wynagrodzić wszelkie szkody wyrządzone zamkom i pańskim siedzibom. Chłopiec namawiał do układów, ale sromotnie go

pobito i przepędzony, gdyż chłopci ani słyszeć nie chcieli o układach, pewni, że stawiają czoło książętom i pokonają ich w walce.

Zrzędy im jednak miny, gdy na drugi dzień pod miastem pojawiły się forpoczty wojsk książęcych, a niedługo po ukazaniu się podjazdów konnych na horyzoncie, zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie zamajaczyły powoli maszerujące kolumny. Z oddali nie wyglądały one zbyt groźnie, ale gdy słońce wyrzało zza chmur, groty dzid pikinierów i pancerze jazdy zamigotały jak okruchy srebra, a w przerwach między kolumnami można było rozróżnić powolnie pełznące działa polowe i ciężkie kolubryny ciągnięte przez zaprzęgi liczące od ośmiu do szesnastu koni.

Miintzer zwołał natychmiast radę wojenną, na której postanowiono wysłać do książąt pismo stwierdzające, że chłopci pragną tylko i wyłącznie sprawiedliwość boskiej i że najchętniej chcieliby uniknąć rozlewu krwi.

Ale czterej wysłańcy wrócili po jakimś czasie z bardzo zwarzonymi minami. Przynieśli wiadomość, że hercog Jerzy, prawowity pan tych włości, przyjął ich, zwymyślał za liczne zbrodnie, których chłopci się dopuścili, a następnie obiecał rozważyć ich żądania, jeśli natychmiast złożą broń i rozejdą się do domów. Lecz muszą wpiery wydać Miintzera i jego najbliższych zwolenników, wszystkim innym natomiast zapewnia się słowem książęcym życie i całość członków.

Usłyszawszy to chłopci zaczęli się burzyć, spierać z sobą i skupiać w grupki, dopóki Miintzer donośnym głosem nie kazał im milczeć i nie oświadczył, że byłiby szaleni i ślepi, gdyby uwierzyli w obietnice okrutnego panka. Ale spokój nie trwał długo, bo niebawem okazało się, że tymczasem wojska książąt okrążyły chłopów ustawionych do obrony na wzgórzu pod miastem i odcięły im odwrót do kryjących tyły mas chłopskich głębokich lasów.

Wtedy wybuchł gwałtowny zamęt i wśród chłopów podniósł się wielki krzyk. Wygrażano sobie pięściami i szarpano za włosy, a wszyscy zaczęli wołać, że natychmiast należy podjąć rokowania, aby uzyskać przebaczenie książąt. Nie może być, aby sześć tysięcy ludzi poniosło żalną śmierć z powodu kilku up-artych zaślepieńców. Wielu wołało, że należy wydać Miintzera książętom, jeśli przyrzekną, że dadzą mu możliwość bronięcia swoich artykułów w publicznej dyspacie. I byłoby chyba doszło do bójki i rozlewu krwi w obozie chłopskim, gdyby w tej chwili Miintzer nie dał znaku, że chce mówić. Zrobiła się zadziwiająca cisza i można było słyszeć, jak ciężka atlasowa chorągiew trzepocze na wietrze. A on stojąc na chłopskim wozie, otulony w długi aż do ziemi futrzany płaszcz, który dodawał mu dostojeństwa, przemówił.

Zrazu mówił cicho, ale głos jego niesiony wiatrem słyszany był przez każdego w sześciotysięcznym tłumie.

— Nadszedł czas próby — oświadczył — chwila, gdy Bóg oddzieli bezbożnych i postawi każdego przed ostatecznym wyborem. Toteż niech kto chce idzie, dokąd chce, bo Bóg nie poprze słabych i chwiejnych i nie dopuści ich do grona swoich wybrańców. Ci, którzy zostaną, stoczą męską walką i w blasku zwycięstwa zobaczą powstanie królestwa bożego na ziemi.

— Nie chcę bynajmniej sprzeciwiać się układom i nie pragnę niepotrzebnego rozlewu krwi, jeśli książęta wyślą swoich najuczestniejszych mężów, aby odbyli ze mną dysputę o sprawiedliwości boskiej i królestwie bożym na ziemi i jeśli przyjmą artykuły, których słuszność udowodnię w tej dyspacie. Wiedźcie, że sprawiedliwość boska to jedyna rzecz, której możecie ufać na tym świecie, ale z powodu zatwardziałości panów i szlachty musicie wywalczyć sobie tę sprawiedliwość z bronią w ręku.

Ale czymże jest ta sprawiedliwość boska? — ciągnął dalej Miintzer coraz donośniej. — Obwieściłem ją wam w czterech artykułach, ale czas już uchylić ostateczną zasłonę, abyście mogli zobaczyć sprawiedliwość boską w jej najświetniejszej światłości. Trzy słowa wystarczą! Omnia sunt communia!

Wyciągając ramiona ku niebu, wołał w uniesieniu wielkim głosem:

— Omnia sunt communia! Wszystko jest wspólne! Taka jest wola boża, którą Bóg objawia przez moje usta. Te trzy słowa mieszczą sprawiedliwość boską. Ziemia, pola, pastwiska, lasy, ptaki w powietrzu, dzika zwierzyna i ryby w rzekach, wszystko to jest wspólne i wspólne jest także bydło domowe, budynki, domy, zamki, skrzynie ze zbożem, narzędzia gospodarskie, sierpy, pługi, młoty, tak że każdy z nas posiada wszystko i nie ma nic, i nie ma ani biednych, ani bogatych, ani kupców, księży czy książąt, nikt nie jest wyższy i nikt nie jest niższy i wszyscy mają wszystko, i nikt nie może twierdzić, że ma więcej od swego bliźniego, gdyż wszystko jest wspólne.

Gdy chłopci usłyszeli te słowa, wpatrzeni w Miintzera szeroko rozwartymi oczyma, zamarli, nie ważąc się głębiej odetchnąć. A i mnie słowa te tak zaskoczyły, że zapomniałem języka w gębie, bo istotnie obwieszczał on nimi królestwo boże na ziemi i były one tak potężne, że słaby umysł nie śmiał wprost pojąć jego orędzia.

Opuścił ręce, a sześć tysięcy ludzi, zniewolonych mocą tych słów, padło na kolana na wilgotną ziemię, aby się modlić. On zaś wołał wielkim głosem:

— Boże! mój Boże, któryś mi się objawił, daj nam znak z nieba i zadaj kłam wątpięcym! Błagam Cię na Twoje święte imię, daj nam znak, że mamy wierzyć i nie lękać się gniewu bezbożników!

I jeszcze nie skończył wołać, gdy w tłumie wszczął się niepokój, zaczęto podnosić ręce ku niebu i pokazywać sobie coś w chmurach, i ludzie gwałtownie wciągali oddech ze zdziwienia i strachu.

Bo jeszcze nie przebrzmiała modlitwa Miintzera, gdy na niebie pojawiła się nagle olbrzymia tęcza, rozpostarta między obłokami a ziemią. Święty znak związku chłopskiego zdobiący naszą chorągiew lśnił na ciemnym tle chmur. I nigdy jeszcze nie widziałem tak doskonałej i wspaniałej tęczy, bo rozpinała się od północnego zachodu do południowego wschodu i sięgała aż do zenitu, zostawiając obóz książąt w ponurym cieniu.

W chwilę później padły pierwsze strzały z dział i wojska książąt ruszyły do szturm na wzgórze.

Mimo cudownych znaków bitwa pod Frankenhausen skończyła się straszliwą klęską chłopów. Rozbiwszy w mig obóz chłopski na wzgórzu pod miastem żołdacy książęcy wzięli się do wycinania w pień otoczonych.

Tylko niewielu udało się ujść z okrażenia i przedrzeć do miasta, wśród nich i nam obu, i to znowu Antti wyprowadził nas wraz z grupką tych, co się do nas przyłączyli, torując krwawą drogę swoim dwuręcznym mieczem.

Gdy tylko znaleźliśmy się w murach miasta, chłopci rozpierzchli się na wszystkie strony, aby pochować się po piwnicach i strychach. Zostaliśmy sami z Anttim i szybko podążyliśmy do naszej piekarni, aby szukać schronienia i ratunku z opresji, bo do miasta zaczęły już wdzierać się wojska książąt w pogoni za niedobitkami. Kryjówka nasza okazała się dobra, ukryci w dziedkach przetrwaliśmy rzeź, która rozpoczęła się teraz na ulicach miasta, gdzie rozbewstieni lancknechci nie przestawali aż do nocy wyrzynać chłopów wyciąganych za uszy z kryjówek, rabując i plądrując równocześnie mieszczan — bez różnicy winnych i niewinnych. Dopiero pod osłoną ciemności Antti śmiałym wypadem zdobył dla nas inną odzież, zdzierając dla siebie pancerz z zabitego knechta, dla mnie zaś strój z jakiegoś szlachcica.

Gdy nastał ranek w mieście uspokoiło się i Antti uznał, że możemy już opuścić kryjówkę i pokazać się na ulicy w nowym stroju — okazując glejt, który teraz miał nam uratować życie — aby nikt nie sądził, że się ukrywamy. Otrzeptałem się więc z mąki, którą byliśmy przypróśzeni, i wyszliśmy z piekarni całkiem jawnie. W moich spiczastych bucikach próbowałem dreptać jak młody szlachcic, Antti zaś kroczył za mną z mieczem u boku i dzidą na ramieniu.



Żałosny był ten ranek w małym miasteczku Frankenhausem. Na jakimś podwórku kogut próbował zapać bez przekonania, jakby chcąc powiedzieć, że tam, gdzie jest jeszcze życie, jest i nadzieja. Ale pianie brzmiało ochryple i po chwili raptownie się urwało. Nad mia-tem krążyły całe stada kruków, które swymi czarnymi skrzydłami zasłaniały słońce. Mieszkańcy Frankenhausem, którzy mieli jakieś powody do strachu czy ukrywania się, siedzieli pochowani po piwnicach i strychach, inni natomiast, aby udowodnić swoją niewinność, zgromadzili się na placu, gdzie książęta odbywali przegląd wojsk.

Przyszliśmy w dobrej chwili i nikt nie zwracał na nas uwagi, bo wszyscy gapili się na książąt, którzy wymierzali sprawiedliwość przed kościołem. Przed nimi stał właśnie Miintzer, mały i przygarbiony, z rękami związanymi na plecach. Zdarto z niego wspaniałe futrzane płaszcz, który czynił go tak wysokim poprzedniego dnia, a jego żółta twarz umazana była krwią i brudem. Obok niego prężył się z dumą lancknecht, który wyciągnął go przed chwilą z jakiejś piwnicy, gdzie Muntzer leżąc w łóżku udawał chorego.

Książęta przedstawiali się okazałe, zakuci od stóp do głów w żelazo, z pióropuszcami chwiejącymi się na hełmach, w lśniących, wykładanych złotem pancerzach. Gruby i tłusty książę Jerzy nosił na hełmie żałobę, z czego domyśliłem się, że kurfirst Fryderyk zmarł i książę Jan został obecnie kurfirstem, co nadawało memu glejtowi tym większą wagę. Dwaj grafowie Mansfeld przypominali wyglądem dwa okazałe, lśniące kruki. Ale największym autorytetem wyraźnie cieszył się najmłodszy z nich wszystkich, margrabia Filip heski, który dokonał owego niewiarygodnego marszu nocnego z swoich włości do Frankenhausem, co przypieczętowało klęskę chłopów. Twarz miał szczupłą i kościstą; a bladoniebieskie oczy wpatrywały się zimno i bezlitośnie, zarówno w Miintzera, jak i we własnych sprzymierzeńców. Książęta rywalizowali z sobą w stawianiu Miintzerowi najrozmaitszych pytań, on zaś odpowiadał cicho i pokornie, dopóki graf Ernst z Mansfeldu nie zniecierpliwił się i nie trzasnął go żelazną rękawicą w twarz. Wtedy Muntzer podniósł głowę, splunął krwią i zawołał, że otwarcie i uczciwie chce dowieść prawdy swojej nauki w dyspucie z najbardziej uczonymi ludźmi w Niemczech, a choćby z samym Lutrem. Książęta parsknęli śmiechem i zaczęli się z niego naigrawać, a gdy jeszcze raz powtórzył, że chce publicznej dysputy, graf Jerzy z Mansfeldu położył łagodnie dłoń na jego chudym karku, pogładził go koniuszkami palców i rzekł: — Czy istotnie nie byłoby najlepiej dać temu uparciuchowi okazji do dysputy, której tak pragnie? Proszę was, moi panowie, powierzcie mi go, a zabiorę go bez zwłoki do siebie, do Feldrungen, gdzie będzie mógł bronić swoich tez w obecności bezstronnego świadka przed nieposzlakowanym oprawcą w komorze o kamiennych ścianach z wszystkimi niezbędnymi do rzeczowej dysputy utensyliami, takimi jak na przykład cęgi, szczypcy i rozżarzony węgiel.

Jego żartobliwe słowa wywołały nowy wybuch śmiechu książąt. A Muntzer zaczął z rozpaczą szarpać pęta, padł na kolana i z płaczem prosił, żeby go nie wydawano w ręce jego śmiertelnego wroga, lecz pozwolono na publiczną dysputę. Ale nikt nie stanął w jego obronie, a i ja nie wystąpiłem, aby go bronić, mimo że właśnie ja dobrze wiedziałem, co go czeka. Zamiast tego ukryłem się za plecami Antiego, żeby Muntzer mnie nie zobaczył, gdy graf Mansfeld popchnął go między swoich żołnierzy. Ci zabrali go z sobą, on zaś płacząc i żebrząc o pomoc, rozglądał się dokoła, na próżno usiłując znaleźć kogoś, kto zechciałby przyjść mu z pomocą w tym mieście, w którym jeszcze poprzedniego dnia wierzono, że jest wysłannikiem bożym.

Nie chcę zatrzymywać się dłużej na żałosnych wydarzeniach w Frankenhausem i zadowolę się stwierdzeniem, że gdy tylko trafiła mi się sposobność, podszedłem do margrabiego Filipa, pokazałem mu glejt kurfirsta i wyjaśniłem, że sprawowałem ważną misję, próbując nakłonić chłopów, aby wdali się w układy dla uniknięcia niepotrzebnego rozlewu krwi. I choć mi się to nie udało, to jednak wykonałem ważne zadanie. Prosiłem go też, aby pozwolił mi udać się z sobą do Muhlhausen. Bałem się bowiem, że ktoś z mieszkańców Frankenhausem pozna mnie

i doniesie, że należałem do otoczenia Miintzera. Zrobiłem mądrze zwracając się do margrabię Filipa, mimo iż panem tego kraju był hercog Jerzy. Moje zaufanie pochlebilo margrabiemu, który orzekł, że wykonałem moją misję dobrze, gdyż chłopci istotnie wszczęli układy, co dało wojskom książęcym czas na zjednoczenie się i okrażenie wzgórz oraz odcięcie chłopom drogi odwrotu do lasów.

— Gdyby chłopci rozpierzchli się — powiedział — mielibyśmy teraz sześć tysięcy włóczęgów i rabusiów na drogach niemieckich i nawet wszystkie pieniądze Fuggerów nie wystarczyłyby na opłacenie dostatecznej ilości wojsk, żeby ich wyłapać.

Mówił te słowa siedząc wygodnie na stopniach kościoła i grzejąc się w promieniach słońca, wyraźnie zadowolony, że ma uważnego słuchacza. Toteż ośmieliłem się zapytać, co pieniądze domu Fuggerów mają wspólnego z tą sprawą. Popatrzył na mnie jak na wariata i odrzekł:

— Jak myślisz? Skąd miałem wziąć pieniądze na żołąd dla sześciuset jazdy i tyluż piechurów? Bez pieniędzy bogatego Jakuba źle byłoby z niemieckimi książętami i oberwańcy zostaliby panami w Niemczech. Ale bunt chłopów przynosił szkody handlowi Jakuba, tak że pokrył on koszty naszej wyprawy, uważa bowiem przypuszczalnie, że łatwiej może prowadzić na smyczy książąt, niż dojść do ładu z chłopami i miejską biedotą, jeśli połączą się oni z sobą. Panu von Truchsess nie udało się zwerbować ani jednej kopii, gdyby bogaty Jakub, nie dał mu dwunastu tysięcy guldenów, które w swoim czasie zamierza ściągnąć z arcyksięcia Ferdynanda. To za pieniądze Fuggerów Ferdynand kupił całe Księstwo Wirtemberskie, skąd Jakub przepędził hercoga Ulryka za nie zapłacone długi. Bogaty Jakub zna się na sztuce ściągnięcia swoich należności z wysokimi dodatkami za koszty i ryzyko, mimo że Kościół święty nie zezwala na procenty od pożyczek. I najbardziej właśnie drażni mnie to, że trwonię siły i czas, aby służyć jego interesom, mimo że w moich własnych włościach trwa pełna rebelia i że drogo będę musiał zapłacić za każdy szeląg pożyczony z jego kasy.

Stałem przed nim w pozie pełnej respektu, z oczyma skromnie spuszczone, gładząc miękką bródkę, która urosła mi podczas powstania i której nie zamierzałem zgolić, zadowolony z mego obecnego wyglądu. Ciekawość kazała mi zapomnieć o strachu i położeniu, w jakim się znalazłem, i ośmieliłem się zapytać:

— Mam więc rozumieć, że ci biedacy zostali zmasakrowani tylko dlatego, że tak się podobało grafowi Jakubowi Fuggerowi, wcale zaś nie dlatego, że są heretykami?

— Sprawa wymaga zastanowienia — odparł margrabia — i im więcej nad nią myślę, tym bardziej skłaniam się do tego, by wziąć pod swoją opiekę Lutra i zatrudnić go u siebie jako kapelana. Muszę bo wiem w jakiś sposób zapłacić długi, a w moim margrabstwie jest wiele bogatych klasztorów i dóbr kościelnych, które mógłbym skonfiskować, gdybym opowiedział się za naukę ewangelicką, o ile dobrze rozumiem to, co ojciec Luter głosi.

Do diabła, przecież to wcale nie przystoi księciu i margrabiemu, jakim jestem, abym czuł się najemnikiem wielkiego Fuggera i pokornie biegał dla niego na posyłki. Otrzymałem bowiem żołąd dla moich wojsk tylko pod wyraźnym warunkiem, że pomaszują wprost na Frankenhäusen. Fuggerzy mają tutaj przy szlaku handlowym między Lipskiem i Erfurtem wielką hutę miedzi, do której ściągają rudę ze swoich węgierskich kopalń. Tu właśnie oddzielają srebro od rudy miedzianej, aby móc okradać króla Węgier, gdyż zakazane jest wywozić srebro z Węgier i nie opłaca się skutkiem tego przerabiać rudy tam na miejscu. Huta pod Frankenhäusen daje około dziesięciu tysięcy cetnarów miedzi rocznie, możesz więc łatwo zrozumieć, młodzieńcze, że Jakub był w strachu i kazał swemu faktorowi ponaglać mnie, żebym szedł tu forsownymi marszami, gdy się dowiedział, że sześć tysięcy zbuntowanych chłopów rozłożyło się obozem w pobliżu jego drogocennej huty. A jeśli sądzisz, że Jakub potraci mi to z długów, to się grubo mylisz.

— A więc nawet święte słowo boże musi być wdeptane w błoto i zbezczeszczone z powodu huty miedzi? — wykrzyknąłem.

Po raz pierwszy jego bładniebieskie oczy przyjrzały mi się badawczo i zapytał:

— Powiedz no, chyba nie jesteś w głębi serca uczniem Miintzera? Bo wtedy byłoby z tobą źle.

Pochylił się do przodu, aby zerknąć na mój glejt, który wciąż jeszcze trzymałem w ręku, i odczytał moje imię.

— Mikaelu Pelzfuss z Finlandii — ciągnął — dam ci jedną radę, którą sam sobie wzięłem bardzo do serca. W sprawach wiary człowiek musi wybierać tę, która jest dla niego najbardziej korzystna. Nic nie zyskasz broniąc doktryny Miintzera. Wprost przeciwnie.

Odprawił mnie i poszedłem odszukać Antiego. Spędziliśmy następną noc w naszej piekarni. Uniknąwszy dzięki przychylności margrabiego wszystkich niebezpieczeństw, poczułem się nagle bardzo chory. I nie cieszyła mnie moja nowa odzież ani miękka bródka, lecz zaszyłem się w kącie i trząsałem z zimna, a ponure myśli pozbawiły mnie zupełnie apetytu, tak że Antti zląkł się, że przez pomyłkę napiłem się wody i nabawiłem zarazy.

Ale mnie się zdaje, że w owym okresie serce moje było bardziej chore niż ciało. Antti postąpił bardzo szlachetnie i najął furę, którą zawiózł 28 — Mikael. t. I mnie do Muhlhausen, bo chyba nie zdołałbym na własnych nogach odbyć tej drogi. Niewiele też pamiętam z tamtych dni, wiem jednak, że również kurfirst Jan i jego wojsko połączyli się z księżętami pod Muhlhausen.:

Toteż siły książąt były teraz tak przeważające, że buńczuczny Pfeiffer ani przez chwilę nie marzył o stawieniu im oporu. Pewnej pięknej nocy otrząsnął pył z swoich stóp i uciekł z Muhlhausen na czele kilkuset szubieniczników, schwytano go jednak i przyprowadzono z powrotem w kajdanach.

Dla uniknięcia grabieży i zniszczenia miasto Muhlhausen, już poprzednio ubogie, musiało się zobowiązać do zapłacenia księżętom w ciągu pięciu lat czterdziestu tysięcy guldenów. Mury i wieże miały zostać zburzone, a działa i inna broń palna, przedmioty złote i srebrne, środki żywności, konie i inne zwierzęta pociągowe miały być wydane natychmiast. Dopiero wtedy książęta raczyli łaskawie wkroczyć do miasta.

Zaczął się wymierzanie sprawiedliwości i mieszkańcy miasta gorliwie współzawodniczyli w donoszeniu na siebie nawzajem, aby uniknąć podejrzeń. Toteż w dniu egzekucji aż pięćdziesięciu czterech mieszczan musiało, stosownie do swego stanu, albo włożyć szyję w pętlę stryczka, albo też przykłęknąć przed katowskim pieńkiem i mieczem jako kozły ofiarne. Graf Mansfeld przywiózł do Muhlhausen Miintzera, a raczej to, co z niego zostało po dyspacie z biegłym w swym zawodzie oprawcą. Tomasz Muntzer był teraz kulejącym, złamanym wrakiem ludzkim i nawet głos jego był chropawy i łamał się, gdy Muntzer, zielonożółty na twarzy i z przymkniętymi oczyma, odczytywał swoje wyznanie.

Przyznał on bowiem, że wszystkie jego nauki były fałszywe, i powierzył swoją duszę jednemu zbawienie przynoszącemu Kościołowi. Pobożny książę Jerzy wzruszył się do łez całkowitym nawróceniem Miintzera i wyraził radość, że ten zbłąkany kacierz mógł przed śmiercią z wdzięcznością skorzystać ze świętych sakramentów.

Gdy słuchałem pokornego i płynnego przyznania się Miintzera do winy, skruszona została ona ostatnia nadzieja. Nie mogłem już więcej wierzyć, że spełni się królestwo boże na ziemi, bo gdyby Bóg mówił przez usta Miintzera, byłby go z pewnością podtrzymał w czasie tortur, jakkolwiek nie są do zniesienia dla zwykłego śmiertelnika. A do reszty odarł go w moich oczach z wszelkiej aureoli przeblysł jego gwałtownego charakteru, gdy umierał, bo nim ukląkł przed mieczem kata, spojrział gniewnie na Pfeiffera i plunął mu w twarz, mówiąc, że umrze z radością, bo także i Pfeiffer znalazł się w pułapce i musi skończyć życie na szubienicy, jak na to zasłużył.

Kat ściał głowę Miintzerowi, jako że należał on do stanu duchownego, natomiast Pfeiffera powieszono. Ten samochwał poszedł na śmierć z wielkim tupetem i bez słowa skruchy i jeszcze na stopniach szubienicy zabawiał żołnierzy sprośnymi i bluźnierczymi dowcipami.

Odrzucił z pogardą święte sakramenty, a gdy wychylił ostatni puchar podany mu przez kata, przymrużył oko, zajrzał do pucharka i rzekł:

— Na szatana, przez tą czarodziejską rurkę widzę samo dno piekieł i właśnie mój drogi braciszek Miintzer spadł jak kamień do najgorętszego kotła, tak że biedne diabły narzekają i ocierają oczy z płonącej siarki.

Nie myślę jednak, by widział coś w swoim pucharze, bo zaraz potem skierował go dnem ku niebu i dodał:

— Trzeba skorzystać i równocześnie rzucić okiem na życie przyszłe i zbawienie niebieskie. Ale diabeł wie, co się stało z moimi oczyma, bo nie widzę nic a nic, sama tylko pustka i zdechła mucha na dnie pucharu.

To powiedziawszy odrzucił puchar i sam założył sobie pętlę na szyję, a kat wyrwał mu drabinkę spod nóg i Pfeiffer zatańczył szybko i zabawnie swój ostatni płas. I to jest wszystko, co mam do opowiedzenia o Tomaszu Miintzerze i jego tęczowej chorągwi. A teraz zacznę nową księgę, która mówić będzie o pani Genowefie, piwowarze Eimerze, cesarzu Karolu i wielu innych pożytecznych i pouczających wydarzeniach, jakie jeszcze było mi dane przeżyć.

## CZEŚĆ ÓSMA

### NIEWDZIĘCZNY CESARZ

1

W Muhlhausen odnaleźliśmy panią Genowefę. Piwowar Eimer, w domu którego mieszkała, nie poznał nas w naszych strojach, gdy stanęliśmy na progu jego domu, zaczął kląć i wymyślać i chciał nas wyrzucić za drzwi, biorąc za rabusiów. Ale pani Genowefa w mig rozpoznała Anttiego, a gdy jej bystre oko spoczęło na mojej twarzy i moim nowym stroju, rzuciła mi się z impetem na szyję i zaczęła mnie czule całować. Ta nieoczekiwana czułość wzruszyła mnie, więc chętnie schyliłem głowę na jej białe ramię i gorzko zapłakałem. Pocieszała mnie tkliwie i mówiła, że nigdy nie przypuszczała, iż jestem taki smukły i mogę się tak miło prezentować, gdy tylko jestem przyzwoicie ubrany.

Piwowar Eimer był zrazu niezbyt zadowolony z naszego przybycia i drażniła go czułość okazywana mi przez panią Genowefę. Ale ona miała nad nim wielką władzę, a gdy jeszcze pokazałem mu glejt kurfirsta Jana, mistrz Eimer w lot zrozumiał, że możemy być dla niego użyteczni. Był to rosły i czarnooki mężczyzna o z lekka tylko siwizną przyprószonych włosach i brodzie, mimo że miał już swoje pięćdziesiąt lat. Także brwi miał czarne i krzaczaste, a jego ogorzała twarz pokryta była siatką sinych żyłek. Wcale nie był taki głupi. Toteż przez cały czas naszego pobytu w Miihlhausen gościł nas pod swoim dachem.

Gdy książęta skończyli wymierzać sprawiedliwość i wycisnęli z mieszkańców Miihlhausen tyle złota, ile się dało, odeszli szybko z miasta.

Wtedy piwowar Eimer zapytał, co zamierzamy teraz począć, a ja wywnioskowałem z tego, że chce się nas pozbyć. Odpowiedziałem skromnie, że jestem biednym człowiekiem i zszedłem zupełnie na dziady, tak że nie posiadam nic prócz tego, co na sobie, ale w Baltringen zostawiłem pieska, a w Memmingen skrzynkę, z której miałbym kopyść, gdyby jeszcze się tam znajdowała.

Antti wmieszał się do rozmowy i przypomniał mi obietnicę daną mu w drodze z Weimaru od księcia Jana. Chciał on zawieźć panią Genowefę z powrotem do Francji, jak jej to przyrzekł, a równocześnie zobaczyć syna, który był zresztą tak samo moim jak jego synem, a ja obiecałem mu towarzyszyć.

Piwowar Eimer przyjrzał nam się bacznie spod kruczoczarnych brwi, po czym odchrząknął z zakłopotaniem i spytał, czy pani Genowefa nie ma nic w tej sprawie do powiedzenia.

A gdy ona nie zabrała głosu, piwowar ciągnął, poprosiwszy wpierw, żebyśmy nie byli zdziwieni jego słowami.

— Miałem sposobność dużo rozmawiać z panią Genowefą — oświadczył — I nauczyłem się wielce podziwiać jej szlachetność, zdrowy rozsądek i wykwiłne maniery. Wiecie z pewnością, że należę do najbogatszych mieszczan w Miihlhausen i że mianowano mnie członkiem nowej rady, ale odmówiłem przyjęcia wyboru. Nie jestem bowiem jeszcze całkiem głupi. Dziś rano udało mi się sprzedać browar, co prawda za podłą cenę — z powodu niespokojnych czasów i powszechnego braku pieniędzy. Pani Genowefa dała mi do zrozumienia, że nie jestem jej zupełnie obojętny. Toteż postanowiłem otrząsnąć kurz tego miasta z moich stóp i wyruszyć z wami, dokądkolwiek pójdziecie.

— Na miłość boską! — wykrzyknąłem zaskoczony. — Przecież jesteście żonaci, mistrzu Eimerze, macie rodzinę i dzieci i nie możecie porzucić waszego dobrego zawodu dla malowanych policzków i czernionych brwi pani Genowefy, jeśli nie chcecie, żeby was spotkała kara boska.

— Kara boska już mnie spotkała — odparł spokojnie mistrz Eimer. — Spotkała mnie ona wtedy, gdy ożeniłem się w tym ubogim mieście, gdzie jedno co dobre, to woda, która nadaje się znakomicie do warzenia tęgiego piwa. Ale smaczną wodę, sól i chmiel znaleźć można i w innych krajach, a moim najlepszym kapitałem jest biegłość zawodowa, którą odziedziczyłem po przodkach, bo wystarczy mi tylko posmakować wody, wziąć w palce szczyptę słodu i powąchać chmiel, żeby wiedzieć, jakie będzie piwo. Prócz biegłości w zawodzie mam też trochę brzęczącej monety, nie mówiąc o doświadczeniu życiowym, które może wam się przydać, bo jesteście jeszcze młodzi. To doświadczenie zdobyłem w licznych podróżach do różnych krajów, które stanowiły dla mnie jedyną możliwość uwolnienia się na jakiś czas od wiecznego gderania mojej połowicy. Muszę bowiem uczciwie przyznać, że ożeniłem się z browarem, a nie z kobietą, ale żałowałem tej małżeńskiej transakcji od chwili, gdy wszedłem do małżeńskiego łóżka. A gdy poznałem zły język mojej żony, zdawało mi się, że nie ma dla mnie innej pociechy prócz musowania piwa w kadziach. Na szczęście nie mam dzieci, prócz jej ośmiorga, z pierwszego małżeństwa, z których najstarsze są już dorosłe i złorzeczą mi jeszcze zapalczywiej niż matka, że prowadzę niedobre życie. Toteż nie jest to żaden nagły kaprys, gdy chcą się do was przyłączyć, lecz czynię to po dojrzałej rozwadze, choć przyznaję, że może bym włókł dalej moje taczki, gdyby pani Genowefa swoją przyjaźnią nie dała mi do zrozumienia, że jestem jeszcze wciąż mężczyzną w sile wieku i że życie może mi dać coś więcej niż niedobrą żonę, nieprzyjaznych pasierbów i zazdrosnych sąsiadów w ubogim mieście. Spojrzał na nas spode łba, ponownie odchrząknął i ciągnął:

— Niech się wam jednak nie zdaje, że mam zamiar latać po całym świecie za spódniczkami jakiejś niewiasty, nawet gdyby to była istota tak niezrównana i doświadczona jak pani Genowefa. Ale pozostanie w tym mieście oznacza dla mnie tylko biedę i nędzne życie do końca moich dni, gdyż ciężkie podatki zedrą ze mnie siódmą skórę. Nie da się bowiem wycisnąć czterdziestu tysięcy guldenów grzywny z miasta takiego jak Miihlhausen, nie doprowadzając go do zupełnej nędzy, a że ponadto także szlachta i Kościół chcą odszkodowania w równej wysokości, trzeba być wariatem, żeby mieszkać dalej w Miihlhausen. Sprzedałem więc browar za grosze, pożyczyłem, ile się dało, na hipotekę domu i zastawiłem nawet majątność ziemską mojej żony. Wszystkie te pieniądze dostaję w podarunku, choć moi naiwni wierzyciele jeszcze tego w tej chwili nie rozumieją. Żadna bowiem własność czy nieruchomości w tym mieście nie ma w tej chwili najmniejszej realnej wartości. Załatwiłem więc wszystko, jak najlepiej się dało, ale nie jedźmy w kierunku Hamburga, bo wtedy moglibyśmy spotkać moją żonę, a tego chciałbym uniknąć.

Powinniśmy, raczej czym prędzej udać się do Norymbergi, gdzie mogę przedstawić do wypłaty cały pakiet weksli. Stamtąd zaś uciekajmy na Węgry albo do Konfederacji i nie mam też nic przeciwko Włochom, choć od dziś wolę raczej unikać krajów cesarskich.

Antti przysłuchiwał się jego wywodom bez słowa. A gdy Eimer skończył, spojrzął z wyrzutem na panią Genowefę, wychylił duszkiem cały dzban piwa i rzekł:

— Jeszcze czegoś podobnego w życiu nie słyszałem! Na co pani Genowefa spiesznie wtrąciła:

— Ty zawsze zostaniesz ojcem mego syna, kochany Antti, podobnie jak i Mikael. Ale cóż na to poradzę, że się spodobałam temu zamożnemu mężczyźnie w sile wieku. Nie mogę mu przecież zabronić porzucić rodziny i domu, choć serce mi się kraje na myśl o jego biednej żonie i dzieciach, które zostaną bez ojca.

— Jest to postępek tak bezbożny i haniebny, że wszystkich nas dotknie klątwa boża — oświadczyłem. — Pożałujecie tego kiedyś, mistrzu Eimerze, i będzie to tak krwawy i gorzki żal, że wolelibyście raczej umrzeć, bo nie znacie jeszcze tej lekkomyślnej niewiasty.

Minęły Zielone Świątki i w połowie czerwca dotarliśmy wreszcie cało i w dobrym zdrowiu do bogatej i potężnej Norymbergi, najpiękniejszego miasta, jakie oglądałem w Niemczech. Norymberga była jakby spokojną wyspą na wzburzonym morzu. Nikt nie wiedział tu nic o niepokojach i zamieszkach jak tylko ze słuchów. Według mistrza Eimera w mieście tym skupiały się zbyt wielkie interesy i mieszkało tam zbyt wielu kupców, by mogło dojść do jakichkolwiek rozruchów. Odwiedziwszy wielką filię domu handlowego Fuggerów w celu wymiany swoich weksli na gotówkę, piwowar powiedział do mnie:

— Jeśli spojrzysz na mapę, Mikaelu, zobaczysz, że nie było najmniejszej ruchawki w miastach, gdzie Fugger ma swoje kantory handlowe. Mimo to ci wyzuci z sumienia faktorzy biorą dzisiaj aż do trzydziestu procent opłaty maklerskiej za weksle, co przysparza mi dużych strat.

Niemniej zacierał dłonie i uśmiechał się ukradkiem lepkiemi wargami, domyśliłem się więc, że jest coś podejrzanego w jego transakcjach wekslowych.

Eimer miał w Norymberdze licznych znajomych pośród bogatych mieszczan. Do domu jednego z nich, niejakiego Antona Seldnera, z którym w młodości bawił się wesoło w Wenecji, zabrał z sobą mnie i panią Genowefę. I w czasie wystawnej uczyty, którą nas podjęto, nie ukrywał wcale przed Seldnerem swoich planów przeniesienia się do jakiegoś innego kraju, w celu założenia tam warzelnii piwa.

— Zwróciłeś się do właściwego człowieka — oświadczył Seldner — i z całego serca namawiam cię, jedź na Węgry, bo tam ucieka teraz mnóstwo Niemców zamieszanych w powstanie, którzy przywykli do picia piwa. A co jeszcze ważniejsze, brat mój Marcin zarządza w imieniu korony węgierskiej kopalniami miedzi w Karpatach. I jeśli ci dam list polecający, z pewnością uda wam się razem wykupić monopol na wyszynk piwa dla górników.

! — Brata twego pamiętam doskonale — odparł Eimer — toteż podejrzewam, że korona węgierska zostanie mocno uderzona po kieszeni, jeśli on wziął się do kopalń miedzi. Ale, na miłość boską, jak to możliwe, żeby mógł on zarządzać kopalniami miedzi na Węgrzech? Od trzydziestu lat stanowią one — obok kopalń w Tyrolu — podstawą majątku bogatego Jakuba i Fuggerzy mają monopol miedzi w całym świecie, z wyjątkiem Szwecji i Hiszpanii.

Pan Seldner roześmiał się serdecznie. Klepnął mistrza Eimera po ramieniu i rzekł:

— To taki z ciebie prowincjał, że nie słyszałeś nawet o największym ostatnim wydarzeniu? Wiedz, że monopol Fuggerów został złamany i korona węgierska przejęła kopalnie miedzi. Pod hasłem „Węgry dla Węgrów” doszło tam wszędzie do rozruchów. Ludność splądrowała kantor Fuggerów w Budzie, a szlachta węgierska żąda, aby żaden cudzoziemiec nie miał odtąd prawa wydobywania i przerabiania węgierskich bogactw naturalnych na własny rachunek, lecz tylko jako sługa korony.

— W takim razie świat istotnie stoi na głowie — orzekł mistrz Eimer, szarpiąc w podnieceniu brodę. — Jakżeż Węgrzy dadzą sobie radę sami bez pomocy Niemców i niemieckiego porządku?

— Mówią, że Fugger oszukał węgierską koronę na co najmniej milion węgierskich guldenów. Ale jako kupiec dobrze w tych sprawach poinformowany przez mego brata mogę ci powiedzieć w największym zaufaniu, że oprócz tego miliona przez jeden tylko rok zgarnął on wraz ze swoimi wspólnikami blisko ćwierć całego węgierskiego mienia. I jako uczciwy mieszczanin norymberski muszę stwierdzić, że tego za dużo, nawet gdy chodzi o Fuggera, i to mimo że Węgry są krajem zacofanym. Toteż my, Norymberczycy, chcemy obecnie ofiarować swoje usługi nowemu królowi Ludwikowi i za stosownym wynagrodzeniem przejąć kopalnie miedzi, bo Węgrzy w każdym razie i tak nie potrafią sami ich eksploatować.

Zaciekawiony spytałem, w jaki to sposób jeden jedyny kupiec może wziąć za gardło cały naród i zmusić go do odstąpienia swojej własności. A pan Seldner pospieszył zaraz wyjaśnić, że Fugger obdarł Węgry do skóry dzięki całkiem legalnym i dozwolonym transakcjom.

— Ale Węgrzy są wściekli, bo czują, że ich wystrychnięto na dudków i okpiono. Fuggerzy budzili tam już dawniej duże oburzenie, gdy wydzierżawili kopalnie miedzi na własny rachunek. Ale największe oszustwo popełnili w ubiegłym roku. Gdy niechęć i nienawiść do nich wzrastała, kupili tytuł hrabiowski dla jednego ze swoich wspólników, Thorzy, i w ten sposób uzyskali kontrolę nad węgierską mennicą. Król węgierski jest w sprawach interesów jak dziecko i rozrzuca pieniądze na prawo i lewo jak każdy Węgier. Aby zdobyć więcej pieniędzy, upoważnił on Thorzę do bicia monety zawierającej trzy czwarte części miedzi i jedną czwartą srebra, a nie tak jak dawniej po połowie srebra i miedzi.

Mistrz Eimer zaklął gwałtownie i sypiąc przekleństwami wetknął dłoń do mieszka i rzucił na stół garść srebrnych monet z pięknie wytłoczonym herbem i głową króla Ludwika.

— Mój Boże! — wołał. — Rozumiem teraz, dlaczego faktor Fuggera pytał, czy przyjmę srebro węgierskie, gdyż brakuje mu drobnych w innej monecie. Skąd miałem wiedzieć, że dobra węgierska moneta straciła połowę swej wartości!

— A właśnie! — potaknął Seldner. — Węgrzy przeklinają jeszcze gorzej niż ty, bo nauczyli się sztuki przeklinania od Turków. Otóż pewni kupcy — wolę nie wymieniać nazwisk — w największej tajemnicy zgromadzili w kasach wszystkie stare monety, a stamtąd powędrowały one prosto do mennicy, gdzie je przetopiono, tak że z jednej starej zrobiły się dwie nowe. Korona nie zarobiła na tym ani grosza, ale pewni kupcy mieli sto procent zysku. Ale nie dość na tym. Za te nowe pieniądze skupili oni po starej cenie od szlachty, co się tylko dało, majątki ziemskie i domy, stada koni, bydła, owiec, a także towary wyrabiane na Węgrzech. Kiedy jednak łatwowierni węgierscy panowie chcieli za swoje srebrne pieniądze kupić towary przywiezione z innych krajów, szybko zmiarkowali, że cena ich wzrosła w dwójnasób. Zaczęła się okropna awantura, szable wyszły z pochew i agenci Fuggera omal nie stracili życia.

Długo zastanawiałem się nad tą dziwną historią, w końcu jednak rzekłem:

— Tyle z tego zrozumiałem, że Jakub Fugger nie pozwoli, aby źle traktowano jego agentów i odbierano mu kopalnie. Król węgierski z pewnością pójdzie za karę do kąta, a kraj czekają złe czasy, toteż nie mam najmniejszej ochoty jechać na Węgry, żeby zakładać tam browary.

Na co mistrz Seldner odparł:

— Węgry to kraj bogaty i żyzny, o niezmiernych równinach i pastwiskach, gdzie pasą się wielkie stada koni i takie mnóstwo owiec, iż nikt nie zdoła ich policzyć. Ponadto są tam winnice, a przede wszystkim ważne jest to, że węgierscy panowie nie mają zielonego pojęcia o interesach. Gdy nie są zajęci odpieraniem Turków spędzają czas na picciu wina, słuchaniu muzyki, polowaniu i jeździe konnej. Toteż człowiek doświadczony może się tam szybko wzbogacić. Tylko dla heretyków i luteranów są bezlitośni i grożą spaleniem ich na stosie, bo

wiara ich umocniła się w walkach z niewiernymi i nie cierpią żadnych religijnych dyskusji, gdyż obawiają się, że taka gadanina podburzy pastuchów i chłopków przeciw panom, co jak dobrze wiemy, istotnie często się zdarza.

Mówił jeszcze długo o Węgrzech, pięknie i kusząco, i zapewniał, że potęga Fruggerów jest złamana i że otwierają się korzystne możliwości także i dla innych przedsiębiorczych ludzi, oraz obiecywał dać nam list polecający do swego brata. I dodał jeszcze, że sam chętnie uciekłby na Węgry pomagać bratu, gdyż kopalnie miedzi to zbyt wielki kąsek dla jednego.

Gdy skończył, wezwał muzykantów i kazał im dać w piszczałki i grać na bębenkach na cześć pani Genowefy. A podpisawszy sobie z Eimerem, zaczęli obaj wspominać cudne dni młodości, mówiąc na przemian po niemiecku i po włosku, wspominając dawnych kompanów od kieliszka i zastanawiając się, co się też z nimi stało.

Wreszcie przyszedł dzień, gdy mistrz Eimer oznajmił, że załatwił wszystkie sprawy wekslowe i zamierza co rychlej wyjechać do Wenecji, największego centrum handlowego na świecie. Tam bowiem najłatwiej mógł narodzić się na nowo, zmieniając nazwisko, i stać się nowym człowiekiem, farbując brodę na inny kolor.

— Ufam wam wprawdzie całkowicie i nie wątpię, że bronilibyście mego mienia jak swego własnego — oświadczył — ale mimo to uważam, że byłoby zbyt niebezpiecznie zabierać z sobą gotówkę w tak daleką drogę, i dlatego ulokowałem cały majątek w wekslach domu bankowego Bisani przy moście Rialto w Wenecji. Pani Genowefa przyrzekła mi towarzyszyć do Wenecji i zamierzamy udać się tam pocztą domu Fuggerów, aby podróżować szybko i bezpiecznie. Wcale nie bronię wam jechać z nami, jeśli tego chcecie, ale nie mogę już dłużej pokrywać kosztów waszej podróży, bo i tak nie będę miał z was żadnego pożytku, gdyż poczta chroni mnie i moje weksle.

Słowa jego zmartwiły mnie, gdyż sądziłem, że udamy się razem do szwabii, żeby odnaleźć mego wiernego pieska, Raela, potem zaś przez Konfederację w pełnym bezpieczeństwie pojedziemy dalej do Lyonu i do Tours, aby odwiedzić naszego syna. Antti kupił już nawet dla niego podarunek u zręcznego majsterka w Norymberdze — osiołka, który poruszał nogami. Widziałem też, że decyzja mistrza Eimera wcale nie przypadła do smaku pani Genowefie, która kwaśno się uśmiechnęła i powiedziała, że miała wprawdzie inne zamiary, ale że mistrz Eimer obiecał jej kupić w Wenecji kilka łokci złotego brokatu, srebrne zwierciadło i piękne wyroby ze szkła na pamiątkę podróży.

Nie mieliśmy jednak wyboru, bo brak nam było środków na podróżowanie pocztą, toteż postanowiliśmy z Anttim udać się do Wenecji przez Szwabię i spotkać się tam z nimi późnym latem. Mistrz Eimer kazał nam dopytywać się o siebie u swego kompana Kaspra Rotbarta na Fondaco dei Tedeschi, to jest w niemieckim domu handlowym w Wenecji, zapewniając nas, że z pewnością go tam odnajdziemy.

Przy najbliższej sposobności, gdy znalazłem się sam na sam z panią Genowefą, zganilem ją gorzko za płochość i lekkomyślność, ona jednak broniła się gorąco mówiąc, że zawsze pragnęła zobaczyć Wenecję i że nie może pozwolić, bym wątpił w jej cnotę, po czym przypomniała, że dała mi niezliczone dowody swojej szczerzej, miłości. Wyznała też, że miała nadzieję, iż mistrz Eimer już w Norymberdze wymieni weksle na gotówkę, ale — dodała — i w Wenecji może zdarzyć się niejedno, toteż najlepiej, żebym szybko tam zdążył, aby pomóc jej pozbyć się mistrza Eimera, któremu musi towarzyszyć ze względu na przyszłość swoich dwojga niewinnych dzieciątek.

Nie mogę zaprzeczyć, że pani Genowefa dała mi istotnie niezliczone dowody swojej dobroci, i to do tego stopnia, iż chwilami stawało się to dla mnie aż zbyt wyczerpujące, gdyż mistrz Eimer zaniedbywał ją z powodu interesów. Myśl o moim kochanym piesku oraz o pięknej letniej pogodzie, sprzyjającej wędrowce po gościńcach, uczyniła rozstanie lekkim, choć w mojej głupocie wierzyłem nawet, że pani Genowefa nie może beze mnie żyć.



Zanim jeszcze rozstaliśmy się, Antti wyraził pragnienie, aby za przykładem mistrza Eimera ulokować poważną część swoich oszczędności w wekslach. Pani Genowefa skrzywiła się na te słowa i powiedziała, że pieniądze to pieniądze, a papier to papier, ona zaś niczego bardziej nie cierpi jak papierów, które tylko komplikują najprostsze sprawy. Natomiast mistrz Eimer zapalił się do tego pomysłu i oświadczył, że chętnie wyświadczy Anttiemu przysługę i odstąpi mu część swoich weksli, bo go polubił i uważa za przyjaciela. Widząc ten zapał, Antti ochłodził i zaniechał swego pomysłu. I dopiero gdy mistrz Eimer i pani Genowefa wyruszyli w drogę, udał się do domu bankowego Fuggera, gdzie za część pieniędzy otrzymał dokument, który wystarczyło przedstawić faktorowi Fuggera w Wenecji, by ten wypłacił gotówkę. Ja jednak ostrzegałem, że postąpił nierozważnie, wskazując na ryzyko wstrzymania płatności weksli, w razie gdyby bankowi Fuggerów w związku z sytuacją na Węgrzech zagrażało bankructwo. Niedługo potem wyruszyliśmy i my w naszą wędrowkę do Baltringen, która jednak wcale nie była taka wesoła, jak sądziłem, bo wędrowaliśmy przez kraj zniszczony, spalony, splądrowany i pokryty trupami i szubienicami. Wynędzniałe kobiety i wystraszone dzieci, które spotykaliśmy po drodze, nie chciały z nami rozmawiać, a w ocalałych wioskach trudno było kupić żywność. Spotykani chłopcy przeklinali Lutra, którego jedynym osiągnięciem było, że książęta i prałaci stali się jeszcze bardziej butni, a chłopcy jeszcze głodniejszy niż dotychczas.

Toteż spieszyliśmy się, jak tylko się dało. W Baltringen odnaleźliśmy naszą złą wdowę po przekupniu korzeni, która już dawno nas opłakała jako nieżywych. I nie mam wprost słów, aby opisać radość mego kochanego pieska Raela, gdy mnie rozpoznał. Skakał mi do piersi, lizał dłoń, czekał i biegał w kółko po izbie, rozbijając się o stołki i stoły z ogromnej radości. Sierść mu odrosła i zrobiła się lśniąca i puszysta, i stał się tłuściutki jak prosiaczek. Wdowa wyznała mi, że nie chciała się z nim rozstawać, gdyż bardzo go polubiła.

Trochę mnie to zmartwiło, toteż gdy opuszczaliśmy jej gościnny dom, pozwoliłem psu samemu wybrać, czy woli spokojny kąt przy piecu i pełną miskę, czy też uciążliwą wędrowkę wraz ze mną. Zostawiłem go na progu domu i wdowa próbowała skusić go do izby za pomocą smakowitej kości. Rael jednak szczeptał tylko na pożegnanie, polizał wdowę po rękę, porwał w pysk kość i bez chwili wahania pobiegł w ślad za mną. Antti przyznał, że był to pies mądry i przewidujący, gdyż wiedział, że trzeba wziąć z sobą żywność na drogę.

Tak więc w najlepszej zgodzie dotarliśmy w trójkę do Memmingen, gdzie pierwsze kroki skierowałem do ratusza. Płaskonosy woźny miejski i jego zjedzona francuską chorobą żona mieszkali wciąż jeszcze w naszym dawnym mieszkaniu w podziemiach ratusza, ale wcale nie byli zachwyceni moim widokiem. Myśleli, że odziedziczyli już po mnie pozostawione u nich na przechowaniu rzeczy i nawet ogłosili wszem wobec, że do roku muszą je odebrać. Użalali się głośno na swoją nędzę i ciężkie czasy, ale gdy otworzyłem moją skrzynię, znalazłem wszystko w największym porządku.

Z ciężkim sercem sprzedałem futrzany płaszcz mistrza Fuchsa i inne rzeczy, zatrzymując tylko trochę bielizny, kilka delikatnych koronek oraz srebrny pucharek, aby mieć jak najmniej do dźwigania w dalszej wędrowce. Z uzyskanych pieniędzy zakupiłem mszę żałobną za duszę aistrza Fuchsa — jakkolwiek nie wierzyłem już teraz w takie rze- oraz złożyłem ofiarę na ubogich. Zapłaciłem także strażnikowi miejskiemu za opiekę nad skrzynią. Po zwróceniu długu, jaki miałem wobec Anttiego, zostało mi w trzosie równo sto guldenów, sumka wcale nie mała. Toteż nic dziwnego, że wydawało mi się poniżej mojej godności podróżować pieszo, i wynajmowałem w gospodach konie. Antti szedł koło mnie, trzymając się tępku, a gdy piesek mój zmęczył się bieganiem, brałem go do siebie na siodło. W ten sposób podróż szła nam o wiele szybciej i w kilka dni dotarliśmy do miasta Lindau, gdzie znajdował się cesarski arsenał, stamtąd zaś przeprawiliśmy się łodzią przez wielkie jezioro na teren Konfederacji, do kraju wolnych ludzi, gdzie, jak sądziliśmy, nikt nie mógł nas napastować.

W towarzystwie kilku kupców bez najmniejszego szwanku przedostaliśmy się na drugą stronę Alp, skąd w jeden dzień ze świeżego górskiego powietrza zesliśmy w dół, w lipcową spiekotę Włoch, gdzie było tak gorąco, że oblewał nas kroplisty pot na całym ciele. W małym miasteczku, gdzie przenocowaliśmy, cuchnęło zgnilizną i ludzkimi odchodami, a ciemnoskórzy mieszkańcy zebrali się wokół nas, krzycząc, wrzeszcząc i wymachując rękami, tak że obawiałem się lada chwila jakichś rozruchów. Ale Antti uspokoił mnie mówiąc, że we Włoszech należy do dobrych obyczajów wymachiwać rękami przy mówieniu i krzyczeć, śpiewać i przechwalać się, jak się komu spodoba. Doradzał mi też, żebym nauczył się jak najszybciej po włosku, gdyż jest to język najbardziej rozpowszechniony na świecie i mowa wszystkich dobrych kupców.

Rozstaliśmy się z naszymi towarzyszami, którzy zdążyli do Mediolanu, i starając się nie wpadać nikomu w oko, powędrowaliśmy dalej z terenów cesarskich do potężnej Republiki Weneckiej. Minęła już połowa lutego i upały były ogromne, a na polach żółtko dojrzałe zboże. Często więc kładliśmy się do snu w południe, a podróżowaliśmy rankami i po południu oraz nocą w świetle księżyca, z powodu upałów, do których nie byłem przyzwyczajony, choć Antti ostrzegał mnie, że nie jest to jeszcze najbardziej upalny okres we Włoszech.

Opowiem teraz o najdziwniejszej być może w całym moim życiu przygodzie, którą los nagle i nieoczekiwanie postawił na naszej drodze, skutkiem czego wcale nie dotarliśmy do Wenecji. Ale nim zacznę, muszę raz jeszcze odeprzeć wszystkie podejrzenia, które splamiły moje dobre imię, i podkreślić, że obaj mieliśmy tyle pieniędzy, ile biedny człowiek potrzebuje i pragnie, i że broń, którą nosiliśmy, służyła nam tylko do obrony w niespokojnym świecie, wcale zaś nie po to, aby napadać niewinnych wędrowców w celu zwiększenia naszych zasobów. Coś takiego nie przysłoby nam nigdy do głowy. Wyjaśnienie to jest konieczne, bo odkąd doszedłem do mego obecnego wysokiego stanowiska, niektórzy złośliwi twierdzą, że to właśnie z powodu tego wydarzenia uciekłem z krajów chrześcijańskich. Tymczasem prawda wygląda tak, że opuściłem te kraje dopiero w dwa lata później, i to jedynie w najszlachetniejszych zamiarach. Wszystko opisywałem dotychczas zupełnie szczerze, nie próbując ukrywać moich błędów i słabostek, toteż i w tym wypadku nie widzę żadnego rozsądnego powodu, aby kłamać, i opowiadam otwarcie, jak to było naprawdę.

Z jakichś swoich powodów Antti pragnął ominąć miasto Brescię. Okrężną drogą, a raczej krętą osłą ścieżką dotarliśmy pod wieczór znowu do gościńca. Zapadał już zmierzch, gdy nagle usłyszeliśmy przed sobą trzy strzały, a potem krzyki, wołanie i szczęk broni. Spieniony koń bez jeźdźca przeleciał koło nas rzucając głową, z oczyma wytrzeszczonymi ze strachu, i Rael, przytulił się spieszenie do moich nóg, z ogonem wtulonym między łapy. Powiedziałem do Anttiego, że nie mamy tu czego szukać, namawiając, żebyśmy się skryli w lesie. Ale on próbował schwytać spłoszonego wierzchowca, a gdy to się nie udało, odparł, że ani mu się śni chować w lesie, dopóki na gościńcu roi się od bezpańskich koni. Z bronią gotową do strzału zaczęliśmy więc skradać się wzdłuż drogi — Antti na czele, ja tuż za nim, aby osłaniać mu tyły, a na samym końcu mój piesek, wciąż jeszcze z podwiniętym ogonkiem.

Nagle zobaczyliśmy przed sobą całą bandę zbójów. Dwaj trzymali konie, a pozostali czterej odzierali z odzieży dwóch lekkobrojnnych jeźdźców, których właśnie przed chwilą zamordowali. Antti strzelił do zbójów z arkebuza, a gdy przerażeni poderwali się na równe nogi, rzucił się na nich ze strasznym krzykiem, wymachując swoim wielkim, mieczem. Gdy spostrzegli, że jest nas tylko dwóch, rzucili się, aby nas zabić. Wtedy wołając do Boga o pomoc, przytknąłem fuzję do piersi jednemu z nich i wypaliłem. Padł jak rażony piorunem, a Antti rozwalił łeb drugiemu, rycząc tak straszliwie, że zbóje wskoczyli na zrabowane konie, dwaj inni uczepili się im za plecami i wszyscy uciekli, zabierając łup zdarty z zabitych, tak że nic nie zyskaliśmy na tej małej utarczce, która zresztą sama w sobie nie miała większego znaczenia.

I nie byłoby doprawdy o czym opowiadać, gdyby nie to, że z podniecenia nagle rozboleł mnie brzuch i musiałem schronić się w las. Mój piesek pobiegł za mną, a potem znikł mi z oczu i po chwili usłyszałem warczenie, które przeszło w głośne ujadanie. Myślałem, że znalazł krecią norę, ale gdy nie przychodził na wołanie, poszedłem go szukać. Znalazłem go przy trupie młodego człowieka. Widać było 21 — Mikael, t. I że zabity wczołgał się pod skalny występ i tam wyzionął ducha. Wciąż jeszcze krwawił i ciało było ciepłe, z czego wywnioskowałem, że to on był właścicielem owego trzeciego konia, który spłoszony przeleciał galopem koło nas. Widocznie zraniony strzałem spadł i zawlókł się do lasu, chcąc ukryć się przed rabusiami.

Gdy otworzyłem jego sakiewkę, wydałem okrzyk radości, bo było w niej dwadzieścia weneckich dukatów i sporo sztuk srebra. Kiedy liczyłem te pieniądze, Antti, który na próżno nawoływał mnie z gościńca, przyłączył się do mnie i z zazdrością patrzył na znalezione złoto. Piękne szaty zabitego też mnie kusily, ale uważałem, że najmądrzej będzie ulotnić się z tego miejsca co rychlej. Jednakże Antti przewrócił zwłoki na plecy w nadziei, że znajdzie coś więcej, i wyrwał złotą szpilkę z kołnierza cienkiej koszuli. Ale najbardziej zaskakującym odkryciem było to, że młodzieniec jeszcze po śmierci przyciskał kurczowo do piersi podłużną tubę oprawioną w skórę ze złoceniami.

• — To będzie moja laska konetabla, bo widzę na skórze trzy złote lilie — rzekł Antti, rozginając palce zabitego, zaciśnięte na tubie. — Naturalnie w tym wypadku, gdyby król Francji zechciał mi kiedyś powierzyć dowództwo nad armią.

Schował tubę za pazuchę, jak gdyby to był jego łup, mimo że powinna była należeć do mnie, gdyż to mój piesek znalazł zwłoki. Spiesznie ruszyliśmy w dalszą drogę przez las, w kierunku na południe, nie ustając nawet po zapadnięciu nocy, dopóki księżyc świecił na niebie. Dopiero gdy zaszedł, położyliśmy się na spoczynek, ale nie ważąc się rozpalić ogniska posililiśmy się tylko łykiem wody i kawałkiem chleba. Uważaliśmy, że bogaty łup zasługuje na pewne wyrzeczenia i niewygody, dzięki którym zdołamy uniknąć pościgu. Od razu bowiem zdaliśmy sobie sprawę z tego, że nikt nie uwierzy w nasze zapewnienia i że nieuchronnie zostaniemy powieszani jako rozbójnicy, gdybyśmy wpadli w ręce władz. I to pomimo że zrobiliśmy, co było w naszej mocy, aby uratować ofiary rabusiów, i nawet ryzykowaliśmy własne życie w tym szlachetnym celu.

Zbudziliśmy się rano przy pięknej słonecznej pogodzie i zaczęliśmy badać nasz łup. Sama sakiewka, wyszywana złotą nitką i perłami, warta była parę dukatów, a ja przeliczyłem jeszcze raz pieniądze, dźwięcząc dobrym złotem, aby podrażnić Anttiego. On zaś otworzył futerał z czerwonej skóry i wyjął z niego masywny żelazny cylinder, w którym znajdował się otwór na klucz. Na czerwonej skórze futerału wytłoczone były francuskie lilie i herb króla Francji, i Antti nagle rzekł:

— Wiem, co to jest. To cylinder pocztowy francuskiego dworu, już takie widywałem. Nikt nie ma do nich klucza, prócz strażnika pieczęci i królewskich ambasadorów w różnych krajach.

Słowa jego tak mnie przeraziły, że zaczęły mi się trząść dłonie i sztuki złota potoczyły się na ziemię, tak że musiałem szukać ich pod kamieniami. Gdy je odszukałem, powiedziałem:

— Zakopmy to czym prędzej do ziemi i ruszajmy w te pędy w drogę, bo królewskiej i cesarskiej poczty nie rabuje się bezkarnie, i ci biedni rabusie nie wiedzieli, w jakie gniazdo os wsadzili rękę, napadając królewskiego gońca.

Lecz Antti nie zwracał uwagi na moje słowa, zdecydowany zbadać, co tak niezwykle cennego zawiera tuba. Całą godzinę męczył się, aby ją otworzyć, a dokonawszy tego, zdziwił się ogromnie, bo znalazł tylko zapieczętowane dokumenty, adresowane do francuskiej królowej wdowy, która sprawowała w Lyonie regencję za swego uwięzionego syna. Antti odrzucił dokumenty z przekleństwem. Wtedy ogarnęła mnie niezdrowa ciekawość, aby dowiedzieć się czegoś o wielkiej polityce, i po chwili wahania uległem pokusie, nie przypuszczając, w jak straszliwe powikłania zostanie skutkiem tego wmieszany.

Zabrałem się więc do czytania listów pisanych po francusku i szybko połąpałem się, że najdłuższy pochodził od ambasadora Francji przy kurii papieskiej w Rzymie, hrabiego Alberto Pio, który polecał swemu sekretarzowi Sigismundo di Carpo doprowadzić w Wenecji do końca wymienione w liście pertraktacje, potem zaś dostarczyć list królowej matce. Drugi list pisany był przez wspomnianego Sigismundo di Carpo, który z kolei donosił, że powierzył depesze swemu sekretarzowi Sisson-do Santi. Autor listu zapewniał, że signoria potężnej republiki jest w trakcie wystawiania armii i donosił dalej, że wybiera się do Konfederacji, aby w największej tajemnicy pertraktować tam o werbunek dziesięciu tysięcy Szwajcarów. W tubie było ponadto pismo od weneckiej signorii, napisane po włosku, tak że nie mogłem go przeczytać. Hrabia Alberto Pio pisał, że brakuje mu jeszcze tylko podpisanego przez królową matkę traktatu przymierza. Gdy jego świątobliwość papież Klemens VII otrzyma ten dokument, każe swoim wojskom i armii florenckiej uderzyć na Królestwo Neapolu.

Dopiero po dłuższej chwili pojąłem całą doniosłość tego wszystkiego, gdyż podobnie jak i reszta świata uwierzyłem już na dobre w trwałą pokój. Czytając te pisma, wydawałem raz po raz okrzyki, wzywając Świętą Dziewicę i wszystkich świętych gdyż przyprawiły mnie one 3 zawrót głowy. Szybko zorientowałem się, że mogą mnie kosztować życie, gdybym został schwytany na terytorium Wenecji, Mediolanu, Florencji, stolicy papieskiej czy Francji. Tyczyły się bowiem ni mniej, ni więcej tylko niebezpiecznego spisku przeciw cesarzowi i pokojowi świata. Duszą przymierza był jego świątobliwość papież Klemens VII, a na czele sprzysiężonych stanąć miał według tego, co wyczytałem, markiz Pescara, głównodowodzący armii cesarskiej w Mediolanie.

Widząc moje przerażenie, Antti zaczął wypytywać, co się stało, a ja, choć zrazu zastanawiałem się, czy nie byłoby lepiej, żebym sam jeden tylko znał tę straszliwą wiadomość, wnet zrozumiałem, że ciężar był zbyt wielki dla jednego, i wytłumaczyłem mu wszystko najlepiej, jak umiałem.

— To wcale nie brzmi dobrze — orzekł Antti spokojnie, gdy wreszcie pojął, o co chodzi. — Cesarz rozpuścił wojska, bo i tak nie ma pieniędzy na opłacenie żołdu. Ale w Mediolanie markiz Pescara wciąż jeszcze ma władzę, a Frundsberg w każdej chwili spod ziemi wydobędzie dziesięć tysięcy pikinierów, byleby tylko mógł zapłacić werbunkowe.

— Nie rozumiesz sedna tej sprawy — odparłem. — Z Pescara prowadzono tajne rokowania, bo cesarz potraktował go źle i nie wynagrodził dostatecznie według zasług. Odebrano mu króla Franciszka i przewieziono do Hiszpanii. Markiz jest także wściekły na wicekróla Neapolu, pana de Lannoy, i na księcia Burbonu, którzy obaj siedzą w Hiszpanii, pilnując łupu oraz żebrząc u cesarza o nagrody. Papież zaś obiecał markizowi koronę Neapolu albo Obojga Sycylii, po zdobyciu Neapolu, i posłał mu wielu doktorów teologii i prawa w celu opracowania dysertacji, która nieodparcie wykaże, że markiz z zachowaniem czci i honoru może zdradzić cesarza i przyłączyć się do jego wrogów, mimo że jest głównodowodzącym wojsk cesarskich.

— Do licha! — wykrzyknął Antti, a potem przez długą chwilę nie mógł wyrzec ani słowa. W końcu powiedział:

— Jeśli to wszystko jest prawdą, biedny cesarz siedzi w dziurawej łodzi i bardzo mi go żal, bo księżą Burbonu i pan de Lannoy to tylko łajno w porównaniu z markizem de Pescara. Ale do rzeczy! Rozpalmy ognisko i zniszczymy te dokumenty jak najszybciej, żeby się ich pozbyć i zapomnieć o wszystkim, coś w nich wyczytał. I jedźmy dalej, bo inaczej nie czeka nas nic dobrego.

Ale ambitne i chciwe plany zaległy się już w mojej głowie i oszołomiła mnie myśl, że być może w naszych rękach spoczywają teraz losy świata i przyszłość wielu państw.

— Na miłość boską, Antti! — sprzeciwiłem się. Te cenne papiery warte są dużo pieniędzy i nie będziemy chyba takimi osłami, żeby je spalić. Nie, zastanówmy się lepiej, komu je sprzedać, aby uzyskać najlepszą zapłatę.

— Na uczcie lwów nie ma miejsca dla szczurów — odparł Antti. — Tacy biedacy jak my nie mają wiele do powiedzenia w tak wielkiej grze i czeka nas tylko gwałtowna śmierć, jeśli spróbujemy sprzedać te dokumenty. Po złamanych pieczęciach widać od razu, że znamy treść listów, i jeśli zawieziemy je z powrotem do weneckiej signorii, nie tylko nie dostaniemy nic, ale z pewnością wrzucą nas do więzienia, gdyż znamy zbyt wiele tajemnic. Papież spali nas na stosie, markiz de Pescara poćwiartuje żywcem, a francuska królowa matka każe prawdopodobnie powiesić za zrabowanie jej drogocennej poczty.

— Ależ Antti! — rzekłem z wyrzutem — chodzi tu o tak wielkie rzeczy, że nie wypada nam tylko truchleć o własną skórę. Powinniśmy myśleć o niewinnych ludziach, na których znowu spadną okropności wojny. Pokój całego świata jest zagrożony i tylko cesarz odpowiednimi zarządzeniami może odwrócić groźbę wojny, jeśli dowie się o wszystkim w czas. Toteż musimy jak najrychlej dostarczyć mu te dokumenty, a jeśli zechce dać nam stosowne wynagrodzenie za naszą wierność, co byłoby bardziej niż słuszne i właściwe, wówczas naturalnie przyjmiemy to jako dar boży.

Antti podrapał się w głowę, pomyślał przez chwilę, a potem rzekł:

— Obawiam się, że cesarz jest takim nędzarzem, iż niewiele na tym zyskamy pomagając mu. Bardzo się boję, że robimy fałszywy krok i że wylądujemy prosto w piekle, starając się podeprzeć jego chwiejny tron, jeśli markiz Pescara kiedyś go zdradzi, bo on wie, co robi. Toteż powinniśmy spalić te listy i jechać w dalszą drogę, jak gdyby nigdy nic się nie zdarzyło.

Ale ja byłem uparty i obstawałem przy swoim, mówiąc:

— Ten szlachetny, młody cesarz wybrany jest przez Boga, aby po wszystkich zawieruchach wprowadzić na świecie lepszy porządek, w którym każdy mieć będzie swoje miejsce i swoje zadanie. Gdy zobaczy fałsz i obłudę papieża, zmiażdży go z pewnością i oczyści Kościół święty.

Widząc, że jestem nieugięty, Antti powiedział z westchnieniem:

— Jeśli dobrze zrozumiałem te listy, zarówno Ojciec Święty, jak i inni włoscy książęta mają więcej niż dość obcego panowania i domagają się Włoch dla Włochów. I wcale się temu nie dziwię, gdyż widziałem, w jaki sposób zachowywały się wojska cesarskie pod Mediolanem. Kimżeż jednak jestem ja, prosty człowiek, żebym miał się upierać? Muszę z tobą iść, abyś znowu nie bił głową o mur. Zawracajmy W'więc i jedźmy jak najszybciej do Mediolanu, tak jak chcesz.

Popatrzyłem na niego przerażony, bojąc się, że stracił rozum, gdyż Mediolan, siedziba cesarskiego namiestnika markiza Pescara, był ostatnim miejscem, do którego powinniśmy byli jechać, i równie dobrze mogliśmy wsadzić głowę do paszczy niedźwiedzia. Ale Antti rzekł:

— Właśnie dlatego powinniśmy najpierw udać się do Mediolanu, że nikomu do głowy nie przyjdzie nas tam szukać.

Do Mediolanu przybyliśmy z końcem lipca. Nieliczne wojska cesarskie wciąż jeszcze oblegały zamek, którego uparcie bronił Sforza, jedyny prawowity książę Mediolanu. Antti spotkał tam wielu hiszpańskich i niemieckich najemników, z którymi pobratał się w czasie oblężenia Marsylii, i dla pozorów rozpytywał o możliwość zaciągnięcia się do armii. W odpowiedzi jednak słyszał tylko, że cesarz nie ma pieniędzy na opłacenie żołdu większej ilości żołnierzy i że nawet oddziały stojące pod bronią muszą starać się o żywność na własną rękę. Ludność Mediolanu, wielkiego i niegdyś tak bogatego miasta, zmniejszyła się do jednej trzeciej, wiele domów stało-pustką, a całe dzielnice spłonęły aż do fundamentów. Ale nadzieje na trwałą pokój sprawiły, że handel zaczął się rozwijać na nowo, toteż bez zwłoki poszedłem do kantoru Fuggerów, aby wysłać list do pani Genowefy i powiadomić ją o zmianie naszych planów.

Na moją prośbę faktor obiecał przesłać list do Kaspra Rotbarta na Via Fondaco dei Tedeschi w Wenecji. Napisałem więc, że nasze ciężkie grzechy tak nam zaczęły doskwierać, iż postanowiliśmy z Anttim udać się w pielgrzymkę do klasztoru Santa Maria di Compostella w Hiszpanii. Pani Genowefa nie powinna więc czekać na nas niepotrzebnie, lecz jechać dalej do Lyonu, gdzie spodziewamy się z nią spotkać. Gdybyśmy zaś nie spotkali jej w Lyonie, zamierzamy w drodze powrotnej zawieźć osiołka, którego Antti kupił w Norymberdze, do naszego synka w Tours, potem zaś udać się do Wenecji, w nadziei, że znajdziemy tam panią Genowefę.

Zdawałem sobie dobrze sprawę, że pani Genowefa po tym liście pomyśli, że zwariowaliśmy, ale nie mogłem w żaden inny sposób wyjaśnić jej, że ważne sprawy zmuszają nas do zmiany planów. Zapieczętowałem list, zostawiłem go faktorowi i z ciężkim sercem zapłaciłem półtora dukata za dostarczenie go adresatowi.

Zaczelśmy już przygotowywać się do podróży do Genui i rozpytywać o ceny płaszczy dla pielgrzymów, gdy nagle szczęście uśmiechnęło się do nas w sposób zgoła nieoczekiwany. Dowiedzieliśmy się miano wicie, że jeden z oficerów markiza Pescara zamierza udać się na dwór cesarski w Hiszpanii i wielu hiszpańskich najemników ubiega się o miejsce w jego eskorcie, aby zaspokoić tęsknotę za krajem. Dowódca hiszpańskich saperów, który zaprzyjaźnił się z Anttim w czasie oblężenia Pawii, polecił nas panu Gastaldo, a gdy młody oficer, człek pobożny, dowiedział się o celu naszej pielgrzymki, chwalił wielce cudowną Madonnę z klasztoru w Compostella i chętnie zezwolił nam na przyłączenie się do jego świty, jeśli sami pokryjemy podróżne wydatki i będziemy mu towarzyszyć aż do miejsca pobytu cesarskiego dworu. Pojechaliśmy więc z panem Gastaldo do Genui, gdzie rozstał się z resztą eskorty, zadowolając się tylko Anttim i mną oraz dwoma hiszpańskimi arkebuzerami.

Młody oficer miał z pewnością jakąś bardzo ważną misję do spełnienia, gdyż weszliśmy na pokład wielkiego galeasu, który dzięki wioślarzom nie był uzależniony od kaprysów wiatru, i odbiliśmy od brzegu, gdy tylko Gastaldo znalazł się na pokładzie. Okręt nasz był wyposażony w liczne działa, a kapitan oddał panu Gastaldo kajutę na rufie, urządzoną z największym przepychem. Przez okrągłą dobę któryś z nas stał z płonącym lontem na warcie przed drzwiami kajuty, a gdy pan Gastaldo odbywał przechadzkę na pokładzie, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, tuż za nim szedł uzbrojony wartownik, choć można było przypuszczać, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi mu na okręcie. "Ale jak się okazało później, miał on dobre podstawy do takiej przezorności.

Po dwóch tygodniach podróży przybyliśmy do Walencji, ale nie zdołaliśmy dużo zobaczyć z tego wielkiego i barwnego portu, bo pan Gastaldo popędzał nas i musieliśmy co rychlej ruszać w dalszą drogę. Jeszcze tego samego dnia wsiedliśmy na grzbiety końskie, aby rozpocząć długą i wyczerpującą podróż do Madrytu, w którego okolicach siedział uwięziony król Francji. W czasie monotonych dni podróży w nieustającym kurzu napatrzyłem się aż do przesytu na surowy krajobraz żółtych hiszpańskich gór i na biednych pastuchów, których smagłe twarze uśmiechały się do nas ze skraju drogi.

Jednego z ostatnich dni sierpnia przybyliśmy do Madrytu niemal chorzy z długotrwałych trudów i wysiłków. Pan Gastaldo ucieszył się wielce usłyszawszy, że cesarz właśnie przyjechał do Madrytu z Toledo. Natychmiast też, oczyściwszy się tylko z najgorszego pyłu i nawet nie zdejmując ostróg, pospieszył zabiegać o audiencję u króla. My natomiast nie zastanawiając się nawet, jaką to sprawę mógł mieć do cesarza, zeszywniali od długotrwałej jazdy wierzchem, powlekliśmy się do oberży, dziękując Bogu, że pan Gastaldo w swej próżności kazał arkebuzerom pójść z sobą, skutkiem czego nie potrzebowaliśmy wydawać pieniędzy na poczęstunek dla nich. Po łacinie, francusku i włosku zamówiliśmy jedzenie i wino, a gdy gospodarz usłyszał dźwięk srebra w naszych mieszkach, obsłużył nas własnoręcznie i postarał się o ciem-nooką dziewczynę, aby nauczyła nas początków hiszpańskiego.

Po trudach podróży wino szybko poszło mi do głowy, tak że nie czułem się już biedny i zboląły, a mój piesek ogryzał żarłocznie kość pod stołem, szczerząc zęby i warcząc na każdego, kto go usiłował poklepać, choć zazwyczaj był bardzo przyjazny dla wszystkich. Niebawem koło naszego stołu zgromadziła się cała grupka Hiszpanów, którzy przyglądali się, jak jemy i pijemy, podziwiając szczególnie Antiego i żegnając się krzyżem na widok ilości jadła i napoju, jakie pochłaniał. A on też rozgrzał się winem i czując życzliwość dla całego świata, powiedział nagle:

— Tych chudych, biednych nieboraków Chrystus też zbawił swoją krwią, tak jak nas, i nie są nic winni, że mają takie ponure usposobienie. Poczęstujmy ich winem, a zobaczymy, czy umieją się uśmiechać.

Tak się też i stało. Słuchy o poczęstunku rozeszły się lotem błyskawicy i do oberży zaczęli napływać ludzie z sąsiedztwa, aż w końcu w tłoku nie można było ruszyć palcem, i gospodarz był zmuszony zabarykadować drzwi. Jakiś mały chłopina zdołał jeszcze przeleźć przez mur i przyłączyć się do nas. Był to człeczyna niewielki, o błyszczących, żywych oczkach i o uszach przypominających skrzydła nietoperza. Mówił znośnie po niemiecku, a nawet po łacinie, toteż przyjęliśmy go chętnie jako chrześcijanina, a gdy skończył się poczęstunek, zaprosiliśmy go do izby, którą gospodarz oddał nam do dyspozycji, i wszyscy trzej ułożyliśmy się do snu na jednym łóżku, zmorzeni winem.

Opatrzność kierowała naszymi krokami, bo ten mały człowieczek okazał się dla nas nader pożyteczny. Gdy następnego dnia przebudziliśmy się i ostrożnie wypili łyk wina, aby rozjaśnić sobie w głowie, opowiedział nam, że jest cyrulikiem wicekróla neapolitańskiego, pana de Lannoy, i przyjechał wraz ze swoim panem z Toledo do Madrytu. Pan de Lannoy nie chciał ani na chwilę stracić z oczu cesarza, gdyż usiłował wydusić z niego przyzwoitą nagrodę za swoje usługi. Mały człeczyna przyznał się nam też otwarcie, że ubocznie trudni się kuplerstwem, i zaofiarował się zaprowadzić nas do najlepszych zam-tuzów w Madrycie oraz postarać się o wydatne zniżki od obowiązującej taryfy, jako dla przyjaciół.

Byliśmy jednak tak rozbici po podróży, że nie mieliśmy ochoty przyjąć jego życzliwej oferty, zwłaszcza że jeśli chodzi o mnie, odczuwałem zbawienny lęk przed francuską chorobą. Zacny cyrulik usiłował skłócić mnie do przewyciężenia obaw i zapewniał, że każdy dostojny człowiek prędzej czy później musi przejść francuską chorobę, która też nie jest już więcej przedmiotem klątw, lecz stała się raczej obiektem żartów, zwłaszcza od chwili, gdy kora gwajakowa okazała się tak znakomitą środkiem leczniczym. Widząc, że jest dla nas tak życzliwy, zapytałem go, czy nie wie, w jaki sposób człowiek maluczki mógłby uzyskać audiencję u cesarza i stanąć oko w oko z tym najpotężniejszym władcą świata. Mówiłem, że jesteśmy pielgrzymami z dalekich krajów i chcielibyśmy bardzo zobaczyć cesarza, aby móc kiedyś opowiadać o tym dzieciom.

Zacny cyrulik przyglądał mi się z wyteżoną uwagą, po czym rzekł:

— Nasz młody władca zmuszony był zbudować dokoła siebie mur ochronny z setek, a może i tysięcy ludzi, aby nie dopuścić wszystkich tych, którzy chcieliby uzyskać u niego audiencję. Stale jest napastowany przez suplikantów z różnych krajów, a jedna propozycja jest bardziej zwariowana od drugiej, wszystkie zaś mają jedno tylko wspólne, a mianowicie, że suplikanci chcą uzyskać coś od cesarza. Toteż wcale się nie dziwię, że cesarz pomimo swej młodości ma już dość ludzi i kocha samotność.

W obecnej chwili niezwykle trudno dla kogoś postronnego uzyskać audiencję u cesarza — ciągnął dalej cyrulik — bo francuscy delegaci pokojowi, ambasadorowie Anglii, Wenecji i papieża, a przede wszystkim naturalnie księżę Burbonu i mój szlachetny pan de Lannoy krążą dokoła niego jak zazdrosne koty, czyhając na siebie i knując intrygi. Francja ofiarowała trzy miliony złotych dukatów okupu za swego króla, byleby tylko nie musiał zrzec się Burgundii, którą cesarz chce mu zabrać. Ale cesarz, a jeszcze bardziej jego wszechmocny minister Gattinara, nie mówiąc już o księciu Burbonu, który nie zostawiłby Francji nic, uparcie trwają

przy swoich żądaniach terytorialnych, podczas gdy pan de Lannoy jest zdania, że nie należy naciskać zanadto na króla, lecz trzeba przyjąć okup i próbować zyskać w nim przyjaciela i sprzymierzeńca. Łatwo zatem zrozumieć, że w takim stanie rzeczy cesarz potrzebuje przede wszystkim spokoju, żeby móc zastanowić się nad swoimi zagmatwanymi sprawami.

Opowiadanie cyrulika dało mi wiele do myślenia i jeszcze bardziej skomplikowało całą historię, bo jeślibym zwrócił się do fałszywej osoby przy dworze o wyrobienie audiencji u cesarza, łatwo mogło się zdarzyć, że ten ktoś, dowiedziawszy się, o co chodzi, zrobiłby wszystko, aby mi przeszkodzić w jej uzyskaniu. Dokumenty, które miałem w rękę, dowodziły bowiem niedwuznacznie, że cesarz powinien jak najszybciej zawrzeć pokój na łagodnych warunkach i wypuścić króla Franciszka z niewoli, aby w ten sposób zdobyć w nim przyjaciela. Inaczej bowiem Francja przyłączy się do spisku państw włoskich, aby uwolnić swego króla.

— Ale założmy — wtrąciłem — iż ktoś mógłby przedłożyć przekonujące dowody, że szybki i łagodny pokój z Francją jest zgodny z królewskimi interesami i że przeciągając rokowania, cesarz wtrąca sam siebie i swoje mocarstwo w zagładę i traci wszystkie owoce zwycięstwa. Czy sądzisz, że taka osoba mogłaby uzyskać audiencję u cesarza, i do kogo powinna się o to zwrócić?

Cyrulik przestał machać uszami i spojrzał na mnie oczyma tak pozbawionymi wyrazu jak twarde jajka.

— Czyś pijany, że tak mówisz? — zapytał. — Gdyby ktoś taki istniał, sprzedałby naturalnie swoją tajemnicę w pierwszym rzędzie delegatom Francji. A przede wszystkim nie paplałby o tym, co wie, przed pierwszym lepszym kompanem z szynku, lecz zachowałby to wyłącznie dla siebie. Albo bardzo jeszcze jesteś niedoświadczony, albo naiwny, Mikaelu Pelzfuss, bo jeśli będziesz rozgłaszał, że znasz takie tajemnice, Gattinara każe ci zarzucić worek na głowę i wtrąci cię do lochów Alcazaru albo też któryś z siepaczy Burbona przebije cię mieczem, zanim się opamiętasz.

Na co Antti:

— Ten mój zacny braciszek Mikael to bardzo śmieszny chłop i często wpada w przykrości z powodu tego, co mówi, bo ma słabą głowę i nie znosi wina. Dla wszelkiej pewności, mój drogi cyruliku i kompanie od kieliszka, muszę ci skrócić twój chudy kark, mimo że sprawi mi to przykrość. Naszemu gospodarzowi powiemy, że zadusiłeś się śpiąc między nami tej nocy, i nie sądzę, żeby się tym zbytnio dziwił.

Cyrulik natychmiast otrzeźwiał, złapał się za szyję i zaczął zezować w kierunku drzwi, ale Antti zagroził mu drogę. Dotknąwszy więc delikatnie piersi Anttiego, aby odsunąć go na bok, nieborak westchnął i rzekł:

— Nie opłaca wam się mnie zabijać, bo jeśli istotnie wiecie o jakichś ważnych i tajemnych sprawach, jestem pewnie tym, kto najlepiej wam dopomoże w waszych zamiarach. Sądzę, że szlachetny pan de Lannoy za plecami Gattinara i księcia Burbonu najłatwiej może postarać się o audiencję u cesarza i nawet zapłacić za tę przyjemność, gdyż chętnie podstawiłby nogę księciu Burbonu, gdyby mu się trafiła sposobność.

W taki to sposób człowiek ów zaprowadził nas do rezydencji pana de Lannoy w Madrycie i namówił go, aby nas wysłuchał w czasie czesania brody i trefienia włosów. A gdy otwarcie opowiedziałem tyle, ile odważyłem się wyjawić, pan de Lannoy wielce się ucieszył i powiedział, że szczególnie rad jest z tego, iż wreszcie będzie mógł zdemaskować swego rywala, markiza de Pescara, jako zdrajcę.

— To wielkie i dobre nowiny — mówił. — Zostaw mi papiery, a ja już się postaram o to, aby jak najszybciej znalazły się w ręku cesarza. Możesz też być przekonany o mojej życzliwości i godziwej nagrodzie.

W tej chwili Antti odchrząknął i szturchnął mnie w bok. Zebrałem całą odwagę, na jaką było mnie stać, i odparłem:



— Jesteśmy obaj biedni i pieniądze przydałyby się nam. Ale podjęliśmy tę daleką i trudną podróż, połączoną z wielkimi wydatkami, głównie po to, aby móc wykazać cesarzowi naszą wierność, toteż nie mogę oddać tych cennych dokumentów nikomu innemu, jak tylko cesarzowi. Niech on sam da nam taką nagrodę, jaką uzna za stosowną. Od was zaś, panie wicekrólu, nie chcemy nic.

Pan de Lannoy spochmurniał i zaczął szarpać brodę, tak że cyrulik krzyczał i rwał sobie włosy, widząc, jak rezultaty jego zabiegów idą na marne.

— Skądżeż mam wiedzieć, że nie jesteś tylko pospolitym oszustem i poszukiwaczem szczęścia? — zapytał w końcu pan de Lannoy. — I skąd mam wiedzieć, czy wszystko to nie jest tylko pułapką zastawioną na mnie przez księcia Burbonu? I co mi właściwie stoi-na-przeszkodzie, aby wezwać sługi i zabrać te papiery?

- Wtedy Antti z roztargnioną miną wziął ze stołu spory srebrny pucharek i zgniótł go bez wysiłku w bezkształtną masę. Pan de Lannoy przeraził się wielce i przeżegnał na ten dowód siły. A ja powiedziałem:

— Wasz honor i sława, najszlachetniejszego rycerza i najzdolniejszego wodza w Europie nie pozwoli panu wyrządzić żadnej krzywdy nam, biedakom, panie de Lannoy!

Moja szczerość i pochlebne słowa wzruszyły go do łez. Mimo to musiałem w końcu pokazać mu jeden z listów, w którym była mowa o tym, że markiz de Pescara przyłączył się do spisku w zamian za to, że francuska królowa-matka w imieniu króla zrezygnowała na jego rzecz z wszelkich pretensji do Królestwa Obojga Sycylii. •

Gdy pan de Lannoy przeczytał list, zaczął żegnać się krzyżem raz po raz i rzekł, że nigdy by nie uwierzył, iż możliwa jest tak czarna, bezwzględna i haniebna zdrada. Ale widziałem, że równocześnie w duszy płonie zapałem i zadowoleniem, gdyż trafiła mu się okazja podstawić nogę rywalowi. Wyraził też przypuszczenie, że cesarz bez zwłoki wyśle go do Mediolanu w celu uwięzienia i stracenia markiza de Pescara i z uwagi na miłą misję gotów był nawet zrezygnować z szaczytne go zadania czuwania nad więźniem królewskim.

Gdy pan de Lannoy wyszedł, aby dowiedzieć się, gdzie jest cesarz i kiedy będzie możliwe uzyskanie audiencji, mały cyrulik zapytał z goryczą, kto mu wynagrodzi jego usługi. Mówił, że jest biedakiem i że chętnie zrezygnuje z udziału w nagrodzie od króla, w zamian za skromną zapłatę od razu. Wydawało się to nam dobrym interesem i po krótkim targu zgodziliśmy się z nim na piętnaście dukatów. Uważałem go za naiwnego, że za tak niewielką sumę zrezygnował ze swojej części nagrody. Okazało się jednak później, iż był chytrzejszy od nas, bo nie znaliśmy jeszcze cesarza.

Przenieśliśmy się więc do pałacu wicekróla w Madrycie i oddali pod jego opiekę, co było naszym zdaniem najmądrzejsze w kraju tak pełnym zdrady i intryg. Dla wszelkiej pewności poszliśmy także na mszę świętą, aby nikt nas nie mógł oskarżyć, że jesteśmy kacerzami. A gdy wróciliśmy z kościoła, pan de Lannoy opowiedział nam, że znalazł cesarza w jeszcze bardziej ponurym nastroju niż zwykle. Udało mu się jednak ustalić tajne spotkanie. Cesarz wracając nazajutrz z polowania będzie się skarżył na pragnienie i wstąpi do domu pana de Lannoy, aby wypić kielich wina, reszta zaś świty czekać będzie na niego przed domem.

Pan de Lannoy tak był dla nas łaskaw tego wieczoru, że pozwolił mi spożyć ze sobą wieczerzę, jako że nie miał żadnych innych gości. Był to największy szaczyt, jaki mnie spotkał kiedykolwiek, ale zapewne z mojego wyglądu i zachowania wnioskował, że jestem szlachetnego rodu. Przy wieczerzy pan de Lannoy wypytywał mnie o nowiny z zagranicy, ale nie mogłem mu opowiedzieć nic ponad to, że Luter ożenił się w czerwcu z mniszką zbiegłą z klasztoru, o czym sam dowiedziałem się od faktora Fuggerów w Mediolanie. Pan de Lannoy zrobił pobożnie znak krzyża i orzekł, że od Lutra nie można było oczekiwać nic innego i że ten postępek stanowi ukoronowanie całej jego herezji. . Gdy pan de Lannoy podpisał sobie, zaciekał się i zaczął mnie wypytywać o mój pień genealogiczny, mówiąc, że na swoim wysokim stanowisku nauczył się oceniać ludzi i że sądząc z mego zachowania się,

wykształcenia, delikatnych rysów i czystych dłoni nie mogą być niskiego rodu. Opowiedziałem mu więc o mojej dalekiej ojczyźnie i wyznałem, że byłem doradcą nieszczęśliwego króla duńskiego Chrystiana II w sprawach fińskich i że straciłem stanowisko i majątek, gdy on stracił koronę. Jeśli chodzi o moje pochodzenie, oświadczyłem dumnie, że jestem bastarodem, co wielce mnie podniosło w oczach pana de Lennoy. Powiedział on, że także cesarz ma bastarda córkę, imieniem Margareta, którą kocha i chce wydać za syna księcia Ferrary, urodzonego z małżeństwa księcia z Lukrecją Borgia, bastarodem papieża.

Księżę Ferrary ma mianowicie najlepszą na świecie artylerię i dużo pieniędzy, tak że może być cennym sprzymierzeńcem dla cesarza, gdy przyjdzie do uporządkowania zagmatwanych stosunków we Włoszech.

Ponadto pan de Lannoy wspomniał, że papież Klemens VII we własnej swej wysokiej osobie jest nieprawym synem owego Medyceusza, którego miłujący wolność republikanie we Florencji zabili w kościele. Matką papieża była biedna wiejska dziewczyna z okolic Florencji i Medyceuszów kosztowało sporo trudu przekupienie świadków, którzy by stwierdzili, że pewien ksiądz w tajemnicy udzielił ślubu dziewczynie i zabitemu Medyceuszowi przed jego śmiercią.

— Nie chcę wprawdzie zranić was, panie Mikaelu — mówił pan de Lannoy delikatnie — ale to naprawdę niegodne i dowodzi upadku Kościoła, że na stolcu papieskim zasiada bastarod, który w dodatku chwilami całkiem bezczelnie występuje z brodą, jakkolwiek żaden papież od tysiąca lat nie nosił brody. I wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby się okazało, że ten papież podcina gałąź, na której siedzi, knując spiski przeciw cesarzowi, gdyż tylko łasce i dobroci cesarza zawdzięcza swoją tiarę.

Zanim pan de Lannoy wyruszył na polowanie, poczynił odpowiednie przygotowania, aby w oczach wszystkich wizyta cesarza wyglądała na zupełny przypadek. Zwolnił więc służbę, zatrzymując tylko najniezbędniejszych wartowników, kazał w gabinecie postawić karafkę wina w porołatym dzbanie z wodą i polecił mnie i Anttiemu, abyśmy przez kratę okna wypatrywali przybycia cesarza i byli gotowi bez zwłoki przedstawić mu naszą sprawę.

Pod wieczór zobaczyliśmy wreszcie wspaniałe orszaki konnych w wąskiej uliczce, gdzie ludzie tłoczyli się w oknach, aby oglądać cesarza. Jechał on bez żadnej pompy, na szarym mule, w płaskim berecie na głowie. Przy domu wicekróla poskarżył się na pragnienie, zsiadł z muła przy pomocy pana de Lannoy, dał ręką znak znakomitym panom ze swego orszaku, żeby poczekali, i wszedł do wnętrza, mając przy nodze wielkiego psa koloru gliny.

tu zaczęła się nasza klęska. Nie wiedzieliśmy, że stara służąca, korzystając z tego, iż dom był pusty, zabrała się do zmywania posadzki w przedsionku. Cesarz potknął się na śliskiej posadzce i byłby skręcił n<sup>o</sup>gę, gdyby pan de Lannoy nie zdążył go podtrzymać. Starucha tak się wystraszyła, że wylała cesarzowi na nogi całe wiadro brudnej wody, chcąc paść przed nim na kolana. Pan de Lannoy z wściekłości dał jej kopniaka, na co ona rozwrzeszczała się przeraźliwie, wzywając na pomoc Świętą Dziewicę, i uderzyła go w twarz mokrą szmatą, aż prysnęła brudna woda. Zapewniała przy tym, że jej przodkowie walczyli już z Maurami, gdy przodków pana de Lannoy wieszano jako koniokradów.

Otworzyłem na oścież drzwi do przedsionka i podczas gdy awantura jeszcze trwała, straszliwy pies cesarza wpadł do gabinetu i rzucił się na mojego Raela, aby go zagryźć. Był to bowiem jeden z tych okrutnych, diabelsko mądrych psów, których Hiszpanie używali w Nowym Świecie do polowania na Indian i dla których mieli taki szacunek, że psy te otrzymywały swoją część łupu tak jak ludzie. Walcząc o życie, mój kochany piesek warczał i wbił zęby w ucho potwora i nie popuszczając, choć wielkie psisko potrząsało głową, tak że Rael fruwał w powietrzu. Zapominając o wszystkim, kopnąłem cesarskiego psa, a ten ugryzł mnie w nogę, aż wrzasnąłem z bólu na całe gardło. Można sobie zatem wyobrazić, że moje spotkanie z cesarzem nie przebiegało tak, jak liczyliśmy, i że słusznie sobie zasłużyłem na jego niełaskę.

Cesarz krzyknął rozkazująco, z gniewem, przyciągnął psa do siebie i schylił się nad nim, aby delikatnie zbadać krwawiące ucho. Ja tymczasem wziąłem Raela na ręce, skąd czując się bezpieczny, warczał, piszczał i szczyrzył zęby, aby pokazać, że wcale się nie boi wielkich hiszpańskich psów. Zmuszony byłem zamknąć go w sąsiedniej komnacie, po czym kulejąc stanąłem przed cesarzem. Trzeba przyznać, że miał pełne prawo wziąć z sobą przybocznego strażnika, wchodząc do obcego domu. A ten niepokojąco mądry pies był doprawdy lepszy niż wszyscy strażnicy, bo gdy się trochę uspokoił, zaczął natychmiast węszyć po kątach, aby się upewnić, czy nikt nie podsłuchuje ukryty za draperia-mi lub w olbrzymiej szafie.

Cesarz zasiadł przy biurku, a pan de Lannoy, zupełnie zrozpaczony z powodu tego, co się wydarzyło, podał mu wino w złotym pucharze. Nie miałem nawet czasu paść przed cesarzem na kolana, gdyż od razu kazał bardzo niełaskawym tonem panu de Lannoy podać sobie dokumenty, a ten wręczył mu je z głębokim szacunkiem.

Cesarz zaczął czytać spokojnie i uważnie, nie okazując najmniejszego wzburzenia. A gdy powoli przeczytał pierwszy list, łyknął wina z miną smakosza, spojrzął na pana de Lannoy i kazał mu odesłać wspaniały orszak z wyjaśnieniem, że cesarz poczuł się trochę zmęczony i nie chce zatrzymywać swoich gości. Następnie gospodarz miał pozostać za drzwiami i dopilnować, aby nikt cesarzowi nie przeszkadzał. Widać było wyraźnie, że rozkaz ten wcale nie przypadł do smaku panu de Lannoy, ale zmuszony był usłuchać. W chwilę potem stukot kopyt na ulicy świadczył, że świta odjechała.

Cesarz czytał listy od deski do deski i miałem sporo czasu, żeby mu się przyjrzeć. W chwili naszego spotkania miał zaledwie dwadzieścia pięć lat, a więc tylko dwa, trzy lata więcej ode mnie. Był mego wzrostu, nie wysoki, ale i nie niski. Odziany z wykwinną prostotą nie nosił innych kosztowności prócz rycerskiego Orderu Złotego Runa, zwisającego na łańcuchu na szyi. Twarz miał matową. Szare chłodne oczy patrzyły dziwnie badawczo, gdyż próbował ukryć spojrzenie w cieniu powiek, jakby nie chciał, aby ktoś poznał jego myśli. Brodę miał wysuniętą i upartą, porośniętą rzadkim zarostem, uszy płaskie i przylegające, czoło niskie. Fizycznie był bez wady. Miał dobrą postawę, szczególnie piękne nogi i podobny był do innych dobrze urodzonych młodzieńców, którzy od dzieciństwa rozwijają ciało ćwiczeniami z bronią. Całą jego osobowość cechowała powaga, moc i rozsądek. Widać było, że wcześniej musiał wziąć na swoje barki zbyt ciężkie brzemie odpowiedzialności, ale że nie chciał sprawić zawodu i dźwigał je, jak mógł najlepiej. Nie było w nim jednak nic twardego, bezwzględne lub surowe i jego powaga była raczej smutna i pociągająca. Im dłużej mu się przypatrywałem, tym większy był mój szacunek dla niego, gdyż czułem, że ten cesarz nie chce wyrządzić świadomie żadnej krzywdy swoim poddanym.

Gdy przeczytał listy, zachowując przez cały czas spokój i opanowanie, położył na nich białą, kształtną dłoń, spojrzął na mnie po raz pierwszy — badawczo i nie wiadomo dlaczego z wyraźną niechęcią — i rzekł:

— Myślisz, że to coś nowego dla mnie?

Zdrętwiałem ze zdziwienia i ledwie zdołałem wyjąkać, że chciałem jedynie służyć cesarzowi, ryzykując życie i wystawiając się na wielkie trudy, połączone z poważnymi kosztami, aby jak najszybciej zdemaskować zdradę i spisek zagrażający pokojowi świata. Skrzywił wargi i powiedział:

— Nie byłeś dostatecznie szybki, bo wiem już o tym od dwóch dni. Nie jestem ci winien żadnych wyjaśnień, ale abyś nie sądził, że chcę cię oszukać i pozbawić nagrody, której z pewnością oczekujesz, wspomnę tylko, że markiz de Pescara wcale nie jest zdrajcą, tylko moim najwierniejszym poddanym, i to do tego stopnia, że dał tym bezczelnym spiskowcom słowo honoru rycerza i wojownika, aby wyciągnąć . od nich wszystkie plany i zdemaskować je przede mną. Postawiło go to w nadzwyczaj trudnej i nieprzyjemnej sytuacji i trzeba mu zaliczyć na korzyść, że uważał przysięgę wierności i obowiązki poddanego za ważniejsze od rycerskiego słowa honoru. Gdy tylko udało mu się zebrać potrzebne informacje, bez zwłoki

wysłał do mnie z listem o tych sprawach swego porucznika don Gastaldo. Mówię ci o tym, aby do honoru markiza nie przyłgnęła najmniejsza plamka z powodu złośliwych plotek. Już wczoraj dałem legatowi papieskiemu wyraźnie do zrozumienia, co myślę o papieżu i jego diabelskim doradcy Ghibertim, i uważam, że było to dla nich dostatecznym ostrzeżeniem.

Wszystkie moje nadzieje upadły i poczułem się pusty jak skorupka wydmuchanego jajka, wyrzuciłem bowiem pieniądze na próżno i w nagrodę uzyskałem tylko to, że pies cesarza ugryzł mnie w nogę. A cesarz oparł zmęczoną głowę na dłoniach i ciągnął:

— Nie przeczę, że te dokumenty są dla mnie o tyle cenne, gdyż słowo w słowo potwierdzają wiadomości zawarte w liście markiza oraz jego ostrzegawcze słowa, że nie mam ani jednego przyjaciela we Włoszech i że powinienem co rychlej zawrzeć pokój z Francją na godziwych warunkach. Ale żeby dobrze wszystko zrozumieć, muszę wiedzieć, w jaki sposób te niebezpieczne listy wpadły w twoje ręce.

Zebrałem na nowo odwagę i opowiedziałem zwięźle o rabunku, którego byliśmy świadkami w pobliżu Brescii. Ale zaplątałem się we własnych słowach, gdy próbowałem wytłumaczyć, dlaczego i jak doszło do tego, że otworzyliśmy pocztową tubę francuską i złamaliśmy pieczęcie na listach. Cesarz słuchał cierpliwie, a jego zimne szare oczy przysłonięte były ciężkimi powiekami. Nie przerwał mi ani razu, dopiero gdy skończyłem rzekł:

— Twoje opowiadanie wyjaśnia wiele i potwierdza również, że nie mogę bez zastrzeżeń ufać nikomu na świecie. Choć markiz de Pes-cara okazał w swoim liście wierność i szczerość, opowiadanie twoje wykazuje, że nie miał innego wyboru, jak tylko dokonać pełnego zwrotu, gdy się dowiedział, że dokumenty wpadły w niepowołane ręce. Musiał bowiem zabezpieczyć się na tę ewentualność, że znajdą się one przed moimi oczyma. To tłumaczy, dlaczego tak się spieszył z napisaniem i wysłaniem listu, układając się przedtem w tajemnicy przez kilka miesięcy z moimi wrogami i nie dając mi o tym w ogóle znać. Tłumaczy to także, dlaczego delegaci francuscy tak uparcie odrzucają moje dobre i łagodne warunki pokojowe.

Zastanowił się przez chwilę, a potem ciągnął, dając upust swoim myślom, tak jak gdyby mówił w zupełną próżnię:

— Te papiery, splamione mordem i krwią, są więc dla mnie zupełnie bez wartości, nie wierzę bowiem, żeby Francja odważyła się wypowiedzieć wojnę, dopóki jej król siedzi u mnie w niewoli. Francuzi wy korzystują tylko państwa włoskie, żeby wywierać na mnie nacisk i zmusić do zawarcia pokoju, który nie licuje z moją potęgą i zwycięstwem, jakie odniosłem. Gdyby te dokumenty dotarły do Lyonu, myślę, że bardzo szybko wysłano by je do Toledo, i francuscy delegaci pokojowi sami by mi je pokazali i zdemaskowali przede mną spisek, aby wymusić ustępstwa. W każdym razie jestem pewien, że królowa usłyszawszy, iż poczta wpadła w niepowołane ręce, odsłoni przede mną sprzysiężenie' dokładnie tak samo, jak to uczynił markiz de Pescara, albo przez mego ambasadora, albo przez swoich delegatów pokojowych, aby zagrozić wojną, której nie odważy się rozpocząć. Widać stąd, jak mało warte są wszystkie intrygi i jak każdy gotów jest zdradzić sprzymierzeńca, gdy tylko uwierzy, że będzie mieć z tego choćby najmniejszą korzyść.

Jak gdyby przypomniał sobie o moim istnieniu, zwrócił się do mnie:

— Rozumiem, że czekasz na wynagrodzenie, i nie przeczę, że masz prawo prosić o moją łaskę, bo w tych zbrodniczych i bezbożnych czasach nawet i w wielkiej polityce trzeba się posługiwać brudnymi narzędziami. Niechętnie jednak wynagradzam morderstwo i rabunek, bo wtedy krew tego młodego sekretarza spadłaby także i na moje sumienie. Toteż muszę mieć czas do namysłu, jak najlepiej wynagrodzić cię za usługi, które oddałeś. Ale widzę, że już trzęsiesz się z zapału, aby biec do delegatów francuskich i opowiedzieć im, że markiz de Pescara odsłonił całe sprzysiężenie, i nie chcę ci wzbraniać wykorzystania tej cennej wiadomości, bo i tak nie pozostanie ona długo tajemnicą. Mam nadzieję, że dobrze ci za nią zapłacą.

Cesarz uważał mnie za chytrzejszego, niż byłem, bo nigdy by mi nie przyszło do głowy sprzedać tę wiadomość Francuzom. Ale po jego aluzji zrozumiałem, że mogę na tym zarobić trochę grosza uczciwie. Natomiast drżałem na myśl, że nie wierzy w moje szczere opowiadanie, lecz przekonany jest, że ma do czynienia z rozbójnikami i że zamordowaliśmy francuskiego pocztyliona. Toteż upadłem przed nim na kolana, zaklinając się na wszystkie świętości, że nie jestem winien morderstwa i rabunku i że choć liczyłem na wynagrodzenie, nie mógłbym przyjąć żadnego dowodu jego łaski, gdyby uważał mnie za winnego.

On jednak niecierpliwym ruchem ręki kazał mi zamilknąć, jak gdyby taszuchał się już zbyt wielu przysiąg, by nie wiedzieć, ile są warte.

wielki pies podniósł się i zaczął przeciągać, zionąc mi oddechem prosto w twarz, gdy klęczałem. Także cesarz wstał, obiecując, że w swoim usłyszę o jego postanowieniu. I nie pozostało mi nic innego, jak uchylić przed nim drzwi, kłaniając się głęboko. Pan de Lannoy pospieszył otworzyć bramę swego domu i gdy cesarz zatrzymał się w niej, aby włożyć rękawice, pies skorzystał z okazji, aby obsikać framugę. Wtedy to po raz pierwszy zobaczyłem na ustach cesarza nikły sardoniczny uśmiezek.

Gospodarz podał strzemię cesarzowi, który wsiadł na swego szarego muła, ale gdy de Lannoy chciał mu towarzyszyć, odprawił go skinieniem ręki i odjechał, mając za sobą tylko straż przyboczną i swego wielkiego psa, który biegł truchcikiem koło muła. A gdy znikli nam z oczu, pan de Lannoy zatrzasnął bramę domu i zaczął kłać, tak jak jeszcze nie słyszałem, aby ktoś kłał, jakkolwiek będąc mężem dostojnym, nie używał brutalnych wyrażań ludowych czy żołnierskich, lecz ubierał swe przekleństwa w straszliwe porównania zapożyczone z teologii, genealogii i innych pożytecznych nauk.

Nie był też zachwycony, gdy się dowiedział, że nasza nowina wcale nie stanowiła nowiny dla cesarza i że markiz de Pescara zdążył w czas zdemaskować swoich współników i złamał słowo rycerza i wojownika. Na tę wiadomość pan de Lannoy stracił panowanie nad sobą do tego stopnia i w tak niegodny swego wysokiego stanu sposób, że rzucił się na mnie i uderzył mnie w ucho oraz kopnął Raela, który już i tak ciężko kulał. Na szczęście zanim doznałem jakiejś większej szkody na ciele, przyszedł mi na pomoc cyrulik i uspokoił swego pana licznymi sentencjami o zmienności losu, po czym zabrał nas sprzed jego oczu, mówiąc, żebyśmy się nie dziwili porywczoci pana de Lannoy. Takie gwałtowne wybuchy pasji są najgorszą stroną wielkich panów, gdyż nie potrzebują oni panować nad sobą, tak jak to musi czynić biedak. Uspokoiwszy się? pan de Lannoy z pewnością będzie znowu dla nas łaskawy, toteż najlepiej, żebyśmy pojechali za nim do Toledo, gdyż nie mamy żadnego innego protektora, a nasze pieniądze są na wyczerpaniu.

Wino było jedyną naszą pociechą. Toteż z goryczą w sercu opowiedziałem cyrulikowi, co zaszło między nami a cesarzem, a podczas tego mały człowieczek opatrywał mi nogę, obmywał, smarował leczącymi maściami i przewiązywał, wyrażając przy tym nadzieję, że nie dostanę zakażenia krwi i nie umrę z pianą na ustach, jak to się często zdarzało po ukąszeniu psa. Przewiązał także łapę Raelowi, a gdy napiliśmy się wina, poczułem ulgę i pociechę i przypomniałem sobie, że cesarz w każdym razie obiecał o nas pomyśleć. Antti był zdania, że to słaba pociecha, ale nie przejmował się zbyttnio niczym. Pił wino i mówił:

— Obawiam się, że to nie ostatnie z naszych niepowodzeń. Los zadzwiał sobie z nas, przysyłając nas tu w towarzystwie pana Gastaldo, który wioził list od markiza. I los ma jeszcze niejedną niespodziankę dla nas w zanadrzu.

Powiedziałem, że cesarz dał mi do zrozumienia, iż nie ma nic przeciwko temu, abym na własny rachunek sprzedał Francuzom wiadomość o zdradzie markiza — bo zdrajcą był on w każdym razie, choć nie zdradził cesarza, lecz własnych współników. I zapytałem cyrulika, w jaki sposób otrzymać za tę wiadomość pieniądze. Ten potarł nos, pomachał z namysłem uszami i rzekł:

— Nie wątpię, że potrafiłbym załatwić ten interes, bo dzięki innym cyrulikom i memu ubocznemu zajęciu znam już dwóch francuskich delegatów pokojowych i ich potrzeby, przynajmniej jeśli chodzi o sprawy sercowe. Ale nie róbmy nic zbyt pochopnie, bo jeśli cesarz chce przestraszyć sprzysiężonych wiadomością, że ich zdradzieckie plany zostały zdemaskowane, nie może mieć nic przeciw temu, żebyśmy równocześnie sprzedali tę tajemnicę także legatowi jego świątobliwości, ambasadorowi weneckiej signorii i agentom Florencji, Mantui, Ferrary i innych państewek włoskich. I choć z pomocą moich alkowia-nych znajomości mógłbym cię zapoznać z tymi panami, to wcale nie jest powiedziane, że zapłaciliby ci uczciwie. Gdyż im mniej znaczną osobą jest sprzedający, tym niższą cenę mu się ofiarowuje, podobnie jak puciołowata dziewczyna sprzedaje dziewictwo za parę sztuk srebra, podczas gdy kurtyzanę opłaca się dziesiątkami dukatów za piękne szaty i barwiczki. Nie chcę bynajmniej porównywać mego pana z kurtyzaną albo ladaczną, ale ma on piękne szaty i wytworne maniere i jeśli podejmie się załatwienia tej sprawy, uda mu się wycisnąć dziesięć, ba — może nawet sto razy więcej z tej tajemnicy niż tobie i wszędzie zostanie natychmiast przyjęty z racji swego wysokiego stanowiska. Jeśli jednak chcemy sprzedać tajemnicę tyłu kupcom, ilu się da, sprawa jest pilna i trzeba ją załatwić, zanim stanie się tajemnicą publiczną.

Zacny cyrulik zgodził się, za swoje rady i pomoc, na dziesięć procent zysku, który przyniesie ten interes, i pomógł nam sporządzić spis rozmaitych posłów i ambasadorów, do których pan de Lannoy powinien był zwrócić się w Toledo. A gdy przedstawiliśmy sprawę panu de Lannoy, ten okazał nam znowu swą życzliwość, ale oświadczył, że osoba tak wysoko postawiona jak on nie może wdawać się w niegodne interesy, jeśli nie otrzyma co najmniej połowy darów.

Wyjaśnił nam mianowicie, że nie przystoi mu przyjmować gotówki za informacje, których dostarczy, skutkiem czego zmuszony będzie zadowolić się darami i ponieść ciężkie straty, sprzedając te dary lichwiarzom. Ale zacny cyrulik przezwyciężył jego wątpliwości i opory i nauczył go, co ma mówić, doradzając, aby zgłosił się do każdego z nabywców z osobna, żądał zachowania zupełnej tajemnicy, a następnie pod pozorem nagłej potrzeby pieniężnej prosił o odpowiednią pożyczkę na słowo honoru, ofiarując w zamian za przysługę jako zastaw cenne informacje o spisku de Pescary i jego zdradzie.

Byliśmy w końcu zmuszeni podzielić się z panem de Lannoy spodziewanym zyskiem po połowie i musieliśmy ponadto przystać na to, aby udział cyrulika potrącono z naszego. Skończyło się na tym, że przypadło na nas tylko po dwadzieścia procent na głowę. Ale pocieszaliśmy się myślą, że oszczędzone nam będą niebezpieczeństwa i kłopoty. Gdy tylko bowiem rozejdzie się wiadomość, że de Pescara sam powiadomił cesarza o planach sprzysiężonych, wszyscy zapomną o obrabowaniu poczty królewskiej. Tymczasem musieliśmy siedzieć cicho i ukrywać się w Madrycie, a pan de Lannoy udał się pośpiesznie do Toledo, żegnany naszymi życzeniami powodzenia w podróży.

Niebawem jednak zaczęliśmy się niepokoić, bo nie mieliśmy żadnej wiadomości z Toledo. Dzień po dniu mijał na bezowocnym oczekiwaniu i stopniowo zaczęliśmy przypuszczać, że pan de Lannoy i jego cyrulik oszukali nas najhaniebniej.

Nie było jednak aż tak źle, bo po dwóch tygodniach otrzymaliśmy wezwanie, żeby natychmiast stawić się u wicekróla. Pojechaliśmy więc do Toledo i muszę przyznać, że to piękne i bogate miasto, położone na szczycie góry i w kolanie rzeki, wiele się przyczyniło, aby poprawić moją opinię o Hiszpanii. Pan de Lannoy zamieszkiwał tam cichy pałacyk, na którego dziedzińcach, otoczonych kolumnadą, dojrzewały winogrona i szemrały śliczne wodotryski. Przyjął nas łaskawie i powiedział:

— Jestem wam winien wytłumaczenie, szczerze i uczciwie. Niestety cała sprawa nie poszła tak dobrze, jak się spodziewaliśmy, i niewiele jest do podziału.

Cyruлик podał mu kartkę, a on odczytał nazwiska i sumy, ja zaś zrobiłem wielkie oczy, bo sprzedał nasze informacje aż osiemnastu rozmaitym ambasadorom. Najlepiej zapłacił poseł potężnej republiki weneckiej, który pożyczył panu de Lannoy nie mniej jak trzy tysiące złotych dukatów, a najgorzej poseł węgierski, od którego z trudem udało się pożyczyć dziesięć dukatów. Legat papieski wyłożył tylko dwa tysiące dukatów, gdyż, jak twierdził, domyślił się wszystkiego już przedtem z powodu wyrzutów, które mu robił cesarz, tak że zdrada markiza nie była dla niego żadną nowiną. Za to francuscy delegaci pokojowi złożyli się razem na tysiąc osiemset dukatów, zanim zdążył ich ostrzec ambasador wenecki. Wszystkiego razem zebrał pan de Lannoy dziewięć tysięcy sto dziesięć dukatów i sam uznał, że nie była to mała sumka. Ale zaraz spochmurniał i dodał:

— Niestety jednak trudiłem się nadaremnie i ściągnąłem na siebie gniew wielu osób, gdyż mimo iż za każdym razem zastrzegałem sobie zachowanie tajemnicy, posłowie i ambasadorowie natychmiast starali się odsprzedać dalej wiadomości, aby odzyskać swoje pieniądze. Skutkiem tego wszystko doszło do uszu cesarza, który w swej łaskawości prosił mnie, abym otwarcie powiedział, ile zebrałem. Nie mogłem przed nim kłamać i taki był rezultat, że natychmiast pożyczył ode mnie osiem tysięcy dukatów, które wysłał do Mediolanu na żołd dla armii. Oświadczył przy tym, że jest bardziej niż słuszne, aby jego wrogowie w ten sposób pośrednio zapłacili żołd jego armii, i dał słowo cesarskie, że zwróci mi te pieniądze, gdy tylko to będzie możliwe. Kiedy więc otrzymam pieniądze od cesarza, zapłacę wam waszą część — cztery tysiące pięćset pięćdziesiąt pięć dukatów, z czego wy macie dać memu cyrulikowi jego dziewięćset jedenaście dukatów.

Ta niewdzięczność i niesprawiedliwość oburzyła mnie do głębi i rzekłem gwałtownie, że żądamy przynajmniej naszego udziału w tysiącu stu dukatów, które pan de Lannoy otrzymał gotówką. Suma ta powinna zostać uczciwie podzielona, stosownie do porozumienia, a kwota pożyczona cesarzowi musi zostać zapisana na nasze wspólne konto. Pan de Lannoy westchnął głęboko i odparł:

— Przypuszczałem, że tak będzie, ale jako szlachcic i księżę nie rozumiem się może zbyt dobrze na interesach pieniężnych. Zrazu myślałem zupełnie szczerze, że mam pełne prawo zatrzymać resztę pieniędzy jako zaliczkę na mój udział. Toteż postanowiłem spróbować szczęścia i jeszcze tego samego wieczoru zacząłem grać w kości z kilku szlachetnymi panami. Udało mi się kilka rzutów, ale skończyło się na tym, że przegrałem tysiąc dukatów. Jeśli zatem upieracie się przy waszej interpretacji, pozostaje do podziału sto dziesięć, dukatów, i jestem gotów podzielić tę sumę stosownie do porozumienia.

Odrzekłem gorzko, że nie miał wcale prawa grać w kości za nasze pieniądze, ale on bronił się gwałtownie mówiąc, że możemy tylko winić jego niepowodzenie w grze, bo gdyby miał szczęście, przyiszczałby się z nami wygraną zrozumiawszy, że grał także naszymi pieniędzmi.

Nie było rady i dalsza rozmowa mogła go tylko rozsierdzić. Podzieliliśmy więc pieniądze uczciwie. Pan de Lannoy zatrzymał pięćdziesiąt pięć dukatów, cyruлик dostał jedenaście, a my z Antti resztę, to jest po dwadzieścia dwa. Antti orzekł, że mogło być jeszcze gorzej, ja jednak nie byłem w stanie przez wiele dni otrząsnąć się z rozczarowania i wciąż liczyłem w głowie i na papierze, że powinniśmy byli dostać po tysiąc osiemset dwadzieścia dwa dukaty każdy i byłibyśmy bogatymi ludźmi.

Nie zostało nam zatem nic innego, jak czekać na wynagrodzenie od cesarza, i zacząłem powoli rozumieć uczucia, jakie żywił markiz de Pescara, gdy po bitwie pod Pawią na próżno czekał miesiąc po miesiącu na nagrodę i uznanie za to niewiarygodne zwycięstwo, które było jego wyłączną zasługą. I czekaliśmy przez całe dwa miesiące, zanim cesarz raczył nas sobie przypomnieć.

Nie muszę opowiadać o tych dwóch miesiącach czekania, bo cały świat wie przecież, że król Franciszek zachorzał w Alcazarze na melancholię i groziło, że śmierć jego unicestwi

wszystkie plany cesarza. Każdy też przypomina sobie, jak to uczona siostra królewska, ówczesna księżniczka, a obecnie królowa Małgorzata z Nawarry, przybyła z Francji do łoża chorego brata, przywożąc z sobą cały bukiet najpiękniejszych młodych dam francuskiego dworu, aby pocieszyć króla w jego głębokiej melancholii.

Te najpiękniejsze damy Francji robiły, co tylko mogły, aby skłonić króla do pozostawania w łożu i aby mu się choroba nie dłużyła. A cesarz godził się na to chętnie, gdyż takie spędzanie czasu sprzyjało przywróceniu jego królewskiemu więźniowi chęci życia i szybkiemu uwolnieniu go od melancholii. Także i wiele szlachetnych dam hiszpańskich chętnie pomogłoby królowi odzyskać zdrowie, gdyż był uważany za najdzielniejszego rycerza chrześcijaństwa, ale na to cesarz się nie godził, z obawy przed kłopotami i trudnościami, jakie by wynikły, gdyby król na pamiątkę niewoli w Hiszpanii zostawił po sobie wielu wymagających bastardów.

W każdym razie z początkiem listopada król wrócił do zdrowia, a jego siostra opuściła Hiszpanię nic nie wskórawszy w sprawie złagodzenia sytuacji więźnia. Wtedy król Franciszek chwycił się ostatniego sposobu i zagroził, że zrzeknie się korony francuskiej na rzecz swego małoletniego syna. Gdy o tym usłyszałem, przekupiłem pana de Lannoy ostatnimi dukatami i skłoniłem go, aby przypomniał cesarzowi o naszej sprawie, bo rozumiałem, że jest tylko kwestią czasu, nim wybuchnie wojna, i że wtedy nie będzie już żadnych nadziei na łaskę cesarza.

I cesarz nie złamał słowa, lecz pozwolił panu de Lannoy pewnego wieczoru zabrać mnie na dwór i udzielił mi audiencji w swoim gabinecie. Zapytał o imię moje i Antiego i kazał sekretarzowi wypisać je na gotowym dokumencie opatrzonym cesarską pieczęcią.

— Rozpatrzyłem waszą sprawę — oświadczył — i mimo pewnych skrupułów postanowiłem was wynagrodzić, i to szczerzej, niż oczekiwaliście — jako że nie przystoi cesarzowi być dłużnikiem morderców i rabusiów. Dowiedziałem się niedawno, że pewien świniopas imieniem Pizarro szykuje właśnie ekspedycję do Panamy w Nowym Świecie. Wierzy on, że znalazł wreszcie drogę do kraju Eldorado, gdzie ścieżki w ogrodach wysypane są złotym piaskiem. Nazywa on ten kraj Biro lub Peru. Z powodu moich licznych trudności nie mogę mu posłać żołnierzy, okrętów, koni i osłów, o które mnie prosi, i prawdę mówiąc, mam już dość niepotrzebnego wyrzucania pieniędzy na przedsięwzięcia, z których więcej kłopotów jak korzyści. Wolę bowiem jeden statek w porcie z ładunkiem korzeni niż dziesięć naładowanych złotem i drogimi kamieniami, które jednak zawsze w jakiś dziwny sposób wpadają na mielizny, giną i toną w morskiej głębinie. Nie mogę więc pomóc panu Pizarro w inny sposób, jak tylko posyłając mu was obu. Okazując to pełnomocnictwo, możecie na wiosnę za darmo odpłynąć do Panamy, ale musicie na własny koszt postarać się o ekwipunek, przede wszystkim zaś o konie, bo dzicy Indianie boją się koni najbardziej.

. Rzucił na mnie spojrzenie i spostrzegł widocznie mój okropny zawód, bo spieszenie dodał: — Przeczytaj uważnie tę cenną koncesję, którą daję ci w nagrodę, bo poza wolnym przejazdem do Nowego Świata gwarantuję ci tam większe przywileje, niż je mają hiszpańscy grandowie w starym i ciasnym świecie. Dokument ten nadaje ci gubernatorstwo prowincji w Peru, która zostanie ci przydzielona na podstawie porozumienia z Pizarrem. Daje ci on też prawo eto wszystkiego, co zdobędziesz mieczem, pod jednym warunkiem, że będziesz nawracał Indian na chrześcijaństwo i uczył ich uprawy roli, hodowli korzeni i wydobywania rudy srebrnej i złotej z gór i że nie będziesz miał naraz więcej jak cztery tysiące Indian jako niewolników. Natychmiast po podbiciu tego kraju musisz na własny koszt postarać się o fachowego prawnika z Hiszpanii, który będzie dozorował twej działalności w moim interesie.

Mówił jeszcze o podatkach i daninach, i dziesięcinach, o możliwości uszlachcenia w przyszłości mnie i mojego potomstwa. W końcu sekretarz wręczył mi dokument koncesji, wraz z przywieszoną do niego częścią, i nie pozostało mi nic innego, jak ugiąć kolano przed



cesa rzem i wycofać się z komnaty z bezwartościowym dokumentem jako jedynym wynagrodzeniem za trudy, jakie poniosłem w służbie cesarskiej. Ze łzami w oczach poszedłem prosto do oberży, gdzie czekał na mnie Antti w towarzystwie małego cyrulika, z którym mieliśmy podzielić się łupem.

Niech mi będzie wybaczone, że wydałem ostatnie sztuki srebra, aby upić się tak, że w końcu głośno zacząłem przeklinać skąpstwo i niewdzięczność cesarza. I wcale nie ja jeden tak robiłem, gdyż wielu z życzliwych bywalców oberży przyłączyło się do moich przekleństw. W mówiąc, że łatwiej wycisnąć krew z kamienia niż pieniądze z cesarza.

Gdy tak kłąłem i pieniłem się, waląc pięścią w stół w bezsilnej pasji i plamiąc winem cesarską koncesję, podszedł do mnie Hiszpan, którego strój nie wyróżniał się niczym szczególnym, ale którego miecz robił rzeczywiście imponujące wrażenie. Wziąwszy dokument ze stołu, przeczytał go starannie, z trudem przebijając się przez cały tekst, po czym spojrzał na mnie płonącymi oczyma i zapytał:

— Ile chcesz za ten dokument?

— Boże zmiłuj się nade mną — odparłem. — Czyżbym istotnie znalazł się w kraju wariatów? Nie chcę nic za ten nieszczęsny papier, bylebyś mnie tylko od niego uwolnił i przyrzekł wykonać obowiązki, które zawiera. Dokument ten bowiem zobowiązuje nas do wstąpienia na okręt cesarski z dwoma końmi, pełnym ekwipunkiem, fuzjami i inną bronią oraz potrzebnym prowiantem.

— Nazywam się Simon Aguilar — rzekł nieznajomy — i pamiętaj.

O mnie w twoich modlitwach, których zdaje się będę potrzebował. Nie zamierzam przed tobą ukrywać, że we właściwych rękach — a myślę, że mogą to być moje ręce — ten dokument uczyni swego posiadacza bogatym i potężnym. Pozwoli mi on też zabrać z sobą młodszego brata, jeśli uda mi się uwolnić go z więzienia w zamian za to, że wyjedzie do Nowego Świata. Jeśli zostanie tutaj, obetną mu nos i uszy, ku wielkiej hańbie naszej rodziny.

— Bierz ten papier w imię boże — odrzekłem. — Nie będzie on cię kosztował więcej jak wynagrodzenie notariusza za podpis i pieczęć, które w legalnej formie przeniosą na ciebie moje prawa i obowiązki.

Świadkowie znaleźli się pod ręką i szybko załatwiliśmy formalności, po czym Simon Aguilar uściskał nas obu i obiecał o nas pamiętać, gdy zostanie księciem i grandem w Nowym Świecie. I nie trzeba mi już było jego płomiennego spojrzenia na dowód, że biedak był zupełnie pomyłony i widocznie francuska choroba uderzyła mu do głowy.

Następnie zaś wróciliśmy jak niepyszni do domu pana de Lannoy.

Wydaje się, że przechwałkami i przekleństwami w oberży zwróciliśmy na siebie uwagę i ktoś nas musiał szpiegować, bo ledwie następnego dnia rano zdołaliśmy bolące od przepicia głowy podstawić dla otrzeźwienia pod strumień fontanny, gdy podszedł do nas jakiś kapitan w kapeluszu z piórami i zapytał, czy zechcielibyśmy napić się z nim wina, aby pomówić o pewnym dobrym interesie.

Zaprowadził nas jednak nie do oberży, lecz do domu bez okien, położonego tuż przy murach miasta, i przeprosiwszy za tak odległe i podejrzane miejsce spotkania, wyjaśnił, że z pewnych powodów pragnie unikać ludzkich oczu. Nazywa się Emilio Cavriano, pochodzi z Mantui i przybył do Hiszpanii w służbie króla Francji z listami i podarunkami, które miały dodać królowi otuchy. Gdy już wypiliśmy sporo wina, gospodarz nas zapytał, czy rzeczywiście poważnie przeklinaliśmy niewdzięczność cesarza i czy bylibyśmy gotowi przejść na służbę innego pana, gdyby ten ofiarował nam lepszą zapłatę za nasze usługi.

Odparłem, że zbyt jawnie przeklinałem cesarza i że żałuję tego z całego serca, ale Antti oświadczył, że jako uczciwy J^ncknecht gotów jest sprzedać swój miecz i przysiąc wierność temu, kto zapłaci najwięcej, byleby tylko nie musiał wybierać się za morze do krajów •pogańskich, lecz mógł walczyć jak dobry chrześcijanin z dobrymi chrześcijanami. Kapitan Cavriano zaznaczył zaraz, że nie chodzi tu nawet o walkę. Przedsięwzięcie, o którym mówi,

wymaga przede wszystkim wierności, dyscypliny i umiejętności jazdy konnej. Aby upewnić się co do naszej dyskrecji, zapłacił nam po trzy dukaty zadatku i przyjął od nas przysięgę na wierność królowi francuskiemu przez okres miesiąca. A gdy już złożyliśmy przysięgę, rzekł: — Chodzi tu o rzecz tak wielką, że przysięgi nie znaczą wiele, ale gdybyście mnie zdradzili lub chcieli uciec, nie cofnę się przed zabiciem was. Obaj jednak doświadczyliście sami, jakie podziękowanie spotyka człowieka ze strony cesarza, a królewska nagroda, która was czeka, wiąże was ze mną jeszcze pewniej niż wszystkie przysięgi.

Następnie wyjaśnił nam, że chodzi tu ni mniej, ni więcej tylko o to, aby pomóc królowi Franciszkowi w ucieczce z zamku Alcazar i przeprowadzić go przez granicę, do Francji. Sama myśl o tym przeraziła mnie tak, że przeżegnałem się krzyżem. On jednak zapewnił nas, że każdy, kto zaryzykuje życie dla króla Franciszka, zostanie bogatym człowiekiem, nie mówiąc już o honorze i zaszczytach, jakie osiągnie i łasce królewskiej.

Plan był prosty. Co wieczora, od czasu nastania chłodów jesiennych, do izby, w której więziono króla w Alcazarze, przychodził niewolnik Murzyn, aby napalić w kominku. I nikt nie zwraca uwagi na to, kiedy przychodzi albo wychodzi, bo jest to tylko prosty Murzyn. Wystarczy, aby król poczercił sobie twarz sadzą i przebrał się w dobrze znany strój Murzyna, i może pod osłoną wieczornego mroku opuścić zamek, kiedy mu się spodoba. Murzyn jest przekupiony i król będzie miał całą noc na ucieczkę do granicy Francji. W odpowiednich miejscach czekać będą świeże konie i cała jazda hiszpańska nie zdoła dopędzić najlepszego jeźdźca Francji, gdy zdobędzie on noc przewagi.

— Skoro wszystko jest przygotowane i Murzyn przekupiony, a konie stoją w pogotowiu, to po co wam właściwie nasza pomoc i za co chcecie nam zapłacić? — wtrącił Antti.

Kapitan wyjaśnił, że zmarnowano wiele cennych dni, bo król chciał raz jeszcze zaapelować do szlachetności cesarza, aby skłonić go do złagodzenia warunków pokoju. W tym czasie sprzysiężeni kapitana Cavriano ponieśli sporo strat. Jednego z nich zabito w pojedynku, innego znów przytrzymano za nie zapłacone rachunki, trzeci złamał nogę, gdy go wyrzucano z zamtuza, a czwarty po pijanemu paplał tak nieostrożnie, że go musieli zakłuć sztyletem. Trzeba też koniecznie żeby ktoś jeszcze raz upewnił się, czy konie czekają na umówionych miejscach. Co się zaś tyczy samej ucieczki, kapitan musi mieć do pomocy silnego i dzielnego mężczyznę w razie, gdyby jakieś niepowodzenie uczyniło koniecznym użycie siły.

Uzgodniliśmy więc, że ja pojedę do granicy oczekiwać Jego Królewską Mość na brzegu rzeki naprzeciwko Bajonny, aby przewieźć go łódką na drugą stronę, gdy tylko przybędzie. Antti natomiast miał towarzyszyć królowi z Alcazaru do miejsca, gdzie czekały pierwsze konie. Kapitan Cavriano dał mi jeszcze mapkę, pokazującą, gdzie były rozstawione świeże konie, podał mi hasła i wręczył dwadzieścia dukatów na wypadek, gdyby któryś z jego ludzi, znużony daremnym czekaniem, przepił konie albo zadłużył się w jakiś inny sposób. W razie nieotrzymania ode mnie żadnego ostrzeżenia ucieczka do granicy miała się zacząć o pełni księżyca.

Nazajutrz pożegnaliśmy się z panem de Lannoy, mówiąc, że wreszcie wybieramy się w pielgrzymkę do klasztoru Santa Maria di Compo-stella, a on rozstał się z nami z wyraźną ulgą, zwłaszcza że nie prosiliśmy go o nic.

Pełen mrocznych przeczuć jechałem od jednej zmiany koni do drugiej; bojąc się rabusiów i wilków. Ale opatrność sprzyjała mi i czuwała nade mną, i cało przybyłem do granicy w pobliżu miasta Bajonna, nie wydawszy w drodze więcej niż trzy dukaty na najbardziej nieodzowne rzeczy. Dla bezpieczeństwa za dnia przebywałem po francuskiej stronie granicy i dopiero w nocy przeprowałem się łodzią przez rzekę na hiszpańską stronę i ukrywałem w szuwarach. Księżyc wszedł w pełnię na dwie noce przed moim przybyciem, gdyż ze względu na piaska jechałem niezbyt szybko, toteż spodziewałem się króla najdalej za trzy, cztery doby. Niestety jednak i to przedsięwzięcie skończyło się na niczym, bo już na drugi dzień zobaczyłem z francuskiego brzegu rzeki grupę około dziesięciu krzyczących i przeklinających

mężczyzn, która wpadła galopem na przystań promu, pędząc przed sobą stado koni. Jeźdźcy wymachiwali bronią i wystraszyli celników oraz zmusili przewoźnika, aby przeprowadził ich promem na drugi brzeg. Konie, dla których zabrakło miejsca na promie, trzymane za grzywy, przepłynęły rzekę wpław za promem. Gdy prom zbliżył się do francuskiego brzegu, rozpoznałem Antiego, podbiegłem do niego i zapytałem, co na miłość boską to wszystko znaczy i gdzie jest król. Odparł krótko, że o ile mu wiadomo, król Franciszek wciąż jeszcze siedzi w wieży w zamku Alcazar, jeśli nie został przeniesiony do innego pewniejszego więzienia.

Dopiero gdy znaleźliśmy się wraz z końmi w bezpieczniejszej odległości od granicy i wjechaliśmy do Bajonny Antti opowiedział mi, że kapitan Cavriano został schwytany i uwięziony, a cały plan ucieczki zdemaskowany skutkiem przesadnej dumy i zarozumiałstwa francuskich panów. Jeden z nich, należący do królewskiej świty, członek rodu de Montmorency, wymierzył policzek wiernemu królewskiemu kamerdynerowi, gdy ten przypadkiem potrafił go łokciem. Kamerdyner Clemens, głęboko zraniony, nie mogąc z powodu swego niskiego rodu domagać się zadośćuczynienia z bronią w ręku, natychmiast pobiegł wyjawić cały plan ucieczki cesarzowi.

Na szczęście dla Antiego cesarz nie chciał z początku wierzyć, że arcychrześcijański monarcha mógł uknuć tak haniebną plan. Toteż gdy kapitana Cavriano poddano przesłuchaniu, Antti zabrał jego konia i spokojnie odjechał do granicy. Nie znając postojów rozstawnych koni, zatrzymywał się w każdej wiosce, gdzie zobaczył podejrzenie wyglądające typy, i w ten sposób uratował konie i ludzi z dziesięciu zmian, co świadczyło o jego nadzwyczajnej przenikliwości, bo wszystkich zmian było czternaście. Uważał bowiem, że szkoda, by dobre konie wpadły w ręce cesarza.

Ledwie uciekinierzy odsapnęli i podjedli sobie trochę, wybuchła tak gwałtowna kłótnia o podział koni, że musieliśmy się przenieść do lasu pod miastem, żeby załatwić sprawę. I przykro mi wyznać, że nie obeszło się bez gwałtu, gdyż Antti zmuszony był zabić dwóch najbardziej nieprzejednanych awanturników, a ja zraniłem jednego z fuzji, zanim reszta zrozumiała, że Antti jako jedyny legalny następca Cavriano ma prawo wybrać najlepsze konie. Dopiero po tym pożałowania godnym zajściu udało nam się szybko i w najlepszej zgodzie podzielić konie między siebie, przy czym każdy dostał po dwa, a Antti cztery. Dzięki temu wyszedłem z tej historii wcale nie najgorzej, gdyż oprócz siedemnastu dukatów, które zaoszczędziłem w drodze, i trzech dukatów zaliczki na żołd zarobiłem jeszcze czterdzieści osiem francuskich złotych dukatów, sprzedając jednego konia w Bajonnie, a drugiego w Lyonie.

Pojechaliśmy bowiem wraz z Anttim najkrótszą drogą do Lyonu i przybyliśmy tam w porę, aby święcić Boże Narodzenie. Królowa wdowa i cały dwór francuski wciąż jeszcze przebywali w tym mieście, tak że ciasno było w gospodach, ale za to dostaliśmy dobrą cenę za konie. Poszliśmy na pasterkę, a potem najadłszy się i napiwszy, zaczęliśmy się zastanawiać, czy pani Genowefa przybyła już w jesieni z Wenecji do Lyonu z niejakim kupcem Rotbartem. Rozpytywaliśmy o nią w wielu gospodach, ale Lyon jest miastem dużym i nigdy byśmy jej nie znaleźli, gdyby Anttiemu po dwóch dniach bezowocnych poszukiwań nie przyszło do głowy pójść do zamtuza i zapytać o najlepsze i najgłośniejsze kurtyzany.

Uważałem to za niewłaściwe i obraźliwe dla czci pani Genowefy. Ale już w pierwszym zamtuzie dowiedzieliśmy się, że jakaś bezczelna i chciwa niewiasta przybyła w listopadzie z Wenecji, aby współzawodniczyć ze starymi i przyzwoitymi zamtuzami w Lyonie. Przywiozła ona z sobą dziewczęta ze Wschodu i wynajęła dom blisko murów miejskich. I nic nie wskórawo oskarżeniami o nieuczciwą konkurencję, gdyż szlachetni panowie z królewskiego dworu odwiedzali tę niewiastę, a Kościół otrzymał od niej szczodre dary. Szacowna właścicielka zamtuza, która udzielała nam wyjaśnień, ostrzegła nas, abyśmy tam nie chodzili,

strasząc, że stracimy pieniądze i nabawimy się wstydliwych chorób oraz poznamy występki Wschodu, które nie przystoją chrześcijaninowi, jeśli pragnie zachować zbawienie duszy.

Bez trudności znaleźliśmy otoczony murami tajemniczy domek. Gdy zapukaliśmy do drzwi, otworzył nam Murzyn, odziany w czerwień i złoto, ale rzuciwszy okiem na naszą odzież, nie chciał nas wpuścić do wnętrza i próbował zamknąć nam drzwi przed nosem. Antti był jednak silniejszy od niego, tak więc utarłszy nosa Murzynowi, weszliśmy do środka i oto zaalarmowana hałasem wyszła nam naprzeciw pani Genowefa we własnej osobie, jeszcze piękniejsza i wspanialej odziana niż kiedykolwiek. Poznawszy nas, nie okazała jednak zbyt wielkiej radości, lecz zaczęła przeklinać, że przerwaliśmy jej popołudniowy odpoczynek i pobiliśmy Murzyna. Mimo to zaprosiła nas w końcu na wino i owoce do komnaty wystanej miękkimi dywanami i ozdobionej weneckimi zwierciadłami. A gdy się trochę udobruchała, opowiedziała nam o swoich losach.

— Nigdy nie przypuszczałam, że w taki brzydki sposób zostawicie mnie na łodzi i każecie męczyć się w towarzystwie tego niemieckiego piwowara — skarżyła się. — Ufałam wam i myślałam, że z waszą pomocą go się pozbędę. Toteż łałam gorzkie łzy otrzymawszy list od Mikaela i postanowiłam nigdy w życiu nie ufać żadnemu mężczyźnie. Gdy piwowar ufarbował włosy i brodę znakomitą farbą, jaką można dostać tylko w Wenecji, i gdy zmienił nazwisko, zaczął z dnia na dzień robić się coraz nieznośniejszy i skąpszy i zdręczać mnie objawami czułości i wiecznym namawianiem, żebym jechała z nim na Węgry. Towarzystwo tego skąpego i zazdrośnego człowieka zatruwało mi wszelką radość życia, ale musiałam wszak myśleć o przyszłości mojej i moich dzieci. Jakkolwiek wciąż jeszcze stanowią największą ozdobę mego domu, nie jestem już całkiem młoda i każdy wysiłek nadweręża moje siły i zmniejsza odrobinę mój czar. Toteż muszę zręcznie i oszczędnie używać kapitału, który dał mi Stwórca przy urodzeniu, i w porę starać się zdobyć pieniądze wszelkimi środkami. Myśli o tym zaczęły mnie dręczyć w Wenecji, postanowiłam więc wyrzec się wszelkiej lekkomyślności i poważnie zbudować sobie przyszłość na trwałych podstawach, gdy tylko pozbędę się niewdzięcznego piwowara.

Pani Genowefa westchnęła na wspomnienie trudów i kłopotów, które musiała znieść, i ciągnęła:

— Ciągle się martwiłam, że chudnę i brzydnę, tym bardziej że ten obrzydliwiec wciąż zwlekał z wymianą weksli na gotówkę. Ale wreszcie zmuszony był na szczęście wymienić je, aby udać się na Węgry. Gdy nalegał, abym mu towarzyszyła do tego dzikiego i przez Turków stale zagrożonego kraju, nie pozostało mi jako słabej niewieście nic innego, jak prosić o pomoc i radę pewnego rycerskiego oficera arsenału. Jego wojenna galera miała właśnie podnieść kotwicę, udając się w daleką drogę, i brak mu było przyjaciela, który dałby mu trochę rozrywki i złagodził ból rozłąki z krajem. Gdy dowiedział się o mojej sprawie, przyrzekł mi dopomóc. Spoił mistrza Rotbarta winem, do którego domieszałam nasennego środka, a po spędzeniu ze mną przy jemnej nocy kazał swoim ludziom zanieść pogrążonego w głębokim śnie piwowara do gondoli i zawiózł go na swoją galerę, gdzie go wciąż jeszcze śpiącego przykuto do ławy wiosłarzy. Do łez uśmieśliśmy się oboje na myśl, jaką minę zrobi mistrz Eimer, gdy się zbudzi od uderzeń bicza daleko na pełnym morzu.

— Droga pani Genowefo — wtrąciłem przerażony. — Nie śmiejmy się z losu mistrza Eimera, lecz raczej pomódlmy się za jego biedną duszę, bo praca galernika wcale nie jest lekka, i nie wydaje mi się, żeby zasłużył on na swój gorzki los.

— Dawno już powinniście byli zrobić to dla mnie i poderżnąć mu gardło — odrzekła twardo pani Genowefa — gdyby tylko ten skąpiec nie oszukał mnie i nie ulokował swoich pieniędzy w tych nieznośnych wekslach. Tak oto zostałam jego spadkobierczynią, i to w sposób nie wzbudzający żadnych podejrzeń, gdyż wszyscy wiedzieli, że wybierał się na Węgry, i jego zniknięcie nikogo nie zdziwiło. Za pieniądze piwowara kupiłam u tureckiego handlarza trzy

młode dziewczęta bez żadnej wady oraz sporo pięknych mebli, dywanów i zwierciadeł i wysłałam to wszystko morzem do Marsylii. A po przybyciu do Lyonu urządziłam tymi rzeczami ten dom, gdzie przyjmuję szlachetnych panów i rycerzy, którzy mogą zapłacić dziesięć dukatów i więcej za spędzenie tu nocy.

Klasnęła w dłonie i natychmiast do komnaty weszły trzy młode dziewczęta o twarzach zasłoniętych welonami, odziane w przezroczyste wschodnie szarawary. Jedna z nich była niemal zupełnie czarna, druga brunatna, a trzecia, najpiękniejsza, miała skórę szarawą, wpadającą w kolor zielonkawy. Dotknęły czoła i piersi koniuszkami palców i skłoniły się głęboko, gotowe nas obsłużyć, a pani Genowefa rzekła:

— Nie potrzebują nosić tych welonów, bo je ochrzciłam i nauczyłam modlić się po chrześcijańsku, licząc, że mi to będzie policzone jako zasługa na Sądzie Ostatecznym. Ale wciąż jeszcze wstydzą się pokazywać twarze obcym mężczyznom i chętniej obnażają ciała niż oblicza. Wzbudziły tutaj wielką sensację wśród szlachetnych panów i wielu z nich chętnie zapłaciłoby dukata, żeby skłonić je do zdjęcia welonu z twarzy. Żądze mężczyzny są bowiem dziwne i nic nie kusi ich więcej jak to, co zakazane i niedozwolone. Prawdę mówiąc, nabieram coraz większego zrozumienia dla różnych przedziwnych upodobań, odkąd pożegnałam się z lekkomyślnością i zaczęłam myśleć o przyszłości. I sądzę, że niebawem potrafię spełnić zachcianki nawet prałatów i kardynałów, którą to sztukę posiadły jak dotąd tylko rzymskie kurtyzany.

Gdy na moją prośbę pani Genowefa odesłała w końcu dziewczęta, opowiedziała nam dalej, że osiedliwszy się w Lyonie sprowadziła dzieci z Tours i umieściła w pobliskiej wiosce, gdzie odwiedza je codzien nie i zabiera z sobą na mszę, oraz że najęła księdza, który będzie je uczył czytać i pisać.

Mówiła o swym haniebnym zawodzie jako o czymś tak prostym i naturalnym, że nie mogłem znaleźć słów, aby się jej przeciwstawić. A gdy się jej przyglądałem, zaczęła mnie dręczyć zazdrość na myśl, jak okropnie mnie oszukała. Toteż poprosiłem Anttiego, żeby nas zostawił samych, po czym gwałtownie zacząłem robić pani Genowefie wyrzuty i pytać, gdzie się podziąła miłość, którą jeszcze w Norymberdze poprzysięgła mi tysiącem czułych przysiąg. Ona jednak równie gwałtownie odpierała moje zarzuty, mówiąc:

— Niewątpliwie kochałam cię, Mikaelu, ale płomień mojej miłości zgasł, gdy zostawiłeś mnie na lodzie. Musisz za to winić tylko siebie samego. Nie dotykaj mnie, bo pożegnałam się już z wszelką lekkomyślnością i dbam więcej o własną przyjemność, gdyż muszę się oszczędzać dla gości, dostatecznie bogatych i szczodrych, żeby kupić moje łaski.

Wtedy opadły mi łuski z oczu i zobaczyłem całą podłość tej kobiety. Zrozumiałem, że kusiła mnie tylko miłością, abym zaślepiony nią zabił mistrza Eimera. Toteż z odrazą odepchnąłem ją, gdy spróbowała pogłodzić mnie po policzku. Aby mnie udobruchać, ofiarowała mi stanowisko rajfura, mówiąc, że chce Anttiego zrobić odźwiernym. Wtedy wpadłem w taki gniew, że przeklinając tę kobietę bez sumienia i posyłając ją do piekła, opuściłem jej dom nie omieszkawszy wychodząc dać kopniaka Murzynowi.

Antti wrócił dopiero wieczorem i udało mu się poskromić mój gwałtowny gniew i złagodzić gorzki zawód. I nazajutrz dałem się nakłonić, aby w towarzystwie pani Genowefy odwiedzić jej dzieci, bo byłem ciekaw naszego syna. Muszę przyznać, że w tej materii pani Genowefa nie kłamała, bo chłopiec miał sensne oczy Anttiego i taki sam czub jasnych włosów na ciemieniu. Dziewczynka też była ładna i pociągająca, miała puciołowate i czerwone policzki, złote loczki i błyszczące oczka, a pani Genowefa prorokowała z dumą, że kiedyś przyniesie ona chlubę matce. Mała tak mocno objęła mnie za szyję pulchnymi ramionami i tak wdzięcznie bawiła się z Raelem, że serce zmiękło mi i dałem jej błyszczącego złotego dukata, aby nie zazdrościła braciszкови, który dostał od Anttiego chodzącego osiołka, przywiezionego aż z dalekiej Norymbergi.

W taki to sposób udało się pani Genowefie związać mnie z sobą iowu poprzez dzieci. Nie mogłem czynić jej zbyt wielu wyrzutów, że za pomocą jedyne go zawodu, w którym była biegła, usiłuje zapewnić tak uroczym dzieciom dobrą przyszłość.

351 Lyon był miastem bogatym. Życie było tam przyjemne, jedzenie i wino doskonałe, a czas biegł niepostrzeżenie jak wartki strumień, bo nie mieliśmy z Anttim żadnego określonego celu, i jedno miasto było dla nas równie dobre jak drugie.

Pewnego pięknego dnia pani Genowefa opowiedziała nam, że przez całą noc zajęta była niesieniem ukojenia jakiemuś bardzo nieszczęśliwemu i przygnębionemu panu z królewskiego dworu. Miał on udać się w tajnej misji do Konstantynopola, który Turcy na sposób pogański zaczęli nazywać Stambułem. A w Konstantynopolu czekało go spotkanie z wielkim wezyrem sułtana Ibrahimem, a może być nawet z samym sułtanem. Otrzymał w tym celu glejt sułtański, ale nawet najbardziej wyrafinowane sztuczki pani Genowefy nie mogły mu przynieść ukojenia, gdyż poprzedni wysłannik francuskiego dworu do Turcji został okrutnie zamordowany w górach dalmatyńskich, gdy z Raguzy chciał udać się łądem do Konstantynopola.

— Cóż, na miłość boską, ma dwór arcychrześcijańskiego króla Francji do czynienia z największym wrogiem chrześcijaństwa? — zapytałem wstrząśnięty.

— O ile rozumiem — odparła pani Genowefa niewinnie — królowa wdowa proponuje sułtanowi w imieniu króla Franciszka przymierze z Francją i podburza go do chwycenia za broń przeciw cesarzowi. Równocześnie Ojciec Święty i państwa włoskie też zbroją się do wojny. Tajne negocjacje prowadzone są już od dawna, od klęski Francji, i sułtan obiecał Francuzom pomoc.

Nigdy jeszcze nie słyszałem nic tak strasznego i haniebnego i nie wątpię, że bliski jest koniec pokoju na świecie, gdy arcychrześcijański monarcha francuski szuka przymierza i prosi o pomoc największego wroga chrześcijaństwa. Pczułem, że się duszę w pachnącym wonnościami domu pani Genowefy i że jeśli tam zostanę choć chwilę dłużej, honor i uczciwość zginą we mnie do reszty. Łaknąłem świeżego powietrza i bez słowa pożegnania wypadłem z domu i do późnego wieczora błąkałem się po ulicach, zanim udało mi się odzyskać równowagę.

Tegoż wieczora powiedziałem do Antiego:

— Wstańmy o pierwszym kurze i opuśćmy Francję jak najszybciej, bo obawiam się, że ten kraj dotknie najstraszniejsza kara boska za wiarołomstwo jego króla.

A na to Antti:

— Choć raz mówisz mądrze, Mikaelu. Opatrzność pobłogosławiła ten kraj zbyt dobrym winem i biedak taki jak ja nie może się temu oprzeć, tak że wnet przepiję wszystkie pieniądze. Toteż zaczynam tęsknić za hukami dział i uczciwą wojenką, która daje porządnemu człowiekowi jaką taką dobrą sławę, niezgorszy łup, a nawet i honor, jeśli uda mu się wybrać stronę wygrywającą.

Opasaliśmy więc nasze lędziewie i wyruszyliśmy z bogatego i zepsutego miasta Lyonu, i przy bramie miasta otrząsnąłem proch jego z moich stóp, drżąc na myśl o czekającym je losie Sodomy, gdy puchar boskiego gniewu wypełni się po brzegi. Po dłuższej wędrówce przeprawiliśmy się przez potężną rzekę Ren i dotarliśmy do pięknego i uczonego miasta Bazylei, gdzie budynki nowego uniwersytetu jak gniazda jaskółcze uwieszone były na stromym wzgórzu, a zza nich sterczała ostra wieża katedry. Zajechaliśmy do gospody „Pod Trzema Królami”, i życie w tym wolnym i żywym mieście spodobało mi się do tego stopnia, że postanowiłem jeszcze raz zapisać się na uniwersytet, aby nabrać pożytecznych wiadomości, dopóki starczy mi pieniędzy.

W mieście Bazylei dużo było wielkich drukarń. W ich oficynach spotkać było można wielu uczonych mężów. Sam wielki Erasmus znalazł w Bazylei schronienie, gdy fanatyczni studenci obalili jego katedrę na uniwersytecie w Louvain, gdzie oskarżono go o herezję. Księgarze bazylejscy pozwalali nawet biednym studentom przeglądać i czytać nowe książki. I

nigdzie nie można było szybciej i pewniej dowiedzieć się o wszystkich zdarzeniach na świecie, bo to wolne miasto Szwajcarskiej Konfederacji leżało na skrzyżowaniu dróg handlowych, na granicy między Francją i księstwami niemieckimi, oraz w pobliżu Włoch.

W czasie tej bogatej w wydarzenia wiosny król Franciszek, widząc, że cesarz jest niewzruszony, a wszystkie wysiłki francuskie bezowocne, postanowił wreszcie przyjąć warunki pokojowe. Zgodził się więc na wszystko, czego cesarz zażądał, i oddał dwóch synów jako zakładników i gwarancję pokoju, oprócz świętych przysięg i zapewnień przed ołtarzem i rycerskiego i królewskiego słowa. Ale zupełnie się nie zdziwiłem usłyszawszy, że gdy król Franciszek odzyskał wolność i wrócił do Francji, złamał te układy i obietnice i oświadczył, że przysięgi i słowa honoru dane w przymusowym położeniu nie mają żadnego znaczenia. Natychmiast po powrocie do Francji król osiedlił się w mieście Cognac, przyjął tam ambasadorów Ojca Świętego, Wenecji oraz innych państw włoskich, jako też Anglii i zawarł święte przymierze w celu rozpoczęcia nowej wojny z cesarzem. W lecie wojna ta była już w pełnym toku i zjednoczone wojska papieża, Florencji i Wenecji maszerowały na nieszczęśliwy Mediolan, którego mieszkańcy, bezwzględnie opodatkowani przez księcia Burbonu, równocześnie podnieśli chorągiew powstania. Markiz de Pescara zmarł bowiem i dowództwo nad wojskami cesarskimi objął książę Burbonu.

Wszystko wskazywało, że sprawa cesarza jest w tych okolicznościach przegrana, i Antti oświadczył, że woli raczej udać się na Węgry walczyć z Turkami, gdyż w ten sposób uzyska przynajmniej zbawienie dla swej nieśmiertelnej duszy, gdyby padł, słuchy zaś mówiły, że można tam zdobyć wspaniały łup na plądrujących kraj tureckich wojskach.

Zachęcałem go żywo i umacniałem w tym chwalebnym zamiarze. Gdyż w takim chaosie światowym chrześcijanin musi bić się z Turkami i tylko z Turkami, żeby mieć spokój sumienia i być pewnym, że walczy w słusznej sprawie, jakkolwiek w tej wojnie sułtan wyraźnie bił się u boku Ojca Świętego i króla francuskiego przeciw cesarzowi i dostosowywał do nich swoje działania wojenne. Słuchy głosiły bowiem, że Soliman zebrał wielką armię, która miała wkroczyć na Węgry, aby związać cesarza na południowym wschodzie, gdy wojska papieskie od południa maszerowały na Mediolan. Usłyszawszy to Antti powiedział:

— Piekło się rozpełtało i świat jest jeszcze bardziej zwariowany, niż kiedykolwiek sądziłem, choć w swoim czasie widziałem niejedno szaleństwo. Do licha, i ja mógłbym zostać luteraninem, gdy pomyślę, że papież w przymierzu z Turkami walczy przeciw dobrym chrześcijanom.

Ostrzegłem go, aby zachował tak niebezpieczne myśli wyłącznie dla siebie, szczególnie na Węgrzech, gdzie święcie wierzone, że Węgrzy walczą z Turkami właśnie dla świętego Kościoła i wiary katolickiej. Po czym rozstaliśmy się z sobą z żalem, a Antti pożyczył mi jeszcze dwadzieścia dukatów na studia uniwersyteckie w Bazylei, bo uważał za niepotrzebne nosić zbyt wiele pieniędzy przy sobie, a także był zdania, że spadek po nim zostanie w ten sposób zużyty na cel dobry i chrześcijański, gdyby nie powrócił z wojny. I ja bałem się okropnie, że widzę go po raz ostatni, gdyż z Wenecji i Węgier rozchodziły się na całe chrześcijaństwo straszliwe wieści o nieludzkich okrucieństwach Turków. Z powodu tego okrucieństwa Kościół święty pozwalał każdemu, kto padł w walce z Turkami, iść prosto do nieba, i to było dla mnie największą pociechą przy rozstaniu z Anttim.

Może być, że życie moje upłynęłoby spokojnie i uczciwie i może wytrwałą pracą osiągnąłbym wysoki stopień naukowy, gdybym nie spotkał raz jeszcze doktora Paracelsusa. Ale aby opowiedzieć o tym i o moim wyjeździe z miasta Bazylei, muszę zacząć nową księgą. I mam nadzieję, że tym razem będzie to ostatnia księga, którą napiszę o latach młodości, latach wędrówki, bo trudy pisania zaczynają wyczerpywać moje ciało. Jestem jednak wciąż jeszcze winien sprawozdanie, w jaki sposób wypełniłem przysięgę, którą

naiwnie złożyłem przy stosie żony mojej, Barbary, i dlatego będę ciągnął opowiadanie, choć powinienem zanurzyć pióro we krwi i pisać na czarnym pergaminie.

## CZEŚĆ DZIEWIĄTA SACCO DI ROMA

1

Doktor Paracelsus był już w owym czasie znany w całych Niemczech z wielu cudownych uleczeń i dzięki temu właśnie pewnego wieczoru całkiem nieoczekiwanie zobaczyłem go znowu w winiarni „Pod Trzema Królami”. Nie chcę naturalnie przez to powiedzieć, że spotkać go w szynku było czymś nader dziwnym, gdyż w takich miejscach czułem się najlepiej. Ale działo się to w Bazylei, a słuchy mówiły, że Paracelsus przebywa w mieście Strasburgu, daleko na północy, nad dolnym biegiem Renu.

Poznałem go natychmiast z wyglądu, choć mimo młodego wieku zaczął już łysieć i twarz jego poorana była troskami, trudami podróży i skutkami nadmiernego opilstwa. Podbiegłem, aby go pozdrowić i uścisnąć, on jednak przyjął mnie bardzo niechętnie, na co zacząłem mu robić gorzkie wyrzuty i przypominać czasy krwawej łaźni w Sztokholmie, kiedyśmy się poznali. Podałem swoje imię i przypominałem, że byłem kiedyś jego uczniem i pomocnikiem, a on spojrzawszy na mnie oczyma mętnymi od wina i rzekł szorstko:

— Dwudziestu jeden z moich uczniów i pomocników kat obwiesił już na szubienicy, co im się słusznie należało. Nie mam i nie miałem ani jednego wiernego adepta, który by wytrwał przy mnie dłużej niż trzy miesiące. Szpiegują mnie tylko, żeby wywiedzieć się moich nowych metod i leków, a potem uciekają, aby chwalić się po całym świecie, że brali u mnie naukę, i szkodzić mojej opinii swymi mizernymi umiejętnościami. Niech cię diabli wezmą, jeśli należysz do tego samego pomiotu.

. W końcu przypomniał mi sobie i zaczął wspominać dawne czasy, aż udobruchał się zupełnie i opowiedział mi, że słynny drukarz Frobenius sprowadził go z Strasburga, aby uleczył mu nogę z paraliżu. Niezdarni lekarze w Bazylei za jedyną możliwość uważali amputację nogi przy pomocy doświadczonego cyrulika, ale doktor Paracelsus był zdania, że potrafi wyleczyć Frobeniusa bez uciekania się do amputacji.

Pragnął jednak odświeżyć się winem po wyczerpującej podróży, zanim zobaczy się z pacjentem. Toteż spędziliśmy wieczór razem i pomogłem mu dostać się do izby w gospodzie, gdzie nie rozdzielając się, rzucił się na łożo i zapadł w głęboki sen.

Wszystko to zdarzyło się późnym latem. Mój pierwszy zapał do nauki zdążył już trochę ostygnąć i miałem dość łamania sobie głowy nad starymi foliantami w poszukiwaniu świadectw, które na uniwersytecie więcej znaczyły niż świadectwo własnych zdrowych zmysłów człowieka. Niepokój, który mnie nurtował, może być wytłumaczeniem, dlaczego ponownie poszedłem na naukę do doktora Paracelsa, jakkolwiek coraz to większe z biegiem lat zarozumialstwo i chorobliwa kłótniwość czyniły z niego człowieka trudnego w obcowaniu. Muszę jednak przyznać, że zachowanie doktora zmieniało się jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej, gdy stawał przy łożu chorego. Oblicze jego promieniowało łagodnością i siłą ducha, a samo dotknięcie zręcznych dłoni sprawiało chorym ulgę, tak że łatwo mu było zyskać ich zaufanie. W kilka tygodni udało mu się wyleczyć nogę starego drukarza, tak że amputacja okazała się niepotrzebna, i sława Paracelsa w Bazylei była tym samym ugruntowana. Pacjenci tłoczyli się przed jego izbą w gospodzie, a drukarz Frobenius i sam wielki Erasmus współzawodniczyli w pianiu pochwał na jego cześć w szerokim kole .swoich wpływowych znajomych.



Erazm z Rotterdamu, który narzekał na swoją wątłość, ciężkie bóle i inne cierpienia, też został jego pacjentem, i w ten sposób, jako posłaniec doktora Paracelsusa, niejedną raz spotkałem wielkiego Erazma. Uczciwie mówiąc, doznałem jednak wielkiego zawodu. Był to bowiem mały, zasuszony staruszek, który nawet w lecie przesiadywał w izbie i odziewał się w futra, gniewnie sycząc na każdego wchodzącego, aby zamykał drzwi. Wielki Erazm bał się bowiem przeciagu jak zarazy, grymasił z jedzeniem i wiecznie narzekał na swoje dolegliwości. W jego izbie stale płonął ogień w dużym kominku z niebieskich kafelków, a odraza Erazma do śmierci i choroby była tak wielka, że unikał nawet swego szczodrego i szlachetnego gospodarza, dopóki ten leżał złożony niemocą.

Największą i jedyną przyjemnością Erazma było wdychać woń farby drukarskiej i na jeszcze wilgotnych arkuszach czynić zmiany i poprawki delikatnym piórem starego człowieka. Frobenius drukował jego dzieła w nowych, zwiększonych nakładach, ale Erazm był bardzo niewdzięczny i skarżył się przed każdym, że skąpy drukarz nie płaci mu godziwych honorariów autorskich, jakkolwiek Frobenius gościł go u siebie w domu i zaspokajał wszystkie jego zachcianki. Mimo to Erazm pisał ustawicznie listy do swoich patronów w różnych kątach Europy i narzekał na biedę i chorobę, i szczupłe dochody, i trzeba było ze świecą szukać króla, księcia czy szlachetnie urodzonego pana, który by od czasu do czasu nie otrzymał nowego zebrzącego listu. Toteż wypchane złotem mieszki płynęły do Erazma równym strumieniem z wszystkich krajów, gdyż nikt rozsądny nie chciał narazić się na jego niezadowolenie. Umiał on bowiem w swoich dialogach do krwi chłostać i wyśmiewać osoby, których nie lubił. W osobistych wydatkach był natomiast wstrzemięźliwy i skąpy. Gdy doktor Paracelsus po raz trzeci posłał mnie do niego, aby przypomnieć o honorarium za leczenie, Erazm wystąpił z takim planem:

— Byłoby z wielką szkodą dla całego świata, gdyby wspaniała wiedza twego pana i nowe idee o podstawach sztuki lekarskiej miały pójść na marne z powodu jego wędrownego życia. Stanowisko lekarza miejskiego w Bazylei jest wolne. Obiecuję użyć całego mego wpływu, jak również i wpływów mego przyjaciela Frobeniusa, aby postarać się doktorowi Paracelsowi o to intratne zajęcie i związaną z tym katedrę na uniwersytecie. I jeśli mi się to uda, śmiem twierdzić, że żaden pacjent nigdy jeszcze nie dał swemu lekarzowi i uzdrowicielowi bardziej królewskiego honorarium.

Patrzył na mnie z nikłym uśmieszkiem mędrca na wąskich wargach i ciągnął:

— Znamy aż nadto dobrze słabe strony zacnego doktora i jego chełpliwe zachowanie, ale jako jego przyjaciele mamy tym większe powody, aby szukać lekarstwa na wady, których nabył skutkiem swego wędrownego życia. Wcale nie wątpię, że gdy doktor Paracelsus zasiądzie na uniwersyteckiej katedrze, będzie się odziewał i zachowywał przyzwoicie, dobierał staranniej słów i brał przykład postępowania z przyzwoitych ludzi. Nie możemy dopuścić, żeby tak wielki i uczony mąż był stracony dla ludzkości jedynie z powodu paru drobnych wad charakteru. Jeśli ta propozycja nie zadowoli zacnego doktora, to nie znam już chyba natury ludzkiej. I mam też szczerą nadzieję, że przestanie mi stale przypominać o honorarium za leczenie, bo w gruncie rzeczy to wielce pochlebne mieć zasługę leczenia wielkiego Erazma.

Z tymi słowami powróciłem do mego mistrza pod „Trzech Króli” i gdy powtórzyłem mu propozycję wielkiego męża, mistrz mój wcale i rozżłościł, jak oczekiwałem, lecz przeciwnie, ucieszył się wielce, że wreszcie jako dobrze opłacany; lekarz miejski będzie mógł skończyć z włóczęgowskim życiem i głosić nowe nauki z wysokiej katedry uniwersyteckiej całemu światu.

— Ale bynajmniej nie zamierzam wyklądać po łacinie — perorował. — Będę mówił językiem, który rozumieją wszyscy uczciwi ludzie. Chcę też uczyć sztuki niezawodnego leczenia francuskiej choroby za tanie pieniądze za pomocą czerwonej rtęci. I już mnie śmiech

porywa na myśl, jaka to będzie chryja w aptekach i jak Fugger będzie sobie wrywał włosy, gdy cała kora gwajakowa, którą zamówił z portów amerykańskich, znajdzie się na śmietniku. Nie dał mi wtrącić słowa i dalej miotał okropne pogrózki:

— Tak jak Luter swego czasu spalił bullę papieską, zamierzam i ja rzucić w ogień dzieła Avicenny i Galena, nawet ryzykując, że zostanę nazwany Lutrem sztuki lekarskiej, bo podobnie jak Luter odpowiada za swoje czyny, i ja odpowiadam za moje.

Usiłowałem, jak tylko mogłem, wytłumaczyć mu, że byłoby ogromnie szkodliwe dla wszelkiej wiedzy wykładanie medycyny w mowie ludowej dla prostych ludzi. Gdy pierwszym warunkiem nauki jest władanie łaciną, tak że uczeni mężowie we wszystkich krajach mogą porozumieć się z sobą za jej pomocą, niezależnie od języka czy pochodzenia. A doktorzy uniwersyteccy obrócą to przeciw niemu samemu, twierdząc — co zresztą było prawdą — że nie umie po łacinie na tyle, aby móc wykładać, dopytując o jego dyplom lekarski i być może nawet żądając publicznej dysputy przed fakultetem, zanim zatwierdzą go na katedrze.

Moje niedobre przeczucia sprawdziły się niestety. Gdy Erazm i Frobenius przedłożyli na radzie miejskiej wniosek, aby Paracelsa mianować lekarzem miejskim, cały uniwersytet i wszyscy lekarze i aptekarze jak jeden mąż sprzeciwili się tej kandydaturze. Do doktora Paracelsa wystosowano wezwanie, aby przedstawił radzie miejskiej dyplom lekarski, na co on dumnie odpowiedział, że jeszcze w zielonej młodości podtarł sobie nim tyłek, gdyż dokument ten tylko do tego celu się nadawał.

Tymczasem aptekarze posłali spiesznie gońca do Augsburga z doniesieniem, że doktor Paracelsus odrzuca korę gwajakowa jako środek leczniczy przeciw francuskiej chorobie. Skutkiem tego wielkie wpływy rodziny Fuggerów zwróciły się także przeciw niemu. Nie chcę dłużej opisywać wszystkich złośliwych słuchów, które zaczęto o nim rozpowszechniać. Lekarze w Bazylei twierdzili między innymi, że doktor Paracelsus zdobył swoje zadziwiające wiadomości i środki lecznicze wprost, od samego diabła.

Dziwne obyczaje mego mistrza, jego przekleństwa i słowa, których używał po pijanemu, dawały stale nową pożywkę obmowie, on zaś nie dbał o to, aby zaprzeczać pogłoskom, bo żywił bezmierną pogardą dla swoich przeciwników, ich ignorancji i zabobonnej głupoty. Miał on bez wątpienia tajne umiejętności, których nie chciał wyjawiać swoim uczniom. I nie chcę wcale odmawiać mu geniuszu i niewiarygodnej wprost sztuki leczenia chorych. Ale gdy przeciwności piętrzyły się, a liczba oszczerców rosła, chciał nieraz nastraszyć ich i potrzebując kredytu w szynkach chełpił się chętnie nadzwyczajnymi umiejętnościami, które prości i naiwni ludzie uważali za pochodzące od diabła.

Jasne, że nieopanowane zachowanie, zjadliwy język, bezmierna pewność siebie i skłonność do szkalowania i przeklinania uznanych wielkości i wszystkiego, co lekarze dotychczas szanowali, wyszły mu na szkodę przy ubieganiu się o stanowisko lekarza miejskiego. Jego szansę malały i sprawa przewlekała się coraz bardziej, aż wreszcie Erazm i Frobenius zaczęli mu robić poważne wymówki i wezwali go, aby wrócił do Strasburga i tam cierpliwie wyczekiwał na ostateczną decyzję rady, gdyż jego obecność w Bazylei raczej tylko przeciwdziałała ich wysiłkom dla jego dobra.

Doktor Paracelsus był prawdopodobnie przekonany, że robi wszystko, co może, aby im dopomóc. Nawet ubierał się starannie i próbował oduczyć się swoich wrzasków i ryków oraz mniej pić, bo w głębi serca pragnął gorąco tego urzędu lekarza miejskiego, a przede wszystkim związanego z nim prawa wykładania na uniwersytecie — na przekór wszystkim uczonym doktorom. Ale łatwo go było urazić, był chorobliwie drażliwy na temat swojej czci lekarza i wpadał we wściekłą pasję, gdy pogardzano jego sztuką i nazywano go szarlatanem, który nigdy nawet nie powąchał uniwersytetu.

Skończyło się na tym, że mistrz Paracelsus popadł w skrajne przygnębienie i rozgoryczony postanowił nagle, pewnej nocy, wyjechać z Bazylei, mimo że była połowa listopada, noc

zimne i ciemne, a drogi pełne włóczęgów, którzy tylko czekali na to, żeby poderznąć gardło samotnym podróżnym. Z trudem tylko udało mi się go jakoś skłonić, żeby odłożył podróż przynajmniej do następnego ranka, gdyż potrzebowałem pewnej zwłoki, by rozwiązać własne problemy i rozstrzygnąć, czy mam mu towarzyszyć, czy pozostać w Bazylei, czy wreszcie udać się na południe, dokąd już od kilku tygodni nęciły mnie niezwykle wieści.

Od nadejścia jesieni opłakiwałem Anttiego jako umarłego, gdyż uparte słuchy głosiły, że niezliczona chmara tureckich wojsk pod bitym dowództwem sułtana rozgromiła Węgrów na równinie pod ohaczem. Węgrzy wykopali sobie sami grób uraziwszy cesarza i hercoga Ferdynanda swoimi zarządzeniami przeciw Fuggerom, i teraz ich nieszczęśliwy kraj zmuszony był zmierzyć się z całą przeważającą potęgą sułtana bez pomocy z Zachodu. Ale klęska ich nie nakłoniła bynajmniej chrześcijaństwa do zgody i walki przeciw wspólnemu wrogowi. Wojna we Włoszech ciągnęła się dalej i przybrała nieoczekiwany obrót wskazujący, że to jednak cesarz wyjdzie z niej zwycięsko, choć brzmiało to wręcz nieprawdopodobnie. Podczas bowiem, gdy sprzymierzeni tracili cenny czas na bezowocnych posunięciach, cesarz w Rzymie przygotowywał bolesne niespodzianki dla papieża i pertraktował z Fuggerami o pożyczkę na werbunek nowych najemników w Niemczech.

Wieści te działały na mnie jak alarmujące dźwięki trąb. Niezliczona rzesza najemników płynęła w Niemczech pod sztandary słynnego Frundsberga i zadawalali się oni zadatkami i mętnymi obietnicami żołdu w zapale, aby iść na wojnę z Rzymem i państwem papieskim. Opowiadano, że sam Frundsberg opasał się sznurem przetykanym złotem i obiecywał powiesić na nim papieża, strzemiona zaś przewiązywał czerwonymi postronkami, które były przeznaczone dla kardynałów. Widocznie cesarz zbierał całą siłę, aby skruszyć papieża, i nie cofał się przed tym, by posłużyć się w tym celu niemieckimi heretykami, gdyż bez jego wiedzy Frundsberg nie ośmieliłby się chyba składać takich obietnic. Być może zatem istotnie było wolą bożą, abym w ten sposób spełnił straszliwą przysięgę złożoną przy stosie Barbary i zobaczył, jak papież strącony zostanie z tronu. Łatwo więc zrozumieć, że nie wahałem się długo, gdy nagle postanowienie mego mistrza, aby wrócić do Strasburga, postawiło mnie przed rozstrzygnięciem. Postanowiłem postarać się o potrzebne leki i wyjechać do Mediolanu oraz zaciągnąć się jako felczer do armii cesarskiej i pójść z nią na Rzym.

Tak więc rozstaliśmy się w dobrej zgodzie, a przy rozstaniu mój zacny mistrz ofiarował mi z własnej chęci osiem drogocennych pigułek laudanum, które uśmierzały najbardziej dotkliwy ból, oraz rozmaite maści i lekarstwa na francuską chorobę, które sporządził z czerwonej rtęci. Udzielił mi też wielu dobrych rad, w jaki sposób najlepiej dać sobie radę z zarazą przez użycie leków, których nie znają zwykli lekarze, i wykladał mi przez godzinę z górą o włoskich gorączkach, każdy bowiem kraj ma swoje własne choroby.

— Francuska choroba, zaraza i różne febry powodują na wielkich wyprawach wojennych większą ilość zgonów niż kule i biała broń — mówił. — Wprawdzie nie sądzę, żebyś stał się biegłym lekarzem, Mi-kaelu Pelzfuss, bo twoje umiejętności są za małe i zbyt niedoskonałe. Ale wielu felczerów i łąziebnych zdobyło na wojnie fortunę, umiając znacznie mniej niż ty, toteż życzą ci powodzenia, bylebyś tylko uważał, aby twymi lekami nie przysporzyć pacjentowi więcej szkody niż korzyści. I raczej pozwalaj działać własnej leczącej sile natury w ciele człowieka, niż sam mieszać się do tego stosując szkodliwe leki.

Jego pożegnalne słowa umocniły mnie w moim postanowieniu. Odprowadziłem go na brzeg Renu i płakałem, gdy wstąpił na pokład promu, i patrzyłem w ślad za nim, dopóki nie zrobił się tylko szarą plamką i nie znikł mi z oczu.

Doktor Paracelsus powrócił w rok później do Bazylei na wezwanie rady i istotnie spalił książki Galena na stosie w noc świętojańska, tak jak to zapowiadał, ale już w pół roku po tym musiał uciekać, aby ratować życie.

Jego towarzystwo i nauki miały na mnie większy wpływ, niż przypuszczałem, i przyznaje chętnie, że na swoim polu był on z pewnością jednym z najzdolniejszych i najuczciwszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem, choć nie umiał ubrać swych nauk w jasne słowa. Był on może gwałtowny i szorstki jak przyroda w jego rodzinnych okolicach w Einsiedeln, w Kofederacji Szwajcarskiej, ale mimo to podziwiałem go więcej niż Erazma, który pisał księgi siedząc przy ciepłym kominie, strzegł się przeciągów i ciągnął korzyści z pochlebiania książętom.

Jeśli miałem nadzieję, że po burzach i śniegach na alpejskich przełęczach będę mógł sobie powetować w Mediolanie, ogromnie się myliłem, bo panował tam zupełny zamęt, głód i wojna wszystkich przeciw wszystkim. Niezdyscyplinowane wojska cesarskie nie słuchały nawet własnych dowódców, gdyż ludzie od wielu miesięcy czekali na zaległy żołd, i każdy z mieczem w ręku zabierał, co mu się udało zdobyć, i w ten sam sposób bronił zdobyczy.

Zaledwie zdążyliśmy wjechać przez bramę do miasta, gdy zdziczałe żołnierze splądrowali kolumnę prowiantową, do której się przyłączyłem, i prawdopodobnie sam zostałem też obrabowany, gdybym nie był lekarzem. Musiałem jednak wziąć mego pieska na ręce, żeby ocalić go przed brodatymi i dzikookimi żołdakami, którzy chętnie byliby arznąli Raela, żeby urządzić sobie ucztę. Na szczęście dla mnie w mieście grasowały choroby i brakowało leków. Mimo wielkiego braku pieniędzy u żołnierzy mógłbym z pewnością robić dobre interesy, gdyby to, że środki żywności były tak drogie, iż wszystko, co zarobiłem, natychmiast wydawałem na chleb, mięso, wino i inne potrzebne artykuły.

Przybyłem do Mediolanu tuż przed świętami Bożego Narodzenia i dowiedziałem się, że Frundsberg dawno już wyruszył w głąb Włoch z dwunastoma tysiącami pikinierów, i nastawał teraz uparcie, aby księżę Burbonu opuścił Mediolan i połączył obie armie pod swoim dowództwem. Księstwo Mediolanu było splądrowane i ograbione do ostatniego worka zboża, ostatniej kury i ostatniego wieprzka i w całym Mediolanie nie było jednych nie wywalonych drzwi. Mimo to księciu Burbonu udało się wycisnąć z tego biednego spustoszonego miasta ostatnią daninę w kwocie dwudziestu tysięcy dukatów. Kazał też szybko wybić monetę ze srebrnych naczyń, kosztowności i złotych łańcuchów swoich własnych, jako też należących do wiernych cesarzowi pułkowników, aby w ten sposób zapobiec buntowi i skłonić wojska do marszu. Jako nowo przybyły nie mogłem spodziewać się zwerbowania mnie w charakterze felczera, ale było też zupełnie bezcelowe pozostać w Mediolanie. Toteż za bezczelną cenę kupiłem chudego osiołka, objuczyłem go moim mieniem i przyłączyłem się do oddziałów książęcych, gdy te w końcu stycznia opuściły miasto, żegnane złorzeczeniami i straszliwymi klątwami. Tak zaczął się dla mnie krwawy, lecz niezapomniany rok 1527.

Tymczasem wojska Świętej Ligi dowodzone przez księcia Urbino starły się z niemieckimi najemnikami Frundsberga. Niewątpliwym zamiarem Włochów było przeszkodzić w połączeniu się armii cesarskich, ale po kilku porażkach księżę Urbino wycofał się, aby się zastanowić, w jaki sposób może najlepiej służyć sprawie Wenecji. Tak więc w lutym nad rzeką Trebbia połączyliśmy się z Frundsbergiem. Już pierwszego wieczoru Niemcy i Hiszpanie poczuli się z sobą, tak że musiałem opatrywać wielu rannych i zarobiłem tyle, co na prawdziwej bitwie. Przyczyną bójki była kłótnia, komu cesarz jest winien więcej, niemieckim pikinierom czy hiszpańskim arkebuzerom, i kto pierwszy otrzyma zaległy żołd, gdy nadejdą pieniądze od cesarza. Cała kłótnia była jednakże niepotrzebna, ponieważ od cesarza nie przyszedł ani jeden szeląg, i wiadomość o tym, że po połączeniu się obu armii nastąpi wypłata żołdu, była plotką i pochodziła od księcia Burbonu.

W tych okolicznościach jedynym wyjściem z sytuacji było dla nas uderzenie szerokim frontem w kierunku na Bolonię i zaopatrywanie się w miarę możliwości drogą rabunku. Naszemu głównodowodzącemu udało się wprawdzie wyjednać pożyczkę od księcia Ferrary, któremu zależało na tym, aby pozbyć się bandy nieokielzanych rabusiów, którzy pustoszyli i

plądrowali jego żyzny kraj, mimo iż był jednym sprzy mierzeńcem cesarza we Włoszech. Ale gdy po dalszych dwóch tygodniach mineliśmy Ferrarę i zbliżyli się do Bolonii, żołnierze znowu zatrzymali się w pochodzie, zmęczeni głodem i deszczem, i zażądali swego żołdu.

Nie będąc przez werbunek związany z Hiszpanami, którzy płacili opieszale i których języka dobrze nie rozumiałem, skorzystałem z okazji, żeby przyłączyć się do oddziałów Frundsberga, albowiem przywykłem już do Niemców. I gdy armia zbuntowana stanęła, przeżyłem największą niespodziankę mego żywota.

Książę Burbonu popełnił to wielkie głupstwo, że wypłacił tylko Niemcom sumę, którą pożyczył mu książę Ferrary. I właśnie gdy przywiązałem mego osiołka do drzewa oliwnego i przygotowywałem się, aby opatrzyć kilku pikinierów szukających porady na francuską chorobę, zostaliśmy napadnięci przez gromadę obdartych i bosonogich Hiszpanów, którzy chcieli nas ograbić.

Moi pacjenci zbyt byli wycieńczeni, żeby się bronić, i byłbym zgubiony, gdyby żalosne krzyki jednego z nich nie ściągnęły jakiegoś wielkoluda, który przybiegł nam na odsiecz. Ryczał straszliwie, wymachując oburącz mieczem, i zmusił Hiszpanów do ucieczki, a gdy chciałem mu podziękować i pobłogosławić mego zbawcę, zobaczyłem, że stoi przede mną Antti. Byłem tak pewny jego śmierci, że w pierwszej chwili zdawało mi się, iż widzę ducha. Ale on też mnie poznał, wetknął miecz do pochwy, uścisnął mi mocno dłoń i rzekł:

— Patrzcie, patrzcie, przecież to Mikael! Na miłość boską, jak znalazłeś się w tym stadzie wilków i dlaczego nie siedzisz w Bazylei i nie pogłębiasz twojej wiedzy, zamiast włóczyć się po świecie?

Ścisnął mi rękę tak mocno, że w pełni mnie to przekonało iż stoi przede mną żywy człowiek. Rael zaczął z radością skakać koło niego machając ogonkiem, a Antti usiadł, z westchnieniem wyciągnął z torby soczystą kość, złamał ją na pół i pokruszył obie połówki w zębach, żeby piesek mógł dostać się do szpiku. Buty miał tak dziurawe, że wyłaziły mu palce, rękawy kaftana mocno obszarpane, ale pancerz bez jednej plamki, a miecz też był lśniący i dobrze utrzymany.

Zapytałem go, jakim cudem udało mu się ująć z życiem spod Moha-i jak to możliwe, że go spotykam w tej przez Boga i cesarza opuszczonej armii, którą przeklinają całe Włochy. A on odpowiedział mi w swój zwykły naiwny sposób:

Uszedłem z życiem spod Mohacza, z tej prostej przyczyny, że na jęczęście nie zdążyłem wziąć udziału w bitwie. Chyba nigdzie jeszcze ie spotkałem tylu dumnych i porywczych panków, co na Węgrzech, zupełnie straciłem ochotę walczyć po ich stronie przeciw Turkom.

Panowie ci gardzili działami, zdając się wyłącznie na swoje rycerskie uzbrojenie i szybkie konie i na polach pod Mohaczem wpadli z powiewającymi pióropuszcami i w błyszczących pancerzach prosto na setki dział, które sułtan ukrył za swymi strażami przednimi. Wiarogodni świadkowie opowiadają, że puszkarze tureccy na rozkaz sułtana dali ognia dopiero, gdy jazda węgierska znalazła się w odległości kilkunastu kroków od wylotów dział i że jedna salwa rozstrzygnęła całą bitwę, a wojownicy sułtana w ciągu pół godziny wycięli całą armię chrześcijańską, tak że niewielu świadków kłęski uszło z życiem.

Chciałem dowiedzieć się jakichś szczegółów, ale Antti niechętnie mówił o swoich węgierskich doświadczeniach. Powiedział tylko:

— Słyszałem, że Węgrzy całymi wioskami uciekają spod ucisku swoich panów i szukają schronienia w państwie sułtana, gdyż sułtan wcale nie prześladowuje chrześcijan, lecz pozwala im swobodnie wyznawać swoją wiarę. Zabrania za to poborcom podatków wszelkich wymuszeń i niesprawiedliwości. To właśnie było jedną z przyczyn, że straciłem chęć walczenia za króla. A zresztą słyszałem już, że co najmniej dwóch spośród największych magnatów węgierskich ubiega się o względy sułtana, żeby jako jego pokorni wasale nosić węgierską koronę.

Antti nie chciał więcej opowiadać o Węgrzech. Wziął mnie zaraz pod swoją opiekę i zaprowadził do miejsca, w którym obozował, gdyż dwudziestu pikinierów wybrało go na dowódcę. Mieli dziurawy namiot dla ochrony przed wiosennym deszczem i na rozkaz Antiego podzielili się ze mną jadłem. Tak więc znowu znaleźliśmy się razem, na szczęście dla mnie, bo tegoż wieczora w obozie wybuchł otwarty bunt i niemieccy pikinierzy zmuszeni byli w pełnym uzbrojeniu uformować czworobok, aby bronić się przed rozszalałymi Hiszpanami. Ci bowiem napadli na swoich dowódców, strzelali z arkebuzów do namiotów oficerów, domagali się pieniędzy i grozili, że wykroją sobie żołądek ze skóry księcia Burbonu, który zmuszony był szukać schronienia w namiocie Frundsberga.

Podoficerom udało się nazajutrz uspokoić Hiszpanów, ale wtedy niemieccy pikinierzy zaczęli rozczulać się i przypominać sobie swoje trudy oraz pokazywać sobie nawzajem dziurawe buty i obdartą odzież. I koło południa zebrali się całą gromadą wokół namiotu Frundsberga, wrzeszcząc chórem, że ich oszukano i że domagają się natychmiast całego żołdu.

Znalazłem się pośrodku tego rozwrzeszczanego i podnieconego tłumu i widziałem, jak Frundsberg wyszedł z namiotu, żeby pomówić z wojskiem. Po raz pierwszy zobaczyłem wtedy tego wielkiego wodza, którego samo imię wywoływało strach i zgrozę. Jego pojawienie się zrazu uciszyło zbuntowanych, ale wnet wrzask wszczął się na nowo, a gdy rozgniewany Frundsberg, nie przywykły do buntów, usiłował zmusić żołnierzy do dyscypliny pogroźkami, najbliżej stojący nagle skierowali przeciw niemu ostrza dzid, tak że znalazł się w kręgu błyszczących grotów.

Wtedy wpadł w taki gniew, aż łzy polały mu się z oczu, stracił zupełnie mowę, zrobił kilka chwiejnych kroków i padł bezwładnie na ziemię, mimo że nikt go nawet nie tknął ostrzem włóczni. Trafił go bowiem szlag, tak że nie mógł się ruszać ani mówić i tylko błyskał bezradnie nabiegłymi krwią oczami, i wprost przykro było na niego patrzeć. Zawieziono go potem do Ferrary, aby leczyć, ale nigdy już nie podźwignął się ze skutków tego ataku.

W ten sposób Niemcy stracili jedyne dowódcę, który miał dość autorytetu, żeby utrzymać dyscyplinę w armii. Dwóch pułkowników Frundsberga objęło natychmiast dowództwo, a książę Ferrary zapłacił jeszcze piętnaście tysięcy dukatów, gdy zobaczył, że jego krajowi znowu grozi rabunek. Tak więc każdy żołnierz otrzymał dukata na głowę i pikinierzy zadowolili się tym, wstrząśnięci nieszczęśliwym wypadkiem Frundsberga, który spowodowali.

Po tym wydarzeniu książę Burbonu zebrał wszystkich pułkowników i kapitanów na radę wojenną i wezwał ich, aby podnieśli nastrój wojsk, odmalowując im bogactwa, które czekają na nich we Florencji i w Rzymie. Udało się przywrócić jaki taki porządek w obozie i wojska gotowały się do dalszego marszu, gdy nagle, na domiar nieszczęścia, przybył z Rzymu cesarski koniuszy z wiadomością, że wicekról Neapolu, pan de Lannoy, z cesarskiego upoważnienia na własną rękę zawarł pokój z papieżem. Nie wiem, ile traktatów pokojowych zdążono już podpisać tej zimy, ale papież złamał co najmniej cztery razy dane przez siebie słowo. Teraz zapłacił według postanowień traktatu sześćdziesiąt tysięcy dukatów, które koniuszy przywiózł z sobą, aby rozdzielić te pieniądze między najemników, a potem posłać ich, gdzie pieprz rośnie.

Już pierwsza ruchawka w armii była gwałtowna, ale nigdy dotychczas nie byłem świadkiem większej wrzawy niż ta, którą wszczęto w obozie, gdy rozeszła się ta wiadomość. Jeszcze w toku narad w namiocie księcia kapitanowie spieszenie zawiadomili swoje oddziały o całej sprawie i wspólne niebezpieczeństwo, które groziło pozbawieniem armii wszelkiej nadziei na bogaty łup, skłoniło choć raz Niemców i Hiszpanów do zapomnienia dawnych kłótni. Zaczęli rozmawiać z sobą jak owarzysze broni i zwartą gromadą poszli do kwatery głównej, aby magać się wydania koniuszego. I z pewnością by go rozszarpali, gdy by jakiś miłośnik oficer nie pożyczył mu kania, na którym uciekł. W ogromnym pośpiechu Niemcy i Hiszpanie wybrali radę żołnierską, o równej ilości członków z każdej strony, i stanęli przed księciem

Burbonu pytając, co myśli zrobić, gdyż armia w każdym razie zamierza kontynuować kampanię — albo pod dawnymi dowódcami, lub też pod dowódcami, których żołnierze sami sobie wybiorą.

Książę przyjął delegację życzliwie i oświadczył, że jeśli armia chce kontynuować kampanię, on chętnie poprowadzi ich z bożą pomocą na Rzym, jakkolwiek ściągnie w ten sposób na siebie niezadowolenie cesarza. Nie miał i tak zbyt wiele do stracenia, bo cesarz nie wynagrodził go należycie i według zasługi, a gdy król francuski złamał traktat pokojowy, książę stracił wszystkie swoje domeny. Nikogo bardziej nie nienawidził jak pana de Lannoy, który był cesarskim faworytem i namiestnikiem we Włoszech. Toteż książę nie miał żadnego powodu do respektowania zawartego przez pana de Lannoy pokoju, i uważał, że lepiej służy sprawie cesarza, łamiąc to porozumienie, gdyż papież co rychlej złamie dane słowo, gdy tylko będzie miał jakieś sukcesy.

Książę Ferrary zaopatrzył nas w żywność, furgony i proch oraz kilka lekkich dział, aby tylko pozbyć się naszej nieokiełznanej i krwiożerczej hordy. Z końcem marca zwinęliśmy obóz i pomaszerowaliśmy dalej.

W czasie tego marszu wielu zginęło w śnieżnych zaspach, pożartych zostało przez wilki albo też zabitych przez chłopów lub pastuchów, których doprowadziły do rozpaczki gwałty, jakich dopuszczali się najemnicy. Dla uniknięcia bowiem dolin Toskany, obsadzonych przez wojska nieprzyjacielskie, książę Burbonu prowadził nas przez najbardziej niedostępne górskie przełęcze. Wiosna była spóźniona, w górach padał śnieg, środki żywności były na wyczerpaniu i nic nie można było zrabować, tak że niejeden z nas chętnie by zawrócił do domu, gdyby to było możliwe. Ale gdy chleb skończył się już zupełnie, a i mąki zabrakło, książę Burbonu mógł wreszcie z wierzchołków gór pokazać nam bogatą i żyzną krainę, która rozpościerała się w dali przed nami, gdzie potężna rzeka Arno toczyła żółtozielone bystre fale przez kwitnące doliny. Olbrzymie bogactwa Florencji i Rzymu leżały przed nami w zasięgu naszych oczu i stoczyliśmy się z gór bardziej podobni do zdziczałej i obdarłej bandy rabusiów niż regularnej armii cesarskiej.

Wkroczyliśmy więc w dolinę Arno, ale równocześnie Florentyń-czycy zrozumieli, co im grozi, i książę de Urbino przerwał odpoczynek i nadciągnął z armią, aby zastąpić Florencję. Nie wiem, czy rzeczywiście wdałby się on w walkę z nami w obronie Florencji, ale samo zbliżenie się jego armii skłoniło księcia Burbonu do unikania ryzyka. Poprowadził nas więc wśród straszliwych trudów, długimi marszami dziennymi, prosto na Rzym. Papież zawarł bowiem pokój w dobrej wierze i rozpuścili wojska, i książę chciał zdążyć, zanim jego świątobliwość uda się zorganizować na nowo obronę. Toteż gnaliśmy za jaśniejącą przed nami wizją, zapominając o głodzie i trudach i zostawiając nawet za sobą działa, i jedyną myślą, jaka kołatała w naszych głowach, był Rzym, Rzym!

Te gorączkowe i wyczerpujące dni utrwaliły się w mojej pamięci raczej mgliście. W każdym razie po ośmiu dniach forsownego marszu wygłodniała i zmęczona armia stanęła przed bramami Rzymu. A po drodze z Bolonii liczba nasza wzrosła o dziesięć tysięcy — a więc do trzydziestu tysięcy ludzi, gdyż zwolnieni żołnierze papiescy chętnie przyłączali się do armii cesarskiej, gdy zbliżaliśmy się do Rzymu.

W ciągu krótkich nocnych godzin odpoczynku dudniły młoty przy ogniskach obozowych, gdzie zbijano niezliczone drabiny szturmowe, przed nami zaś płynął strumień nieszczęśliwych uchodźców. Piątego maja armia cesarska rozlała się na wzgórzu Mario i zobaczyliśmy dumne mury, bramy, wieże kościelne i dachy Wiecznego Miasta ozłoczone promieniami zachodzącego słońca. Oniemiały patrzyłem na to Wieczne Miasto, do którego chrześcijanie pielgrzymowali przez tysiąc lat w nabożnej nadziei, z modłami o odpuszczenie grzechów i którego kościoły, ołtarze i relikwie ozdobione były całym złotem i srebrem jakie przez tysiąclecie zebrało się tam z wszystkich kątów świata.

I zdaje mi się, że taka sama trwoga przejęła także i innych, gdy zatrzymaliśmy się i w nieskończonej ciszy wpatrywaliśmy się w miraż, który nagle stał się rzeczywistością. I nie wiem, czy Rzym kiedykolwiek w oczach pielgrzymów wydawał się tak wspaniały, olbrzymi i wielki, jak wówczas, gdy miasto w blaskach zachodu słońca zapłonęło nagle jak złota szkatułka, którą musieliśmy rozbić, żeby wtrącić minioną epokę w mrok zniszczenia.

.siążę Burbonu zatrzymał konia na najwyższym szczycie wzgórza i jego srebrzysty pancerz lśnił w blasku słońca. A po chwili ciszę rzerwało głębokie westchnienie tłumu, z niezliczonych gardzieli wysię grzmiący okrzyk, a wtedy z oczyma płonącymi w wymizerowaarzy książe zaczął donośnym głosem wydawać rozkazy, każąc i zajmować stanowiska przed bramami miasta, aby rankiem stępnego dnia rozpocząć szturmowanie wysokich murów.

Wątpię, czy kiedykolwiek jakaś armia znajdowała się w równie beznadziejnym położeniu jak my, gdy wreszcie rozbiliśmy obóz pod murami Rzymu. Chleba mieliśmy bowiem tylko na jeden dzień, a dobrze wyćwiczona i zdyscyplinowana armia sprzymierzonych nadszła powoli, żeby nas skruszyć o te mury, które w nocnym mroku wydawały się nie do zdobycia. Nie mieliśmy dział, za pomocą którym moglibyśmy zrobić wyłomy, a zapas prochu u hiszpańskich arkebuzerów wystarczał najwyżej na trzy strzały na głowę, bo prze-ważna część prochu zamokła w nieustannym deszczu i była niezdatna do użytku. Gdy przy obozowym ognisku patrzyłem na niebotyczne mury miejskie pod sklepieniem nocy, zdawało mi się, że równie dobrze moglibyśmy walić drewnianym młotem w kamienną ścianę, jak próbować zdobyć te mury pikami i mieczami.

Książę Burbonu zwołał pułkowników i kapitanów na radę wojenną do klasztoru Świętego Onufrego, a równocześnie rady żołnierskie, które od Bolonii wyrobiły sobie większą władzę nad wojskami, niż ją mieli dowódcy, odbyły liczne własne zebrania przy obozowych ogniskach, Hiszpanie swoje i Niemcy swoje, pod ochroną zbrojnych straży, które nie dopuszczały w pobliże nikogo niepowołanego.

Głównym dążeniem Hiszpanów było upewnić się, że miasto zostanie wydane wojskom na rabunek, gdyż obawiali się, że skutkiem porozumień i układów niezmiernie łupy umkną im w ostatniej chwili sprzed nosa.

Natomiast wśród Niemców dojrzało mocne postanowienie, aby nie dopuścić do ucieczki papieża. Chciano wymusić z niego wszystkie niesłychane bogactwa, a następnie go powiesić. Ale i Niemcy podejrzewali, że wodzowie zechcą w ostatniej chwili pozbawić ich owoców zwycięstwa. Tej nocy nieufność do dowódców wzrastała coraz bardziej, i zarówno Hiszpanie, jak i Niemcy postanowili rzucić na szalę życie i krew, byleby tylko zdobyć łupy, jakich nie zdobyła jeszcze żadna inna armia chrześcijańska. Wieści o tych tajnych zebraniach rozeszły się po całej armii i niewielu tylko było takich, którzy by o nich nie wiedzieli. Rozeszła się także wieść, że papież ekskomunikował księcia Burbonu, co wprawiło księcia w tak głębokie przygnębienie, że po radzie wojennej zamknął się ze swoim spowiednikiem w klasztorze.

Rady wysłały do siebie nawzajem przedstawicieli, wysuwając różne propozycje, w jaki sposób można by ograniczyć prawo stanowienia dowódców. Hiszpanie byli najchytrzejsi:

— Książę Burbonu zrzęcznie i szczęśliwie doprowadził nas do celu —

mówili — i jesteście mu za to winni dużą wdzięczność, ale już go więcej nie potrzebujemy, bo zdobycie Rzymu bez pomocy dział zależy tylko od siły naszych ramion i naszej odwagi. Do tego zaś nie potrzebujemy żadnego wodza, który tylko zabiera do swego mieszkania część łupu według wojennych artykułów. Was, Niemców, spotkało już wielkie nieszczęście i straciliście swego ukochanego wodza, Frundsberga. Byłoby więc tylko słuszne i sprawiedliwe, gdybyśmy i my stracili tego księcia Burbonu, który po zdobyciu Rzymu przyniesie nam więcej szkody niż pożytku.

A Niemcy mówili:



— To byłoby istotnie zadziwiające zrzącenie losu i szczęśliwy zbieg okoliczności, gdyby ten pyszny i żądny władzy książę stracił życie w czasie oblężenia, gdyż obawiamy się, że weźmie on papieża i kardynałów pod swoją opiekę, choć chętnie postawilibyśmy papieżowi wiele ważnych pytań, gdy mamy zupełnie jasny pogląd na wiele zawikła-nych paragrafów w nauce o zbawieniu, co do których nasz Luter i papież są odmiennego zdania.

Wczesnym rankiem mgły podniosły się z bagien i równin i zasnuły nasz obóz, i gdy uderzono w bębny i zadęto w trąby do szturm na Rzym, mury miasta spowite były w gęsty тумan, co chroniło atakujących od ognia obleżonych. W dwóch miejscach przystawiono drabiny szturmowe do murów, ale załoga odparła oba natarcia palbą z arke-buzów i w walce wręcz, a działa z Zamku Świętego Anioła zaczęły z głuchym hukiem ostrzeliwać oblegających.

Nie troszcząc się o strzały działowe i salwy muszkietowe, książę Burbonu pojawił się przed frontem naszych wojsk na koniu, w rozwianym białym płaszczu i błyszczącym pancerzu, tak że łatwo każdy mógł go rozpoznać. Oczy błyszczały mu w wymizerowanej twarzy i starał się, jak mógł, zachęcić wojska do natarcia, nie pojmując, dlaczego Hiszpanie i Niemcy stali się nagle tak dziwnie apatyczni i obojętni. Hiszpanie poprzestali jedynie na wbiciu widełek arkebuzów w ziemię i odpowiadaniu pojedynczymi strzałami na salwy z murów miasta, a Niemcy szeptali grupkami, nie chcąc iść do natarcia przed hiszpanami, bo wielu już poniosło śmierć w sposób pożałowania godny. ^ Widząc to książę zsiadł w gniewie z konia przed murem koło Campo Santo i stając na czele pikinierów zdołał ich nakłonić do szturm.

Przystawiono do murów wiele drabin. I nawet naocznym świadkom nie udało się powiedzieć, jak to się stało, że gdy książę postawił stopę na najniższym stopniu drabiny, rozległo się równocześnie kilka strzałów, zarówno z murów miejskich jak z czworoboków hiszpańskich arkebuzerów i książę padł na ziemię krzycząc wielkim głosem:

— Matko Boska! Umieram!

Ładunek ołowiu przeszył mu biodro i pachwinę, żołnierze, którzy szli za nim do szturm, podnieśli go z ziemi, a książę Orański nakrył go własnym płaszczem, aby nikt z murów nie strzelał więcej do niego. Zniesiono rannego do kaplicy położonej w pobliskiej winnicy, gdzie po kilku godzinach zmarł, wołając do ostatnich chwil w gorączce: „Na Rzym! Na Rzym!”

Wielu historyków opisuje pięknie, jak to armia cesarska ruszyła do szturm w niepowstrzymanym natarciu, aby krwawo pomścić śmierć swego wodza. Prawdę mówiąc jednak zarówno Niemcy, jak i Hiszpanie nie otrząsnęli się z apatii dopiero, gdy potwierdziła się wiadomość, że książę rzeczywiście został usunięty z drogi i jest umierający. Dopiero wtedy poszli oni poważnie do szturm, wołając z uniesieniem, że nikt nie zdoła już zapobiec spłodowaniu Rzymu. Wielu usiłowało też przypisać sobie chwałę zastrzelenia księcia i co najmniej pięciu Rzymian utrzymywało, że go zabili dobrze wycelowanym strzałem. Osobiście jestem jednak przekonany, że to jakiś hiszpański arkebuzer, podjudzony przez kolegów, zastrzelił księcia Burbonu.

Bez względu na to, jak z tym było, Niemcy i Hiszpanie poszli teraz w szlachetnym współzawodnictwie do szturm na mury. Hiszpanie odkryli w ogrodzie kardynała Armelliniego dom, przylegający do murów miejskich. Pośpiesznie zasypany kamieniami podziemny chodnik łączył ten dom z miastem. Podczas gdy odrzucali kamienie, niemieccy pikinierzy przystawili drabiny szturmowe przy Bramie Świętego Ducha. I pierwszym, który dostał się cało na szczyt murów, był kaznodzieja imieniem Mikołaj, który zaniechał zacnego rzemiosła tkacza jedwabiu dla głoszenia Ewangelii. Drugim zaś był Antti, który zmiótł puszkarzy miejskich mieczem i natychmiast wziął się do swego zawodu i zaczął odwracać działa w kierunku miasta i Zamku Świętego Anioła.

Tak to Hiszpanie i Niemcy wtargnęli na mury około południa niemal równocześnie. I gdy zobaczyłem, że Brama Świętego Ducha otwiera się i pikinierzy wlewają się szeroką strugą do

miasta, a Antti uwija się na szczycie murów przy działach nie mając dostatecznej pomocy, zostawiłem pod opieką boską rannych, których opatrywałem, i wdrapałem się po drabinie na mur, żeby mu pomagać.

Przy obelisku, koło kościoła Świętego Piotra, wycięto szwajcarską gwardię papieską do ostatniego człowieka, a z czarnej chorągwi Włochów zostało przy życiu tylko dziesięciu. Wojska cesarskie nie zadowolą się jednak samym zabijaniem, ale rzucały do wnętrza domów płonące głównie wyjęte z kominków, tak że dymy pożarów zaczęły rychło unosić się ku niebu. Zabijano też wszystkie muły i konie, które się nawinęły po drodze, aby nikt nie wywiózł swego łupu w bezpieczne miejsce, dopóki całe miasto nie zostanie ostatecznie zdobyte. I opanowanie tej części miasta poszło tak szybko, że nie trwało to dłużej niż odmówienie trzech pacierzy.

Działa grzmiały wciąż z Zamku Świętego Anioła, toteż trudno było zbliżyć się do fortecy, ale nikt nie zatrzymywał się na murach, aby obsługiwać nasze działa, i nagle zobaczyliśmy z Anttim, że zostaliśmy sami. Z dala dochodził do nas nieprzerwany lament wielkich mas ludzkich, ponad który wybijał się pełny dzikiego triumfu okrzyk bojowy wojsk cesarskich: „España, España!” i „Imperio, Imperio!”

Nie myślałem już więcej o grożących niebezpieczeństwach, gdyż i mnie porwała ta sama dzika radość. Zeszliśmy spiesznie z murów podniosłem z ziemi jakąś porzuconą króciwą i pobiegliśmy w kierunku Zamku Świętego Anioła. Tymczasem Hiszpanie zdobyli szturmem kościół Świętego Piotra, a Niemcy Watykan i dopiero później dowiedziałem się, że papież uciekł im w ostatniej chwili; wyprowadzony w czasie, gdy Niemcy wyłamywali bramy Watykanu, przez swoją świętą, która na przemian niosąc, to znów popychając go przed sobą, dopro-- wadziła go do ukrytego rowu, łączącego Watykan wzdłuż murów z Zamkiem Świętego Anioła.

Równocześnie rzesze uchodźców płynęły przez mosty na Tybrze żeby znaleźć w zamku schronienie, a do nich dołączyła się też nieszczęsna ludność dzielnicy Borgo, tak że przy zwodzonym moście powstał straszliwy tłok, w którym deptano kobiety i dzieci i spychano ludzi do fosy, gdzie marnie tonęli.

W tym zamieszaniu załoga Zamku Świętego Anioła podjęła śmiałą wycieczkę, żeby w wielkim pośpiechu i pod osłoną dział twierdzy zabrać środki żywności z pobliskich domów, gdyż zamek nie był przygotowany na dłuższe oblężenie. Obrońcy zmuszeni byli jednak zaprzestać ognia, gdyż kule masakrowałyby tylko mieszkańców miasta, i nieoczekiwanie Antti i ja, wraz z liczną grupą Hiszpanów i pikinierów, znaleźliśmy się w samym środku tego nieopisanego zamętu.

Tak to staliśmy się świadkami tego, jak dostojny orszak papieski wypadł z krytego chodnika i przepychając się biegł przez otwarty most w kierunku zamku. Na czele kuśtykał pochylony i łkający starzec, na którego ramiona ktoś narzucił niebiesko-czerwony płaszcz biskupi. Dopiero potem okazało się, że na własne oczy widziałem :papieża, jak bezsilny, płacząc, szukał jako złamany uchodźca schronienia w murach zamku. W ten sposób spełniony został mój ślub i osiągnięty cel, który uważałem za niedościgły, gdy krew żony mojej, Barbary, spływała mi na dłonie i gdy poprzysiągłem moją straszną zemstę.

Dopiero wieczorem Zamek Świętego Anioła został całkowicie okrążony i dowódcom cesarskim udało się zebrać oddziały pod sztandarami. Całe stare miasto po drugiej stronie rzeki było wciąż jeszcze nie zagrożone, ale tak wielkie zamieszanie zapanowało w Rzymie, że nikt nawet nie myślał o obronie. Większość usiłowała tylko pochować skarby i znaleźć sobie pewne kryjówki. Pałace książęce o mocnych murach wypełniły się zamożnymi uchodźcami, wielu zaś kardynałów, którzy zaliczali się do zwolenników cesarza, pozostało w swoich rezydencjach, spuszczać się na swoją nietykalność, i ofiarowało schronienie bogaczom i dostojnikom. Także dziedzińce zagranicznych ambasad zapełniły się po brzegi, a biedacy,

którzy nie mieli dostojnych protektorów, zabrali swoje graty i stłoczyli się w niezliczonych rzymskich klasztorach i kościołach.

Mieszkańcy Rzymu nie zdawali sobie doprawdy sprawy, co im grozi, bo rada miejska zebrała się na Kapitelu i gdy kilku śmiałych rycerzy wysunęło projekt zerwania mostów na Tybrze, aby zabezpieczyć lewobrzeżne części miasta, rada postanowiła jednogłośnie nie podejmować tak nierozsądnego kroku, gdyż mosty te były piękne i odbudowanie ich przysporzyłoby miastu dużych kosztów. Tak więc Bóg poraził mieszkańców Rzymu ślepotą. O zachodzie słońca trąby zagrały znowu do natarcia i wojska cesarskie ruszyły w dobrym szyku na Ponte Sisto, gdyż wszyscy zdawali sobie sprawę, że jedynie zdobycie całego miasta może zapewnić nam zwycięstwo.

Armia cesarska przemaszerowała po trupach nielicznych obrońców przez most i rozlała się niepowstrzymaną falą po bezbronnym mieście. Uciekających ścigano i zabijano. Na wszystkich ulicach leżały stopy trupów, co utrudniało poruszanie się. I chyba około dziesięciu tysięcy ludzi poniosło śmierć tego pierwszego dnia, a większość z nich byli to ludzie nie uzbrojeni i usiłujący uciec, tak że ani Hiszpanie, ani Niemcy nie okryli się chwałą pozbawiając ich życia.

Gdy- zapadła ciemność, pułkownicy kazali trąbić na zbiórkę i Hiszpanie rozbili obóz na placu Navona, a Niemcy na Campo di Fiore. Rozpalono ogniska<sup>^</sup> rzucając w nie powyrywane drzwi i meble z pobliskich domostw, wytoczono z piwnic beczki wina i zaczęto ucztować po wyczerpującym dniu pracy. Rzym był nasz i ponieważ liczba poległych była niewielka, mieliśmy wszelkie powody do radości. Pułkownicy chcieli jednak trzymać wojska w ordynku, obawiając się zaskoczenia przez armię świętego przymierza. I istotnie do późnej nocy palono sygnały świetlne na Zamku Świętego Anioła, gdzie papież czekał, aby sprzymierzeńcy przyszli go oswobodzić.

Do północy oddziały trzymały się zwarcie, zjednoczone wspólnym niebezpieczeństwem, ale gdy żołnierze się popili, zaczęły się kłótnie i bójkę, i niezadowolenie wzrastało coraz bardziej. Nie po to — mówili — zdobyliśmy Rzym, żeby leżeć tu na twardych kamieniach i marznąć, podczas gdy pułkownicy i kapitanowie figlują z najpiękniejszymi kobietami Rzymu na miękkich poduszkach pałaców. Toteż szeregi zaczęły się przerzedzać i jedna grupka żołnierzy za drugą wymykała się na ciemne ulice, tak że w końcu przygasający żar obozowych ognisk oświetlał puste place.

Zajęty byłem opatrywaniem rannych, a skończywszy pracę, usiadłem koło Anttiego w jakimś spokojnym kącie, gdy nagle do uszu naszych dobiegł trzask wyłamywanych drzwi, krzyki kobiece i uderzenia młotów o okute żelazem skrzynie. Antti spojrzał na mnie, przeżegnał się i rzekł:

— Jakem człek zrównoważony i ufam, że otrzymam mój udział w łupie, ustalony artykułami wojennymi, dźwięki te brzmią podejrzanie. Obawiam się, że chciwi Hiszpanie uprzedzili uczciwych Niemców, choć pładrowanie ma się rozpocząć dopiero jutro rano, w świetle dziennym, tak aby nikt nie mógł się obłowić kosztem towarzyszy. Toteż uważam, że mamy dostateczne powody, aby obejrzeć sobie osobliwości Rzymu, mimo że wciąż jeszcze jest ciemno. Może znajdziemy przynajmniej nieco miększe łóżce na spoczynek, niż te twarde płyty marmurowe, na których leżymy.

Nikt z nas nie znał Rzymu, ruszyliśmy więc przed siebie na chybił trafił, w towarzystwie trzech pikinierów Anttiego, którzy zamarudzili w obozie. Zza powyłamywanych okiennic padały na ciemne uliczki smugi światła i słysząc było wrzaski pijanych żołnierzy, którzy zabawiali się po domach. Na rogu jednej z uliczek natknęliśmy się na zadyszanego mężczyznę, który wpadł prosto na nas, dźwigając ciężki tobołek. Aby powstrzymać jego ucieczkę, Antti przez pomyłkę rozplątał mu czaszkę na dwoje, choć miał zamiar uderzyć go tylko płazem w głowę. Z tobołka, który uciekający upuścił padając, posypało się na bruk mnóstwo złotych ozdób i srebrnych naczyń, których dźwięk zwabił gromadę Hiszpanów.

Zaklinali się, że ścigali tego człowieka przez całe miasto, a ponieważ mieli płonące lonty i grozili nam muszkietami, musieliśmy im odstąpić łup, co nas mocno rozsierdziło.

Skręciliśmy w inną boczną uliczkę, gdzie wciąż jeszcze było całkiem choć u drugiego jej wylotu widać było błyski pochodni i rozlegał się stamtąd trzask wyłamywanych desek. Jakiś puciołowaty nieborak zobaczył nas zza uchylonej bramy i osłaniając dłonią oczy od światła zaprosił do wnętrza. Oświadczył, że zawsze z całego serca kochał cesarza, i nic nie może sprawić mu większej radości jak możliwość ugoszczenia kilku jego dzielnych wojaków, byle nie za wielu. Nadmienił, że jest handlarzem win z zawodu i ma dla nas kilka dzbanów najlepszego wina, a żona jego czeka na gości z nakrytym stołem. Mówił, że sądząc z naszych twarzy, jesteśmy uczciwymi i zacnymi ludźmi. Toteż prosi nas, żebyśmy stanęli u niego na kwaterze i czuli się jak u siebie w domu, gdyż jest nas tylko pięciu, jego zaś nie stać, żeby gościć więcej.

Wzruszeni jego prośbami i uprzejmym zaproszeniem, przyrzekliśmy zrobić, co w naszej mocy, aby przeszkodzić innym we wtargnięciu do jego domu. Weszliśmy do środka i żona handlarza win podjęła nas zaiste wspaniałą ucztę, a na wino też nie można było narzekać.

Ale gdy pikinierzy Anttiego już się najedli, zaczęli z zakłopotaniem ocierać usta wierzchem dłoni i oświadczyli, że są ludźmi biednymi, czas więc przejść do rzeczy zasadniczej i celu naszego przybycia do Rzymu. Antti zwrócił się do naszego gospodarza i rzekł:

— Jeśli jesteś tak wiernym i posłusznym sługą cesarza, jak utrzymujesz, zapłać nam zaległy żołd, a w swoim czasie odbierzesz sobie pieniądze od niego.

Handlarzowi win wydłużyła się twarz, zaczął ocierać zimny pot z czoła, narzekać na biedę i na złe czasy, ale po dłuższych targach dał nam dwadzieścia dukatów. Wypadło tego jednak tylko po cztery dukaty na głowę, a gdy pikinierzy zobaczyli złoto, orzekli jak jeden mąż, że ten skąpy kramarz z pewnością nie jest prawdziwym przyjacielem cesarza i na pewno jest znacznie bogatszy, niż podaje, i chce tylko oszukać wiernych żołnierzy cesarskich. Antti popijał wciąż jeszcze spokojnie wino, a jego ludzie zaczęli rozbijać skrzynie, szafy i szuflady i wyrzucać zawarte w nich przedmioty i odzież bezładnie na podłogę nie bacząc na prośby handlarza i jego żony, którzy na klęczkach błagali ich, aby zaprzestali zniszczenia. Pikinierzy zaczęli też pożądliwie zerkać na obfite kształty żony handlarza mówiąc, że wcale nie są mnichami, nie złożyli ślubów czystości i tęsknią za wesołym i żywym niewieścim towarzystwem, aby święcić wielkie zwycięstwo.

W końcu w sposób nieprzystojny zaczęli obmacywać i obszcypywać gospodynię, która w trwodze czepiała się kurczowo męża, aby szukać obrony. Handlarz wina zaklinał ich na imię Świętej Dziewicy, aby zostawili w spokoju jego żonę, i pobiegł czym prędzej sprowadzić dwie ukryte na strychu służące, aby nas obsłużyły. Biedaczki, ciemnookie dziewczyny, wybuchnęły płaczem i biadaniem, ale handlarz wina bijąc i szarpiąc je bezlitośnie zmusił do posłuszeństwa. Pikinierzy zawlekli je do jego łoża, aby poswawolić sobie po trudach i wyrzeczeniach kampanii. I obyło się bez kłótni między nimi, bo gdy dwaj z nich zabawiali się w łożu, trzeci zszedł do piwnicy po wino.

Brutalne i samolubne postępowanie naszego gospodarza wobec tych dziewcząt oburzyło mnie do głębi i odezwałem się do niego ostro:

— Ty zdracliwy i kłamliwy psie, zachowanie twoje wskazuje, że nas oszukujesz i chowasz gdzieś pieniądze. Będziemy zmuszeni cię powiesić, bo nie jesteś przyjacielem cesarza i okłamujesz jego wiernych żołnierzy.

Antti rzekł, że stryżek to najlepsza nagroda dla tak wiarołomnych ludzi, i pocieszał żonę handlarza win, że nic nie straci na jego śmierci, bo on sam, we własnej osobie, gotów jest natychmiast wypełnić wobec niej obowiązki małżeńskie. Złapał handlarza win za kark i zawołał do mnie, żebym przyniósł postronek. I nie wiem, czy żartował, czy mówił poważnie, ale handlarz win uwierzył groźbie, zaczął wzywać na pomoc wszystkich świętych i obiecał,

że zaprowadzi nas do piwnicy, jeśli tylko darujemy mu życie i nic złego nie zrobimy jego żonie.

Zeszliśmy więc do piwnicy. Gospodarz drżącą ręką przyświecał nam świeczką, a my według jego wskazówek przetoczyliśmy na bok ogromną beczkę wina i odsłoniли niewielkie drzwiczki, prowadzące do tajnej piwnicy. A gdy wyłamaliśmy te drzwi młotem, znaleźliśmy tam małego chłopca i cudownej urody dziewczkę, która nie skończyła jeszcze lat piętnastu. Dzieci przerażone tuliły się do pokrytej grzybem ściany, pewne, że nadeszła ich ostatnia chwila. W piwnicy było ponadto mnóstwo ciężkich srebrnych naczyń i świeczników i dość duży skórzany woreczek pełen złotych dukatów, mieliśmy więc wszelkie powody, żeby być wdzięcznymi opatrności, że zaprowadziła nas do tak bogatego domu. Dzieweczka usłuchała naszego rozkazu i płacząc wyszła z kryjówki, Antti zaś wepchnął tam handlarza win i kazał mu podawać cenne przedmioty żonie i córce, aby wyniosły je na górę. A gdy upewniliśmy się, że w wilgotnej piwnicy nie zostało już nic, prócz naczynia z wodą i środków żywności, które rodzice zostawili tam dla dzieci, Antti rzekł do handlarza:

— Widzę teraz, że jesteś porządnym człowiekiem i przyjacielem cesarza i nie wątpię więcej w twe zapewnienia. Ale czasy są złe i żeby zabezpieczyć życie twoje i twego syna, zmuszony jestem zaniknąć was w tej norze, bo inaczej moi zacni pikinierzy gotowi jeszcze w zapale pokiereszować was albo okaleczyć. Uważam również, że twoja żona i córka mogą wspólnie lepiej wypełniać obowiązki gospodarza, j-ak nie będziesz płatać nam się pod nogami i awanturować.

Tak też się stało. Antti przytoczył z powrotem beczkę tak, aby zakryła wejście do ukrytej piwniczki, mimo lamentów i płaczu handlarza win. Dzieweczka też płakała na wyścigi z ojcem, ale pocieszałem ją, jak mogłem, całowałem i gładziłem jej włosy. Zapytałem też jak się nazywa. Odparła, że Giovanna, i błagała nas, żebyśmy się nad nią zmiłowali. Gdy wróciliśmy na górę, rozłożyliśmy nasz łup na stole i podzieliliśmy wszystko uczciwie między siebie tak, że Antti jako dowódca otrzymał trzy ósme, ja jako felczer dwie, a każdy z pikinierów po jednej ósmiej. Z radości z powodu nieoczekiwanego wzbogacenia się żołnierze dali każdy po dukacie obu służącym, a dziewczyny natychmiast otarły zapłakane oczy, zaczęły się słonecznie uśmiechać i pić z nami wino oraz uczyć pikinierów po włosku.

Tak to spędziliśmy noc w wesołym towarzystwie i tylko parę razy Antti musiał wstawać od stołu i iść do bramy, aby przegnać żołnierzy, którzy dobijali się i chcieli ograbić ten dom, który wzięliśmy pod swoją opiekę. Antti rozmawiał też długo i uprzejmie z żoną handlarza i nakłonił ją w końcu, żeby napiła się z nami wina. I mimo że straciła ona dużo kosztownych rzeczy, parę razy uśmiechnęła się do niego, gdy ją obejmował. A córka handlarza Giovanna była tak młoda i piękna, że nie mogłem oderwać od niej oczu, gładziłem ją i starałem się osuszyć jej łzy. Choć pijany, nie chciałem jej zrobić żadnej krzywdy i zadowolilem się całowaniem i pieszczaniem dziewczki, dopóki nie usnęła niewinnie w moich ramionach.

Nazajutrz rano opuściliśmy dom kupca win, wypoczęci i w doskonałych humorach. Aby pozyskać przychylność dziewczki, w której zakochałem się całym sercem, oddałem jej odchodząc wszystkie srebrne naczynia, które przypadły mi w udziale, Antti zaś obiecał gospodyni, że wrócimy wieczorem, aby strzec jej cnoty i honoru.

Ale gdy przyszliśmy tam wieczorem, Hiszpanie zdążyli już odwiedzić dom kupca win i przewrócić wszystko do góry nogami. Sam gospodarz wisiał martwy, powieszony na belce u pułapu, a Hiszpanie podpiekli mu stopy, aby zmusić do wydania pieniędzy. Syn jego leżał nieżywy w kałuży krwi obok matki, oboje przebici mieczem. A Giovannę znalazłem nagą 'W łóżku i nie była już przepiękną dziewczką, bo ją zadusili. Z pewnością lepiej dla niej byłoby, gdybym odebrał jej dziewictwo, ale za to wziął z sobą i mieczem bronił jak swojej własności. Ale za późno już było tego żałować. Ze ściśniętym sercem opuściliśmy ten gościnny dom, aby szukać sobie innej kwatery na noc.

Przez osiem dni i osiem nocy trwała ta bezmyślna grabież, i jeśli chcę sobie kiedyś wyobrazić okropności piekła, wystarczy mi sięgnąć pamięcią do tych scen w czasie plądrowania Rzymu, bo umysł ludzki nie może wyobrazić sobie nic tak haniebnego, okrutnego i straszliwego, co by się tam wtedy nie wydarzyło. I nawet obrazy największych malarzy przedstawiające Sąd Ostateczny są tylko dziecinną igraszką w porównaniu z okropnościami grabieży Rzymu.

Nie było wtedy w Rzymie człowieka tak wysoko postawionego ani tak świętego, aby nie był zmuszony złożyć okupu, ani też damy tak dostojnej, aby żoldacy oszczędzili jej cnotę. Pijani krwią i winem Niemcy, Hiszpanie i Włosi współzawodniczyli z sobą w wynajdywaniu sposobów hańbienia swoich ofiar i wymuszania od nich pieniędzy i nie robiono przy tym najmniejszej różnicy między zwolennikami papieża i cesarza.

Nie chcę udawać niewiniątka, bo i ja ponoszę część winy i przez pierwsze dni myślałem tylko o własnej korzyści i starałem się nabić sobie mieszek. Ale już trzeciego dnia dość miałem zgrozy, krwi i krzyków męczonych ludzi i ocknąłem się ze straszego upojenia. Ranek ten wyrwał mi się w pamięci niezatartym piętnem. Zbudziłem się w cieniu kolumnowego krużganku na Campo di Fiore i majowe słońce oślepiło mi oczy, gdym się rozejrzał dokoła. Z płonących w pobliżu domów były w niebo płomienie i słupy czarnego dymu, a poranne powietrze przesycone było swędem sadzy, wonią krwi i odorem wymiotów. Nie mogłem sobie przypomnieć, w jaki sposób znalazłem drogę powrotną do naszego obozowiska, czy przyszedłem tam na własnych nogach, czy też przynieśli mnie pikinierzy Anttiego, ale mieszek mój był nie tknięty, a osioł stał ze zwieszoną głową przywiązany do marmurowej kolumny, zaś mój piesek leżał z nosem przy ziemi jak gdyby przytłoczony bezgraniczną żalobą, i nawet się ze mną nie przywitał, choć widział, że się zbudziłem.

Napoiłem osiołka w Tybrze i wyruszyłem na poszukiwanie Anttiego, a piesek dreptał za mną, tuląc się do mojej nogi. Szedłem ulicami pokrytymi szczątkami porozbijanych sprzętów i strzępkami odzieży i zasłanymi podartymi księgami, listami, rachunkami i archiwalnymi aktami, powyrzucanymi przez Niemców z kancelarii papieskiej, obok kościołów, skąd dochodziły odgłosy rabunku i pijackich orgii, wymijając plądrujących żołnierzy i leżące tu i ówdzie trupy pomordowanych okrutnie ludzi.

Ze wzgórza, na którym leży Watykan, widziałem czarne chmury dymu snujące się po nieboskłonie za rzeką. Ogarnęło mnie nagle wielkie zmęczenie i beznadziejne przygnębienie. I nie myślałem już więcej o łupie czy pieniądzach, lecz zadałem sobie pytanie, co mi po pełnym mieszku, winie i wszystkich dobrach doczesnych, skoro nawet nie wiem, kim jestem i dokąd zmierzam oraz czego miałbym pragnąć od życia. Papież stał się ograbionym uchodźcą, zgodnie z przysięgą, którą kiedyś złożyłem, a wraz z papieżem upadła potęga papieska i czułem, że nigdy już nie odrodzi się z tego upadku i zniszczenia. Jeśli jednak miał z tego powstać nowy świat, co dobrego i błogosławionego mogło wyniknąć z nieokiełznanego mordowania i nigdy dotąd nie spotykanej pasji niszczenia? Widziałem papieża, jak płacząc uciekał, i przysięga moja spełniła się, ale jakąż miałem z tego radość, skoro nie zbliżyło mnie to ani na krok do Barbary, którą utraciłem na wieki. Po jej śmierci w życiu moim wydarzyło się tyle straszliwych rzeczy, że powoli odsunąłem się od całego mego dawnego bytowania. Gdy stałem tam na wzgórzu watykańskim i stosy papieru wirowały na ulicy przed moimi oczyma, unoszone porywistym wiatrem, a huk młotów i toporów świadczył o rozbijaniu murów i grobowców w świątyni, spostrzegłem nagle, że nie znam wcale siebie, i z przerażeniem zadałem sobie pytanie, kim właściwie jestem, ja pielgrzym, nie mający ani domu, ani rodziny, ani przyjaciół, ani nawet ojczyzny czy nadziei na przyszłość. Poczuliem się nagle tak opuszczony i nagi, że zacząłem się trząść z zimna, choć słońce majowe ogrzewało mnie swoim dobroczynnym blaskiem.

Przytłoczony tymi ciężkimi myślami, stałem tam długo, patrząc na Rzym, gdzie ludzie rabowali i dręczyli się nawzajem i jak dzikie zwierzęta szukali rozkoszy gwałtu i dokonywali zbrodni na swoich bliźnich. W obliczu tego ogarnęło mnie straszliwe zwątpienie, czy Bóg w

ogóle istnieje, bo nędzny umysł ludzki nie mógł zrozumieć, że wszechmogący, święty i miłosierny Bóg, który dał swego Syna, aby odkupić grzechy chrześcijaństwa, pozwala na wszystko, co się tam działo. A sama myśl o uczestnictwie Boga w zniszczeniu i splądrowaniu najświętszego miasta wydała mi się równie okrutną drwiną jak owa tęcza, która ukazała się Tomaszowi Miintzerowi, gdy modlił się o znak z nieba, aby zbudować królestwo boże na ziemi. Toteż nie mogłem w zagładzie Rzymu widzieć narodzin nowego świata i zgroza ogarnęła mnie na myśl, że nadeszła ostatnia godzina i że rzesze szatana zostały spuszczone z uwięzi, aby cesarz jako Antychryst został panem świata.

Serce moje było nagie i puste, ale marne ciało zaczęło mi przypominać o swoim istnieniu i poczułem dojmujący głód po wielu dniach pijaństwa, co sprawiło, że zacząłem sobie tłumaczyć, iż wszystkie te czarne myśli są tylko następstwem zmęczenia i przepicia. Ale nie mogłem nigdzie odkryć ani jednego nie splądrowanego domu, mimo że cisza śmierci zaległa już w tej dzielnicy miasta, i że nie było już widać żołnierzy uginających się pod ciężarem zagrabionych łupów.

W końcu przez wyłamaną bramę wszedłem do ogrodu jakiegoś małego domku, gdzie kwitły drzewa pokryte białym i czerwonym kwieciem. Wędrowałem z jednej splądrowanej izby do drugiej w nadziei, że spotkam jakiegoś człowieka, ale dopiero w ostatniej komnacie wyszła mi na spotkanie rozczochrana kobieta o dzikim spojrzeniu. Gestem poprosiła mnie o milczenie, wskazując na rozciągniętego na łożu ciężko oddychającego starca o sinych wargach i policzkach. Potem wypchnęła mnie z komnaty i sama też wyszła, a zamknąwszy drzwi, oparła się o nie plecami wpatrzona we mnie. Z wyrazem głębokiego niesmaku zdarła z siebie suknie, legła na podłodze i rzekła:

— Jeśli masz iskrę ludzkiego miłosierdzia, drogi panie, zrób to szybko i pozwól mi pielęgnować mego chorego ojca, aby nie musiał umrzeć w samotności. Przysięgam na wszystko, co święte, że nie ukryłam nic w jego łożu i że już zapłaciłam ostatni grosz na daninę. Toteż pospiesz się, a potem weź, co chcesz, byleś tylko zostawił mnie w spokoju.

Przytłoczony swoimi troskami w pierwszej chwili nie rozumiałem, co miała na myśli, potem jednak zaczerwieniłem się gwałtownie, odwróciłem twarz i odparłem:

— Wcale nie nastaję na twoją cnotę. Chciałem tylko prosić o trochę jedzenia, jeśli masz, i zapłacić za nie. Jestem lekarzem i chętnie pomogę twemu ojcu, choć sądząc po jego wyglądzie, obawiam się, że nie jest już w ludzkiej mocy mu dopomóc.

A mój piesek podszedł do nieznanym i polizał jej dłoń. Siadła zdziwiona, lekko się zarumieniła i przykryła łono rąbkami sukni.

— Czy to możliwe, że spotkałam człowieka pośród dzikich zwierząt? — zapytała. — Zdążyłam już stracić wiarę w świętych pańskich, gdy jeden barbarzyńca po drugim w odpowiedzi na moje płomienne modły rzucał mnie na ziemię i dziko gwałcił, po czym ścigał mego ojca z łoża i rozrywał pościel, aby szukać ukrytych pieniędzy. Jeśli jednak rzeczywiście jesteście zacnym człowiekiem, postaraj się na miłość boską o księdza, bo ojciec mój bardziej potrzebuje pociechy duchowej niż lekarza.

Odparłem, że papież zakazał wszelkich kościelnych obrzędów w Rzymie, i wyraziłem wątpliwość, czy księża ośmielą się nie posłuchać interdyktu, a ona z gniewem powiedziała:

— Ojciec jest mężem uczonym i napisał wiele książek o Rzymie i dawnych greckich poetach, i jest też pobożnym chrześcijaninem, i papież nie odmówiłby ostatniej posługi tak wiernemu wyznawcy Kościoła. Jeśli jesteś prawdziwym mężczyzną, przyprowadzisz księdza, choćby gwałtem, bo ja sama zostałam już tylokrotnie wystawiona na gwałt, że mnie to już więcej nie przeraża.

Zbadawszy tętno chorego i posłuchawszy jego oddechu, stwierdziłem, że nie ma już dużo życia przed sobą, wyraziłem wątpliwość, czy będzie na tyle przytomny, aby móc przyjąć ostatnie sakramenty. Wybiegłem spieszenie na ulicę i w pobliżu mostu natknąłem się nieoczekiwanie na księdza, który właśnie wymykał się z kościoła, oglądając się jak szczone

zwierzę. Złapałem go za rąbek habitu i poprosiłem z szacunkiem, żeby poszedł ze mną spełnić swój święty obowiązek. A gdy zaczął się wymawiać na wszystkie sposoby, zastaniając papieskim interdyktem, nie pozostało mi nic innego, jak przyłożyć mu miecz do piersi i dać do wyboru, czy chce umrzeć jako męczennik za wiarę, czy też żyć jako kacierz wbrew papieskiemu nakazowi. Zastanowił się nad tym przez chwilę i wyciągnął wniosek, że święty Kościół z pewnością będzie miał większy pożytek z niego żywego niż z umarłego i że zdoła uzyskać rozgrzeszenie za przewinienie popełnione z konieczności. Zabrał swoje duchowne naczynia i w cichości, bez sygnaturki, zaprowadziłem go do umierającego.

Gdy kapłan spełniał swój święty obowiązek, a córka umierającego pogrążona była w modłach o zbawienie ojca, poszedłem z Raelem do kuchni, gdzie znalazłem kilka główek czosnku i kawałek suchego chleba, co pozwoliło mi zaspokoić najgorszy głód.

Ledwie podzieliłem się chlebem z pieskiem, pojawiła się nieznajoma kobieta i ze spuszczonej oczyma oznajmiła, że kapłan udzielił jej ojcu ostatniego namaszczenia, a teraz prosi o sześć dukatów wynagrodzenia za tą przysługę. Zapytała mnie, czy mogę jej pożyczyć tę sumę, obiecując oddać pieniądze, gdy tylko spotka się z bogatymi przyjaciółmi ojca. Dałem jej więc pieniądze, bo tak pokornie prosiła, ale bezczelna chciwość księdza rozgniewała mnie do tego stopnia, że wyszedłem tyłem przez ogród na ulicę i gdy ksiądz opuszczał dom z naczyniami ukrytymi pod habitem, podbiegłem do niego i uderzyłem go w głowę tak, że upadł.

Wyrównawszy swoje rachunki z Bogiem, umierający starzec uspokoił się i przestał odczuwać bóle. Gładził drżącą dłonią włosy klęczącej przy jego łożu córki i nie sądzę, by zdawał sobie sprawę z nieszczęścia, jakie spadło na Rzym, gdyż zaklinał mnie słabym głosem, abym mu urządził przyzwoity pochówek, potem zaś zaprowadził jego córkę bez piecznie do pałacu bogacza Massimo. Nie miałem serca wyjawić mu okrutnej prawdy i obiecałem spełnić jego życzenia w miarę moich możliwości.

Gdy starzec wyzionął ostatnie tchnienie, córka płakała przez chwilę, ale szybko osuszyła łzy i rzekła z ulgą:

— Ojciec mój zmarł w pokoju jak dobry chrześcijanin, co jest dla mnie wielką pociechą, bo za życia nieraz zaniedbywał mszę świętą i zapominał o modlitwie dla swoich pogańskich filozofów. Ale teraz dusza jego znalazła wieczny odpoczynek i pozostaje nam tylko spełnić jego ostatnie życzenie i złożyć go do poświęcanej ziemi.

jej głupi upór drażnił mnie i odparłem, że tysiące trupów leży na ulicach Rzymu nie pogrzebanych i zatuwa powietrze, próżno więc oczekiwać, aby ktoś zadał sobie trud pochowania ubogiego uczonego. Ona jednak spojrzała na mnie z góry i rzekła:

— Jestem ci już winna sześć dukatów, ale gdy pochowam ojca i odprowadzisz mnie do pałacu Massima, otrzymasz wszystko, co twoje, i jeszcze nagrodę za trud, bo bogacz Massimo nie odmówi córce mego ojca pomocy i opieki.

Opowiedziałem jej więc, że pałac Massima już pierwszego dnia został doszczętnie splądrowany tak przez Niemców, jak i Hiszpanów, a dwie córki bogacza zgwałcone na jego oczach, na co ona zagryzła wargi i łzy rozgoryczenia polały się jej po policzkach, gdy zrozumiała, że jest całkowicie bezbronna i zależna ode mnie. Po chwili zastanowienia rzekła:

— O sobie nie dbam, bo jestem zhańbiona i życie nie ma dla mnie większej wartości. Ale dla mego ojca chcę przyzwoitego pogrzebu i musisz mi w tym dopomóc.

I nie wiem, co mnie skłoniło do tego, że obiecałem zrobić wszystko, aby złożyć jej ojca w poświęcanej ziemi. Ale potrzeba mi było pomocy, wyruszyłem więc natychmiast na miasto, aby szukać Antiego. Szczęśliwym trafem znalazłem go przy Ponte Sisto, otoczonego zgrają rozkrzyczanych i roześmianych pikinierów. Uprosiłem go, aby mi dopomógł, a on nakłonił kilku towarzyszy, żeby poszli z nami. Wspólnie udało nam się znaleźć jakąś porzuconą trumnę i nosze do dźwigania zwłok. Z pobliskich domów wyciągnęliśmy gromadkę zastraszonego rzymian, do noszenia trumny, i paru mnichów, do śpiewania psalmów, bo im



bardziej zadanie wydawało mi się niemożliwe do spełnienia, tym bardziej się upierałem przy swoim. W uroczystym pochodzie wróciliśmy do domu uczonego. Ubraliśmy zmarłego w czystą koszulę i złożyliśmy go do trumny przy śpiewie psalmów. Kobieta pokazała nam drogę na pobliski cmentarzyk i po zapadnięciu zmierzchu kazaliśmy Włochom wykopać grób i spuściliśmy trumnę do poświęconej ziemi.

Rozpuściwszy po pogrzebie naszych pomocników, znaleźliśmy się przy grobie sami, we troje, z Anttim i nieznaną kobietą. Gdy ta odmówiła już ostatnią modlitwę, podniosła się z klęczek, ucałowała nas obu, nazywając zacnymi ludźmi, i zaprosiła na stypę ku pamięci ojca, jakkolwiek obawiała się, że niewiele może postawić na stole. Aby ją wybawić z kłopotu, zboczyliśmy więc do kilku pobliskich domów, skąd wzięliśmy świeżych jarzyn, mięsa, a także małą baryłkę wina, którą Antti zaniósł na plecach.

Kobieta rozpałała niewprawną ręką ogień na kominie i zaczęła piec mięso, a tymczasem Antti opisywał swoje przygody i pokazał mi garść kosztownych kamieni, zielonych i czerwonych, które wyrwał z relikwiarza w jakimś żeńskim klasztorze. Opowiadał też, że widział tam czaszkę świętego Jana Chrzciciela, ale ktoś inny zdążył położyć już na niej łapę. A chętnie byłby ją zabrał na pamiątkę tej wojny i posłał przez jakiegoś wędrowca do katedry w Abo, żeby w ten sposób spełnić dobry uczynek, gdyż w naszej ojczyźnie nie było tak cennych relikwii.

Gdy później rozmowa zesłała na okrucieństwo Hiszpanów, Antti orzekł, że nie może ich zrozumieć:

— Znajdują rozkosz w torturowaniu kobiet i dzieci i w zmuszaniu ich do wszelkiego rodzaju występków — mówił — choć uczciwy człowiek doznaje największej przyjemności dzięki życzliwości i łaskom kobiety. A w Rzymie nie brak zaiste wesołych wieści, które chętnie i bez przymusu gotowe są dzielić żołnierski łup i uciechy.

Kobieta zapomniała o rożnie, odwróciła się do nas i rzekła:

— Żyłam spokojnie w domu mego ojca, który uczył mnie łaciny. Napisałam też kilka gładkich wierszy, występowałam jako święta Magdalena w nabożnym misterium w Koloseum i zdobyłam sobie wielkie uznanie i podziw. Wysoko urodzony pan okazał mi swoją skłonność, ale ponieważ miał zamiar wstąpić do stanu duchownego, mógł mi ofiarować tylko niepewną pozycję nałożnicy albo kurtyzany, toteż oparłam się jego namiętnym zakłębom. Zalotnikami niższego stanu gardziłam. A teraz Bóg pokarał mnie za moją pychę, wykazując gorzko i dobitnie, że pobożne mniszki wcale nic nie tracą, ślubując wieczną czystość, lecz przeciwnie — zyskują. I zdaje mi się, że już nigdy nie będę mogła spojrzeć w oczy mężczyźnie bez odrazy. Chyba kupię sobie za spadek po ojcu miejsce w jednym z tych klasztorów, gdzie reguła i dyscyplina nie jest przesadnie surowa, gdy tylko wszystko będzie znowu tak jak dawniej i bandy rabusiów przepędzone zostaną z Rzymu.

Antti odradzał jej jednak tę pośpieszną i nieprzemyślaną decyzję, mówiąc, że łatwiej wstąpić do klasztoru, niż się stamtąd wydostać, oraz uprzedzając, że jeszcze nie wiadomo w ogóle, czy instytucja klasztorów zostanie utrzymana. Wtedy kobieta znowu zapomniała o pieczonym mięsie, które zaczęło się przypalać, i z otwartymi ustami wpatrując się w nas przerażona wydyszała:

— Czyżby nadszedł koniec świata i bezbronna niewiasta nie miała już żadnej ucieczki przed wszystkimi pokusami, skoro nie będzie klasztorów?

Na co Antti popijając wino odparł:

•— I ja uważam, że klasztory powinny nadal istnieć w jakiejś formie, co by to bowiem było, gdybyśmy nie mieli już gdzie zamykać brzydkich, niedobrych i złośliwych bab. Ale wy, szlachetna panienko, nie macie chyba żadnej cielesnej wady, a i wasze oblicze ogląda się z przyjemnością, toteż radzę wam poważnie raz jeszcze przemyśleć swoje postanowienie.

Podniósł mięso z ognia, powąchał je, odkroił przywędglone części i zabraliśmy się do jedzenia, popijając przypalone mięso obficie winem. A gdy kobieta ukryła twarz w dłoniach, szlochając

nad swoją bezradnością i opuszczeniem, Antti pocieszał ją i namawiał do jedzenia i picia wraz z narni, mówiąc, że nic tak nie poprawia nastroju i nie rozjaśnia w głowie jak kilka łyków wina i że życie nie jest aż tak czarne, jak jej się to wydaje, a już na pewno nieraz smakuje lepiej niż przypalone mięso.

Jego proste i dowcipne słowa pocieszyły ją tak, że spróbowała się do nas uśmiechnąć poprzez łyzy, i rzekła:

— Doprawdy, jestem niewdzięczna i zapominam o obowiązkach gospodyni, a wasza życzliwość każe mi żałować, że nie poświęcałam się więcej sztuce gotowania niż wierszom i nabożnym widowiskom. Może macie słuszość i istotnie mogło mnie spotkać coś jeszcze gorszego. Choć to słaba pociecha, zadowolam się nią i jedyną moją troską jest teraz, w jaki sposób się wam odwdzięczyć i odpłacić za waszą dobroć, skoro nie umiem nawet usmażyć mięsa, tak jak lubicie. Jeśli chcecie, przeczytam wam kilka pięknych strof albo odegram parę kwestii świętej Magdaleny w widowisku pasyjnym, w którym zdobyłam taki poklask.

Antti podziękował pięknie za jej dobre chęci, mówiąc, że jest prostym i nieuczonym człowiekiem i że musi myśleć o swoim mieszkaniu pikmierzach, których zaniedbywał już dostatecznie długo. A do mnie zwrócił się z wezwaniem, żebym został i zaopiekował się nią, gdyż jako uczonej łatwiej potrafię docenić wartość poezji. Potem odszedł, zostawiając nas samych w opustoszałym domu.

Po jego odejściu zamilkliśmy oboje, nie mogąc znaleźć żadnego tematu do rozmowy, i siedzieliśmy czas jakiś w przytłaczającym milczeniu, aż ona odezwała się, mówiąc, że nazywa się Lukrecja, i poprosiła, żebym zwracał się do niej jak do siostry. Podała mi zimne dłonie, prosząc, abym je rozgrzał w moich, gdyż zmarzła i odczuwa strach. Mój pies zwinął się w kłębuszek przy gasnącym kominku, a gdy dalej siedziałem w milczeniu, powiedziała:

— Serce mojego ojca pękło, gdy widział, jak rozjuszeni żołdacy niszczą jego ukochane książki i wykopaliska. Stracił na nie cały majątek i nie odziedziczył po nim nic. Ale teraz, gdy już nie żyje, czuję się tak wolna, że aż mnie to przeraża i dziwne zachcianki przychodzą mi do głowy. Toteż przeraża mnie samotność i czuję się jak kolorowy ptaszek, którego poryw wiatru wyrwał z bezpiecznej klatki i rzucił w dziki i okropny, ale może wspanialszy świat. Weź mnie w ramiona, Mikaelu, obejmij mnie i broń, i ogrzewaj jak brat. Te dwie świece to wszystko, co mamy w domu, więc lepiej je zgaśmy, bo równie dobrze możemy rozmawiać po ciemku.

Tak też i uczyniła, a ja wziąłem ją w objęcia jak brat. I w powodzi ciężkich myśli znalazłem pociechę, trzymając w objęciach istotę ludzką, równie samotną i opuszczoną jak ja. Ale po chwili zaczęła się niecierpliwić, zarzuciła mi ramiona mocniej na szyję, przycisnęła policzek do mojego i rzekła:

— Nie poznaję już siebie samej, bo szaleje we mnie jakaś burza i dziękuję niebiosom za, to, że jest ciemno i że nie możesz widzieć moich oczu. I choć próbuję się pocieszyć myślami o rzeczach szlachetnych i wzniosłych, dręczy mnie wciąż uczucie, że jestem kobietą upadłą. A może rzeczywiście zakochałam się w tobie z powodu twojej dobroci i łagodności? Chciałabym, żebyś mi wbił nóż w piersi i pozbawił mnie życia, gdyż nigdy już nie będę mogła spojrzeć w oczy uczciwemu człowiekowi, skoro tak się zapomniałam, a ty mnie odpychasz od siebie.

I muszę przyznać, że mimo zmęczenia ogarnęło mnie bezbożne i grzeszne pragnienie zaspokojenia jej zranionej dumy. Toteż objąłem ją mocnym uściskiem, który wcale nie był braterski. A spełniwszy jej życzenia, powiedziałem dobranoc i zamknąwszy oczy chciałem usnąć, gdy ona uniósłszy się na łokciu rzekła:

— Podejrzewam, że poeci kłamią okrutnie, opisując rozkosze miłości, bo dla czegoś takiego kobiety nie robiłyby chyba tylu głupstw, jak tego dowodzi doświadczenie i liczne opowieści. A może to tylko ty masz jakąś cielesną wadę, bo nie sądzę, żeby mnie coś brakowało, gdyż jestem zdrowa i dobrze zbudowana, i zawsze wiedziałam życie obyczajne?

Nie miałem już siły jej słuchać i zapadłem w głęboki sen. Nazajutrz rano wstała wcześniej ode mnie i gdy ją znowu zobaczyłem, była blada i milcząca i odziana w czarną suknię. Odezwałem się do niej, lecz ona unikała mego spojrzenia, i gdy spożywaliliśmy resztki wieczery, odnosiła się do mnie, jak gdybym był kimś obcym lub jej wrogiem. Ale nie mogłem dojść, o co właściwie jej chodzi i co czuje. Sumienie nie pozwalało mi jednak zostawić jej samej w domu, toteż zabrałem ją z sobą do obozu pikinierów i oddałem pod opiekę straży. Dobroduszni Niemcy uratowali całą gromadę nieszczęśliwych kobiet z rąk Hiszpanów i kazali im warzyć strawę i prać bieliznę, tak że nie mogłem znaleźć dla Lukrecji bezpieczniejszego schronienia, gdyż własna korzyść, wymagała, abym udał się do miasta, dopóki odbywała się tam dozwolona grabież.

Ale gdy wieczorem wróciłem do obozu, już jej nie było, a kobiety oznajmiły mi drwiąco, że jej delikatne rączki nie znosiły ładu i prania i że pobiegła za jakimiś Hiszpanami, aby znaleźć lepszą opiekę. Nie wróciła także do domu, gdzie jej szukałem. Osiedliłem się więc tam, czekając na nią, a po skończonej grabieży Antti przyłączył się do mnie, aby odpocząć po okropnym przepiciu. Przyproceedził z sobą paru pikinierów, tak że mogliśmy bronić się przed intruzami. Zrobiliśmy też na naszej kwaterze zapasy mąki i suszonego mięsa, gdyż bardzo szybko wyszło na jaw, że w Rzymie grozi nam o wiele gorszy głód i wyrzeczenia niż kiedykolwiek przedtem.

W ciągu tych ośmiu dni grabieży nawet słabe siły nieprzyjacielskie bez trudności mogłyby wtargnąć do Rzymu i oswobodzić papieża z Zamku Świętego Anioła, nasze wojska były bowiem zupełnie rozprężone i myślały tylko o rabunku, picciu i rozpuście.

Po ośmiu dniach plądrowania podzielono wspólny łup stosownie do wojennych artykułów, a zatem tak, że Hiszpanie, zatrzymali swoje zdobycze, a Niemcy swoje. Zebrano monet złotych i srebrnych wartości .dziesięciu milionów dukatów i naczyń złotych i srebrnych, a także szlachetnych kamieni mniej więcej za taką samą sumę. I gdy podzielono zdobycz, nie było arkebuzera czy pikiniera, który, by-nie odziewał się w jedwab i aksamit i nie nosił na szyi złotych łańcuchów, a najpospolitszy pacholek pobrzękiwał co najmniej stu dukatami w sakiewce. A wartość cennych mebli, obrazów, dzieł sztuki, bibliotek, relikwii i kosztownych tkanin, które zniszczono, wynosiła przynajmniej drugie tyle, nie mówiąc już o spalonych czy wysadzonych w powietrze domach i pałacach, których odbudowanie kosztowałoby wiele milionów dukatów.

Gdy przywrócono wreszcie porządek i ludzie odważyli się wychodzić na ulice, a kilka tawern otwarło podwoje, okazało się szybko, że bogactwo nie ma żadnego znaczenia, bo nie minęły jeszcze trzy tygodnie, jak zwykły chleb kosztował już dukata, i biedota rzymska zaczęła mrzeć z głodu. Żaden chłop nie był bowiem tak głupi, żeby wieźć żywność do Rzymu, a wszystkie miejskie zapasy spożyto w dzikim obżarstwie lub też rzucono świniom w czasie grabieży. Powietrze było zatrute ohydny smrodem nie pogrzebanych zwłok, na ulicach i placach roiło się od szczurów, a w pobliżu Koloseum Hiszpanie ustrzelili pewnego dnia dwa wilki, zwabione do miasta odorem trupów.

W ślad za głodem przyszła zaraza i ja, który dotychczas nie zetknąłem się z nią jeszcze, naoglądałem się w Rzymie jej objawów tak, że miałem tego dość do końca życia. Gdy pierwsi pikinierzy zaczęli skarżyć się na palące pragnienie i obmacywać bolące pachy i pachwiny, wiedziałem od razu, o co chodzi, ale z braku leków nie mogłem nic pomóc towarzyszom i musiałem się ograniczyć do puszczenia im krwi i podawania środków wymiotnych, żeby w gorączce i bólu, nie wpadali w szal i nie rzucali się do rzeki.

Aż wreszcie pewnego dnia, z dala od domu, poczułem nagle symptomy zarazy we własnym ciele, straciłem przytomność i padłem bez życia na ulicy. Ocknąłem się o zmierzchu, czując jakiś wilgotny język liżący mnie po twarzy, i spostrzegłem, że jest przy mnie mój wierny Rael, który w jakiś przedziwny sposób mnie odnalazł. Gdy pies zobaczył, że odzyskałem

przytomność, zaczął skomleć z radości i szarpiąc mnie za uszy i ręce, usiłował zmusić do wstania.

Chwiejąc się na nogach, powlokłem się w malignie przed siebie, nie wiedząc, dokąd idę, ale w jakiś sposób psu udało się prowadzić mnie w ciemnościach i dopiero w pobliżu domu Lukrecji padłem wyczerpany na ziemię, nie mogąc się już podnieść. Rael ciągnął mnie i szarpał za odzież, ale w końcu zaniechał swoich wysiłków i gdzieś pobiegł. I dopiero później dowiedziałem się, że skomląc i szczekając, zbudził Antiego i wyciągnął go na ulicę, gdzie ten znalazł mnie nieprzytomnego, i zaniósł na własnych plecach do domu, w którym mieszkaliśmy. Większej ofiarności nie mężna sobie wyobrazić, bo nawet lekarze niechętnie dotykają chorych na zarazę, trzymając się od nich z dala i oczyszczając się solą i octem po puszczeniu krwi choremu.

Leżałem w malignie przez parę dni, a Antti pielęgnował mnie, dawał świeżą wodę do picia i obmywał moje wrzody szmatką umoczoną w occie. Po pięciu dniach wrzody zaczęły nabierać, aż pękły same, i gorączka spadła, tak że znowu przejaśniło mi się w głowie i zdałem sobie sprawę, gdzie jestem.

Jako lekarz wiedziałem, że utrzymam się przy życiu, jeśli zdołam przetrwać okres największego osłabienia odpowiednio się odżywiając. Nie miałem jednak jeszcze siły podnieść się z łoża, bo nogi uginały się pode mną i padałem na ziemię. Antti trzymał mnie więc w łożu i karmił, czym się dało, a gdy wyruszał na poszukiwanie żywności, zostawiał kilku pikinierów na straży domu, gdzie przechowywaliśmy lwią część naszego łupu. Oni jednak bojąc się zarazy, często zaniedbywali się w służbie i odwiedzali sąsiadów dla pogawędki i figlów z kobietami. Toteż Antti zostawiał przy moim łożu skałkowy pistolet, żebym w razie potrzeby sam mógł się bronić przed intruzami.

Pewnego dnia leżałem samotnie w stanie skrajnego osłabienia, ale z umysłem przedziwnie jasnym, dumając nad moim zmarnowanym życiem. Nagle usłyszałem jakieś głosy i w drzwiach ukazała się Lukrecja. Była odziana w płomiennoczerwoną suknię, odsłaniającą piersi i ramiona, a we włosy miała wplecione sznury pereł. W uszach nosiła kolczyki z drogich kamieni, a na jej palcach błyszczały ciężkie pierścienie. Na mój widok zaskoczona przyłożyła dłoń do ust, ja zaś uśmiechnąłem się ze szczęścia i zawołałem słabym głosem:

— Lukrecja, Lukrecja! Przeżegnała się i zapytała:

— Tyżeś to, Mikaelu? Czy padłeś ofiarą zarazy, skoro jest tu krzyż na drzwiach?

Nic dziwnego, że mnie nie poznała, bo byłem okrutnie wymizerowany. Zbliżyła się do łoża, starannie uważając, żeby mnie nie dotknąć, i w tej samej chwili spostrzegła skórkę chleba i resztki mlecznego kleiku w glinianej miseczce, na podłodze obok łoża.

— Tu jest żywność — powiedziała głośno i zaczęła gryźć chleb, wpatrzona we mnie czarnymi oczyma.

Jakiś brodaty Hiszpan wtargnął za nią do komnaty i łapczywie wychłęptał kleik z miski.

— Na miłość boską, Lukrecjo, to moje jedyne pożywienie i od tego zależy, czy wyzdrowieję

— błagałem. — Czy już nie pamiętasz, jak cię chronilem i postarałem się dla twego ojca o chrześcijański pogrzeb?

A ona zwróciła się do Hiszpana i rzekła:

— Może on ma więcej jedzenia w łożu? W każdym razie musi mieć gdzieś ukryte pieniądze.

Hiszpan zwłókł mnie na podłogę za nogi, żeby sobie nie uwalac rąk o wrzody, i rozpruł poduszki mieczem. A Lukrecja powiedziała:

— Daruj mi moje postępowanie, ale nie można wyleczyć się z zarazy, 1 nic nie stracisz na tym, że zjem twój chleb. Pieniądze też nie mają wartości dla umierającego, powinieneś więc wyznać, gdzie je ukryłeś, gdyż mój kochanek to człowiek chciwy, i nie chciałabym, żeby cię poddał mękom.

Hiszpan wytrzeszczył na mnie groźnie oczy i warknął:

— Podpiekę ci podeszwy, jak nie wyznasz dobrowolnie, gdzie schowałeś żywność i pieniądze.

— Lukrecja! — wykrzyknąłem — i to ma być zapłata za wszystko, co dla ciebie zrobiłem?

Ona jednak zwróciła się do Hiszpana i rzekła:

— Ten człowiek krwawo się ze mnie naigrawał. Zhańbił mnie, gdy byłem bezbronna w jego mocy, a potem chciał, abym mu prała koszule. Ponadto to luteranin i zabić go jest czynem miłym Bogu.

Hiszpan nie chciał jednak mnie dotykać, z obawy przed zarazą. Wyszli więc z komnaty i słyszałem, jak przewracali sprzęty i wrywali płyty z posadzki w poszukiwaniu ukrytego łupu. Tymczasem udało mi się sięgnąć po pistolet i z bronią gotową do strzału czekałem na ich powrót, oparty plecami o łożo. Po chwili usłyszałem, jak się kłóca, po czym do komnaty wszedł Hiszpan z zapaloną drzazgą w dłoni. Wzdrygnął się i stanął jak wryty, zobaczywszy mnie siedzącego na podłodze z pistoletem w dłoni. Dało mi to czas na wycelowanie i pociągnięcie za spust. Trafiłem go w pierś, tak że padł na wznak na progu, nie zdążywszy nawet zakląć.

Do izby wypełnionej kłębamii dymu wpadła Lukrecja, uklękła przy swoim kochanku, ale widząc, że umiera, wpadła w furję, wyjęła jego miecz i zrobiła krok w moim kierunku, żeby mnie zabić. Wymierzyłem 1 do niej z pistoletu i zagroziłem, że strzelę, i sam nie wiem, skąd mi się wzięła ta przytomność umysłu, bo jako głupia kobieta nie pojęła, że pistolet trzeba wpięrow nabić po strzale. Rzuciła miecz na podłogę i zaczęła błagać, żebym jej nie zabijał.

Odgłos strzału ściągnął pikinierów, którzy wpadli do domu i schwytali Lukrecję. Gdy odkryli trupa Hiszpana, przerazili się ogromnie, że Antti każe ich żywcem wypatroszyć za to, iż zostawili dom nie strzeżony. Całą swoją wściekłość wyładowali na Lukrecji i ukarali niedobrą kobietę gorzej, niż sam bym to uczynił. Zdarli z niej czerwoną suknię i wychłostali ją okrutnie kolczastymi prętami, i byłiby ją pewnie zabili, gdybym, nie kazał jej wypuścić. Wyrzucili ją więc na ulicę naga, tak jak przyszła na świat. Lecz dzień był ciepły, a kobiety odarte do naga z odzieży nie były wtedy w Rzymie niezwykłym widokiem, nie ucierpiała więc większej szkody. Tak to jej okrucieństwo i bezczelność wyszły mi na korzyść, bo w mieszkaniu zabitego Hiszpana było blisko pięćset dukatów, nie licząc kosztowności, którymi był obwieszony. Musiał to być jeden z hiszpańskich dowódców.

Gdy Antti wrócił, opuściliśmy też co rychlej dom i pikinierzy przenieśli mnie na drugi brzeg rzeki, gdzie zajęliśmy inne opuszczone i ograbione domostwo, aby ukryć się przed Hiszpanami. Lukrecja bowiem z pewnością poszczuła ich na nas, Hiszpanie zaś byli mściwi i nigdy nie zapominali urazy. A gdy wrzody w pachwinach zagoiły się i mogłem już utrzymać się na nogach, powiedziałem do Antiego:

— W czasie choroby dużo myślałem i gdy zdawało mi się, że umrę, ogarnął mnie wielki lęk o zbawienie duszy. Obawiam się, że wzięliśmy udział w największym rabunku, jakiego kiedykolwiek dokonano, i nie wiem, czy zdążymy odkupić nasz grzech przez resztę życia. Karą naszą jest już głód i zaraza, ale nie zdaje mi się, żeby nawet cesarz uniknął klątwy za wszystkie te okrucieństwa, które popełniliśmy tu w jego imieniu. Toteż niech każdy jak może zbawia swoją duszę i nie widzę innej rady, tylko musimy co rychlej uciec z tego miasta, ongiś chluby chrześcijaństwa, dziś obróconego w ruiny.

Antti spowaźniał i odparł:

— Istotnie zarobiliśmy już na Rzymie tyle, ile można zarobić na takim mieście. Co prawda papież jest więźniem, ale okup za niego nie da więcej, jak po parę dukatów na głowę, a boję się bardzo, że lwią część schowa do kieszeni dowództwo. Jestem więc gotów opuścić Rzym — zwłaszcza ze względu na tych Hiszpanów, których obraziłeś. Nie zdołamy się długo przed nimi chować, a gdy nas znajdą, zabiją bez wątpienia. Tylko w jaki sposób wydostaniemy się z tego przeklętego miasta i dokąd mamy iść, oto pytanie.

Rael leżał u moich stóp, przysłuchując się naszej rozmowie, a teraz podniósł głowę, patrząc na mnie z oddaniem swoim jednym okiem. Z osłabienia polały mi się łzy i rzekłem do Anttiego:

— Okryliśmy się, biedacy, wszelkimi grzechami świata, straciliśmy naszą wiarę dziecięcą i nie mamy wielkiej nadziei na przebaczenie. Nie chcę cię ani namawiać, ani kusić, Antti, ale w czasie choroby, doszedłem do przekonania, że wszystkie nasze nieszczęścia zaczęły się w chwili, gdy jako słabi grzesznicy zeszliliśmy z prostej drogi i odstępiliśmy od naszego postanowienia pielgrzymki do Ziemi Świętej. I nie chcę cię zmuszać, żebyś mi towarzyszył, ale wiedz, że postanowiłem pojechać do Ziemi Świętej — z tobą czy bez ciebie — i żadna siła ludzka nie może zachwiać tym moim postanowieniem. Jeśli pójdziesz ze mną, spełnimy zbożne postanowienie naszej młodości i zapomnimy minione lata jak przelotną złudę, i zbawimy nasze biedne dusze. Niech cesarz odpowiada za swoje czyny, my będziemy odpowiadać za swoje.

W dwa dni później płynęliśmy łodzią w dół Tybru do Ostii, przebrani za tragarzy, mając w naszym towarzystwie weneckiego posła, Domenico Vernier, i dwie szlachetne damy z dworu w Mantui, również w przebraniu, dla uniknięcia rozszalałego żołdactwa. Wciąż jeszcze byłem za słaby, by wiosłować ciężkim wiosłem, ale duszę moją przeniknęło uczucie bezgranicznej ulgi, gdy Rzym został z tyłu za nami i gdy znów po odorze płonących ruin i gnijących zwłok odetchnąłem świeżym, czystym czerwcowym powietrzem.

W Ostii byliśmy bezpieczni, bo pan Domenico obiecał przekonać signorię potężnej republiki, aby pożyczyła pieniędzy na okup papieża. Toteż wojska cesarskie, które obsadziły Ostię, robiły, co w ich mocy, aby ułatwić nam podróż, a gdy wyszliśmy na pełne morze, chroniła nas flota sprzymierzonych pod dowództwem Andrzeja Dorii. Tak więc przybyliśmy do Wenecji cało i jako bogaci ludzie, aby stamtąd udać się w dalszą podróż do Ziemi Świętej.

W ten sposób poważnie i szczerze przedstawiłem wiele dziwnych przygód mojej młodości w różnych krajach, nie starając się ukryć moich błędów ani upiększyć moich postępów, i samo to opowiadanie wystarczy, aby przekonać wyrozumiałego czytelnika o moich dobrych intencjach. Także i moja chrześcijańska pokora po strasliwym spustoszeniu Rzymu przemawia za mną.

Mam jednak nadzieję, że będę jeszcze miał sposobność opowiedzieć o tym, jak wypłynęliśmy z Wenecji i jak wcale nie dotarliśmy do Ziemi Świętej, jak natomiast zmuszony byłem przywdziać turban i przejść na wiarę Proroka. Chciałbym bowiem odeprzeć wszystkie te haniebne i kłamliwe oszczerstwa, które rozpowszechniano o mnie w krajach chrześcijańskich, gdy po wielu przeciwnościach zdobyłem rozgłos i osiągnąłem wysokie stanowisko w służbie sułtana.